



KATARZYNA
BERENIKA
MISZCZUK

Zerca

*Tylko czar miłości
może pokonać
wszystkie smutki*

Katarzyna Berenika Miszczuk

ŻERCA

Seria: KWIAT PAPROCI



Copyright © by Katarzyna Berenika Miszczuk, MMXVII

Wydanie I

Warszawa, MMXVII

Spis treści

Dedykacja

Prolog

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

31.

32.

33.

34.

35.

36.

37.

38.

39.

40.

41.

42.

43.

44.

45.

46.

47.

48.

49.

50.

51.

52.

53.

54.

55.

56.

Podziękowania

Przypisy

Małgosi Zając, najlepszej szwagierce pod słońcem!

Prolog

Żółte kocie ślepie błyszcząły w ciemnościach. Ciało utkane z chmur, deszczu i mgły było ogromne. Nie potrafiłam dostrzec, gdzie się zaczynało, a gdzie kończyło. Zza ściany dymu wysunęła się łapa o pazurach dłuższych od mojego przedramienia. Szpony przejechały po kamieniu, na którym stało monstrum.

Żmij...

Stałam na drżących nogach naprzeciwko potwora. Osłoniłam twarz przed lodowatymi kroplami ulewy, która rozpętała się nad nami. Nieba nie przecinała żadna błyskawica. Nad nami rozpościerała się lodowata czerń.

Stwór otworzył pysk pełen ostrych kamiennych zębów. Z jego gardła wydobył się suchy trzask gromu. Krzyknęłam przestraszona, kuląc się ze strachu i zimna. Dreszcze szarpały moim ciałem.

Oczy migoczące w głębokich oczodołach skierowały się w dół. Czarne paski źrenic rozszerzyły się, gdy mnie dostrzegł.

Zaczęłam uciekać. Biegłam, ale wciąż był za mną. Czułam jego oddech na karku, ziemia drżała pod każdym jego krokiem. Wiedziałam, że mnie zabije, wiedziałam to. Mimo to uciekałam, biegłam tak szybko, że nie mogłam oddychać. Bieg był najważniejszy.

Nagle grunt uciekł mi spod nóg.

Spadałam.

Bezradnie zamachałam rękami.

Leciałam w dół tak długo, jak gdybym nigdy nie miała dotrzeć na dno rozpadliny.

Obróciłam się w powietrzu, by spojrzeć za siebie. Nade mną wisiały dwa żółte punkty.

Grom wprawił powietrze w dygot.

Nagle uderzyłam plecami o ziemię. Miękki kobierzec zieleni ugiął się pod moim ciężarem. Odetchnęłam.

Pnącza pełne lejkowatych kwiatów powoju niczym korzenie, które przebiły ciało Mieszka, niespodziewanie mnie zaatakowały. Sznur łodyg okręcił się dookoła mojej szyi. Kolejny unieruchomił mi klatkę piersiową i nogi.

Spomiędzy białych płatków zaczęły wypływać krople krwi. Spływały na moją skórę, znacząc ją czerwonymi smugami.

Złapałam za sznur, który coraz ciśniej oplatał mi szyję. Zaczęłam się szarpać, ale tylko zacisnął się mocniej.

– Nie! – krzyknęłam, widząc, że żółte punkty zaczynają się do mnie zbliżać.
– Nie!!!

Nagle poczułam ostry ból w dole brzucha. Zaparło mi dech, głos zamarł w gardle. Fala ognia rozlała się po całym moim ciele. Wzrok się zamglił.

Zdrętwiałymi z bólu rękami sięgnęłam w dół. Palce natrafiły na trzonek noża, który tkwił wbity głęboko w moje ciało.

Wszystko spowiała ciemność...

1.

– Nie wiem, co do niego czuję. Nie wiem, co on czuje do mnie. Nie wiem, czy kiedykolwiek się tego dowiem. Wydaje mi się, że łączy nas namiętność zdolna wypalić świat do gołej ziemi, że dla siebie bylibyśmy w stanie przelać krew. Nie tylko swoją. W następnej zaś chwili mam wrażenie, że między nami rozciąga się mroźna równina pełna lodowych igieł nieudomówień, smukłych sopli kłamstw. Jego zimne odpowiedzi. Kruchy niczym tafla zamrożonego jeziora rozejm. Szron naszych wzajemnych kłamstw. Tak naprawdę go nie znam. Owszem, wiem sporo o jego przeszłości, wiem, czym się teraz zajmuje. Wiem, jaki jest smak jego pocałunków, jak pachnie jego skóra, znam tempo bicia jego serca. Jednak nie mam pojęcia, co kryją jego myśli. Nie wiem, jakimi ścieżkami wędrują, jak bardzo są kręte. Nie wiem, kim jest naprawdę ani jak zachowałby się w niektórych sytuacjach. Czasem wydaje mi się, że udało mi się poznać tylko jego powierzchowny obraz. Mały wycinek, który postanowił mi pokazać. Nie wiem, co mam robić. Nasz związek to uzależnienie, niszczący nałóg, którego nie mogę się wyzbyć, chociaż wiem o jego szkodliwości. Chyba za bardzo chcę, by się zmienił, by był kimś innym, niż jest. Bym ja była kimś innym. Chcę przestać o nim myśleć. Chcę przestać za nim tęsknić. Chcę przestać żyć nadzieją na naszą wspólną przyszłość. Chcę przestać go kochać.

Baba Jaga zacmokała swoją złotą licówką i pokręciła głową na te słowa. Spojrzałam na jej siwy, ciasno spięty kok przykryty czarną siatką. Tak jak przez ostatnie tygodnie, tak i dzisiaj ubrała się całkowicie na czarno. Żałobne stroje i smutek sprawiły, że pod jej pełnymi żalu oczami pojawiły się cienie, a delikatna siateczka zmarszczek pogłębiła się, znacząc niegdyś rumianą skórę szerokimi rowkami. Nałożony zbyt grubą warstwą puder tylko uwydatnił te niedostatki.

Moja mentorka spojrzała na mnie z rozterką i kiwnęła głową, zachęcając, bym się odezwała. Sięgnęła do szyi, którą zdobił naszyjnik z czarnych rzecznych pereł. Delikatnie odbijały światło, stanowiąc jedyną ozdobę szeptuchy. Zaczęła się bawić perłami, przesuwając je po zbyt długim sznurku. Myślami znowu była chyba bardzo daleko, przy mężczyźnie, który dla niej samej niespodziewanie okazał się zagadką.

Spojrzałam na siebie, na czarną sukienkę na ramiączkach, którą dzisiaj włożyłam. Ja także nosiłam żałobę po Mszczuju, lokalnym żercy i wróżbicie.

Mąż Baby Jagi nie był mistrzem w swoim fachu. Zdecydowanie za dużo pił i nie wierzył we własne zdolności, co miało wpływ na jakość jego prorocत्व. Nie przykładął się do swoich zadań. Nie był też wiernym sługą bogów. Żywił urazę do Swaróżyca, z którego winy rozpadło się jego małżeństwo. Dopiero gdy się o tym dowiedziałam, zrozumiałam, dlaczego wiecznie pijany wróż każdą powinność wobec bogów wykonywał na siłę, wbrew sobie, jakby od niechcienia. Stracił

zaufanie do tych, którzy powinni byli go prowadzić. Rozumiałam jego niechęć i nie miałam o to do niego żalu.

Jednak byłam w mniejszości.

Mieszkańcy Bielin i okolicznych miasteczek w żadnym razie nie darzyli go szacunkiem. Niemniej jednak nie można było go odwołać ze stanowiska, gdyż umiłowanym przez bogów żercą człowiek stawał się dożywotnio. Oczywiście zdarzało się, że będąc jedną nogą w grobie, dany żerca nie miał już sił do posługi, ale wtedy jego miejsce przeważnie zajmował uczeń, który pomagał mu od lat. Oficjalnie zaś zajmował jego miejsce dopiero z chwilą pogrzebania poprzedniego kapłana.

Lokalna społeczność odetchnęła z ulgą, gdy Mszczuj stracił życie podczas obchodów Nocy Kupały, mimo że dramat rodzinny kapłana i śmierć jedyne dziecko działały się niemalże na ich oczach.

Szalejąca burza z piorunami podpaliła puszcę. Wedle oficjalnych informacji staruszek nie zdążył uciec na czas przed rozprzestrzeniającą się pożogą, o której było głośno w całym Królestwie. Przez następne dni do Bielin zjechały prawie wszystkie stacje telewizyjne, żeby nagrać łzawe kawałki na tle spalonych drzew, poczerniałych jak zużyte zapalki. Dziennikarze prześladowali nas niczym sępy, wszędzie wietrząc nowy temat.

Niewiele osób wiedziało, że Mszczuja zamordowała strzyga. Ale tylko ja, Mieszko i Baba Jaga wiedzieliśmy, że zmarł, bo chciał mnie ratować.

Żercy i szeptuchy uwierzyli mi, gdy opowiedziałam okrojona wersję tego, co stało się z Mszczujem. Nie mogłam wspomnieć im o kwiecie paproci, ale opisałam potwora z bajek dla dzieci – strygę. Sami podczas tych obchodów wiele doświadczyli. Część z nich ujrzała żmija i walczącego z nim planetnika. Łatwo przyszło im uwierzyć, że Mszczuj spotkał na swojej drodze kolejne monstrum z koszmarów. Podejrzewam, że wielu dopiero tej nocy uwierzyło, iż demony istnieją naprawdę. Sama Baba Jaga mówiła mi dawno temu, że nigdy nie widziała żadnej boginki, dopóki ja nie pojawiłam się w okolicy i nie ściągnęłam wszystkim kłopotów na głowę.

Odchrząknęłam, usiłując otrząsnąć się z tych ponurych rozmyślań, i spojrzałam na siedzącą przede mną dziewczynę. To nie był czas na ckiwe rozpamiętywanie przeszłości. Teraz powinnam zająć się pracą.

Siedziałyśmy w chatce szeptuchy, w której na co dzień przyjmowała klientów, by doradzić im w prostych medycznych przypadłościach, rzucić zaklęcie (znaczy placebo), a czasem po prostu porozmawiać.

Dziewczyna, która zgłosiła się na wizytę, była mniej więcej w moim wieku. Położyła na dzielącym nas stoliku dłonie z poobgryzanymi paznokciami. Zbyt mocno podmalowane oczy patrzyły z lekko irytującą natarczywością. Nie było w tym spojrzeniu niczego przyjaznego.

– Nie chcę już go kochać – powtórzyła z mocą. – Zróbcie z tym coś.

– Gosiu?! – zawołała z troską Baba Jaga, gdy zauważyła, że pogrążona we własnych myślach nie odpowiadam klientce.

Jej opowieść obudziła we mnie kobietę, którą przez ostatnie tygodnie ledwie zdołałam uciszyć. Zafrapowana spojrzałam na siedzącą naprzeciwko pacjentkę. Miałam wrażenie, że wypowiedziała głośno moje myśli, moje wątpliwości.

Westchnęłam ciężko. Moje życie uczuciowe wyglądało całkiem podobnie. Ja też nie obraziłabym się, gdybym mogła wyrzucić z głowy myśli o pewnym mężczyźnie, które spędzały mi sen z powiek.

– Gosiu? – ponagliła mnie szeptucha.

Moja mentorka siedziała na ławie pod oknem przy uchylonej drewnianej okiennicy. Lekki wietrzyk usilnie próbował wyciągnąć chociaż jedno pasemko włosów z jej koka, ale fryzura zlepiona dużą ilością lakieru trwała nieruchomo na jej głowie niczym hełm.

– Tak, tak – ocknęłam się. – Zastanawiałam się nad najlepszym postępowaniem w tym przypadku. Jest pani stuprocentowo pewna, że nie chce mieć z nim więcej do czynienia? Nigdy?

Wolałam kilkakrotnie się upewnić. Każda szeptucha miała w zanadrzu dziesiątki sposobów na rozkochanie umiłowanej osoby, ale bardzo niewiele na zgaszenie uczucia. Można śmiało powiedzieć, że miałyśmy tylko jedną szansę. Jeśli w międzyczasie pacjentka zmieni zdanie, trudno będzie cofnąć urok.

– Tak. To toksyczny związek. Nie chcę go już kochać – odpowiedziała twardo.

Była tak zdecydowana, że równie dobrze mogłaby przestać go kochać samym postanowieniem. Doprawdy nie wiem, po co tu przylazła... chyba tylko wydać pieniądze.

– Czy ma pani nitkę z jego ubrania? – zapytałam mimo to z profesjonalnym uśmiechem. – Oraz włos z głowy?

– Tak, tak. Przyniosłam wszystko, tak jak mnie poinstruowano.

Kobieta sięgnęła do wiszącej na oparciu krzesła torby. Po chwili grzebania w jej przepastnym wnętrzu wyciągnęła mały woreczek foliowy z rodzaju tych, w które zwykle pakuje się drugie śniadanie. W środku leżała czarna nitka o długości około pięciu centymetrów.

Podeszłam do kredensu szeptuchy, skrywającego w swoim wnętrzu niejeden sekret. Mebel zwracał na siebie uwagę wyrafinowanymi jak na to miejsce detalami. Stolarz, który go stworzył, nie szczędził talentu i czasu.

Kredens stał w maleńkiej chatce szeptuchy niedaleko pieca kuchennego, na którym w garnku jak zawsze bulgotała aromatyczna zupa. Wydawał się zbyt duży jak na tak małą izbę, mimo to wprost idealnie pasował do wytartych od kroków desek na podłodze oraz pęków ziół i grzybów zwieszających się girlandami z belek

stropowych.

Z najwyższej szuflady schowka szeptuchowych tajemnic wyciągnęłam ostre nożyczki i białą, grubą świecę wysoką na jakieś trzydzieści centymetrów.

Zapaliłam drzazgę od ognia z paleniska i przyłożyłam płomień do knota. Po chwili świeca zapłonęła żywym ogniem. U dołu płomyk był niebieski, a u góry złocistożółty. Zgasiałam dmuchnięciem łuczywko i postawiłam świecę na porcelanowym, lekko obtłuczonym spodeczku. Złapałam go mocno, bojąc się wzniecić pożar w pełnym drewna domku.

Obładowana wróciłam do klientki.

– Sprułam kawałek szwu w jego ulubionej koszuli – wyjaśniła, podając mi nitkę i włos.

W jej głosie usłyszałam rozrzewnienie. Nie byłam tylko pewna, czy dotyczyło celowego zepsucia należącego do niego ubrania, czy wadliwej miłości.

Złapałam nitkę w dwa palce i podałam kobiecie nożyczki.

– Proszę odciąć swój włos i wypruć nitkę ze swojego ubrania – poleciłam.

Kobieta szybko spełniła moje polecenie.

– Czy gdy to zrobimy, tylko ja przestanę go kochać, czy on mnie także? – zapytała, a w jej głosie słychać było napięcie.

– Zginie wasze wspólne uczucie – odpowiedziałam. – Każde z was odczuje tego skutki. Jednak musi pani zrozumieć, że to nie będzie uderzenie pioruna. Nie przestanie pani w jednej chwili go kochać. Wasze uczucie zginie niczym więdnący kwiat. Będzie powoli się kurczyć, aż zaschnie.

– Rozumiem. – Pokiwała gorliwie głową.

Związałam dwie nitki w mocny supeł. Uniosłam go.

– Co połączyło uczucie, ja rozłączam. Rozplątam wasze wspólne życie i wasze ścieżki. Biorę bogów na świadków. Na waszych oczach przecinam węzeł łączący tę dwójkę – powiedziałam.

Za pomocą nożyczek przecięłam supełek. Dwie połówki razem z końcówkami nitki spadły na blat stołu.

– Swarożycu, opiekunie ognia, spraw, by łączące tę dwójkę ludzi uczucie wypaliło się doszczętnie.

Wsunęłam końce dwóch włosów w płomień. Szybko spaliły się, parząc mnie w opuszki palców.

Z westchnieniem ulgi usiadłam za stołem, wpatrując się w płomień świecy. Przez chwilę wydawało mi się, że płomyk błysnął niepokojącym błękitem pomieszanym z zielenią. Zerknęłam na klientkę z ufarbowanymi na blond włosami. Miałam gorącą nadzieję, że to nie była sztuczka Swarożycy, lecz jedynie reakcja chemiczna farby do włosów.

– Co teraz? – zapytała.

– Teraz może pani wrócić do swojego życia – odpowiedziałam. – Już po

wszystkim. Ta świeca z żywym ogniem zostanie u nas, żebyśmy doglądały płomienia. Gdy cała się wypali, spłonie również wasze uczucie.

– Aha...

– Będzie płonąć około dziewięćdziesięciu godzin. To jakieś cztery dni – dodałam, usilnie próbując sobie przypomnieć, co dokładnie było napisane na opakowaniu świec, które wczoraj kupiłam.

Kobieta wbiła spojrzenie w grubą świecę i odetchnęła z ulgą. Na jej twarzy pojawił się delikatny uśmiech. Chyba satysfakcjonowały ją te cztery dni. Ja też uważałam, że to rozsądny czas na pożegnanie się z niechcianą miłością.

– Rozumiem, a ile się należy? – Sięgnęła po portmonetkę.

– Trzysta złotych – odparłam, a na mojej twarzy zagościł wilczy uśmiech.

Ręka jej zadrżała, ale nie zdradziła po sobie w żaden inny sposób oburzenia wysoką ceną. Ach, prywatna służba zdrowia – czego tu nie kochać?

Gdy zamknęły się za nią drzwi, delikatnie przeniosłam świecę na kredens, starając się nie oddychać zbyt głęboko. Nie wiedziałam, gdzie powinnam ją postawić, żeby wątyły płomień przypadkiem nie zgasł od przeciągu. Dbając o każdy ruch, postawiłam spodek na blacie starego mebla. Zachybotał się niebezpiecznie, o mało nie doprowadzając mnie do zawału. Odsunęłam się i dopiero wtedy pozwoliłam sobie na płytki oddech ulgi.

Baba Jaga wyminęła mnie, pochyliła się nad świeczką i jednym dmuchnięciem zgasła płomień. Szarawy dym uniósł się pod sam sufit.

Oniemiałam.

– Co ty zrobiłaś! – pisnęłam, gdy już odzyskałam mowę.

– Jak to co? Zaoszczędziłam dobrą świeczkę. Spokojnie ją jeszcze kilka razy wykorzystamy – odparła. – Nie ma więcej klientów na dzisiaj. Uprzątnij stół, a ja naleję zupę.

– Ale przecież ona musi się palić przez cztery dni! – Wskazałam na stygnącą świecę. – Co z wygaszaniem ich miłości?!

Baba Jaga błysnęła licówką i posłała mi pełne dezaprobaty spojrzenie.

– A co ty nagle taka wierząca się zrobiłaś, co? – zapytała, biorąc się pod boki.

Poczułam, jak na policzki wpełza mi niechciany rumieniec.

– Przecież nie wierzysz w miłosne czary. Wszystkie co do jednego uważasz za kompletne bzdury. Z jakiego powodu nagle zaczęłaś wierzyć, że miłość da się odczytać odpowiednim urokiem? – zakpiła.

– Ja... ja...

Szeptucha złagodniała. Machnęła ręką.

– Jeśli chcesz, to możesz wykorzystać teraz tę świeczkę. Zupełnie za darmo. O ile odkupisz ją później, rzecz jasna – powiedziała.

– Nie, dzięki... – prychnęłam, wzgardzając nietypową jak na Babę Jagę

rozrzutnością. – Dobra promocja, ale nie mam włosów Mieszka.

– Na pewno dałabyś radę znaleźć jakiś w pościeli.

Moje policzki jeszcze bardziej poczerwieniały.

– Nie byłam tam od... – urwałam.

Nie byłam w mieszkaniu Mieszka w Bielinach, odkąd po Nocy Kupały pojechałam zabrać swoje rzeczy. Wiedziałam jednak, że znalezienie jego włosów w pościeli mogło nie być proste, bo on także nie korzystał z tego łóżka od tamtego czasu, a pokój był sprzątnięty przez właścicielkę.

– ...od dawna – dokończyłam.

Szeptucha nałapała zupy do dwóch głębokich talerzy i postawiła je na stole. Następnie bezceremonialnie zrzuciła na ziemię swojego kota, Gałgana, który zdążył już wygodnie usadowić się na jednym z krzeseł.

– Podasz łyżki? – poprosiła.

Z westchnieniem schowałam świecę do głębokiej szuflady. Gdy zasiadłam przy stole ze sztuccami, Jarogniewa zgromiła mnie spojrzeniem.

– Tak naprawdę mogłybyśmy zostawić tę świecę zapaloną, gdybyś nie zrobiła tak nieroztropnych zakupów.

Przewróciłam oczami. Wypominała mi to już któryś raz. Poprzedniego dnia wysłała mnie do sklepu z poleceniem kupienia świec. Nie sprecyzowała, jakie to konkretnie mają być świece. Skąd miałam wiedzieć, że zapachowe w ogóle nie wchodzi w grę? Nic o tym nie wspominała. Nie potrafię przecież czytać w jej myślach.

Dzięki mojej pomyłce szeptucha miała teraz w swoich zasobach cztery zwykłe białe świece (kupione przez mnie tylko dlatego, że obowiązywała je promocja: cztery w cenie jednej – przez co zaszalałam i sięgnęłam po nie z regału przy kasie). Za to ja w swoim pokoju miałam dwadzieścia fioletowych świec o zapachu jaśminu.

Dobrze, że chociaż lubię fioletowy.

– Pół domu śmierdzi teraz jaśminem – sarknęła pod nosem, siorbiąc pomidorówkę.

To także po raz kolejny mi wypominała. Nadal razem mieszkaliśmy. Nie bardzo wiedziałam, co powinnam teraz ze sobą zrobić. Nie mogłam się przemóc, by wrócić do mieszkania Sławy, zwłaszcza że nie miałam już samochodu, którym mogłabym codziennie dojeżdżać do Bielin.

Nie chciałam też wpraszać się ponownie do Mieszka. Co prawda jego gospodyni załamała ręce, gdy się dowiedziała, że już nie wrócę (bo w przeciwieństwie do ucznia wróża ja upierałam się, żeby płacić czynsz), ale nie zamierzałam z jej powodu dręczyć się i mieszkać na strychu. Brak pralki w tamtym mieszkaniu szybko doprowadziłby mnie do szału.

Zabrałam stamtąd swoje rzeczy. Mieszko poza kilkoma koszulami nic nie

zostawił. Mogła wynająć komuś to mieszkanie bez żadnych wyrzutów sumienia. Wątpiłam, że mężczyzna będzie za nim tęsknił.

Zabrał samochód, spakował kilka najpotrzebniejszych rzeczy i zniknął tak, jak powiedział.

Pojechał zająć się pogrzebem Ote. Ponad miesiąc temu...

Baba Jaga przygarnęła mnie do siebie po Nocy Kupały i pozwoliła zająć gościnną sypialnię, w której już kiedyś spałam i którą de facto zaproponowała mi tuż po moim przyjeździe do Bielin kilka miesięcy temu. Powiedziała mi, że spodziewała się, iż jak prawdziwa uczennica będę z nią mieszkać, by chłonąć wiedzę dwadzieścia cztery godziny na dobę, i bardzo się zawiodła, gdy oświadczyłam, że wolę wynająć mieszkanie w Kielcach.

Była bardzo dobrą współlokatorką. Zawsze zostawiała mi coś do jedzenia, nie ingerowała w prywatność i nie chciała koniecznie spędzać ze mną wolnego czasu. Niestety, miała jedną irytującą cechę. Wstawała o czwartej rano i tłukła się niemiłosiernie w łazience przylegającej do mojego pokoju. Nie robiła tego oczywiście specjalnie, niemniej jednak zawsze mnie budziła.

Od Nocy Kupały miałam koszmary, przez które mój sen zrobił się bardzo płytki. Zupełnie jakbym usiłowała od nich uciec i się obudzić. Prawie co noc śniłam o żmiju, krępujących mnie roślinach i nożu wbitym w brzuch. Wszystkie elementy tego kosmaru były dobrze mi znane, a jednak każdego ranka budziłam się tak samo złana potem.

– Jaśmin ładnie pachnie – zaprotestowałam słabo.

– To czemu nie zapalasz tych świeczek? – wytknęła.

Skrzywiłam się i rzuciłam jej nerwowe spojrzenie. Dobrze wiedziała dlaczego. Od tej pamiętnej nocy starałam się unikać ognia... no cóż... jak ognia. Wołałam nie mieć najmniejszego kontaktu z płomieniami Swarożycy. Nie mogłam pozbyć się przeczucia, że za ich pomocą może mnie śledzić i podglądać.

Zapalenie zapachowej świecy w łazience podczas kąpieli aż się prosiło o podglądanie.

– Wiesz dlaczego – mruknęłam.

– Wiem. A ty wiesz już, co z tym zrobić? – zapytała.

– Zapomnieć? – jęknęłam.

– To nigdy nie działa, jeśli chodzi o bogów. Zwłaszcza jeśli mówimy o swarnym bogu.

– Swarnym...? – nie zrozumiałam.

– Swarny bóg, kłótlivy i nieobliczalny niczym ogień, którego jest patronem – wyjaśniła. – Moja babka nazywała Swarożycy swarnym bogiem.

Odłożyłam łyżkę do pustego talerza i pozwoliłam, żeby Gałgan wskoczył mi na kolana. Zaczęłam bezmyślnie drapać kocura za uchem.

– Swarożyc to syn Swaroga, boga, który wykuł słońce na kowadle. Ma też

brata, Dadźboga, który jest opiekunem rzeczonoego słońca. Swarożycowi z kolei przypadł w opiece ogień, zwłaszcza ten domowy – mówiłam. – Tyle wiem ze szkoły. Mogę zrozumieć, że Swarożyc jest najbliżej nas, bo teoretycznie powinien być w każdym domu, w którym płonie żywy ogień. Gdzie jednak jego ojciec i brat? Czemu nie kontrolują jego poczynąń? Dlaczego pozwalają mu bawić się ludźmi?

Baba Jaga syknęła ostrzegawczo i kiwnęła głową w stronę swojego pieca, w którego wnętrzu palił się dogładany przez nią ogień.

– To nie jest miejsce na takie rozmowy – ostrzegła.

– Tak, tak, bo Swarożyc może nas podsłuchać za pomocą swoich zaufanych sług, czyli ubożąt – westchnęłam ciężko i przewróciłam oczami. – Wiem! Doskonale o tym wiem. Mimo wszystko uważam, że nie powinnyśmy się kryć z rozmowami na jego temat. On na pewno nas podsłuchuje i nie ma z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. To niech sobie przynajmniej posłucha, co o nim sędzę... Może się odczepi.

– Oj, Gosiu, Gosiu. Ty to sobie jeszcze nieraz w życiu napytasz biedy. – Załamana ręce.

– Z biedą to ja jestem za pan brat – prychnęłam. – Z całą pewnością żółta mnie prześladowuje.

Byłam o tym głęboko przekonana. Zbyt wiele razy ostatnio otarłam się o śmierć. Nie miałam wątpliwości, że przylgnął do mnie złośliwy demon o nazwie bieda.

– Bogowie myślą innymi kategoriami. To, co boskie, nie jest do pojęcia przez zwykłych śmiertelników – stwierdziła. – Nie zrozumiesz ich motywów, ich planów. Możesz mieć tylko nadzieję, że cię w nich nie uwzględnią.

Nic jej już nie odpowiedziałam na ten temat. Nie chciałam się kłócić. Znałam jej zdanie i zupełnie się z nim nie zgadzałam. Może bogowie nie mieli większości ludzkich potrzeb i może nie rozumieli naszego pojmowania świata, z tym mogłam się zgodzić. Jednak byłam niemal pewna, że byli do nas o wiele bardziej podobni, niż sami chcieli przyznać. Przecież to zawiść pomiędzy bogami wpłatała mnie w poszukiwanie kwiatu paproci. Jeżeli bogowie nie lubili się nawzajem, to oznaczało, że mogą dać się ponieść i innym ludzkim emocjom.

Co niestety było wielce niepokojące.

– Zostaw naczynia. Chodźmy odwiedzić Mszczuja, póki jeszcze jest jasno – powiedziała Baba Jaga i podniosła się ze swojego krzesła.

Złapała się mocno blatu. Nic nie powiedziała, ale zobaczyłam skurcz na jej twarzy, gdy z wysiłkiem wyprostowała zeszywniałe kolana. Ucieczka przed płomieniami w Noc Kupały mocno dała się jej we znaki. Szczęście, że poza Mszczujem obyło się bez ofiar.

Zostawiłyśmy talerze na stole, ku uciesze kota, i ramię w ramię ruszyłyśmy powoli przez łąkę w stronę ciemnej ściany lasu.

2.

Na dworze panowała nieprzyjemna duchota. Powietrze wydawało się stać w miejscu. Nie było już najmniejszego śladu po lekkim wietrzyku, który wciskał się przez niedomknięte okiennice do wnętrza domu Baby Jagi.

Sucha trawa pękała pod naszymi stopami, gdy szliśmy łąką w stronę ściany lasu. Ostre brzegi liści boleśnie raniły skórę moich gołych łydek. W jednej chwili gorzko pożałowałam, że nie mam swojego antykleszczowego stroju, który by mnie przed tym uchronił. Oddałabym teraz wszystko za chociażby możliwość zamiany sandałów na kalosze, żeby poraniona skóra nie piekła od coraz to nowych zadrapań.

Od Nocy Kupały nie używałam swojego kombinezonu przeciwko owadom. Następnego ranka po tarzaniu się w trawie i leśnym runie Baba Jaga musiała wyjąć ze mnie piętnaście głęboko wgryzionych kleszczy. To skutecznie wybiło mi z głowy przejmowanie się boreliozą. Jeśli miałam ją dostać, to i tak nie było odwrotu.

Poza tym ogarnęła mnie dziwna pustka. Nic już nie wydawało się takie samo. Moja hipochondria nie była już tak ważna. Nie potrafiłam aż tak bardzo się przejmować. Nie po tym, gdy stanęłam oko w oko ze smokiem. Nie po tym, gdy widziałam, jak umiera dobry człowiek, poświęcając się dla mnie. Nie po tym, gdy widziałam, jak umiera ukochany mężczyzna.

Co prawda koniec końców nie umarł, ale i tak uważam, że moment, gdy korzenie przebiły go na wylot, można spokojnie dopisać do listy traum, które na zawsze skrzywiły mi psychikę.

Zerknęłam przez ramię na chatynkę szeptuchy, z pobielonymi ścianami i suchą strzechą. W falującym od gorąca powietrzu przez chwilę zobaczyłam jakiś niewyraźny kształt w połowie łąki, który zniknął, gdy mrugnęłam. Wiedziałam, że to na pewno nie Żywia, znajoma południca, która okazała się całkiem niezłą przyjaciółką byłej żony Mieszka. Żywia unikała mnie, odkąd Ote zginęła. Mogłam mieć tylko nadzieję, że nie zamierzała się zemścić w żaden sposób.

Westchnęłam. Moje życie w magiczny sposób zamieniło się w meksykańską telenowelę: fałszywi przyjaciele, małżonki powstające z martwych, wypadki, porwania. Niemalże czekam, aż się okaże, że mam gdzieś brata bliźniaka, o którego istnieniu nie miałam do tej pory pojęcia. Nie zdziwiłoby mnie to. W ogóle.

Szeptucha powoli szła obok, podpierając się laską. Ze złością zlorzeczyła na czarną spódnicę, w którą wczepiały się suche rośliny. Gdy dotarliśmy między drzewa, była już bardzo zirytowana.

– Nie mam cierpliwości do tej łąki! – warknęła. – Chyba wynajmę ją któremuś z sąsiadów. Niech ktoś ma przynajmniej z niej pożytek i coś zasadzi.

– Wtedy nie będziesz mogła chodzić skrótem do lasu – zauważyłam roztropnie.

– Już się tak nie wymądrzaj – burknęła i poprawiła czarną siatkę na głowie.

Oparła się w cieniu o smukły pień sosny i odetchnęła głęboko żywicznym powietrzem. Pokręciła głową, zupełnie jakby mówiła do siebie. Przymknęła oczy. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tego, że jest bardzo blada.

– Coś się stało? – zaniepokoiłam się. – Dobrze się czujesz? Chcesz wrócić do domu?

Baba Jaga wydawała mi się niezniszczalna. Zawsze miała w sobie tyle energii. Jednak po śmierci męża wyraźnie podupadła na zdrowiu. Zupełnie jakby dopiero teraz dotarło do niej, ile ma lat, i co gorsza, ile tych lat jeszcze jej pozostało. Mszczuj zabrał ze sobą do grobu kawałek jej serca.

– Nic mi nie jest. Po prostu rozmyślałam o tej klientce. Głupia dziewczucha – prychnęła. – Słyszałaś, jakim tonem gadała? Oglądają takie telewizje, te głupie filmy z zagranicy i potem im się wydaje, że żyją w jakimś melodramacie. Fiu-bździu...

Miałam wrażenie, że skłamała i wcale o tym teraz nie rozmyślała, ale postanowiłam grać w jej grę. Nie musiała mi się zwierzać. Miała pełne prawo do swoich tajemnic, swojego bólu i swojej pustki.

– A mnie się tam podobało to, co mówiła – zaprotestowałam w obronie klientki. – Nie uważam, żeby mówiła jakimś dziwnym tonem.

Poczułam się delikatnie dotknięta słowami Baby Jagi. Zbyt łatwo przyszło mi się utożsamić z odczuciami pacjentki. W mojej głowie panował dokładnie ten sam mętlik co u niej. Przykre, że najwyraźniej i ja miałam w takim razie „fiu-bździu”.

– Miłość jest i miłość przechodzi. – Wzruszyła ramionami. – Czasami gdzieś trochę jest, mimo że myślało się, że jej nie ma... Żadne czary w tym nie pomogą. Można nawet ogolić głowę na łyso i spalić wszystkie włosy, ale to nie pomoże. – Postukała się palcem w skroń. – To tu! To tu trzeba się uporać z niechcianą miłością!

– Jak na osobę handlującą czarami miłosnymi jesteś dość zgorzkniała – burknęłam.

– Po prostu twardo stąпам po ziemi. Nie należy mieszać pracy z uczuciami. Poza tym przetestowałam kiedyś własne specyfiki na odczynianie uczuć. Każda szanująca się szeptucha zawsze sprawdza działanie leków.

– I co? Działają?

– Pewnie na niektórych działają. – Ponownie wzruszyła ramionami. – Tak naprawdę te uroki nie działają na serce, tylko na głowę.

– Czyli placebo?

Nie mogłam powstrzymać zawodu w głosie.

– Nie wiem, co planowałaś. Czy chciałaś spalać miłość, czy wmusić w Mieszka mikstury miłosne, ale daj sobie z tym spokój. Dobrze ci radzę. Życie toczy się dalej. Musisz żyć tak, żeby niczego później na starość nie żałować. A coś mi się wydaje, że tego swojego związku z Mieszkiem to ty przez większość czasu żałujesz.

– Nie, no nie jest aż tak źle – zaprotestowałam słabo.

– Uporaj się z tym, póki go nie ma. Dobrze ci radzę. Trudniej o kimś zapomnieć, kiedy się go codziennie spotyka.

Złapałam ją za rękę. Nie wiem tylko, czy chciałam dodać otuchy sobie, czy może jej. Baba Jaga nigdy dokładnie nie opowiedziała mi, co się stało pomiędzy nią a Mszczujem po śmierci ich dziecka. Coś mi się jednak wydawało, że to nie ona zakończyła ten związek.

– Chodź, zanim dojdziemy na cmentarz, minie jeszcze dobra chwila. Powinnyśmy zdążyć, dopóki jest jasno. Nie zamierzam spędzić w lesie więcej czasu, niż jest to niezbędne – stwierdziła i wskazała laską na szlak między drzewami.

Puściła mnie i z werwą pognała przed siebie, jakby krótki przystanek zwrócił jej wszystkie siły witalne. Potulnie ruszyłam za swoją mentorką. Tak jak i ona zamyśliłam się. Mieszko ciągle był obecny w moim sercu, chociaż jak zwykle mnie zawodził. Nie powiedział, gdzie się udaje. Nie dał od tamtej pory żadnego znaku życia. Zupełnie jakby mu na mnie nie zależało.

Baba Jaga od pożaru unikała dłuższego pobytu w puszczy – jakby spodziewała się, że w każdej chwili może stanąć w płomieniach. Ja początkowo także się jej obawiałam. Dopiero po tygodniu odważyłam się odwiedzić leśniczówkę. Zdołałam się do tego zmusić, gdy było już jasne, że bogowie stracili wszelkie zainteresowanie moją osobą. Mimo to i tak przekroczyłam granicę lasu obwieszona wszystkimi możliwymi amuletami, natarta solą oraz z żołądkiem pełnym tabletek z żelazem na niedokrwistość.

Potem trzy dni było mi niedobrze...

Drzwi leśniczówki nie domykały się, skobel nadal był wyłamany. Nie miał kto go naprawić. W środku panował nieopisany bałagan. Garnek, w którym warzyłam napor z kwiatu paproci, leżał tam, gdzie go porzuciłam. Na dnie pojawiła się zielonkawa pleśń. Dokładnie go wyszorowałam, przekonana, że z tej pleśni mogą wyniknąć jakieś nowe kłopoty. Stół leżał przewrócony. Drewniana ława była pęknięta.

Ciało strzygi zniknęło. Na podłodze została jedynie poczerniała smuga jej krwi, która buchnęła z odrąbanej głowy, i ślady po mieczu. Mieszko zajął się jej zwłokami, tak jak powiedział. Poza poczerniałymi deskami i dziurą w ścianie po przybiciu do niej strzygi po Ote nie został najmniejszy ślad.

Mimo wszystko nie potrafiłam łączyć z chatką żadnych negatywnych uczuć.

To w jej przykurzonym wnętrzu rozkwitła moja miłość do Mieszka. To tam opuścił przede mną swoją tarczę i dopuścił mnie do siebie.

– Gosiu? – Głos Baby Jagi przywołał mnie do rzeczywistości. – Coś dzisiaj jakaś nieuważna jesteś. Cały czas masz głowę w chmurach. Wyjazd do Warszawy chyba ci źle zrobił...

Dopiero kilka dni wcześniej wróciłam do Bielin. Moja mama wpadła w histerię, gdy dowiedziała się o pożarze puszczy. Przestraszyła się, że mogłam zginąć, i chciała wsiadać do pierwszego pociągu i jechać po mnie. Na szczęście zdołałam ją przed tym powstrzymać. Pomogłam Babie Jadze zorganizować pogrzeb i stypę, spędziłam z nią trochę czasu, a potem, gdy już miała dość moich herbatek z melisą, a ja upewniłam się, że z żalu nie zrobi nic głupiego, pojechałam do Warszawy.

Rozumiałam strach mojej mamy, w końcu jestem jej jedynym dzieckiem. Nic dziwnego, że o mało nie dostała zawału, kiedy rano przeczytała na ekranie w metrze, że puszcza w okolicy Bielin płonie.

W domu spędziłam tydzień. Mama nie zdołała wziąć urlopu w pracy, ale i tak miałyśmy dla siebie mnóstwo czasu. Rozpieszczała mnie na wszystkie możliwe sposoby i próbowała przekonać, żebym z nią została w stolicy. Zdziwiło mnie to. Do tej pory wydawało się, że jej celem życiowym było przekonanie mnie do podjęcia pracy szeptuchy. Teraz jednak zmieniła zdanie. Najwyraźniej uznała, że w sterylnym szpitalu czyha na mnie znacznie mniej zagrożeń.

Powinnam dzisiaj do niej zadzwonić. Odkąd wróciłam do Bielin, rozmawiałyśmy codziennie. Spojrzałam na idącą przede mną Babę Jagę. Ona nie miała z kim porozmawiać. Wiedziała, że nie miała bliskiej rodziny, a już na pewno takiej, której by na niej zależało. Miała tylko Mszczuja, z którym i tak przez ponad połowę życia była w konflikcie.

Dotarliśmy do rozstaju szlaków. Idąc prosto, mogłyśmy dotrzeć na położony w sercu lasu cmentarz żerców i szeptuch, gdzie od wieków grzebani byli ludzie pozostający w bliskich stosunkach z bogami. Z kolei gdybyśmy skręciły w prawo, po niedługiej i w miarę przyjemnej drodze prowadzącej w dół, dotarłybyśmy do mojej leśniczówki.

Postanowiłam, że udam się tam dzisiaj. Jeszcze raz. Sprawdzę, czy niczego nie przeoczyłam, czy nic się nie zmieniło.

Czy nie wrócił...

– Gosiu?

– Co? – zapytałam.

– Nie wzięliśmy lampionu. – Szeptucha westchnęła.

Dotknęłam torby, którą miałam przewieszoną przez ramię, a następnie palnęłam się w czoło, aż echo poszło po lesie. Miała rację! Lampion z zielonego szkła został na kuchennym stole w jej domu. Zapomnialiśmy go zabrać, gdy rano

wyszłyśmy do pracy. Miałam po niego wrócić, ale oczywiście roztrzęsiona opowieścią klientki o jej gorzkiej miłości nie zrobiłam tego.

Cholera jasna!

– Przepraszam – powiedziałam skruszona.

– Aaa, i tak nie robi mu to najmniejszej różnicy – powiedziała ponuro. – Pewnie i nasze przyjście jest mu zupełnie obojętne.

Cmentarz przywitał nas jasnością kamiennych płyt i różnokolorowymi polnymi kwiatami, które zakwitły na kurhanach. Najstarsze groby były ledwie wzgórkami porośniętymi grubą warstwą trawy. Nowsze były przykrytymi bluszczem budynkami albo płaskimi grobowcami, w których złożono szczątki, jakie zostawały po spaleniu ciała na stosie pogrzebowym. Groby umieszczone były w okręgach, otaczając centralne miejsce na ognisko. To tutaj w każde święto zmarłych wróżowie i szeptuchy spotykali się, by uczcić pamięć poprzedników. Spojrzałam ponad grobami na gołoborze. Srebrzyste kamienie skrzyły się w słońcu, przynosząc na myśl tyle wspomnień.

Doszłyśmy niemalże do samego końca cmentarza. Grób Mszczuja nie wyróżniał się niczym specjalnym. Był to niski grobowiec przypominający sarkofag. Na płaskiej, białej płycie wyryte było jego imię i nazwisko. Kamieniarz wypełnił wyryte litery złotą farbą i dodał nad nimi kamienny kwiat. Jak na mój gust Mszczujowi by się to nie spodobało, ale to Baba Jaga wybierała nagrobek. Nawet nie próbowałam z nią dyskutować na ten temat.

Odgarnęłam dłonią suche igły i liście, które na płytę nawiał wiatr. Zasuszony bukiet wrotyczu, który przyniosłyśmy jakiś czas temu, przesunął się na samą krawędź. Żółte, intensywnie pachnące kwiatki zbrązowiały i zaczęły się kruszyć. Położyłam go na środku pod napisem, modląc się do bogów, żeby nie rozpadł mi się w dłoniach. Stare lampki już się wypaliły. Schowałam je do torby, żeby w domu umyć i uzupełnić stearynowe wkłady.

Baba Jaga dotknęła rozgrzanej słońcem płyty i uśmiechnęła się. Wymamrotała pod nosem krótką modlitwę o pomyślność duszy.

– Myślisz, że jest szczęśliwy tam, gdzie trafił? – zapytałam, gdy już skończyła.

Wzruszyła ramionami i poklepała grób, jakby usiłowała pocieszyć leżącego pod płytą mężczyznę.

– Jeśli odwiedzi nas podczas Dziadów, to się dowiemy – odpowiedziała.

– Odwiedzi?

Byłam świadoma tego, że podczas świąt zmarłych zapalamy lampki wcale nie po to, by uczcić pamięć przodków, lecz by ich dusze, jeśli opuszczą zaświaty, wiedziały, gdzie mają wrócić. Jednak myślałam, że to tylko głupi zabobon na poziomie tego mówiącego o zostawianiu gałązki głogu nad drzwiami obory, żeby czarownica nie wypła krowom mleka.

Zgodnie z podaniami obowiązkowo należało zostawić światełko na grobach bliskich osób. W innym wypadku dusze mogły nie trafić z powrotem do Wyraju i zostać z nami aż do kolejnego święta zmarłych.

A jak powszechnie wiadomo (choćby z każdego horroru), zmarli potrafią uprzykrzyć życie. W Nawi musi być nudno, skoro tak chętnie uciekają z grobów.

– Dusze potrafią wtedy wracać, o ile chcą. Jeśli będzie mu się chciało ruszyć tyłek z Wyraju, to opowie nam o swoim samopoczuciu – wyjaśniła.

– Czyli to prawda, że dusze wracają? – jęknęłam.

Posłała mi zdumione spojrzenie.

– Rozmawiałas z bogami, kolegujesz się z boginkami i jeszcze wątpisz w istnienie życia pozagrobowego?

– Nie, to nie tak – zaprotestowałam. – Po prostu miałam nadzieję, że jak już ktoś trafi do Wyraju, to tam zostaje.

Bogom dzięki, że zabite demony nie trafiały do zaświatów. Dzięki temu nie musiałam obawiać się tej jesieni niespodziewanej wizyty Ote.

– Podczas Dziadów zobaczysz. Gdy palimy ognisko, łatwo można wyczuć czyjaś obecność.

Zakreśliła ręką łuk obejmujący większość cmentarza.

Ja tam, szczerze mówiąc, nie potrzebowałam Dziadów, żeby czuć się nieswojo na wielowiekowym cmentarzysku.

– Ciekawe, czy jest tam bimber? – westchnęłam.

Nie widziałam innej możliwości. W przeciwnym razie na pewno Mszczujowi by się tam nie podobało.

– W Nawi? – zapytała.

– Tak.

– Jeśli nie ma, to Mszczuj już się postara, żeby był – skwitowała.

Otrzeпаła ręce i podkasала spódnice, pokazując mi swoje podkolanówki uciskowe. Zawinęła materiał i wepchnęła go za gumkę u pasa. Usatysfakcjonowana podparła się pod boki.

– Ja wracam do domu – oznajmiła. – Też idziesz?

– Nie, chciałam jeszcze pospacerować. – Pokręciłam głową. – A ty... idziesz tak...?

– Przynajmniej trawa nie będzie już wczepiać mi się w spódnice. Do zobaczenia wieczorem. Robię racuchy z jabłkami. Nie spóźnij się. I... Gosiu?

– Co?

– Uważaj na siebie. – Rozejrzała się czujnie dookoła. – Powinnaś unikać lasu.

– Już była Noc Kupały. Nic mi grozi – odparłam niefrasobliwie.

– Nie wiadomo... – mruknęła. – Do zobaczenia w domu! Wróć szybko!

Patrzyłam, jak dziarsko odchodzi. Humor zawsze się jej poprawiał, gdy

odwiedzała cmentarz. Zupełnie jakby każdego dnia musiała upewnić się, czy nic złego nie stało się przez noc z grobem Mszczuja.

Z nas dwóch to raczej ja powinnam się czuć odpowiedzialna za jego mogiłę. W końcu to przeze mnie strzyga go zabiła.

Dotknęłam brzucha w miejscu, w którym dźgnęła mnie scyzorykiem. Nie miałam po tym żadnego śladu. Skóra była gładka, jakby nic się nie stało.

Poczułam, jak coś przewraca mi się w żołądku. Odkąd Mieszko polał ranę naparem z kwiatu paproci, wszystkie zranienia i siniaki goiły mi się szybciej i nie pozostawiały po sobie blizn. Nie wiedziałam jednak, czy oprócz tego daru dostałam także w prezencie nieśmiertelność.

Wydawało mi się, że jej nie otrzymałam. Mieszko miał na piersi bliznę po śmiertelnej ranie zadanej sztychem miecza podczas potyczki z plemieniem Wioletów. Pomimo powrotu do życia ten jeden ślad na jego skórze pozostał. Żadna późniejsza rana nie zostawiała blizn na muskularnym ciele wojownika. Jeśli takie było działanie kwiatu, to i ja powinnam mieć na ciele ślad po nożu, gdyby to przez tę ranę wyciekło ze mnie życie. Nie miałam jednak pewności.

Mimo wszystko wołałam zbyt szybko się nie przekonywać, czy moje rozważania są słuszne.

Zmachana dotarłam do leśniczówki. Nogi same mnie niosły. Niemalże biegłam, chcąc jak najprędzej dotrzeć na miejsce.

Nic się nie zmieniło, odkąd byłam tu ostatnio.

Pchnęłam drzwi, zawiasy niemiłosiernie zaskrzypiały i weszłam do wnętrza, gdzie na szczęście już nie unosił się zapach krwi. Zamknęłam okno, które poprzednio uchyliłam, by przegnać zatęchły zapach, i sięgnęłam po szczotkę, żeby zamieść podłogę.

Ślad na deskach, który pozostawiła Ote, był w tym momencie już nie do zidentyfikowania. Pewnie czuły psi nos potrafiłby odróżnić plamę po krwi od takiej po ciemnym winie, jednak byłam pewna, że żaden człowiek dziś nie stwierdzi, od czego powstał zaciek.

Postanowiłam przyjść tu następnym razem z płynem do mycia naczyń albo jakimś innym detergentem i porządnie umyć wszystkie możliwe powierzchnie. Poskrobałam paznokciem deski na podłodze. Przydałoby się je polakierować.

Odstawiłam szczotkę i poprawiłam po raz kolejny koc na łóżku. Nie było nic więcej, co mogłabym zrobić. Gdy byłam tu ostatnio, ustawiłam stół we właściwym położeniu, a rozbitą ławę podsunęłam pod okno, nie mając żadnego pomysłu na jej naprawienie.

Westchnęłam ciężko. Żadnej wskazówki, gdzie Mieszko mógł się udać. Żadnego śladu.

Wyszłam na zewnątrz i spojrzałam krytycznie na mały, zaniedbany domek. Drewniane ściany powoli porastał mech i nieznane mi zielsko. Jakimś cudem na spadzistym dachu pokrytym gontem usadowiła się paproć. Miałam wrażenie, że drwi sobie ze mnie, przypominając tamtą noc.

Trawa dookoła domu urosła wysoko. Była jasnozielona, a nie przesuszona jak ta na łące. Cień drzew wyraźnie służył roślinom.

W oddali słyszałam cichy szmer wody z małego jeziora, które było na tyle głębokie, by dorosły człowiek mógł bez trudu zanurzyć się w jego chłodnej wodzie. Okoliczności przyrody zapraszały, by na chwilę odetchnąć i zapomnieć o zmartwieniach.

Nagle poczułam, że ktoś kładzie mi rękę na ramieniu. Dotyk był tak niespodziewany, że odskoczyłam z krzykiem.

Na szczęście to była tylko Sława.

3.

Moja przyjaciółka uśmiechnęła się do mnie szeroko, ukazując śnieżnobiałe, równe zęby. Długie włosy zaplotła w warkocz. Tym razem ufarbowane były na czarno. Kolorowy tatuaż na jej szyi wydawał się ciemniejszy niż kiedyś bądź to po prostu jej skóra była bledsza.

Miała na sobie bardzo obcisłe dzinsy oraz jaskraworóżowy, połyskliwy top oblepiający jej klatkę piersiową niczym druga skóra. Na stopy założyła różowe baleriny. Zupełnie nie pasowała do otaczającej ją zieleni.

Zanim się zorientowałam, sama rzuciłam się ze śmiechem w jej ramiona.

– Bogowie! Sławo, tęskniłam za tobą – powiedziałam.

Pachniała polnymi kwiatami i ziemią po wiosennym deszczu. Objęła mnie mocno i uścisnęła serdecznie.

– Ja za tobą też, Gosiu – odparła.

Cofnęłam się, starając za wszelką cenę zapanować nad uczuciami. Zdradzieckie łzy już zaczynały formować mi się w kropłe w kącikach oczu.

– Co ty tu robisz? – zapytałam.

– Szukałam cię. Leszy powiedział mi, że szłaś w tym kierunku.

Spojrzała na chatynkę i pociągnęła nosem, zupełnie jakby potrafiła wyczuć unoszący się we wnętrzu zapach śmierci. Wzdrygnęła się.

W duchu prychnęłam. Nic się w tym przekętym lesie nie da ukryć. Na każdym kroku ktoś cię obserwuje. A jak przypadkiem potrzebujesz pomocy, bo – dajmy na to – porwali cię szaleni wyznawcy bogini Mokosz, to nagle nikogo nie ma, nikt nic nie wie, nikt nic nie słyszał.

Typowe.

– A ten skąd niby wiedział? – burknęłam.

– A ja wiem? Wiewiórki mu powiedziały?

Zaśmiałam się, sądząc, że to żart, ale po chwili spoważniałam. A cholera wie?! Może i mu powiedziały?

Ruszyła w stronę leśniczówki, ale nagle zatrzymała się gwałtownie. Ukucnęła i wyciągnęła dłoń w stronę ziemi. Już miała jej dotknąć, ale cofnęła rękę. Założyła luźne pasma włosów, które wysunęły się z warkocza, za uszy i pociągnęła kilka razy nosem. Skrzywiła się, jakby coś brzydko pachniało.

– Czuję krew – powiedziała.

Stałam obok i wbiłam spojrzenie w ziemię, która bardzo szybko zdążyła porosnąć trawą. To w tym miejscu Mokosz próbowała zamordować Mieszka. To tutaj z ziemi wysunęły się długie korzenie i przebiły jego ciało na wylot. Gdyby nie nieśmiertelność, której nie stracił po wypiciu naparu, niewiele by z niego zostało. Poczułam, że robi mi się słabo. Tak bardzo się wtedy przestraszyłam. Tak bardzo nie chciałam, żeby zginął.

– To krew Mieszka – wydusiłam. – Mokosz chciała tu wyrównać rachunki.

Sława jeszcze raz wyciągnęła dłoń i tym razem ostrożnie pogładziła jasnozielone nitki trawy.

– Rośliny dobrze na niej rosną – powiedziała.

Zaskoczyła mnie.

Potoczyłam spojrzeniem po polanie. Miała rację. Trawa w tym miejscu była wyraźnie wyższa niż gdzie indziej. Była też jakby bardziej... zielona.

Sława wstała i wytarła dłonie o spodnie. Spojrzała na drzwi, ale nie odważyła się przekroczyć progu leśniczówki. Sapnęła, zupełnie jakby dotarł do niej tym razem zapach krwi strzygi.

– To złe miejsce – mruknęła.

– Czy ja wiem? – Wzruszyłam ramionami. – Wygląda ładnie, jak się nie wie, co się zdarzyło w środku...

– Zbyt wiele złych rzeczy widziało – przerwała mi. – Miejsca to zapamiętują. Może się potem coś do ciebie przykleić.

– Coś?

– Jak myślisz? Skąd się biorą niektóre złe demony? – Spojrzała na mnie uważnie.

– Tworzą je bogowie? Żeby robić ludziom na złość? – zgadywałam.

Już miała pokręcić głową, ale zaśmiała się tylko ubawiona moją odpowiedzią.

– Poniekąd tak. Bogowie lubią takie sztuczki. Jednak jest jeszcze jeden sposób. Niektóre demony rodzą się właśnie w miejscach, które przesiąkły smutkiem i cierpieniem. Na przykład bieda. A potem, jeśli odwiedzisz takie miejsce, to mogą się do ciebie przyczepić – wyjaśniła.

Postanowiłam sobie, że na wszelki wypadek będę unikała smutnych miejsc.

– A można takie zło jakoś odczynić? – zapytałam.

– Musiałoby się tu zdarzyć coś miłego, dobrego.

– Co?

– A skąd mam wiedzieć? Nie jestem wszechwiedząca – obruszyła się. – Baby Jagi zapytaj. Powinna wiedzieć takie rzeczy.

– Okej. – Uniosłam do góry dłonie, żeby się uspokoiła.

Coś było z nią dzisiaj nie tak. Zachowywała się dziwniej niż zwykle. Była jakaś taka... zdenerwowana.

– Gosiu, chciałam z tobą pogadać – oświadczyła i dodała z lekkim wyrzutem w głosie: – Wieki się nie widziałyśmy.

Zaczerwieniłam się. Nie widziałyśmy się z mojej winy. To ja nie chciałam, to ja unikałam wszystkich kontaktów. Najpierw zamknęłam się w domu szeptuchy, a potem zdezerterowałam do Warszawy.

– Mieszkam teraz u Baby Jagi – powiedziałam.

– Wiem – potwierdziła krótko.

Przez chwilę stałyśmy, tylko patrząc na siebie.

– Bogowie, czuję się, jakbyśmy zerwały ze sobą czy coś. – W końcu Sława zaśmiała się. – Dalej jesteś na mnie obrażona?

– Nie wiem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Mam taki sam mętlik w głowie jak wcześniej.

– W sumie to ci się nie dziwię. Trochę tak jakbym cię zdradziła i oszukała – przyznała bez krzty wstydu.

Zaśmiałam się.

– No cóż. To prawda, ale nie twoja wina. Nie miałaś wyboru – powiedziałam. – A co do naszej rozmowy podczas Nocy Kupały, nie byłam wtedy do końca sobą. Bardzo stresowałam się tym, co miało się wydarzyć. Zareagowałam trochę zbyt emocjonalnie. Jak zawsze zresztą...

Sława rozejrzała się dookoła, jakby szukała kogoś, kto mógłby nas podsłuchiwać.

– Nie ma sprawy. Miałaś do tego pełne prawo. Nocnice dodały ci czegoś do miodu. Na szczęście dawka była za mała.

– Co?!

Zaraz, zaraz. Czego to ja się właśnie dowiaduję? Przypomniałam sobie tamten dzień i papierowy kubeczek z łykiem miodu, który miałam w ręku. Po wypiciu świętego miodu miałam wrażenie, że coś jest ze mną nie tak. Dodatkowo ten kubeczek... Po pewnym czasie poczerniał.

Miód pitny nie wchodzi w takie reakcje z papierem.

– Nocnice. Dodały ci swojego pyłku do miodu – wyjaśniła.

– Nie mam zielonego pojęcia, o czym ty teraz do mnie mówisz – westchnęłam.

Chyba czas najwyższy powrócić do lektury bestiariusza. Do litery „N” nigdy niestety nie udało mi się dotrzeć. Moja ignorancja może niedługo obrócić się przeciwko mnie.

Sława podeszła bliżej i zniżając głos do szeptu, powiedziała:

– Nocnice to takie nocne stworzenia. Potrafią zsyłać koszmary na dorosłych, a na dzieci i niemowlęta nocny płacz. W dzień są przeważnie niegroźne. Za to w nocy możesz spotkać je w ludzkiej postaci albo jako ćmy.

– Ćmy? – jęknęłam z obrzydzeniem.

Nie cierpiałam motyli, odkąd jako dziecko złapałam jednego w parku w Warszawie. Po raz pierwszy widziałam wtedy z bliska głowę tego owada i jego cieniutkie nóżki, które prześladowały mnie potem nocami. Ćmy były jeszcze gorsze, bo nie miały ładnych, kolorowych skrzydeł.

– Ćmy. – Kiwnęła głową. – Ale tylko te z gatunku zmierzchnica trupia główka. Wiesz, takie z żółtymi skrzydłami. Tymi drugimi skrzydłami.

Miałam wrażenie, że mówi do mnie jakimiś zagadkami. Pierwsze słyszałam o istnieniu takiej ćmy i o tym, że jakakolwiek ćma ma kolorowe skrzydła.

– Zmierzchnica trupia główka? Jest w ogóle coś takiego? – zdziwiłam się.

– Jest, Gosiu. Tamtego dnia chciały cię ogłupić, ale okazałaś się wyjątkowo odporna na ich pyłek. To w sumie ciekawe. Powinno było zadziałać. Nawet małe dawki działają.

Nie widziałam w tym nic ciekawego. Zdecydowanie uważam, że nie ma nic interesującego w próbach potajemnego otrucia mnie bądź odurzenia.

– Ale wracając do tematu, muszę z tobą porozmawiać – oznajmiła Sława.

– Zaraz, zaraz – przerwałam jej. – A czego chciały ode mnie te... nocnice?

– A skąd mam wiedzieć? – Wzruszyła ramionami. – Pewnie tego, czego wszyscy od ciebie chcieliśmy. Może nasłał je któryś z bogów?

Podjeżdzanie kojarzyło mi się coś takiego z Welesem. Koszmary senne? Doprowadzanie dzieci do płaczu? Zdecydowanie to do niego pasowało...

– W każdym razie nie o tym chciałam z tobą rozmawiać – westchnęła.

Skrzywiłam się.

– Chodzi o czynsz za mieszkanie? – zapytałam.

Dość nieelegancko wyprowadziłam się, nie płacąc ostatniej należności. Wtedy zrobiłam to na złość zdradliwej współlokatorce, ale po czasie oczywiście naszły mnie wyrzuty sumienia.

– Zapłacę, obiecuję – zapewniłam.

– Nie o czynsz chodzi. Chociaż rzeczywiście byłoby miło, gdybyś przelała mi forsz na konto. Nie obrażę się za to.

Znowu rozejrzała się niespokojnie, zupełnie jakby obawiała się, że wspomniana wcześniej nocnica miała zaraz wyskoczyć zza krzaka.

– To o co? – zapytałam.

– O Noc Kupały. O to, co się wtedy stało. Wiesz... o to, co się stało z Ote.

– Dostała to, na co zasłużyła – odparłam zimno i zerknęłam na leśniczówkę.

– Zabiła Mszczuja.

– Hej, słuchaj, ja tam nie mam do ciebie żadnych pretensji. – Uniosła obie dłonie. – To była niezła suka i każdy ci to powie. Nikt jej nie lubił. Tylko że wiesz... jesteś teraz trochę niepopularna.

– Co?

Nic z tego nie rozumiałam. Jest jakiś konkurs na najpopularniejszego śmiertelnika czy jak?

– Sława, wyduś to z siebie wreszcie. O co ci chodzi?

– Chodzi o to, że Radek zniknął. – Założyła ręce na piersi i wbiła wzrok w trawę. – Nikt nie wie, gdzie się podział. Zostawił wszystkie swoje rzeczy. Jest to trochę... niepokojące.

Przed oczami stanęła mi twarz znajomego planetnika. Ostatni raz widziałam

go tamtej pamiętnej nocy, gdy podczas burzy walczył ze żmijem. Jak się okazało, żmije jednak istniały. Nie wiem, dlaczego podawałam to w wątpliwość po tym wszystkim, co zobaczyłam.

Mimowolnie zerknęłam w stronę ścieżki prowadzącej w kierunku cmentarza i gołoborzy. To tam odbyła się potyczka. Po plecach przebiegł mi dreszcz. Jeszcze nigdy nic aż tak bardzo mnie nie przestraszyło jak widok zbudowanego z kamieni smoka. Chyba nawet strzyga i wąż nie wzbudzali we mnie tak pierwotnego, panicznego strachu. Zupełnie jakby obawa przed potworem z niebios była zapisana gdzieś w moich genach.

Dotarło do mnie, że nie wiedziałam, co się stało później z Radkiem. Tak samo jak ja był tylko zwykłym śmiertelnikiem siłą włączonym w boskie rozgrywki. Pomógł mi w ucieczce przed żmijem. Nie miałam zielonego pojęcia, co robił później. Szczerze mówiąc, nawet mnie to nie interesowało. Moje myśli jak zwykle zaprzętały wyłącznie pewien nieśmiertelny władca oraz rozdrapywanie rany, którą po sobie pozostawił.

Zdałam sobie sprawę z tego, że nie jestem chyba dobrym człowiekiem. Za dużo we mnie egoizmu.

Szybko opowiedziałam Sławie, co jako ostatnie pamiętam z Nocy Kupały.

– Czyli nie wiesz, gdzie on jest? – upewniła się.

– Na wszystkich bogów, Sława, czy ty mnie podejrzewasz o zamordowanie Radka? – Nie mogłam w to uwierzyć.

– No wiesz, nie masz teraz zbyt dobrego PR-u wśród nas. Na swoim koncie masz już wąż i strygę – mruknęła i dodała szybko: – To znaczy ja wiem, że nic nie zrobiłaś. To inni nie dowierzają.

– Po pierwsze, to nie ja zabiłam Ote. Zrobił to Mieszko. Po drugie, dlaczego żadne z was nie zauważa prostego faktu, że wąż i strzyga usiłowali mnie wcześniej zamordować z zimną krwią? Spokojnie można to uznać za obronę konieczną. A po trzecie, to nie ja. Nic nie zrobiłam Radkowi – próbowałam jakoś się wytłumaczyć.

– Okej, okej.

– Radek jest człowiekiem. Dlaczego miałabym robić krzywdę człowiekowi? – piekliłam się dalej.

Od razu pożałowałam swoich słów. Wystarczyło jedno spojrzenie na jej skwaszoną minę.

– Nieludzie to co innego, co? – Uśmiechnęła się ponuro.

– Sława, to nie tak.

Wyciągnęłam w jej kierunku rękę. Nie odskoczyła z krzykiem, tak jak podejrzewałam. Niezdarnie poklepałam ją po ramieniu.

– W Noc Kupały walczył ze żmijem. Szukałyście go potem? Może coś mu się stało – zaniepokoiłam się.

Pokręciła głową.

– Wygrał – powiedziała. – Na gołoborzu są teraz nowe kamienie, szczątki smoka.

– Hm, to może Radek po prostu uciekł? – zasugerowałam.

– Co masz na myśli? – zdziwiła się.

– Nie chciał być planetnikiem. Bał się, że pewnego dnia zginie podczas walki ze smokiem – wyjaśniłam. – Wydaje mi się, że podjąłby próbę ucieczki przed własnym przeznaczeniem. Był na to... no cóż... wystarczająco głupi.

Rusałka zmarszczyła brwi i pokręciła przecząco głową.

– Nie wiem, o czym mówisz – oświadczyła. – Pierwsze słyszę, że mu się nie podobało.

Teraz to ja nie mogłam uwierzyć w jej łatwowierność.

– Sława, po każdej burzy bardzo długo dochodził do siebie. Ciągłe miał nowe obrażenia. Stwierdził, że się starzeje i że pewnie już długo nie pociągnie. Mówił mi, że planetnicy nigdy nie dożywają starości. Bał się, że zginie. Nie chciał umierać. Chciał mieć normalne życie jak jego koledzy.

Sława się zaczerwieniła. Przerzuciła warkocz, którym się bawiła, na plecy, odsłaniając w ten sposób tatuaż w kształcie wijącego się powoju.

– Nic takiego nigdy mi nie mówił. Żadnej z nas – powiedziała cicho. – Naprawdę długo go znam. Nigdy słowem się nie zająknął.

Zmartwiona posmutniała.

– Nie ufał nam? Nie ufał mi? – Jej głos stawał się coraz cichszy.

No cóż... nawet jeśli im nie ufał, to za bardzo by mnie to nie zdziwiło. Sama także miałam kłopoty z zaufaniem, odkąd dowiedziałam się, że Sława tak naprawdę mnie szpiegowała.

– To chyba nie była kwestia zaufania – zaprzeczyłam. – Wydaje mi się, że Radkowi nie przyszło nawet do głowy, żeby o tym z wami porozmawiać. Jesteście nieśmiertelne.

– O, to już nie uważasz, że jesteśmy po prostu martwe? – zakpiła.

– A rzeczywiście. Zapomniałam, że jednak da się was zabić – dogryzłam jej, na co tylko przewróciła oczami.

– Ciągłe przebywał w naszym towarzystwie. Można wręcz powiedzieć, że zmieniał kochanki jak rękawiczki. Nie żeby którejkolwiek z nas robiło to różnicę. Nie jesteśmy raczej zazdrosne. Wiesz, dlatego że każda z nas ma już swoje lata – wyjaśniła. – Nie ma się co fiksować na jednym chłopie. Umiemy się dzielić.

No to Ote była jakimś wybitnym wyjątkiem...

– Wydawało się, że dobrze czuje się w naszym towarzystwie. Nie wiem, dlaczego nie był z nami szczery. Zawsze się chwalił, jak to świetnie sobie radzi! – Teraz w jej głosie słychać było tylko oburzenie.

– Przecież to był pozer. Sprzedałby własną matkę, żeby dobrać się wam do

majtek – zaśmiałam się.

– Aż tak starać się nie musiał. – Puściła do mnie oko.

– Wydaje mi się, że bycie planetnikiem nie było dla niego aż tak ważne – powiedziałam. – Chyba chciał być taki jak zwykli śmiertelnicy.

– Ucieczki w ogóle nie brałyśmy pod uwagę. – Przygryzła wargę. – No, ale to, co mówisz, naprawdę ma sens. Muszę powiedzieć o tym innym.

Powoli skierowałyśmy się w stronę ścieżki.

– Tylko się na mnie nie obraż, okej? – zastrzegłam. – Ale... nie spodziewałam się, że tak się nawzajem o siebie troszczycie.

– A, no wiesz. Radek to była taka nasza maskotka. Taki duży, mało inteligentny szczeniaczek. – Wzruszyła ramionami. – Dlatego chciałam cię z nim spiknąć. Wydawało mi się, że byłaby z was bardzo dobra para.

– Dzięki – prychnęłam.

– No co? Przecież ty lubisz mówić innym, co mają robić, prawda? Wymądrzanie się masz we krwi. Miałybyś komu rozkazywać. On by bardzo grzecznie słuchał. Poza tym, jak już ci kiedyś wspominałam, Radek był bardzo dobry w łóżku. I tam też był posłuszny... – Puściła do mnie oko.

– Jesteś okropna, wiesz?

– Wiem, ale przecież za to mnie lubisz. – Objęła mnie ramieniem.

Szybko wyszłyśmy z lasu. Słońce powoli zaczęło się już skradać w stronę horyzontu. Niebo się zaróżowiło. Przez chwilę puszcza, otaczające ją łąki i pola wydały mi się żywcem wyjęte z baśni.

Gdzieś w lesie rozległo się pohukiwanie puszczyka.

Tak, zdecydowanie baśń. Taka braci Grimm, bez cenzury, z wylewającymi się flakami i głowami toczącymi się po ociekających krwią schodach.

– Muszę przekazać innym, że nic nie wiesz – powiedziała Sława.

– No, z Radkiem to wam nie pomogę. Będę wdzięczna, jeśli przekażesz wszystkim, że nie muszą szykować akcji odwetowej.

– To trzymaj się, kochana.

Wyściskała mnie serdecznie i ruszyła drogą w stronę Bielin. Ja natomiast skierowałam się w stronę domku szeptuchy.

Nagle zatrzymałam się, tknięta nieprzyjemnym przecuciem. Miałam wrażenie, jakby coś uderzyło mnie w brzuch na wysokości żołądka. Niepokój zagnieździł się w moim wnętrzu. Dłonie zaczęły się pocić.

Odwróciłam się w stronę ściany drzew i pomasaowałam skórę nad pępkiem. Teraz, pod wieczór, puszcza zaczęła sprawiać bardzo złowrogie wrażenie. Pomiędzy drzewami panowała nieprzenikniona ciemność. Nie było słyhać szumu wiatru, zupełnie jakby drzewa tak jak ja zamarły w bezruchu.

Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że w mroku ktoś stał, chociaż nikogo nie widziałam. Mimo to byłam przekonana, że stał i patrzył na mnie.

Las był na tyle daleko, że nie musiałam uciekać. Przez chwilę czekałam na jakiś ruch, szelest, drgnienie gałęzi. Nie doczekałam się. Jeśli ktokolwiek tam był, najwyraźniej nie chciał się zdradzić.

Żwawym krokiem wróciłam do domu Baby Jagi.

4.

Poczułam zapach dymu. Swąd spalenizny był niepokojący. To nie był zapach powoli zjadanej przez żarłoczny żywioł świeczki. To było coś innego, gorszego.

Tuż obok ucha usłyszałam czyjś szept. Był tak cichy i świszczący, że nie zrozumiałam ani jednego słowa. Miałam jednak wrażenie, że nie mówił mi niczego dobrego.

Otworzyłam oczy i zaskoczona zaniosłam się kaszlem. Otaczały mnie kłęby szarawego dymu. Delikatnie wirował dookoła mnie. Na zmianę wznosił się i opadał, zupełnie jakby ktoś przeganiał go niewidzialną dłonią. Przez chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem. Wszystko wydało mi się obce i nieznanne.

Poruszyłam się. Ledwie dostrzegałam pościel, którą zdobiły haftowane polne kwiaty, oraz puchową poduchę. Zrozumiałam, że jestem w łóżku, w sypialni, którą odstąpiła mi szeptucha.

Zamrugałam, usiłując przegonić łzy zalewające mi oczy. Dym był bardzo piekący. Otarłam twarz rękawem i spanikowana rozejrzałam się, szukając płomieni.

– Jaga! – krzyknęłam.

Zaniosłam się tak głębokim kaszlem, że o mało nie zwymiotowałam. Charcząc, sturlałam się na podłogę i przytuliłam do szorstkich, nawoskowanych desek. Przy ziemi powietrze było odrobinę chłodniejsze, a dym nie gryzł tak bardzo w gardło. Odetchnęłam szybko trzy razy. Na razie to musiało wystarczyć.

– Jaga! – jeszcze raz wrzasnęłam. – Pali się!

Usłyszałam stukot. Podłoga zadrżała pod moją twarzą. Zupełnie jakby cały dom trzeszczał. Spojrzałam na znajdującą się obok ścianę. Wydawało mi się, że zaczyna się wybrzuszać od gorąca. Poczułam obezwładniającą panikę. Skwierczące od płomieni belki stropowe w żadnym razie dobrze nie wróżyły.

Podpełzałam do drzwi. Podniosłam się do klęczek i sięgnęłam do klamki. Odkoczyłam z jękiem. Mosiężna gałka była rozgrzana. Przełykając łzy, szarpnęłam za podkoszulkę i spróbowałam otworzyć drzwi przez materiał.

Drzwi otworzyły się, wpuszczając do mojej sypialni jeszcze więcej dymu i żaru. Po policzkach pociekły mi łzy. Oślepiiona i podduszona szarą chmurą upadłam do tyłu. Znowu zaniosłam się kaszlem rozdzierającym moje piersi.

Z trudem przekręciłam się na brzuch.

– Pali się! – krzyknęłam.

Przyłożyłam do ust obszerną podkoszulkę, w której spałam, i na kolanach ruszyłam przed siebie korytarzem. Miałam wrażenie, że z każdym centymetrem deski stają się coraz cieplejsze. Zaczynały mnie parzyć. Każdy krok bolał coraz bardziej. Łzy ciekły mi ciurkiem po policzkach, ale wysychały, zanim zdążyły

spaść na ziemię.

Kłęby dymu burzyły się przede mną. Straciłam orientację. W jednej chwili nie wiedziałam już, gdzie jestem. Nie rozpoznawałam niczego.

Gdzie jest wyjście?! Gdzie jest sypialnia szeptuchy?!

– Jaga! – krzyknęłam znacznie ciszej.

Dym zawirował przed moimi załzawionymi oczami.

– Widząca... – Przy moim uchu ponownie rozległ się szept.

Nagle poczułam ból. Nieoczekiwany niczym smagnięcie biczem. Złapałam się za szyję tuż pod lewym uchem.

Nabrałam powietrza. Do moich płuc dostał się zdradziecki dym. Był gorący. Bardzo gorący. Palił. Wypalał mnie od wewnątrz. Po chwili płonęłam już cała.

Zerwałam się na równe nogi, zrzucając na ziemię puchatą kołdrę. Oddychałam głęboko, cały czas czując w gardle szorstki smak dymu. Rozejrzałam się z paniką dookoła, ale nigdzie nie dostrzegłam jego kłębow.

Zakaszlałam.

Dom pogrążony był w mroku. Deski na podłodze przyjemnie chłodziły moje gołe stopy. Podeszłam do drzwi i musnęłam palcami klamkę. Gałka nie była rozgrzana do czerwoności.

Dotknęłam szyi i syknęłam z bólu. Znamię, którym naznaczył mnie Swarżyc, boleśnie pulsowało. Szarpnęłam za drzwi szafy, żeby obejrzeć się w przymocowanym po wewnętrznej stronie lustrze. Odrzuciłam włosy na plecy i odwróciłam głowę, chcąc dostrzec znamię.

Było zaczerwienione, zupełnie jakby dopiero co Swarżyc złożył na mojej skórze swoją płomienną obietnicę.

Spojrzałam na świecę zapachową, którą na próbę odważyłam się zapalić przed snem. Stała na małej lustrzanej podkładce zabezpieczającej blat przed zalaniem woskiem. Knot wciąż palił się jasnym płomieniem, choć świeczka już prawie całkowicie została pochłonięta przez ogień. Zapach jaśminu uwodzicielsko wypełniał moją sypialnię.

Wspomniałam z gorzkim żalem Mieszka. Pomimo że myślałam o nim każdego wieczoru, nie doczekałam się żadnej wizji z jego udziałem. Wystarczyło natomiast tylko jedno nawiązanie do Swarżycy, żebym śniła o pożodze.

Sen był zupełnie inny od koszmarów o żmiju. Oba były straszne, lecz w inny sposób.

Podeszłam do niewinnie wyglądającej świecy i zdmuchnęłam wąły płomień.

5.

– Czy to nie jest aby za szybko? – zapytałam.

Niby wszystko rozumiem. Mszczuj zginął podczas obchodów Nocy Kupały, a był jedynym żercą w okolicy. Miał pod swoją opieką wiele ludzkich istnień, które powinien wspierać (nie wspierał...). Powinien zajmować się organizacją wszystkich świąt (nie zajmował się...) czy świecić przykładem bogobojnego żywota (nie świecił...).

Ludzie potrzebują żercy. Potrzebują kogoś, kto wskazywałby im drogę, kto byłby ich ostoją. Kto przekazywałby ich prośby bogom.

Kogoś, kim Mszczuj niestety nie był.

Jednak mimo wszystko wydawało mi się, że zatrudnienie nowego kapłana raptem kilka tygodni po pogrzebie poprzedniego to, delikatnie mówiąc, pośpiech. Nie oczekuję roku żałoby, ale poczekaliby chociaż ze trzy miesiące...

– Za Mszczujem nikt nie przepadał – stwierdziła szeptucha. – Stary dziad był beznadziejnym kapłanem.

Oczy o mało nie wyszły mi na wierzch, kiedy usłyszałam jej słowa.

– Nie stój z otwartą buzią, bo ci mucha wleci. – Pogroziła mi palcem.

Posłusznie zamknęłam usta. W tym czasie Baba Jaga dalej krzątała się po obszernym holu swojej willi. Stała przed wysokim lustrem i przymierzała po kolei kwieciste chustki. Każdą wiązała pod szyją i przyglądała się krytycznie odbiciu. Jak na mój gust wszystkie pasowały do czarnej bluzki i czarnej spódnicy, ale najwyraźniej się nie znałam.

– Za kolorowa, za duże kwiaty, za małe kwiaty, na tej w ogóle nie ma kwiatów... – mruzczała pod nosem, odrzucając kolejne apaszki.

Barwne kawałki materiału opadały na białe płytki podłogowe, dodając surowemu wnętrzu odrobinę życia.

Stałam za nią i ponad jej głową zaczęłam zaplatać warkocz. Ostatnio, chyba z nudów, zainteresowałam się fryzurami i codziennie zaplatałam włosy w koronę. Efekt bardziej podobał mi się od zwykłego dobieranego upięcia, które stosowałam na co dzień. Dzisiaj postanowiłam zaszaleć tak jak Baba Jaga. Pomiędzy pasma wplotłam czerwoną wstążkę. Usta pociągnęłam czerwoną pomadką. W połączeniu z czarną sukienką przed kolano sprawiało to bardzo dobre wrażenie.

Nie spodziewałam się, że na ceremonii namaszczenia nowego kapłana pojawi się Mieszko, bym mogła go ponownie uwieść głębokim dekoltem. Nie przyjechał bowiem nawet na pogrzeb Mszczuja. Niemniej jednak chciałam dobrze wyglądać.

Tak na wszelki wypadek, gdyby się pojawił.

Baba Jaga zerknęła na mnie spode łba. Nie podobała jej się moja sukienka,

a raczej jej długość i głębokość dekoltu.

– W ogóle nie widać, że jesteś szeptuchą. Powinnaś mieć jakieś korale albo chustkę – skrytykowała.

– Każdy już chyba mnie kojarzy – odparłam, poprawiając stanik, żeby moje piersi były lepiej widoczne w wycięciu sukienki. – Poza tym będę stała obok ciebie. Powinni się połapać, kim jestem.

Szeptucha sapnęła zirytowana i w końcu zdecydowała się na czerwoną apaszkę z jedwabiu, zdobioną wzorem żółtych żonkili poskręcanych ze sobą bladymi łądkami. Zawiązała ją na szyi i usatysfakcjonowana pokiwała głową. Tym razem nie nałożyła czarnej siatki na włosy. Srebrny kok błyszczał w świetle żarówek. Czarne ubranie wyraźnie ją wyszczuplało.

Nawet nie wyglądało to źle, przyznaję.

– Gdy usiądziesz na pniaku, to wszyscy zobaczą twoje gacie – burknęła.

– Ładne są. Mogą patrzeć.

Baba Jaga zaśmiała się w końcu. Zerknęła na mnie z ukosa.

– Humor ci się coś ostatnio poprawił – stwierdziła. – Lepiej się czujesz?

– Tak – skłamałam.

Nie chciałam jej martwić. Tak naprawdę wcale nie czułam się lepiej. Jedyne coraz lepiej udawałam beztroskę. Wciąż gryzła mnie śmierć Mszczuja. Uważałam, że to ja powinnam była zginąć, a nie on. Niczym nie zawinił. Znalazł się w złym miejscu i w złym czasie. Gdybym nie rozwścieczyła strzygi, gdybym nie sprowadziła na siebie jej gniewu, nic by mu nie zrobiła.

Poza tym byłam samotna. Miałam wrażenie, że Mieszko mnie porzucił. Wielokrotnie tłumaczyłam sobie jego zachowanie. Ja pewnie też bym tak postąpiła. Chciałabym godnie pochować kogoś, kogo dawniej szaleńczo kochałam, nawet jeśli w międzyczasie się zmienił. A z wizji wiedziałam, że Mieszko ją kochał.

Mimo to czułam się oszukana. Miał być mój. Podzielił się ze mną naparem, bo byłam dla niego ważna. Tylko skoro byłam taka ważna, to gdzie jest teraz? Czemu nie daje żadnego znaku życia?

Te pytania wydzierały za każdym razem coraz większą dziurę w moim sercu.

– Nie sądzisz mimo wszystko, że to za wcześnie? – powtórzyłam pytanie, starając się nakierować rozmowę na wygodniejszy dla mnie temat.

– Jak dla mnie za wcześnie. Widzę, że dla ciebie także – odparła. – Jednak życie toczy się dalej. Kapłan jest potrzebny. Niedługo dwójka młodych z Bielin zamierza się pobrać. Kto poprowadzi ceremonię?

– Niby tak...

– Kto zajmie się umierającymi i przeprowadzi ich na drugą stronę? Kto odwiedzi chorych ze słowami pociechy? – perorowała. – Do kogo będą przychodzili ludzie z pytaniami, wątpliwościami? Kto ich wysłucha?

– Psychoterapeuta? – prychnęłam lekceważąco, na co smagnęła mnie ostrym

spojrzeniem.

– Kapłan jest potrzebny każdej społeczności. Mszczuj nie był w tym najlepszy. Dla dobra tutejszych ludzi lepiej by było, aby nowy żerca okazał się wart tego stanowiska.

Jeszcze raz teatralnie wręcz westchnęła i wzięła mnie za rękę.

– Mnie też się to nie podoba, skarbie. Musisz pamiętać, że życie pędzi cały czas do przodu. Na nikogo nie czeka. Rozumiem, że smucisz się śmiercią Mszczuja. Ja też jestem z tego powodu smutna. Był miłością mojego życia. Nie wolno ci jednak brać ze mnie przykładu. Nie można żyć, żałując cały czas czegoś, co się stało bądź nie stało. Trzeba się cieszyć tym życiem, które się ma. Już ci to mówiłam.

Miałam wrażenie, że nie mówiła teraz wcale o śmierci Mszczuja.

– Zapamiętam. – Pokiwałam głową. – Chcesz szminkę?

– Chcę.

Ku mojemu zaskoczeniu sięgnęła po moją krwiście czerwoną pomadkę i pomalowała wargi. Nawet całkiem nieźle wyglądała! Szminka odjęła jej kolejnych kilka lat. Postanowiłam, że dam jej taką w prezencie.

– A jak będzie wybierany nowy żerca? – zapytałam.

Od dawna mnie to nurtowało. Większość kapłanów miała uczniów, przeważnie własnych synów, których przyuczała do zawodu. Były także oficjalne szkoły przyświątynne w dużych miastach, gdzie szkolono akolitów. Jednak oni raczej zostawali w świątyniach, a nie rozjeżdżali się po całym Królestwie.

Skąd Bieliny wezmą nowego żercę? Kto go wybierze? Jak?

– Z tego, co słyszałam, nowy kapłan został skierowany tutaj z polecenia – odpowiedziała. – Niestety nie wiem nic więcej. Bardzo mi się to nie podoba. Powinni byli to ze mną uzgodnić. W końcu to ja się będę musiała z nim użerać do śmierci.

Zacisnęła tak mocno wargi, że zmieniły się w czerwoną linię.

– Dawniej, o wiele dawniej, jeszcze zanim urodziła się moja babka, żerców wybierała ludność. Po prostu najbardziej uzdolniony, który słyszał bogów, stawał się posłańcem ich wiadomości.

Jakoś podejrzenie mi się to kojarzyło ze schizofrenią, w której się słyszy głosy.

– Dzisiaj się na takiego mówi wołchw – wtrąciłam.

– Dzisiaj tak, bo dzisiaj władza kapłańska uległa centralizacji. Zawsze były świątynie, święte bory, ale raczej ze sobą nie współpracowały. Dopiero od kilku wieków postanowiono ustanowić... pewne standardy.

– W sumie ma to ręce i nogi – przyznałam.

– Powinni byli zapytać mnie o zdanie – wycedziła. – Nikt się nie zapytał. Już ja im dzisiaj powiem do słuchu na zebraniu.

Uśmiechnęłam się pod nosem.

– Wychodzimy – zakomenderowała. – Mamy szmat drogi przed sobą. Dobrze, że Nowakowa zgodziła się nas podwieźć na samą górę.

Postanowiłam sobie po raz kolejny, że każdy zaoszczędzony grosz przeznaczę na kupno samochodu.

– Już wolałabym iść pieszo niż z nią jechać – sarknęłam.

– Jeszcze zmieniałabyś zdanie w połowie drogi. Już ja cię znam. Na szczyt Łysej Góry jest daleko.

Przez uchylone okno usłyszałyśmy pisk opon, a następnie rozdzierający dźwięk klaksonu, który spłoszył wszystkie okoliczne ptaki. Aż się skurczyłam w sobie. Moja znajomość z Nowakową była krótka, ale burzliwa. Poznałyśmy się, bo przysłała na wizytę u szeptuchy akurat wtedy, gdy i ja się tam pojawiłam pierwszy raz. Potem wykopywałam księżycowy kamień, który musiała zakopać na rozdrożach zgodnie z zaleceniami Baby Jagi.

Wielokrotnie widziałam ją u szeptuchy, w chacie. Na szczęście nigdy nie musiałam sama jej przyjmować. Zwykle przychodziła, bo jej krowy nie chciały dawać mleka albo wyskoczyła jej gdzieś nowa brodawka.

Te brodawki wyskakiwały jej wszędzie. Dosłownie wszędzie. Nie chciałam widzieć połowy tych miejsc, które przed nami odsłaniała, żebyśmy lepiej wiedziały, o co jej chodzi. Dobrze, że po nocach mi się to nie śniło.

Poza tym miałam jakieś podejrzanе wrażenie, że Nowakowa mnie nie cierpi. Tylko nie potrafiłam domyślić się dlaczego. Byłam przekonana, że nie dałam jej nigdy odczuć, jak, dajmy na to, bardzo brzydzą mnie jej pośladki pełne brodawek. A mimo to mnie nienawidziła.

Baba Jaga wzniosła oczy do nieba, gdy ponownie rozległ się dźwięk klaksonu.

– Żadnego szacunku – mruknęła do siebie i ryknęła: – Szeptuch się nie popędz!

Klakson nie powtórzył się więcej. Nowakowa chyba nas usłyszała.

– Musimy iść? – zajęczałam. – Wolałabym pielic ogródek.

Miałam nadzieję, że ją tym skuszę, ale się nie udało.

– Musimy – odpowiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. – To nasza powinność. Ogródkiem możesz zająć się jutro.

– Nie chcę mieć już nic wspólnego z bogami – mruknęłam, przypominając sobie swój sen.

Zerknęłam jeszcze raz na swoje odbicie w lustrze. Na skórze szyi znajdowała się mała blizna. Zbrązowiła nieco od słońca. Nic nie wskazywało na to, żeby coś niedobrego działo się z nią tej nocy.

– Wychodzimy! – zakomenderowała Baba Jaga. – Nie możemy się spóźnić.

Wnętrze trzydrzwiowego samochodu Nowakowej dziwnie pachniało.

Chociaż nie, nie pachniało. Tam po prostu śmierdziało. Miałam wrażenie, że to dziwny aromat mokrej psiej sierści, obornika i gołębiego łajna. Wepchnęłam się na tylne siedzenie i szczerze pożałowałam, że nie mam obok siebie okna, które mogłabym otworzyć.

Baba Jaga zajęła miejsce obok Nowakowej. Ta nie podarowała sobie nadarzającej się okazji do darmowej porady. Od razu zaczęła opowiadać o kurzajkach. Przez chwilę zaciekawiona nadstawiałam ucha. W końcu kurzajki w jej przypadku to coś nowego. Szybko jednak straciłam zainteresowanie, gdy dowiedziałam się, gdzie jej wyskoczyły.

W końcu dojechałyśmy prawie na szczyt Łysej Góry. Wsiadłyśmy z samochodu. Na pytanie Nowakowej, czy nie będziemy potrzebowały kogoś, kto nas później odbierze, szeptucha stanowczo zaprzeczyła. Chyba także nie miała ochoty siedzieć w tym smrodliwym wnętrzu. Poza tym obie wiedziałyśmy, że Nowakowa, plotkara jakich mało, nie powstrzyma się od pytań o nowego żercę i przebieg narady.

– Czy ty też masz wrażenie, że śmierdzisz obornikiem? – zapytałam Babę Jagę.

– Nawet nic nie mów. – Zazgrzytała zębami. – Wiedziałam, że trzeba było iść na piechotę.

– Wtedy śmierdziałybyśmy potem – stwierdziłam, niewiele się myląc.

Zdawało mi się, że szeptucha prychnęła pod nosem: „chyba ty”, ale zrobiła to tak cicho, że nie byłam pewna.

– Jakim cudem ona ma wszystkie te zmiany skórne zawsze na tyłku? – zapytałam, nawiązując do rozmowy toczącej się w samochodzie.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparła nieszczerze. Spojrzałam na nią z ukosa. Baba Jaga dodała: – W każdym razie pamiętaj, moja droga, że to nieładnie plotkować. Kto plotkuje, temu język się popłacze.

– Albo dostanie parchów na dupie – dodałam.

Zaśmiała się w odpowiedzi, ale nic więcej nie dodała.

Tak, Baba Jaga zdecydowanie maczała w tym palce.

Weszłyśmy pomiędzy drzewa. W ich cieniu było całkiem chłodno, na skórze moich gołych ramion pojawiła się gęsia skórka. Miałam szczerą nadzieję, że ktoś już zdążył rozpalić ognisko.

Czym zresztą byłyby spotkania okolicznych wróży i szeptuch bez ogniska?

Pogoda znowu płatała figle. Cała pierwsza połowa roku była nadzwyczaj ciepła, zupełnie jakby natura przygotowywała świat do zakwitnięcia kwiatu paproci. W lutym i marcu spokojnie można było chodzić w lekkim płaszczu. W kwietniu zapanował iście letni klimat. Wydaje mi się, że wręcz niepotrzebnie topiliśmy Marzannę. Nie napracowała się tej zimy. Za to po Nocy Kupały, gdy kwiat paproci zakwitł, a ja go zerwałam, natura spłatała ludziom kolejnego figla.

Nadeszło ochłodzenie. Pomimo że lipiec trwał w najlepsze, a nawet już się kończył, to wieczorami robiło się całkiem zimno. Zapowiadała się zima stulecia.

Narzuciłam na ramiona czarny sweterek, który zapobiegliwie ze sobą zabrałam.

Płaski szczyt Łysej Góry nic się nie zmienił, odkąd byłam tu ostatni raz. Uprzątnięto zniszczenia, jakich dokonał ogień. Dookoła otoczonego kamieniami miejsca na ognisko ktoś ułożył nowe pnie, na których można było wygodnie usiąść. Trawa także już odrosła. Jedyne poczerniała kora i gołe gałęzie drzew otaczających to miejsce sugerowały, że bardzo niedawno coś poważnego stało się w puszczy.

Ognisko wesoło płonęło, wyrzucając w niebo snopy iskier. Gdy tylko Baba Jaga wkroczyła w krąg światła, w jej stronę rzuciły się chyba wszystkie obecne kobiety. Do moich uszu dotarły ich bezładne kondolencje.

Zostawiłam ją na pastwę płaczek i weszłam pomiędzy poczerniałe drzewa. Chciałam zobaczyć, jak daleko sięgnęły płomienie. Objęłam się ramionami, żeby się ogrzać i dodać sobie otuchy.

Rzeźby stały nietknięte. Poczerniały od sadzy i popiołu, ale nie uległy zniszczeniu. Stałam przed rzeźbą przedstawiającą trzygłowego Welesa. Postać była we władczej pozie, podparta pod boki. Każda z trzech głów wpatrywała się w inną stronę, zupełnie jakby kamienny bóg podziwiał swoje włości.

Ruszyłam w stronę posągu Swarożycy. Poza wykutymi w kamieniu płomieniami obejmującymi postument i nogi wyglądał jak zwykły mężczyzna. Ukucnęłam, żeby obejrzeć szary kamień. Rzeźba stała dość daleko od ogniska, ale płomienie dotarły także i tu, sądząc po okaleczonych drzewach. Jednak na rzeźbie nie było widać żadnych zniszczeń. Zupełnie jakby pożoga ominęła to miejsce.

Uśmiechnęłam się pod nosem. To Swarożyc zesłał płomienie. Najwyraźniej był na tyle zapatrzony w siebie, że postanowił ocalić swój posąg. Dobrze. Ta informacja mogła mi się przydać. Narcyzm to jego wada, którą kiedyś może uda mi się wykorzystać.

Wyprostowałam się i spojrzałam na znak pyszniący się na piersi kamiennego Swarożycy. Symbol ognistego boga, krzyż równoramienny zamknięty w kole. Musnęłam palcami powierzchnię kamienia. Tyle już na tym świecie widziałam, że nie zdziwiłabym się, gdyby okazał się ciepły.

Na szczęście poczułam tylko chłód.

Ten sam symbol miał wytatuowany Mieszko. Oddałabym wiele, by móc go teraz dotknąć, przytulić się do jego mocnego ramienia.

Nagle usłyszałam dziwny, przejmujący pisk. Okręciłam się dookoła, usiłując zlokalizować miejsce, z którego dochodził. Dźwięk przypominał piszczenie przerażonej myszy. Miałam wrażenie, że dobiega gdzieś z pobliskiej ściany drzew.

Niewiele myśląc, zesłam ze ścieżki zaniepokojona przesywającym dźwiękiem. Nie odwracając się więcej, zostawiłam boga ognia i zagłębiłam pomiędzy ciemne drzewa. Musnęłam palcami poszarzałą korę. Osypała się na ziemię i pobrudziła mi na czarno palce. W miejscu, gdzie niedawno szalał ogień, z łatwością można było wyczuć jeszcze delikatny swąd dymu.

Piszczenie się powtórzyło. Dźwięk był dziwny, odrobinę przerażający. Niby mysi, ale podejrzenie kojarzył mi się z małym kotkiem albo szczeniakiem. Rozglądałam się czujnie, szukając zwierzęcia uwiązane do drzewa, porzuconego przez bezmyślnego właściciela albo zwyczajnie rannego. Przez myśl przebiegło mi podejrzenie, że to może porzucone szczenię lisa tak piszczy. Szybko sama się skarciłam. To nie była odpowiednia pora roku na lisiątka.

Stałam zdezorientowana między drzewami. Niczego nie wiedziałam ani nie słyszałam. Cokolwiek to było, zamilkło.

Nagle pisk zabrzmiał tak blisko mnie, że aż podskoczyłam. Dobiegał zza moich pleców. Oddychałam głęboko, usiłując uspokoić rozszalałe ze strachu serce.

Powoli się odwróciłam.

Bezpośrednio za mną rosło smukłe drzewo o brązowej korze. Pobrużdżona powierzchnia przywodziła na myśl skórę staruszki, która podczas swojego życia zdążyła już bardzo wiele zobaczyć. Nie widziałam na drzewie żadnej dziupli, w której mogłaby się ukryć wiewiórka albo inne małe stworzenie.

Pisk zabrzmiał ponownie, bezpośrednio na wysokości mojej twarzy. Jednak kora była...

Zamarłam. Coś było z nią nie tak.

Niespodziewanie drzewo się poruszyło. Olbrzymia ćma siedząca dotychczas w zupełnym bezruchu rozwinęła szerokie na jakieś piętnaście centymetrów skrzydła. Od góry zabarwione były na najróżniejsze odcienie brązu, szarości i czerni, stanowiąc najlepszy z kamuflaży. Od dołu natomiast pokryte były jadowitą żółcią, która ukazywała się tylko, gdy ćma rozpościera skrzydła.

Wbiłam przerażony wzrok w grzbiet owada, na którym wyraźnie widziałam kształt żółtej czaszki.

Ćma zamachała skrzydłami i zapiszczała.

Moją uwagę zwrócił ruch, dostrzegłam go jedynie kątem oka. Na drzewie obok swoje skrzydła otworzyła kolejna ćma. Również jej grzbiet znaczyła czaszka. Ona także zaczęła piszczeć. Gdy tuż za mną rozległo się trzecie, przejmujące zawodzenie, nawet się nie odwróciłam.

Pognałam przez las w stronę światła ogniska, jakby goniły mnie demony, ponieważ właściwie odczytałam tę wiadomość. Nie miałam co do tego najmniejszych wątpliwości.

To była groźba i ostrzeżenie jednocześnie. Chciały mi powiedzieć, że obserwują każdy mój krok.

Sława miała rację. Powinnam uważać. Na razie nie chciały mnie skrzywdzić, ale nie wiadomo, kiedy zmienią zdanie.

Zdyszana wróciłam na ścieżkę wijącą się pomiędzy kamiennymi posągami. Oparłam dłoń o pierś boga ognia i spojrzałam na jego topornie wyciosane oblicze. Miałam wrażenie, że się ze mnie śmieje.

Zabawa w żadnym razie się nie skończyła, pomimo że już dawno minęła Noc Kupały. Westchnęłam ciężko.

– Swaróżyc nie odpowiada na modlitwy?

6.

O mało nie wyskoczyłam ze skóry. Rzecz jasna, pisnęłam przestraszona. Odwróciłam się szybko i plecami rąbnęłam w posąg tak mocno, że zadzwoniły mi wszystkie zęby. Na chwilę pociemniało mi przed oczami. Złapałam się za potylicę.

– Nie chciałam pani przestraszyć. Nic sobie pani nie zrobiła?

Nieznamy z troską w spojrzeniu podszedł bliżej mnie. Nic nie odpowiedziałam. Plecami usiłowałam wtopić się w posąg. Sięgnęłam dłonią do amuletu wiszącego mi na szyi. Dzięki bardzo długiemu rzemykowi przez cały czas był ukryty pod sukienką, niewidoczny nawet mimo głębokiego dekoltu, ale teraz go wyciągnęłam i zacisnęłam na nim palce. Przez cienki płócienny woreczek wyraźnie poczułam ostre kształty. Ząb wilka pomimo materiału wbił mi się w skórę. Trochę mnie to otrzeźwiło i dodało odwagi.

– Dobrze się pani czuje? Wygląda pani, jakby zobaczyła ducha – zaniepokoił się mężczyzna. – Uderzyła się pani w głowę? – dopytywał się.

Był niewiele wyższy ode mnie, ale promieniowała z niego jakaś dziwna pewność siebie. Otaczała go niczym poświata. Wydawał się przez to znacznie potężniejszy.

Nie byłam przekonana, czy jest człowiekiem. Było w nim coś więcej.

– Dobrze się czuję – wydusiłam w końcu. – Kim pan jest?

Zdawałam sobie sprawę z tego, że pytanie zadałam opryskliwym tonem. Nie było to z całą pewnością uprzejme. Niemniej jednak podkradanie się do kogoś w lesie także nie znalazłoby się w podręczniku dobrego wychowania.

Mężczyzna uśmiechnął się promiennie, ukazując białe zęby. Od razu zanotowałam w pamięci, że nie były zaostrome. Wykluczało to z moich podejrzeń część niebezpiecznych istot nadprzyrodzonych.

Dopiero teraz, gdy emocje częściowo opadły, przyjrzałam mu się dokładnie. Miał na sobie skórzane spodnie i lnianą koszulę z kapturem sięgającą prawie do kolan. Brzeg materiału otaczała strojna krajka. To był strój kapłana.

Nadal go nie poznawałam. Mało było osób w moim przedziale wiekowym zajmujących się tym fachem. Na pewno zauważyłabym go na którymś z poprzednich ognisk. Był obcy.

– Nazywam się Witosław Witka – przedstawił się, świdrując mnie czarnymi oczami. – Jestem żercą. A pani?

Miałam wrażenie, że jego spojrzenie chce mnie przewiercić na wylot. Powstrzymałam się przed uśmiechem, gdy usłyszałam jego imię i nazwisko. Jego rodzice mieli fantazję. Trzeba im to przyznać.

Nadal mierzyłam go nieufnym spojrzeniem. Czułam, jakby mógł zajrzeć do wnętrza mojej głowy. Nie podobały mi się jego czarne, demoniczne oczy.

– Na pewno wszystko dobrze? – Zmarszczył brwi i zbliżył się o krok.

– Gosława Brzózka, jestem na naukach u szeptuchy w Bielinach – odpowiedziałam szybko, żeby powstrzymać go przed kolejnym krokiem.

Witosław uśmiechnął się szeroko, ponownie błyskając zębami. Nie wiedzieć czemu skojarzył mi się z wilkiem.

– W takim razie zostaniemy niedługo sąsiadami – oznajmił. – Właśnie złożyłem ostatnie śluby kapłańskie i otrzymałem tytuł zercy. Zostałem skierowany do Bielin, by tutaj sprawować opiekę nad okoliczną ludnością.

Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Nie spodziewałam się, że następca Mszczuja okaże się tak młody. Z jakiegoś powodu wyobrażałam sobie, że nowy kapłan będzie starcem z długą siwą brodą. Było to rozumowanie pozbawione głębszego sensu. Wszyscy starzy kapłani mieli już swoje „miejscówki” aż do śmierci.

Mieszko zniknął, więc nie było nikogo, komu można by przekazać schedę po Mszczuju. Musieliśmy dostać nowego kapłana. Musiał być młody.

Odchrząknęłam zakłopotana swoją wcześniejszą reakcją i odsunęłam się od rzeźby, do której mimowolnie się przytuliłam w poszukiwaniu oparcia. Zawstydzona swoim zachowaniem schowałam amulet pod sukienkę. Całe szczęście, że nie zaatakowałam go sztyletem, który także miałam przy sobie. Wisiał bezpiecznie zamocowany na skórzanych paskach na udzie.

To by było dopiero złe pierwsze wrażenie!

Mężczyzna podążył spojrzeniem za moimi dłońmi, gdy chowałam amulet pod sukienkę. Chyba także spodziewał się, że zaraz wyciągnę nóż albo pistolet i zabiję go na miejscu.

– Miło mi. – Wyciągnęłam w jego stronę dłoń. – Może się pan do mnie zwracać po imieniu, jestem Gosia.

– Witek.

Miał przyjemną w dotyku, ciepłą dłoń pozbawioną odcisków. Zupełnie jakby nie pracował ani jednego dnia w swoim życiu. Moje ręce niestety nie były tak gładkie. Dorobiłam się odcisków podczas pielienia ogródka Baby Jagi.

– Jeszcze raz cię przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć – powiedział.

– Nie przepraszaj...

– Nie powinno się nikomu przerywać modlitwy. Postąpiłem bezmyślnie.

Podszedł do rzeźby i dotknął symbolu na piersi Swarozycy tak jak ja wcześniej. Pogładził kamień opuszkami palców.

– Jestem nietutejszy. Przyznam, że nigdy nie miałem okazji odwiedzić Łysej Góry – wyznał. – Dlatego wybrałem się na spacer po słynnym parku rzeźb. Nie sądziłem, że kogoś spotkam.

Słynny park rzeźb? O czym on, na wszystkich bogów, mówił? Postanowiłam, że od razu po powrocie do domu poszukam w internecie jakichś informacji turystycznych. Moja ignorancja najwyraźniej była nieskończona.

Spojrzał na mnie.

– Też wybrałam się na spacer – odparłam.

– Wielbisz Swaróżyca? – zapytał uprzejmie.

Głupio by było zaprzeczać, więc pokiwałam głową. Miałam nadzieję, że ognisty bóg akurat teraz nas nie podsłuchiwał.

– Ja wolę Welesa i jego surowość – wyznał. – To opiekun naszych dusz. Czuję, że wiele nas łączy. Ja opiekuję się żywymi na ziemi, a on sprawuje nad nimi opiekę, gdy przekroczą bramy Nawi.

Ruszył powoli w stronę pomnika boga podziemi. Poszłam za nim. Najwyższa pora wracać do ogniska. Baba Jaga pewnie już zaczęła się o mnie martwić.

– Wiesz, zawsze ciekawiło mnie, jak wygląda Wyraj – wyznał. – To na pewno wspaniałe miejsce. Wyobrażam sobie jego wielkość i wspaniałość.

No ja tam zachwycona zaświatami jakoś nie byłam. Chociaż kto wie? Może niektórych kręcą bagna i moczary.

– A ty jak sądzisz? – zagadnął.

– Tak, tak, na pewno to wspaniałe miejsce – odpowiedziałam szybko.

Coś mi mówiło, że nie powinnam zrażać do siebie nowego żercy. Nawet jeśli jest trochę jakiś taki... nawiedzony.

Szeptucha byłaby ze mnie dumna. Wreszcie zaczynam się zachowywać rozsądnie.

– Widzę, żenosisz na szyi amulet. Można wiedzieć z jakiego powodu? – zainteresował się.

– Eee...

– Przepraszam, jestem zbyt wścibski. Nie powinienem pytać.

Spuścił wzrok i wbił go w ścieżkę. Minęliśmy posąg Welesa. Nawet przy nim nie zwolnił. Zupełnie jakby jak najszybciej chciał dostać się do miejsca spotkań. No i to tyle, jeśli chodzi o dumę szeptuchy. Już zaczęłam go do siebie zniechęcać.

– Nie ma sprawy. To taki amulet... dla ochrony – dokończyłam.

W myślach pacnęłam się dłonią w czoło. Moja odpowiedź doszła po prostu do nizin intelektualnych. A niby na co miałby być ten amulet, skoro przestraszona złapałam się go kurczowo niczym liny ratunkowej?

Teraz to ja się zawstydziałam. W czym niby miał mi pomóc? Mogłam nim co najwyżej rzucić w przeciwnika...

– Potrzebujesz ochrony? Przed czym? – zadał te pytania lekkim tonem, ale zmarszczył brwi.

Zaśmiałam się w duchu. Zapowiadało się, że Bieliny będą miały żercę z prawdziwego zdarzenia. Już zaczynał się wczuwać w rolę pasterza swoich owieczek.

– Na wszelki wypadek – odparłam. – Wiesz, tutaj na wsi wszystkie rzeczy wydają się... bardziej prawdziwe.

W duchu po raz kolejny zdieliłam się w czoło. Nie ma co. Wychodzę na bardzo inteligentną osobę podczas tej rozmowy!

– Ostrzegano mnie przed tym. – Pokiwał głową. – Ostatnie lata spędziłem w Krakowie. Tam zabobony nie są aż tak powszechne jak na wsi. Tutaj ludzie w nie wierzą. Podobno nawet mocniej niż w bogów. Nie powinni...

Byłam ciekawa, jak szybko Swarożyc odezwie się do niego za pomocą ubożąt. Pomyślałam z rozbawieniem, że domowe duchy napędzą mu niezłego stracha. Aż pożałowałam, że pewnie nie będzie mi dane zobaczyć jego miny.

Zauważył, że nie podzielałam jego zdania, a na moich ustach błąka się delikatny uśmiech.

– A ty... jesteś stąd? – zreflektował się.

Miałam ochotę się zaśmiać. Chyba nie tylko ja łąjałam się właśnie w myślach za złe pierwsze wrażenie. Przecież gdybym była z Bielin, mogłabym się na niego obrazić. W końcu zarzucił mieszkańcom okolicznych ziem zacofanie i zaściankowość.

– Moja rodzina stąd pochodzi, ale całe życie mieszkałam w Warszawie. Tam się urodziłam – wyjaśniłam. – Gdy tu przyjechałam, też mi się wydawało, że to wszystko tylko zabobony.

Wyglądał, jakby odetchnął z ulgą.

– W takim razie mam nadzieję, że zostaniesz moją przewodniczką w pierwszych dniach w Bielinach. Mam wrażenie, że muszę się jeszcze wiele nauczyć o tutejszej ludności.

Pomyślałam o tych wszystkich kobietach przychodzących po porady miłosne.

– Nieraz cię zaskoczą – stwierdziłam. – Jak tylko będziesz miał jakieś pytania, to się nie krępuj. Znajdziesz mnie w domu Baby Jagi tuż pod lasem.

– Dziękuję.

Weszliśmy w krąg światła ogniska. Oczy wszystkich zwróciły się w naszą stronę. Kiwnęłam mu głową i podeszłam do Jarogniewy. Zdjęła z pniaka torbę z kanapkami, żebym miała gdzie usiąść.

– Widzę, że nie próżnujesz – szepnęła.

Teraz w świetle płomieni mogłam jeszcze dokładniej mu się przyjrzeć. Witek miał krótko ścięte ciemnobrązowe włosy. Nie dość krótko jednak, by ukryć delikatny skręt loków. W miarę pełne usta z opadającymi w dół kącikami nadawały mu odrobinę melancholijny wygląd. Sprawiał wrażenie żyłastego. Nie był jednak chudzielcem, wypełniał sobą ubranie. Czuło się w nim napięcie, jakby w każdej chwili był gotów do skoku.

Oderwałam spojrzenie od młodego kapłana.

– O co ci chodzi? – zapytałam.

– Mnie? O nic. Kanapeczkę? – Zmieniła temat.

Przewróciłam oczami i wzięłam podawany mi pakunek. Położyłam kolację na kolanach. Do mojego nosa dotarł zapach majonezu i jajek na twardo.

– O co ci chodzi? – zapytałam jeszcze raz.

– Naprawdę o nic, Gosiu. Po prostu bardzo mnie ubawiło to, że jak na osobę, która ostatnio postanowiła trzymać się z dala od wszystkiego, co związane z bogami, szybko zmieniasz zdanie. Widzę, że zaprzyjaźniłaś się już z nowym kapłanem.

– Wcale się nie zaprzyjaźniłam – zaperzyłam się.

– Ciekawe, że zawsze wpadają ci w oko kapłani – zaśmiała się.

– Wcale mi nie wpadł w oko... – burknęłam.

Spojrzałam na drugą stronę ogniska. Witek patrzył prosto na mnie.

7.

Najwyższy kapłan, który sprawował pieczę nad wszystkimi żercami w regionie, wstał. Przyglądał długą, siwą brodę i poprawił koszulę, a następnie złożył na brzuchu dłonie w taki sposób, że stykały się ze sobą tylko jego długie, patykowane palce. Zawsze bawiła mnie jego łysinka, którą nieudolnie usiłował przykryć pożyczką. Ciekawiło mnie, czy ktoś mu już powiedział, że to źle wygląda.

Odchrząknął. Nic mu to jednak nie dało, bo rozbawione towarzystwo dalej dowcipkowało i przerzucało się najnowszymi ploteczkami. Jedynie Witek wpatrywał się w niego z napięciem. Wyglądał na tak zniecierpliwionego, że nie zdziwiłabym się, gdyby zaraz zerwał się na równe nogi. Chciałam posłać mu uspokajający uśmiech, ale nie odwracał wzroku od kapłana.

Zniecierpliwiony brakiem zainteresowania kapłan powiódł surowym spojrzeniem po zgromadzonych wokół ogniska twarzach. Klasnął. Powoli wszyscy się do niego odwrócili, szept rozmów ucichł. Usatysfakcjonowany skierowaną na niego uwagą uniósł ręce.

– Jak wiecie, niedawno w naszej społeczności przydarzyła się tragedia – powiedział. Jego słaby głos przywodził na myśl zasuszone liście. Nadstawiłam ucha, żeby nie uronić ani jednego słowa z jego przemowy. – Pożegnaliśmy Mszczuja, żercę w Bielinach. Jako utalentowany młody człowiek z głową pełną pomysłów trafił do tej niedużej wsi. Miał wizję, miał plan. Gdzieś w tym wszystkim się pogubił, nie udało mu się być takim kapłanem, jakim marzył, że zostanie. Postarajmy się, by na zawsze pozostał w naszych sercach taki, jakim zawsze pragnął się stać.

Zebrani pokiwali głowami, kilka osób spazmatycznie chlipnęło. Zerknęłam na Babę Jagę, gotowa w każdej chwili wyciągnąć z małej torebki opakowanie chusteczek jednorazowych i osobiście dopilnować, żeby nie rozplynał się jej makijaż. Jednak szeptucha trzymała się dzielnie. Wyprostowała plecy, poprawiła czarną bluzkę i wbiła harde spojrzenie w najwyższego kapłana.

– Wydarzenia Nocy Kupalnej... dla nikogo nie były łatwe. Wiele osób spanikowało... – kontynuował przemowę. – Pożoga zabrała ze sobą Mszczuja. Odszedł od ogniska... Wszyscy pamiętamy, w jakim był stanie, w jakim stanie często się znajdował. Może w innym wypadku nie doszłoby do tragedii?

Baba Jaga drgnęła lekko, ale zachowała milczenie. Ja za to wpatrywałam się w najwyższego kapłana z otwartymi ustami. Co to ma być, do cholery?! Mowa pożegnalna? Czy może wytykanie Mszczujowi alkoholizmu?! Ładnie to tak go obgadywać za plecami?!

– Nie dowiemy się tego – westchnął. Na chwilę pochwycił moje rozwścieczone spojrzenie. Szybko odwrócił wzrok. – Wiemy natomiast, że

bogowie chcieli, by jego dusza pasła się na żyznych polach Wyraju. Powołali do siebie swojego syna. Uhonorujmy jego pamięć krótką modlitwą.

Wszyscy karnie spuścili głowy. Zupełnie zaskoczona wciąż wpatrywałam się w kapłana. Nie zająknął się nawet jednym słowem o strzydze, mimo że osobiście relacjonowałam mu wydarzenia tamtej nocy. Mimo że widział ciało Mszczuja! Jego szczątki były naruszone przez ogień, ale wyraźnie było widać, że ktoś mu rozplątał gardło! O co chodzi? Już o tym zapomniał?

Stuknęłam szeptuchę łokciem. Zmrużyła w odpowiedzi oczy i ruchem głowy nakazała mi milczenie. Pochyliłam głowę i zacisnęłam dłonie w pięści.

– Dobrze! Przejdźmy do weselszych nowin! – Najwyższy kapłan ponownie klasnął w dłonie. – Musimy przywitać nowego wróża. Przyjmijmy go do naszego kręgu.

Skinął na Witka i gestem nakazał mu wstać. Zajęli miejsca naprzeciwko siebie.

– O co tu chodzi? – szepnęłam do Baby Jagi.

– Nie teraz – odpowiedziała. – W domu.

Ktoś zaintonował starą pieśń o posłudze wobec bogów. Ja także zaczęłam ją nucić pod nosem. Witosław stał sztywno wyprostowany. Każda komórka jego ciała zdawała się skupiona do granic możliwości. Ho, ho, ho, jeszcze nigdy nie widziałam nikogo tak podnieconego wizją przyszłej pracy.

Ja na pewno jeszcze żadną pracą tak się nie ekscytowałam. Nawet pracą w szpitalu, która podobno była moim marzeniem...

Witek, niemal jakby poczuł na sobie moje spojrzenie, odwrócił się i puścił do mnie oko. Usłyszałam obok siebie chichot szeptuchy. Dźgnęła mnie łokciem między żebra na wypadek, gdybym nie usłyszała jej śmiechu.

– Wcale mi nie wpadł w oko – syknęłam przez zęby do Baby Jagi.

– Przecież to całkiem ładny chłopak. To żaden wstyd. Poza tym znalazłabyś sobie wreszcie kogoś normalnego, komu urodziłabyś dzieci. Czas na to najwyższy – skwitowała. – Najmłodsza już nie jesteś...

W naszą stronę odwróciło się kilka osób. Zgromili nas spojrzeniami za zakłócanie uroczystości. Wzruszyłam ramionami i wskazałam palcem na Babę Jagę, sugerując, że to wszystko jej wina.

Taka zresztą była prawda.

Najwyższy kapłan sięgnął po gałązkę jałowca i podpalił od ogniska jej czubki. Poczulałam żywiczny, upojny zapach. Kapłan, szepcząc słowa modlitwy, uniósł płonąca gałązkę i okadził nią Witka. Mężczyzna pochylił głowę i podziękował.

Następnie, ku mojemu zaskoczeniu, ze swojego miejsca zerwała się Baba Jaga. Poprawiła chustkę i ruszyła przed siebie w stronę nowego wróża. Jakaś szeptucha podała jej wiąchę wysuszonego wrotyczu. Niegdyś żółte kwiatostany

przypominające kulki zbrązowiały. Gdy mocniej machnęła ręką, zaczęły się kruszyć.

Baba Jaga przesunęła wrotycz nad ogniem. Do mojego nosa doleciał ziołowy zapach płonących kwiatów. Płomienie żarłocznie pochłaniały suche płatki. Zaczęłam się zastanawiać, czy szeptucha zdąży okadzić nowego wróża dymem, zanim spłoną doszczętnie w jej dłoniach.

– Abyś dobrze sprawował opiekę nad duszami. Ja, szeptucha, opiekunka ciała, oddaję ci we władanie dusze podległych mi ciał – powiedziała i machnęła szybko nad jego głową płonąca wiącha.

Iskry poleciały dookoła. Ledwie zdążył się pochylić. Inaczej zdzieliłaby go prosto w czoło. Z przestrachem przyglądałam się jego włosom. Na szczęście nie zajęły się ogniem. Wiecheć ziół wylądował w ognisku, a zadowolona z siebie Baba Jaga usadowiła się z powrotem koło mnie. Poczułam zapach palonego wrotyczu, który otaczał ją szarą mgiełką.

Najwyższy kapłan posłał szeptusze zirytowane spojrzenie, ale nie odważył się skomentować zbyt pospiesznego w jego mniemaniu namaszczenia nowego wróża.

Odetchnęłam jeszcze raz upojnym zapachem i zamarłam. Spróbowałam sobie przypomnieć wszystkie informacje na temat wrotyczu. Poza tym, że działał krwotocznie i przywoływał miesiączki, gdy zachodziła taka potrzeba, nie potrafiłam nic więcej wygrzebać w dziurawej pamięci. Pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że opary płonącego wrotyczu nie miały żadnych negatywnych skutków.

Dopiero skończył mi się okres. Miło by było nie dostać od razu następnego.

– Dzisiaj bez halucynogennych grzybków? – zapytałam szeptuchę.

– Nie, dzisiaj po prostu cieszymy się z nowego członka naszej małej społeczności – odpowiedziała. – Nie musimy się w tej sprawie komunikować z bogami. Oni wybrali go w momencie, gdy poczuł powołanie.

Pasowało to do naszych bogów. Oni z grubsza raczej niczym się nie interesowali. Chociaż może nie powinnam generalizować. Jednak pewne było to, że nigdy nie interesowało ich, co robiliśmy na zebraniach.

– Czy motyle mogą wydawać dźwięki? – zagadnęłam niespodziewanie szeptuchę.

– Słucham? – zdumiała się.

– Czy...

– Tak, tak, słyszałam. Zdziwiło mnie po prostu twoje pytanie.

Sięgnęła do torby i wyciągnęła z niej czerwony kubek termiczny w gwiazdki.

Wybałuszyłam na nią oczy. Pierwszy raz widziałam, żeby korzystała z takich nowinek technicznych. Baba Jaga uchyliła wieczko i odetchnęła, upajając się aromatem. Ja także poczułam delikatny zapach czarnej herbaty z sokiem

malinowym.

– Skąd... – zaczęłam, ale mi przerwała:

– Czekaj, myślę nad odpowiedzią. Motyle, motyle... nie wiem. Dziwne pytania zadajesz. Zaczekała i upiła spory łyk.

Zaczęłam się zastanawiać, czy aby na pewno w kubku była jedynie herbata z malinami. Nietypowo jak na nas, na zebranie wzięłyśmy tylko kanapki i wodę, bo jak wyjaśniła mi Jaga, byliśmy w żałobie i nie powinnyśmy się zbytnio cieszyć z nowego wróża.

– Co się tak patrzysz? – sarknęła. – Stara jestem, kości mnie bolą, a dzisiaj zimno. To wzięłam coś ciepłego.

Tak, po głębszym namyśle byłam już stuprocentowo pewna, że to herbata z likierem, a nie z sokiem malinowym. Zdradziło ją to, że się nie podzieliła, tylko wręczyła mi bez słowa plastikową butelkę wody mineralnej.

– Tak, tak, zimnica dzisiaj! – dorzuciła swoje trzy grosze szeptucha z Chęcina, która bezczelnie podsłuchiwała naszą rozmowę. – A co do pytania dziewczeczki, to motyle dźwięków nie umieją robić.

– Aha, dziękuję. – Uśmiechnęłam się do niej.

– Ale jest jeden gatunek ciem, który umie.

– Tak? – Baba Jaga odwróciła się do niej. – Popatrz no ty, kochana, tyle lat żyję i nie wiedziałam!

– A bo kto to na ómy patrzy? Brzydkie to takie... – Tamta pokiwała głową. Odchrząknęłam.

– Przepraszam, a jaki to gatunek ciem? – zapytałam, chociaż i tak znałam już odpowiedź.

– A taką śmieszna nazwę mają. Zmierchnica trupia główka. Ludziska to mają wyobraźnię! To te naukowce wymyślają takie nazwy.

Spojrzałam na płomienie, odwracając się od kobiet, które poczęły dyskutować na temat mających dziwne pomysły naukowców.

Przez moją głowę przebiegła gonitwa myśli. Nocnice nie chciały zrobić mi krzywdy. Gdyby chciały, już dawno by to zrobiły. Nakarmiły mnie przecież pyłkiem podczas festynu. Potem jednak nie ujawniały swojej obecności przez długie tygodnie.

Mało to razy wychodziłam sama z domu po zmroku? Miały tyle okazji, by mnie skrzywdzić. Najwyraźniej chciały mnie tylko przestrzec przed sobą, bym wiedziała, że gdzieś są i czekają.

Tylko na co czekają?

Płomienie ogniska zatańczyły mi przed oczami. Czy to Swarożyc je nasłał? A może inny bóg? Zadrzałam pomimo ciepła ogniska.

– Wszystko dobrze? – zaniepokoiła się Baba Jaga.

Oderwałam spojrzenie od płonących polan i posłałam jej uspokajający

w moim mniemaniu uśmiech.

– Oczywiście – odparłam.

– Po co pytałaś o te motyle?

– A tak mi przyszło do głowy, to pomyślałam, że zapytam – skłamałam.

W duchu się skrzywiłam. Za często ją okłamywałam. Powinam przestać.

– O Mszczuju porozmawiamy w domu. Jeśli chodzi o Mieszka, to powtórzę ci to, co mówiłam już dawno – powiedziała, biorąc najwyraźniej moje zakłopotanie za kolejny objaw obsesji na jego punkcie.

Wcale nie miałam obsesji, wypraszam sobie. W ogóle. Przecież nie myślę o nim każdego dnia przed zaśnięciem ani nie wypatruję go codziennie na drodze.

Robię to raptem raz na dwa dni... Nie można przecież nazwać tego obsesją.

Prawda?

– Masz, popij. Dobrze ci zrobi. – Wręczyła mi kubek termiczny.

Odsloniłam plastikowy dziubek i siorbnęłam. Tak jak podejrzewałam, alkohol zapiekł mnie w gardło.

– Dzięki – powiedziałam, oddając jej herbatę.

– Musisz wyczyścić sobie głowę – stwierdziła, przyglądając się przenikliwie Witkowi, który stał w otoczeniu innych uczestników ogniska.

Wszyscy gratulowali mu nowej posady i klepali po plecach.

Mężczyzna uśmiechał się uradowany. Patrzyłam, jak kiwa głową, słuchając kolejnych dobrych rad, którymi zebrani sypali jak z rękawów. Ani trochę mu tego nie zazdrościłam. Jak znam życie, wszyscy będą się spodziewali, że zastosuje się do owych rad, a potem będą mu wyrzucać do końca świata, jeśli tego nie zrobi.

Do moich uszu dotarły słowa pewnej starej szeptuchy, wyglądającej na oko na jakieś sto lat:

– Pamiętaj, tylko od kury zielononóżki. Najlepsze na twardo.

Przewróciłam oczami. Najwyraźniej wszystkie szeptuchy miały jakąś niczym nieuzasadnioną miłość do jajek.

– Mam pomysł – powiedziała zadowolonym tonem Baba Jaga.

Nie mówiąc nic więcej, zerwała się z miejsca. Miałam złe przeczucia co do tego, czy jej genialny pomysł aby na pewno był taki wyśmienity. Patrzyłam, jak przepycha się pomiędzy innymi szeptuchami do Witka. Zaczęłam się denerwować. Nie podobało mi się, w jakim kierunku to wszystko zmierzało.

Jeszcze się nie zdarzyło, żeby pomysły Baby Jagi były genialne.

Pociągnęła go za koszulę, żeby się pochylił, i wyszeptała mu coś do ucha. Następnie oboje odwrócili się w moją stronę.

Zupełnie mi się to nie podobało.

A jeszcze bardziej mi się nie podobało, że oboje mieli na twarzach konspiracyjne uśmiechy.

8.

Przeklinając pod nosem Babę Jagę, wędrowałam szosą w kierunku Bielin. Droga pod moimi stopami jak zwykle pięła się pod górę. Pomimo że spędziłam tu już pół roku, to moje łydki wciąż nie zdołały się przyzwycząić do pokonywanych wzniesień.

Zasiedziałam się u szeptuchy. Teraz znowu będę miała zakwasy.

Przełożyłam ciężki, wiklinowy koszyk z ręki do ręki. Pełen był jajek, świeżego chleba i ciasta. Swoje miejsce znalazły tam również dwie butelki nalewek i słoik domowych konfitur. Wyprawka, którą dostałam od Jarogniewy, była prezentem powitalnym dla nowego wróża. Witek dzisiaj wprowadził się do Bielin, do chatki Mszczuja. Jadze nie chciało się samej ruszyć tyłka, więc to mnie wysłała z pakunkami.

Po raz kolejny przysięgłam sobie w duchu, że kupię samochód.

Przypomniałam sobie naszą rozmowę po ceremonii namaszczenia nowego żercy. Baba Jaga powiedziała mi, że kapłani nie uznają demonów i boginek. Rzadko ktoś widział je na własne oczy. Znano je tylko z podań i legend. Przypomniała mi, że dopóki nie przeprowadziłam się do Bielin, sama miała kontakt tylko z ubożętami. To dzięki mnie zapolowała na wąpiersza, spotkała rusałkę czy płanetnika. Gdyby ścieżki naszego przeznaczenia się nie przecięły, pewnie też nie wierzyłyby w demony.

Baba Jaga i tak była wyjątkiem. Większość kapłanów i szeptuch nie ma nawet kontaktu z ubożętami. Elektryfikacja powoli zabijała te domowe duchy.

Ostrzegła mnie przed najwyższym kapłanem, który jak się okazało, jest strasznym dupkiem. Gdyby nie to, że na własne oczy zobaczył żmija, istniało spore prawdopodobieństwo, że śmierć Mszczuja potraktowałby jako morderstwo, a ja byłabym główną podejrzaną. Nie wiem, jak zdołał przekonać policję, by nie wszczyniała śledztwa. Zadrżałam na samą myśl, że gdyby nie smok, mogłabym siedzieć teraz w więzieniu. Raczej nie udałoby mi się udowodnić istnienia strzygi. Zwłaszcza po tym jak ją zabiliśmy, a Mieszko zabrał ciało.

Nie rozumiałam tylko, dlaczego negowali istnienie istot nadprzyrodzonych. Uważałam, że wiara w demony powinna iść w parze z wiarą w bogów. Zwłaszcza że to bogowie tworzyli potwory.

Westchnęłam ciężko. Chociaż w sumie co ja się dziwię? Jak ich nie widzieli, to nie wierzą. Tak samo niektórzy nie wierzą w bakterie, bo ich nie widać...

Najwyraźniej zamierzali wyrzucić z pamięci widok żmija, skoro nawet o nim nie wspomnieli. Baba Jaga twierdziła, że było to spowodowane strachem.

Słońce grzało niemilosiernie. Poczulałam, jak po plecach popłynęła mi strużka potu. Przystanąłam na chwilę, by zdjąć sweter. Byłam przekonana, że jak będę wracać po zapadnięciu zmroku, to zamarznę, teraz jednak najchętniej

wyrzuciłabym go w pole. Przetarłam mokre czoło wierzchem dłoni.

Do głównej drogi w Bielinach zostało mi jeszcze jakieś sto metrów. Wyobraziłam sobie lody, które bezwstydnie zamierzałam kupić na drogę powrotną i zjeść, zanim wrócę do domu, by Baba Jaga się na mnie nie wkurzała, że jadłam słodkie przed kolacją. Już nie mogłam się ich doczekać.

Nagle poczułam na sobie czyjś wzrok. Pot ściekający po plecach zamienił się w lód.

Powoli odwróciłam głowę w prawo i spojrzałam na znajdujące się za rowem pole. Żyto falowało na delikatnym wietrze. Kłosa pochylały w zgodnym rytmie swoje głowy, zupełnie jakby rozmawiały. Nie zdołałam dostrzec niczego niepokojącego. Napięcie, które usztywniło mi barki, powoli opadło. Odetchnęłam z ulgą. Z powrotem spojrzałam przed siebie gotowa do dalszej drogi.

– O cholera jasna! – ryknęłam, odskakując do tyłu.

Przede mną, w odległości jednego metra, na przykurzonym poboczu stała dobrze znana mi bogini. Mokosz wzięła się pod boki. Wciąż miała na sobie lnianą koszulę i prostą spódnicę. Tym razem jednak pod materiałem nie zauważyłam nawet śladu ciężowego brzucha.

Czyżby już minął termin jej porodu?

Bose stopy bogini tonęły w przydrożnym pyłe. Tupała, jakby coś ją zniecierpliwilo. W jej skołtunione włosy zaplątały się źdźbła suchej trawy, sugerując, że przed chwilą tarzała się po łące. Grube brwi zbiegły się pośrodku czoła, gdy wpatrywała się we mnie zniechęcona.

– Witaj, bogini – przywitałam się, jako że ona się nie odzywała.

Miałam gorącą nadzieję, że nie przyszła mnie zabić. Nie udało jej się wyeliminować Mieszka, który bruździł swoją nieśmiertelnością w jej idealnym kręgu życia. Niby wyglądało, że pogodziła się z porażką, kiedy nie udało jej się go zaszlachtować, ale cholera ją wie? Może postanowiła zemścić się na mnie?! Z bogami nigdy nic nie wiadomo.

– Wciąż nie jesteś brzemienna – stwierdziła raczej, niż zapytała. – Nie powinnaś była pić naparu z kwiecica paproci.

– Eee, tak. Wciąż nie jestem – odparłam.

Odetchnęłam głęboko. Najwyraźniej wciąż tylko Swarożyc wiedział, że zamiast wypić napar, polaliśmy nim ranę na moim brzuchu. Chyba tak było lepiej. Przynajmniej znieważeni bogowie nie usiłowali się na mnie mścić, jeśli byli przekonani, że jestem nieśmiertelna.

A ja nie zamierzałam się szybko przekonywać, czy polanie rany naparem było równoznaczne z jego wypiciem.

Mokosz pokręciła głową do własnych myśli, zupełnie jakby prowadziła wewnętrzny dialog.

– Co ja powinnam zrobić? – zapytała.

Może na przykład odczepić się ode mnie? Nie odważyłam się jednak powiedzieć tego głośno.

– Nie wiem, o co ci chodzi, bogini – odparłam pokornie, pochylając głowę.

Niby od niechcenia zrobiłam krok w bok, żeby stanąć na asfalcie. Parzył ją w stopy, nie było szansy, żeby poszła za mną.

Powinłam poważnie rozważyć propozycję mamy. Przeprowadzka do wybetonowanej Warszawy wyeliminuje możliwość spotkania bogini ziemi, o ile nigdy nie pójde do miejskiego parku.

– Jesteś moją córką. Martwię się o ciebie – powiedziała, a w jej oczach zobaczyłam najprawdziwszą troskę. – Jesteś też szeptuchą. To święte powołanie. To jedność ze mną i naturą, tą ziemią. Wydajesz się tego w ogóle nie szanować.

Gorączkowo zaczęłam się zastanawiać, czy jakimś cudem dowiedziała się, że kilka dni temu wyrzuciłam zasmarkaną chusteczkę do nosa na łąkę szeptuchy. Na litość wszystkich bogów, przecież to papier! Rozłoży się w dwa, trzy miesiące. Do zimy nawet ślad po niej nie zostanie. Jedynie moje alergiczne smarki mogły jakoś zanieczyścić środowisko.

– Przepraszam? – jęknęłam.

A może przeszkadza jej, że kupuję napoje gazowane w plastikowych butelkach? Albo że noszę zakupy w reklamówkach? O co jej chodzi?!

– Jesteś moją córką. Chcę dla ciebie jak najlepiej. – Zrezygnowana opuściła rękę. – To dlatego chciałam uwolnić cię od tego mężczyzny.

Łatwo domyśliłam się, że chodziło jej o Mieszka. Bogowie, całe szczęście, że nie chodziło jej o plastikowe opakowania. Widziałam, co zrobiła ze swoimi wyznawcami, którzy poważyli się mieć ortalionowe namioty. Wolałabym, żeby nie spotkał mnie podobny los.

– Nie szanowałaś złożonej mi obietnicy. W odpłacie za moją dobroć związałaś się ze Swarożycem – dodała.

Miałam ochotę zaprotestować. To zdecydowanie nie było tak. Jednak kłótnia z boginią nie była czymś, na co miałam ochotę.

– Nie wiem, co powiedzieć – mruknęłam.

– Trzeba było nie dotykać kwiatu – powiedziała surowym tonem.

Zapachniało mi to hipokryzją. Sama mnie do tego namawiała. Tuż przed tym, jak niemal zmusiła mnie, żebym za jego pomocą uśmierciła Mieszka.

– Dzieci muszą uczyć się same na własnych błędach – rzuciłam górnolotne hasło, mając nadzieję, że jakimś cudem dotrze do jej świadomości.

– Chyba masz rację – zgodziła się nieoczekiwanie. – Pamiętaj tylko, że jestem twoją matką. Zawsze możesz zwrócić się do mnie po pomoc. Nawet teraz, gdy działa na ciebie błogosławieństwo kwiatu.

Chwilę trwało, zanim zwalczyłam nagły opad szczęki. Czy mnie się zdaje, czy wszyscy bogowie są szaleni?

– Dziękuję – mruknęłam.

Uśmiechnęła się. Jej oblicze złagodniało. Zdawało mi się, że bije z niego delikatne światło. Mogłam wręcz zobaczyć pulsujące niebieskie żyłki pod bladą skórą. Nagle wydała mi się oszałamiająco piękna pomimo splątanych włosów i kurzu pokrywającego ubranie. Odwzajemniłam uśmiech.

– Czemu mi się ukazałaś? – odważyłam się zapytać.

– Źle potoczyło się nasze ostatnie spotkanie – rzekła.

Wyciągnęła rękę, ale cofnęła ją, gdy zdała sobie sprawę, że musiałaby wejść na szosę, żeby mnie dotknąć.

– Jesteś dla mnie ważna – oświadczyła.

Z jakiegoś powodu to wyznanie mnie zaniepokoiło. Zdecydowanie wolałabym być jej obojętna. Może wtedy dałaby mi spokój i pozwoliła żyć swoim życiem.

– Jestem tylko człowiekiem – zaprotestowałam.

W odpowiedzi uśmiechnęła się.

– Uważaj na Swarożyca – powiedziała.

– Czy wiesz może coś, co powinnam wiedzieć? Wiesz, czego ode mnie chce? – zapytałam.

– Stań gołymi stopami na ziemi i zawołaj moje imię, gdy będziesz mnie potrzebowała. Odpowiem. Zawsze przychodzę na wezwanie moich dzieci.

Następnie jej skóra zaczęła brązowieć. Ubranie przecierało się na moich oczach, ukazując pociemniałe ciało. Włosy zamieniły się w suche nitki słomy, które zaczęły osypywać się na ziemię. Przy następnym podmuchu wiatru rozsypała się w brązowy pył. Odskokczyłam, by gruzełki ziemi nie spadły na moje nogi.

Powoli podeszłam do kopczyka, gdy przestał się już ruszać, i stuknęłam w niego czubkiem trampka. Ziemia się osunęła. Niczego pod nią nie było.

Jeszcze raz zadrżałam. Niemożliwe było przyzwyczaić się do jej sposobu transportu. Za każdym razem widok tego, jak zamienia się w ziemię, odciskał się takim samym piętnem na mojej psychice. Nic dziwnego, że miałam koszmary.

Złapałam koszyk i truchtem ruszyłam w stronę Bielin.

Nogi zupełnie przestały mnie boleć, a koszyk wręcz dodawał mi rozpędu.

Odwróciłam się, by zerknąć szybko przez ramię. Kopczyk, w który przeistoczyła się moja nowa matka, zniknął rozwiany przez wiatr. Mój niepokój narastał.

Dlaczego znowu byłam ważna dla bogów?

9.

Gdy dotarłam na skrzyżowanie, byłam już nieźle zziębnięta. Jeszcze raz odwróciłam się za siebie i spojrzałam na prostą, jakby wytyczoną linijką drogę, która opadała w dół, by następnie wznieść się bliżej lasu. Nikogo na niej nie było.

Czy ci przekłeci bogowie nie mogą dać mi świętego spokoju? Znowu zaczęłam się nad sobą rozczulać. A już w miarę odzyskałam spokój psychiczny! Nawet mój smutek i niepokój o Mieszka zaczął powoli zniknąć. Jestem pewna, że wystarczyłyby mi jeszcze co najwyżej dwa miesiące świętego spokoju, herbatki z melisy i takie małe tabletki przeciwdepresyjne, które od jakiegoś czasu łykałyśmy na spółkę z jednego opakowania z Babą Jagą, i byłabym zdrowa. Całkowicie!

To jej się, cholera, przypomniało, że mogłaby namieszać. Irzecz jasna, niczego mi nie powiedziała o Swarozycu, tylko sypała jak z rękawa dobrymi radami. Typowe. Cholerni, przekłeci bogowie! Ażeby szczęśli wszyscy!

Rozwścieczona ruszyłam do domu Mszczuja, energicznie machając koszykiem. W obejściu zatrzymałam się gwałtownie, gdy uderzyła we mnie chmura pyłu. Zaniósłam się kaszlem i zasłoniłam oczy. Tylko cudem nie upuściłam kosza z jajkami na chodnik.

– Gosiu! Gosiu, nic ci nie jest?

Poczułam, jak czyjeś ręce łapią mnie za ramiona i odsuwają w bok. Cały czas zanosilałam się kaszlem. W ustach czułam smak betonu. O mało nie zwymiotowałam. Ktoś wyrwał mi koszyk z dłoni i zamasyście poklepał po plecach, kiedy pochyliłam się w kolejnym ataku głębokiego kaszlu.

– Nic nie wpadło ci do oczu? Dobrze się czujesz? Bogowie! Wezwać kogoś na pomoc?!

Uchyliłam powieki i uniosłam głowę. Przede mną stał ubrudzony farbą Witek. We włosach miał świeży cement. Zdałam sobie sprawę z tego, że ja też jestem nim oprószona niczym szarlotka Baby Jagi cukrem pudrem. Wyprostowałam się z wysiłkiem. Mięśnie brzucha i żeber zapiekły.

– Nie, chyba nic mi nie wpadło do oka. – Zamrugałam i jeszcze raz kaszlnęłam. Na języku cały czas czułam kamienny posmak betonu. Miałam ochotę splunąć, ale dziewczynie przecież nie wypada. – Za to chyba się tego najadłam. Fu!

– Miałaś pecha. Rozpruł się worek cementu akurat w momencie, gdy weszłaś na posesję – wyjaśnił. – Na pewno dobrze się czujesz?

Spojrzałam na zamieszanie w obejściu. Pył już opadł w przeciwieństwie do wzburzenia znanych mi gospodarzy z Bielin, którzy stali umorusani od stóp do głów w szarym pyłe. Spojrzałam na worek, który leżał na ziemi. Rozpruł się w dziwnym miejscu, bo idealnie na środku, jak gdyby ktoś przeciągnął po nim czymś ostrym. Czy to zemsta za to, że przez chwilę szczerze życzyłam bogom, żeby szczęśli?

Postanowiłam na przyszłość nie myśleć o nich z taką nienawiścią. Najwyraźniej skubani usłyszeli.

– Co tu się dzieje? – zapytałam.

– Mały remont. Okazało się, że dom poprzedniego żercy nie ma normalnej kuchni, nie mówiąc nawet o kanalizacji – wyjaśnił.

– Hm... Mszczuj cenił sobie proste życie – mruknęłam.

– Nie mam nic do prostoty, mimo wszystko jednak wolałbym rano wziąć prysznic – zaśmiał się. – A z toalety korzystać w domu, a nie w wychodku piętnaście metrów dalej.

– Czyli przebudowujesz jego chałupę?

Przestał się uśmiechać. Jego świdrujące oczy zamiast na zamieszaniu skupiły się na mnie. Poczułam się nieswojo pod ciężarem tego spojrzenia. Zawstydziałam się. Musiał usłyszeć żal w moim głosie.

– Gosiu, to nie jest tak, że kradnę dom poprzedniego żercy. Nie należał do Mszczuja. Na tej ziemi przez wieki mieszkali kolejni kapłani. Nie chcę też tym remontem zatrzeć wspomnień o Mszczuju. Po prostu muszę przystosować ten budynek do swoich potrzeb. Unowocześnić go. Podejrzewam, że nikt nie przeprowadził w nim remontu, odkąd go postawiono.

Zerknęłam na dom, do którego bardziej pasowało raczej określenie: chatka. Ściany wyginały się pod dziwnymi kątami, ani jedna nie była prosta. Część już dawno przegniła. Dach z otworem na dym wydawał się zapadnięty.

Szosa powoli nadjeżdżał buldożer.

– Nie zamierzamy wszystkiego wyburzać. – Uprzedził moje pytanie. – Trzeba wymienić ściany i dach...

– A co zostanie?

Zmieształ się.

– Piwnica...

Szczerze mówiąc, nawet nie wiedziałam, że chata Mszczuja miała piwnicę. Wydawało mi się, że pod gołym, brudnym klepiskiem nie było niczego. No proszę. Ciekawe, czy w piwnicy trzymał aparaturę bimbrowniczą?

– Przepraszam – powiedziałam. – Po prostu to wszystko strasznie szybko się dzieje. Ciężko patrzeć, jak znika pamięć o Mszczuju. Nie mieszkam tutaj długo, ale trudno mi pojąć, że już go nie ma. Nie znałam go dobrze, ale był dobrym człowiekiem. Naprawdę. Nie wiem, co usłyszałaś na jego temat. Mieszkańcy chyba nie byli z niego zbytnio zadowoleni, więc pewnie moja opinia może się nieco różnić.

Skrzywił się i kiwnął głową. Wzburzył dłonią włosy. W powietrze uniosła się mgiełka cementu.

– Do moich uszu dotarły różne opinie – przyznał niechętnie.

– To nie plotki. Żerca faktycznie był z niego marny, ale... był dobrym

człowiekiem – podkreśliłam to jeszcze raz. – Mam wobec niego duży dług wdzięczności.

– Rozumiem. Ściany niestety musimy postawić nowe, ale zapewniam cię, że zachowałem wszystkie pamiątki po Mszczuju. Łącznie z jakimś dziwnym systemem rurek, który znalazłem w piwnicy, i kilkoma baniakami czegoś, co pachnie jak benzyna. Pozwolę sobie to jednak wylać.

Zaśmiałam się. Wskazałam palcem na przyległy budynek, którego poddasze zajmował Mieszko.

– Tutaj mieszkał uczeń Mszczuja – wyjaśniłam. – Wydaje mi się, że jeżeli chociaż przez chwilę będziesz sprawiał wrażenie, iż istnieje możliwość twojego ożenku z córką gospodyni, to będziesz mógł tam mieszkać nawet za darmo.

Na jego twarzy malowało się niedowierzanie.

– Czyli to dlatego... – Pokiwał głową.

– No proszę, proszę! Czyli już stałeś się najgorętszym kawalerem w Bielinach! – obśmiałam go.

Zmieszał się wyraźnie.

– To nie było moim zamiarem. Muszę to wyjaśnić. – Zaciśnął wargi.

– Nie da się. Przecież nie przyzna się do tego, że chciała cię podstępem przymusić do swańby ze swoją córką. I dobrze ci radzę, uważaj na słowa i uśmiechy. Bo to nie jest jedyna panna na wydaniu w Bielinach. Spojrzysz na którąś kilka chwil i już cię wyswatają.

Wsunął kciuki w szlufki dzinsów i pokręcił głową. Zaśmiał się głośno. Miał miły śmiech, zaraźliwy.

– Czyżbyś już żałował przeprowadzki na wieś? – zapytałam.

– Nie, po prostu jak na razie spełniają się wszystkie moje oczekiwania co do tego miejsca.

– Podejrzywałeś, że dom, w którym będziesz mieszkał, ma zamiast podłogi ubite klepisko, a wychodek stoi kilkanaście metrów dalej?

– Przyznaję, był to najgorszy ze scenariuszy, które brałem pod uwagę. – Skrzywił się. – Najwyższy kapłan nie raczył mnie ostrzec, że to prawda.

Coraz bardziej go lubiłam.

– Ja tutaj jechałam z takim samym przekonaniem – wyznałam.

– I jak? Spełniło się? – chciał wiedzieć.

– Na szczęście nie.

Zrezygnowany spojrział na pobojobwisko. Także tam zerknęłam. „Profesjonalna” ekipa remontowo-budowlana Szwawier nie do końca ogarniała plac budowy. Będzie dobrze, jeśli podczas poprawek remontowych wszystko się nie zawali. Lokalny stolarz właśnie podjechał samochodem. Złapał się za głowę, gdy zauważył buldożer.

Miałam podejrzaną wrażliwość, że pomimo dobrych chęci fachowcy wcześniej

w ogóle się ze sobą nie porozumieli.

– Ja nie miałem tego szczęścia – skwitował ponuro Witek. – Do czasu wyremontowania domu zamieszkałem u tej gospodyni, o której mówiłaś. A że nie mam tam kuchni...

– To obiady jesz u niej? – dokończyłam.

– Tak – potwierdził kwaśnym tonem. – Dzięki tobie już wiem, że to nie dlatego, iż jest taka wierząca.

– Nie... przecież nie byłbyś aż tak naiwny... a może byłbyś? – naśmiewałam się z niego.

– Już dobra, możesz przestać się nabijać. Mam za swoje... – Ponownie potargał włosy. – A co ty w zasadzie tutaj robisz?

– Ach, ja przychodzę z darami. – Schyliłam się i podniosłam kosz z ziemi. – Szeptucha przysyła pozdrowienia. Ale spokojnie. Ona będzie cię karmiła, bo lubi karmić innych. Nie dlatego, że chce cię z kimś wyswatać.

A w każdym razie miałam taką nadzieję. Nie podobał mi się jej uśmiech, gdy zobaczyła Witka po raz pierwszy. Coś knuła.

– Dziękuję! – ucieszył się i wziął ode mnie kosz. – Ciężki! Szłaś na piechotę? Chyba się przedźwigałaś!

Zajrzał pod serwetkę, którą przykryła swoje wiktuały. Jego uśmiech jeszcze bardziej się poszerzył. Wręcz spodziewałam się po nim, że zaraz się obliże.

– W podzięcie zapraszam cię na ciasto i herbatę – oznajmił.

– Nie, nie, nie – szybko zaprotestowałam. – Nie będę ci go wyjadać.

– Nie przyjmuję odmowy. Zapraszam na górę, w moje skromne progi. Poza tym...

Machnął ręką dookoła swojej twarzy.

– Poza tym chyba powinnaś umyć twarz. Wyglądasz, jakbyś usiłowała ucharakteryzować się na ducha – dokończył.

Moja dłoń powędrowała do policzka. Potarłam go palcami. Opuszki były szare. Cudownie...

– Chociaż umyję twarz – mruknęłam. – Masz rację.

– Chodź za mną.

Ruszył przez podwórko w stronę drewnianych schodków. Powoli podążyłam jego śladem. Gdy przechodziłam koło okien gospodyni z parteru, zauważyłam ją po drugiej stronie szyby. Stała za firanką. Zupełnie nieruchomo, żeby przypadkiem nikt jej nie zauważył.

Pozostawało mi tylko mieć gorącą nadzieję, że nie podsłuchiwała naszej rozmowy...

Posłałam jej najniewinniejszy uśmiech, na jaki było mnie stać. Nie odwzajemniła go. Za to odprowadziła mnie nienawistnym spojrzeniem aż do schodów prowadzących do mieszkania Witka. Już czułam w kościach te plotki,

które rozprzestrzeniają się po całych Bielinach lotem błyskawicy.

Szeptucha miała rację. Coś mnie do tych kapłanów ciągnęło... Mogę się założyć, że wszyscy będą gadać o tym, iż zarzucam sidła na kolejnego wróża, skoro Mieszko uciekł.

Podejrzewam, że o zniknięcie Mieszka też mnie mogli po cichu oskarżać. Już ja znam te ich wsiowe ploteczki. Siądą w tym swoim kółeczku wzajemnej adoracji, znaczy kółku wiejskim, i będą mnie obgadywać.

Witek przepuścił mnie w drzwiach. Starannie wytarłam buty o wycieraczkę i weszłam na drewnianą klepkę.

– Może zdejmę buty – zasugerowałam, mając nadzieję, że zaprzeczy.

– Nie, nie musisz. Już i tak naniósł tu masę brudu z budowy.

Odetchnęłam z ulgą, bo lakier na paznokciach stóp już nieźle mi odlał. Głupio by było, gdyby zobaczył.

Witek nie wytarł swoich butów. Podeszwy jego adidasów zostawiły białe odciski na całej podłodze. Rozejrzałam się szybko. Zaszło tu sporo zmian, odkąd strych zajmował Mieszko. Okropna kraciasta kanapa została przykryta granatową, gustowną narzutą. Witek przysunął stolik kawowy do ściany i postawił na nim czajnik elektryczny. Obok stały pudełka z herbatą i opakowanie cukru ze sterczącą z wnętrza łyżeczką. Poza tym w kącie rzucił dwie rozpakowane walizki, a pod każdą niemalże ścianą leżały stosy książek. Było to tak różne od pustki, do której przyzwyczaiałam się w tym mieszkaniu, że aż zaniemówiłam.

– Łazienka jest... – zaczął.

– Wiem, wiem, muszę przejść przez sypialnię – odparłam, zanim zdążył skończyć.

Od razu ugryzłam się w język.

– Och, byłaś tu już? – zdziwił się.

Pstryknął włącznik na czajniku i postawił obok niego dwa puste kubki. Następnie sięgnął do kosza od szeptuchy po ciasto.

– Mieszkał tutaj uczeń wróża – odpowiedziałam szybko, jakby to tłumaczyło wszystko, i wskazałam kciukiem na drzwi do sypialni. – Zaraz przyjdę.

Z ulgą uciekłam przed kolejnymi pytaniami.

Sypialnia wiele się nie zmieniła. Owszem, powlekł kołdrę i poduszkę w swoje sprane, ale czyste poszewki, lecz poza tym nie wprowadził żadnych istotnych zmian. Z pewną dozą żalu spojrzałam na łóżko. Tęskniłam za tym ubitym materacem i zapachem Mieszka na poduszce.

Nie, to nie za łóżkiem tęskniłam. To ten idiota wzbudzał we mnie takie uczucia. Nawet nie pomyślał o tym, by mi dać jakikolwiek znak, że wszystko u niego w porządku. W ogóle chyba o mnie nie myślał. Mógł przecież zadzwonić. To znaczy mógłby, gdyby miał telefon...

Zirytowana uczuciami, które natychmiast wróciły, wypchnęłam jego obraz

z głowy.

Weszłam do łazienki. Tu także nie zaszły żadne istotne zmiany. Spojrzałam na swoje odbicie w starym, poszarzałym lustrze. Włosy i twarz miałam umorusane. Potrząsnęłam czupryną. Bez umycia włosów i tak wiele więcej nie dałabym rady zdziałać. Przemyłam kilka razy twarz i ramiona oraz dokładnie przepłukałam usta. Wyglądałam trochę lepiej.

Gdy wróciłam do pokoju, Witek właśnie zalewał wrzątkiem herbatę. Na obiadowym talerzu leżało pokrojone ciasto. Podał mi kubek i zapytał:

– Jeśli chcesz o nim porozmawiać, to możemy to zrobić. Wysłucham cię.

10.

– O kim?

Zatrzepotałam rzesami, udając niewiniątko, chociaż dobrze wiedziałam, o co mu chodzi. Wyrwałam mu kubek z dłoni, o mało co nie wylewając całej zawartości na podłogę. Uśmiech na mojej twarzy zamienił się w karykaturalny grymas.

– Słodzisz? – zapytał spokojnie i odwrócił się do mnie plecami.

Przez chwilę patrzyłam, jak pochyła się do stolika, by sięgnąć po opakowanie cukru. Furia, która mnie opanowała, odrobinę opadła. Usiadłam w fotelu, by w ten sposób był zmuszony zająć miejsce daleko ode mnie, na kanapie.

Powoli rozwarłam palce. Tak mocno ścisnęłam uszko kubka, że najpewniej zaraz bym je urwała. Witek wsypał trzy łyżeczki cukru do swojej herbaty i usiadł na kanapie. Skrzywił się, gdy sprężyna wbiła mu się w tyłek, i zmienił pozycję na wygodniejszą.

– O Mieszku – rzekł, mieszając zamaszycie łyżeczką w swojej herbacie. – Znasz tutaj każdy kąt, a on zajmował to mieszkanie przede mną. Poza tym Baba Jaga szepnęła mi co nieco.

Wkurzyłam się na nią. Nie miała prawa nikomu mówić o moim życiu uczuciowym, a tym bardziej zupełnie obcemu mężczyźnie. Co ona sobie wyobrażała?! Już ja jej powiem do słuchu, kiedy wrócę do domu.

– Chyba nie mam ochoty o nim rozmawiać – powiedziałam twardo.

– Rozumiem, poczęstujesz się ciastem? – zmienił gładko temat.

– Nie, dziękuję.

Straciłam wszelką ochotę na herbatę. Postanowiłam jak najszybciej ją wypić i stąd uciec. Przysunęłam kubek do ust, ale tylko boleśnie oparzyłam się w usta. Była za gorąca. Pożałowałam, że jednak nie zażyczyłam sobie cukru. Mogłabym zacząć ją energicznie mieszać, by szybciej wystygła.

– Długo już jesteś na naukach u szeptuchy? – zagadnął, a następnie wepchnął sobie do ust połowę grubego kawałka jabłecznika.

– Pół roku – burknęłam wciąż obrażona za włożenie z buciorami do mojego życia.

– To już całkiem długo – powiedział, gdy zdołał przełknąć. – I jak podoba ci się ta praca?

Skrzywiłam się.

– Nie jestem do niej przekonana. Tak naprawdę zawsze chciałam być lekarzem, pracować w szpitalu. Praca szeptuchy wygląda... zupełnie inaczej od typowego zawodu medyka – wyznałam.

– Same gusła? – zaśmiał się.

– Żebyś wiedział. Chociaż nie, nie można tego aż tak uogólniać. Podoba mi

się, że ma się czas na rozmowę z drugim człowiekiem. Często wiele osób nie przychodzi po prawdziwą poradę, ale po rozmowę, pociechę. To miłe. W szpitalu nie ma czasu na takie rzeczy. Pacjenta widzi się przez kilka dni, a potem znika, wraca do domu.

Sama zdziwiłam się swoją odpowiedzią. Szpital i praca w pośpiechu nie pozwalały budować tak bliskich relacji z pacjentami. Tam widziało się ciągle te same choroby, a nie tych samych chorych. Z kolei w chatce szeptuchy mogłam dobrze poznać całe pokolenia mieszkańców Bielin i ich bolączki. Miałam też większy wpływ na to, czy stosowali się do moich zaleceń. Nawet jeśli był to tylko nakaz zażywania syropu z sosny.

Spróbowałam herbaty. Wciąż była za ciepła.

– Nasze zawody są trochę do siebie podobne. Oboje zajmujemy się ludźmi. Mnie podoba się bardzo w pracy wróża ten kontakt z drugim człowiekiem. Nic porozumienia, zaufanie – oświadczył.

– Nie czujesz się przytłoczony odpowiedzialnością? – zapytałam.

– To dobra odpowiedzialność. Prowadzę moich podopiecznych w kierunku dobrego życia. Rozwiązuję ich problemy, przedstawiam je bogom. Poczucie, że ode mnie tyle zależy, napędza mnie energią. Jest o tym bardzo dobra książka. Nie wiem, czy ją czytałaś...

Zerwał się z kanapy. Odstawił kubek na stolik kawowy i zaczął przechadzać się pod ścianą w poszukiwaniu lektury. Sięgnął po leżące na jednym ze stosów okulary w czarnych oprawkach. Wsunął je na nos.

Uśmiechnęłam się. Wyglądał w nich jak młody, roztrzepany profesor.

– Mówi o tym, czym jesteśmy wobec potęgi bogów – powiedział.

Akurat o potędze bogów wiedziałam aż nadto. Nie byłam pewna, czy mam ochotę jeszcze o tym czytać.

– Spotkałeś kiedyś jakiegoś boga? – zagadnęłam.

Spojrzał na mnie kompletnie zaskoczony. Na jego ustach błąkał się rozbawiony uśmiech.

– Nie – odparł. – Wiesz, oni raczej nie pojawiają się osobowo przed swoimi wyznawcami. Możemy czuć jedynie ich duchową obecność. Rzeczy, o których mówisz, dzieją się tylko w filmach.

Ha! Pomieszka chwilę w Bielinach, to się bardzo zdziwi.

Podniósł książkę, której szukał. Przekartkował ją zadowolony i kiwnął kilka razy głową, zupełnie jakby mówił do swoich wspomnień. Wrócił na kanapę i podał mi książkę.

Przyjrzałam się barwnej okładce przedstawiającej jakieś bliżej nierozpoznawalne bohomy mające chyba być rozmydlonymi sylwetkami bogów. Z zadowoleniem zauważyłam, że nie była zbyt gruba. Ciekawe, co mówiła o boskiej potędze?

– To bardzo dobra lektura. Chętnie ci ją pożyczę – zaproponował.

– Hm, dziękuję – odparłam.

Głupio było odmówić przyjęcia książki, nawet jeśli nie miałam zamiaru jej przeczytać.

– Chyba nie jesteś zbyt wierząca, prawda? – spytał, mrużąc oczy.

– Jeszcze pół roku temu powiedziałabym ci, że jestem ateistką – odparłam z westchnieniem. – Ale po przeprowadzce tutaj bardzo dużo rzeczy się zmieniło. Tu wszystko jest żywe. Także bogowie – dodałam, ale nie zwrócił uwagi na nacisk, który położyłam na to słowo.

W żadnym razie nie zamierzałam mu opowiadać o swoich przygodach. Biorąc pod uwagę jego podejście, wzięłby mnie pewnie za wariatkę. Skoro nawet kapłani, którzy na własne oczy widzieli żmija, woleli wyrzucić to z pamięci, to czego mogłam się spodziewać po młodym, ambitnym żercy przekonanym, że bogowie nie mają form osobowych?

– Na to właśnie liczę. – Uśmiechnął się. – W Krakowie każdy pędził za pieniądzem, pracą. Wiara nie była już tak ważna. Liczyły się przedmioty, a nie dusza. Pobyt na wsi będzie wręcz ożywczy w tej kwestii.

Posłałam mu zdziwione spojrzenie.

– Chciałeś chyba powiedzieć *zesłanie* – skwitowałam. – Przecież kapłani obejmują dane stanowisko na całe życie. Już nigdy nie uwolnisz się od tego miejsca. Nie wrócisz do Krakowa. Zostaniesz tu na zawsze.

Upił łyk herbaty, mierząc mnie poważnym spojrzeniem. – Nie mam nic przeciwko. Dlaczego uważasz, że to jest coś złego?

– A twoja rodzina? Nie zostawiłeś w Krakowie nikogo, na kim by ci zależało? – drążyłam autentycznie zaciekawiona. – Przecież praktycznie nie będziesz mógł się stąd ruszyć. Żerca musi się opiekować wiernymi siedem dni w tygodniu.

– Nie jestem żonaty, nie miałem dziewczyny – wyznał. – Z rodziną nie utrzymuję bardzo ścisłych kontaktów. Widzimy się głównie na święta. Nie do końca akceptują mój wybór kariery.

– Och, przykro mi.

Poprawił zsuwające się z nosa okulary.

– Niepotrzebnie. – Wzruszył ramionami. – Rozumiem ich. Każdy rodzic wyobraża sobie przyszłość swojego dziecka. Zawiedli się, że nie spełniłem ich marzeń. Gosiu, ja naprawdę jestem zadowolony ze swojego życia. Jest takie, jakie chciałem, żeby było. Za nic bym go nie zmienił. A przeprowadzka na wieś? To przygoda mojego życia. Wolę to po stokroć od zamknięcia w świątyni w Krakowie.

Zaczęłam się zastanawiać, czy ja mogłam to samo powiedzieć o mojej życiowej ścieżce. Z pewną dozą zaskoczenia po raz kolejny uświadomiłam sobie, że chyba wypadłam już z rytmu pracy w wielkim mieście. I wcale nie tęskniłam za

tym wiecznym pośpiechem.

Chociaż z drugiej strony nie obraziłabym się, gdyby poza tym sfera duchowa była wyłącznie duchowa, tak jak uważał Witek.

Zdałam sobie sprawę z tego, że herbata już ostygła. Wypiłam duszkiem pół kubka.

– Wiesz... Mszczuj nie uczył się u miejscowego żercy. Nie był stąd. Przyjechał do Bielin tak jak ty, z powołania – powiedziałam.

Witek był zaskoczony.

– Nikt ci nie powiedział? – zdziwiłam się.

– Nie, nie wiedziałem.

– Najwyższy kapłan chyba nie powiedział ci wielu rzeczy – skwitowałam, a następnie dodałam łagodniejszym tonem: – Mam nadzieję, że ci się tutaj spodoba.

Mówiłam prawdę. Nie chciałam, żeby zawiódł się na tym miasteczku. Nie miałam powodu, by mu źle życzyć.

– Na pewno mi się spodoba. Mam wiele planów – oświadczył.

– Planów?

– Nie ma tutaj świątyni z prawdziwego zdarzenia. Chciałbym zebrać na nią fundusze i jak najszybciej rozpocząć budowę. Mieszkańcy powinni mieć miejsce, do którego w każdej chwili mogą pójść, żeby porozmawiać z bogami.

– Mogą iść pod święty dąb – zauważyłam. – Przez całe wieki to było święte miejsce całego regionu. Albo mogą jechać na Łysą Górę do pomników.

Skrzywił się i poprawił okulary.

– Wiem, ale to dość daleko. Jeśli chodzi o dąb, to idąc przez te górki i dołki, można się porządnie zasapać. Dla niepełnosprawnych jest praktycznie niedostępny.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Chyba nie tylko ja miałam wieczne zakwasy w łydkach.

– A Łysa Góra? – kontynuował. – Można tam niby podjechać dorożką. Nie trzeba iść na piechotę. Jednak jestem przekonany, że połowie mieszkańców nie chce się wydawać pieniędzy na dorożkę. Chciałbym stworzyć miejsce... bardziej dostępne. Gdzie o każdej porze dnia i nocy można się pomodlić.

– Dorożki są głównie dla turystów – wtrąciłam. – Miejscowym się nie opłacają.

– Domyślam się, że stawki są ustalane raczej pod przyjezdnych.

– Świątynia to dobry pomysł – pochwaliłam go.

– Marzy mi się, żeby w środku stały pomniki, jeszcze wspanialsze od tych z Łysej Góry – wyznał.

– Marzy ci się druga Arkona?

Świątynia w Arkonie na wyspie Rugia była niegdyś najśłynniejszą i najpiękniejszą słowiańską świątynią. Legendy głosiły, że posągu Świętowita i skarbcza broniło tam niemal trzystu wojowników. Niestety została zniszczona,

a skarby boga rozgrabione.

Ciekawe, czy Świętowit kiedykolwiek pozbiierał się po tym psychicznie?

Witek się zaśmiał.

– Chciałbym, żeby to było coś wspaniałego, ale nie mam żadnych złudzeń, że kiedykolwiek dorównam innym świątyniom. To będzie raczej mały projekt. Bardzo podobają mi się kapliczki z drewnianymi posągami bogów na rozstajach dróg. Chciałbym stworzyć zbiór tych rzeźb. Miejsce, gdzie w ciszy każdy mógłby oddać cześć bogom. Rozmawiałem już o tym ze stolarzem. Wieczorami dłubie w drewnie. Zaproponował, że mógłby ofiarować w darze świątyni kilka rzeźb.

Przed oczami stanęła mi świątynia z jednej z wizji, które kiedyś miałam na temat Mieszka. To była świątynia na Górze Lecha. Ciekawe, czy myślał o czymś takim.

Ponownie stanął mi przed oczami władca Polan.

– Trzymam kciuki za twój pomysł – powiedziałam.

Wbił we mnie uważne spojrzenie, zupełnie jakby zobaczył, że posmutniałam.

– Niepokoi mnie jedynie duże zainteresowanie demonami w tym regionie – westchnął.

– Jak to?

– Gdy opowiedziałem o moim pomysle majstrowi, zapytał, czy postawię pomnik pλανetnikowi. – Nie krył w głosie oburzenia. – Pλανetnikowi! W mojej świątyni!

– W ogóle nie wierzysz w demony i boginki? – Nie potrafiłam ukryć rozbawienia w głosie. Całe szczęście, że udało mi się ukryć potępienie. – Jakim cudem wierzysz w bogów, a nie w resztę istot nadprzyrodzonych?

– Bogowie kształtują nasze życie. Istoty nadprzyrodzone nie istnieją. Służą tylko tłumaczeniu zjawisk naturalnych. Nie ma południc. Jest udar cieplny.

Zaczęłam mu współczuć. Miałam zupełnie takie same poglądy, kiedy tu przyjechałam. Był jak ja. Musiałam przekonać się na własnej skórze, zanim uwierzyłam. Czekala go ciężka szkoła życia.

No, chyba że nigdy nie dostąpi wątpliwego zaszczytu dowiedzenia się na własnej skórze, czym są upiry. Zawsze istniała szansa, że tylko ja jestem aż tak doświadczona przez los. Może jego nie będą dotyczyły szachrajstwa bogów i ich wysłanników.

– To dziwne – stwierdziłam. – Przecież jesteś kapłanem. Jak możesz ich nie uznawać? Demony współistnieją z bogami. To bogowie je tworzą.

– Bogowie w przeciwieństwie do demonów istnieją. Kiedyś ludzie tłumaczyli sobie różne zjawiska za pomocą przesądów. Demony są takimi przesadami. Bogowie nie tworzą potworów.

Pokręciłam głową. Skubani nieźle się wybielili przed duchownymi, skoro

najwyraźniej te poglądy były powszechne.

– Rozumiem, że demonologia jest czymś, czym się zajmujesz – zaznaczył. – Nie chcę, abyś pomyślała, że usiłuję odebrać ci chleb.

Zaniemówiłam na chwilę. Czy on właśnie posądził mnie o nieetyczne zachowania?

– Co?! – wykrzyknęłam w końcu.

– Uczysz się na szeptuchę. Wiem przecież, że poza wiedzą medyczną stosujecie uroki. – Wykonał w powietrzu znak cudysłowu. Nie wydawał się w ogóle zawstydzony moim oburzeniem. – A także przestrzegacie ludzi przed demonami i sprzedajecie najróżniejsze specyfiki na ich odstraszenie. Nie powinniście tego robić. To żerowanie na ludzkiej niewiedzy. Rozumiem, że biznes musi się kręcić, ale są ludzie, którzy zamiast w bogów święcie wierzą w upiry i wampiry. Mogą w ten sposób zgubić drogę. A moim zadaniem jest pilnować, by tego nie robili.

– Wcale nie jesteśmy takie – obruszyłam się, a po chwili dodałam: – Poza tym wampiry to rodzaj upirów, a nie osobny gatunek.

Jak już krytykował, to powinien chociaż wcześniej dogłębnie zapoznać się z nazewnictwem.

– W takim razie przepraszam. Najwyraźniej jak do tej pory miałem do czynienia z szeptuchami nie do końca rozumiejącymi ten świat. Nie było moim celem obrażenie cię – pokajał się.

No wcale.

Przygryzłam wargę. W sumie nie miałam się o co kłócić. Sama, nie dalej jak dzisiaj, sprzedawałam amulet przeciwko lotawicom bądź latawicom, jak niektórzy mówili. Tak więc moje oburzenie lekko zalatywało hipokryzją.

Lotawice to istoty powietrzne, podopieczne boga wiatru Striboga. Jedna z gospodyń z kółka wiejskiego była przekonana, że nocami lotawica wpada przez komin jej domu i uwodzi męża. Z grubsza te istoty (powstałe z poronionych płodów, a jakże) wyłącznie tym się zajmowały. W przeciwieństwie do innych boginek i demonów nikogo nie zarzynały, nie topiły, nie zatańcowały.

One jedynie wlatywały przez kominy z pomocą błoniastych skrzydełek umieszczonych pomiędzy rękoma a klatką piersiową, uwodziły, jak trzeba było, to napastowały, a potem porzucały, żeby ofiara umarła z tęsknoty.

Jak na mój gust to mąż gospodyni pewnie w nocy oglądał trochę za głośno pornosy, ale ona była święcie przekonana, że słyszała przez drzwi, jak lotawica go napastuje.

No cóż. Bywa. Należy się sto złotych za amulet.

– Przynajmniej ci ludzie w cokolwiek wierzą – zauważyłam, usiłując odrobinę się zrehabilitować. – Wychowałam się w Warszawie. Tam nikt się nie przejmował ani bogami, ani zabobonami. Wszyscy traktowali religię jak uroczy

folklor i możliwość wolnego dnia od pracy w przypadku świąt.

– Też prawda – przyznał.

– Ba, ja sama kiedyś taka byłam – westchnęłam, odrobinę tęskniąc za tamtymi czasami.

– To co się stało, że zmieniłaś zdanie? – zapytał zaciekawiony.

– Można powiedzieć, że poczułam oddech bogów na karku, tutaj w Bielinach – odparłam wymijająco.

Bezwiednie podrapałam się po małym oparzeniu na szyi.

Uśmiechnął się do mnie ciepło i zdjął zsuwające się okulary. Pomasował grzbiet nosa, na którym odcisnęły się czerwoną pręgą oprawki.

– Cieszę się na naszą współpracę – wyznał. – Naprawdę się cieszę. I w żadnym razie nie jest to próba przypodobania ci się. Bałem się, że trafię do bardzo zaściankowej miejscowości, gdzie będę zmuszony toczyć małą wojnę z szeptuchą, która będzie widziała demony w każdej chorobie. Widzę jednak, że niepotrzebnie się obawiałem.

Kiwnęłam głową i dopiłam herbatę. Zobaczymy, jak to jeszcze będzie z tą współpracą.

– Nie będę cię już zatrzymywać. Na pewno masz dużo spraw na głowie. Wiesz, budowa... – powiedziałam.

Wstałam z fotela. Witek zerwał się z kanapy i zabrał ode mnie pusty kubek.

– Może cię odprowadzić...? – Jego pytanie zawisło w powietrzu.

– Pilnuj lepiej budowy – poradziłam mu. – Ja sobie poradzę.

– Do zobaczenia w takim razie.

– Do zobaczenia.

11.

Baba Jaga przyglądała mi się z dezaprobatą. Kiedy myślała, że nie patrzę, popukała się w czoło. Zobaczyłam ten gest tylko dlatego, że miałam przed sobą lustro, w którym częściowo się odbijała.

– Uważam, że to głupota – stwierdziła kategorycznie. – Nie wolisz zjeść bezy?

Uniosła do góry porcelanowy talerzyk, na którym leżał kawałek tortu bezowego, który dzisiaj zrobiła. Beza z jajek od zielononózek z kremem śmietanowym – jeden z popisowych przepisów mojej szeptuchy, zapewniający cukrzycę od ręki. Ślinka mi pociekła, ale byłam twarda.

– Nie, najpierw trening! – oświadczyłam. – Muszę nabrać kondycji.

Zerknęła na talerzyk, a następnie na mnie. Wyglądała, jakby poważnie się zastanawiała, czy aby na pewno wszystko ze mną dobrze.

– A po co? – szczerze się zdziwiła. – To ty zamierzasz jeszcze przed kimś uciekać przez puszcę?

– Nigdy nic nie wiadomo.

– Gadanie – westchnęła. – Znowu się naoglądałaś jakichś głupkowatych programów w telewizji? Przecież prawdziwe kobiety tak nie wyglądają. Facet lubi mieć za co złapać. Każdy chłop ci to powie.

– Nie robię tego dla żadnego faceta. Robię to dla siebie – stwierdziłam, mocniej zaciskając frotkę na wysokim kucyku.

– To samo mówią te „wieszaki” w telewizji.

Jej spojrzenie ponownie zawędrowało do moich wściekle różowych butów do biegania. Byłam ich dumną posiadaczką od dzisiaj. Włożyłam do nich czarne legginsy i czarną podkoszulkę z odblaskami. Już ja wiedziałam, jak po zmroku jeżdżą tutejsi kierowcy. Bez odblasków ani rusz!

Uśmiechnęłam się do swojego odbicia. Wyglądałam całkiem dobrze.

– Lepiej zostań w domu. Wietrznie dzisiaj, jeszcze wilka złapiesz – poradziła.

Przewróciłam oczami. Zapalenie pęcherza mi nie groziło. Założyłam bawełniane gacie sięgające mi pod legginsami aż do pępka. Poprawiłam podkoszulek. Miałam też na sobie stanik do biegania o jeden rozmiar za mały, żeby mi piersi nie odpadły przy podskakiwaniu. Odrobinę mnie podduszała. Czulałam się tak, jakby moją klatkę piersiową zgniatało imadło. Dziwne, przecież tańczyłam w nim na zumbie w zeszłym roku, gdy jeszcze mieszkałam w Warszawie!

Uśmiechnęłam się na myśl, że może biust mi urósł.

Niestety później moje spojrzenie zsunęło się na biodra, a później zerknęłam na bezę, którą przegryzała Baba Jaga. To wszystko wina słodczy. To dlatego dzinsy zaczęły być przyciasne.

– Spokojnie, dam sobie radę. Nic mi nie będzie – zapewniłam ją. – Muszę schudnąć.

– Jak chcesz, żeby ludzie zobaczyli te okropne buty, to powinnaś pójść drogą do Bielin – poradziła, puszczając moje wytłumaczenie mimo uszu. – Na pewno wszyscy będą chcieli popatrzeć.

– Nie są okropne – zaprotestowałam.

Okropna była tylko ich cena, ale nie zdradziłam jej Babie Jadze. Uznałaby je za jeszcze większą fanaberię.

Poza tym ani myślałam biec w stronę zabudowań. Ostatnie, na co miałam ochotę, to plotki na temat mojej żalosalnej kondycji. Nie miałam żadnych złudzeń, że po przebiegnięciu stu metrów złapie mnie kolka.

– Wzięłaś swój amulet? – zapytała.

– Tak, tak. Mam go ze sobą – odpowiedziałam i poklepałam się po podkoszulce na piersiach.

– Nie zmarzniesz aby? Weź może jakąś kufajkę albo sweterek.

– Będę biegła, nie zmarznę.

– Uważaj, żeby cię jaki kierowca nie przejechał – rzuciła kolejną dobrą radę.

– Oczywiście.

– Nie wolisz jednak zostać w domu i zjeść tortu? Mogę posiedzieć z tobą i pooglądać te głupie programy w telewizji – zaproponowała z bólem w głosie.

Wiedziałam, ile znaczy ta propozycja. Nie cierpiała programów, które ja namiętnie oglądałam. Jednak postanowiłam być twarda. Kiedyś musiałam się zmobilizować. Inaczej minie kolejne pół roku z deserami szeptuchy i będę musiała nosić wełniane spódnice na gumce jak ona.

– Oczywiście, że tak bym wolała. Ale to nie o to chodzi. Chcę pokonać siebie i zobaczyć, co mogę. Przekroczyć pewne granice – zaczęłam rzucać górnolotnymi tekstami.

– A wzięłaś telefon? Na wypadek gdybyś się zgubiła? – zupełnie zignorowała moją przemowę. – Wiesz co? Weź jednak bluzę. Przecież się przeziębisz.

Wyjścia z domu pożałowałam równo dziesięć minut później. Tyle czasu wystarczyło, żeby złapała mnie kolka, a wiatr przewiał do szpiku kości. To chyba nowy rekord mojego kompletnie nieprzyzwyczajonego do wysiłku fizycznego ciała. I ja się pytam – po co chodziłam na tę zumbę na studiach, skoro mi to niczego nie dało? Ani wyczucia rytmu, ani kondycji?

Szczękając zębami mimo bluzy, którą w ostatnim momencie wepchnęła mi Baba Jaga, dotruchtałam szosą do rozstaju dróg. Mogłam skierować się w dół do Bielin. Była to kusząca propozycja, niestety otoczona z obu stron lasem droga

opadała tylko przez chwilę, by później niemalże stale wznosić się. Ponadto nie miałam żadnej gwarancji, że nie zaatakuję mnie jakiś mieszkaniec lasu. Wielu ich się przecież tutaj płało. Z drugiej strony, mogłam pobiec w stronę Kakonina. Niestety wiązało się to z koniecznością biegu w pobliżu zabudowań i pól.

Szybkim krokiem, bo trucht wywoływał u mnie tylko kolejne kolki, ruszyłam w stronę Kakonina. Wiatr wzmagął się z każdą chwilą. Niedługo później zaczęły mi łzawić oczy. Jak na złość miałam tylko dwie chusteczki do nosa, które od razu zasmarkałam.

Baba Jaga się myliła. Nie złapię zapalenia pęcherza. W najlepszym razie groził mi katar, a w najgorszym zapalenie płuc.

Spojrzałam na barwne niebo usłane pojedynczymi chmurkami, które szybko przesuwały się gnane kolejnymi podmuchami wiatru.

Nagle powiał bardzo silny, ale dość ciepły wiatr, szarpiąc moimi włosami i wyciągając pojedyncze pasma z frotki. Usłyszałam czyjś chichot.

Szybko otarłam łzy i rozejrzałam się dookoła. Wszystkie moje mięśnie napięły się jak postronki. Lekko ugięłam nogi w kolanach i zgarbiłam plecy, by być gotowa w każdej chwili do ucieczki lub ataku. Czujnie nasłuchiwałam. Nie dostałam więcej ostrzeżeń od nocnic, odkąd zobaczyłam ćmy na Łysej Górze. Po cichu miałam nadzieję, że może o mnie zapomniały.

Głupia.

Te istoty nigdy nie zapominają.

– Kto tu jest? – zapytałam ostro.

Tłumiony śmiech rozbrzmiał tym razem za moimi plecami. Odwróciłam się na pięcie gotowa do walki.

Przede mną stał chłopaczek w wieku około dziesięciu, może dwunastu lat. Opuściłam ręce i rozluźniłam pięści. W żadnym razie nie przypominał nocnicy.

Wiatr szarpał jak szalony jego skołtunionymi włosami. Wydawało się, że zaraz powyrywa mu je z głowy razem z cebulkami. Dla odmiany jego obszerna lniana koszula zdawała się tylko lekko wzburzana przez podmuchy. Poza tym miał na sobie płócienne portki wpuszczone w wysokie za kostkę czarne buty.

O ile jego włosy wyglądały dziwnie i mogły wzbudzić wątpliwości, o tyle jedna rzecz przesądziła o tym, żebym wiedziała, że nie jest człowiekiem. Który chłopak w jego wieku nosi takie portki? Przecież oni wszyscy mają dzinsy przyrośnięte do tyłków.

– Czym jesteś? – zapytałam, robiąc niby od niechcienia krok w tył.

Rzecz jasna, zauważył to. Uśmiechnął się do mnie szeroko. Miał ukruszony czubek lewej jedyńki, co nadawało mu zawiadacki wygląd wiecznego urwisa.

– Niewinnym chłopcem? – odpowiedział pytającym tonem.

– Jasne... Obłocznik?

Rzuciłam pierwszym lepszym, co przyszło mi do głowy. Radek kiedyś

opowiadał mi o tych istotach. Opiekowały się chmurami.

Chłopaczek prychnął z pogardą.

– Proszę cię, one wszystkie już dawno wyemigrowały na Ukrainę – skwitował. – Zgaduj dalej.

– Na planetnika jesteś trochę za młody, nie?

– Niestety. – Puścił do mnie oko. – Poza tym, żeby być planetnikiem, musiałbym, wiesz... być człowiekiem.

– Chmurnik?

Nie było już innych istot, które mogłyby przyjść mi do głowy. Poza tym do litery C doszłam już dawno temu podczas mojej lektury bestiariusza szeptuchy. Autorzy co prawda nie byli stuprocentowo pewni, czy chmurnicy czymkolwiek różnili się od planetników, więc opis nie był dokładny. W niektórych rejonach Królestwa używano tych nazw wymiennie.

Odrobinę się rozluźniłam. Z tego, co pamiętałam, chmurnicy raczej nie byli niebezpieczni. Ich życiowym celem było głównie podwiewanie kobietom kiecek.

Chłopaczek pokiwał głową.

– W zasadzie można mnie tak sklasyfikować – zgodził się. – Poznałaś po włosach?

– Po portkach.

Zafrapowany spojrział na swoje spodnie i dotknął dłońmi nogawek.

– Coś z nimi nie tak?

– Wyszły z mody jakieś dwieście lat temu... co najmniej.

– Och, to by wiele tłumaczyło. – Wydawał się zachwycony odkryciem.

Nie miałam zielonego pojęcia, co by mu to tłumaczyło, i wcale nie miałam ochoty się tego dowiadywać.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytałam, ponownie się cofając.

Chmurnik zrobił krok do przodu, żeby być w tej samej odległości co wcześniej. Cały czas przestępował niecierpliwie z nogi na nogę, zupełnie jakby nie potrafił ustać w miejscu. Przez głowę przemknęło mi, że gdyby był człowiekiem, już dawno zdiagnozowano by mu ADHD.

– A dobrze, że pytasz – powiedział, ponownie ukazując mi wadliwe uzębienie w szerokim uśmiechu. – Bo mam sprawę. Szukam Radka, planetnika.

Zaskoczył mnie tym. Spodziewałam się, że mnie zaatakuje, będzie chciał wyrwać serce, udusić, zabić czy co tam zwykle chcą ode mnie istoty nadprzyrodzone. A tu nowość. Po prostu chciał pogadać.

Podejrzane...

– Znam Radka, ale nie widziałam go od obchodów Nocy Kupały. Nie wiem, gdzie może teraz być – odparłam zgodnie z prawdą.

Chłopiec posmutniał. Zdawało się, że nawet jego włosy odrobinę oklapły.

– Och, bo wiesz... Trochę się o niego martwimy – wyjaśnił. – Nie

kontaktował się z nami, a niebawem ważna bitwa. Zbliża się sezon burzowy, na który wszyscy bardzo czekamy. Bardzo!

– Bitwa? – zaniepokoiłam się.

– Taki nasz... jak ci to wyjaśnić? – Postukał się niecierpliwie paznokciem po ułamanym zębie. – Och, wiem! Mecz! Taki nasz mecz! Wiesz, my istoty Striboga, mamy dość wybuchowe charaktery. Ja osobiście ciągle toczę spór z pewnym porońcem. To niezły sukinsyn. Lubimy ze sobą powalczyć. A nie ma przecież lepszego momentu niż sierpień. Radek nam sprowadza deszcz, a my się lejemy po mordach.

– Hej, wyrażaj się – burknęłam, zanim się opamiętałam, że przecież nie mam do czynienia z dzieciakiem.

Zachichotał wesoło.

– Śmieszny z ciebie człowiek – stwierdził. – Naprawdę śmieszny.

– Nie pomogę ci, nie mam zielonego pojęcia, gdzie jest Radek – powtórzyłam raz jeszcze i skrzyżowałam ramiona.

Zaczęłam się porządnie o niego niepokoić. Istniała szansa, że rzeczywiście spakował manatki i uciekł, gdzie pieprz rośnie, w nadziei, że w ten sposób uniknie wykonywania niechcianej i niebezpiecznej pracy. Wszystko fajnie, ale coś mi tu nie pasowało. Radek pomimo swoich pełnych testosteronu bicepsów nie wyglądał na specjalnie zdecydowanego na uciezkę. Nie byłam pewna, czy miałby jednak determinację potrzebną do tak odważnego czynu.

Spojrzałam na horyzont, który czarnym paskiem zaznaczał brzeg puszczy. A co, jeśli Świętowit jakoś go ukarał za porzucenie służby? Jako planetnik powinien być sam sobie panem, ale w jakiś sposób Świętowit go mimo wszystko kontrolował.

Nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi, ale go lubiłam. Najłatwiej było mu zrozumieć sytuację, w jakiej się znalazłam.

– Czy planetnik nie powinien być posłuszny Stribogowi? – zapytałam tknięta nową myślą.

– Nie, dlaczego? – zdziwił się.

– A ty?

– Pytasz, czy komuś podlegam? Nie, nie mam pana. Sam sobie jestem panem.

– A kto cię stworzył?

Przekrzywił głowę, jakby przez chwilę zastanawiał się, co powinien mi odpowiedzieć. Jego włosy uniosły się do góry, gdy od dołu nagle owionął go gwałtowny podmuch. Przytrzymał dłońmi koszulę, żeby nie wywinęła mu się na twarz.

– Powstałem, gdy wiatr południowy pocałował wschodni, daleko na stepach Wschodu – odpowiedział w końcu. – Wtedy chyba się urodziłem.

– I już byłeś taki? – Nie wiedziałam, jak powinnam zadać to pytanie.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Jestem, jaki jestem. W ogóle to nazywam się Suchowiej, bardzo mi miło.

Uklonił się w parodii dworskiego ukłonu. Koszula podwinęła mu się do góry i opadła na głowę. Zniesmaczony wcisnął ją w portki.

– Ja jestem Gosia – przedstawiłam się. – A czym w sumie jesteś? Jako chmurnik.

Cała ta rozmowa robiła się coraz bardziej absurdalna.

– No wiatrem, a czym miałbym być? Wiatrem poganiającym chmury. Gdyby nie ja, stałyby w miejscu – skwitował tonem dość jawnie sugerującym, że jestem głupia. Włosy mu załopotwały, gdy radośnie się zaśmiał. – Wiem, o co ci chodzi! – wykrzyknął. – Uważasz, że skoro Stribóg jest bogiem wiatru, to pewnie stworzył mnie i Radka. A skoro nas stworzył, to pewnie ma nad nami władzę i wie, gdzie on jest, tak?

– Coś w ten deseń – mruknęłam.

– Nie, to nie tak. On nas nie stworzył. Nie maczał w tym swoich długich paluchów. On tylko rozstrzyga pomiędzy nami spory i z grubsza pilnuje, żebyśmy byli tam, gdzie powinniśmy.

– Jak to?

Zniżył głos do szeptu:

– Ja tak naprawdę powinienem być bardziej na wschodzie, ale Stribóg chyba już się tym znudził. Wiesz, tym całym pilnowaniem. W związku z tym przybyłem do tej pięknej krainy kilka lat temu.

Powoli zaczynałam rozumieć. Suchowiej najwyraźniej był jakimś lokalnym wiatrem z innego rejonu świata.

– A dlaczego przybyłeś tutaj?

– A czemu nie? Podróżuję ostatnio po całym świecie. Odwiedziłem Halnego i Fena, a potem pomyślałem, że też zostanę wiatrem górskim jak oni. A co! – odparł. – Lubię próbować nowych rzeczy.

– A co się stało ze Stribogiem? – zapytałam.

– Nie wiem.

Zaczęłam się gorączkowo zastanawiać nad tajemniczą absencją boga. Przecież oni nie powinni zniknąć bez powodu. To znaczy wydaje mi się, że nie powinni zniknąć.

– A jak wygląda? – chciałam wiedzieć.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami i zrobił zaskoczoną minę. – Po co mi to wiedzieć?

– No... żeby go poznać, gdy go spotkasz?

– To bóg, jest wszędzie. Te istoty już tak mają.

– Rzeczywiście...

Witek byłby zachwycony Suchowiejem, który chyba jako jedyny podzielał jego wizję bezcielesnych bóstw.

– Zadajesz śmieszne pytania – stwierdził chmurnik. Po raz kolejny mi się pokłonił. – Miło było mi cię poznać, Gosiu. – Idę dalej szukać.

Nie zdołałam mu nic odpowiedzieć, bo w następnej chwili zniknął z obłąkańczym chichotem, a we mnie uderzył ciepły, suchy wiatr.

Spojrzałam na zegarek na nadgarstku. Miałam jeszcze niecałe dwie godziny do zmierzchu. Niestety niewiele. Na dodatek niebo już się powoli różowiło, co znacznie pogarszało widoczność.

Nagle na końcu ulicy dostrzegłam żółte reflektory samochodu. Uniosłam rękę i zaczęłam machać jak szalona. Postanowiłam skorzystać ze światła, by dotrzeć na cmentarz wróżów i szeptuch. Chciałam jeszcze raz przyjrzeć się temu miejscu. Tym razem szukając jakiegokolwiek śladu Radka.

Modliłam się do bogów, żebym niczego tam nie znalazła.

12.

Nowakowa nie była zadowolona, ale zawiozła mnie najbliżej, jak się dało. Niestety to ona jechała szosą i Niestety zauważyła, jak macham. Nie wiem, która z nas była bardziej rozczarowana. Ona, bo nie okazałam się turystką, którą można by oskubać opłatą za przejazd, czy ja, bo musiałam siedzieć w jej śmierdzącym samochodzie.

Jakimś cudem powstrzymała się przed prośbą o darmową poradę. Chyba w ogóle mi nie ufała. Babę Jagę już dawno zarzuciłaby pytaniami. Przez to cała droga upłynęła nam w dziwnej ciszy.

Niemniej jednak zaoszczędziło mi to dobrych czterdziestu minut marszu, więc nie zamierzałam narzekać.

Gdy wysiadłam z samochodu, Niestety pachnąc tak jak jego wnętrze, nie odjechała od razu. Wiedziałam, że obserwuje mnie przez szybę, jak zbliżam się do ścieżki prowadzącej na cmentarz.

Miałam niemal stuprocentową pewność, że moje różowe adidasy zostaną obgadane przez wszystkich sąsiadów.

Po krótkim marszu w mroku pomiędzy smukłymi pniami drzew weszłam na cmentarz. Całą drogę oświetlałam sobie latarką w telefonie komórkowym. Tu na szczęście wciąż było jeszcze w miarę jasno. Wyłączyłam latarkę i schowałam komórkę do zamykanej na suwak kieszeni bluzy.

Na grobach kładły się długie, powykręcane cienie. Skrytykowałam samą siebie za pochopny pomysł natychmiastowej wycieczki na cmentarzysko. No cóż, nie od dzisiaj było wiadomo, że logiczne myślenie nie przychodziło mi łatwo.

Nasłuchiwałam uważnie, ale do moich uszu nie dotarły żadne niespodziewane piski sugerujące, że w pobliżu mogłyby się znajdować ćmy.

Odchrząknęłam dla dodania sobie odwagi i zważowo ruszyłam ścieżką między miejscami wiecznego spoczynku. Sprawdziłam, czy ciągle mam na szyi amulet. Na szczęście był na swoim miejscu.

Minęłam pierwsze rzędy grobów. Doszłam do alei, gdzie stał sarkofag Mszczuja. Strzepnęłam z płyty liście i igliwie nawiane przez wiatr. Położyłam dłoń na napisie z datą jego śmierci. Serce mi się ścisnęło.

To ja tu powinnam leżeć, a nie on.

– Spoczywaj w spokoju – szepnęłam.

Podparłam się pod boki i rozejrzałam dookoła. Gdy w Noc Kupały spotkałam żmija, nie wczuwałam się raczej w otoczenie. Oddałam się wtedy panicznym wrzaskom i uciekłam. Powoli przeszłam na drugą stronę okrągłego cmentarza i zbliżyłam się do połyskujących srebrem gołoborzy. Ostrożnie stanęłam w rozkroku na kamieniach i spróbowałam coś wypatrzyć na gruzowisku.

Ostre o tej godzinie cienie nadawały kamieniom nowe, niepokojące kształty.

Już miałam zejść, gdy kilkanaście metrów dalej dostrzegłam tajemniczy, trójkątny głaz. Podejrzenie przypominał łeb stwora z koszmarów. Zmrużyłam oczy. Wydawało mi się, że nie pasuje do pozostałych kamieni.

Powoli, żeby nie skrócić kostki na krzywych głazach, ruszyłam w tamtą stronę. Wielokrotnie musiałam pokonywać wyjątkowo trudne odcinki, podpierając się rękoma. Bolesnie otarłam skórę na dłoniach, ale nie zwracałam na to najmniejszej uwagi. Teraz liczył się tylko dziwny kształt.

Nie wiem, jak długo do niego pełzłam, ale słońce znalazło się już bardzo blisko linii drzew. Musiałam się spieszyć, jeżeli chciałam przejść z powrotem po gołoborzu przed zmrokiem. Usiadłam na lodowatym kamieniu. Trójkątny głaz był wielkości małego kucyka. Teraz, z bliska, wyraźnie widziałam srebrne żyłki przecinające kamień. Dotknęłam chropowatej powierzchni. Nie wiem, czego się spodziewałam. Jakiejś wizji? Natchnienia?

Odetchnęłam, gdy kamień okazał się tak samo lodowaty jak inne. Nie miałam już żadnych wątpliwości. To był niegdyś łeb żmija, który tak często nawiedzał mnie od tamtej pory w snach. Przesunęłam palcem po wgłębieniu, w którym kiedyś paliło się oko demonicznego stwora z koszmarów. W zamyśleniu postukałam paznokciami w powierzchnię głazu, oczekując wręcz, że stwór ożyje.

Oparłam stopy pomiędzy kamieniami, żeby wstać i się rozejrzeć. Jeden but obsunął się na drobnych odpryskach. Podparłam się, by nie upaść, i syknęłam, gdy ostra krawędź głęboko rozcięła skórę.

– Cholera jasna – zaklęłam i odruchowo przysunęłam dłoń do ust.

Zatrzymałam się w połowie ruchu. Skaleczenie nie było duże, ale obficie krwawiło. Nie miałam już żadnej niezasmarkanej chusteczki. A oblizanie rany, zwyczaj przywleczony z dzieciństwa, obrzydliwy sam w sobie, też jakoś mnie specjalnie nie cieszyło. Sarkając pod nosem, wytarłam rękę o czarną podkoszulkę. Przynajmniej nie będzie widać.

Sięgnęłam po jeden z odprysków, na których się poślizgnęłam. Kamień był długości mojej dłoni, cienki, idealnie gładki po bokach, z lekko ukruszonym czubkiem. Nie zajęło mi zbyt dużo czasu domyślenie się, co trzymam w dłoni.

To był ząb żmija.

Ostrożnie podniosłam się i zaczęłam rozglądać za jakimś śladem po Radku, nie wypuszczając z dłoni zęba. Nie wyobrażałam sobie, jak można było wygrać z takim monstrem, jakim był kamienny smok. Miałam poważne wątpliwości, czy mężczyźnie aby na pewno się udało.

Obeszłam łeb dookoła i zapuściłam się kawałek dalej. Szukałam do momentu, gdy słońce prawie całkowicie zniknęło za linią drzew. Musiałam się poddać. Po Radku nie było nawet śladu.

Zeszłam z niepewnych kamieni, modląc się w duchu, żeby jego roztrzaskanego ciała nie było pod głazami. Nie widziałam co prawda nigdzie

śladów krwi, ale nie mogłam wykluczyć, że gdzieś tam leży biedny, porzucony na pastwę losu.

Przeszłam przez cmentarz. Znalazłam starą mogiłę, na którą rzucił mnie, gdy przez chwilę lecieliśmy na jego chmurze. Ziemia kurhanu była ugnieciona w miejscu, gdzie uderzyłam pośladkami.

– Przepraszam – szepnęłam, dotykając porastającej grób trawy. Zerwałam żółty kwiat mleczu rosnący obok i położyłam smukłą łodyżkę na kopcu. – Oby w Wyraju szczęście ci sprzyjało i żeby nikt więcej nie deptał miejsca twojego spoczynku.

Usłyszałam szelest zgniatanej, suchej trawy. Brzmiał jak niespieszne kroki. Celem tajemniczej osoby nie było zaczajenie się na mnie, bo w ogóle się nie kryła. Ten ktoś robił nawet więcej hałasu ode mnie. Odwróciłam się, mocniej zaciskając palce na kamiennym zębie, który zabrałam ze sobą, żeby przypominał mi o zaginionym koledze.

Spomiędzy grobów wyszedł Witek, machając beztrąsko olbrzymią latarką w jednej ręce, a w drugiej foliową siatką. Zdziwił się na mój widok tak bardzo, że aż przystanął w nienaturalnej pozie.

– Aleś mnie przestraszyła! – wykrzyknął. – Co tu robisz?

Zakłopotana wzruszyłam ramionami.

Szybko zlustrował wzrokiem mój strój. Dłuższą chwilę zatrzymał się na butach. Na wszystkich bogów, co oni się wszyscy ich tak uczepili! No są różowe – i co z tego?!

– Och, jesteś na treningu? – odpowiedział sam sobie i poklepał się po brzuchu. – Ja nie mam tyle wytrwałości, żeby porządnie wziąć się za siebie.

Ja także zlustrowałam jego sylwetkę. Kraciasta flanelowa koszula, którą miał na sobie, była luźna, ale było widać, że żerca należy raczej do tych szczupłych osób, których metabolizm poradzi sobie z każdą ilością jedzenia.

– To dobra pogoda na biegi – odpowiedziałam niezobowiązująco.

– Odwiedzasz przy okazji kogoś znajomego? – Z ciekawością spojrzął na mogiłę, przy której przed chwilą klęczałam.

Nie było na niej żadnego napisu. Musiała być bardzo stara, skoro nie zachował się żaden ślad o osobie pogrzebanej w jej wnętrzu. Pewnie pozostał tylko w pamięci niektórych szeptuch i żerców.

– Nie, tak po prostu się zatrzymałam – odparłam.

Spojrzął na mnie z namysłem. Miałam wrażenie, że rozważał, czy mówię prawdę. Myślałam, że dobry ze mnie kłamca. W końcu wykiwałam dwóch bogów.

– A pokażesz mi, gdzie jest grób Mszczuja? – poprosił. – Usiłowałem go odnaleźć, ale jeszcze mi się to nie udało. Ten cmentarz to istny labirynt.

Uniósł do góry foliową siatkę, w której znajdował się szklany znicz i opakowanie zapalek.

– Chodź za mną. – Kiwnęłam głową. – Jego grób jest obok charakterystycznie wykrzywionej jodły. Ja tylko po tym potrafię rozpoznać to miejsce.

Cmentarzysko kapłanów i szeptuch nie było duże. Jednak nietypowe koncentryczne ułożenie grobów nie pomagało w zorientowaniu się, co gdzie jest. Logika nakazywała, by na obrzeżach znajdowały się nowsze groby, ale nie zawsze tak było. Często jeszcze za życia żercy i mądre baby wybierali kwaterę, w której chcieli złożyć swoje doczesne szczątki. I zdarzało się, że miejsce znajdowało się pośrodku, wepchnięte na siłę pomiędzy inne groby. Czasem po prostu dokładano nową urnę ze spalonymi szczątkami do istniejącego grobu i dopisywano w kamieniu dane nowego mieszkańca cmentarzyska. Praktykowano to zwłaszcza wtedy, gdy dane osoby łączyły jakieś więzy rodzinne.

Jarogniewa już zaczęła szykować sobie miejscówkę. O dziwo, nie obok Mszczuja, ale obok swojej ukochanej babci.

Ciekawe, gdzie Mieszko pogrzebał Ote? Czy udało mu się pochować ją w grobie, w którym powinny leżeć jej szczątki, czy może musiał znaleźć jej nową kwaterę?

– Co tak wzdychasz? – zagadnął Witek.

– Zmęczyłam się – palnęłam pierwszą rzecz, która przyszła mi na myśl.

Stanęliśmy przed grobem Mszczuja. Wiatr znowu naniósł na niego liście. Zadrzałam, gdy chłodny powiew przewiał na wylot moje ubranie. To zdecydowanie nie był suchy, wschodni Suchowiej.

Spojrzałam na niebo, które zasnuły ciemne chmury. Szykowała się ulewa. Poczułam w sercu iskierkę nadziei, że to może Radek usłuchał prośby sympatycznego chmurnika i wrócił.

– Wiesz, że w tym rejonie sypie się mąkę na wiatr, żeby poprosić planetnika o dobrą pogodę? – zapytał Witek, usiłując chyba zabawić mnie rozmową o niczym.

Zaskoczona zamrugałam.

– Patrzyłaś w niebo, dlatego... – urwał i odchrząknął. Zaszleścił foliową torebką, wyciągając z niej znicz. – To sypanie mąki to całkiem sympatyczny przesąd. Zdawałoby się, że nieszkodliwy, ale to jednak przesąd.

– Tak, słyszałam o nim. Można też poprosić o pomoc pana Dareczka – powiedziałam.

– A tego jeszcze nie słyszałem. Kto to pan Dareczek?

– Ostatni topielec w Bielinach.

Więcej pytań Witek nie zadał.

Patrzyłam, jak zapala znicz. Płomień na końcówce białego knota zadrzał, gdy wiatr zawiął akurat w naszym kierunku. Zaczęłam szczekać zębami. Witek nałożył na szkło metalową osłonkę chroniącą ogień przed zmoczeniem albo zdmuchnięciem. Żółty znicz rzucał na płytę ciepłe światło. Odgarnęłam liście

i szepnęłam drżącym głosem:

– Spoczywaj w pokoju.

Witek zwinął torebkę i schował do kieszeni. Złapał latarkę w jedną rękę, a drugą mnie objął i przyciągnął do siebie. Zesztywniałam zaskoczona tym gestem.

– Chodź do domu – powiedział. – Robi się zimno. Cała drżysz.

Kiwnęłam głową i pozwoliłam się poprowadzić przez las. Białe światło latarki wskazywało nam ścieżkę. Jego ciepłe ramię otaczało moje plecy. Ten gest nie miał żadnego podtekstu. Po prostu Witek się o mnie martwił. Byłam jedną z jego owieczek, którymi należało się zaopiekować.

Całą drogę pokonaliśmy w ciszy, każde zatopione w swoich myślach.

13.

Stałam po kolana w grząskim bajorku. Miałam bosc stopy. Czułam, jak pomiędzy moimi palcami przeciska się oślizgłe błocko, powoli wciągając mnie pod powierzchnię. Zupełnie jakbym stała na plaży i pozwalała, by fale obmywały moje nogi. Ale tam piasek tak nie wciąga. Spodnie nasiąkły chłodną wodą do połowy ud. Zimno pełzło w górę ciała, zupełnie jakby się po mnie wspinało.

Rozszerzenie strumienia znikalo pomiędzy pochylonymi w głębokim ukłonie wierzbami. Ich długie witki muskały delikatnie powierzchnię wody. Czasem skapywało z nich coś, zupełnie jakby płakały. Zadrzałam, gdy witki poruszyły się nieznacznie, a pomiędzy nimi mignął jakiś niewyraźny kształt.

Brama do Wyraju w żadnym razie nie wyglądała zachęcająco. Miałam nadzieję, że cokolwiek było po drugiej stronie, nie zamierzało teraz się wydostać. Ja nie chciałam kierować się w tamtą stronę, by sprawdzić, co to. W żadnym wypadku.

Uniosłam powoli prawą nogę. Czułam, jak błoto niechętnie wypuszcza ją ze swoich lepkich objęć. Zrobiłam kilka kroków, by oddalić się od wierzb. Odetchnęłam żywicznym powietrzem. Mrok zdawały się rozpraszać jasne błyski wody u moich stóp.

Po raz ostatni spojrzełam na wrota do zaświatów. Gdzieś tam za zasłoną po drugiej stronie rosło drzewo kosmiczne. Mistyczna oś całego świata. Tuż obok niej miał swój tron bóg podziemi, Weles. Szkoda, że legenda mówiąca o tym, iż siedział przykuty łańcuchami do tronu, nie była prawdziwa.

Przestałam przyglądać się wierzbom. Las wyglądał pięknie. Światło księżycy skrzyło się na powierzchni wody, rzucając blask na rośliny.

Chyba jeszcze nigdy nie byłam tak spokojna, stojąc sama w lesie. Na chwilę zamknęłam oczy i wsłuchałam się w naturę. Bicie mojego serca zwolniło, dostosowało się do szumu wiatru. Przestałam czuć zimno i wilgoć. Miałam wrażenie jedności z otaczającymi mnie drzewami, z wodą.

Pasowałam tu.

Chciałam tu być.

Byłam częścią tego lasu.

Byłam szczęśliwa.

Nagły chlupot wyrwał mnie z letargu, w który zapadłam. Nie wiedziałam, jak długo trwam w bezruchu, pozwalając, by gliniaste dno powoli wciągało mnie pod powierzchnię.

Otworzyłam oczy i zamrugałam, jakbym budziła się z długiego snu. Co się ze mną działo?

Tuż przy małym wodospadzie, który tworzył strumień, wpadając do zagłębienia terenu, z wody wysunęła się ręka o czarnych, połamanych paznokciach.

Chciałam się cofnąć, ale podłoże mocno trzymało moje nogi. Pozostawało mi jedynie przyglądać się dłoni, która pojawiła się niecałe dwa metry ode mnie.

Miała połyskliwą, zielonkawą skórę. Opuszki palców były spierzchnięte, zupełnie jakby zbyt długo przebywały w wodzie. Ręka złapała się wystającego kamienia i podźwignęła resztę ciała.

Najpierw zobaczyłam głowę obklejoną czarnymi, mocno przylegającymi do czaszki włosami. Potem przygarbione plecy z wystającym sznurem kręgosłupa. Na koniec lichą przepaskę wykonaną z tataraku, spod której wysuwały się patykowate nogi. Woda spływała z bladego ciała jak z kaczki.

Istota stała do mnie tyłem. Zdawała się mnie w ogóle nie zauważać. Przeciągnęła się i ziewnęła rozdzierająco. Następnie rozkaszała się niczym gruźlik i splunęła do bajora.

Wzdrygnęłam się z obrzydzeniem.

Istota wyczuła ruch wody. Odwróciła się w moją stronę. Puste oczy odbijały światło przypominając nocne, kocie spojrzenia. Wyszczrzyła żółte, ostro zakończone zęby. Przesunęła po mnie wzrokiem, ale zdawała się mnie w ogóle nie zauważać. Wydawało się, że patrzy gdzieś za mnie.

Utopiec wciągnął powietrze nosem, a następnie zamknął usta i oblizał sine wargi. Wzruszył ramionami i wylazł z wody. Stanął na usłanym liśćmi brzegu, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę, zupełnie jakby dotyk ziemi sprawiał mu ból.

Albo jakby chciało mu się sikać. Jedno z dwojga.

Potrząsnął głową jak pies, by strzepać wodę, a następnie podrapał się po plecach. Pazury zostawiły czerwone pręgi, w kilku miejscach skóra zaczęła odpadać płatami, złuszczać się.

– Pan Dareczek? – zapytałam cicho, zastanawiając się, czy to jakiś podstęp i demon tylko udaje, że mnie nie widzi.

Utopiec nie zareagował.

– Halo, słyszy mnie pan? Dzień dobry!

Kichnął, ale nie odwrócił się w moją stronę.

– Mam pralkę do naprawy – powiedziałam trochę głośniej.

Nadal żadnej reakcji. Pan Darek, z zawodu hydraulik, albo naprawdę mnie nie widział, albo miał mnie kompletnie gdzieś. Druga opcja wydawała mi się raczej mało prawdopodobna. Owszem, istoty nadprzyrodzone z rejonu Kielc raczej się już chyba do mnie przyzwyczaiły, niemniej jednak nie wydawało mi się, że aż tak, aby w mojej obecności zachowywać się całkowicie naturalnie.

Przez chwilę zaczęłam się zastanawiać, czy nie był to aby jakiś podstęp, żeby uśpić moją czujność. Jednak na tyle, na ile zdołałam poznać pana Darka, nie wydawał się raczej osobą bawiącą się w takie gierki. Co innego wąpierz albo strzyga.

– Stringi w odpływie? – mruknełam pod nosem. – Cokolwiek?

Nagle utopiec stęzał. Przykucnął i wbił palce w podłoże, podrywając do góry zbutwiałe liście. Kilka razy wyjątkowo głośno pociągnął nosem, w którym aż zagotowały się smarki. Przez chwilę przypominał psa szykującego się do ataku.

– Serio? Stringi? – oniemiałam, rozkładając ręce. – Na to pan zareagował?

– Kto tu jest? – zapytał. – Wiem, że tu jesteś. Czuję cię.

Cały czas miał mnie za plecami. Odchrząknęłam. Zero reakcji. Nadal wpatrywał się w krzaki przed sobą.

– Okej, to chyba mam już jasność, że mnie pan nie widzi – skwitowałam pod nosem.

Utopiec wstał i powoli ruszył przed siebie. Odsunął krzaki i wszedł między gałęzie, mocno pochylając głowę.

Usłyszałam głośne plaśnięcie i zduszony jęk pana Dareczka. Krzaki zadrżały. Nie mogłam dostrzec, co się dzieje za gęstą zasłoną liści. Krzyknęłam przestraszona. Woda spieniła się dookoła moich nóg, jakby także zareagowała przerażeniem na krzywdę swego pana. Spomiędzy gałęzi wysunęła się zielonkawa ręka o czarnych paznokciach. Palce wbiły się w ziemię, zupełnie jakby chciały podciągnąć całe ciało w stronę strumienia. Krzaki ponownie się poruszyły.

Palce rozczapierzyły się i zadrżały w agonii. Dłoń znieruchomiła i zwiotczała. Skóra utopca poszarzała jeszcze bardziej i zaczęła się rozplýwać, odsłaniając drobne kosteczki, przezroczyste i ostro zakończone niczym rybie ości.

– O bogowie – wyszeptałam i zaraz zasłoniłam rękami usta.

Zielone listowie ponownie się poruszyło. Zostałam usłyszana przez oprawcę. Ktoś spokojnie szedł w moją stronę. Zupełnie jakby wiedział, że nie zdołam mu uciec, jakby wcale nie musiał się spieszyć.

Chciałam się cofnąć, ale moje nogi były unieruchomione. Szarpnęłam się, czując, jak po policzkach spływają mi łzy. Ogarnęła mnie panika. Muszę uciekać! Muszę uciekać!

Straciłam równowagę. Bezradnie zamachałam rękami i poleciałam na plecy prosto w objęcia bajorka. Zacisnęłam powieki oszołomiona jego chłodem. Odruchowo nabrałam powietrza. Do mojego gardła dostała się pełna wzburzonego z dna mułu woda. Była gorzka.

Zaczęłam wściekle się wici, usiłując wydostać się na powierzchnię. Woda piekła mnie od wewnątrz. Miałam wrażenie, że wypali we mnie dziurę. Dłonie zapadały się w bagniste dno. Cały czas zsuwałam się pod powierzchnię.

W końcu udało mi się znaleźć podparcie i rękami odepchnęłam się od dna. Usiadłam w sięgającej mi do piersi wodzie i zakaszlałam, usiłując wypluć płuca oraz wszystko, czego się nałykałam.

Usłyszałam głośne pukanie.

– Gosiu? Gosiu! Co ty tam robisz? Topisz się w tej wannie?! –

Zaniepokojony głos szeptuchy zmusił mnie do otwarcia oczu. Zapięły.

Ponownie usłyszałam uderzenie jej drobnych pięści o drewniane drzwi.

Przestałam kaszleć. Na języku miałam gorzki posmak mydlin. Oszołomiona rozejrzałam się dookoła. Siedziałam w głębokiej mosiężnej wannie na lwich nóżkach, która stała w łazience Baby Jagi. Obok mnie wisiała odsłonięta zasłona prysznicowa w groszki, wszędzie stały zgaszone, lawendowe świece. Na desce klozetowej leżał mój lekko przetarty ręcznik, z którym przez lata nie potrafiłam się rozstać, bo tak dobrze chłonał wodę.

Byłam w domu, a nie w puszczy. Byłam bezpieczna.

Uniosłam do góry stopę, wynurzając ją z pachnącej truskawkami piany. Nie była w żaden sposób przymocowana do dna. Mogłam się normalnie poruszać. Nigdzie nie było nawet śladu po lepkiem błocie.

– Gosiu?

Klamka opuściła się kilka razy, gdy szeptucha ją nacisnęła. Drzwi jednak nie ustąpiły, bo przekręciłam wcześniej klucz w zamku.

– Wszystko okej – odkrzyknęłam. – Zakrztusiłam się tylko wodą! Nic mi nie jest!

– Chwała bogom! – Głośno westchnęła. – Już się bałam, że będę musiała włączyć do ciebie oknem albo wyważać drzwi! A to dobre drzwi! Drewniane, a nie byle jaka sklejka!

– Przepraszam!

– Wylaż z tej wody! Siedzisz tam już godzinę. Jeszcze się utopisz! Nie siedzi się w wannie, bo można usnąć. – Usłyszałam, jak jej człapiące kroki w klapkach oddalają się od drzwi. – Głupia dziewczucha, zawału bym przez nią dostała...

– Już wychodzę, Jago! Już wychodzę! Przepraszam! – krzyknęłam jeszcze raz szczerze skruszona.

Złapałam się kurczowo brzegów wanny i głęboko nabrałam powietrza, usiłując uspokoić oddech. Najwyraźniej zrobiłam to, przed czym mnie przestrzegano, i najzwyczajniej usnęłam w wannie. Woda była już całkowicie zimna, na skórze moich rąk pojawiła się gęsia skórka.

Pan Dareczek tylko mi się przyśnił. Rozmawiałam dzisiaj o nim na cmentarzu z Witkiem. Mogło to pobudzić moją wyobraźnię. Nic się nie stało. To głupi sen, mara.

Tylko dlaczego nie mogłam pozbyć się przeświadczenia, że utopiec znalazł się w niebezpieczeństwie?

14.

Poranek nie zaczął się przyjemnie. Baba Jaga cały czas miała mnie na oku po wieczornym incydencie w wannie. Nie wiem, o co mnie podejrzewała. Nie miałam w żadnym razie myśli samobójczych, jeśli o to jej chodziło. Nie wróciła do tematu, ale czułam na sobie jej czujne spojrzenie i niewypowiedzianą głośno pretensję.

Gdy zjadłyśmy śniadanie, poszła zmywać naczynia. Nie zdążyłam wyjść z kuchni, gdy w miejscu zatrzymało mnie jej siarczyste przekleństwo.

– Co się stało? – zapytałam.

– Co wrzuciłaś do odpływu? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Podeszłam do zlewu. Pomimo braku korka zbierała się woda. Zakręciłam kran, żeby zobaczyć, czy spłynie. Niby spływała, ale bardzo powoli.

– No nie wiem – mruknęłam.

– Odpadki z talerza?

– Eee, tak.

– Dlaczego? – Jej irytacja rosła z każdą chwilą.

– A czemu nie?

Pokręciła głową.

– Po pierwsze, mamy wiadro na kompost, a po drugie, skąd ci przyszło do głowy, że rura się nie zatka, jak napchasz tam jedzenia?

– Och, a to nie ma tam takiego młynka do odpadków...? – urwałam, widząc jej minę.

– Nie ma...

– Och...

No cóż. Nie miałam już nic więcej do dodania. Chociaż...

– A to wsypmy tam takich granulek, co rozpuszczają śmieci – zaproponowałam ucieszona. – Wsypuje się, one syczą, a potem płucze się to wodą.

– Nie.

– Nie?

– Nie, bo nie będziemy zatruwać środowiska. Nie wiem, co wy wyprawiacie w tej Warszawie, ale tutaj nie stosujemy takich środków – oświadczyła z godnością.

– To co teraz? – Rozłożyłam ręce.

– Trzeba wezwać hydraulika – burknęła. – Za którego zapłacisz z własnej kieszeni, bo to twoja wina.

Do głowy przyszedł mi pewien pomysł. Wydawał mi się wręcz genialny w swojej prostocie. Odpływ nie wybrał lepszego momentu, żeby się zatkać nieroztropnie wrzuconym przeze mnie żarciem.

– Znam hydraulika – powiedziałam z uśmiechem.

Siedząca przede mną pacjentka wyglądała jak kupka nieszczęścia. Była blada, drżała. Co chwilę pociągała nosem i zanosiła się kaszlem. Nie musiałam nawet osłuchiwać jej stetoskopem, żeby usłyszeć rżenia w oskrzelach. Wystarczyło nadstawić ucha, gdy brała oddech.

– To co pani robiła? – zapytałam.

– Kapałam się nago w Bieliniance – wyznała. – O północy.

– A po co?

– No jak to po co! – obruszyła się, ale za chwilę złapał ją solidny atak kaszlu.

– Żeby chłopą wyrwać.

No na gołe cycki i tyłek to pewnie da się zrobić.

– I co? Pomogło? – Byłam autentycznie zaintrygowana.

– Nie bardzo... – mruknęła.

– A widział panią nad tą rzeką?

– No nie! Przecież chodziło o oddanie czci Mokosz. Ona miała sprawić, że mnie pokocha.

Jako że nie konsultowała wcześniej tego miłosnego czaru ani ze mną, ani z szeptuchą, nie miałam zamiaru być dla niej pobłażliwa.

– Pewnie by pomogło, gdyby pani przed tym chłopem przedfilowała nago. Za to złapała pani zapalenie oskrzeli jak byk! – oznajmiłam.

– To co teraz? – Miała skruszoną minę.

– Leczyć się trzeba. A o miłość zadbamy, jak się pani podkuruje.

Wstałam od okrągłego stołu i podeszłam do kredensu Baby Jagi. Miałam dzisiaj pełną dowolność wyboru środków leczniczych, bo moja mentorka rzuciła mnie na pastwę klientów. Sama skupiła się na gotowaniu uroczystego obiadu.

A dlaczego uroczystego?

Ano dlatego: wpadła na genialny pomysł, że zaprosi na niego Witka. Zupełnie jakby koszyk z jedzeniem mu nie wystarczył... Gdy zasugerowałam, że koszyk był całkiem zacnym prezentem i żeby nie przesadzała, powiedziała mi, że trzeba dbać o relacje z nowym kapłanem, bo może nam popsuć opinię. Wypadało go odrobinę wy badać.

Już się przekonałam, że Witek jest przeciwnikiem guseł. Pewnie nie spodobałyby mu się nasze uroki miłosne.

Zapałam grubą świecę i podeszłam do miski ze źródlaną wodą. Nabrałam pełną szklankę. Uniosłam świecę nad głową pacjentki i okadziłam ją dymem, głośno modląc się do Swarożycza. Następnie przechyliłam świecę nad szklanką, by do wody spadło kilka kropel wosku.

Podsunęłam jej naczynie.

– Proszę wypić, to na gorączkę – powiedziałam.

Ponownie ruszyłam do kredensu i zaczęłam wyciągać z niego pojemniczki

i butelki. Zaopatrzona w pełen zestaw specyfików wróciłam do stolika.

– Nalewka wieczorem, jeden kieliszek. Syrop trzy razy dziennie po łyżce stołowej. Maścią rozgrzewającą nacierać plecy. Siedzieć w domu, pod kołdrą, przejdzie. Na gorączkę okłady, ewentualnie leki przeciwgorączkowe, ale to, jak przekroczy 38 stopni. Rozumie pani? Zapisać gdzieś na karteczce?

– Zapamiętam, zapamiętam. Dziękuję bardzo.

Zapłaciła bez mrugnięcia okiem i zniknęła. Przeciągnęłam się zmęczona. Była to dziesiąta pacjentka tego dnia. Pomimo trwającego w najlepsze lipca wszyscy byli tak samo zakatarzeni. Szalona pogoda dawała im się we znaki. Poważnie mnie zastanawiało, jakiego mutanta sama wyhoduję w zatokach po kontakcie z tyloma zarazkami.

Zawahałam się przed zgaszeniem świecy. Spojrzałam na wydawałoby się całkowicie niewinny płomyk.

– Czego ty ode mnie będziesz chciał? – westchnęłam.

Mieszko był przekonany, że to nie będzie nic dobrego. Doświadczenia Baby Jagi także sugerowały taką możliwość. Wydawało się, że jak do tej pory tylko Ote była zadowolona ze współpracy z bogiem ognia.

Nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, zdmuchnęłam świecę.

Wstałam od stołu, żeby zamknąć okiennice. Nie było nikogo więcej zapisanego na dzisiaj. Powinnam już zwinąć interes i ruszyć na pomoc Jarogniewie. Uwielbia gotować, ale przyda jej się pomoc. Zwłaszcza przy zatkanym zlewie.

Za plecami usłyszałam syk przypominający dźwięk zapalanej zapalniczki. Odwróciłam się powoli.

Świeca, którą zgasiałam, płonęła jasnym płomieniem. Naprzeciwko mnie po drugiej stronie stołu stał Swarozyc. Jego biodra zniknęły w kłębiącym się szarym dymie. Klatka piersiowa była naga, a skóra na niej idealnie gładka bez nawet jednego włosa. Zupełnie jakby wszystkie wypalił zar. Mężczyzna bez skazy.

Uśmiechnął się do mnie zza rudej brody. Oczy zapłonęły złowieszczą czerwienią.

– Wołałaś mnie, widząca... – szepnął.

Jego głos odbił się echem po chatce. Miałam wrażenie, że otacza mnie z każdej strony, że jest w mojej głowie.

– Niechący – pisnęłam, zerkając w panice na okno, którego nie zdążyłam przysłonić okiennicą.

Po drugiej stronie ulicy znajdowała się willa Baby Jagi. Z jakiegoś powodu nie chciałam, żeby zobaczyła mnie razem z bogiem.

Uniósł do góry brwi.

– Czemu? – zapytał.

– Jakoś tak o tobie pomyślałam, kiedy zapaliłam świecę – wyjaśniłam.

– Pytam, czemu niepokoi cię teraz Jarogniewa.
– Umiesz czytać w myślach? – Byłam zdruzgotana.
Zaśmiał się. Ciepły, głęboki śmiech był niczym pieszczota na mojej skórze.
– Nie, widząca. Można jednak w tobie czytać jak w otwartej księdze.
Nie miałam stuprocentowej pewności, czy właśnie mnie nie okłamał.
– Baba Jaga cię nie lubi – powiedziałam, jakby to miało wszystko wytłumaczyć.

– Cały czas łamie mi tym serce...
Nie wiedziałam, czy ze mnie żartuje, czy mówi prawdę. Znowu zerknęłam na okno. Gdy wróciłam do niego spojrzeniem, zniknął. Drgnąłam.

Gdzie on się podział?! Przecież przed chwilą tu był! Wbiłam spłoszone spojrzenie w świecę. Ze zgaszonego knota unosiła się, wirując, srebrna smużka dymu.

Nagle tuż przy lewym uchu poczułam oddech, który delikatnie musnął moją skórę.

– Mam nadzieję, że ty go nie złamiesz – szepnął.
– Zniknij stąd – poprosiłam. – Zostaw mnie.
– Nie, widząca... Dałam ci już wystarczająco dużo czasu czy też przestrzeni, jak wy, śmiertelnicy, lubicie mówić. Nie zostawię cię, ukochana. Będę przy tobie.

Zamknęłam oczy, modląc się w duchu, by sobie poszedł. Gdy uchyliłam powieki, byłam w chacie sama. Nawet dym unoszący się ze świeczki zniknął. Drżącą dłonią dotknęłam szyi tuż pod lewym uchem.

Zdałam sobie sprawę z tego, że nie byłam do końca pewna, czy na pewno tu był, czy to tylko moja wyobraźnia, kolejna mara.

Drżąc na całym ciele, oparłam się ciężko o stół. Byłam wyczerpana tą konfrontacją. Musiałam kilka razy odetchnąć głęboko, zanim zdołałam wyjść z chaty.

W drzwiach wpadłam na lekko pobladłą szeptuchę. Złapała mnie za łokieć, wbijając w skórę paznokcie. Na szczęście nie zauważyła, że cała jestem roztrzęsiona.

– Co ci do łba przyszło? – syknęła, ciągnąc mnie do wnętrza willi. – To jest twój hydraulik?! Przecież on nie żyje od dwóch lat!

Stanęłyśmy w kuchni. Pan Dareczek kucał pod zlewem. Jego głowa i połowa szczupłej klatki piersiowej ginęły w przepastnej szafce. Wypinał w naszą stronę pośladki odziane w zbyt ciasne dzinsy. Usłyszałam jakiś podejrzaną chlupot, gdy do podstawionego wiadra wpadło rozkładające się jedzenie.

Ledwie powstrzymałam odruch wymiotny.

– Ha! Przepchane, pani kochana – ucieszył się utopiec.

Wysunął się z szafki, pocierając tyłem głowy o brzeg mebla. Część mazistej substancji z jego włosów, którą kiedyś pochopnie wzięłam za brylantynę, została na drewnie. Palce Baby Jagi mocniej zacisnęły się na mojej ręce, gdy przyglądała się temu ze zgrozą.

Dobrze wiedziałam, komu każe to wyczyścić.

– Super – powiedziałam.

– Och, pani Gosia!

Pan Dareczek uśmiechnął się do mnie szeroko. Pozbierał szybko narzędzia i spojrział ponad naszymi ramionami.

– Pana Mieszka nie ma? – zapytał z lekkim napięciem.

– Nie, nie ma – odpowiedziałam.

Odetchnął jakby z ulgą. Ich ostatnie spotkanie istotnie nie należało do najprzyjemniejszych. Mieszko o mało nie odrąbał mu głowy.

– Ile się należy? – Sięgnęłam do torebki.

– Pani kochana, nic. A po co mi pieniądze?

– Ostatnio za pralkę pan wziął...

– Dla pozorów – odparł. – Spokojnie, nic nie trzeba. Znamy się przecie od lat. A znajomym trzeba pomagać.

– Dziękujemy – powiedziała sztywno Baba Jaga.

Odsunęła się, robiąc mu przejście. Nie zrozumiał aluzji. Oparł się brudną ręką o stół i potoczył zaciekawionym spojrzeniem po wnętrzu kuchni. Jarogniewa o mało nie dostała palpacji, gdy chwilę później podniósł dłoń, bo zostawił odcisk na jej kraciastym obrusie.

Coś czułam, że porządnie mi się za to oberwie.

– A, panie Darku, proszę mi powiedzieć, co u pana słyhać – zagadnęłam uprzejmie, przez co Jarogniewa dźgnęła mnie łokciem między żebra.

– Po staremu. Teraz, kiedy emocje po Kupalnocce opadły, wreszcie się wszystko uspokoiło – powiedział. – Można odetchnąć, w spokoju zapolować na rybkę, poleżeć w jeziorku.

– A nikt obcy nie kręci się po puszczy? – drażyłam dalej.

– Nikogo nie zauważyłem. – Pokręcił głową.

Nie wiedziałam, jak mam ująć w słowa moje przecucia, żeby niepotrzebnie go nie wystraszyć. W końcu to mógł być tylko sen. Ostatnio często miałam koszmary. Istniała możliwość, że wcale nie był w niebezpieczeństwie.

– A słyhał coś pan o Radku? Wrócił? – spróbowałam.

– Nie wrócił.

– A szukacie go?

– My? A po co? – szczerze się zdziwił. – Jak będzie chciał, to się pojawi. Zresztą ja tam go nigdy dobrze nie znałem. Nie zajmujemy się tą samą wodą. Mnie nie obchodzi ta spadająca z nieba.

Baba Jaga szybko nas wyminęła i zaczęła ostentacyjnie myć zlewozmywak gąbką. Utopiec zdawał się tego nie zauważać.

– Mieszka pan w lesie, w tym jeziorku, koło leśniczówki? – Dalej wyciągałam z niego informacje.

– Nie, nie. Tam byłem tylko przez chwilę. Mogę się przenosić pomiędzy miejscami za pomocą wody. Tak na co dzień żyję w strumieniu.

– Tym koło wejścia do Wyraju?

Jaga podniosła głowę, mierzając mnie ostrym spojrzeniem. Utopiec zaniepokoił się wyraźnie.

– Tak, skąd pani wie...?

– Przeczucie – bąknęłam.

Na jego twarzy ponownie zagościł uśmiech. Jeżeli miał jakiegokolwiek wątpliwości na temat moich intencji, to bardzo szybko się rozwiały.

– Faktycznie, przecież jesteś szeptuchą – odpowiedział sam sobie. – Muszę już iść. Odpływ naprawiony. Tym razem nie było w środku żadnych stringów, he, he, he!

Na litość wszystkich bogów, najwyraźniej zamierzał mi to już wypominać do śmierci. Nie spodziewałam się, że czerwone majtki aż tak podziałają na jego wyobraźnię. W końcu nie żył. Kto by pomyślał, że kogokolwiek jeszcze kręci bielizna?

Ponownie podziękowałam mu za fachową pomoc, a następnie odprowadziłam go do drzwi.

– Raz, dwa, trzy... – szepnęłam do siebie, zamykając za nim zasuwkę.

– *Gosiu!* – krzyk szeptuchy wprowadził szyby w drgania. – Chodź tu natychmiast!

Przynajmniej poczekała, aż zamknę drzwi.

– Co ty sobie myślałaś, kiedy zapraszałaś utopca pod mój dach?! – warknęła, zapierając obrus w zlewie.

– Przecież znasz pana Dareczka – usiłowałam się bronić.

– *Znałam* pana Dareczka. Potem pan Dareczek umarł! I teraz pan Dareczek leży na cmentarzu w Bielinach pod granitową płytą o wadze pół tony! To nie był pan Dareczek, tylko utopiec. Demon! Demon wodny!

– Dobrze, że tego nie słyszy, bo uraziłabyś jego uczucia – mruknęłam.

– *Gosiu!* – krzyknęła z wyrzutem.

– Musiałam sprawdzić, czy jeszcze żyje...

Następnie opowiedziałam jej nie tylko mój sen, ale także tajemnicze zniknięcie Radka. Opowiedziałam o snach, w których gonił mnie smok. Nie zająknęłam się natomiast słowem o tych z płomieniami w roli głównej. Baba Jaga słuchała w milczeniu, szorując z zapamiętaniem obrus, z którego chyba chciała sprać całą kratę.

– Jak zwykle wykazałaś się lekkomyślnością, ale... chyba cię rozumiem. Przeczucia potrafią swędzieć pod czaszką, nie dając spokoju – westchnęła. – Tylko proszę cię, więcej bez mojej zgody nie zapraszaj do mojego domu żadnych demonów, dobrze?

– W ogóle to dziwię się, że zdołał wejść – zauważyłam. – Czy ty przypadkiem nie mówiłaś mi kiedyś, że wszędzie dookoła domu rozsypałaś sól?

– To tylko dowód na to, że znowu muszę kupić kilka worków – odparła znużona wizją pracy. – Pewnie deszcz wymył ją zeszłej zimy. Poza tym zaprosiłaś go. Nie sądziłam, że zaproszenie telefoniczne działa równie dobrze co osobiste. To na pewno osłabiło działanie soli.

– To może zamiast soli wkopiesz opiłki żelaza? – zasugerowałam.

– Żelazo pali te istoty, ale nie stanowi bariery. Tak jakbyś oparła rękę o rozgrzany piec. Sparzysz się, pokaleczysz, ale nie umrzesz – wyjaśniła. – Jak komuś bardzo zależy, to żelazo nie będzie dla niego przeszkodą.

Na jej twarzy pojawił się zadowolony uśmiešek. Podała mi mokry obrus.

– Wywieś go na zewnątrz na sznurze, żeby wysechł do kolacji. Mamy przecież dzisiaj gościa. A co do soli w moim ogródku... Chyba już wiem, kto ją będzie sypał.

– A wspominałam, że mam problemy z korzonkami?

– Zaradzimy na to jakąś maścią, gdy już cię grzbiet rozboli, nie martw się.

15.

Witek stanowił ucieleśnienie marzeń każdej teściowej. Był szarmancki, dobrze wychowany, elokwentny i oczywiście przystojny. Kupił Babę Jagę już podczas pierwszych dziesięciu minut pobytu w jej domu. Nawet nie musiał się za bardzo starać. Mnie także próbował oczarować, ale nie poszło mu aż tak dobrze.

Siedziałam w trakcie tej kolacji jak na tureckim kazaniu. Jednym uchem słuchałam ich grzecznej, kurtuazyjnej wymiany zdań i kiwałam uprzejmie głową. Bardziej zajmowała mnie tajemnicza wizja z utopcem w roli głównej. Byłam już stuprocentowo pewna, że to wizja. Niepokoiło mnie jedynie, że nie ukazywała mi przeszłości. Miałam nadzieję, że konszachty ze Swarożycem nie wyzwoliły u mnie przy okazji zdolności do wizji czasów przyszłych.

Wiedzieć, co się stało, to jedno, ale znać przyszłe losy, to zupełnie inna sprawa. Wszystkie słynne wieszczki, które znałam z opowieści lub mitów, nie kończyły raczej zbyt dobrze.

– Co jesteś taka zamyślona? – zapytała Baba Jaga.

Stała przy zlewozmywaku, płucząc pod wodą namydlone uprzednio naczynia. Witek obdarowany jedzeniem mającym zapewnić mu tydzień porządnego wyżywienia już dawno poszedł. Chociaż biorąc pod uwagę ilości, które wepchnęła w niego Jarogniewa, lepiej było powiedzieć, że potoczył się w stronę domu. Jeżeli więcej gospodyń będzie tak o niego dbało, to niedługo stanie się owalnym wróżem.

– A tak jakoś... – mruknęłam, nie mogąc oderwać spojrzenia od płynącej wody.

Poczułam zapach rozkładającej się roślinności i mchu. Plusk kranówki zamienił się w cichy szum wody przesuwającej się po obłych kamieniach. Ktoś skradał się poprzez mrok. Bardzo powoli, krok po kroku. Zaczęła narastać we mnie groza.

Stanie się coś złego.

– Gosiu?

Zamrugałam kilkakrotnie, gdy tuż przed moim nosem szeptucha strzeliła palcami. Zmrużyła oczy i wbiła we mnie czujne spojrzenie.

– Co to miało być? – syknęła.

– Co? – zapytałam niewinnie.

– Miałaś wizję? Trans? Co to było?

– A jak wyglądałam? – drażyłam autentycznie tym zafascynowana.

Czy byłam jak bohaterki tanich horrorów? Moje oczy zaślniły białkami, a ja zaczęłam szeptać pod nosem niezrozumiałe słowa w nieistniejącym języku?

– Patrzyłaś jak jełop przed siebie. Nawet zaczęłaś się ślinić – skwitowała.

– Niemożliwe!

Sięgnęłam do brody i odkryłam, że faktycznie z lewego kącika ust pociekła mi strużka śliny. Sekundy dzieliły ją od skapnięcia na kołnierzyk.

Urocze...

– Miałaś wizję? – dociekała. – Mówże dziewczyno! Co to było?!

– Nie wiem – odparłam zgodnie z prawdą. – Poczułam zapach bagna. Słyszałam jakiś dziwny dźwięk. Strach... Bardzo się przestraszyłam.

Spojrzałam na swoje ramiona, które całe pokryte były gęsią skórą.

– Wizja. – Pokiwała głową.

– Albo atak padaczki. – Moim sercem targnęły poważne wątpliwości. – To równie dobrze mogły być objawy przed napadem. Aura!

O bogowie... A co, jeśli ja nie mam żadnych wizji? Może to po prostu guz mózgu? Poza tym tyle razy oberwałam ostatnio po głowie... Wyznawcy Mokosz przecież mnie znokautowali, miałam wstrząśnienie mózgu. Może to jakieś uszkodzenia po ich ataku, które dopiero teraz się ujawniły?

– Widzę panikę malującą się na twojej twarzy, a nie drgawki – skwitowała zniesmaczona. – To nie jest padaczka, chociaż wiem, jak by to cię ucieszyło, hipochondryczko.

– Co ty opowiadasz?! – warknęłam. – Wcale by mnie to nie ucieszyło!

– Wcale – potwierdziła, ale dobrze widziałam, że się ze mnie naśmiewała.

Zerknęłam w ciemność za oknem. Uczucie niepokoju się wzmogło. Miałam wrażenie, że swędzi mnie skóra. Coś się zaraz miało stać. Coś złego.

– O co chodzi? Mów – powiedziała i usiadła obok mnie.

– O utopca...

– A ty znowu o tym samym. – Wzniosła oczy do nieba.

– Czuję... czuję, że coś złego mu się stanie.

Pod wpływem impulsu zerwałam się z krzesła.

– Muszę... muszę iść mu pomóc – oświadczyłam.

Szeptucha o mało się nie zadusiła, śmiejąc się na to moje oświadczenie.

– A od kiedy jesteś taką superbohaterką? – zakpiła. – Przecież ty się, dziecko, własnego cienia boisz. Naprawdę chcesz iść teraz, po zmroku, do puszczy, żeby ratować starego pijaka, który, co najważniejsze, już dawno nie żyje?

– No... ktoś mu musi pomóc – stwierdziłam.

– Ale czemu ty?

– Bo tylko ja wiem, że coś mu grozi – odparłam pewnym głosem, zaskoczona, że nie widzi w tym żadnej logiki.

– A zauważyłaś może, że za każdym razem, kiedy wchodzisz do lasu, coś złego się dzieje? W ogóle nie uczysz się na swoich błędach.

Zamyśliłam się. Rzeczywiście nie miałam farta do puszczy. Chociaż może wreszcie powinnam przerwać tę spiralę nieszczęść? Miałam wrażenie, że mój pech sam się napędza.

Całe szczęście, że nie opowiedziałam jej, jak ostatnio biegałam sama po cmentarzu i gołoborzu w poszukiwaniu planetnika. Nie dałaby mi żyć.

– Gosiu, skarbie, ale jeżeli to coś zagrozi też tobie? – dalej się martwiła.

– Bogowie już nie dybią na moje życie. – Wzruszyłam ramionami. – Istoty nadprzyrodzone także nie mają powodów. Ote nie żyje.

Zdałam sobie sprawę, że ostatnio bardzo dużo rzeczy przed nią przemilczałam. Nie wspomniałam o Mokosz, o Swarozycu. W zasadzie kłamałam teraz w żywe oczy. Odwróciłam wzrok.

– Zapominasz, że w normalnym świecie to nie bogów i demonów powinnaś się obawiać – zauważyła.

Zdziwiłam się.

– Nie rozumiem, boisz się, że pośrodku puszczy zaatakuje mnie gwałciciel? – spytałam, chichocząc.

Poniekąd miała rację. Pobyt w Bielinach zupełnie zmienił mój światopogląd. Zapomniałam, że ludzie gwałciciele wciąż istnieją i są równie prawdziwi jak... no cóż... wapiersze, które gwałcą, ale tylko mentalnie.

– Ja wiem, że teraz sprawy boskie są ci znacznie bliższe, jednak pamiętaj, że życie wcale się jakoś szalenie nie zmieniło przez ostatnie miesiące. Nadal po tej ziemi chodzą źli ludzie, którzy mogą ci zrobić krzywdę, bo będą chcieli ci odebrać portfel albo coś innego. Przystępstwa były zawsze i zawsze będą.

– Ale... jestem szeptuchą – zaoponowałam. – Nie chroni mnie jakiś immunitet? Zwłaszcza tutaj?

– Jesteś *uczennicą* szeptuchy. Poza tym jest coraz więcej takich postępowych osób jak ty. Młodzi powoli tracą szacunek do wszystkiego, do każdego autorytetu. Niedługo będą spluwać na widok szeptuch. Już teraz słyszy się historie o znieważaniu nauczycieli czy atakach w szpitalach na personel. Pęd za pracą i dostatnim życiem zabrał rodzicom możliwość wychowania dzieci w szacunku do świata i natury.

Westchnęła ciężko, patrząc gdzieś w przestrzeń, daleko, do swoich wspomnień.

– Za moich czasów byłoby to nie do pomyślenia. Pamiętam jak dziś, że nauczyciel okładał mnie linijką po łapach, bo rozmawiałam na lekcji. Mój ojciec jeszcze mi dołożył, gdy się o tym dowiedział. – W jej oczach błysnęło rozbawienie.

– Nie mówię, że należy bić dzieci. Po prostu należy ustalać granice. A dziś tych granic coraz bardziej ubywa. Niekiedy ci współczuję. Przyjdzie ci żyć w ciężkich czasach – dokończyła.

– Czyli uważasz, że nie powinnam dziś wychodzić? – zapytałam, usiłując z powrotem nakierować ją na temat.

– A co dokładnie czujesz?

– Swędzi mnie skóra.

– A nie dostałaś aby jakiego uczulenia? Do ciasta dodałam wiórków kokosowych, nie od tego aby? Uczulenia teraz modne.

Wzięła mnie za rękę i przyjrzała się gładkiej skórze bez jednego bąbla pokrzywkowego. Nawet nie było zaczerwienienia.

– Nie, to nie takie swędzenie. – Wyrwałam jej dłoń. – Jakby swędziało mnie... wszystko. Nawet gdzieś z tyłu głowy. Nie mogę przez to wysiedzieć.

– Owsiki? – zasugerowała usłużnie.

– Bardzo śmieszne... Mam po prostu przeczucie, że tego utopca spotka dzisiaj coś bardzo złego. Już zniknął planetnik. Muszę się dowiedzieć, o co chodzi.

– Aż tak zależy ci na tym utopcu i planetniku?

– Ja... nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Nie podoba mi się, że ktoś znowu usiłuje namieszać w naszych Bielinach.

Szeptucha lekko się uśmiechnęła na moje słowa.

– Ach, ten smak przygody.

– Przygody? – Skrzywiłam się. – Można to też tak nazwać. Chcesz iść ze mną?

– O nie, nie, nie. – Uniosła obie ręce. – Ja mam dość przygód po tym, jak w podskokach uciekałam z płonącego lasu. Na najbliższy rok mi wystarczy. Ale ty masz zdrowe nogi, możesz szybko biegać. Weź tylko ze sobą jakąś broń, dobrze, dziecko? I telefon? Jak nie wrócisz do rana, to będę cię szukać. Zadzwońię po policję i po twoją matkę.

Skrzywiłam się na wspomnienie o mojej mamie. Baba Jaga wiedziała, gdzie wbić szpilkę. Za nic nie chciałabym martwić swojej rodzicielki. Za bardzo przeżyła pożar w puszczy. Chybaby zwariowała, gdyby znowu coś złego mi się stało.

Hm... i tak dała mi całkiem duży margines czasu. Do rana to z pięć razy by mnie zdążyli zamordować.

Niespodziewanie wstała i uścisnęła mnie serdecznie.

– Za co to? – zdziwiłam się.

– A bez powodu. – Odkręciła się szybko na pięcie i wróciła do mycia naczyń. – Ubierz się ciepło. Noże leżą w piwnicy. Wczoraj je polerowałam.

– Do zobaczenia rano!

– Wróc żywa – szepnęła cicho, ale i tak to usłyszałam.

Zeszłam po krzywych schodkach prowadzących do piwnicznych czeluści. Nauczona doświadczeniem nawet nie próbowałam łapać się barierki, której ciągle nie naprawił żaden stolarz.

Gdy pakowałam do torby najpotrzebniejsze rzeczy, takie jak sztylety czy woreczek soli, świetlówki zamigotały nad moją głową, klekocząc głośno starterem, który włączał się raz za razem. Spojrzałam na sufit, ale zaraz światło wróciło do normy. Miałam nadzieję, że to nie były ubożęta, które chciały mi coś powiedzieć.

Odwróciłam się płochnie i na wszelki wypadek rozejrzałam po zawałonej

najróżniejszymi gratami piwnicy. Moje spojrzenie zatrzymało się dłużej na kilku wymyślnych narzędziach tortur, które Jarogniewa trzymała jako przestrożę.

Skarciłam się w myślach. Jeśli zwykła świetlówka potrafiła mnie przestraszyć, to co stanie się w ciemnym lesie? Złapałam dużą, ciężką latarkę i sprawdziłam, czy działa.

Byłam gotowa do drogi.

Nie spotkałam już Baby Jagi. Zamknęła się w swojej sypialni. Zajęta modlitwą nie odpowiedziała, kiedy krzyknęłam, że wychodzę.

Przez chwilę poczułam się, jakby mnie opuściła.

Głupstwo. Byłam dorosłą kobietą. Nie musiałam czekać na pozwolenie, żeby wyjść z domu. Nikt nie musi mi dawać buzi na do widzenia.

Narzuciłam na ramiona czarną kurtkę, tym razem pozbawioną jakichkolwiek odblasków, i śmiałym krokiem ruszyłam w ciemność.

16.

Dojście do bagna stojącego u straży wrót do Wyraju zajęło mi znacznie więcej czasu, niż przypuszczałam. Noc była pochmurna. Przez całun obłoków nie przedostawał się nawet najmniejszy promień księżyca. Ciężka latarka była wyjątkowo nieporęczna, ale nie miałam wyboru. Bez niej niczego bym nie widziała. Kilka razy zgubiłam drogę, gdy szlak niespodziewanie skręcał albo nikał w krzakach.

Wydawało mi się, że las szepcze dookoła mnie. Cały czas miałam wrażenie, że jestem obserwowana. Poklepałam się po kieszeni kurtki. W środku czaiła się mała puszcza z gazem pieprzowym, którą zakupiłam do obrony wiele miesięcy temu. Nie byłam pewna, czy nadal działa, ale lepsze to niż nic. Zawsze też mogłam ewentualnemu przeciwnikowi sypnąć solą po oczach.

Szum brzmiał jak cichutkie głosy. Zupełnie jakby drzewa przekazywały sobie plotkę o mojej obecności. Przez chwilę, by dodać sobie otuchy, chciałam pomodlić się do bogów o opiekę, ale w porę ugryzłam się w język. Nie byłam pewna, czy to nie bogów powinnam się tej nocy obawiać najbardziej.

Idąc w ślimaczym tempie, przeklinałam Babę Jagę. Wydawało mi się, że jestem niezniszczalna i że nic mi w puszczy nie grozi do momentu, gdy wspomniła o gwałcicielach. Przez moje ostatnie przygody zwykle niebezpieczeństwa i wypadki, które spotykają młode kobiety, wydawały mi się równie egzotyczne co wcześniej rusałki. Teraz dawne zagrożenia na nowo odżyły w moim hipochondrycznym umyśle.

Pożałowałam, że nie ma obok mnie Mieszka. Przy nim nie bałam się niczego.

No, może jedynie samej siebie i zwierzęcego pożądania, które mnie ogarniało na jego widok. Ale to tylko jego wina i bogów. Mogli go stworzyć brzydszym, a on mógł nie nosić tak zachęcająco rozchełstanej koszuli.

Spojrzałam na wyświetlacz komórki i sapnęłam na widok godziny. Było już bardzo późno. Włączyłam szybko aplikację z mapami, żeby zobaczyć, gdzie jestem. Z grubsza orientowałam się, gdzie w nieregularnym kształcie puszczy znajdowało się bagienko. Na szczęście byłam już chyba blisko celu. Chciałam zaoszczędzić drogi, więc postanowiłam iść skrótem, zamiast podążać krętą linią strumienia. Nie wyszłam na tym zbyt dobrze.

Gdzieś niedaleko mnie rozległ się szelest. Od razu przypadłam do ziemi i wytężyłam słuch. Szelest oddalił się niespiesznie. Przełknęłam ślinę. To chyba było tylko jakieś dzikie zwierzę.

Chwilę później przedarłam się przez gąszcz krzaków. Moje buty od razu zapadły się w grząskie blocko, prawa noga wpadła w dołek. Oparłam się o smukły pień sosny i wyciągnęłam stopę. Całe szczęście, że nie założyłam nowiutkich

adidasów, tylko kalosze. Omiotłam światłem latarki migoczącą powierzchnię wody. Pływały w niej zasuszone liście i igły. W związku z ostatnią suszą poziom wody w potoku i rozlewie był znacznie niższy, niż zapamiętałam. Widziałam wysłane listowiem, śliskie dno.

– A błocko jakoś się uchowało przed wyschnięciem – burknęłam do siebie pod nosem, otrzepując kalosz.

Podeszłam bliżej do wody i metodycznie oświetlałam każdy kawałek podłoża w poszukiwaniu śladów.

– Panie Darku? – wyszeptałam teatralnie.

Nie doczekałam się żadnej odpowiedzi.

Sięgnęłam do torby przewieszanej przez pierś i złapałam w drugą dłoń worek z solą. Tak na wszelki wypadek.

– Panie Darku? – powtórzyłam pytanie.

Odwróciłam się w stronę ponurych, pochylonych wierzb, za którymi znajdowała się brama do Wyraju. Zaczęłam się zastanawiać, czy to jedyne wejście do świata umarłych. Pewnie nie... Wyobraziłam sobie, że gdyby tak było, to obok mnie przechodziłyby właśnie niezliczone dusze zmarłych, by dostać się do swojego miejsca wiecznego spoczynku. Na zapomnianej przez świat polance byłoby całkiem tłoczno.

Jak na zawołanie, po moich plecach prześlizgnął się chłodny powiew, podnosząc mi włoski na karku. Ręką z latarką złapałam nieporadnie za troki kaptura i mocno ściągnęłam materiał, by opatulał szyję. Poczułam, jak gruby warkocz wbija mi się w kark.

Nie zwracałam sobie już głowy Nawia. Postanowiłam po prostu zignorować w tej chwili jej istnienie.

Zniechęcona machałam na wszystkie strony latarką, usiłując dojrzeć cokolwiek. O mało się nie potknęłam, kiedy promień oświetlił coś białego. Wróciłam tam strumieniem światła, starając się dojrzeć, co to było.

Pełna złych podejrzeń podeszłam do krzaków.

Teraz wyraźnie widziałam nieruchomą dłoń wystającą spomiędzy gałęzi, leżącą bez ruchu na poszyciu.

– Kuźwa... – mruknięłam zasłyszane ostatnio od sąsiada przekleństwo, które bardzo przypadło mi do gustu.

O dziwo, dodałam sobie tym odrobinę odwagi.

Moje nerwy były już napięte do granic możliwości, ale mimo to dzielnie przedarłam się przez krzaki. Jakaś ostra gałąź zerwała mi kaptur z głowy, a następnie wplątała się we włosy i wyrwała kilka pasemek z warkocza. Zupełnie jakby chciała mnie powstrzymać.

Opuściłam dłoń, w której ścisnęłam worek z solą. Po drugiej stronie nie było nikogo. Nieruchomy pan Dareczek leżał na brzuchu, wtulając twarz w poszycie.

Jedną rękę miał podwiniętą pod siebie, natomiast drugą sięgał w stronę krzaków, jakby szukał tam ratunku.

– Panie Darku? – zapytałam i stuknęłam go czubkiem buta pomiędzy żebra.

Nie poruszył się.

Przy dokładniejszych oględzinach doszłam do wniosku, że chyba nie oddychał. Za cholere nie mogłam sobie przypomnieć, czy wcześniej to robił. W końcu jako utopiec i tak już nie żył. Teoretycznie nie musiał oddychać.

Jak na złość nigdy nie zwróciłam na to uwagi.

– Panie Darku? – Dla pewności jeszcze raz stuknęłam go czubkiem kalosza.

Cholera jasna, nie reaguje. Panika ścisnęła mi serce. Jeszcze raz go stuknęłam.

Gdy nie doczekałam się reakcji, odstawiłam na ziemię latarkę i złapałam śliskie ciało za ramię. Potrząsnęłam nim jeszcze raz, powtarzając imię. W końcu szarpnęłam je mocno w swoją stronę, żeby przewrócić nieboraka na plecy.

Dość szybko zrozumiałam, dlaczego jedna dłoń pana Dareczka była schowana pod brzuchem. Najwyraźniej usiłował zatamować krwawienie.

Przez cały brzuch utopca biegło długie rozcięcie głębokie niemalże do kręgosłupa. Sine pętle jelita cienkiego wylały się na ziemię, gdy jego dłoń się z nich zsunęła. W ciemnościach błysnęła wątroba i okrągłutka śledziona. Nerki, zupełnie jakby nie były do niczego przymocowane, uderzyły o moje kolana i potoczyły się po ściółce.

Ledwo zdążyłam się odwrócić, by nie zwymiotować prosto na niego. Odskokczyłam, byle tylko fasolowate nerki nie dotykały więcej moich nóg. Gdy już opróżniłam żołądek, wyprostowałam się z wysiłkiem. Przetarłam usta, czując kwaśny smak wymiocin na języku.

Po mojej twarzy płynęły grube krople potu. Przełknęłam kilka razy ślinę. Dopiero wtedy poczułam się na siłach, żeby jeszcze raz spojrzeć na utopca. Zmusiłam się, żeby dokonać dalszych oględzin.

Istoty nadprzyrodzone były całkiem odporne na uszkodzenia. Pewnie byłby w stanie się uzdrowić.

Zapewne byłoby tak, gdyby nie to, że w czoło miał wbite trzy długie żelazne gwoździe. Poczułam, że mój żołądek znowu zaczyna się buntować.

Przez chwilę wahałam się, czy nie spróbować ich wyjąć. Pewnie gdybym podważyła je paznokciem, to zdołałabym wysunąć. Tylko czy to wróciłoby mu życie? Chyba nie...

– Przepraszam, że się spóźniłam – szepnęłam.

Powstrzymując obrzydzenie, przyklękłam przy nim jeszcze raz i opuściłam mu powieki. Sina skóra na policzkach zdawała się rozmywać. Płaty zsuwały się, a pory zaczęły wydzielać śluzową wydzielinę. Zaczynał się rozkładać tak jak w mojej wizji. Niebawem zostaną z niego same rybne ości.

Po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Ktoś był w pobliżu. Nie wiem, skąd miałam tę pewność. Może to szósty zmysł albo jakiś spóźniony dar kwiatu paproci? Byłam pewna, że ktoś jest obok, ale nie zdradza się ze swoją obecnością.

Wyprostowałam się powoli, ledwie panując nad drżeniem przerażenia. Odetchnęłam głęboko, policzyłam do trzech i...

Złapałam szybko latarkę i wyłączyłam światło. Zębami rozsuptałam sznurek, którym związany był worek z solą. A następnie zerwałam się na równe nogi i rozejrzałam dookoła. Byłam gotowa do konfrontacji.

Nadstawiłam ucha. Nie słyszałam żadnego niepokojącego dźwięku. Wrażenie czyjejś obecności zniknęło.

Wpuściłam z cichym świstem powietrze, które wstrzymywałam. Serce tłukło mi się jak szalone, objijając o żebra. Byłam pewna, że moje rozszalałe tętno mógł usłyszeć każdy drapieżnik w okolicy.

Jeszcze raz zerknęłam na zwłoki utopca. Były w coraz gorszym stanie.

– Przepraszam – powtórzyłam.

Postanowiłam ruszyć w drogę wzdłuż strumienia. Tym razem pilnowałam się wody. W ten sposób nie musiałam szukać ścieżek i szlaków. Ponownie zapaliłam latarkę, ale osłoniłam częściowo jej promień dłonią z workiem. Rzuciła tylko wąski, przymglony pas bieli tuż pod moje nogi.

Staralam się stawiać bezgłośnie stopy, celebrowałam każdy krok, ale miałam pełną świadomość, że w lesie jestem intruzem i każdy jego naturalny mieszkaniec łatwo może mnie usłyszeć.

Sądząc po stanie, w jakim znalazłam utopca, ktoś dokonał tego mordu całkiem niedawno. Wcześniej pan Darek był zimny od przebywania w chłodnym bajorze, więc zimne ciało to nie był żaden wyznacznik. Dałam radę zamknąć mu powieki, czyli nie miał stężenia pośmiertnego. Nie potrafiłam co prawda przypomnieć sobie z zajęć na studiach, po jakim czasie ciało sztywniało, ale wydawało mi się, że musiało minąć trochę czasu.

Co prawda nie miałam żadnej pewności, że ciało istot nadprzyrodzonych zachowuje się tak samo jak ludzkie, ale mogłam spokojnie założyć, że morderca wciąż był niedaleko.

Ciągle mogłam go spotkać! Na pewno był uzbrojony w nóż i gwoździe. Zadrzałam na myśl o walce i przyspieszyłam.

Kto chciałby zabić utopca? I w jakim celu? Czy to była zemsta? Na litość wszystkich bogów. Co on mógł komuś zrobić? Popsuć pralkę?

„Mógł kogoś utopić” – w mojej głowie pojawiła się niechciana myśl. Skarciłam się. Widziałam w demonach i boginkach ludzi, a przecież już dawno nimi nie byli. Nawet Sława wspominała mi, że ma pewne instynkty, przed których słuchaniem czasem bardzo trudno było się jej powstrzymać. Może ktoś chciał się na nim zemścić?

Oraz co najważniejsze – kto poza mną, Babą Jagą i Mieszkiem wiedział, jak zabić istotę nadprzyrodzoną?

Niespodziewany dźwięk kroków wyrwał mnie z rozmyślań. Słyszałam co najmniej dwie osoby przedzierające się szybko przez las. Spanikowałam. Zatrzymałam się, trzęsąc się jak osika. Nie mogłam się ruszyć.

Mordercy!

Odgłosy kroków stawały się coraz bliższe.

– Tam! – ktoś krzyknął.

Głos wyrwał mnie z odrętwienia. Najostrożniej jak umiałam, przebiegłam w stronę najbliższych krzaków i niskich drzewek. Ukucnęłam za ścianą zieleni i szybko rozsypałam dookoła siebie ochronny krąg z soli. Zamarłam w oczekiwaniu.

W końcu rozpoznałam dwa głosy:

– Mówię ci, że stało się coś złego. Poczułam jakąś dziwną energię.

– Ty i te twoje przemyślenia. Ganiasz mnie przez pół lasu, nie wiadomo po co...

– Coś się stało przy bramie. Musimy to sprawdzić.

– Powinniśmy być teraz gdzie indziej i spełniać swoje zadania.

– I tak zaraz zamkną lokal. Chcę to sprawdzić. Nie możemy chociaż raz zrobić czegoś, co ja chcę?

Wyrzłam spomiędzy drobnych liści. Obok mnie w błyszczących cekinami sukienkach, trzymając w dłoniach buty na wysokich obcasach, szybko przemaszerowały znajome wiły: pełna wyższości Tomira i sympatyczna Borka, na której twarzy malował się teraz strach. To właśnie zaniepokojona Myślitora nalegała na wycieczkę do lasu.

Poczułam się nieswojo. Chyba nie powinny mnie nakryć w pobliżu zwłok utopca. Tym bardziej że sposób zabicia nieboraka wskazywał na ludzkiego zabójcę.

Postanowiłam czym prędzej się ulotnić. Odczekałam, aż odeszły wystarczająco daleko, żebym mogła bez strachu wstać.

Wyszłam poza ochronny krąg usypany z bielutkiej soli. W jednej chwili otoczyła mnie mgła. Przed sobą zobaczyłam dwa rozżarzone węgle unoszące się w mlecznym kłębie.

Nie zdążyłam nawet krzyknąć.

17.

Języki szarej substancji otoczyły mnie. Poczułam, jak ciepłe męskie ramię łapie mnie w pasie i przyciąga do siebie. Upuściłam latarkę. Nie usłyszałam, jak upada. Wydawało się, że została połknięta przez mgłę.

Oparłam się dłońmi o klatkę piersiową mężczyzny, który niespodziewanie pojawił się przede mną. Odepchnęłam go. Ramię oplatające mnie w pasie zniknęło. Uderzył we mnie wiatr. Cofnęłam się do ochronnego kręgu, ale jego już nie było. Rozpłynął się. Pod stopami miałam tylko zaschłe liście.

W panice zaczęłam się rozglądać dookoła, usiłując dostrzec coś przez ciemności panujące w lesie.

Gdzie moja latarka? Gdzie ona jest? Bez niej nic nie widzę!

– Spokojnie, nic ci nie grozi – odezwał się tuż obok mnie szeleszczący głos.

Podniosłam głowę. Dookoła mnie pojawiła się lekko pulsująca szarość.

– Czego chcesz? – wycodziłam.

Ze wszystkich stron otoczona byłam mgłą, a może raczej dymem? Poczułam jego duszący zapach na języku. Była tylko jedna istota, która mogła pojawić się obok mnie w takiej oprawie.

– Nie jesteś dla mnie zbyt miła, widząca...

Otoczył mnie cichy śmiech Swarożyca. Żarzące się węgle jego oczu zniknęły.

Machnęłam rękami, starając się przegnać dym, i pobiegłam przed siebie. Nie minęła chwila, a potknęłam się o jakiś korzeń i upadłam jak długa.

– Widząca... nic sobie nie zrobiłaś?

Zmełam w ustach przekleństwo. Rzecz jasna, upuściłam worek soli, kiedy dmuchnął mi w twarz dymem. W torbie miałam jedynie żelazny sztylet, który raczej wiele mi nie pomoże w walce z istotą utkaną z płomieni i dymu.

Wstałam i obróciłam się dookoła własnej osi.

– Pokaż się – zażądałam. – Nie będę rozmawiała z kimś, kogo nie widzę.

Naprzeciwko mnie zapłonęły dwa ognie. Im bliżej mnie były, tym więcej szczegółów się pojawiało. Zamieniły się w czarne oczy rzucające ogniste błyski, jakby odbijały się w nich płomienie. Mięliste usta ukryte za utkaną z dymu brodą rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Cała jego postać wydawała się ułudą, była jednocześnie ciałem i dymem. Nie miał na sobie koszuli, jedynie skórzane spodnie. Bose stopy stały na suchych liściach. Nie unosił się nad ziemią.

Zrozumiałam, że dla mnie postarał się wyglądać najbardziej ludzko, jak potrafił.

– Zachwyca mnie twa buta – oświadczył. – Jesteś godną opiekunką ognia.

– Nie jestem opiekunką ognia – zaprzeczyłam.

Poczułam, jak znamię na szyi piecze, zupełnie jakby znowu było wypalane.

Z sykiem złapałam się za bolące miejsce i pochyliłam.

– Jesteś opiekunką mojego żaru – powiedział spokojnie. – Już na zawsze będziesz nosiła go w sobie i na sobie, będąc świadectwem mojego istnienia i głosząc moje imię.

A ja myślałam, że to Weles i Świętowit mają kompleks boga. Najwyraźniej takie zachowanie cechowało ich wszystkich. We łbach się po prostu przewracało od tej władzy.

– Okej, okej, zrozumiałam!

Ból zniknął. Jak psa Pawłowa mnie będzie traktował... Już ja mu się kiedyś odwdzięczę.

– Widząca, nie chcę cię krzywdzić – powiedział miękko i podszedł bliżej.

Ledwie powstrzymałam się przed odskoczeniem do tyłu.

– Chcesz, żebym oddała ci przysługę? – zapytałam. – Już wiesz, o co chcesz poprosić?

– Nie, jeszcze się waham – odparł z uśmiechem.

Kłamał. Kłamał w żywe oczy i wiedział, że ja o tym wiem. Po co była ta gierka? Niczego nie rozumiałam. Bawiło go, że tak długo trzymał mnie w nieświadomości? W oczekiwaniu?

– To ty zyszasz na mnie te wizje? – wydusiłam.

Przez chwilę jego mina wyrażała zdumienie, ale szybko pojął sens mojego pytania. Zaśmiał się głucho. Dym objął mnie... o ile można powiedzieć coś takiego o dymie... wręcz czule.

– Nie, Gosławo. Wszystkie wizje są wyłącznie twoją zasługą. Ja co najwyżej mogę ci tylko pomóc w ich wzmocnieniu. Wystarczy, że poprosisz...

– Ostatnio widziałam coś, co dopiero się stanie, a nie coś, co już było – zbyłam jego propozycję.

Pokiwał głową i spojrzał ponad moim ramieniem. Odwróciłam się, ale przez klęby szarości nie byłam w stanie niczego dojrzeć. Wydawało mi się, że znajdujemy się w jakimś kokonie utkanym z jego żywiołu.

– Widziałaś utopca? – zapytał.

Zdziwiłam się. Nie wiedział? A jednak odgadł, gdzie mnie znaleźć. Jeszcze raz dotknęłam śladu po oparzeniu. Przez moją głowę przemknęło pytanie: czy jak usunę je chirurgicznie, to pozbawię go możliwości śledzenia mnie?

– Skąd się tu wzięłeś? – Zmrużyłam oczy.

– Byłaś w niebezpieczeństwie. Jesteś strażniczką mojego ognia, a ja dbam o swoje sługi.

Dym za moimi plecami stał się nagle bardziej cielesny. Popchnął mnie do przodu i uniósł moją rękę. Swarozyc pochylił się, zupełnie jakby chciał złożyć na mojej dłoni szarmancki pocałunek. Wyrwałam się. Przytuliłam do siebie dłonie, żeby nie zdołał ich odciągnąć tak łatwo.

– Nie pozwalaj sobie na zbyt wiele. Nie dam ci się znowu naznaczyć – powiedziałam. – Jedna przysługa to i tak zbyt wiele.

Jego brwi uniosły się w wyrazie zdziwienia, ale w oczach dostrzegłam iskry rozbawienia.

– Czemu jesteś wobec mnie taka nieufna, widząca? – zapytał. – Czy nie udowodniłem ci, że zależy mi na twoim zdrowiu? Gdyby nie moja rada, wojownik wypiłby napar, a ty byś umarła. Zawdzięczasz mi życie.

– Dziękuję – odpowiedziałam, bo chyba tego ode mnie oczekiwał. – Jednak nie zmienia to tego, że wiem, co zrobiłeś Babie Jadze.

– Nigdy nie zrobiłem niczego wbrew jej woli. Chciała mi służyć.

– Naraziłeś ją na niebezpieczeństwo.

– Nic nie odbyło się wbrew jej woli – powtórzył. – Wiedziała dobrze, co czyni i jaką cenę może zapłacić. Zdecydowała się zaryzykować.

– A Ote?

– Ote? – Uśmiechnął się kpiąco. – Ote, moja ulubienica. Nigdy nie uczyniłem jej krzywdy. Jeśli chcesz znać prawdę... To ja byłem jej niewolnikiem, a nie ona moim.

W jego głosie zabrzmiał pomruk pożądania.

– Ale wybrała śmiertelnika – zauważyłam złośliwie.

Uśmiech zastygł mu na ustach. Płomienie w oczach zmieniły barwę na niebieskawą. Przestraszyłam się. Nie powinnam była tego mówić. Z niepokojem zauważyłam, że zaczyna się robić gorąco. W falującym dziko dookoła nas dymie pojawiły się iskierki żaru. Zupełnie jakbyśmy stali tuż nad ogniskiem.

– Na koniec wybrała mnie – oznajmił. – Spłonęła w moim ogniu.

Przełknęłam ślinę. Miałam nadzieję, że było to tylko poetyckie porównanie. Coś jednak mówiło mi, że tysiąc lat temu jej doczesne szczątki faktycznie spłonęły z jego pomocą. Chociaż miałam podejrzaną wrażliwość, że to także odbyło się za zgodą i z wielką chęcią strażniczki ognia.

Siłą woli powstrzymałam się przed dalszymi uwagami. Gdy zginęła, stała się służką Welesa. Wciąż chodziła po ziemi, czyli nadal mogli być razem.

Po plecach przebiegł mi dreszcz niepokoju.

Jeśli nadal ze sobą byli, to... dopiero co zabiliśmy jego kochankę. Byłam temu tak samo winna jak Mieszko.

– Chcesz się zemścić? – wydusiłam.

– Za co?

– Za śmierć Ote.

Westchnął i zmrużył oczy.

– Drżysz – powiedział. – Czemu?

Powietrze wokół nas momentalnie zrobiło się cieplejsze, zupełnie jakby je dla mnie podgrzał, sądząc, że dokucza mi chłód nocy.

– Boję się ciebie – wydusiłam.

Na chwilę zamarł w bezruchu.

– Już mówiłem, że nie zrobię ci krzywdy. Mogę powtarzać to do znudzenia, widząca. Jesteś moją służką. Nie zrobię niczego, na co sama nie wyrazisz zgody.

Pomyślałam o tym, że jego atrakcyjna twarz, uwodzący głos i miłe gesty zapewne przez wieki niejedną widzącą łatwo przekonały do powiedzenia „tak”. Nawet Jarogniewa poświęciła dla niego wszystko.

– Ote po śmierci stała się strzygą – odezwał się niespodziewanie. – Wtedy przestała być strażniczką mojego ognia.

Nie wiem, co chciał mi przez to powiedzieć. Czy miało mnie to przekonać, że uniknę jego zemsty? Że Mieszko jej uniknie?

Miałam już dość tych gier.

– Po co mi się ukazałeś? – zapytałam.

– Mówiłem ci. Byłaś w niebezpieczeństwie. Zaraz w lesie zaroi się od istot, które rozpoczną lament nad sobą podobnymi. Będą szukać winnego. Dbam o ciebie. Zawsze będę.

Mówiąc krótko, jak zwykle byłam w złym miejscu i w złym czasie.

– Czemu tu przysłaś, widząca? – zapytał z troską.

– Myślałam, że może mogę go w jakiś sposób ocalić, skoro wiem, co go czeka. Ale się spóźniłam – wyjaśniłam, a przed oczami znowu stanęło mi ciało Darka.

Zamrugalam, żeby przepędzić z oczu łzy.

– Nie smuć się. – Znowu spojrział gdzieś nad moim ramieniem, jakby zasłona z dymu nie stanowiła dla niego żadnej przeszkody. Pewnie tak było. – Jego los był już przesądzony. Pojawił się nowy myśliwy. Utopiec miał zginąć tej nocy.

– Kto to? – zapytałam.

– Tobie nic nie grozi – odparł, ignorując moje pytanie. – Darzy nienawiścią tylko niektóre służki bogów. Śmiertelniczce nie uczyni krzywdy.

– Dlaczego miałam tę wizję?

– To twoje zdolności. Jesteś potężną widzącą.

Cudownie.

– Czemu nasyłasz na mnie koszmary? – zaatakowałam.

– Ja? – zdziwił się.

– O tym, jak płonę, o żmiju i o nożu!

– Raz wpłynąłem na twoje sny przez łączące nas zamię – powiedział. – Ukazałem ci moją moc. Inne sny są wyłącznie twoją własnością.

Pokręciłam zirytowana głową. Nawet jeden sen to było za dużo. Swarożyc przekraczał granice, w pobliżu których nigdy nawet nie powinien się znaleźć.

– Nie życzę sobie, żebyś wysyłał mi jakiegokolwiek sny! – warknęłam.

Dym wokół nas zakotłował się. Pojawiło się w nim trochę iskieł żaru. Jednak

na jego twarzy wciąż gościł uprzejmy uśmiech.

– Ukazałem ci siłę moich płomieni – oznajmił. – Mój żar może mieć różne oblicza. Wystarczy, że powiesz słowo.

– Mówię, że nie chcę żadnych snów!

Objęłam się rękami. Miałam tego dość. Chciałam wrócić do domu. Im dłużej przebywałam w jego towarzystwie, tym bardziej ryzykowałam, że się w coś wplączę. I tak nie zamierzał powiedzieć mi niczego interesującego.

– Puść mnie. Muszę wracać – powiedziałam.

– Mogę ci coś powiedzieć o twoich wizjach. – Niespodziewanie zarzucił na mnie swoje sieci. – Wyjaśnić twoje zdolności. Zapytaj tylko.

Zadrzałam. W jaką grę on ze mną gra?

– Słucham. Zadaj pytanie.

Jego głos był łagodny, kojący. Usiłował mnie omamić. Po raz kolejny. A ja mu powoli ulegałam.

– Nie rozumiem, czemu się zmieniły. Kiedyś mogłam widzieć przeszłość. Wydawało mi się, że jestem w tym coraz lepsza. A teraz... teraz nie mogę. Widzę pustkę. Nie panuję nad tym. Ujrzałam tylko śmierć utopca.

– Cały czas się uczysz. Kiedyś będziesz bardzo uzdolnioną widzącą – oznajmił. – Twój talent jest gwałtowny i nieokiełznany jak moje płomienie. Ciężko nad nim zapanować.

Ucieszyło mnie, że wróży mi najwyraźniej na tyle długą przyszłość, że jeszcze zdążę się podszkolić.

– Problem jest tylko w twojej głowie – kontynuował. – Zbudowałaś mur. Mogę ci pomóc go przełamać, pozbawić cię wątpliwości. Wtedy ponownie będziesz mogła panować nad wizjami.

– A jaka będzie cena? – Byłam pełna podejrzeń.

Zaśmiał się głucho. Jego śmiech odbijał się echem ze wszystkich stron. Dym znowu zbliżył się do mnie i otoczył. Poczułam ciepło rozlewające się po ciele. Iskry zawirowały dookoła nas. Tym razem żar był przyjemny.

– To będzie podarunek – odpowiedział. – Potraktuj go jako oznakę mojej dobrej woli. Chcę, żebyś mi zaufała. Do niczego cię nie zmuszę. Potrafię dawać.

– Nie wiem...

– Nic ci nie grozi. Obiecuję – zachęcał, wwiercając we mnie płomienne oczy.

– Chyba... mogę przyjąć taki prezent.

W moim głosie wciąż było słyhać wątpliwości. Wiedziałam, jak by na taki podarek zareagowała Baba Jaga. Trzepnęłaby mnie po głowie ścierą. Co najmniej.

– Daj mi rękę.

– Po co? – Mocniej przygarnęłam do siebie kończyny.

– Moje podarki, tak jak obietnice, należy przypieczętować ogniem. Tylko tak

to zadziała – powiedział.

Poczułam zapach żywicznego ognia, świeżo palonych gałęzi sosny, słodki, ziołowy zapach żółtego wrotyczu. Zakręciło mi się w głowie od tych aromatów.

– Nie bój się. Nie skrzywdzę cię – zapewnił po raz kolejny.

Zamknęłam oczy i wyciągnęłam przed siebie rękę. Zaśmiał się. Poczułam delikatny, ciepły dotyk. Rozgrzane palce przez chwilę masowały wnętrze mojej dłoni. Poczułam, jak fala odprężenia przepływa przez moją rękę, ramię, a następnie plecy. Westchnęłam mimowolnie. Poczułam na wewnętrznej stronie nadgarstka gorący oddech. Odwrócił moją dłoń grzbietem do dołu. Mocniej zacisnęłam powieki, obawiając się bólu.

Gorące usta dotknęły skóry. Żar stawał się coraz cieplejszy. Spróbowałam wyrwać dłoń, ale trzymał ją jak w imadle.

Nagle ucisk zniknął, a ja o mało nie przewróciłam się do tyłu. Przestraszona otworzyłam oczy. Zamrugałam zaskoczona. Nie byłam już w głębi puszczy, w pobliżu potoku i wejścia do zaświatów. Nigdzie nie było nawet śladu po żywicznym dymie i błyszczących iskrach. Stałam na brzegu lasu, przede mną rozciągała się łąka należąca do szeptuchy. Widziałam, że w oknie jej sypialni ciągle pali się światło, pomimo że na horyzoncie powoli różowił się świt. Czekwała na mnie.

Odsunęłam rękaw kurtki i spojrzałam na prawy nadgarstek. Nie widziałam dokładnie w ciemnościach, ale ciągle czułam pulsowanie bólu. Musnęłam opuszkami miejsce oparzenia. Bolało.

Jeżeli to według niego był prezent, to zastanawiam się, jak wyglądają jego kary.

18.

Chłodna mgła snuła się po ziemi, owijając swe sploty dookoła nóg i końskich kopyt. Jej lodowate palce wsuwały się pod ubranie i przesuwwały po skórze, jakby sama szukała ciepła i pociechy. Sprawiała, że wszystko wydawało się nierzeczywiste, wyrwane ze snu.

Na wydeptanej łące płonęły stosy pogrzebowe. W równych rzędach oddawały bogom to, co sami stworzyli. Smród palonych ciał unosił się do nieba razem z gorzkim dymem i lamentem ocalałych.

Na horyzoncie powoli ukazał się rąbek złotej tarczy słońca. Ostre promienie bezskutecznie walczyły, usiłując się przebić przez szare kłęby dymu.

Dagome opierał się o rękojeść starego, lekko wyszczerbionego miecza wbitego w twardą, zmarzniętą ziemię. Przed sobą miał nieprzyjazne terytoria Wioletów oraz płaskie ziemie Wolinian.

Chłód poranka wkradał się podstępnie pod jego podbity futrem płaszcz, ziębił uszy i twarz, ale mimo próśb doradców wódz nie wrócił do obozu. Stał w miejscu, w którym wczoraj przelał krew swoją i cudzą. Razem z resztą swojej drużyny oddawał cześć poległym, pomagał przy pochówkach. Gardził władcami, którzy gdy tylko milkł dźwięk oręża, uciekali do ciepłych grodów niczym zajęce.

Płonący stos pogrzebowy, który miał przed sobą, nie był w stanie go ogrzać, mimo że przyzma drewnianych szczap sięgała Mieszkowi do piersi. Na niej ułożono ciało jego wiernego druha, Garda. Mężczyzna zginął podczas walki, z wojenną pieśnią na ustach.

Dagome był przy tym. Odrąbał głowę Wioletowi, który ugodził śmiertelnie pod żebra jego kompana, a następnie czuwał przy konającym, nie dopuszczając do niego wrogów. Pilnował, by nikt nie zbezczeszczył jego ciała.

– Pomścij mnie i wspomnij imię w kolejnych walkach – poprosił Gard, krztusząc się krwią. Cierpiał, jednak na jego zakrwawionych ustach malował się zwycięski uśmiech. – Bogowie już szykują dla mnie miejsce przy swoim stole.

Dookoła nich wciąż trwała walka, ale Mieszko uklęknął obok druha, nie bacząc na wrogów.

– Obejmę opieką twoją żonę i córki – obiecał ze ściśniętym gardłem. – Nie zaznają głodu ani niedostatku.

– Wiem – Gard chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zakrztusił się krwią. Gdy już zdołał odetchnąć, dodał: – Ale do córek to się nie zbliżaj, już ja cię znam, psie.

Dagome się roześmiał.

– Nie stanie im się krzywda – zapewnił.

Mieszko nie wyobrażał sobie, że jego wiernego druha może zabraknąć. Walczyli razem, odkąd byli pacholętami. Zawsze razem jak bracia, choć nimi nie byli.

Czas nie oszczędził Garda. Niegdyś słomiane włosy przerzedziły się i pokryły nitką siwizny. Twarz pobruździły liczne zmarszczki i blizny. Jednak kolejne lata nie złamały w nim ducha walki. Sylwetka przygarbiła się, ruchy zwolniły, ale mięśnie były tak samo twarde jak przed laty. Dagome wiedział, że kiedyś będzie musiał go pogrzebać.

Ciągle jednak wydawało mu się, że było na to za wcześnie.

Gard spojrzał na wciąż młodą twarz przyjaciela. Pożałował go. Wiedział, że nigdy nie będzie mu dane przeżyć tego, co jemu ofiarowali bogowie.

– Nie rozpaczaj. Spotkamy się kiedyś w zaświatach. Wybij te wieleckie świnię – powiedział.

Zmarł ze śmiechem na ustach.

Gdy walka ustała, Dagome nakazał pogrzebać wszystkich poległych zgodnie ze zwyczajami. Nie zamierzał brać żadnych jeńców wojennych. Jego wojownicy wymordowali ocalałych, a ciała zrzucili na jeden stos. Postanowił i ich pogrzebać.

Wpatrywał się w stos pogrzebowy Garda. Nie widział już ciała. Jego wojowie całą noc zbierali drewno i ustawiali stosy. Zmarłych było wielu. Wszystkim należało się właściwe pożegnanie, by odnaleźli drogę do zaświatów i bogów, których czcili.

Stos Garda płonął już godzinę, powoli zaczął się zapadać, gdy płomienie pochłaniały kolejne poziomy drewnianych szczap. Mieszko podłożył ogień z chwilą pojawienia się pierwszego promienia słońca. Niedługo ceremonia miała się zakończyć. Obok stał już gliniany dzban, do którego po wystygnięciu popiołu zamierzał schować kości druha, by razem z mieczem przekazać je wdowie i córkom.

Mokosz całą noc karmiła się krwią poległych. Teraz ucztował Swarozyc.

Mieszko usłyszał za swoimi plecami niecierpliwe rżenie konia przerażonego płomieniami. Nie odwrócił się. Zamierzał cały czas obserwować przejście Garda na drugą stronę. Nie chciał wracać do położonego o godzinę jazdy grodu.

– Mężu? – Poczul na ramieniu delikatny dotyk. – Dobrze się czujesz? Nie odniosłeś żadnych ran?

Odwrócił się zaskoczony. Spodziewał się doradców, ale nie jej.

– Dobrawa?

Wciąż trzymając miecz Garda, objął ramieniem żonę i przyciągnął ją do siebie. Kobieta zakasłała i ciaśniej okryła się kapturem. Poczul, jak jej kruche ciało drży. Ona, tak jak Gard, zmieniła się przez ostatnie lata. Wciąż była piękna, na jej twarzy próżno było szukać zmarszczek, ale we włosach pojawiły się siwe pasma, a głos nie był już tak mocny. Choroba oddechu szybciej pozbawiała ją sił niż mijające lata.

– Przybyłam, gdy dotarły do mnie wieści. To Gard...? – Wskazała na dogasający stos pogrzebowy, przy którym stali.

– Nie powinnaś była przyjeżdżać. Nie podczas choroby. – Mocniej przytulił ją do siebie.

– Gard był i moim przyjacielem – powiedziała i przeżegnała się po chrześcijańsku.

Mieszko pokręcił głową i rozejrzał się szybko, czy nikt tego nie widział. Połączyła go z Dobrawą swaćba, ale kobieta nigdy nie wyrzekła się do końca swojego boga. Wciąż nosiła na szyi symbol ofiary jego syna. Krzyż o zbyt długim ramieniu, tak różny w porównaniu z symbolem Swaróżyca, który za namową Ote wytatuował sobie na ręce.

Dobrawa zacisnęła lekko posiniałe usta. Bała się po raz kolejny przy nim rozkaszleć, okazać jakąkolwiek słabość. Mieszko zbyt dbał o jej zdrowie. Gdy zaczęła chorować, zakazał jej opuszczać Gniezno. Nie widzieli się przez długie miesiące, gdy podróżował po kraju. Nie żyli jak mąż z żoną.

Tym razem uparła się jednak, że pojedzie z nim na wyprawę. Chciała mieć oko na swojego dziesięcioletniego syna Bolesława, który także postanowił wziąć udział w bitwie. Marzył, by być taki jak Mieszko, stawiał go na równi z bogami. Dagome przyrzekł, że będzie trzymał go w obozie, ale wołała sama tego dopilnować.

Znała syna. Wiedziała, że ma równie porywczy charakter co przybrany ojciec. Byłby gotów wyrwać się spod opieki nianieki, by pognać na pole bitwy. Jej jednak nie mógł przechytrzyć.

Wiedziała też, że nałożnica jej męża na pewno ruszy na wyprawę wojenną. Zawsze z nim wyjeżdżała. Dobrawa nie potrafiła znieść tej ujemy. To ona była prawowitą małżonką. Jedyną, jaką powinien mieć przed jej bogiem. Nienawidziła poganki, która go oczarowała.

Spojrzała ponad stosem pogrzebowym Garda. Całe pole walki usiane było płonącymi bądź wygasającymi już stosami. Daleko na horyzoncie wciąż wysoko płonął zbiorowy stos przeciwnych wojsk. Dym spiralnie unosił się do nieba ku ucieście krwawych, pogańskich bogów.

Pokręciła głową. Poczowała mdłości, gdy dotarł do niej swąd ciała. Zrobiło jej się słabo. Oddech jeszcze głębiej uwiązł jej w piersiach.

Nie była w stanie na to patrzeć.

Już chciała pożegnać męża i wrócić do obozu, gdy dostrzegła rudowłosą postać powoli kierującą się w ich stronę. Mocniej ścisnęła Mieszka za ramię i postanowiła, że zostanie.

Kobieta wyglądała jak demon, diabeł z Biblii, którą czytała każdego wieczora. Pomimo chłodu miała na sobie tylko płócienną sukienkę przewiązaną w pasie. Cała usmarowana była krwią poległych i popiołem z pogorzeli. Szalone oczy błyszczały w umazanej twarzy. Szła pomiędzy stosami pogrzebowymi z uśmiechem na ustach, zupełnie jakby śmierć napawała ją radością.

Dobrawa wiedziała, że kochanica jej męża służyła bogom i pomagała grzebać poległych. Mimo to nie mogła pozbyć się z serca nienawiści. Wzburzało ją, że gdy bóg postanowi zabrać jej duszę do niebios, ciało będzie skazane na kogoś takiego jak Ote.

– Mieszko? – Ścisnęła jego dłoń.

– Tak?

– Obiecuj mi, że mnie nie pochowasz w ten sposób. Pogrzebiesz moje ciało pod ziemią – poprosiła.

Skrzywił się. Takie potraktowanie szczątków uwielbianej przez poddanych Dobrawy na pewno nie spotka się z niczym uznaniem.

– Wolę, żeby moim ciałem zajęły się owady, niż żeby spłonęło ku uciesze tych krwawych bogów – powiedziała mocnym głosem.

– Nie myśl teraz o śmierci – odparł. – Przed tobą jeszcze wiele dobrych lat.

– Przyrzeknij mi – nakazała.

– Dobrawo...

– Przyrzeknij. Muszę to usłyszeć, inaczej nie zaznam spokoju.

– Dobrze, najmiłsza, jak sobie życzysz – odparł z rezygnacją.

Sam nie uznawał żadnych bogów. Osobiście było mu wszystko jedno, w jaki sposób zostaną potraktowane jego szczątki. Wiedział natomiast, jak pogrzebany chciał być Gard, i zamierzał dopilnować, by stało się tak, jak sobie życzył. Spełni także prośbę żony.

Ote zawahała się, gdy dostrzegła, że obok Mieszka stoi Dobrawa. Uśmiech zadowolenia z przeprowadzonych ceremonii zamarł na jej ustach.

Poczuła ogarniającą ją furję.

To ona powinna pocieszać go w obliczu śmierci przyjaciela.

To ona pomogła przygotowywać stos.

To ona podała mu płonącą żagiew.

To ona powinna tam stać, a nie ta chrześcijańska dziwka.

Tłumiąc własną złość, dumnie uniosła głowę i podeszła do władcy. Każdy jej krok, każde uderzenie serca było przepełnione nienawiścią do Czeszki.

– Wszyscy wojownicy zostali uhonorowani – powiedziała opanowanym głosem. – Dopilnowałam tego, mój miły.

Ucieszył ją wyraz oburzenia na twarzy Dobrawy, gdy usłyszała, jak określiła jej męża. Wiedziała, że ten zwrot to oznaka braku szacunku wobec pierwszej żony, ale nie przejmowała się tym.

– Dziękuję, Ote – odparł, zdając się nawet tego nie słyszeć.

Kobieta złagodniała. Jej ukochany wędrował teraz gdzieś daleko myślami. Zrozumiała, że jeszcze długo będzie wspominał najlepszego przyjaciela.

– Dusze wleciały do Wyraju – dodała. – Gdy popiół wygaśnie, będziemy mogli zebrać kości. Zrobiliśmy wszystko tak, jak być powinno.

Stała po lewej stronie władcy. Wiedziała, że odepchnie Dobrawę i to ją weźmie w ramiona. Dobrze zdawała sobie sprawę z tego, że w żadnym razie nie przypominała teraz dumnej pani, jaką niewątpliwie była jej rywalka. Nie miała na sobie drogiej sukni, jej włosy nie były misternie upięte.

Nie była go godna.

Spojrzała na swoje brudne dłonie. Za paznokciami miała krew wrogów, którym wycięła wciąż ciepłe serca, by spalić je w ofierze dla Swaróżyca. Cała ubrudzona była popiołem z ciał poległych.

Radość z darów dla boga ognia, którą przed chwilą odczuwała, zniknęła. Spojrzała na dumny profil stojącego obok mężczyzny. Przestraszyła się. Poczula, że coś w niej umiera. Złapała się za serce i cofnęła, żeby Mieszko nie mógł zobaczyć jej twarzy.

Podjęła decyzję. Wiedziała, że jest późno, że spóźniła się o kilkanaście lat. Miała jednak pewność, że decyzja jest słuszna. Zrozumiała, że Mieszko jest dla niej ważniejszy od płomieni Swaróżyca i jedności z bogiem.

Zacisnęła dłonie w pięści i uśmiechnęła się do swoich myśli. Teraz musiała tylko zająć miejsce Dobrawy.

Mieszko niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w dym unoszący się ze szczątków Garda. Pragnął życia pełnego wojny. Jego pragnienie się spełniło. Przez lata nieustrudzenie poszerzał granice swojego państwa, podbijał kolejne plemiona.

Tylko czy wieczna walka aby na pewno była warta radości, gdy miał niebawem zostać na polu bitwy sam?

19.

Usiadłam w pościeli i przetarłam zażawione oczy. Czułam swąd płonącego stosu pogrzebowego. Miałam wrażenie, że moje włosy i pościel przesiąkły tym smolistym, ciężkim zapachem.

Spojrzałam na prawy nadgarstek. Na jego wewnętrznej stronie widniało owalne, dobrze wygojone oparzenie. Zaklęłam pod nosem. Będę musiała je czymś zasłonić, bo inaczej się wyda, że spiskowałam ze Swarozycem. Baba Jaga na pewno łatwo rozpozna to znamię. Sama też pewnie miała takie ślady.

Stojący na stoliku nocnym budzik wskazywał dwunastą. Po moich nocnych przygodach porządnie zasnęłam. Zdziwiło mnie, że szeptucha nie wyciągnęła mnie za włosy z łóżka. To chyba pierwszy raz, kiedy się nade mną zlitowała.

Wśluchałam się w dźwięki domu. Poza hałasami, które generuje zawsze sam budynek, nie usłyszałam niczego. Baba Jaga najwyraźniej już dawno poszła do pracy po drugiej stronie ulicy. Odetchnęłam. Postanowiłam skorzystać z okazji i wziąć długi prysznic oraz jeszcze przez chwilę zastanowić się nad moim snem.

Powąchałam podkoszulkę. Przysięgłabym, że czuć od niej było słaby zapach dymu. Wzdrygnęłam się na wspomnienie płonących ciał.

To była pierwsza noc, w której nie uciekałam przed zmijem. Poczułam ulgę. Może Swarozyc nie kłamał? Może teraz uda mi się poukladać w głowie kilka spraw?

Wyskoczyłam z łóżka i z rozmachem otworzyłam drzwi sypialni. Zanim weszłam do łazienki, kątem oka dostrzegłam szczegół, który mi się nie zgadzał. Wróciłam do korytarza i przekrzywiając głowę, przyjrzałam się trzem dużym walizkom na kółkach. Zdecydowanie nie było ich w tym miejscu, gdy nad ranem wróciłam do domu.

Podrapałam się po głowie. Tak, na pewno ich nie było. Była jedynie wściekła Baba Jaga w szlafroku w kwiatki, z papilotami na głowie. Powiedziała mi, że przeze mnie z nudów pierwszy raz od piętnastu lat zakręciła włosy na papiloty, bo już nie wiedziała, w co ma wsadzić ręce, tak się martwiła, że zbyt długo nie wracam.

Postanowiłam, że powiem jej jakiś komplement, gdy tylko ją zobaczę, oraz podziękuję, że nie zerwała mnie z łóżka. Mogła nie mieć skrupułów. W końcu sama też zarwała nockę.

Zamknęłam się w łazience. Podkoszulkę i szorty od razu wrzuciłam do pralki, solennie sobie obiecując, że wieczorem nastawię pranie. Zawahałam się, patrząc na świece zapachowe, które ustawiłam w kącie.

– Eee, przecież już nic mi nie robi – mruknęłam dla dodania sobie otuchy i zapaliłam je za pomocą leżących obok zapalek.

Poczułam zapach jaśminu. Skutecznie zadusił swąd, który wciąż unosił się

dookoła mnie.

Wskoczyłam pod prysznic, ale cały czas zezowałam zza półprzezroczystej zasłony na płomyki. Nie spodziewałam się, że za ich pomocą Swarożyc rzuci się na mnie, ale wolałam mieć je pod kontrolą.

Znowu pomyślałam o Mieszku. Wiedziałam, że pojechał pochować Ote. Czy ciało strzygi także spłonęło na stosie? Nawet nie wyobrażałam sobie, co musiał czuć, drugi raz chowając ją do grobu. Wieczne życie w żadnym razie go nie oszczędzało.

Mimo wszystko poczułam mściwą satysfakcję, że żadna krew cholera wreszcie nie żyje. Tym razem już definitywnie.

– Bogom dzięki, że nie może wracać. Jeszcze tego by brakowało – mruknęłam, wsuwając głowę pod strumień ciepłej wody. Znamię na nadgarstku zapiekło odrobinę.

Czy do Mieszka wróciły wszystkie smutne wspomnienia? Pewnie tak. Pochował wszystkich, na których kiedykolwiek mu zależało. Patrzył, jak się starzeją i na jego oczach marnieją, podczas gdy on był wiecznie młody.

Prezent w postaci naparu z kwiatu paproci był w rzeczywistości bardzo okrutnym darem.

Mydło wyslizgnęło mi się z rąk, gdy dotarło do mnie, że... przestałam tęsknić. Zachłysnęłam się gorącym powietrzem. Ja naprawdę przestałam tęsknić. Zobaczenie Mieszka we śnie jeszcze mnie w tym utwierdziło.

Zakręciłam kurki i wyszłam z wanny. Całe pomieszczenie wypełnione było parą. Stałam na miękkim, puchatym dywaniku. Woda powoli ściekała z mojej skóry.

A ja byłam niezdolna do wykonania nawet najmniejszego kroku. Zaczęłam jak szalona sondować własne uczucia, rozliczać się ze wspomnień. Nadal go kochałam, co do tego nie miałam najmniejszych wątpliwości. Serce biło mi żywiej na samą myśl o nim.

Jednak przestałam gorączkowo wyczekiwać jego powrotu. Zupełnie jakbym podświadomie zaczęła się przygotowywać do faktu, że może już nie wróci.

Czy ja... czy to czyni mnie złym człowiekiem?

Pokręciłam głową, nie potrafiąc odpowiedzieć sobie na to pytanie. Szybko wytarłam się szorstkim ręcznikiem, a następnie zawiązałam go na głowie, żeby wchłonął trochę wody z włosów.

Zerknęłam na świece. Obie zgasły. Czyżby jakimś cudem knoty zamokły?

Gdy spojrzałam w lustro, zamarłam. Zerwałam z głowy ręcznik i czym prędzej owinięłam się nim, zasłaniając swoją nagość. Na szklanej, zaparowanej tafli była odcisnięta męska dłoń. Rozejrzałam się po niewielkim pomieszczeniu, ale nikogo w środku nie dostrzegłam.

Utyskując pod nosem, uchyliłam lufcik. Para powoli zaczęła się rozwiewać.

Dłoń z lustra zniknęła.

– Cholerny Swarożyc – burknęłam.

Jeszcze raz spojrzałam na znamię. Czy wizje i możliwość zobaczenia Mieszka chociażby w snach były tego warte? A może w jakiś sposób bóg ognia mnie oszukał? Może to on zmaćcił moje myśli? Zmroziła mnie możliwość, że grzebał w mojej głowie i podczas odblokowywania wizji postanowił usunąć z niej Mieszka.

Postanowiłam, że już nigdy nie zapalę żadnych świeczek.

Na kuchennym stole czekał na mnie wiklinowy koszyk z odręczną notatką od szeptuchy. Prosiła, żebym przeszła się do sąsiadów po jajka. Złapałam kromkę chleba i koszyk. Z mokrymi włosami wybiegłam z domu, omijając zagadkowe walizki. Baba Jaga już i tak zbyt długo czekała na mnie w swojej chatce.

Jarogniewa miała umowę z gospodarzem mieszkającym w połowie drogi pomiędzy jej domem a skrzyżowaniem prowadzącym do Bielin. Mężczyzna dostarczał jej tyle jajek, ile chciała, a w zamian za to ona robiła jakieś magiczne mikstury dla jego kur, żeby lepiej się niosły. Osobiście podejrzewałam, że to bujda na resorach, ale pan był święcie przekonany, że ziółka działają.

Żeby dojść do jego gospodarstwa, musiałam minąć rozpadające się obejście porzucone przed laty przez właścicieli. Jak wieść gminna niosła, mieszkało tam niegdyś czterech braci. Zamiast kochać się nawzajem, kochali własnoręcznie wyrabiany bimber. Nie wylewali za kołnierz, więc nie zdołali nigdy ukończyć budowy okazałego domu. Teraz straszyl brudnymi oknami i murszejącą cegłą. Pola braci zarosły polnymi kwiatami i chwastami, czereśniowego sadu nikt nie doglądał, a nieotynkowana nigdy chałupa psuła malowniczy widok na Łysą Górę.

Bracia, którzy zajmowali się tą gospodarką, dawno zmarli.

Zauważyłam, że w zapuszczony trawnik ktoś wbił tabliczkę z napisem „na sprzedaż”. Gwizdnęłam z uznaniem. Może wreszcie ktoś tu zamieszka? Z drugiej strony żal darmowych czereśni...

Stałam pod ogrodzeniem gospodarza od jajek i czujnie się rozejrzałam w poszukiwaniu rozszczekanych burków. Miałam na sobie sukienkę nad kolano. Wolałabym, żeby mi się nie rzuciły do kostek.

Nigdzie nie było widać psów. Otworzyłam furtkę i ponownie zamarłam w oczekiwaniu na wściekle bydlę, które zaraz się na mnie rzuci. Nic takiego się jednak nie stało.

Nagle zza domu wyszedł gospodarz. Rażno maszerował w kaloszach, dźwigając pod pachami dwie kury. Za nim biegły jego trzy psy, wesoło merdając ogonami.

– Trzymaj się chałupy jak moja noga dupy. Trzymaj się chałupy jak moja noga dupy. Trzymaj się... – gospodarz urwał przaśną przyśpiewkę, widząc moją rozdziawioną ze zdziwienia buzię.

W porę zatrzasnęłam furtkę, zanim ogarnięte nagłym szaleństwem burki rzuciły się na mnie z chęcią przegryzienia gardła i wyprucia flaków.

– A dzień dobry! – powitał mnie jowialnie gospodarz. – Proszę wchodzić, nie gryzą.

Czarny burek z zaczerwionymi, kaprawymi ślepiami zaczął toczyć pianę z pyska. Zupełnie już zachryplł. Drugi, mniejszy kundel, ledwie sięgający mi kolan, jazgotał i podskakiwał jak nakręcana zabawka. Jedyne trzeci pies, największy, usiadł na zadku i spokojnie czekał, jakby od niechcienia, bo tak wypada.

– Dzień dobry! Nie, może tutaj poczekam... Baba Jaga przysłała mnie po jajka. – Uniosłam do góry wiklinowy kosz.

Gospodarz wypuścił kury, które pognały przed siebie jak szalone, gdy tylko najmniejszy z psów obronnych zwrócił się w ich stronę. Wziął ode mnie kosz i zapewnił, że zaraz przyjdzie, skoro wolę nie wchodzić do obejścia.

Upewniłam się, że furtka jest zamknięta na skobel, i odwróciłam się w stronę ciągnących się po drugiej stronie drogi pól. Pomimo że już minęło południe, daleko przede mną na następnym wzniesieniu dostrzegłam ubraną na biało postać. Przysięgłabym, że zobaczyłam błysk srebrnego sierpa.

Gdy mrugnęłam, postać znikła, zupełnie jakby rozwiała się na lekkim wietrze szarpiącym zbożem.

– A oto jajeczka! – po chwili usłyszałam za swoimi plecami.

Uśmiechnęłam się do zadowolonego gospodarza, który podał mi ciężki teraz kosz. Nie żałował jajek dla szeptuchy. Dobrze, że miałam blisko do domu.

– A co pan robił z tymi kurami, jeśli można wiedzieć? – zapytałam zaintrygowana tajemniczą przyśpiewką.

– To taki stary zwyczaj w tych stronach. Jeśli się kupi nową kurę na targu albo na jarmarku, to trzeba ją jakoś do chałupy przyzwycząić, żeby nie odlaża. Można ją przez pewien czas trzymać zamkniętą i karmić w obręczce zdjętej z cebrzyka albo obejść z nią chałupę, powtarzając: „trzymaj się chałupy jak moja noga dupy” – oznajmił bez żadnego skrępowania.

– Naprawdę? – uprzejmie się zdziwiłam, ledwie panując nad mimiką. – I to działa?

Gospodarz podparł się pod boki i z nutką melancholii w głosie powiedział:

– Tak, tę metodę podpowiedziała mojej rodzinie dawno zmarła babuleńka Baby Jagi. Babcia znała się na kurach jak mało kto. To dzięki jej czarom do dzisiaj nasze gospodarstwo słynie z jajek. Wszystko jej zawdzięczamy. Kochana babcia.

– Rozumiem. – Pokiwałam głową. – Dziękuję za jajka w imieniu szeptuchy.

– Ależ nie ma za co dziękować. To nasz rodzinny obowiązek dbać o szeptuchę. Do miłego!

– Do widzenia.

Ruszyłam poboczem. Gdy tylko oddaliłam się od posesji, szaleńczy jazgot

umilkł. Psy wróciły do swoich zajęć.

Znowu przeszłam koło opuszczonego gospodarstwa. Urwana brama smętnie wisała na jednym zawiasie. Drewniany płot przegnił. Rośliny powoli przejmowały władzę nad ogrodem.

Oby szybko znalazło nowego właściciela, bo inaczej Mokosz zrówna to miejsce z ziemią.

Gdy dotarłam do chatki szeptuchy, wpadłam na grupę mężczyzn. Właśnie wychodzili. Trzymali w rękach naręcza gałęzi i kilka woreczków. Rozpoznałam wśród nich stolarza, który pomagał w budowie domu dla Witka.

Wszyscy ściągnęli czapki na mój widok i szybko się przywitali, a następnie pożegnali, zapewniając, że robota ich goni.

– A co to za wycieczka? – zapytałam Babę Jagę, która mieszła zawzięcie chochlą w garnku.

Poczułam zapach rosółu i od razu pociekła mi ślinka. Ruszyłam do kredensu po głębokie talerze.

– Budują dom dla nowego wróza – wyjaśniła.

– To wiem, ale co tu robili?

– No jak to co? – Posłała mi pełne zdziwienia spojrzenie. – Nie można budować bez pomocy szeptuchy.

Nie można? Zaskoczenie malujące się na mojej twarzy musiało być wyraźne, bo od razu pospieszyła z wyjaśnieniami:

– Gdy budujesz nową chałupę, to zawsze warto zabezpieczyć się przed złym. Jest kilka podstawowych zasad, które, nawiasem mówiąc, powinnaś sobie przyswoić.

Postawiłam pełne rosółu talerze na stole.

– A jakie to zasady?

– Cieśla musi pod słupy wsunąć wianki z ziół.

– Rzecz jasna, wykonane przez szeptuchę? – Siorbnęłam pyszny rosół.

– Można je zrobić samemu, ale wiadomo, że te od szeptuchy mają więcej mocy. – Puściła do mnie oko. – Oprócz tego pod podłogę należy nasypać choćby kilka ziarenek zboża, żeby w nowym domu nie brakowało na chleb. Dla ochrony od pożaru pod dach należy włożyć gałązki dębiny, świerku lub brzeziny, okadzone wcześniej przez szeptuchę.

– Niewątpliwie okadzone – mruknęłam.

– Niewątpliwie – potwierdziła. – Pod progiem trzeba rozsypać sól albo kredą narysować linię, by zło nie weszło do środka. Z innych zasad, które poniekąd nas już nie dotyczą, bo od nas nie zależą... Niemniej musimy je znać! – Pogroziła mi łyżką. – Budowę zawsze należy zacząć pod pełnią księżyca.

– Dlaczego?

– Bo tak. Poza tym nie należy używać do budowy domu sosny mającej gałąź środkową prosto strzelającą do góry, czyli gromnicę, bo inaczej nieszczęście się sprowadzi na chałupę i pierwszej burzy nie przetrwa.

– Wydaje mi się, że Witkowi to się nie spodoba – zauważyłam. – On nie wierzy w takie rzeczy. Uważa, że to głupoty.

– Ty też, jak widzę.

Wzruszyłam ramionami i wygrzebałam z talerza ostatnią łyżkę wonnego rosołu. Dla kota nie zostało już nic do wylizania.

– Pamiętasz, jak ci tłumaczyłam, że niektóre rzeczy to, po pierwsze, tradycje, więc należy je znać, a po drugie, część z tych rzeczy działa tutaj? – Mówiąc to, postukała się palcem w skroń. – Czasem trzeba dać ludziom pociechę. Gdy wierzą, że nic się nie stanie, bo dopilnowali budowy, to nic się nie stanie.

– Witka to by chyba nie przekonało. On uważa, że trzeba wierzyć tylko w bogów.

– My jednak obie wiemy aż nazbyt dobrze, że nie tylko bogowie chodzą po tej ziemi, prawda? – spytała. – Zresztą dlatego przyszli do mnie i poprosili, żeby nic mu nie mówić. On pewnie się nie zgodził.

Wstała od stołu i podeszła do swojego kredensu pełnego ziół, naparów i nalewek. Otworzyła najniższą szafeczkę i wyciągnęła z niej gruby brulion o pożółkniętych kartkach. Czule pogładziła okładkę i zdjęła trzymającą go ciasno zieloną gumkę recepturkę. Wróciła do stołu. Na jej ustach ciągle gościł delikatny, rozmarzony uśmiech.

– To zapiski mojej babci – powiedziała i podała mi zeszyt. – Spisała wszystkie swoje mądrości. Ja znam je na pamięć, ale przed tobą jeszcze dużo nauki. Przeczytaj je i zapamiętaj jej słowa.

– To przepisy na nalewki i leki? – zapytałam.

– Nie, to ludowe mądrości, chociaż ty pewnie nazwałabyś je zabobonami – odparła, wzdychając ciężko.

Skórzana okładka była lekko poczerniała, zupełnie jakby kiedyś usiłowano brulion spalić. Otworzyłam go z zaciekawiona. Wszystkie strony były zapisane delikatnym, kształtnym pismem. Dzisiaj już się tak nie pisało. Kobięca dłoń dokładnie kaligrafowała każdą literę. Choć czasami niektóre słowa wydawały mi się obce, to wszystko dobrze rozumiałam. Babcia Jarogniewy najwyraźniej usilnie starała się napisać poradnik, nie używając niezrozumiałej gwary. Pożółknięte kartki wydawały się delikatne niczym bibuła, bałam się, że je zniszczę.

– Dbaj o ten zeszyt. – Głos Baby Jagi stwardniał. – Nie może się mu nic stać, rozumiesz? To moja jedyna pamiątka po babci, pomijając, rzecz jasna, tę chałupę. W środku jest cała jej mądrość.

– „Jeśli żywi się do kogoś niechęć i chce mu się dokuczyć, trzeba urwać

gałązkę brzeziny. Karby się na niej robi, a wtenczas osoba ta będzie miała moc na tyle dni zatrzymany, ile karbów uczyniliśmy na gałązce” – przeczytałam na głos, a oczy rosły mi ze zdziwienia. – „Kto kogoś znienawidził i chce, by ta osoba się rozpiła, musi iść na cmentarz, wziąć z trupiarni kości i wygotować w niepolewanym garnku. Następnie wylać pod próg tego domu, gdzie nienawistna osoba mieszka”.

Przeleciałam szybko wzrokiem tekst. Takich przepisów było w zeszycie dużo, dużo więcej.

– Serio? – pisałam.

– A co ty myślałaś? – Jaga uśmiechnęła się i podeszła do garnka, w którym na dnie zostało jeszcze trochę zupy. Odwróciła się do mnie plecami i zaśmiała ponuro. – Szeptuchy nie tylko leczą. Jak myślisz, dlaczego na Zachodzie tak wiele z nas spłonęło na stosach?

Obok niektórych przepisów, na marginesie, zaznaczono czerwone krzyżyki. Nie zrobiono ich ręką autorki, ponieważ ona pisała granatowym atramentem. Znaczki postawiono długopisem, którego tusz przez lata rozmył się, przebijając gdzieś przez papier na drugą stronę.

– Co znaczą te czerwone symbole na marginesie? – zapytałam.

Baba Jaga wyjrzała przez okno. Zdjęła z głowy kwiecistą chustkę. Na jej ramiona rozsypały się srebrne loki, sięgały jej za łopatki. Mimo siwej barwy fryzura odjęła jej lat. Poniewczasie przypominałam sobie, że miałam jej powiedzieć komplement.

– Zaznaczałam, które przepisy babci działają – powiedziała. – Większość z nich przetestowałam, kiedy byłam w twoim wieku.

Spojrzałam na leżący na stole zeszyt. Jeden z krzyżyków znajdował się przy przepisie, a może raczej klątwie, mówiącej o tym, jak kogoś rozpić za pomocą kości z cmentarza.

– Sama sprawdzałaś? – upewniłam się.

– Tak. – Na jej ustach błąkał się delikatny uśmiech, który zmroził mnie do szpiku kości.

Były chwile, w których docierało do mnie, że Jaga nie jest miłą starszą panią, że to tak naprawdę twarda kobieta biznesu, która czasem nie cofnie się przed niczym.

Odwróciłam się w stronę okna, przez które wyglądała. W oddali było widać porzuconą gospodarkę czterech braci, którzy zmarli z powodu nałogu.

20.

Ściskając przy piersiach brulion pełen klątw niczym najlepszą tarczę, wpatrywałam się w trzy walizki. Zakręciło mi się w głowie.

– Nie możesz wyjechać! – powiedziałam płaczącym głosem.

– Muszę jechać na pielgrzymkę. Pamiętasz? Mówiłam ci o tym. Postanowiłam odwiedzić Ślężę. Teraz, gdy Mszczuj zmarł i pochowałyśmy jego kości w grobie, tym bardziej powinnam się tam udać. Już nawet nie pamiętam, kiedy byłam na Ślęży – wytłumaczyła spokojnie Baba Jaga.

– Ja nigdy nie byłam i nie żałuję – burknęłam obrażona.

Zgromiła mnie spojrzeniem.

– Jak to nigdy nie byłaś? Co z ciebie za Słowianka? To miejsce pełne mocy! Tam można się zjednoczyć z przodkami, bogami...

Jak na mój gust, to ostatnio wystarczy mi zjednoczenia. Ci cholerni bogowie się ode mnie nie odczepią... Znamię schowane pod skórzaną bransoletką zaswędziało, zupełnie jakby chciało mi o sobie przypomnieć.

Szeptucha machnęła na mnie ręką. Najwyraźniej straciła do mnie całą cierpliwość albo nadzieję, że wreszcie coś dojdzie do mojej pustej głowy. Jedno z dwojga.

Hm, albo oba.

– Wrócę niedługo. A teraz słuchaj. W trzecią sobotę sierpnia będzie swańba. Nie wiadomo, czy nowy wróż sobie poradzi. Musisz go pilnować – rozkazała.

Na końcu języka miałam, że raczej nie powinien być gorszy od Mszczuja, jeśli chodzi o formalności, ale powstrzymałam się przed oświadczeniem tego głośno. Dopiero po chwili dotarł do mnie sens tego, co powiedziała.

– Zaraz, zaraz. Nie będzie cię na swańbie?! – wykrzyknęłam.

Na litość wszystkich bogów. Truła mi o tej imprezie od jakichś dwóch miesięcy, a teraz sama nie zamierza się na niej pojawić?

– Nie, nie będzie mnie – oświadczyła. – Zamierzam odbyć pielgrzymkę. Poza tym jestem w żałobie. Nie zamierzam jej spędzać na zabawie.

Jakoś pielgrzymka do SPA wyraźnie temu przeczyła. Pokazała mi hotel, w którym się zatrzyma. Było tam wszystko, począwszy od biczy wodnych po maseczki z czekolady. Tak umartwiać się dla bogów to i ja mogę.

– Poradzisz sobie. – Poklepała mnie po ramieniu. – Byłaś przecież już na jakiejś swańbie, prawda?

– No byłam...

Połowa moich koleżanek ze studiów już dawno była po słowie, cholera jasna. Nie dało się tego przegapić, gdy obserwowałam ich ceremonie jako jedna z nielicznych gości bez osoby towarzyszącej.

– Szeptucha nic nie robi na swańbie. Rodzina przygotowuje całe jedzenie.

My nie pieczemy kołaczy, bo to panna młoda musi przygotować korowaj – tłumaczyła. – My tylko zaszczycamy wszystkich swoją obecnością.

Miałam na końcu języka, że obecnie obrzędowy chleb – korowaj – kupuje się w cukierni lub piekarni, ale dostałoby mi się za to po głowie. W Bielinach pewnie sami je piekli z mąki pszennej lub żytniej z zachowaniem tradycyjnych receptur.

– Prezent dla młodych już dawno przygotowałam. Stoi w kuchni pod ścianą.
– Dalej mnie instruowała. – Już jest zapakowany.

– Tak, wiem.

Potykałam się o niego już od miesiąca. Baba Jaga postanowiła sprezentować młodemu komplet garnków i książkę kucharską. Nie będą mieli żadnej wymówki, żeby z nich nie korzystać.

– Po prostu musisz iść na ceremonię. Pilnuj, żeby nowy żerca się nie upił. Każdy będzie chciał się z nim napić, taki zwyczaj. Ciebie też będą starali się upić, ale nie masz słabej głowy, powinnaś to przetrwać.

– Ja nie mam słabej głowy? – zdziwiłam się. Jej nalewki przecież rozkładały mnie na łopatki po kwadransie. – No dobrze... coś jeszcze powinnam wiedzieć?

– Jak zaczną się zbiory, pewnie kilku gospodarzy zgłosi się po wstążki. Gdyby przyszli wcześniej, znajdziesz wstążki w kredensie. Jedna kosztuje trzydzieści złotych, zapamiętasz? – instruowała mnie dalej.

– Zaraz, zaraz! Jakie wstążki? – spanikowałam.

Zawiązała chustkę na głowie w taki sposób, żeby poskręcane loki wystawały spod materiału. Usatysfakcjonowana przejrzała się w lustrze. Wyciągnęła z torebki czerwoną szminkę, którą jakiś czas temu podarowałam jej w prezencie, i przesunęła nią po wargach.

Zaczęłam się zastanawiać, co ona ma zamiar robić w tym miejscu mocy. I po co jej tyle ubrań na pielgrzymce...?

Na dodatek nie zabrała swoich najwygodniejszych sandałów. Nadal stały na środku półki na buty w przedpokoju. Za to zniknęły czółenka na sześciocentymetrowym obcasie.

– Podczas zbiorów należy zebrać pierwszy zżęty snop zboża. Taki snop odkłada się aż do Święta Godowego, żeby było co w izbie postawić na szczęście. Będiesz sprzedawała specjalne świąteczne wstążki – wyjaśniła.

– Aaa, o to ci chodziło. A to tutaj nie ustawiacie choinek?

Aż podskoczyła. Przez chwilę myślałam, że rzuci we mnie torebką.

– Nie – odparła. Jej głos ociekał jadem. – Tutaj nie kultywujemy tego obrzydliwego, zachodniego zwyczaju. I ty też już nigdy więcej nie postawisz w domu choinki.

Pokręciłam głową, wzdychając ciężko. Jak się ma pole i można sobie postawić swój snopek, to fajnie, ale co mają powiedzieć takie osoby jak ja?

Mieszkające w mieście? Możemy obwiesić mieszkania wieńcami przynoszącymi szczęście i kupić siano, które położymy na stole, okej. Jednak tak naprawdę stawianie snopka miało sens tylko dla tych, którzy liczyli, że bogowie zachwyceni darem spowodują w następnym roku jeszcze lepsze plony.

Niby na pieniądze potocznie mówi się czasem „siano”, więc teoretycznie jakiś sens stawiania na szczęście snopka jest, ale uważałam to za głupotę. Zachodnie choinki z bombkami znacznie bardziej mi się podobały. Snopek ciężko przystroić.

– Dobrze, będę sprzedawała wstążki po trzydzieści złotych – powiedziałam, żeby ją uspokoić. – Coś jeszcze powinnam wiedzieć?

Zamyśliła się.

– Nie, chyba nie. Wezmę ze sobą komórkę, chociaż wiesz, jak nie lubię tego ustrojstwa. Baba ze Starachowic twierdzi, że można raka od tego dostać. Ona często ma rację. Gdybyś czegoś nie wiedziała, to dzwoń. Będę włączać telefon codziennie na godzinę około szesnastej.

– A czemu tylko na godzinę?

– Bo to szkodliwe. Jak telefony są włączone, to puszczały promieniowanie. Nie powinnaś spać przy włączonym telefonie na szafce nocnej!

Zaczęłam się zastanawiać, czy potrafiła odbierać SMS-y. Pewnie nie. I pomyśleć, że to tysiącletniego Mieszka uważałam za technologicznie zacofanego. Nie spodziewałam się, że Baba Jaga, korzystająca na co dzień z telewizji satelitarnej, będzie się nagle obawiała telefonów komórkowych.

– Myślisz, że sobie poradzę? – zapytałam głosem pełnym wątpliwości.

– A czemu nie? Nie ma sezonu infekcyjnego, pełnia wakacji, klientów mniej. Dasz radę. A ja jeszcze dam ci zadanie.

Oby nie kazała mi pielic, oby nie kazała mi pielic, oby nie kazała mi pielic!

– Po pierwsze, miałaś zrobić dookoła mojego domu ochronny krąg z soli. Zakop ją z dziesięć centymetrów pod powierzchnią. Worki z solą znajdziesz w piwnicy. A po drugie, zaprzyjaźnij się z tym nowym wróżem. Nie podoba mi się, że nie wierzy w większość naszych metod. Jeśli się nie dogadamy, to będzie miał bidok ciężkie życie tutaj na wsi.

Groźba zawisła w powietrzu. Mocniej ścisnęłam brulion sławnej babci Jarogniewy. Postanowiłam dokładniej się w niego wczytać, żeby poznać ewentualne odtrutki na klątwy, gdyby szeptucha kiedyś postanowiła ich użyć przeciwko biednemu Witkowi.

– I nie waż mi się sama wałęsać po puszczy, a tym bardziej nocą. – Pogroziła mi palcem. – Nie zamierzam się martwić na waka... pielgrzymce. Nie dawaj mi powodów, słyszysz? Żadnego szukania morderców po lesie. Jeszcze się doigrasz i jakiego spotkasz.

– Tak jest.

Wysłuchałam jeszcze krótkiej litanii na temat tego, co mi wolno, a czego nie. Wyobrażnia Jarogniewy co do możliwych (i niemożliwych) sposobów na uszkodzenie ciała momentami przekraczała nawet możliwości mojej rozbuchanej fantazji.

Baba Jaga spojrzała na moje ręce. Zmarszczyła brwi i szybko zerknęła mi w oczy.

– Co to za nowa ozdóbka? – zapytała.

Speszyłam się, ale dzielnie zniosłam jej spojrzenie.

– A stara bransoletka. Pasowała mi dzisiaj do sukienki, to założyłam – skłamałam.

Ni cholery nie pasowała.

– Aha... – chciała jeszcze coś dodać, ale zrezygnowała.

Strapiła się tylko wyraźnie.

Z ulicy dobiegł nas dźwięk klaksonu. Gospodarz od jajek obiecał Babie Jadze, że zawiezie ją do Kielc na pociąg. Po chwili ktoś gwałtownie zastukał do drzwi. Szeptucha szybko wepchnęła sobie coś do ust i szarpnęła za klamkę.

– A witojcie, witojcie – zagruchała do mężczyzny.

Pochyliła się, udając biedną staruszkę, i przymrużyła oczy, zupełnie jakby niedowidziała. Czerwona szminka wyglądała wyjątkowo dziwnie w połączeniu ze złotą licówką.

Wskazała na walizki.

– A pomożecie z pakuneckami?

Mężczyźni zrzędlą mina, ale dzielnie schwycił walizki, poczerwieniał z wysiłku i wyszedł. Baba Jaga w jednej chwili wyprostowała się do pionu, jej spojrzenie zbystrzało. Złapała mnie za ramiona i powiedziała mocnym głosem:

– Gosławo, masz na siebie uważać. Przeczytaj zapiski mojej babki. Na końcu jest kilka moich przepisów. Dużo jest związanych z ogniem. Unikaj Swaróżyca.

Pocałowała mnie w czoło i odwróciła się na pięcie. Po chwili już jej nie było.

Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze. Pośrodku czoła miałam odcisk jej czerwonych ust.

21.

Dom wydawał się opustoszały, zbyt cichy, zupełnie jakby nasłuchiwał. Po plecach przebiegły mi dreszcze. Czułam się w nim obco, mimo że mieszkałam tu od dawna. Baba Jaga wyjechała przed kilkunastoma dniami, ale ja wciąż nie przyzwyczaiałam się do przebywania w nim sama.

Zsunęłam ze stóp jadownicie różowe adidasy, w których przed chwilą biegałam, i odwiesiłam w przedpokoju kurtkę. Włosy przylepiły mi się do spoconego czoła.

Zamarłam w bezruchu i wytężyłam słuch. Poza typowym stukaniem drewna i gulgotem w rurach nie usłyszałam niczego niepokojącego.

Odrobinę uspokojona przeszłam przez cały parter. Musnęłam spojrzaniem czarne płótno stanowiące wątpliwą ozdobę w przedpokoju. Czerwony rozbryzg farby wydawał się jaśniejszy niż zwykle, żywszy. Paranoja zwyciężyła. Stałam na palcach i dotknęłam malunku. Był suchy. To w żadnym razie nie była świeża krew. Jednak na wszelki wypadek zostawiłam zapaloną lampę w przedpokoju.

Wsunęłam głowę do kuchni. Światło z korytarza migotało w zawieszonych na kołkach patelniach i chochlach. Pstryknęłam przełącznik. Nic nie straszło poza zlewem wypełnionym brudnymi garami po mojej nieudanej próbie przyrządzenia smacznego obiadu.

W moim pokoju straszły tylko skarpetki walające się po podłodze i rozgrzebana pościel.

W łazience żadnych utopców, potworów z mgieł ani zapalonych świeczek.

Sypialnia szeptuchy była zamknięta.

Pokój „zwierzeń” pozbawiony cienia był pusty, tak samo jak salon.

Zerknęłam na tonące w mroku schody, które prowadziły na nieużywane piętro. Baba Jaga prawie nigdy tam nie wchodziła. Ja też ani razu się tam nie zapuściłam, jakoś do tej pory nie widziałam takiej potrzeby. Wszystko zawsze działo się na parterze bądź ewentualnie w piwnicy, ale pomna wszystkich horrorów, jakie w życiu widziałam, nie zamierzałam sprawdzać.

W końcu kto szuka, ten znajdzie, czyż nie...?

Podobno na piętrze była jeszcze jedna sypialnia, łazienka i rozległy strych. Baba Jaga nawet tam nie sprzątała. Przecierała jedynie mopem drewniane schody, bo jak mi wyjaśniła, było je widać, kiedy goście przychodzą.

Wieczór był jeszcze młody. Różowy zachód słońca dopiero zaczął barwić drzewa. Zaparzyłam sobie kubek melisy na uspokojenie (którą piłam na litry, odkąd odstawiłam tabletki na depresję), złapałam zeszyt babci i trzymając pod pachą gruby koc, wyszłam na tył domu. Na niewielkim tarasie stały wygodne wiklinowe fotele wypełnione kolorowymi poduszkami. Szeptucha, kiedy myślała, że nikt nie widzi, siadała wieczorami w jednym z nich, podwijając spódnicę,

zsuwała obciskające antyżylakowe podkolanówki i opalała nogi.

Zapaliłam lampę wiszącą na ścianie i drugą, owadobójczą, która stała na trawniku. Jej niebieskie światło na chwilę mnie oślepiło. Na szczęście wszystkie komary z głośnym bzykiem od razu skierowały się w jej stronę.

Mrucząc z zadowolenia, umościłam się w fotelu i otworzyłam zeszyt. Nogi przykryłam koczykiem, a kubek odstawiłam na stolik obok.

Z każdą przeczytaną kartką rosła we mnie chęć spróbowania magicznych przepisów. Już w ogóle się nie dziwiłam, że Jaga praktycznie wszystkie przetestowała. Lektura była fascynująca.

Rozparłam się wygodniej w fotelu, zadowolona, że wreszcie, przy piątku, znalazłam czas na odpoczynek. Baba Jaga zostawiła mnie z masą roboty. Gdy tylko wyjechała, okazało się, że całe Bieliny się przeziębily. Dosłownie całe!

Samotna praca w chacie szeptuchy nie była lekka. Codziennie wracałam późno do domu i padałam na łóżko, jak stałam, wiedząc, że następnego dnia będę musiała zerwać się o świcie i zebrać zioła z ogródka.

Na szczęście przestały mnie męczyć koszmary. Nie wiedziałam tylko, czy to dlatego, że zmęczona spałam zbyt głęboko, czy może wreszcie uporałam się z traumą z początku wakacji.

Zapowiadało się, że Baba Jaga nie pojawi się przed przyszłym weekendem, kiedy miała odbyć się swańba młodych z Bielin. Cała drżałam na myśl o odpowiedzialności, która spadnie tego dnia na moje barki. Nie musiałam prowadzić ceremonii, ale byłam przekonana o tym, że szeptucha nie daruje mi, jeśli coś, cokolwiek, pójdzie nie tak.

Ciekawe swoją drogą, czy ktoś już powiedział Witkowi o swańbie? Państwo młodzi chyba powinni go byli ostrzec.

Siorbnęłam meliski i odprężyłam się, myśląc o młodym żercy. Był bardzo miły. Naprawdę go polubiłam. Wiedział, że Baba Jaga wyjechała. Co jakiś czas, niby zupełnie przypadkiem, wpadał w odwiedziny do chatki, zapytać, co u mnie słychać. Raz nawet zaprosił mnie na kawę do nowo otwartej kawiarenki w Bielinach, ale jeszcze nie udało nam się dopasować grafików. Ja prawie cały dzień siedziałam zamknięta w chałupie z klientami, on rano pilnował remontu, którego końca nie było widać, a wieczorami chodził po okolicznych domach, odwiedzając ze słowami otuchy starszych ludzi i przynosząc im wodę spod świętego dębu.

Zastanawiałam się, czy można było już nas nazwać przyjaciółmi. Zerknęłam na wyświetlacz komórki, którą wyjęłam z kieszeni dresu. Czasami przysyłał mi dowcipne SMS-y albo śmieszne rysunki. Tak po prostu, bez okazji. Mieszko nie robił takich rzeczy, bo nie miał telefonu. Mieszko nawet nie mówił śmiesznych rzeczy. Poza moimi gafami chyba nic go nie cieszyło...

Parsknęłam, zła na siebie, że zamiast odpoczywać, znowu rozkładam na

czynniki pierwsze swoje nieistniejące życie uczuciowe.

Otworzyłam brulion babci w miejscu, w którym wczoraj zakończyłam lekturę. Znalazłam już wszystkie przepisy na rozbudzenie miłości, których się nauczyłam, a także wiele nowych, o których postanowiłam pamiętać. Nie mogłam się doczekać, kiedy je przetestuję!

– Co słyhać?

– O CHOLERA JASNA!

Jednym susem wyskoczyłam z fotela i siłą rozpędu wpadłam między malwy, gdzie natychmiast zaplątałam się w rozciągnięty na słupkach sznurek, którym były zabezpieczone. Z kolejnym przekleństwem, tylko tym razem dużo brzydszym, wywinęłam orła i zaryłam policzkiem w glebę.

– Gosiu, Gosiu! Nic sobie nie zrobiłaś?! – Początkowe zaniepokojenie w głosie Sławy zamieniło się w szaleńczy chichot na mój widok, kiedy zdołałam już się podnieść.

– Do jasnej cholery, czemu się skradasz?! – ryknęłam.

Poniewczasie zorientowałam się, że na wsi nie należy krzyczeć. Dźwięki aż zbyt dobrze niosły się po polach. Jutro wszyscy będą plotkować, że uczennica szeptuchy to wrzeszcząca wariatka.

Pijaczka na pewno.

– Jestem rusalką. Ja chodzę z gracją, a nie się skradam – odparła z godnością.

Zlustrowałam ją od góry do dołu. Ja miałam na sobie rozciągnięte dresy, obecnie uwalane zielskiem, ona za to ubrała się jak na dyskotekę. Mała czarna ledwie zakrywała jej pośladki.

– Po kiego się tak wystroiłaś? – zapytałam.

– Jak to po co? Na babski wieczór! – odparła, radośnie unosząc do góry ręce, w których ścisnęła podejrzenie pobrzękujące foliowe torby.

– Jaki babski wieczór? – Ręce mi opadły.

– A wiesz, małe ptaszki doniosły mi, że Baba Jaga wyniosła się z miasta – oznajmiła, wyciągając kolejne butelki wina i stawiając je na stoliku.

– Wyniosła się przeszło dwa tygodnie temu – mruknęłam.

– Ale teraz ptaszki mi powiedziały. Na bogów, ty to jesteś upierdliwa! – burknęła.

Wzięła do ręki mój kubek z melisą. Powąchała go ostentacyjnie, a następnie wylała zawartość do stojącej obok doniczki z pelargoniami.

– Sława! – krzyknęłam z wyrzutem.

– Nie będziesz mi tu podsypiać po melisie – stwierdziła. – Zamierzam całą noc z tobą plotkować, ty sztywniaro. Idź się ogarnij, żebyś jakoś wyglądała, i przynieś kieliszki. Jak masz coś na zagrychę, to też możesz skombinować.

– A nie mogę zostać w dresie? – zajączałam. – Po co mi kiecka? Poza tym

kompletnie nie rozumiem, po co założyłaś kabaretki... mnie chcesz podrywać?

– Nie gadaj głupstw. Przecież musiałam tu jakoś dojechać. Jak inaczej miałam złapać stopa z Kielc na to zadupie w piątek wieczorem?

Potoczyła dookoła spojrzeniem, jakby spodziewała się, że nagle znajdzie odpowiedź pośrodku ogrodu Baby Jagi.

– Nie zgwałcili cię przy okazji...? – prychnęłam z niedowierzaniem.

– Skarbie, jeśli ktoś tu miał gwałcić, to ja. Jestem rusalką, pamiętasz? Żądze, chucie i tak dalej? Mam to w małym palcu. Idź, skombinuj szkło, laska, bo chcę się napić.

– Ale...

– Ruchy, ruchy! – pogoniła mnie.

Zapobiegliwie zabrałam ze sobą zeszyt. Szeptucha by mnie chyba zamordowała, gdyby dostał się w niepowołane ręce. Wsunęłam go pod poduszkę, solennie przysięgając sobie, że jutro wypróbuję jakiś przepis.

Nie miałam zamiaru stroić się dla Sławy. Zmieniłam tylko bluzę na ładniejszą podkoszulkę i mocniej ścisnęłam kucyk na czubku głowy. Z lekko spoconymi po treningu włosami i tak niewiele więcej dałoby się zrobić. Poza tym zostałam w rozciągniętych portkach. Bez przesady.

W kuchni natomiast wybrałam największe kieliszki do wina, jakie znalazłam. Powinny zadowolić moją przyjaciółkę.

– To co cię nagle naszło na babskie pogaduchy? – zapytałam, sadowiąc się z powrotem w fotelu.

Krytycznie spojrziała na mój strój, ale tym razem powstrzymała się od złośliwego komentarza. Odrzuciła na plecy długie włosy. Były w kolorze oberżyny. Świeża farba lśniła w świetle żarówki, sprawiając, że jej blada cera wydawała się jeszcze bardziej przezroczysta.

Wyciągnęła z torebki pęk kluczy. Jej szczęśliwym breloczkiem było narzędzie wielofunkcyjne wraz z otwieraczem do wina. Nigdzie się bez niego nie ruszała.

– A tak jakoś. Brakuje mi ich – powiedziała, nalewając hojnie do kieliszków.

Z zaskoczeniem zanotowałam w pamięci, że do dwóch największych kieliszków Baby Jagi zmieściła się cała butelka wina... Pokochałam je od razu.

Objęłam ostrożnie kieliszek, żeby nie uronić ani kropli.

– Tak po prostu? – ciągnęłam ją dalej za język.

– Pusto bez ciebie w mieszkaniu – kontynuowała, nie patrząc mi w oczy. – Dziwnie, gdy nie ma nikogo, kiedy wracam. Zdążyłam już się do ciebie przyzwyczaić.

Uniosła kieliszek. Stuknęłyśmy się szkłem. Czerwone wino rzuciło na nas barwne refleksy.

– Czyli nie ma ci kto otworzyć drzwi, jak wracasz nad ranem z knajpy?

– Zawsze witałaś mnie kawą. Wiesz, jakie to było miłe? – westchnęła.
– Jesteś barmanką. W pracy se zrób przed wyjściem – obśmiała ją.
– Znudziła mi się ta praca – stwierdziła. – Cały czas trzeba się użerać z pijanymi śmiertelnikami. Żeby jeszcze byli przystojni!

– Zatrudnij się w gejowskiej knajpie. Tam wszyscy będą ładni – poradziłam życzliwie.

Chociaż nie, to nie ja poradziłam. Zrobiło to pół kieliszka, które nie wiem, kiedy wypiałam. Na pociechę miałam to, że i tak nie byłam lepsza od Sławy, bo ona już kończyła osuszać swój.

– Ale klientela takiej knajpy byłaby dla mnie niedostępna – westchnęła ciężko. – Przecież żadnego bym nie zaciągnęła do łóżka.

Przymknęłam oczy ucieszona lekkim wirowaniem. Wreszcie zdołałam się rozluźnić. Poczułam, jak moje barki przestają być takie napięte. W alkoholowym upojeniu kwachem, który kupiła, zdołałam chociaż na chwilę zapomnieć, że czekała mnie kolejna samotna noc w pustym domu.

Czasami zazdrościłam Sławie łatwości, z jaką nawiązywała nowe kontakty. Okej, była martwa. Niemniej jednak jej życie po życiu było całkiem przyjemne. Krążyło dookoła imprez, przystojnych chłopaków i fryzjera.

– O czym myślisz? – zapytała.

Uchyliłam powieki. Wpatrywała się we mnie zaniepokojona.

– O niczym szczególnym – odparłam.

– Posmutniałaś – wytknęła mi i sięgnęła po kolejną butelkę. – A to babski wieczór. Nie czas na smęty! Chcę usłyszeć najnowsze ploteczki!

Patrzyłam, jak siłuje się z opornym korkiem. Byłam przekonana, że zaraz ze złości rozbije butelkę. Przypomniały mi się czasy studenckie i niezliczone wieczory, które w ten sposób spędzałyśmy, kiedy nocowałam czasem w domu jej rodziców. Po latach dowiedziałam się co prawda, że jest rusalką i mieszkała tam sama, a nie z rodzicami, ale to nie było już ważne.

Odetchnęłam wieczornym powietrzem przesiąkniętym zapachem kwiatów. Przez chwilę życie było nawet piękne.

– A w zasadzie to jak tu wlaźłaś? – zapytałam. – Dookoła domu jest rozsypana sól.

– Tam nie jest. – Pokazała palcem na wschodnią część posesji. – Pewnie deszcz wymył. Spokojnie da się przejść.

– A do domu dałabyś radę?

– Jak mnie zaprosisz, to tak. W innym wypadku nie jestem pewna. W progu chyba jest żelazo, w oknach też. Przyjemne by to nie było bez zaproszenia.

– A bogowie...? – urwałam.

– Co „bogowie”? – Nie wiedziała, o co mi chodzi.

– Czy bogowie mogą wchodzić do domu, jeżeli jest zabezpieczony żelazem?

– Moje pytanie zawisło w powietrzu.

– Na litość, to bogowie – prychnęła rozbawiona. – Jakby odstraszało ich żelazo, to byliby słabymi władcami świata, nie sądzisz?

– No może...

– A co? Odwiedził cię jakiś w nocy? – Na jej ustach pojawił się lubieżny uśmiezek.

Upiłam z kieliszka, chcąc zamarkować zawstydzenie.

Mojej przyjaciółce mina od razu zrzedła.

– O bogowie. Naprawdę? Ja tylko żartowałam! To oni mogą? Pierwsze słyszę, żeby kogoś napastowali! – wykrzyknęła. – Czemu nie mnie?

– Zamknij się! – syknęłam, krztusząc się ze śmiechu. – Bo cię sąsiedzi usłyszą, a potem będą mnie obgadywać.

Tylko Sława nimfomanka mogła mi tego zazdrościć.

– Gadaj! Który bóg? Swarożyc pewnie, co? – Zacisnęła pomalowane wściekle różowym lakierem paznokcie na blacie metalowego stolika.

– Po prostu jakiś czas temu miałam wrażenie, że ktoś w nocy jest w domu. – Zerknęłam przez ramię na rozświetlone wszystkimi żarówkami okna.

– A napastował cię?

– Co ty z tym napastowaniem? – oburzyłam się.

– Pełnia się zbliża – odparła, jakby to wszystko miało mi wyjaśnić.

Nie wyjaśniło...

Odkorkowała w końcu butelkę. Jej mina wskazywała, że bardzo potrzebuje procentów. Chyba wyłącznie siłą woli powstrzymała się przed wypiciem od razu połowy wina prosto z gwintu.

– Sława... o co ci chodzi? – zapytałam.

– O nic, o nic. Tylko... weź na siebie uważaj, co? – poprosiła. – Lubię cię. Myślałam, że po Nocy Kupały może to wszystko się uspokoi, ale widzę, że z uporem maniaka pchasz się w nowe kłopoty.

– Ja? Ja się nigdzie nie pcham! – zaprotestowałam.

– Daj, naleję ci. – Wyciągnęła rękę po mój kieliszek.

– W tym tempie szybko mnie upijesz – mruknęłam, ochoczo jej go podsuwając. – Chociaż nie... ty już mnie upiłaś.

– To świetnie się składa, bo mam nadzieję, że wreszcie opowiesz mi coś więcej o Mieszku – zachichotała.

– A co tu jest do gadania? Przepadł jak kamień w wodę... – mruknęłam.

– No, a jaki był w łóżku...?

Przewróciłam oczami. Już nie pierwszy raz mnie o to pytała. Nic innego z naszego związku nigdy jej nie interesowało.

– Z nas dwóch to ty powinnaś pić melisę, na zdrowie by ci wyszło, serio – skwitowałam.

– To nie powiesz...? – naciskała, uśmiechając się od ucha do ucha.

– No co mam ci powiedzieć? Mnie się podobało. Bardzo. Zresztą i tak nie mam wielkiego porównania, więc wiesz... mogę nie być obiektywna w tej kwestii.

– A ma dużego? – pisnęła.

Nic jej nie odpowiedziałam.

– Panno Brzózko, pani się czerwieni! – zawyła, tupiąc szpilkami po kostce. – Och, jak ci zazdroścę, on jest taki seksowny! Zabiłabym, żeby zedrzeć z niego ubranie. A co do porównywania, to trzeba było skorzystać z Radka, póki jeszcze był dostępny. On to miał szalone pomysły, co można zrobić w łóżku!

– Nie znalazł się? – posmutniałam.

Jej euforia także przygasła, jakbym tym jednym pytaniem podcięła jej skrzydła.

– Nie. Za to znalazł się pan Dareczek, a raczej to, co z niego zostało – zadrżała.

Zachowałam kamienną twarz.

– Jak to? – zapytałam, chociaż i tak znałam odpowiedź.

Sława wyjaśniła mi, że zwłoki znalazły dwie znane mi wiły, które miały przecucie, że dzieje się z nim coś złego. Nie powiedziałam, że także tam byłam. Sława była moją przyjaciółką, ale była również boginką. Kto wie, co jej mogło wpaść do głowy?

Posmutniała.

– Wiesz, mam wrażenie, że coś się kończy – powiedziała.

– Co masz na myśli?

– Teraz już nic nie będzie takie samo. Bogowie kłócili się od zawsze, ale teraz... ten świat... – Potoczyła ręką, zupełnie jakby za krzywym płotem rozciągał się jakiś interesujący widok. Nie było tam nic ciekawego. Jedynie brzydki, nieotynkowany budynek na sprzedaż. – Ten świat nie jest przyjazny bogom i nam. Ludzie w nas nie wierzą.

– No to macie spokój, nie? Łatwiej wam zwodzić?

– Nie, właśnie nie. – Pokręciła głową. – Jeśli w coś nie wierzysz, to tego nie ma. Ja czuję, jakby mnie było coraz mniej.

– No to ktoś najwyraźniej wierzy w utopce – mruknęłam, zanim zdążyłam ugryźć się w język.

– Co masz na myśli? – natychmiast zbystrzała.

Cholerne wino... A zresztą co mi tam!

Wyjaśniłam jej moją tajemniczą wizję w wannie oraz wizytę w lesie. Ścisnęło mnie w dołku, gdy przypomniałam sobie jego zmasakrowane ciało. Był złośliwym demonem, który kiedyś chciał mnie podtopić w stawie, ale jednocześnie był sympatycznym hydraulikiem, który naprawił mi pralkę. Ciężko było mi pojąć, że tak po prostu już go nie ma.

Sława odrobinę pobladła, ale gdy tylko wlała w siebie kilka łyków wina, na jej policzkach pojawiły się na powrót pijackie rumieńce.

– Uważaj na bogów. Radzę ci jako przyjaciółka. Wiem, że możesz mieć wiele profitów. – Jej spojrzenie zjechało na mój nadgarstek, którego nie zasłoniłam bransoletką. – Większość widzających współpracuje z bogami i ma z tego dużo korzyści. Tylko nie chciałabym, żeby stała ci się z tego powodu krzywda. Jeśli będziesz chciała kiedyś pogadać albo się poradzić, to wal do mnie śmiało.

– Dziękuję.

– Poza tym... tylko nie obraż się na mnie, okej? – poprosiła.

– O co chodzi?

– Nie jesteś popularna.

– Eee... co?

– Nie wiem, jak to ująć. – Wzruszyła ramionami. – Odkąd zniknął Radek, a teraz jeszcze nie żyje pan Dareczek, stałaś się odrobinę niepopularna w moich kręgach.

Zrobiło mi się zimno. Czyżby podejrzewali, że to moja wina? Że wpadłam w jakiś szal i zabijam, kogo popadnie?

– Chodzi mi o to, że nie powinnaś sama wychodzić do lasu – zaznaczyła. – Są osoby, które mogą szukać na tobie zemsty. Ja wiem, że to nie ty! – dodała szybko. – Tylko że niektórzy nie znają cię tak jak ja.

– Chodzi o wiły? – zapytałam.

– Nie tylko. Proszę, uważaj na siebie. Nie chodź po zmroku do lasu. Tutaj nie powinni cię zaatakować, ale tam nie będą mieli takich oporów.

Kiwnęłam głową i napiłam się dla kurażu. Jutro była sobota. Postanowiłam skorzystać z wolnego dnia i przekopać ogród. Nie usiądę więcej na tarasie, dopóki nie będę miała stuprocentowej pewności, że krąg z soli jest zamknięty.

Spojrzałam na przyjaciółkę, która rozparła się wygodniej w fotelu. Zrozumiałam, że to dlatego przyszła. Chciała mnie ostrzec przed swoimi pobratymcami, a nie plotkować o pierdołach.

Kochana Sława.

– A teraz przejdźmy do przyjemniejszych rzeczy. Powiedz mi o Mieszku coś, czego nie wiem – zaproponowała.

– Nie wiem co... – Przewróciłam oczami.

– Oj, głupia ty, głupia. – Pokręciła głową. – Nieźle cię zbałamucił.

– Właśnie to chyba był błąd, wiesz? Im dłużej go nie ma, tym moje hormony mniej buzują i mogę na to spojrzeć na trzeźwo. – Dla potwierdzenia własnych słów upiłam łyk wina. – No bo co w zasadzie jest w nim takiego niesamowitego?

– Czy ja wiem...? Jest wysoki, przystojny w ten swój mroczny, nieco wyniosły sposób. Podejrzewam, że całkiem dobry w łóżku, w końcu miał tysiąc lat na praktykę. Bogaty. Jest dżentelmenem, co cię nosi na rękach – wyliczała. – No

i też coś do ciebie czuje, czyż nie?

– Taa? To gdzie teraz jest?

– Czuje coś do ciebie. Już ci tłumaczyłam, że ruszcza miłość nie działa bez solidnej podstawy. Może Mieszko nie do końca wie, że cię kocha, ale zapewniam, że gdzieś głęboko bije jego lodowate, północne serduszko. I bije dla ciebie.

– Nie mogłam znaleźć sobie jakiegoś normalnego chłopca? – jęknęłam. – Jaka przyszłość nas czeka, skoro on jest nieśmiertelny? No jaka?

– No cóż... viagry nie będzie potrzebował i będzie miał siłę pracować.

– Głupia...

– Nie, ty jesteś głupia. Czego oczekiwałaś po wielokrotnym samobójcy? Że nagle zaczniesz kupować ci czerwone róże i zapraszać do kina? Nie ten typ mężczyzny.

– Tja... zamiast kwiatka przyniosłby mi pewnie odrąbany łeb jakiegoś wroga.

– Jest w tym pewien romantyzm, krew też jest czerwona...

Zaczęłyśmy się śmiać.

– Dobry wieczór – przerwało nam ciche powitanie.

Po raz kolejny tego dnia wylądowałam w malwach. Całe szczęście, że wcześniej odstawiłam kieliszek na stolik.

Zakłopotany Witek wyciągnął mnie z połamanych doszczętnie kwiatów. Nie przestawał się przy tym tłumaczyć:

– Przepraszam! Nie chciałem cię wystraszyć. Wracalem właśnie do domu po tym, jak odwiedzałem obłożnie chorą z błogosławieństwem od bogów. Zobaczyłem światła, więc pomyślałem, że zapukam i zapytam, co słycać. Wiem, że Baba Jaga wyjechała. Chciałem sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku. Przepraszam!

– Nic się nie stało, naprawdę! – odparłam, otrzepując dresy, które teraz nadawały się do prania.

Sława pożerała wzrokiem Witka. Biedny facet cały czas miał zatroskany wyraz twarzy. Miło, że się tak przejmował. Okulary wsunięte za trójkątne rozcięcie podkoszulka, o mało co mu nie wypadły, kiedy pochylił się, żeby odgiąć i naprostować zgniecione kwiaty. Zauważyłam, że moja przyjaciółka ogniskuje swoje spojrzenie na jego pośladekach.

Oj, Sławo...

– Serio, już okej. – Odsunęłam delikatnie jego dłonie i spojrzałam na zdeptane malwy.

Baba Jaga mnie zabije. Zabije jak nic! Połamane łodygi pomimo usilnych prób męczyzny w ogóle nie chciały stać prosto.

– Twoje spodnie!

Zaczerwieniony Witek tym razem rzucił mi się do nóg i energicznie zaczął klepać mnie po zakurzonych i ubrudzonych trawą nogawkach. Nie udało mu się ich, rzecz jasna, doczyścić.

– Witek, Witek, spokojnie! Nic się nie stało, to tylko dresy. – Ze śmiechem złapałam go za ręce i pociągnęłam do góry, żeby wstał.

Gdy się podniósł, zauważyłam, że na jego policzkach pojawiły się ciemne rumieńce. W czarnych oczach widziałam zakłopotanie.

– Nic się nie stało – powtórzyłam i wciąż trzymając go za ręce, nakierowałam delikatnie w stronę stołu. – Chodź, chciałabym ci kogoś przedstawić.

Sława zerwała się z fotela, w biegu poprawiając przykrótką kieckę. Posłała biedakowi swój najbardziej drapieżny uśmiech. Popchnęłam go delikatnie w jej stronę.

– Witek, to Sława, moja dobra przyjaciółka jeszcze z Warszawy. Sławo, to Witek, nowy wróż. Zamieszkał w dawnej chatce Mszczuja.

– Miło mi – powiedział i podał rękę rusałce.

Kiedy ich dłonie się zetknęły, miałam wrażenie, że strzeliło pomiędzy nimi wyładowanie elektryczne, zupełnie jakby oboje mieli na sobie wełniane swetry. Witek zmarszczył brwi i zakłopotany cofnął rękę.

– Przepraszam – mruknął.

– Och, nie ma sprawy. Ja jestem po prostu taką wystrzałową dziewczyną – odparła kokieteryjnie i usiadła w fotelu, pozwalając swojej sukience dość wysoko podjechać na udach.

Rusałki to mają dobrze, najwyraźniej po śmierci nie robi im się cellulit.

– Może do nas dołączysz? Taki ładny wieczór. Lampka wina ci nie zaszkodzi – zaproponowała moja przyjaciółka.

– Nie wiem. – Spojrzał na mnie, szukając potwierdzenia zaproszenia.

I właśnie tak zawsze wyglądają wszystkie babskie wieczory ze Sławą. Zawsze sprowadza na nie jakiegoś faceta. Potem go niby przypadkiem uwodzi. A następnie zupełnie przypadkiem wychodzą razem, a mnie zostawiają z bałaganem, który mam sprzątnąć.

– Jasne, będzie zabawa – powiedziałam nieszczercze. – Przyniosę ci kieliszek. Usiądź.

Mężczyzna zaczął przyciągać trzeci fotel do stolika, a ja ponad jego ramieniem zgromiłam przyjaciółkę wzrokiem. Miałam nadzieję, że właściwie zrozumiała spojrzenie i nie będzie testowała na nim swoich rusałczych sztuczek. Lubiłam Witka. Wolalabym, żeby nie poharatała go psychicznie swoimi tipsami.

Po prostu... żal by było chłopaka.

Wskoczyłam do domu. Jednak zamiast od razu skierować się do kuchni, najpierw pobiegłam do łazienki. Mało nie jęknęłam, spojrzawszy w lustro. Z przekrzywionego kucyka wysypała się część krótszych włosów. Spocone strąki zwisały mi dookoła świecącej jak księżyc twarzy. Mój nos w tej chwili spokojnie mógł robić za odblaskowy znaczek... Przez białą podkoszulkę prześwitywał stanik.

No do jasnej cholery.

Postanowiłam szybko się ogarnąć. Pobiegłam w podskokach do sypialni i zmieniłam bluzkę. Następnie truchtem udałam się do łazienki, gdzie przypudrowałam twarz, usta pociągnęłam błyszczkiem, a rzęsy tuszem. Z włosami za wiele nie dało się zrobić. Mogłam je tylko jeszcze raz uczesać i modlić się, żeby w półmroku nie widział zbyt wielu szczegółów.

Gdy wróciłam na taras, Sława i Witek pogrążeni byli w uprzejmej rozmowie na temat świątyni, którą on chce wybudować w Bielinach. Moja przyjaciółka była zafascynowana tym tematem. Co chwilę niby przypadkiem muskała dłonią ozdobioną tatuażem szyję albo poprawiała niesforne włosy.

Pociągnęłam nosem. Wyraźnie czułam jej perfumy.

A niech to! Też mogłam się psiknąć!

– Długo niosłaś ten kieliszek – zakpiła i odwróciła się w moją stronę.

– Nie mogłam znaleźć – skłamałam gładko. – Jaga ma je poutykane po różnych szafkach.

Witek zerwał się z fotela, kiedy siadałam. Nalał wina do wszystkich trzech kieliszków.

Sława w tym czasie wytrzeszczała na mnie oczy. Najpierw omiotła spojrzeniem moją twarz, a potem bluzkę, w której mój dekolt naprawdę dobrze się prezentował. Cofnęła się na oparcie i poprawiła kieckę, spod której już było widać koronkę jej majtek. Zlizwała z ust szminkę i mrugnęła do mnie.

Na szczęście mężczyzna nie zauważył, że specjalnie się dla niego przebrałam. Mogłam w sumie się tego spodziewać. No i dobrze, że się nie psiknęłam perfumami.

Pod wpływem kpiącego spojrzenia rusalki poczułam, jak na moich policzkach pojawia się rumieniec. Ona z kolei zauważyła i jak mogłam domyślić się z jej zachowania, już zdołała wyciągnąć wnioski.

Niewłaściwe oczywiście.

Witek wyraźnie odprężył się, gdy tylko pojawiłam się na horyzoncie. Najwyraźniej pod moją nieobecność Sława zdążyła go już nieźle wystraszyć swoimi kabaretkami.

– Wiesz, że Witek chce zbudować świątynię? – zagadnęła.

– Tak, wiem.

– A wiesz, że nie uznaje demonów i boginek? Żadnych? – W jej głosie usłyszałam wyraźne rozbawienie.

– Tak, to też wiem – burknęłam, wytrzeszczając na nią oczy, żeby dała sobie spokój z tymi podchodami.

Odwróciłam się do Witka, który upił szybko kilka łyków wina, zupełnie jakby chciał dodać sobie tym animuszu do dalszej rozmowy z rusalką. Nie dziwiłam mu się. Sława tak działała na większość mężczyzn.

– A kogo odwiedzałeś – zapytałam uprzejmie – dzisiaj wieczorem?

– No właśnie, kogo? Masz dziewczynę? – dorzuciła swoje trzy grosze Sława.

– Panią Krystynę Mitrowską. Ma osiemdziesiąt lat – szybko wyjaśnił.

– Pff, ja tam różne rzeczy już widziałam.

Sława momentalnie straciła zainteresowanie. Zsunęła się w fotelu i zaczęła sączyć wino.

Klepnęłam Witka w rękę, czym zmusiłam go do odwrócenia od niej spojrzenia. Wydawał się zafrapowany zachowaniem mojej przyjaciółki.

– Nie jeździ się do pani Mitrowskiej – powiedziałam.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– Zrobiła cię w konia. Umiera średnio dwa razy w miesiącu. Po prostu chciała sobie z kimś pogadać. Baba Jaga już się na to nie daje łapać. Gdy chce pogadać, to musi się ruszyć do chałupy szeptuchy. Do niej nie ma wizyt domowych – wyjaśniłam.

– Ale leżała w łóżku... obok na stoliku stały opakowania po lekach. Była wyraźnie cierpiąca – bronił Mitrowskiej.

– Poczekaj, aż będzie sezon na truskawki. Zobaczysz, jaka będzie cierpiąca –

prychnęłam. – Nie martw się, musisz po prostu lepiej poznać wszystkich mieszkańców. Chciała wyczuć, czy będzie cię łatwo podejść. Obiecałeś, że jeszcze ją odwiedzisz?

– Tak, w przyszłym tygodniu.

– No to za tydzień musisz ją zaprosić na następne spotkanie do siebie, i tyle.

– Nie mam gdzie. Ciągłe trwa remont. Nie wiem, czy pokonałaby schody do mojego mieszkania. – Miał wątpliwości.

– Możecie się umówić pod świętym dębem na wspólną modlitwę – zaproponowałam.

Sława oblizwała wargi. Rozmowa o starszej pani wyraźnie ją nudziła. Poza tym zaczęło jej się kończyć wino.

– Witku, powiedz mi coś o sobie – wtrąciła. – Gosia nic mi nie wspominała, że nowy wróż będzie takim przystojnym facetem. Czym się pasjonujesz poza służbą bogom? Masz jakieś hobby? Dziewczynę?

Mężczyzna się zaśmiał. Do twarzy mu było z tym hollywoodzkim uśmiechem.

– Nie, nie mam dziewczyny – odpowiedział.

Sława już chciała skomentować, ale nie zdążyła, bo dodał:

– A jeśli chodzi o hobby, to ciężko powiedzieć. Gdy jeszcze mieszkałem w Krakowie, grałem w zespole. Teraz po przeprowadzce zostaje mi tylko pobrzękiwanie na gitarze. Chyba można to nazwać hobby.

– Och, muzyk?! – Sława była zachwycona.

O mało się nie zakrztusiła resztą wina, którą usiłowała wycedzić z kieliszka.

Zdziwiłam się. Nic mi wcześniej nie powiedział. Usilnie próbowałam sobie przypomnieć, czy widziałam wśród jego rzeczy instrumenty. No cóż... w szafie mu nie grzebałam.

– Nie widziałam u ciebie gitary – mruknęłam.

– U ciebie? – Oczy Sławy się rozszerzyły.

– Leży w pokrowcu pod łóżkiem – wyjaśnił mi, zupełnie ją ignorując.

– A, pod łóżko faktycznie nie zaglądałam – zażartowałam.

– A na łóżko? – Sława aż się zapowietrzyła.

Oboje ją zignorowaliśmy.

Witek pochylił się w moją stronę, jakby chciał lepiej słyszeć, co mówię.

– A jaką muzykę grałeś? I grasz nadal? – zapytałam lekkim tonem, choć nagle poczułam się nieswojo.

Rusalka wzruszyła ramionami i skupiła się na winie, mamrocząc coś pod nosem o sztywniakach, z którymi nie można nawet kulturalnie porozmawiać.

– Nasz zespół... no cóż... chyba można powiedzieć, że graliśmy folkowy rock. Poza gitarami były skrzypce i akordeon. Dodawało to takiego fajnego zacięcia rodem z remizy. – Puścił do mnie oko. – A teraz brzdąkam dla siebie.

Sława odkorkowała kolejną butelkę.

– A co ty robisz w wolnych chwilach? – Uniósł w moją stronę kieliszek.

Zamyśliłam się. Odkąd przyjechałam do Bielin, moje życie obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni. Nic, co robiłam kiedyś, nie wydawało mi się już istotne, gdy okazało się, że bogowie mają co do mnie inne plany.

Zdałam sobie sprawę, że w zasadzie brakowało mi jakiejś pasji, której mogłabym się całkowicie dać pochłonąć i która sprawiałaby, że życie byłoby prostsze.

– Hm... to nie jest łatwe pytanie – odparłam i zaczęłam wyliczać: – Nie mam smykałki do malowania, co udowodniły jajka na Jare Święto. Kiedyś haftowałam, ale specjalnie mnie to nie uspokajało. Można powiedzieć, że raczej doprowadzało do szewskiej pasji. Gotować też nie umiem... Nie czytam dużo...

Na wszystkich bogów. Jaka ja jestem beznadziejna?! Byłam coraz bliższa rozplakania się. Cholerne wino.

– Tak naprawdę przez ostatnie lata Gosia głównie się uczyła – pospieszyła mi z pomocą Sława. Wyrwała mi kieliszek i dołała hojnie trunku. Zanim podała mi wino, kopnęła mnie znacząco pod stołem. – Znamy się od studiów. Wiecznie siedziała z nosem w podręcznikach albo gnała z dyżuru na dyżur, żeby czegoś nowego się nauczyć. Ale za to mogę dać ci wskazówkę: nasza młoda szeptucha lubi tańczyć.

– Nie jestem szeptuchą! – Żachnęłam się bardziej z przyzwyczajenia niż faktycznej urazy.

– Uczennica szeptuchy lubi tańczyć... – Przewróciła oczami w odpowiedzi.
– Witek, daj kieliszek.

– Zapamiętam to – powiedział.

Dopił wino i wstał z fotela. Delikatnie postawił kieliszek na krzywym stole.

– Dziękuję za wino. – Skinął do Sławy. – Będę się już żegnał. Muszę jeszcze dojść do Bielin, a jutro czeka mnie kolejny dzień na budowie. Przepraszam, że przeszkodziłem wam w miłym wieczorze.

– Daj spokój, byłeś cudownym urozmaiceniem babskiego posiedzenia! – Rusałka zerwała się ze swojego miejsca i rzuciła mu na szyję, żeby dać buziaka w policzek.

Lekko zeszywniał, ale poklepał ją po plecach. Wyglądał, jakby miał ochotę odskoczyć.

– Gdybyś czegoś potrzebowała teraz, gdy nie ma Baby Jagi, to nie wahaj się dzwonić – powiedział do mnie.

Stałam na palcach, żeby cmoknąć go w policzek na pożegnanie. Nie wypadało nie pożegnać się z nim w ten sposób, skoro Sława zrobiła już całe przedstawienie.

Hm, ładnie pachniał. Nie tak jak Mieszko, ale ładnie.

– Odprowadzisz mnie do furtki? – zapytał.

– Jasne – odparłam zdumiona prośbą.

Mruknęłam do Sławy, że zaraz wrócę.

– To cześć – powiedziałam, gdy już stanęliśmy przy ogrodzeniu. Witek pociągnął metalową furtkę, która uchyliła się z przeraźliwym zgrzytem zawiasów.

– Gosiu, poczekaj! – zatrzymał mnie. – Chciałem cię o coś zapytać.

– Tak?

– W zasadzie to w tym celu przyszedłem w odwiedziny – przyznał z uśmiechem. – Chciałem zaprosić cię na koncert zespołu, który bardzo lubię. Wybierzesz się ze mną posłuchać ich muzyki?

– Och! – Nie tego się spodziewałam, nie wiedziałam, jak powinnam zareagować. – Zaskoczyłeś mnie!

– Nie daj się prosić. – Posłał mi jeden z tych swoich czarujących uśmiechów, które zmiękczają serca wszystkich staruszek.

Dobry był ten uśmiech. Na mnie też działał.

– No dobrze, czemu nie! – odpowiedziałam. – Kiedy idziemy?

– W sobotę!

Zaczęłam intensywnie myśleć. Przed oczami stanął mi ścienny kalendarz szeptuchy, na którym wszystko zapisywała.

– W sobotę? Ale w następną sobotę jest swańba – zauważyłam odrobinę zawiedziona, że nie będziemy mogli pójść na koncert.

– W następną. A na koncert zapraszam cię jutro. Mam już wejściówki.

– Och! – Po raz kolejny mnie zaskoczył.

Mógł wcześniej się ogarnąć, przecież mogłam mieć na jutro plany. Teoretycznie.

– No dobrze. W takim razie do jutra!

– Pożyczę samochód i przyjadę po ciebie o osiemnastej, dobrze? – zaproponował.

– Do zobaczenia.

– Do jutra!

Ruszył drogą do Bielin. Przyglądałam mu się rozbawiona, nie do końca wiedząc, co się właśnie wydarzyło. Czyżbym umówiła się na randkę? A może to tylko przyjacielski wypad?

Gdy wróciłam na werandę, Sława z hukiem odstawiła kieliszek na metalowy stolik i wbiła we mnie pełne emocji spojrzenie. Z zaskoczeniem zauważyłam, że zaczęły jej się trząść ręce.

Czyżby to już był alkoholizm?

– No proszę, proszę! Co ja tutaj widzę! – powiedziała, ledwie mogąc powstrzymać się przed chichotem. – My tu gadu-gadu o Mieszku, a tu proszę, Witek!

– Nie wiem, o co ci chodzi – odparłam.

Postanowiłam sobie, że słowem się nie zająknę na temat koncertu, boby mi żyć nie dała.

– Ten tusz do rzęs też nie wie, czemu znalazł się na twoich rzęsach, ale mu tam dobrze – prychnęła.

– Myślisz, że zauważył? – Poczułam nagle wątpliwości.

Może nie powinnam była nic zmieniać. Cholera, a jeśli zauważył i teraz będzie myślał, że razem ze Sławą jesteśmy dwiema szalonymi nimfomankami? W końcu usiłowałyśmy go upić. Chociaż z drugiej strony nie powstrzymało go to przed zaproszeniem mnie na koncert.

– Myślisz, że zauważył, iż się ogarnęłaś, by nie wyglądać jak samotna, żałosna baba? – zakpiła. – Myślę, że nie. Mężczyźni nie widzą takich rzeczy. Poza tym mój rusałczy zmysł jasno mi mówi, że wpadłaś w oko panu kapłanowi.

– Nieee, nieprawda. Serio?

Nie byłam pewna, czy powinnam się tym ekscytować. Pewnie powinnam. W końcu Baba Jaga byłaby zadowolona. Tylko czy ja bym była?

– Taa, a na mnie kompletnie nie zwracał uwagi. Nieważne, jak go kusiłam. Wszystkie moje czary trafiały na ścianę, zupełnie jakby miał na sobie jakieś amulety. Oporny cholernik.

– Właśnie widziałam, że cycki mało ci z dekoltu nie wyskoczyły na jego widok.

– Staralam się, jak mogłam. – Wzruszyła ramionami. – Ale wiesz co? On chyba się domyśla.

Miałam mętlik w głowie. Częściowo było to spowodowane nadmiarem wina, czego pożałuję następnego ranka, a częściowo tym, że Sława lubiła zmieniać temat.

– Ma dar – dodała, chociaż mnie w niczym to nie pomogło, żeby dojść, co ma na myśli.

Uśmiech na jej twarzy odrobinę przygasł. Pokiwała głową w zamyśleniu. Gdzieś wyparowała cała jej pewność siebie. Z rozbawieniem pomyślałam, że identyczną minę miała zawsze w sklepie, kiedy usiłowała się doliczyć, ile powinna zapłacić.

– Dobrze wybrał zawód – skwitowała.

– Nadal nie wiem, o co ci chodzi. – Rozłożyłam bezradnie ręce.

– Kiedy mnie dotknął, to przeskoczyła pomiędzy nami energia. Rzadko tak się dzieje. Większość śmiertelników jest kompletnymi ignorantami i nie rozumie przeczuć. On natomiast ma całkiem dobrze rozwiniętą intuicję. Tylko mnie dotknął i już wiedział, że coś ze mną jest nie tak. Nie wie, że jestem rusałką, ale intuicyjnie zaczął się ode mnie odsuwać, nie chciał mnie dotykać. Bardzo ciekawy mechanizm obronny. Jak do tej pory spotkałam niewiele osób aż tak uzdolnionych!

No cóż. Ja takiego mechanizmu nie miałam. Wąpierz zdążył mnie pomiziać

pazurem jadowym, zanim się w ogóle zorientowałam, że coś jest z nim nie tak, i przez kilka lat przyjaźniłam się z rusalką, zupełnie nie zauważając tego, że odrosty na jej głowie mają jakiś taki zielonkawy poblask.

Po prostu ignorancja nieznająca granic.

– No proszę, jakiś mężczyzna cię nie chce. Dzisiejszy dzień trzeba ogłosić dniem żałoby – zakpiłam.

– Przyznaję, że jest to irytujące. – Zachichotała i wrócił jej dobry nastrój. – Już się przyzwyczaiłam, że wszyscy w mniejszym lub większym stopniu na mnie lecą. To takie... ożywcze spotkać kogoś, komu się nie podobam! – Sława dopiła wino, zerwała się na równe nogi i obciągnęła kieckę. – Będę się zbierała – oświadczyła.

– Już późno. Nie chcesz przenocować? – Zmartwiłam się, że będzie się tulać do Kielc w środku nocy.

– Nie, dzięki. Przejdę się do lasu, na stare śmieci.

– W tych butach? – Wskazałam palcem na dziesięciocentymetrowe koturny.

– Nie, pójdę na bosaka – odparła, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem. – Chcę pogadać z kilkoma osobami o panu Dareczku. Postaram się wy badać, czy mają jakieś podejrzenia.

– Uważaj na siebie. – Przytuliłam ją na pożegnanie.

Sława pokręciła głową i przyjrzała mi się dokładnie. Westchnęła.

– To ty na siebie uważaj. Mówiłam ci już przecież, że jesteś jedną z głównych podejrzanych według niektórych z nas.

Miły nastrój przysł niczym bańka mydlana.

– Poza tym wiesz, że nie możesz mieć ich trzech, co? – zapytała. – Chociaż domyślałam się, jak perwersyjnie przyjemne by to było.

– Trzech? – Nie wiedziałam, o co jej chodzi.

– Mieszka, Witka i Swarożyca. Przypadek Baby Jagi powinien ci uzmysłwić, że nie można mieć dwóch facetów, nawet jeśli jeden z nich nie jest do końca człowiekiem.

– Nic mnie nie łączy ze Swarożycem – zaprzeczyłam.

Złapała mnie za nadgarstek i wykręciła go tak, żeby dobrze było widać bliznę.

– Nic? – Uniosła wyskubane brwi przypominające krucze skrzydła. – Nie baw się nimi trzema. Wybierz jednego. Wybierz mądrze, bo później nie będziesz mogła już zmienić zdania.

Zachwycona rozglądałam się na boki. Nie spodziewałam się, że koncert, na który Witek mnie zabiera, będzie zorganizowany w amfiteatrze na Kadzielni. Jeszcze nigdy tu nie byłam na podobnej imprezie.

Kadzielnia to wzgórze w Kielcach, jak głoszą legendy, niegdyś miejsce kultowe dawnych Słowian, później kopalnia i okolica, w której wypalano w piecach wapno, a obecnie wyrobisko. Teraz znajdował się tu rezerwat przyrody oraz amfiteatr wykuty w skale, zdolny pomieścić kilka tysięcy widzów.

Wyobraziłam sobie, jak dziewięćset lat temu, czyli mniej więcej wtedy, gdy powstały Kielce, ludzie wspinali się na strome wapienne ściany z darami dla bogów. Chyba nie było to zbyt łatwe zadanie. Tak naprawdę nie wiadomo, czy na pewno to robili, a jeśli tak, to jak mogło wyglądać składanie przez nich żertwy. Większość dowodów została zniszczona podczas wykopów.

Chciałam jednak wierzyć, że przychodzili tu obcować z bogami. Poza tym była to jedna z wyższych gór w okolicy. Jeśli nie tu, to gdzie? Na Łysą Górę mieli trochę daleko.

– Wiesz, że jestem tu pierwszy raz? – zagadnął Witek.

Odwrociłam się do niego zaskoczona. Chociaż może nie powinnam się dziwić? Przecież mieszkał tu od niedawna, pewnie nie miał okazji. Ja poznałam Kadzielnę dzięki Sławie, która zachwycała się tym miejscem i kilka razy wyciągnęła mnie na spacer, żebym mogła zobaczyć pionowe wapienne ściany czy małe jeziorka utworzone z wód podziemnych. On nie znał tu nikogo, kto mógłby go zabrać na wycieczkę.

– Dużo czytałem o tym miejscu – powiedział.

– To pewnie wiesz i tak o wiele więcej ode mnie – stwierdziłam.

Szliśmy wylaną asfaltem drogą, która prowadziła z parkingu prosto do amfiteatru. Po naszej lewej stronie za kamiennym murkiem wznosiła się wysoka szara ściana, a po prawej brudnozielone jezioro, za którym rozciągał się malowniczy widok na najwyższe wzgórze. Powoli już zachodziło słońce, przez co Kadzielnia sprawiała wrażenie wyjętej z bajki.

Poza nami sporo osób zmierzało do amfiteatru. Gdy my szliśmy noga za nogą, podziwiając widoki, co chwilę wyprzedzały nas rozchichotane grupki ludzi. Dzisiejszy koncert to chyba jakieś większe wydarzenie.

– A powiedz mi, co to dokładnie za festiwal? – zapytałam.

Podczas jazdy nie było okazji, by o tym porozmawiać. Witek zwierzał mi się z postępów budowy i głosem pełnym dumy rozprawiał o fundamentach świątyni, która będzie się znajdowała tuż za jego domem.

– To kielecka odsłona Festiwalu Twórczości Nieograniczonej, czyli Zacieraliów¹ – powiedział. – Po raz pierwszy festiwal jest organizowany poza

stolicą. Gwiazdą wieczoru jest oczywiście Zacier, pomysłodawca całej imprezy. Mam nadzieję, że spodobają ci się ich kawałki. To dość oryginalny rodzaj muzyki. Nawet nie wiem, jak ją nazwać...

Parę chwil się zastanawiał, więc postanowiłam przyjść mu z pomocą.

– Poezja śpiewana? – zasugerowałam, przypominając sobie gatunek, który zawsze wydawał mi się nieco dziwny, jako że przecież sporo tekstów piosenek zwykle się rymuje i powstaje przed napisaniem muzyki.

Zaśmiał się w głos.

– Nie, nie do końca. Kawałki są satyryczne, często specjalnie żenujące. Kiedyś zresztą festiwal nosił przez chwilę nazwę Twórczości Żenującej. Ich utwory mają słuchacza rozbawić, ale jednocześnie dotknąć wielu ważnych współczesnych problemów. Poza Zacierem wystąpi jeszcze wiele innych zespołów. Festiwal trwa dwa dni, ale ja mam bilety tylko na dzisiaj, wybacz.

Zaczerwieniłam się.

– Daj spokój! Bardzo dziękuję, że mnie ze sobą zabrałeś – powiedziałam. – Nie musiałeś, naprawdę. Mogłeś zabrać córkę gospodyni. Miałbyś wtedy zapewniony wikt i opierunek co najmniej przez rok!

Lekko zeszywniał. Poczulałam się głupio. Nie chciałam go urazić. Stuknęłam go łokciem.

– Żartowałam przecież. Bardzo dziękuję, że o mnie pomyślałeś.

– Nie ma sprawy.

Amfiteatr był już prawie pełen. Po scenie gorączkowo biegali organizatorzy, ustawiając instrumenty i oświetlenie. Głośniki zatrzeszczały, gdy ktoś niechcący stuknął w jeden z mikrofonów.

– Chodź, mamy miejsca blisko sceny. – Wziął mnie za rękę i pociągnął za sobą.

Zaczęliśmy się przepychać pomiędzy widzami. Z nieznaných mi powodów spora część słuchaczy miała na głowach garnki...

Chyba o czymś nie wiem.

Kolorowe reflektory oświetlały otaczające skały na różowo, niebiesko i zielono. Nie mogłam się na to wszystko napatrzeć. Udzielił mi się pełen ekscytacji nastrój widzów. W końcu zdołaliśmy usiąść na swoich miejscach.

– Czyli mówisz, że takiej muzyki słuchasz? – zagadnęłam.

– Tak, zdecydowanie tak. Pociąga mnie w niej to, że twórcy nie wstydzą się swoich piosenek, grają i śpiewają to, na co mają ochotę. W takich chwilach żałuję, że już nie gram. – Klasnął w dłoń.

Na scenę wyszedł sympatyczny mężczyzna w musztardowych spodniach z garnkiem na głowie. Do rączek garnka przyłączone były na długich sznurkach różnokolorowe baloniki napełnione helem.

– To wokalista Zaciera – szepnął mi do ucha Witek.

Gdy odwróciłam do niego twarz, stuknęliśmy się nosami. Oboje szybko się cofnęliśmy.

Mężczyzna dowcipnie zaprosił wszystkich na występy i zachęcił do wspólnego śpiewania. Po chwili na scenę wyszedł pierwszy zespół, potem kolejny i następny. Gwiazda wieczoru, Zacier, grała na sam koniec. Nie znałam wcześniej tekstów ich piosenek, ale mimo to głośno śpiewałam, śmiałam się i tańczyłam na koniec na ławce tak jak reszta uczestników koncertu.

Byłam zauroczona muzyką i magią Kadzielni. Z amfiteatru wyszliśmy z Witkiem, zaśmiewając się do łez. Każde z nas miało swoją ulubioną piosenkę wieczoru i usiłowało przekrzyczeć drugie, śpiewając refren najgłośniej, jak się da.

Odbiliśmy z oświetlonej asfaltowej drogi i weszliśmy na węższą ścieżkę wysypaną żwirem. Zatrzymaliśmy się przy metalowej barierce, by jeszcze przez chwilę z dala od innych nacieszyć oko rozświetlonymi wzgórzami i migoczącą wodą.

Zachwycona niecodziennym wieczorem miałam wrażenie, że krew dudni mi w żyłach w rytmie skocznych melodii.

– Powiedz mi, dlaczego postanowiłeś zostać kapłanem? Przecież widzę, jak muzyka na ciebie działa – zagadnęłam.

– Działa, oj, działa – odparł.

Oparł się o barierkę plecami. Gdy odwróciłam do niego głowę, zdałam sobie sprawę, że zamiast podziwiać widoki, patrzy na mnie.

– Chyba poczułem powołanie. – Westchnął i wzruszył ramionami. – Zawsze pociągały mnie rytuały, pewien ich mistycyzm. Tak naprawdę nie umiem w pełni odpowiedzieć na to pytanie. Moi rodzice także wielokrotnie mi je zadawali, a gdy próbowałem im tłumaczyć, to rozumieli z tego jeszcze mniej. W końcu dotarło do nas wszystkich, że lepiej nie rozmawiać na ten temat.

– Aż tak jesteście pokłóceni? – zapytałam.

– Pokłóceni nie jesteśmy. Raczej zupełnie zerwaliśmy kontakt.

– Przykro mi.

– Nie jest tak, że tego nie żałuję. – Z jego głosu zniknęły radosne nuty, które były tam jeszcze przed chwilą. – Jednak nie chciałem przyszłości, którą dla mnie zaplanowali, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Wyrwałem się z rodzinnego schematu. Wszyscy u nas kończyli architekturę. Ja nie miałem takiego zamiaru. A teraz? Nie mogę już tego zmienić. Nie teraz. Wybrałem swoją drogę. Muszą się z tym pogodzić.

Poczułam się okropnie. Zupełnie popsułam wesoły nastrój świetnego koncertu. Głupia!

– Przepraszam, że zapytałam – powiedziałam szybko. – Nie chciałam psuć chwili. Zmieńmy temat.

– Nie, nic się nie stało, naprawdę.

Położył rękę na mojej. Przez chwilę wpatrywałam się w nasze splecione dłonie. Pasowały do siebie. Nie wiedziałam, co o tym myśleć.

Zabrałam rękę.

– Przepraszam – mruknęłam zawstydzona.

Odpowiedział mi kiwnięciem głowy. Oparł się przedramionami o barierkę obok i zapatrzył na wzgórza Kadzielni. Nad nami wysoko na bezchmurnym niebie błyszcząły pojedyncze gwiazdy, których nie zdołały przyćmić światła miasta.

Poprawiłam na ramionach skórzaną kurtkę – jedno z nielicznych wspomnień z liceum – i zamknęłam oczy, wsłuchując się w powoli milknące głosy innych widzów. Niebawem dookoła nas zaległa cisza.

– Wracając do twojego pytania... – odezwał się.

Wyrwana z rozmyślań spojrzałam na niego. Cały czas podziwiał Kadzielnię z lekkim uśmiechem błakającym się na ustach.

– Życie to przygoda – dodał. – Wydaje mi się, że smutno byłoby je przeżyć, robiąc coś, czego tak naprawdę się nie chce. Muzyka zawsze była moją pasją, ale nie wiem, czy na tyle dużą, bym został muzykiem i każdego ranka budził się w innym mieście, w innym hotelu. Nie potrafię żyć bez niej, ale życie z nią byłoby chyba mimo wszystko mało przyjemne.

Pokiwałam głową, ale nic nie powiedziałam, rozważając jego słowa.

– O byciu architektem nie wspominając! – zaśmiał się.

– A powiedz mi... dlaczego na tym koncercie większość ludzi miała garnki na głowach? – zapytałam, zmieniając temat.

– A czemu nie? To tradycja zapoczątkowana przez Zacier. Zawsze występują w nietypowych nakryciach głowy. Zasady są po to, żeby je czasami łamać, Gosiu. Skoro garnek pasuje na głowę, to dlaczego by go nie założyć, jeśli ma się ochotę?

Deszcz uderzał z całej siły o ziemię, zupełnie jakby wyzywał ją do walki. Drobinę kurzu z leśnego traktu unosiły się razem z odpryskami wody, gdy olbrzymie krople rozbijały się w wodny pył.

Grzmot potoczył się z głuchym jęknięciem nad lasem. Wydawało się, że wszystkie drzewa strwożone zadrżały. Sosny pochyliły lekko swoje czubki, a dęby opuściły gałęzie i zwinęły liście.

Pomimo dnia nad krainą Polan zapanowała noc czarnych chmur.

Kolejna błyskawica zabarwiła świat na białe, kradnąc wszystkie inne barwy.

Nix, przyzwyczajony do głośniejszych dźwięków, nawet nie zarżał zaniepokojony. Tętent jego kopyt wybijał niezmiennie ten sam rytm. Jego naprężone mięśnie rytmicznie kurczyły się i rozluźniały w szaleńczym biegu. Przez strugi wody lejącej się cały czas z nieba boki zwierzęcia nie pokryły się pianą. Jedyną oznaką zmęczenia było ciężkie dyszenie.

Mimo to Mieszko mocniej ścisnął piętami boki zwierzęcia i pochylił się jeszcze głębiej nad jego grzbietem. Liczyła się każda chwila.

Nie mógł się spóźnić. Nie mógł!

Nix, jakby pojął zdenerwowanie swojego pana, przyspieszył, odnajdując w strachu nowe siły. W jego czarnych oczach załśniło pierwotne szaleństwo.

Leśny trakt urwał się gwałtownie, zupełnie jakby wszystkie drzewa nagle cofnęły się o krok. Przed jeźdźcą rozciągnęły się bezkresne pola. Zboże przygięło się do ziemi pod ciężarem wody i siłą wiatru.

Wieśniacy, którzy odważyli się opuścić domostwa w taką pogodę, odskakiwali z drogi, gdy czarny wałach pędził na złamanie karku. Niektórzy całowali opuszki palców i zerkali na pokryte czarnymi chmurami niebo w poszukiwaniu dobrego słońca, które przepędziłoby przerażającą marę.

Mieszko już dawno zgubił za sobą resztę drużyny. Druhowie i doradcy nie mogli za nim nadążyć. Zostali daleko w tyle, bojąc się tak szybko jechać podczas burzy.

– Dalej, Nix! – popędził zwierzę, gdy w strugach deszczu zamajaczył przed nimi odległy gród. – Już niedaleko! Dalej!

Zwierzę wyteżyło wszystkie siły. Dla swojego pana gotowe było na każde poświęcenie.

Kolejna błyskawica uderzyła samotną jabłoń rosnącą pośrodku mijanego pola. Błysk oślepił Mieszka. Mężczyzna na chwilę zamknął oczy. Ziemia zatrzęsała się od głośniejszego huku gromu. Gdy uchylił zalewane deszczówką powieki, płonące drzewo zostało już dawno za nim.

Drewniany most zadudnił pod ciężkimi uderzeniami końskich kopyt. Woda z kałuż pryskała na boki na ostatnim prostym odcinku drogi. Gdy tylko

spostrzeżono jeźdźca, drewniana brama grodu zaczęła się otwierać.

W sercu Mieszka zakiełkował strach, z chwilą gdy otrzymał informację od posłańca, że Ote ucierpiała wskutek ataku. Wyrostek wysłany z listem nie potrafił udzielić mu żadnych informacji, mimo że doradcy księcia sprali go na kwaśne jabłko.

List był lakoniczny. Poza jednym zdaniem i zawiłym podpisem zarządcy grodu zajmującym więcej miejsca niż treść wiadomości nie było tam nic więcej. Mimo to natychmiast kazał osiodłać konia i ruszył w drogę.

Nie był daleko od Ostrowa Lednickiego. I tak zamierzał następnego dnia, gdy pogoda się poprawi, przyjechać tam razem z drużyną po krótkim objeździe włości. Rozbili obóz tylko ze względu na burzowe chmury i chłód.

Zaklął. To przez niesprzyjającą pogodę nie przyjechał wcześniej.

Im bliżej był grodu, tym mocniej strach chwycił jego serce swoimi długimi palcami. Wiadomość niczego mu nie wyjaśniła. Nie wiedział, co to był za atak. Czy jego ukochaną zaatakowało zwierzę? Wilk? Jeśli tak, osobiście wybije wszystkie te bydłeta.

A jeśli człowiek? Może zaatakował ją człowiek? Ale kto byłby na tyle głupi, by poważić się podnieść rękę na żonę władcy i na dodatek kapłankę Swarozycyca?

Atak. To musiał być atak obcego plemienia. Może to Wieleci... Ale skąd znaleźliby się tak daleko na jego ziemiach?

Nie zdołał jej ochronić. Obiecał przecież na swaćbie, że zawsze będzie ją chronił.

Nie dotrzymał słowa.

Słudzy już czekali za bramą. Rzucili się w jego stronę. Nie czekał, aż Nix wyhamuje. Przerzucił nogę ponad końskim łbem i zeskoczył, gdy zwierzę wciąż biegło.

Ciężko uderzył o ziemię stopami, boleśnie wykręcając prawą nogę w kostce. Podparł się dłonią i natychmiast wstał. Jego ból się nie liczył.

– Gdzie ona jest?! Co się stało?! – ryknął.

Jego potężny głos wpędził do stajni wszystkie psy, które plątały się pod nogami na podwórzu. Struchlali służący pierzchli na boki, robiąc miejsce zarządcy grodu.

Otyły mężczyzna splatał nerwowo dłonie. Jego mokra od deszczówki łysina lśniła w świetle pochodni, które zapalono, by przegnać mrok.

– Był wypadek – wyjąkał, wychodząc mu naprzeciw.

Widok władcy przeraził go, zmroził do szpiku kości. Mieszko stał na szeroko rozstawionych nogach w strugach deszczu. Nie miał osłoniętej głowy, nasiąknięty wodą kaptur leżał bezużytecznie na jego szerokich plecach. Blond włosy, dłuższe na czubku głowy, a gładko zgolone po bokach, wisiały w strąkach na czole. Płaszcz z wilczej skóry narzucony na ramiona zdawał się przemieniać go w dzikie zwierzę,

potwora. Przy boku tkwił ukryty w pochwie miecz. Władca opierał dłoń o rękojeść, jakby broń stanowiła przedłużenie jego ciała.

W głowie zarządcy odżyły wszystkie historie, które szeptem, jakby bali się mówić głośniej, opowiadali wojownicy, gdy zatrzymywali się na popas w Ostrowie. Zapraszał ich wtedy na posiłek i częstował miodem, by posłuchać ciekawych, wojennych historii. Gdy opowiadali o władcy, zawsze niżali głos. Ich opowieści zwykle były niestworzone. Wiedział z nich, że żadna broń nie miała się Mieszka. Nie było przeciwnika, którego nie zdołałby zabić.

Był jeden, odważniejszy bądź głupszy, wojownik, który stwierdził kiedyś, że Mieszko nie może być człowiekiem, że musi być jakimś demonem z północy, który przybył na te ziemie, by kąpać się we krwi.

Zarządca zawsze traktował te historie jak tanie bajki dla dzieci, ale dzisiaj przestraszył się, że może było w nich ziarno prawdy.

Jeszcze niedawno Mściwoja ogarniała trwoga, że będzie musiał przekazać złe wiadomości władcy, i obawiał się, że zapłaci za wypadek swoim stanowiskiem. Jednak teraz, gdy zobaczył twarz Mieszka, zmroziło go przecucie, że to nie utraty stanowiska powinien się obawiać.

Gorzko pożałował, że Ote zatrzymała się na dłużej w jego grodzie, zamiast ruszyć w dalszą drogę z mężem i dziećmi. Ponoć zmęczyła ją podróż. Tak sama twierdziła. Mieli zabrać ją ze sobą do Gniezna w drodze powrotnej. Nikt nie przypuszczał, że może jej się stać coś złego.

– Jaki wypadek? – wycedził Mieszko, łapiąc zarządcę za zdobny płaszcz.

Twarc mężczyzny poczerwieniała, gdy materiał zacisnął się na jego szyi. Poczul, jak ziemia usuwa mu się spod nóg, gdy władca bez wysiłku, nawet bez grymasu warg uniósł go do góry, by ich oczy znalazły się na tej samej wysokości.

– Zaatakowano ją, wybuchł pożar – wystękał z trudem. – Nikt nic nie widział.

Mieszko potoczył spojrzeniem po zabudowaniach. Odżyły w nim wspomnienia. To tu mieszkała niegdyś Dobrawa. To stąd wykradł ją nocą chrześcijańskim kapłanom. Ostrów Lednicki był od tamtej pory jego ulubionym grodem. Zwłaszcza gdy kapłani wrócili do Czech.

Nie spodziewał się, że za potężnymi drewnianymi umocnieniami, których budowy sam doglądał, może stać się coś złego.

Nigdzie, na żadnym z budynków, nie było widać śladów pożaru. Ogień był jej sługą. Swarozyc nie mógł jej skrzywdzić. Nie po tych wszystkich latach, gdy tak wiernie mu służyła.

Mieszkańcy przyglądali mu się z przerażeniem. Nie był to strach przed atakiem obcej armii. Bali się jego.

– Gdzie ona jest?! – warknął.

Mężczyzna tymczasem posiniał. Służba już wcześniej umknęła, by gniew

władcy nie skupił się również na niej. Mieszko puścił materiał. Zarządca opadł na ziemię i odetchnął kilka razy głęboko.

– Mściwoju, gdzie jest moja żona? – zapytał jeszcze raz, tym razem spokojniej. – Prowadź mnie do niej.

Zarządca w jednej chwili pojął, że zmiana tonu u rozwścieczonego mężczyzny nie wróżyła dobrze. Zimny spokój, który go opanował, był jeszcze gorszy niż furia.

Wskazał dłonią na drzwi do jednej z chałup. Brwi Mieszka uniosły się. Spojrzał na będcy co prawda nadal w budowie duży budynek o kamiennej podmurówce. To w nim miała znajdować się siedziba władcy. Obok powstawała świątynia poświęcona bogom.

– Dlaczego tam? – zapytał.

Ruszył szybkim krokiem w kierunku chaty. Poczuł, że jego serce zwalnia. Krew przestała żywo płynąć w jego żyłach, zmieniła się w lód. Złe przecucia, które towarzyszyły mu przez całą drogę, ponownie chwyciły go swoimi pazurami. Zamiast iść w stronę drewnianej chałupy, wolałby oddalić się w przeciwnym kierunku. Bolał go każdy krok.

– Wezwaliście uzdrowicieli?! – krzyknął. – Zajęli się nią?!

Nie doczekawszy się odpowiedzi, szarpnął za zasłonę ze skóry, która skrywała przed nim tajemnice wnętrza. W środku, w przedsionku przed główną izbą, siedziały skulone służące Ote. Przestraszone odwróciły się do niego.

Zatrzymał się jak wryty, gdy do jego nozdrzy dotarł unoszący się w chałupie zapach. Zatoczył się do tyłu, jakby dostał obuchem w głowę. Nagle zrozumiał, dlaczego wybrano chatę umieszczoną daleko od głównych zabudowań.

Zarządca w ostatnim momencie wyhamował, wbijając obie pięty w ziemię. W innym wypadku wpadłby na plecy swojego pana.

Mieszko już znacznie wolniejszym krokiem ruszył w stronę przepierzenia oddzielającego przedsionek od izby. Zacisnął dłonie w pięści tak mocno, że aż pobieleły mu kłykcie. Zapłakane służące uciekały spojrzzeniami. Żadna nie powiedziała ani słowa.

Wszedł do izby, pochylając głowę przed zbyt niską belką stropową. Przed oczami znowu zamajaczyły mu wspomnienia. W takiej samej chatce, w identycznej izbie znalazł śpiącą na łożu Dobrawę. Kobieta, która stała się panią jego serca i myśli. Teraz był w tym samym miejscu, ale historia miała wyglądać zupełnie inaczej.

Ote leżała na wysokim posłaniu rozstawionym pośrodku, zamiast pod jedną ze ścian. Jej głowę położono na poduszkach. Drogi materiał pościeli poczerniał. Dookoła łoża ustawiono świece i rozwieszono wonne zioła, które miały zatuszować zapach. Mimo to wszędzie unosił się swąd spalenizny i śmierci.

Mieszko poczuł, jak coś dławi go w gardle. Zachwiał się. Musiał złapać się

ściany. Miał wrażenie, że czas się dla niego na chwilę zatrzymał. Zniknęli gdzieś wszyscy ludzie. Był tylko on i to, co zostało z jego ukochanej.

Na sztywnych nogach podszedł do łoża. Zmusił się, żeby dokładnie się jej przyjrzeć. Łudził się, że jeszcze dostrzeże w niej ślad życia.

Poczerniałe ciało wykrzywiło się, gdy płomień spalił mięśnie. Nogi i ręce powyginały się w stawach. Zwęglona skóra płatami opadała na pościel. Spojrzał na niegdyś piękną twarz. Na głowie nie było już rudych włosów. Skóra opięła ciasno czaszkę, skurczone wargi odsłoniły zęby w parodii uśmiechu.

Nie mógł rozpoznać w niej kobiety, którą kochał. Ubrania spłonęły. Jedyne na powykrzywianych palcach ostały się złote i srebrne pierścienie, które dobrze znał. Sam podarował jej wszystkie te ozdoby i namawiał, by je nosiła.

Trwał w milczeniu, pragnąc, by to wszystko okazało się tylko sennym koszmarem, marzył, że jego ukochana powstanie z martwych i szyderczo wyśmieje jego żalobę, jego troski.

Nic takiego jednak się nie stało.

– Panie? Panie, czy czegoś ci trzeba? – odważył się odezwać zarządca. – Kapłani czekają.

Władca początkowo zdawał się go wcale nie słyszeć. Trwał nieruchomo, wpatrując się w spalone szczątki, które u Mściwoja powodowały mdłości. Zarządca starał się za wszelką cenę nie patrzeć na łożo. Oddychał płytko przez usta, ale i tak czuł zapach tak niesmacznie kojarzący mu się z pieczeniem.

Poczuł nadchodzącą falę wymiotów, gdy pomyślał o czekającym tego wieczoru posiłku.

– Niech czekają! – warknął Mieszko. – Ja będę dzisiaj przy niej czuwał. Jutro wytłumaczysz mi się z tego. Wyjdź.

Mściwoj pobladł i pospiesznie wycofał się z izby. Skinął na służące, by także wyszły. Nie musiały już pilnować zwłok i śpiewać żalobnych pieśni. Kto inny tej nocy będzie strzegł jej ciała.

Gdy zarządca wyszedł na dwór, z jego piersi od razu wyrwało się westchnienie ulgi. Pomimo lejącego się z nieba deszczu i chłodnej wilgoci na grzbiecie wolał po stokroć stać na zewnątrz niż w chacie, z tym... trupem.

Po jakimś czasie do jego uszu dobiegł tętent koni. Kopyta uderzyły o jeden z dwóch mostów prowadzących ze stałego lądu na wyspę. To drużyna władcy zdołała go wreszcie dogonić. Mściwoj odetchnął i wyprostował się dumnie, dodając sobie tym animuszu. Pewnym krokiem ruszył do bramy, by tym razem przywitać następcę tronu, Bolesława, najstarszego syna władcy.

Młodzian z rozwianym włosom wjechał na strudzonym wierzchowcu. Zeskoczył z konia i żwawym krokiem podszedł do zarządcy. Na jego twarzy malowało się zaniepokojenie. Smugi błota wyrzucanego spod końskich kopyt poplamiały drogie ubranie.

– Gdzie mój ojciec? – zapytał.

Mściwoj wskazał palcem na chatę.

– Czuwa przy ciele – powiedział.

Bolesław się zachwiał. Na twarzy dwudziestopięciolatka pojawiło się zdziwienie. Nie spodziewał się, że żonie jego ojca naprawdę stało się coś złego. Obawiał się, że to tylko podstęp ze strony sprytnej kobiety, by skłonić ich do szybszego powrotu. Nie cierpiała pasierba i nie mogła znieść myśli, że ten zacieśnia więzy z ojcem. Chciała doprowadzić do tego, by to jej syn, mimo że młodszy i w dodatku przysposobiony, przejął schedę po Mieszku. Bolesław nie zamierzał do tego dopuścić. Przez chwilę nawet fantazjował o pozbyciu się macochy. Nigdy jednak nie odważył się podnieść na nią ręki.

– Zmarła? – wydusił. – W jaki sposób?!

– Niestety, był wypadek. – Mściwoj zaczął się jąkać. – Coś ją zaatakowało, a potem wybuchł pożar.

Bolesław znacząco spojrział na niebo. Padało od kilku dni, niemalże bez przerwy.

– Spłonęły jakieś zabudowania? – zapytał rzeczowym tonem.

– Nie, nie. Wypadek zdarzył się na polu... w południe – wyjaśnił.

Młodzian zmrużył oczy. Miał wrażenie, że zarządca kłamie.

– Ktoś to widział? – W jego głosie wyraźnie było słyhać podejrziwość.

– Straż i wieśniacy, usłyszeli wrzaski. Gdy dotarli na miejsce, znaleźli pogorzeliisko i szczątki. Opowiadali, że w oddali widzieli ubraną na białą postać, która zaatakowała panią. – W słowach zarządcy wyraźnie słyhać było lęk.

Bolesław poczuł odrazę do tego mężczyzny. W przeciwieństwie do niego nie wierzył w demony. Wiedział jednak, że macocha już dawno weszła w konszachty z krwawymi bogami. Mogła to być ich sprawa.

W duchu cieszyła go jej śmierć. Rozumiał jednak, że nie wolno mu tego po sobie pokazać. W przeciwieństwie do niego Mściwoj tego nie pojmował. Wyraźnie było po nim widać, że jest zadowolony.

Złapał zarządcę za ubranie tak jak ojciec i przyciągnął do siebie.

– Jeśli tylko dowiem się, że maczałeś w tym palce, to osobiście każę rozerwać cię kołmi! – warknął.

Puścił mężczyznę i ruszył pewnym krokiem do chałupy. Gdy tylko przekroczył próg, poczuł zapach spalenizny i pieczonego mięsa. Skrzywił się, bo zrozumiał, że to zapach spalonego ciała macochy.

Mieszka zastał klęczącego obok łoża. Powykręcane żywołem szczątki nie pozostawiały żadnych złudzeń. Kobieta umarła w męczarniach. Można było mieć tylko nadzieję, że nie była zbyt długo świadoma.

– Ojcie...?

– Będę przy niej czuwał tej nocy. Jutro rano spalimy resztę jej szczątków na

stosie pogrzebowym. Takie było jej życzenie.

Bolesław miał na końcu języka, że niewiele się z Ote ostało, by można było ją spalić, jednak się powstrzymał. Ojciec nie potrzebował teraz takich uwag.

– Dobrze, ojcze, wszystko przygotuję. Czy czegoś potrzebujesz?

W odpowiedzi tylko pokręcił głową, a Bolesław wyszedł bez słowa.

Mieszko, tak jak powiedział, całą noc spędził przy ciele zmarłej małżonki. Nie odezwał się ani słowem, nie poruszył. Podczas upływających godzin klęczał w tej samej pozycji, w której zastał go syn. Ubranie i włosy całkiem zdążyły na nim wyschnąć.

Wiedział, że ciało to tylko pusta skorupa, a duch ukochanej powędrował już dawno do Wyraju na spotkanie bogów. Trwał mimo to obok, bo wiedział, że tego by chciała. Poza tym ciężko byłoby mu odejść.

Gdyby odszedł, oznaczałoby to, że się pogodził.

Słyszał przez ściany rozmowy swoich poddanych, którzy chyba nie zdawali sobie sprawy z tego, jak głośno mówią. Pomimo że wieśniacy szeptali o demonach i ich zemście, chciał czuwać przy ciele. To nie było pole walki. Nie chciał się spieszyć i od razu układać stosu pogrzebowego.

Gdy następnego ranka zapiały kury, podniósł się ze ścierpniętych kolan i po raz pierwszy odezwał:

– Żegnaj, Ote.

Stos nie chciał spłonąć, zupełnie jakby Swarozyc obraził się na kapłanów. Płomienie nieśmiało lizały drewno, ale odmawiały wzięcia go w posiadanie. Przez zebrany tłum przeszedł szmer zaniepokojonych uwag. Spojrzenie wszystkich skupiło się na żercy. Mężczyzna coraz bardziej się niepokoił. Pochodnia w jego dłoniach drżała tak mocno, że zdawało się, iż zaraz ją upuści.

Deszcz cały czas zaczął z takim samym zapamiętaniem. Nie przerwał nawet na chwilę. Niebo było zamglone i ciemne. Mieszko miał wrażenie, że cały świat jest w żałobie po jego kochającej życie żonie i nawet słońce było dotknięte tą niesprawiedliwością. Chociaż może wydawało mu się tak tylko dlatego, że odczuwał w sobie wielką pustkę, która miała zostać już na zawsze.

W końcu kapłanowi udało się podpalić kilka suchych gałęzi wetkniętych między szczapy. Pomimo że stos ustawiono pod naprędcę wybudowanym zadaszaniem, to drewno było wilgotne i kopcilo szarym dymem, zamiast płonąć ku chwale bogów.

Bolesław trwał u boku nieruchomego Mieszka. Obaj odmówili stanięcia pod zadaszaniem. Zajęli miejsca przy podstawie stosu i wpatrywali się w płomienie, zupełnie jakby własnymi spojrzeniami usiłowali zachęcić je do żywszego pożerania jesionowych bierwion.

Zarządca przyglądał im się ukradkiem i zachodził w głowę nad ich pokrewieństwem. W ogóle nie byli do siebie podobni. Nie przypominali ojca i syna. Nie tylko z powodu wciąż gładkiego oblicza Mieszka. Bolesław był dużo niższy, bardziej krępy. Przypominał swoją matkę, miał takie same oczy i włosy. Wydawało się, że po ojcu odziedziczył tylko podobny, ponury charakter i milczący sposób bycia.

Szeptano po grodach, że nie był prawdziwym synem władcy, ale nikt nigdy nie odważył się tego powiedzieć Mieszkowi. Każdy znał jego twardą rękę i wiedział, że nie toleruje jakiegokolwiek oznaki buntu.

Z tego też powodu nikt nigdy mu nie powiedział, że Ote śmiertelnie przerażała większość służek. Mściwojowi zmarła także jawiła się jako szalona. Ostatnie dwa tygodnie, które spędziła w grodzie pod jego opieką, były koszmarem na jawie. Ote chodziła na bosaka nawet w najzimniejsze dni niczym chłopka, nic sobie nie robiąc z biednych służących, które bały się o jej zdrowie. Mamrotała do siebie pod nosem, często zamykała się w świątyni. Kapłani opowiadali, że słyszeli za zamkniętymi drzwiami głosy, zupełnie jakby ktoś jej odpowiadał. Mawiano, że jednym spojrzeniem potrafiła zesłać chorobę bądź śmierć. Wszyscy wiedzieli, że jest widzącą, wybranką bogów, która porzuciła ich, by służyć swojemu mężowi, władcy Polan. Podejrzewano, że to przez nią władca się nie starzeje, bo uprosiła bóstwa o wieczną młodość dla ukochanego.

Zarządca miał wrażenie, że wszyscy odetchną z ulgą na wieść o jej śmierci. Nie tylko w Ostrowie Lednickim.

Nagle, zupełnie jakby Swaróżyc usłuchał modlitw podenerwowanych kapłanów, ogień wystrzelił do góry, by zacząć żarłocznie pochłaniać szczątki. Kilka przerażonych kobiet krzyknęło, nawet najwyższy kapłan odskoczył do tyłu. Jedynie Mieszko i Bolesław nawet nie drgnęli.

Niebawem nic nie zostało ze stosu pogrzebowego.

Zdjęto zadaszenie, by deszcz wygasił resztę żaru. Żerca, nie zważając na to, że może się poparzyć, śmiało zaczął wyławiać gołymi rękami kości, jakby chciał wybielić swój wcześniejszy przestach. Wkrótce umieszczono je w glinianym dzbanie. Kapłan z czarnymi od sadzy dłońmi stanął naprzeciwko Mieszka i Bolesława.

– Wypełniliśmy powinności wobec bogów. Dusza twojej małżonki razem z innymi duszami pasie się teraz na polach Welesa. Bogowie będą jej sprzyjać.

Mieszko kiwnął głową, pozwalając mu odejść.

– Ojcie... – zaczął Bolesław, ale władca mu przerwał:

– Mściwoju. Zaprowadzisz nas teraz tam, gdzie to się stało.

Bolesław cofnął się o krok i pochylił głowę w oznace szacunku. Sam odwiedził jeszcze poprzedniego wieczoru wypalone do gołej ziemi pole, jednak wiedział, że ojciec będzie chciał zrobić to osobiście. Nie dziwił mu się. Gdyby zginęła jego żona, także nie uwierzyłby nikomu na słowo, chcąc samemu poznać prawdę.

Zwłaszcza że Ote nie była powszechnie lubianą władczynią. Lud jej nie ubóstwiał tak jak Dobrawy. Wszyscy widzieli w niej jedynie naznaczoną przez bogów wieszczkę, która w przeciwieństwie do Dobrawy nie zdołała dać władcy potomstwa.

Ruszyli za Mściwojem poza gród. Otyły mężczyzna zaproponował, żeby osiodłano konie, bo miejsce znajdowało się poza wyspą, ale Mieszko nie chciał czekać. Popędził zarządcę tak, że biedakowi o mało nie poplątały się nogi. Długi płaszcz Mściwoja podbity lisim futrem szargał się w błocie. Idący za nim Bolesław przyglądał się temu nie bez pewnej satysfakcji. Tak jak ojciec cenił jasną hierarchię dowodzenia, zwłaszcza odkąd rozwiązano spotkanie wiecowe. Strojący się w przednie materiały zarządca nie wzbudzał jego sympatii. Syn Mieszka uważał, że niektórzy zarządcy grodów zaczęli mieć o sobie zbyt wygórowane mniemanie.

Szybko przekroczyli most i weszli na pełną kolein oraz kałuż drogę, która ciągnęła się między polami. Gdzeniegdzie widać było skromne chaty wieśniaków. Wychodzili przed obejścia, podziwiając dziwaczny pochód, by następnie padać na ziemię w ukłonach, gdy docierało do nich, że widzą swojego owianego legendami władcę i jego następcę. Mściwoj machał im i rozdawał uśmiechy, zupełnie jakby to jego czcili niczym boga.

Bolesław zerknął na zamyślonego ojca. Szedł obok, patrząc przed siebie. Zdawał się niczego nie zauważać. Jego twarz wydawała się wykuta z kamienia. Nie mrużył oczu przed zacinającym deszczem, nie krzywił się, gdy dał chłodny, wiosenny wiatr. Wydawało się, że nic nie odczuwa.

– Ojcie...? – Dotknął jego ramienia.

Mieszko drgnął, jakby obudził się ze snu. Zamrugął i spojrzał na syna oczami zimnymi niczym lód.

– Słucham.

– O czym myślisz? – odważył się zapytać.

– O Swarożycu.

Bolesław nie pytał o nic więcej. Wiedział, o co chodzi ojcu. Macocha była niegdyś kapłanką boga ognia. Widział okrągłe oparzenia, które pojawiały się zawsze na jej ciele, gdy zamykała się na dłużej w świątyniach. Gdy był pacholęciem, święcie wierzył, że to pocałunki Swarożycy, którym niegdyś go straszyla.

Dopiero po latach zaczął podejrzewać, że sama przypalała się ogniem w swoim szaleństwie. Nigdy nie rozumiał, co ojciec w niej widział. Niemniej jednak jej śmierć w ogniu wydawała się podejrzana. Dlaczego bóg ognia, którego tak wielbiła, miał uczynić jej krzywdę? Czy może ktoś ją zamordował i podpalił dla okrutnego żartu?

W końcu Mściwoj, sapiąc okrutnie, skręcił z drogi i wszedł na pole. Zielsko czepiało się materiału jego płaszcza, jeszcze bardziej krępując ruchy.

– To już niedaleko – wydusił.

– Dlaczego tu przyszła? – zapytał niespodziewanie Mieszko.

Przestraszony zarządca aż podskoczył. Odwrócił się przez ramię i wytłumaczył służalczym tonem:

– Pani codziennie spacerowała po okolicy. Odsyłała służbę. Nie pozwalała towarzyszyć sobie strażnikom.

– Puszczalesz ją samą poza gród? – wycedził Mieszko.

– Nie mogłem nic na to poradzić – wyjąkał. – Pani była bardzo stanowcza. Straż zawsze szła za nią w pewnej odległości, ale nie wolno jej było się zbliżać.

– Głupiś – burknął władca. – Zaniedbałeś swoje obowiązki.

Razem z synem minęli pobladłego zarządcę i przedostali się przez mokre łąny, dochodząc do wypalanej na popiół ziemi. Ktoś bądź coś wypaliło zboże w kształt idealnego niemal koła. Pośrodku ziemia był najczarniejsza. Mieszko ukląkł i dotknął palcami gleby. Deszcz już dawno wymył wszystkie ślady. Nie było odcisków stóp.

– Może piorun? – zasugerował Bolesław. – Dziwne, że mokre żyto spłonęło. Nie zajęłoby się od pochodni. Nie czuć zapachu smoły.

Władca powąchał poczerniałe palce, a następnie spojrzał na niebo.

– Może... – mruknął i zwrócił się jeszcze raz do Mściwoja. – Nikt niczego nie widział?

– Wieśniacy twierdzą, że widzieli odzianą na białą postać o płonących włosach – wydukał, dobrze wiedząc, jak nieprawdopodobnie brzmią jego wytłumaczenia.

– Straszysz mnie południcą? – warknął Mieszko, wycierając dłoń o spodnie. Wstał z klęczek i zaczął krążyć po wypalanej ziemi. – Masz mnie za głupca?

– Panie, powtarzam ci tylko to, co twierdzą ci prości ludzie oraz strażnicy, którzy z nią byli. Wzięliśmy ich później do grodu. Moi najbardziej zaufani słudzy usiłowali wyciągnąć z nich prawdę. Gdy trochę poskrobali ich nożami, ci nadal twierdzili, że widzieli demona. Mówili, że pani stanęła na polu, a obok niej pojawiła się kobieta odziana na białą. Zaczęły się ze sobą szarpać. Strażnicy byli zbyt daleko. Gdy dobiegli, pole już płonęło. Nie mogli się zbliżyć, dopóki nie wygasło.

Bolesław pokręcił głową i nabrał przez nos powietrza. Czuć było tylko zapach deszczu i gleby. Swąd pożogi dawno już zmyła ulewa. Spojrzał z niepokojem na ojca. Miał wrażenie, że zaraz gołymi rękoma rozszarpie zarządcę na strzępy. Zrozumiał teraz, dlaczego odmówił zabrania ze sobą miecza. Mieszko po prostu wiedział, że ciężko mu będzie się powstrzymać przed jego użyciem.

– Poza tym pani była na polu w samo południe – dodał zarządca, zupełnie jakby to tłumaczyło wszystko.

Bolesław odchrząknął i stanął pomiędzy Mściwojem a Mieszkiem. Na wszelki wypadek.

Władca Polan wziął się pod boki i spojrzał na horyzont, gdzie czerniła się linia wiekowej puszczy. Stare drzewa stały prosto pomimo wiatru. Na pola docierał szelest ich opowieści. Przez chwilę wydawało mu się, że pomiędzy smukłymi pniami mignęło mu przed oczami coś białego, postać odziana w suknię.

Gdy zamrugął, wrażenie zniknęło.

– Ojciec? – Bolesław dotknął jego ramienia. – Chodźmy do grodu. Czas wracać do Gniezna.

– Tak. Muszę z tobą porozmawiać. – Mężczyzna pokiwał głową. – Wracajmy.

Las szumiał cicho. Igliwie sypało się na ziemię, ale rozłożyste gałęzie skutecznie chroniły przed deszczem. Mimo to stojące w cieniu drzew kobiety miały przemoczone ubrania. Niższa, rudowłosa, drżała pomimo zapiętego pod szyję płaszcza. Włosy wisiały na jej plecach posklejane w strąki, a nagie stopy posiniały od chłodu. Szukając ciepła, wsunęła je pod pokrywające ściółkę suche liście i gałązki. Dłonie zacisnęła w pięści.

– Bardzo chce mi się pić – poskarżyła się druga kobieta, wykrzywiając usta.

– To cena, którą przyjdzie ci zapłacić, Żywio...

Po tej uwadze od swojej pani nie miała odwagi więcej się skarżyć. Pokiwała tylko głową i spojrzała na swoje nowe ubranie. Biała lniana sukienka w ogóle nie chroniła jej przed niepogodą. Uniosła dłonie. Skóra pociemniała i nabrała brązowego odcienia. Pociągnęła nosem i wyprostowała się. Była dumna z tego, kim się stała i jak wiele poświęciła dla swojej pani.

Gdyby tylko nie odczuwała tak silnego pragnienia.

Ote śledziła wzrokiem sylwetki mężczyzn na polu. Na szczęście podstęp się udał. Nikt nie zauważył, że zniknęła jedna ze służących. Pozostałe dziewczęta uwierzyły w jej opowieści o ciąży i powrocie do domu rodzinnego.

Rudowłosa kobieta drgnęła. Przez chwilę wydawało jej się, że Mieszko spojrzał prosto na nią, jakby ją dostrzegł pomimo otaczających jej ciało ciemności i dzielącej ich odległości. Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Przysięgał, że zawsze będzie nad nią czuwał.

Wysunęła brodę do przodu. Nie była dumna z ucieczki, ale wiedziała, że nie chce dłużej tak żyć. Opuszczenie bogów było błędem. Nigdy nie powinna była tego czynić. Człowiek nie może zastąpić boga.

Dookoła nich zafalowała mgła. Języki dymu otoczyły ciała niewiast, ukrywając je przed spojrzem. Ote odwróciła się i spojrzała w bok. Szarość nabrała kształtów. Poczuła, jak jej dłoń obejmują ciepłe palce. Z każdą chwilą stawały się coraz bardziej cielesne i cieplejsze.

Kilka godzin później drużyna wyjechała z Ostrowa Lednickiego. Mieszko nie odwrócił się za siebie. Nie zamierzał już nigdy wracać w to miejsce. Najchętniej zrównałby je z ziemią.

Bolesław popędził swojego konia, żeby dogonić ojca. W przeciwieństwie do niego odwrócił się jeszcze, by po raz ostatni zerknąć przez ramię.

Na najwyższym drzewie tuż obok mostu prowadzącego do grodu wisało ciało mężczyzny. Stopy odziane w drogie buty już nie kopały wściekle powietrza w poszukiwaniu oparcia. Płaszcz podbity lisim futrem powoli nasiąkał deszczem.

Bolesław patrzył w napięciu na ojca. Mieszko siedział na szerokim łożu, opierając przedramiona na kolanach. Gdy uniósł głowę, jego twarz była nieprzenikniona. Syn nie potrafił z niej niczego wyczytać. Czasami wydawało mu się, że ludzkie potrzeby są władcy obce. Ojciec nawet nie mrugał. Jedyne jego potężna pierś unosiła się w spokojnym oddechu.

– Nie rozumiem – powiedział bezradnie.

Znajdowali się w dużej izbie sypialnej w grodzie, w Gnieźnie. Byli sami. Mieszko zajmował miejsce na łóżku, Bolesław za jego namową usiadł na jedynym krześle, przy stole. Błat zarzucony był nieprzeczytaną korespondencją i niedojdzonymi resztkami posiłku.

Wyruszyli z Ostrowa Lednickiego co koń wyskoczy. Służący ledwie zdążyli spakować bagaże i prowiant do dalszej jazdy. Od razu po powrocie ojciec zniknął gdzieś ze swoimi doradcami, wcześniej każąc kapłanom przygotować szczątki żony do odpowiedniego pochówku.

Dopiero następnego dnia wezwał go do siebie na rozmowę. A to, co mu opowiedział, nie mieściło się chłopakowi w głowie.

– Jak to kwiat paproci? Ojczy, to bajki – stwierdził i zerwał się z krzesła.

Zaczął niecierpliwie krążyć po komnacie, nie mogąc znaleźć sobie w niej miejsca.

– Spójrz na siebie, a następnie na mnie – mruknął Mieszko. – Wyglądamy na ojca i syna? Raczej na braci...

Bolesław przygryzł wargę. Wiedział, że ojciec ma rację. Zdawał sobie sprawę z tego, że mijające lata zostawiły na jego twarzy kolejne zmarszczki i blizny, a ojciec wciąż miał gładką twarz młodego mężczyzny. Jego ciało szpecił jedynie ślad na wysokości serca po wieleckim mieczu.

– To... niesłychane. Ludzie gadają. – Złapał się za głowę.

Mieszko natychmiast się wyprostował.

– Co ludzie gadają? – zapytał zaniepokojony.

Tajemnica kwiatu paproci była pilnie strzeżonym sekretem. O nieśmiertelności władcy wiedzieli jedynie jego dwaj zaufani doradcy oraz zmarli Gard, Siemomysł, Dobrawa i Ote. Sekret był dobrze strzeżony. Niebawem przy życiu nie miał pozostać nikt, kto by rozumiał, dlaczego Mieszko się nie starzeje.

– Mówią... mówią, że Ote namówiła bogów, by obdarzyli cię łaską wiecznego życia – powiedział Bolesław.

Stał naprzeciwko siedzącego władcy. Nagle poczuł się przesłuchiwany. Przeraził się, że jeżeli to, co ojciec twierdzi, jest prawdą, to nigdy nie będzie miał okazji włączyć Polanami. Nie ma miejsca na nowego władcę, gdy stary wciąż żyje. Miał wrażenie, że jest mały i nieważny.

Mieszko zaśmiał się głucho.

– Pewnie bogowie mieli w tym jakiś udział – skwitował. – Jednak to zasługa rośliny i wywaru, a nie zaklęcia.

Sięgnął po sztylet. Bolesław odruchowo cofnął się o krok. Władca zmierzył go długim spojrzeniem.

– Nie uczynię ci krzywdy – powiedział. – Jesteś moim synem.

– Z tego, co mówisz, nie jestem. – Młodzieniec poczerwieniał.

Nie rozumiał uczuć, które nim targały. Czuł się oszukany. Dorastał w cieniu sławnego, walecznego ojca. Zawsze chciał być taki jak on, marzył o przyszłości, w której jego sława przyćmi dokonania Mieszka. Żałował, że odziedziczył urodę po matce i nie miał tak solidnej postury jak ojciec. Teraz zrozumiał, że nie było mu dane go doścignąć, bo nie byli spokrewnieni. Miał wrażenie, że poznana prawda coś mu ukradła, zabrała raz na zawsze.

– Jesteś. Krew jest nieważna. Urodziła cię moja żona, wychowałem cię, nauczyłem wszystkiego, co ważne. Myślisz tak jak ja. Jesteś moim następcą. Będziesz lepszym władcą ode mnie. – Po raz pierwszy na ustach Mieszka pojawił się cień uśmiechu.

Bolesław westchnął.

– Żartujesz, prawda? To wszystko to tylko żart?

Mieszko przeciągnął sztyletem po swoim przedramieniu. Struga krwi żwawo pociekła po złocistej skórze, by spaść na ziemię. Krople uderzyły o posadzkę. Bolesław cofnął się na ten widok.

– Co robisz? – wykrzyknął.

– Patrz uważnie – polecił mu ojciec.

Krew przestała płynąć. Rana się zwężała. Mieszko przetarł rękawem koszuli przedramię, ścierając krew. Skóra była nienaruszona. Nie było nawet śladu po cięciu.

– To... to... nie... – wydukał syn.

– Nie okłamuję cię. Jestem przeklęty, bo poważylem się przyjąć napar z kwiecia paproci – powiedział zmęczonym głosem Mieszko.

Jego ramiona opadły, a plecy zgarbiły się. Nagle wydał się Bolesławowi starszy i bardziej zmęczony.

Syn natomiast wyprostował się dumnie. Wiedział, że ojciec miał rację. Jeśli nie łączyły ich więzy krwi, to łączyło ich całe życie. Bolesław traktował go jak boga. Mieszko nigdy nie dał mu odczuć, że nie jest jego synem. Gdy wracał z wojen, zawsze spędzał z nim każdą wolną chwilę.

Pomijając momenty, gdy Ote, wówczas jeszcze nałożnica, zwabiała go do swojej sypialni albo do świątyni.

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytał ojca. – Spełnię twe życzenie.

– Chcę, byś przejął po mnie władzę – oświadczył.

– Jak to? – Młodzian zamrugął.

– Jesteś już wystarczająco dojrzały, jeździłeś ze mną na ostatnie potyczki, byliśmy na dworze Sasów, poznałeś innych władców. Możesz samodzielnie rządzić. Moi doradcy ci pomogą. Nie będą działali na twoją szkodę. Nie daj poczuć innym władcom, że kraj jest osłabiony po zmianie władzy. Poprowadź nowe kampanie. Musisz twardą ręką trzymać wojów. Zwróć uwagę na zarządców w grodach. Nie podoba mi się, że zaczynają zbyt wysoko się cenić.

Bolesław ucieszył się, że ojciec miał takie same odczucia. Mimo to jego sercem targnął niepokój.

– Ojcze, poczekaj. Czemuż mi to mówisz? Przecież jesteś... wciąż młody. Masz dużo siły. Możesz nadal władać krajem – powiedział szybko.

– Nie, Bolesławie. Człowiek powinien mieć jedno życie – oświadczył spokojnie Mieszko. – Jestem już zmęczony wojną, polityką. Zostawiam to tobie, abyś mógł się wykazać. Zostaniesz nowym władcą. To już nie moje czasy. Sam powiedziałeś, że zaczynam zwracać uwagę swoim wyglądem. Niedługo nie uniknę plotek. Czas to skończyć.

– Ale jak to skończyć? Sam powiedziałeś, że nie możesz umrzeć – zaprotestował gwałtownie.

Nie podobało mu się, do czego zmierza ta rozmowa. Mieszko był zbyt spokojny.

– Odejdę. Wszystko uzgodniłem z doradcami. To właściwy czas. – Pokiwał głową do własnych myśli. – Nie toczymy teraz żadnej wojny, kraj jest silny. To dobry moment na zmianę władcy. Przez najbliższe dni będę udawał, że choruję na oddech. To częste schorzenie. Nikogo nie zdziwi, że umrę. Nikomu nie przejdzie przez myśl oskarżyć ciebie albo moich doradców, że pozbyli się władcy.

– Ty nie możesz umrzeć – zauważył ostrożnie Bolesław.

– Ano nie mogę. Podczas uroczystości pogrzebowych na stosie spłonie ciało jakiegoś wieśniaka. Zostaniesz wezwany, by potwierdzić, że władca zmarł. Potwierdzisz, rozumiesz? To nie będę ja, ale musisz potwierdzić i ogłosić to publicznie. Tobie uwierzą.

– A co z tobą?

– Odejdę. – Wzruszył ramionami.

– Dokąd?

Mieszko odłożył sztylet i wstał. Nigdy nie umiał okazywać uczuć, uważał, że to domena kobiet. Teraz jednak wiedział, co powinien zrobić. Przygarnął do siebie syna i zamknął go w mocnym uścisku. Potargał długie włosy młodziana ścięte krótko jedynie po bokach, tak samo jak jego. Bolesław naśladował go we wszystkim.

– Nie wiem. Będę wędrował po świecie i spróbuję znaleźć sobie miejsce – odparł.

– Na co?

– Na stanie się na powrót śmiertelnym – oświadczył pewnym głosem. – Poza tym spróbuję odnaleźć osobę lub istotę, która odebrała życie Ote.

Bolesław zdał sobie sprawę, że słyszy w jego głosie radość.

– Ojcze...

– Dasz radę. – Poklepał go po plecach. – Jesteś już mężczyzną. Ja objąłem władzę, gdy byłem niewiele starszy od ciebie. Przed tobą dobre życie. Radzisz sobie lepiej ode mnie w polityce. Mnie te gładkie słowa często nie chcą przejść przez gardło.

Bolesław się zaśmiał.

– Nie zawiodę cię, ojcze.

– Wiem – odpowiedział z uśmiechem. – Bądź sprawiedliwym władcą. Dbaj o kapłanów, ale nie ufaj im nadto. Bogowie lubią odwracać się plecami do tych, którzy ich miłują.

Spojrzał z troską na syna. Tylko on mu pozostał. Inni odeszli do zaświatów. Z każdą kolejną śmiercią bliskiej osoby czuł, że i on umiera po kawałku. Chciał odejść, póki nie będzie za późno, póki do końca nie postrada zmysłów.

Miał wrażenie, że z jego barków zniknął niewidzialny ciężar, odkąd podjął decyzję o odejściu.

Drzwi komnaty zatrzęsły się, gdy ktoś załomotał w nie pięścią. Obaj odwrócili się w tamtą stronę.

Głośne stuki powtórzyły się.

Poderwałam głowę z pościeli. Zamrugałam, nie rozumiejąc, co się dzieje, ani nie wiedząc, gdzie jestem. Obrazy mieszały mi się przed oczami. Przez chwilę stałam w surowej izbie w Gnieźnie, a po chwili siedziałam we własnym łóżku. Czułam się odurzona, miałam wrażenie, że tamta komnata jest prawdziwsza od sypialni, w której się znajduję. Nie wiedziałam, które zapachy są prawdziwe. Czy delikatna woń jaśminu wydzielana przez świece rozstawione w mojej sypialni? Czy może zapach drewna palonego w kominku, wilgoci panującej w kamiennych murach i niedojedzonego posiłku?

Wirowanie w głowie powoli się uspokajało. Przymknęłam oczy i zobaczyłam tylko czerń, więc odetchnęłam głęboko. Przez chwilę nie słyszałam niczego innego poza szumem wydychanego powietrza.

Co się dzieje?

Przetarłam twarz dłońmi. Ostre światło prześlizgiwało się przez szczelinę pomiędzy zasłonami, raziło moje oczy. Ta wizja... jeszcze nie miałam tak długiej wizji. Byłam tak bardzo zmęczona, jakbym sama siedziała na twardym końskim grzbiecie, jadąc w burzy przez pola, a potem klęczała, czuwając wiele godzin przy zwłokach.

Spojrzałam na stojący na szafce obok mnie budzik. Zegar wskazywał kilka minut po dziewiątej rano. Po wczorajszym koncercie i późnym powrocie z Kielc nieźle się rozespłam. Dobrze, że dzisiaj niedziela.

– Mieszko – szepnęłam.

Uśmiechnęłam się na wspomnienie jego twarzy, ale uśmiech zamienił się w grymas, gdy przypomniałam sobie cierpienie, które odczuwał. Ja też je czułam. Zupełnie jakbym weszła mu w głowę.

Bolesław... Mieszko go kochał. Naprawdę uważał go za własnego syna, mimo że chłopak miał innego ojca. Pomasowałam się po mostku w nadziei, że złagodzi to ból, który odczuwałam. Ból, który pojawił się tam, gdy zginęła Ote.

Przygryzłam wargę. Czy cały czas, przez wszystkie wieki, czuł ten ból? Paraliżowała go świadomość, że nie uchronił jej przed śmiercią? Przez wizję i dokładne prześledzenie jego myśli doskonale zdawałam sobie sprawę z poczucia winy, które go dręczyło. Obiecał ją chronić i nie mógł sobie podarować, że wystarczyła tylko chwila, kilka dni rozłąki, by ktoś mu ją odebrał. By ktoś ją zamordował.

Poczułam też złość i nienawiść, która wypełniała jego serce. Zakiełkowała tam, gdy usłyszał o demonie, który mógł stać za jej śmiercią. Uwierzył w relacje wieśniaków.

W jednej chwili zrozumiałam, jak musiał się poczuć, kiedy zaatakował mnie

w jeziorze utopiec. To dlatego w jego głosie nie było żadnego uczucia, gdy zaproponował, żebyśmy go zabili.

Spojrzałam na nadgarstek i przejechałam palcem po szorstkim znamieniu. Druga wizja w tak krótkim czasie. Czy to zasługa Swaróżyca? Podrapałam owalny ślad po oparzeniu nagle zirytowana, że tam jest, że mam na sobie jego znak.

Ktoś zapukał do drzwi wejściowych. Zamarłam porażona dźwiękiem, który wcześniej wydawał mi się tylko kolejnym elementem snu.

Ktoś naprawdę pukał! To nie była senna mara!

– Chwileczkę! – krzyknęłam.

Zerwałam się z łóżka i bijąc bosymi piętami o deski, pognałam do przedpokoju. Tam wyhamowałam gwałtownie, gdy dotarło do mnie, że nie spodziewam się gości o tak bezbożnej godzinie.

Chociaż nie, dziewiąta rano w niedzielę to nie była bezbożna godzina. Ale kto szukałby mnie w dzień wolny? Dzisiaj przecież nie pracuję...

Skarciłam się za negatywne myśli. Nie wszyscy przecież chcieli mnie zabić. Nie powinnam popadać w paranoję. Była co prawda niedziela, ale równie dobrze mógł to być jakiś sąsiad, który urznął sobie palec kosiarką i przyszedł po pomoc w nagłej potrzebie.

Chociaż nie...

Baba Jaga już ich nauczyła, że urwany palec trzeba zawinąć w czystą szmatkę i co sił pędzić do szpitala, gdzie paluch przyszyją. Po tym, jak zaproponowała jednemu gospodarzowi, że co najwyżej może mu przykleić ucięty kciuk butaprenem, jakoś przestali przychodzić z takimi problemami.

Przerwałam wewnętrzną dyskusję i ostrożnie podeszłam do drzwi. Pocieszyłam się, że pod progiem zamocowana była żelazna sztaba, na którą przedwczoraj w przypiływie pijackiej inwencji po wieczorze spędzonym ze Sławą nasypałam cieniutką warstwę soli.

Co prawda różowej himalajskiej, bo tylko taka stała w kuchni, a do piwnicy, gdzie Baba Jaga trzymała worki zwykłej, po ciemku wołałam nie wchodzić, ale chyba też powinna podzielać na słowiańskie demony.

W końcu sól to sól.

Pochyliłam się do wizjera, który zamontowany był na wysokości wygodnej dla Baby Jagi. Odsunęłam metalową osłonkę i wyjrzałam na zewnątrz. Gość stał blisko drzwi i był wysoki. Zobaczyłam tylko koszulę.

Przekląłam wzrost szeptuchy. Po kiego wizjer, przez który i tak nic nie widać?

– Kto tam? – zapytałam.

– To ja.

Enigmatyczna odpowiedź, ale wszędzie poznałabym ten głos.

Drżącą ręką sięgnęłam do zasuwki. Gdy zobaczyłam dygot palców,

zamknęłam na chwilę oczy, odetchnęłam głęboko i dopiero sięgnęłam do zamka.

Otworzyłam drzwi. Po drugiej stronie, na wyszarganej przez lata wycieracze z napisem „sława gościom”, stał Mieszko. Miał potargane włosy, na jego brodzie pysznił się kilkudniowy zarost. Uśmiechnął się do mnie zadowolony.

Ponad jego ramieniem zobaczyłam, że na poboczu stoi czarny ubłocony dżip. Tylne lewe koło niebezpiecznie balansowało nad rowem, ale ciężki samochód nie miał szans, żeby się do niego stoczyć. Przez szyby wyraźnie widziałam zarysy kartonów i worków, zupełnie jakby auto skrywało cały jego dobytek.

– Wróciłeś – oświadczyłam, nie mogąc powstrzymać zaskoczenia w głosie.

– Wróciłem.

– I już nie wyjedziesz?

– Nie.

Niebezpiecznie balansując metalową tacą, nacisnęłam łokciem klamkę i pchnęłam biodrem przeszkłone drzwi. Pełne kawy kubki i dzbanek z mlekiem zakołysały się, doprowadzając mnie do palpacji. Z przestraczem obserwowałam, jak, niczym na zwolnionym filmie, poziom płynu w naczyniach wychyla się, by dotknąć brzegu porcelany.

Silna dłoń przytrzymała tacę, zanim cała jej zawartość runęła na wyłożoną kostką podłogę tarasu.

– Pomogę ci – zaoferował Mieszko.

– Nie trzeba. – Najeżyłam się i niemalże wyrwałam mu tacę z dłoni.

Postawiłam ją na stoliku. Usiadł sztywno w wygodnym fotelu, jakby połknął kij od szczotki. Wyraźnie nie potrafił się odprężyć. Zamiast oprzeć się na pochylonym oparciu, siedział z wyprostowanymi plecami. Nogi skrzyżował i wsunął pod siedzenie.

Siedzisko z miękkimi czerwonymi poduszkami w niebieskie kwiatuszki pasowało jak pięść do oka do jego ponurej miny.

Ja nie zamierzałam być taka formalna. Zwłaszcza że w przeciwieństwie do niego wciąż byłam w piżamie, a na głowie miałam kołtun. Podciągnęłam szorty, w których spałam, żeby nie zsunęły mi się z tyłka, i zwinęłam się w kłębek w fotelu niczym kot.

Sięgnęłam po prosty, czerwony kubek i przysunęłam go bliżej siebie. Objęłam porcelanę, grzejąc sobie o nią palce. Owionął mnie zapach świeżo mielonej kawy. Przymknęłam oczy, rozkoszując się tym aromatem.

Spojrzenie Mieszka miękko przesunęło się po moich nogach, by potem musnąć podkoszulek, pod którym, rzecz jasna, nie miałam stanika.

Był późny poranek, ale dzisiejszego dnia nie było na niebie wiele słońca. Chłodny wiatr popędzał chmury, szarpał liśćmi i nieprzyjemnie lizał po szyi. Marzyłam o ciepłej kawie, która po nerwowej nocy doprowadziłaby mnie do porządku.

– Nie ma Baby Jagi? – zagadnął uprzejmie Mieszko.

– Wyjechała na wa... pielgrzymkę – poprawiłam się w ostatnim momencie.

Jak na mój gust, to jej wylegiwanie się w basenie SPA niedaleko Ślęzy przypominało raczej urlop albo pobyt w sanatorium niż cierpiętniczą pielgrzymkę do miejsca kultu Świętowita, ale co ja tam wiem.

Mieszko wyprostował się jeszcze bardziej, gdy wyczuł chłodną rezerwę w moim głosie. Na jego czole pojawił się mars zafrasowania. Najwyraźniej mój przystojny władca nie potrafił pojąć, dlaczego się dąsam.

Typowe...

– Na długo? – Sięgnął po kubek, jakby chciał zyskać tym pytaniem na

czasie.

Skrzywił się dyskretnie, gdy pociągnął łyk kawy. Mieszko nie pił kawy. Nigdy. Przygotowanie mu jej było czystą złościwością z mojej strony. Zresztą nie był też wielkim fanem herbaty. Pił głównie wodę.

I alkohol.

Należy mu się pochwała, bo się nie poskarżył. Wziął tylko dzbanuszek z mlekiem i wlał tyle białego płynu, ile mógł pomieścić najprzaśniejszy kubek, jaki w swej złościwości mogłam znaleźć w kuchni – granatowy w żółte kociaki. Zaczęłam się zastanawiać, jak podniesie naczynie, skoro jest teraz wypełnione płynem po same brzegi.

– Ciężko powiedzieć – odparłam. – To pielgrzymka. Obiecała, że niebawem wróci, ale nie podała konkretnej daty. Zamierza się umartwiać.

Wyobraziłam sobie, jak leży w wannie wypełnionej leczniczym błotem i wzdycha z zadowolenia. No cóż, są różne rodzaje umartwiania. Niektórzy w tym celu używają błota z Morza Martwego.

– Przejęłaś jej obowiązki? – zapytał tym samym uprzejmym tonem.

Był ostrożny i taktowny. Zmrużyłam oczy. Takiego jeszcze go nie znałam. Powinnam mieć się na baczności. Zmierzyliśmy się spojrzeniami.

– Chwilowo tak. – Pokiwałam głową.

No właśnie... Potoczyłam wzrokiem po ogrodzie. Powinnam wreszcie zabrać się do ochronnego kręgu soli dookoła domu, bo inaczej szeptucha będzie mi to wypominała aż do śmierci.

Zerknęłam na mężczyznę, który zastanawiał się, jak zamieszać łyżeczką zawartość kubka bez rozlewania kawy.

Przemknęło mi przez głowę, że w sumie przydałoby mi się męskie ramię do machania łopata...

– A ty... – urwałam. – Załatwiłeś wszystkie swoje sprawy?

– Tak.

Poraził mnie chłód, którym zionęły jego oczy. Cała pewność siebie od razu gdzieś się ze mnie ulotniła. Chciałam go ukarać swoim zachowaniem, chciałam, żeby chociaż przez chwilę cierpiał tak, jak ja cierpiałam, zastanawiając się, czemu tak długo go nie ma.

Zrozumiałam teraz jednak, że bawię się w niebezpieczną grę. Mieszko wydawał się na pierwszy rzut oka nieokrzesany i dziki, ale przecież bardzo długo zajmował się polityką. Umiał rozmawiać i umiał postępować z ludźmi.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

Jedno uderzenie serca.

Drugie...

Trzecie...

Wskazał palcem na mój nadgarstek.

– Widzę, że nie próżnowałaś, gdy mnie nie było? – W jego pełnym jadu głosie usłyszałam lekkie echo furii.

Poczułam, jak moje policzki ciemnieją. Odstawiłam z hukiem kubek. Stolik zakołysał się, a odrobina kawy z kubka Mieszka wylała się na metalową tacę. Mężczyzna, jakby tylko na to czekał, wziął łyżeczkę i bez ceregieli wymieszał resztę.

– Gdybyś dał mi jakikolwiek znak, że żyjesz i wszystko z tobą dobrze, nie musiałabym prosić Swarożycy o pomoc – szepnęłam.

Prychnął pod nosem i pokręcił głową.

– Nie mogę zginąć – powiedział sucho. – Niepotrzebnie prosiłaś o pomoc.

– A skąd miałam wiedzieć? Przeżyłeś atak Mokosz, ale może potem szlag cię trafił?! Skąd miałam wiedzieć, jak napar z kwiatu na ciebie podziała?! Zniknąłeś od razu, potem się nie odzywałeś. Nie robi się drugiemu człowiekowi takich rzeczy.

– Dawno nie byłem człowiekiem! – warknął.

– Zawsze byłeś człowiekiem, tylko wygodniej jest ci myśleć, że już nim nie jesteś – syknęłam. – Że nie obowiązują cię żadne zasady, że nie musisz silić się na bycie przyzwoitym.

Zbiłam go tym z tropu.

– Pamiętasz tamtą noc? Pamiętasz? Bo ja ją bardzo dobrze pamiętam! – Dalej drążyłam, wywalając wszystkie żale, które w sobie dusiłam przez tyle czasu. – Niemal każdej nocy budziłam się zлана potem, wspominając kamiennego żmija, nóż w moim brzuchu i rośliny, które cię spętały. A ciebie nie było! Nie było cię przy mnie, gdy musiałam powiedzieć Jadze, że Mszczuj umarł! Że umarł z mojej winy! Nie było cię przy mnie, kiedy musiałam go pochować! Nie było cię przy mnie, gdy patrzyłam, jak wybierają innego na jego miejsce! Bo przeze mnie, *przeze mnie*, on nie żyje! Powiedziałaś mi, że mnie kochasz. Powtarzałam to sobie, kiedy było mi źle. Tylko czy ty na pewno zachowujesz się jak ktoś, kto umie kochać?

Nie podniosłam głosu ani razu. Mówiłam szeptem, bojąc się, że gdybym rzekła cokolwiek głośniej, to cały świat poznałby moją winę. Mimo to zachryłam, zupełnie jakbym krzyczała.

W jego lodowatych oczach zalśniło przez chwilę zwątpienie. Szybko jednak z powrotem nałożył na twarz wszechwiedzącą maskę.

No cóż... Jeśli myślał, że po powrocie rzucę mu się stęskniona na szyję, to się przeliczył. Przez te wszystkie tygodnie zdążyłam się zmienić. Nie wiem, czy przez magię naparu, czy przez coś innego, ale nie byłam już tą samą Gosią, która przed półroczem przyjechała do szeptuchy na jego furmance. Nie zamierzałam dalej robić do niego maślanych oczu i drzeć niczym osika przed każdą rozmową.

Po tym, co przeżyłam, przestałam go traktować niczym objawienie, boga.

Już wiedziałam, że jest tylko człowiekiem.

– Ja... – urwał i pokręcił głową, zupełnie jakby rozmyślił się z powiedzenia tego, co zamierzał. Zamiast tego rzekł: – Nie pomyślałem, że powinienem się odezwać.

Najsmutniejsze było to, że najprawdopodobniej mówił prawdę.

– Jeśli na kimś ci zależy, to nie dajesz mu niepotrzebnych powodów do zmartwień – mruknęłam. – Już chyba kiedyś ci to mówiłam.

Ale oczywiście on w swojej tępotnie umysłowej tego nie przyswoił.

Powoli odłożył łyżeczkę na tacę. Włożył w ten ruch tyle uwagi, jakby łyżka mogła w każdej chwili wybuchnąć. Jego ramiona odrobinę się opuściły.

Miałam wrażenie, że prowadzi ze sobą wewnętrzny dialog tak podobny do moich rozmyślań.

– Zależy mi na tobie – powiedział, patrząc w stół.

Patrzyłam, jak jego grdyka przeskakuje do góry, a następnie na dół. Uniósł głowę i tym razem spojrzął mi w oczy.

– Zależy mi na tobie – powtórzył spokojnie.

Ugryzłam się w język, by powstrzymać wszystkie złośliwe odpowiedzi, które przysły mi do głowy. Dobrze wiedziałam, że w kontaktach damsko-męskich zupełnie sobie nie radziłam. Jednak w porównaniu ze mną Mieszko był chyba jeszcze mniej obeznany z etykietą. Najwyraźniej w jego czasach nie była tak ważna. Potem pewnie też nie musiał się starać. Przecież nawet ja niemalże bez żadnej zachęty od razu byłam gotowa wskoczyć mu do łóżka.

Kiedy ma się wszystko podane na tacy, nie trzeba się starać. Teraz będzie się musiał tego nauczyć, skoro podobno tak mu na mnie zależy.

Mimo całego zamętu, jaki miałam ostatnio w głowie, nie chciałam palić łączących nas mostów.

Ponownie sięgnęłam po kubek i rozsiadłam się wygodnie w fotelu. Poczułam, jak napięcie powoli mnie opuszcza. Bogowie wysłuchali moich próśb i Mieszko wrócił do mnie cały i zdrowy. Nie prosiłam, by wreszcie zrozumiał, że mogłby zacząć się zachowywać inaczej, to nie zaczął tego robić. Bogowie nigdy nie dają niczego za darmo.

Zdecydowanie zacznę się o to dzisiaj modlić, skoro najwyraźniej słuchali ostatnio moich próśb.

– Co robiłeś – zapytałam – kiedy cię nie było?

Mężczyzna przyglądał mi się w napięciu, zupełnie jakby rozważał, czy zmiana tematu to jakiś mój nowy podstęp.

– Pochowałem Ote i uporządkowałem kilka spraw – odparł ostrożnie.

No, rozmowny to on nigdy nie był.

– A powiesz mi coś jeszcze? Jakies szczegóły? – westchnęłam. – Nie żądam, żebyś mi opowiedział sekundę po sekundzie, co się z tobą działo, ale fajnie by było, gdybym dowiedziała się dużo więcej!

Mieszko odchrząknął. Zauważyłam, że jeden z kącików jego ust uniósł się delikatnie do góry, jakby ledwie mógł powstrzymać uśmiech. Wygrał jednak walkę z własną mimiką. Nie uśmiechnął się. Musiałam zadowolić się tylko tym nieznacznym grymasem na jego twarzy. To było wszystko, co mógł mi teraz dać.

– Zabrałem ciało Ote – oznajmił, odkładając łyżeczkę na tacę. – Byłem w nocy w chacie. Sprzątnęłaś jej...?

– Tak. – Kiwnęłam głową.

W mojej głowie odezwał się mały głosik drwiący z tego, że najpierw pojechał tam zamiast do mnie.

– Dziękuję. – W jego głosie usłyszałam ciepło.

Poczułam się nieswojo. Nie oczekiwałam podziękowań za sprzątnięcie krwi jego byłej żony. Wydawało mi się oczywiste, że powinnam to zrobić po tym, jak ją zabił, by mnie chronić.

– Hm, nie ma za co.

Poruszyłam się niespokojnie w fotelu. Nagle przestał być wygodny.

– Nie mogłem pochować jej w Gnieźnie. Świątynia jest dobrze strzeżona, mnóstwo tam wyznawców i kapłanów – mówił dalej. – W jej grobie na zawsze będą spoczywały szczątki Żywii.

– To co zrobiłeś?

– Znalazłem żercę, który za odpowiednią cenę gotów był przeprowadzić ceremonię pogrzebową. Nie przeszkadzało mu, że chowa strzygę, gdy już zdołał uwierzyć, że to strzyga. – Wzruszył ramionami. – Dopełniono rytuału. Jej szczątki są na cmentarzu nieopodal Gniezna. Na tyle blisko, na ile się dało.

Przyłożyłam do ust kubek, żeby zatuszować swoją minę. Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Mieszko podróżował z rozczłonkowanym ciałem Ote prawie przez całe Królestwo.

– Później musiałem zadbać o interesy, dopilnować kilku inwestycji i sprzedałem dom w Gnieźnie. – Wzruszył potężnymi ramionami.

– Dom? Nie wiedziałam, że masz dom! Mówiłeś, że doczesne rzeczy nie są ci do niczego potrzebne.

Chwalił mi się przecież, że gdy stał się nieśmiertelny, nie potrzebował już doczesnych przedmiotów ani ziemi. Było to jego wieczne wytłumaczenie tego, że nie ma telefonu komórkowego.

Mimo to zawsze w skrytości podejrzewałam, że po prostu obawiał się technologii i nie potrafił trafić swoimi pełnymi odcisków paluchami w odpowiednie klawisze.

– Miałem dom – poprawił mnie. – Nie zawsze przecież mieszkałem w Bielinach. Przyjechałem tu krótko przed tobą.

Zapragnęłam pacnąć się dłonią w czoło. To przecież oczywiste, że musiał gdzieś mieszkać. W mojej wyobraźni zawsze był niewychowanym samotnikiem,

który wszędzie jeździ na grzbiecie swojego konia i mieszka tam, gdzie akurat zastanie go noc. Ciężko jednak było prowadzić taki żywot w dwudziestym pierwszym wieku, gdy nawet królewskie lasy i puszcze otoczone były ogrodzeniami z siatki, by nikt w nich nie kłusował.

– No tak – mruknęłam. – Skoro sprzedałeś dom... gdzie teraz będziesz mieszkać? Mieszkanie na poddaszu...

– Wiem, rozmawiałem z gospodynią dziś rano, gdy przyjechałem po swoje rzeczy – przerwał mi beztrąsko. – Mieszka tam teraz nowy żerca.

– „Przyjechałeś po swoje rzeczy...” – zacytowałam. – Mieszko, gdzie chciałeś się zatrzymać?

Przez jedno uderzenie serca pomyślałam o tym, że może chciał zamieszkać ze mną. Mieszkaliśmy już kiedyś razem w leśniczówce. Nawet krwawa śmierć Ote i prorocтво kwiatu, które się w niej dokonało, nie zdołały przyćmić miłych wspomnień, które wiązałam z tym miejscem.

Wyobraziłam sobie, że znowu mieszkamy razem. Krew zadudniła mi szybciej w żyłach, gdy pomyślałam o chłodnych nocach, które moglibyśmy spędzać przytuleni w jednym łóżku.

Jego skóra dotykająca mojej.

– Kupiłem gospodarkę niedaleko! – pochwalił się.

Oniemiała wpatrywałam się w przeszczęśliwy uśmiech na jego twarzy. Dosłownie szczyrzył do mnie wszystkie zęby. Jeszcze nigdy nie widziałam u niego uśmiechu, który nadawałby się do reklamy pasty do zębów, a tu proszę.

Wyprostował się jeszcze bardziej. Wręcz oczekiwałam, że zacznie się zaraz bić pięściami w piersi w dowód swojej męskości.

– A po jaką cholere? – palnęłam.

Jego ramiona odrobinę opadły, a uśmiech przygasł.

– Jak to? – zapytał.

– Po co ci gospodarza? Chcesz być rolnikiem? – zapytałam.

Sięgnął po kubek i pociągnął z niego duży łyk. Tym razem nie udało mu się zatuszować odrazy. Skrzywił się, gdy poczuł gorzka kawy, i natychmiast odstawił naczynie.

– Gosiu, myślałem, że tego po mnie oczekujesz. Jestem mężczyzną.

No nie da się ukryć.

– Powinienem mieć dom, ziemię. Powinienem stać się odpowiedzialny. Sądziłem, że tego chciałeś.

– No... – zaczęłam się jąkać. – W sumie to chciałam. Tylko czy ty tego chciałeś?

– Przede mną tysiąc lat oczekiwania na zakwitnięcie kolejnego kwiatu paproci – odparł z prostotą. – Myślę, że w międzyczasie mogę zamieszkać w Bielinach i zająć się czymś pożytecznym.

Jak jeszcze mi oświadczy, że będzie sadił truskawki, to spadnę z fotela.

– Poza tym... wydawało mi się, że tego chciałaś... – Jego pewność siebie powoli topniała.

Czy ja tego chciałam? Naprawdę marzył mi się ślub jak z bajki, mąż będący moją podporą i gromadka dzieci. Tylko czy te marzenia wciąż mają rację bytu, jeśli on nadal jest nieśmiertelny? Czy nie wróciliśmy do punktu wyjścia?

– Ja... – zaczęłam mówić.

– Dzień dobry! Pomyślałem, że wpadnę sprawdzić, jak się czujesz po naszym wczorajszym wieczorze... – Witek wmaszerował pewnym krokiem do ogrodu.

Urwał, gdy nas zobaczył.

Tym razem nie wskoczyłam przestraszona w malwy.

Chociaż może szkoda, że tego nie zdołałam.

Mieszko podniósł się z fotela i wyciągnął rękę w uprzejmym geście powitania. Odwrócił się przy tym do mnie tyłem, więc niestety nie widziałam wyrazu jego twarzy. Okazało się, że przewyższa Witka o ponad głowę. Mimo wszystko młody żerca nie stracił pewności siebie, choć musiał spojrzeć do góry.

Ja także zerwałam się z siedzenia, bo przez szerokie bary Mieszka nic nie widziałam.

– Poznajcie się – powiedziałam zbyt szybko i zbyt wesoło. – Mieszko, to Witek, nowy żerca w Bielinach. Witku, Mieszko był niegdyś uczniem Mszczuja.

– Och, miło mi cię poznać – oświadczył Witek.

Nie jestem jakimś wielkim mistrzem, jeśli chodzi o odczytywanie uczuć, ale naprawdę ciężko było nie wyczuć fałszu w jego głosie.

Uścisnęli swoje dłonie. Witek nie dał po sobie znać, ale gdy wreszcie się puścili, jego ręka była znacznie bardziej czerwona od dłoni Mieszka.

Jak dzieci w przedszkolu.

– Witaj, Gosiu. – Żerca ominął Mieszka niczym niepotrzebny mebel, podszedł do mnie i cmoknął w policzek.

– Cześć – odpowiedziałam speszona. Uśmiechnął się do mnie ciepło. Następnie odwrócił się do Mieszka, stając w ten sposób pomiędzy nami. Znowu poczułam się wykluczona z towarzystwa. Przesunęłam się za stół, żeby nic mi nie umknęło.

W międzyczasie uśmiech skamieniał na wargach kapłana. Jakimś cudem przypominał teraz niechętny grymas, mimo że kąciki jego ust wciąż się unosiły.

– Wróciłeś do Bielin? – zagadnął żerca.

– Tak, dzisiaj – odparł Mieszko.

– Może usiądziecie? – zaproponowałam i klasnęłam w dłonie, żeby raczyli zwrócić na mnie uwagę.

Kompletnie zignorowali ten gest. Nadal mierzyli się spojrzeniami. Wydawało się, że każdy sprawdza, jak bardzo może rozciągnąć swój kręgosłup, by dodać sobie dodatkowych centymetrów. Wręcz oczekiwałam, że zedrą z siebie koszule i zaczną prężyć przed sobą muskuły.

Turniej na poziom testosteronu właśnie oficjalnie się rozpoczął.

– Zamierzasz dalej uczyć się na wróża? – zapytał Witek. – Musiałbyś kontynuować rozpoczętą praktykę... u mnie.

– Nie. Wiem, że objąłeś to stanowisko, i szanuję to. Mszczuj nauczył mnie wszystkiego, czego potrzebowałam – odpowiedział Mieszko.

Miałam podejrzaną wrażliwość, że chyba po raz pierwszy w życiu ponury władca użył ironii. Nawet zgrabnie mu wyszło!

Jako że zupełnie nie zwracali na mnie uwagi, usiadłam z powrotem w fotelu,

żeby dopić kawę. Z roztargnieniem zaczęłam przyglądać się malwom i ich ciemnoróżowym, mięsistym kwiatom. Może gdy je zetnę i wsadzę do wazonu, to dam radę wmówić Babie Jadze, że po prostu celowo je ścięłam?

Oświeciło mnie. Przecież z ciemnych kwiatów malwy robi się odwar do płukania jamy ustnej i gardła przy przeziębieniach i kłopotach ze śluzówką. Odprężyłam się. Powiem, że potrzebny mi był świeży surowiec na lekarstwo. W to na pewno uwierzy.

Mężczyźni tymczasem wymienili jeszcze kilka uprzejmych, choć z jakiegoś niezrozumiałego mi powodu podszytych niechęcią pytań.

– Widzę, że zaprzyjaźniłeś się z szeptuchą – powiedział Mieszko. – To dobrze, ta kobieta wiele znaczy dla lokalnej społeczności. Gdybyś nie zyskał jej aprobaty, nie miałbyś czego tu szukać.

– Spokojnie. Wiara moich podopiecznych jest silna. Nie potrzebuję niczyjej aprobaty – odparł Witek.

– Uważaj, taka buta może ci zaszkodzić – prychnął Mieszko. – To miejsce jest inne.

Przewróciłam oczami. Skromny się znalazł.

– Odkąd tutaj jestem, nie zauważyłem, by Bieliny znacząco różniły się od innych miejsc.

Na twarzy Mieszka pojawił się uśmiech. Bardzo niesympatyczny wilczy uśmiech. Na jego widok poczułam, jak nawet mnie robi się zimno.

– Dobrze, chłopcy. – Odstawiłam z głośnym hukiem kubek, o mało go przy tym nie tłukąc. O dziwo, udało mi się tym razem zwrócić ich uwagę. – Bardzo się cieszę, że obaj mnie odwiedziliście. Mam dzisiaj mnóstwo roboty, a migrena, z którą walczę od rana, zamiast przechodzić, robi się coraz dotkliwsza. Między innymi dzięki wam.

Spojrzeli na mnie zaskoczeni, zupełnie jakby obaj zapomnieli, że siedzę tuż obok nich. Mieszko był zbity z tropu. Na jego twarzy pojawiła się mina zbolełego psa. Jeszcze nigdy go takiego nie widziałam.

– Niestety teraz muszę was przeprosić. – Posłałam im najśłodszy uśmiech, na jaki było mnie stać, biorąc pod uwagę tępy ból głowy, który zaczął mi doskwierać. – Do widzenia.

– Gosiu, miło było cię zobaczyć – powiedział Witek. – Mam nadzieję, że ból głowy szybko ustąpi. Do zobaczenia.

Podszedł do mnie, pochylił się i ponownie pocałował w policzek. Zupełnie jakby to był nasz stary zwyczaj, który kultywowaliśmy od dawna, a nie od dwóch dni.

Z Mieszkiem się nie pożegnał. Nawet ręki mu nie podał, nie mówiąc o całowaniu.

Mój rosły wojownik przyglądał mi się strapiony. Nie potrafiłam niczego

wyczytać z tego chmurnego spojrzenia.

– Ja też mam iść? – zapytał.

– No... pożegnałam was obu – oświadczyłam twardo. – Mam dzisiaj pół ogrodu do przekopania, a głowa mi pęka.

– Pewnie przez kawę...

– Już nie bądź taki mądry – burknęłam.

Moja twarz złagodniała. Podeszłam do Mieszka i wzięłam w rękę jego dłonie. Były zimne.

– Naprawdę cieszę się, że wróciłeś – powiedziałam szczerze. – Bardzo za tobą tęskniłam. Nawet nie wyobrażasz sobie jak bardzo.

– Ale...?

– Ale muszę sobie kilka rzeczy przemyśleć. Poza tym naprawdę mam sporo roboty. – Skrzywiłam się.

Stałam na palcach i wyciągnęłam się w jego stronę. Pochylił się, ale nie pocałowałam go w usta, chociaż Mokosz mi świadkiem, że mimo bólu głowy najchętniej zdarłabym z niego koszulę. Cmoknęłam go w policzek. Chyba oboje byliśmy tym tak samo zaskoczeni.

On, bo się nie spodziewał, a ja, bo mam aż tak silną wolę!

– Zapraszam cię jutro na herbatę – powiedziałam.

– Bo dzisiaj wieczorem widzisz się z nim? – wycedził.

Sapnęłam zirytowana.

– Nie, nie widzę się dzisiaj wieczorem z Witkiem. Jak chcesz przyjść wieczorem, to przyjdź. Zapraszam.

– W takim razie idę... do domu.

Odwróciłam się i podążyłam za jego spojrzeniem. Przyglądał się zapuszczonemu domostwu nieopodal, którego właściciele podpadli kiedyś Babie Jadze.

Zapowiada się, że nadal będę miała dostęp do czereśni.

Cały dzień walczyłam z łopata. Był to pojedynek o tyle nierówny, że kiedy ja się męczyłam, ona w ogóle nie współpracowała. Miałam wrażenie, że z każdą chwilą coraz bardziej ciąży mi w rękach. Pot spływał ze mnie strumieniami. Po niedługim czasie głowa zaczęła mnie boleć tym razem od słońca, które niemiłosiernie grzało mi w plecy, a dłonie pomimo ochronnych rękawic pokryły się pęcherzami. Twarda, sucha ziemia pełna kamieni stanowiła nie lada wyzwanie. Naprawdę ciężko było w nią wbić metalową łyżkę łopaty.

Gdy słońce zaczęło się chylić w stronę horyzontu, z wysiłkiem wyprostowałam sztywny grzbiet. Zdołałam wykonać ledwie połowę magicznego okręgu. Robotnik był ze mnie zdecydowanie marny. A przecież jeszcze powinnam nasypać do powstałego rowu soli i wszystko przyklepać wykopaną ziemią.

Zdecydowanie trzeba było zacząć wcześniej, a nie zostawiać to sobie na ostatnią chwilę. Jak będę pracować w tym tempie, szeptucha zdąży wrócić, zanim skończę. Już widzę jej minę pełną dezaprobaty.

Poczułam na plecach ciepły powiew suchego powietrza. Westchnęłam z rozkoszą. Odpowiedział mi chichot.

– Suchowiej? – Odwróciłam się.

Zobaczyłam niskiego chłopaczka z rozwianym włosiem. Pokłonił mi się w pas, nieomal zamiatając czupryną ziemię.

– Do usług! – wykrzyknął.

– Co słyhać? – zagadnęłam uprzejmie, rada z przerwy w pracy.

– Przyszedłem cię poinformować, że znaleźliśmy Radka – oświadczył.

Jego buzia spoważniała. Pociągnął zadartym nosem, jakby miał katar. Tylko że istoty nadprzyrodzone nie chorowały. Poczułam, jak łopata wysuwa mi się spomiędzy skostniałych dłoni. Styliśko z głuchym dźwiękiem uderzyło o ziemię.

– Co się z nim stało? Wszystko dobrze? – zapytałam głucho.

Pokręcił głową.

– Chodź za mną.

– Ale...

– Chodź. Nie zadawaj pytań. Nie ma na nie odpowiedzi. Sama się przekonasz.

– Nic więcej mi nie powiesz?

– Nie.

Ściągnęłam różowe rękawice. Moje dłonie pod spodem były spocone i zaczerwienione. W kilku miejscach skóra popękała, a z bąbli sączył się płyn surowiczny. Przez chwilę bezmyślnie przyglądałam się kwiatowym wzorom zdobiącym długie mankiety rękawic. Dostałam je w prezencie od Baby Jagi w czasie, gdy panicznie bałam się tężca. Cieszyłam się z nich jak dziecko, chociaż

nie były najpiękniejsze i gdybym pokazała się w nich gdziekolwiek publicznie, na pewno wzbudziłyby szereg złośliwych komentarzy. Ja jednak je uwielbiałam.

Bąble na dłoniach powoli się zasklepiały, a z rano przestawało się sączyć. Przyspieszone gojenie, mój prezent od kwiatu paproci, znowu zadziało.

Odetchnęłam głęboko i ruszyłam za chmurnikiem. Nie miałam powodu, żeby dłużej grać na czas. Musiałam stawić czoła temu, co chciał mi pokazać.

Szliśmy w milczeniu. Minęliśmy chatę szeptuchy i weszliśmy na łąkę. Sucha trawa szarpała mnie za czarne legginsy. Kilka główek ostu wgryzło się w materiał, ale nie zwracałam sobie głowy odczepianiem ich.

Zaczęłam się zastanawiać, czy tylko ja widzę Suchowieja. Jeśli nie wierzy się w istoty nadprzyrodzone, to one się nie ukazują. A w każdym razie tak powiedziała mi kiedyś południca. Ciekawe, czy w oczach niektórych kroczyłam przez łąkę sama, niosąc w dłoni niepotrzebne rękawice?

Weszliśmy do lasu. Szybko zrozumiałam, gdzie prowadzi mnie chmurnik. Ścieżka wiodła na cmentarz.

Zmartwiałam. Przecież szukałam tam Radka i nie natrafiłam na żaden jego ślad. Coś przegapiłam?

Bez słowa mijaliśmy kolejne groby. Miałam wrażenie, że duchy zmarłych przyglądają nam się w ciszy. Oceniają mnie.

Szare kamienie rozrzucone na gołoborzu nie miały w sobie teraz dla mnie nic romantycznego. Nie skrzyły się księżycowym blaskiem, nie wydobywały z pamięci miłych wspomnień pierwszej nocy spędzonej z Mieszkiem. Przywodziły na myśl wyłącznie przerażającego żmija. Przypominały cmentarzysko kości nawiedzane przez krwawe duchy.

Razem z Suchowiejem weszliśmy na kamienie. Założyłam rękawice. Brakowało mi gracji, którą uosabiał chmurnik. Przeskakiwał zgrabnie nawet po niebezpiecznie wykrzywionych głazach, za każdym razem bezbłędnie łapiąc równowagę. Szybko mnie wyprzedził, tak że widziałam przed sobą jedynie jego drobną sylwetkę naprowadzającą mnie na właściwą drogę.

Często musiałam podpierać się rękoma. Zmęczone pracą mięśnie zaczęły wołać o odpoczynek. Skóra się zagoiła, ale zakwasy zostały. Kilka razy boleśnie wykręciłam prawą nogę. Poczułam, że trampek robi się coraz ciaśniejszy, gdy opuchlizna zaczęła otaczać moją kostkę. Zaklęłam pod nosem.

Nagle usłyszałam pieśń żałobną. Niosła się echem nad gołoborzem. Zamarłam w połowie ruchu, przez co o mało nie wybiłam sobie zębów, gdy stopa nagle straciła oparcie.

– Jesteśmy już blisko – powiedział Suchowiej, pojawiając się nagle obok mnie.

Podał mi dłoń i pomógł wstać. Jego ciepły wiatr delikatnie pchnął mnie w plecy, zupełnie jakby usiłował dodać mi odwagi.

Słońce skryło się za horyzontem. Widoczność pogarszała się z każdą chwilą. Nie byłam pewna, jak długo zdołam jeszcze iść bez zrobienia sobie większej krzywdy.

Pieśń robiła się coraz głośniejsza, im bliżej byliśmy drugiego końca gołoborza. Wiedziałam, że obejście formacji skalnej dookoła zajęłoby nam znacznie więcej czasu niż pokonanie jej w poprzek, ale myślałam, że zaraz ducha wyzionę.

Poza tym świetnie zdawałam sobie sprawę z tego, że nie wolno tu było wchodzić, więc gdyby strażnik leśny niewierzący w demony na nas spojrzął, to niestety tylko ja dostałabym mandat za niszczenie przyrody.

Zupełnie jakby kamienie można było zniszczyć.

Chór głosów zawodził miarowo, prosząc bogów o łaskę i odpowiedzi. Żal zawarty pomiędzy wersami porywał za serce. Od samego początku wiedziałam, że nie powinnam spodziewać się niczego dobrego, ale dopiero, gdy usłyszałam pełen łez lament, nadzieja w moim sercu ostatecznie zgasła.

Zeszliśmy z kamieni i zagłębiliśmy się w rozciągające się za nimi lasy. Odetchnęłam z ulgą, stawiając stopy na płaskim podłożu.

Pomiędzy sędziwymi drzewami stała grupa osób. Część z nich znałam. Dostrzegłam zapłakaną Sławę, siostry wije i Żywię, która pobladła na mój widok, ale nie zająknęła się w śpiewie. Jedyne nie spuszczała ze mnie wzroku, zupełnie jakby spodziewała się, że przyszedłam tu wyłącznie po to, by się na niej zemścić.

Razem z Suchowiejem stanęliśmy obok i przyłączyliśmy się do pieśni. Uniosłam głowę i spojrzałam w górę. Słońce zdążyło już zejść za horyzont. Jasna tarcza księżyca i bezchmurne niebo oświetlały nas trupim blaskiem. Zrozumiałam, że to chmurnik zadbał, by pogoda była idealna.

Pieśń stawała się coraz cichsza, zabrzmiała ostatnia zwrotka. W końcu wszyscy przestali śpiewać. Istoty rozstały się przede mną. Podeszłam bliżej. Dopiero teraz zauważyłam Radka. Jego ciało leżało na ziemi niczym porzucona lalka. Las i żyjące w poszyciu żyjątka zajęły się nim bardzo szybko. Nie byłam pewna, ale wydawało mi się, że dzikie zwierzęta także już go odwiedziły. Poczułam, jak żołądek wykręca mi fikołka w brzuchu. Niebawem miały zostać z niego same kości.

Nie mogłam oderwać spojrzenia od jego szczątków tak źle potraktowanych po śmierci. Moje gardło zacisnęło się mocno, blokując dostęp powietrza do płuc.

– Czemu ją tu przyprowadziłeś? – usłyszałam pełen niechęci głos Tomiry.

– Znała go i była jego przyjaciółką. Ma prawo tu być – powiedział Suchowiej. – Zawsze wypowiadał się o niej z szacunkiem. Chciałby, aby go pożegnała.

Nie zwracałam na nich uwagi, nie obchodziło mnie, o czym rozmawiali. To nie było teraz ważne. Podeszłam bliżej ciała Radka i upadłam na kolana. Po moich

policzkach potoczyły się łzy. Nie mogłam przerwać histerycznego płaczu. Poczułam, jak ktoś klęka obok mnie.

– Cicho już, cicho – usłyszałam głos Sławy. Zaczęła mnie głaskać po głowie.
– Wszystko będzie dobrze. Nic już nie możesz zrobić. Jest teraz w Nawi. Jest szczęśliwy.

Złapałam się za gardło, by nie wydostał się z niego zwierzęcy skowyt.

Tomira przestała protestować. Uklękła obok mnie, jakby i jej zabrakło sił do stania, i wbiła puste spojrzenie w szczątki płanetnika. Położyła rękę na moim ramieniu.

– To żmij? – zapytałam, gdy już mogłam wydusić z siebie choć jedno słowo. Wija zabrała dłoń.

– Nie – odpowiedziała.

Przetarłam oczy ramieniem. Demony i boginki stały dookoła. Większości z nich nie znałam i nie chciałam poznać. Wpatrywały się we mnie głodnymi oczami. Nie zdziwił ich mój widok, więc nie byłam dla nich obca. Zadrżałam na myśl o niebezpieczeństwie, które mogło mi grozić, jeśli uznają, że im przeszkadzam lub stanowią zagrożenie.

Bogowie, miałam nadzieję, że nie winili mnie za to, co się stało.

– Kto mu to zrobił? – zapytałam.

– Ja dzisiaj znalazłam go martwego – odezwała się nieznana mi kobieta. – Leżał tutaj. Nie ruszałam go.

Miała bladą skórę i zielonkawe włosy. Domyśliłam się, że to jedna z sióstr rusalek mojej Sławy.

– Zapytaliśmy leszego – odezwała się wila Borka. – Leszy wie wszystko, co dzieje się w jego lesie.

Patrzyłam na nią wyczekująco. W jej oczach zalśniły łzy.

– Leszy powiedział, że zrobił to człowiek, mężczyzna.

Mimowolnie się rozluźniłam. Gdyby opiekun lasu poinformował ich, że maczała w tym palce kobieta, od razu stałabym się główną podejrzaną, chociaż nie miałam z tym nic wspólnego.

– Co to za mężczyzna? Dlaczego to zrobił? – drążyłam.

– To i tak teraz nieważne. Nie zwróci Radkowi życia – stwierdziła Sława.

– Właśnie, że jest ważne! – zaprotestowałam. – A co, jeśli jeszcze kogoś skrzywdzi? Przecież pan Dareczek także zginął. Ktoś na was poluje!

Na twarzach istot pojawiło się zaniepokojenie.

– Gosiu, leszy nas nie lubi, nie pomaga nam. Uważa, że mieszkamy w jego lesie i tylko przeszkadzamy – wyjaśniła moja przyjaciółka. – Z trudem zdołaliśmy się od niego dowiedzieć, że krzywdę uczynił mu mężczyzna. Leszy powiedział nam to tylko dlatego, że płanetnika jako jedyne z nas cenił. Powiedział, że Radek porządkował gołoborze, by nikt nie zauważył szczątków żmija. Smok był bardzo

duży, zajęło mu to wiele dni. Nie zdążył już wrócić do domu, bo spotkał na swojej drodze tego mężczyznę.

Ręce zaczęły mi się trząść. Nie mogłam pojąć złościwości opiekuna lasu. Tylko dlatego, że nie lubił boginek, narażał je na niebezpieczeństwo. Przypomniałam sobie ostrzeżenia szeptuchy. Ona też miała z leszym na pieńku. Nawet Mieszko się go obawiał.

Może i ja powinnam?

– Czyli stało się to po Nocy Kupały – mruknęłam do siebie, gorączkowo zbierając wszystkie elementy układanki.

– Co się stało, to się nie odstanie – stwierdziła filozoficznie Tomira i wstała, otrzepując spodnie na kolanach. – Pozostaje nam czekać, aż bogowie wezwą nowego planetnika. On zajmie się pogodą. Nie ma co tracić tutaj czasu.

Następnie odwróciła się na pięcie i odeszła w mrok. Jej siostra posłała mi przepaszający uśmiech i podążyła jej śladem. Niebawem obok ciała Radka zostałyśmy tylko ja i Sława. Nawet Suchowiej zniknął, a na niebo nadpłynęły chmury, przykrywając blask księżyca.

– Co z ciałem? – zapytałam przyjaciółkę. – Trzeba je pochować.

– Pochowa je las. Już zaczął – odparła ze smutkiem.

– Nie możemy go tak zostawić! – zaprotestowałam.

– Jego już nie ma, to tylko skorupa. Mokosz się nim zajmie. Chodź, odprowadzę cię do domu – zaproponowała rusałka.

– Ty mnie? To raczej ja powinnam ciebie pilnować...

– A skąd wiesz, że ten mężczyzna nie zapoluje na szeptuchę? Ludzkiego planetnika zabił bez skrpułów.

Gdy do domu szeptuchy zostało jeszcze kilkanaście metrów, Sława stanęła. Mocniej ścisnęła moją dłoń, zmuszając mnie tym gestem do zatrzymania się w miejscu. Dla dodania sobie otuchy trzymałyśmy się za ręce przez całą drogę. Wyswobodziła się z mojego spoconego uścisku. Od razu zaczęło mi brakować jej dotyku.

– Tu cię zostawię – oznajmiła, patrząc ponad moim ramieniem na pogrążony w ciemnościach dom.

– Nie chcesz zostać u mnie na noc? – zaproponowałam.

– Nie, nie. – Pokręciła głową.

– Na pewno?

– Gosiu, bardzo dziękuję ci za propozycję. – Uśmiechnęła się. – Naprawdę wiele dla mnie znaczy, ale muszę jeszcze coś dzisiaj zrobić. Poza tym jutro poniedziałek i trzeba iść do pracy.

Wydała mi się bardzo zmęczona. Pod jej oczami pojawiły się ciemne kręgi, skóra była jeszcze bledsza i jakby poszarzała. Zaczęłam się zastanawiać, czy gdy widziałyśmy się ostatnio, jej policzki były tak samo zapadnięte.

– Sławo, dobrze się czujesz? Mogę ci jakoś pomóc? – zapytałam.

– Kochana, wszystko jest okej. Po prostu sprawy ostatnio się skomplikowały. Dawno nikt na nas nie polował. Na dodatek ten sukinsyn dobrze się ukrywa. Wierz mi, wszystkie mamy oczy szeroko otwarte, ale wciąż nie możemy go namierzyć.

– A co zrobicie, gdy go znajdziecie?

– Jak to co? Oddamy jego szczątki Mokosz – wyjaśniła niefrasobliwie.

– Myślisz... myślisz, że Radek mógł temu komuś uczynić jakąś krzywdę? – zapytałam. – Że ten ktoś zabił go z zemsty?

– Szczerze wątpię. Radek był na to za głupi.

Miałam wrażenie, że wypowiada na głos moje myśli. Tak samo postrzegałam sympatycznego planetnika.

– To czym zawinił? – jęknęłam.

– Nie wiem. Muszę już iść. Uważaj na siebie proszę, dobrze? – W jej głosie usłyszałam napięcie.

– Przecież chyba już nic mi nie grozi. Leszy jasno oświadczył, że mordercą jest mężczyzna – zaprotestowałam słabo.

Sława pokręciła głową.

– Niby tak, ale pamiętaj, że my jesteśmy pamiętliwym ludem. A wszystkie nasze kłopoty pojawiły się, gdy przybyłaś do Bielin. Uważaj na niektórych z nas. Poza tym już ci mówiłam. Skoro zabił planetnika, to dlaczego miałby nie zabić szeptuchy?

Miałam ochotę gorąco zaprotestować, ale nie zdążyłam. Stała naprzeciwko mnie. Uśmiechnęła się do mnie uspokajająco, a następnie pocałowała mnie w czoło. Poczułam zapach lasu i polnych kwiatów. Ból pleców i głowy zniknął, jak ręką odjął.

Byłam wypoczęta, zupełnie jakbym dopiero wstała z łóżka.

– Och, no proszę. Masz jakieś moce poza zsyłaniem na mężczyzn żądz. – Zaśmiałam się. – Nie spodziewałam się.

– Ależ nie musisz dziękować, że dzięki mnie nie pachniesz już jak robot, który cały dzień kopał rowy – zachnęła się.

Na końcu języka miałam odpowiedź, że w sumie to pachniałam adekwatnie do tego, co robiłam.

– Uważaj na siebie – szepnęła.

W następnej chwili rozwiała się na wietrze. Z wrażenia upuściłam rękawice. Na Welesa, gdzie ona się podziała? Rozejrzałam się dookoła, ale nie było po niej śladu. W powietrzu unosił się jedynie delikatny zapach kwitnących drzew i skoszonej trawy.

– Cholerne rusalki – mruknęłam, a następnie się poprawiłam: – Cholerne boginki i bogowie.

Doczłapałam do domu, czując się tak, jakby na moich barkach znajdował się jakiś ciężar uniemożliwiający mi głębokie oddychanie. Nie mogłam przestać myśleć o Radku. Niewiele brakowało, a podzieliłabym jego los, tylko że moimi katami byłiby bogowie.

Ruch przed wejściem do willi Baby Jagi wyrwał mnie z zamyślenia. Na progu siedział Mieszko. Jego płowe włosy lśniły w świetle małej lampki powieszanej nad drzwiami. Mimo że miał na sobie jedynie sprane dżinsy i ubrudzoną pyłem ciemnogrnatową koszulkę, wyglądał jak z obrazka.

Zerwał się na mój widok.

– Och, cześć – odezwałam się zaskoczona.

– Przyszedłem – powiedział.

– Widzę...

Przeciągnął się. Zauważyłam, że znowu jest naburmuszony niczym nastolatka. Chyba nie spodobało mu się, że nie ma mnie w domu, choć powiedziałam, że może przyjść. Może myślał, że w tym czasie spotykam się z Witkiem?

Taki stary, a taki głupi.

Gdy i mnie oświeciła mała żaróweczka, spochmurniał jeszcze bardziej.

– Gosiu, coś się stało? Płakałaś? – Dotknął mojego ramienia tuż poniżej rękawa koszulki.

Kiedy poczułam jego palce, od razu zrobiło mi się lepiej. Zapomniałam już, jak bardzo brakowało mi ciepła jego skóry. Poprzednio dotknęłam go tylko przez

chwilę, całując w policzek. Tamto muśnięcie nie zdołało rozbudzić wspomnień, które teraz zalały mnie obrazami, dźwiękami i zapachami.

– Widzę, że płakałaś. – Odwrócił moją twarz do światła i przejechał opuszkami palców po policzkach, na których zaschły łzy. – O co chodzi?

Zacisnął usta w kreskę. Mięśnie na jego szczęce napięły się, gdy czekał na odpowiedź. Przez chwilę byłam nieomal pewna, że gotów byłby rzucić się do walki, byle tylko naprawić krzywdy, które mnie spotkały.

– Aż tak widać, że płakałam? – Skrzywiłam się.

– Widać. – Kiwnął głową.

Nie potrafiłam szlochać stylowo jak bohaterki filmów. Nigdy nie wyglądałam uroczo. Moje powieki niemal od razu puchły, a spojówki robiły się czerwone jak u królika. Poza tym zawsze produkowałam nadmierną wręcz ilość smarków. Jak płukać kanaliki łzowe, to na całego!

– Co się stało? – szepnął.

– Wejźmy do środka – zaproponowałam, usiłując grać na czas.

Wyswobodziłam się z jego rąk i schyliłam do doniczki z pelargoniami. Za nią leżało metalowe pudełeczko, w którym Baba Jaga trzymała zapasowy klucz. Rękawice do pracy w ogrodzie rzuciłam na trawnik.

Dom pogrążony był w ciemnościach. Nie mogłam się powstrzymać przed zapaleniem prawie wszystkich świateł w drodze do kuchni. Mieszko w milczeniu podążał moim śladem. Nie skomentował mojego zachowania.

– Chcesz coś do picia? – zaproponowałam sztucznie wesołym głosem. – Mogę zaparzyć herbaty.

– Tylko jeśli robisz sobie – odparł.

Kiwnęłam głową wdzięczna za czas, który mi podarował tą odpowiedzią. Podeszłam do dwukomorowego zlewu. Był pusty, bo rano zmobilizowałam się, żeby umyć garnki.

Spojrzałam na swoje dłonie. Pomimo rękawic ochronnych za paznokciami miałam czarną ziemię. Porządnie je namydliłam i opłukałam chłodną wodą. Poczułam się trochę lepiej.

Zaczęłam się krzątać po kuchni w poszukiwaniu kubków i torebek herbaty, a Mieszko usiadł przy kuchennym stole. Ręce oparł na kraciastym obrusie. Nie spuszczał ze mnie wzroku. Odetchnęłam głęboko, ciesząc się, że nie jestem w domu sama, że jest ze mną.

Po chwili woda bulgotała już w metalowym czajniku, który postawiłam na kuchni. Dokręciłam gwizdek i spojrzałam na Mieszka.

Odchrząknęłam dla dodania sobie otuchy.

– Pamiętasz Radka? – zapytałam.

Pokręcił głową.

– Był planetnikiem. Taki ogolony na zapałkę, wysoki – podpowiedziałam.

– Pamiętam. Tańczył z tobą w Jare Święto na festynie.

Przypomniałam sobie, jak mnie wtedy obmacywał. Radek nigdy nie przegapił okazji, żeby złapać dziewczynę bezkarnie za pośladek. Mieszko uratował mnie wtedy od jego wątpliwie przyjemnego towarzystwa. Wielki władca, choć uparcie twierdził, że nie tańczy, okazał się dobrym partnerem.

– Radek nie żyje – oświadczyłam.

Zmarszczył brwi i wstał. Podeszedł do mnie i położył mi rękę na ramieniu. Delikatnie odsunął mnie od kuchenki, o którą się opierałam. Najwyraźniej obawiał się, że nieroztropnie przypiekę sobie plecy o płomyk.

Jaga miała czajnik elektryczny, ale mimo to uważała, że tradycja jest najważniejsza, i uparcie używała starego metalowego imbryka z gwizdkiem.

Woda bulgotała w nim coraz zwawiej.

– Co się stało? – zapytał. – Opowiedz mi.

– Ktoś go zamordował – wyszeptalam, bojąc się podnieść głos. – Nie wiadomo kto, ale zabił chyba też pana Dareczka.

– Utopca?

– Tak.

– Byli demonami – powiedział bardzo powoli i ostrożnie.

Nie chciał mnie chyba zdenerwować. Wiedziałałam, jaki ma stosunek do istot nadprzyrodzonych. Sam na nie polował przez większość swojego życia. Spora część boginek i demonów miała coś na sumieniu, kryształowi nie byli, więc trochę racji w tym miał. Niemniej jednak jego zachowanie nie zasługiwało w żadnym razie na pochwałę.

– Pan Dareczek tak, ale Radek był człowiekiem. Wplątał się w to wszystko bez swojej winy – zaoponowałam. – Radek nikomu nie zrobił krzywdy. On nas bronił przed zmijami. Nigdy nie skrzywdził człowieka.

Potarłam dłońmi twarz.

– Radek był człowiekiem – powtórzyłam bezradnie. – Coś takiego nie powinno go spotkać. Nigdy nie chciał być planetnikiem. Zmuszono go do tego.

– Wiadomo, kto to zrobił? – zapytał rzeczowo.

Odczułam ulgę, gdy zadał to pytanie. Chciałam mieć pewność, że to nie on, że mój Mieszko nie miał z tym żadnego związku. Zwłaszcza że widziałam, iż był zdolny do morderstwa bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

– Nie. Leszy powiedział, że to człowiek, mężczyzna. Nic więcej nie wiadomo – odparłam.

– Rozmawiałaś z leszym? – zaniepokoił się.

– Nie, nie ja. Sława i inne boginki go zapytały.

Mieszko się rozluźnił. Przyciągnął mnie do siebie. Przytuliłam się do jego piersi. On oparł brodę na czubku mojej głowy. Przymknęłam oczy, słysząc mocne bicie jego serca.

Był spokojny. Część jego spokoju zaczęła udzielać się i mnie.

Chciałam, żeby ta chwila trwała jak najdłużej, żebym nie musiała wracać do tego strasznego świata. Pragnęłam zostać w bezpiecznym kokonie jego ramion.

– Nie wiem, kto to może być – powiedział po chwili namysłu. – Jest w Królestwie kilka osób, które polują na demony i potwory. Myśliwi. Robią to z poczucia obowiązku, z chęci zemsty albo dla pieniędzy. Może jeden z nich przyjechał w okolice Kielc?

– Dlaczego go zabił? On nic nie zrobił!

Poczułam, jak w moich oczach znowu wzbierają łzy. Powoli zaczęły wsiąkać w podkoszulek Mieszka.

– Nie wiem, Gosiu.

– Znasz tych ludzi? Tych... myśliwych?

Bicie jego serca przyspieszyło.

– Tak.

– Zabiliby planetnika? Przecież muszą wiedzieć, że planetnik jest człowiekiem.

– Zabiliby go. To myśliwi.

Mocniej się do niego przytuliłam. Jego dłonie powoli głaskały mnie po plecach. Pieszczota była bardzo przyjemna, ale nie mogłam się na niej skupić. Cały czas miałam przed oczami ciało Radka.

– To mordercy – mruknęłam.

– Ty jesteś bezpieczna – szepnął. – Szeptuchy nie skrzywdzą.

– Planetnik też był człowiekiem, a nie mieli oporów.

– Ciebie nie skrzywdzą. – W jego głosie brzmiała pewność.

– Nie o siebie się martwię.

Westchnął. Poczułam, jak kręci głową.

– Tęskniłem za tobą – stwierdził.

Nie byłam pewna, czy nie usłyszałam nutki zdziwienia, jakby nie mógł uwierzyć, że jest zdolny do odczuwania tęsknoty.

Z całych sił ścisnęłam go w pasie. Jęknął i się zaśmiał.

– Ja za tobą też – powiedziałam.

Wziął moją twarz w ręce i pocałował w czoło. Spojrzeliśmy sobie głęboko w oczy. Gładził moje policzki palcami. Poczułam, jak moje serce zaczyna tłuc się o żebra, zupełnie jakby chciało się wydostać na wolność. Ciało dobrze pamiętało jego dotyk i za nim tęskniło.

Moja urażona duma słabo zaprotestowała, ale uczucia wzięły górę. Byłam skłonna wybaczyć mu wszystko, byle tylko był teraz obok, by nie zabierał dłoni, by nie przestawał patrzeć na mnie w ten sposób.

Lewa dłoń Mieszka zsunęła się z mojego policzka. Odgarnął mi włosy na plecy i delikatnie musnął oparzenie pod lewym uchem. Pochylił się, jego ciepły

oddech na mojej szyi sprawił, że dreszcze przebiegły mi po plecach. Przymknęłam oczy. Jego usta dotknęły delikatnie chłodnej skóry. Oddech uwiązał mi w piersiach. Wiedziałam, że poczuł, jak szaleńcze tętno uderza w ściany naczyń krwionośnego. Jeszcze raz musnął wargami bliznę. Skubnął zębami skórę. Jęknęłam.

Odsunął się i spojrzał mi w oczy. Uśmiechnął się lekko na widok mojej miny. Spodobało mu się to, co widział. Uniósł moją prawą dłoń i wykręcił ją do siebie, by zobaczyć nadgarstek. Chciałam ją wyrwać, ale mi nie pozwolił. To oparzenie także pocałował.

Jego ciepły oddech sprawił, że na chwilę blizna zapiekła, chociaż nie powinna. Jakby Swaróżyc był zazdrosny.

– Nigdy mu ciebie nie oddam – oznajmił cicho. – Jeśli będę musiał, to poruszę niebo i ziemię, ale nigdy mu ciebie nie oddam.

Nie byłam pewna, czy chciał zapewnić o tym mnie, czy raczej samego siebie. Jego głos podczas składania przysięgi był spokojny, ale wyczułam, jak pod powierzchnią czai się niewypowiedziana groźba. Przestraszyłam się. Nie chciałam, by Swaróżyc zrobił mi krzywdę. Nie jemu. Mógł parzyć moją skórę, ile razy tylko chciał, mógł żądać ode mnie spełnienia każdej obietnicy, ale nie zamierzałam pozwolić mu skrzywdzić Mieszka.

Na jego twarzy pojawił się chłodny uśmiech, zupełnie jakby już wyobrażał sobie, co robi z ognistym bogiem, jeśli ten tylko wyciągnie po mnie ręce. Znowu przypominał dawnego Dagome.

Wspięłam się na palce i pocałowałam go w usta, by zetrzeć ten uśmiech. Nie chciałam, by gościł na jego twarzy.

Wargi miał miękkie i ciepłe, tak jak zapamiętałam.

Za naszymi plecami zaczął gwizdać czajnik. Wysoki dźwięk wibrował w uszach. Mieszko sięgnął ponad moim ramieniem i przekręcił przełącznik. Obróciliśmy się dookoła, a ja oparłam się pośladkami o brzeg stołu. Przysiadłam na blacie, pociągając za obrus. Rustykalna lampa z żeliwnymi okuciami wisząca nad stołem wyostrzyła nasze rysy. Jasne rzęsy Mieszka rzuciły na jego policzki długie cienie. Jasnobłękitne źrenice pociemniały. Zamieniły się w dwa jeziora, w których chciałam zatonać.

Uchyliłam usta i przyciągnęłam go bliżej. Wsunął dłoń w moje włosy na karku i zaczął delikatnie masować szyję. Westchnęłam. Jego usta przesunęły się na mój policzek, musnęły skroń, by ponownie znaleźć się tuż obok ucha. Zadrżałam pod wpływem jego ciepłego oddechu.

Tak bardzo pragnęłam jego dotyku.

Druga dłoń Mieszka wsunęła się pod moją bluzkę. Ciepłe palce musnęły moje biodro, a następnie przesunęły się na zebra. Objął miseczkę stanika.

Poczułam, jak moja krew zamienia się w ogień. Chciałam, żeby Mieszko był

mój, tylko mój. Objęłam go w biodrach nogami, zatopiłam dłonie we włosach, przyciągając go jeszcze bardziej.

– Nie zostawiaj mnie więcej – szepnęłam.

– Nie zostawię – odpowiedział prosto do mojego ucha i przygryzł płatek.

Moje dłonie zsunęły się, pieszcząc jego kark, pociągnęłam za dekolt koszulki i szarpnęłam ją niecierpliwie. Puścił mnie i ściągnął ją przez głowę. Materiał upadł na podłogę. Zachwyciłam się jego gładką skórą, która w żółtym świetle nabrała odcienia złota. Położyłam dłonie na potężnej piersi. Były znacznie bledsze, jaśniejsze. Obrysowałam palcem bliznę nad sercem. Rana sprzed tysiąca lat nie pasowała do tego idealnego ciała przypominającego rzeźbę antycznego herosa.

Uniosłam wzrok. Mieszko wpatrywał się we mnie w napięciu. Błękitne oczy z całą pewnością nie były teraz pełne lodu. Nie widziałam tam tylko pożądania.

Poczułam się nieswojo pod wpływem tego spojrzenia.

– Jesteś doskonały – szepnęłam.

Zdziwił się.

– Nie rozumiem.

Przesunęłam palcami po jego piersi i twardym brzuchu. Ogarniał mnie coraz większy wstyd. Mieszko mógł mieć każdą kobietę. Mógł wybrać piękniejszą ode mnie, mądrzejszą... Silny, przystojny, prawdziwy książę z bajki. Szkoda tylko, że mnie bliżej do Kopciuszka niż do księżniczki.

– Ja taka nie jestem – odpowiedziałam w końcu.

Uśmiechnął się uspokajająco. Delikatne zmarszczki w kącikach jego oczu pogłębiły się. Poglądził mnie po policzku.

– Dla mnie jesteś – rzekł.

Nie wyczuwałam kłamstwa w jego głosie, ale ciężko było mi w to uwierzyć.

– Gdy pierwszy raz cię zobaczyłem, wtedy na zakurzonej drodze, zmęczoną i zasapaną, wiedziałem już, że nie jesteś zwykłą kobietą. Wiedziałem, że jeśli pozwolę sobie zbliżyć się do ciebie, to nie będę mógł odejść.

Miałam ochotę parsknąć śmiechem. Wciąż byłam zażenowana tym, jak duże wrażenie wtedy na mnie zrobił. Plotłam same głupoty, kiedy jechaliśmy furmanką do Baby Jagi.

Pocałował mnie i wyszeptał do moich ust:

– Życie obok ciebie bez możliwości dotknięcia było najgorszą torturą. Wtedy w leśniczówce polowanie na wąpierzka było dla mnie pretekstem, żeby być obok ciebie. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak trudno było mi utrzymać ręce przy sobie.

Zsunęłam się ze stołu i wyciągnęłam w jego stronę dłoń. Moje drobne palce zniknęły w jego uścisku. Kciukiem zaczął masować delikatną skórę.

– Chodź za mną – powiedziałam. – Ale nie myśl sobie, że już nie jestem zła, iż tak długo cię nie było. Nie zapomnę tego.

Gdy wychodziliśmy z kuchni, zgasiłam za nami światło. Teraz już się nie

bałam.

Weszliśmy do mojej sypialni. Zapaliłam lampkę nocną i zasłoniłam okno. Mieszko podszedł i objął mnie, gdy stałam do niego tyłem. Przysunął się tak blisko, że poczułam na pośladkach jego biodra. Dłońmi objął mnie w talii, jego ręce wślizgnęły się pod ubranie. Musnął palcami brzuch w okolicy pępka. Zaczął zataczać dookoła niego kręgi. Poczułam, jak na mojej skórze pojawia się gęsia skórka.

Przytulił twarz do moich włosów.

– Chcę cię rozebrać – mruknął niskim głosem. – Ledwie mogę powstrzymać się przed zerwaniem z ciebie ubrań.

Odwróciłam się w jego objęciach i patrząc mu prosto w oczy, uniosłam do góry ręce, by mógł oswobodzić mnie z bluzki. Następnie sięgnęłam do zapięcia stanika i zsunęłam go z piersi. Moje włosy były na tyle długie, by zasłoniły nagość. Bielizna upadła cicho na podłogę.

– Jesteś piękna.

W jego oczach zobaczyłam zachwyt. Patrzył na mnie tak, jakby widział mnie pierwszy raz. Poczułam, że płonę.

Ukucnął przede mną i szybko pozbawił mnie reszty ubrań. Złapałam go za pasek od spodni, nie chcąc pozostać dłużną.

Gdy już nic nas od siebie nie oddzielało, przytuliliśmy się do siebie spragnieni dotyku nagiej skóry. Całowaliśmy się coraz śmieiej, poddając się pożądaniu. Nagle Mieszko objął mnie w talii, uniósł bez trudu i położył na pościeli. Zaśmiałam się zaskoczona.

Moje włosy rozsypały się na poduszce. Położył się obok mnie. Przyciągnęłam go do siebie, żeby był bliżej. Objęłam go udami w biodrach.

Tym razem to on jęknął.

– Jesteś mój – szepnęłam, tak jak on dzisiaj, gdy składał obietnicę.

W sypialni panował przyjemny półmrok. Zastona nie była na tyle gruba, żeby całkowicie odciąć nas od nieśmiałego światła poranka. Przeciągnęłam się i ziewnęłam.

Uchyliłam powieki, gdy po policzku połechtaly mnie włosy zdecydowanie nienależące do mnie. Zdałam sobie sprawę, że się uśmiecham. To była moja pierwsza spokojna noc od Nocy Kupały. Pierwsza noc, w której nie musiałam uciekać, a także pierwsza pozbawiona wizji.

Pomimo że usnęliśmy grubo po północy, czułam się wypoczęta i szczęśliwa, nawet rozpoczynający się właśnie poniedziałek nie był mi straszny!

Skóra jeszcze mrowiła mnie od pieszczot i pocałunków. Zarumieniłam się do swoich wspomnień.

Spojrzałam na mężczyznę wciąż śpiącego obok mnie. Leżał na brzuchu, a skotłowana kołdra zasłaniała go od pasa w dół. Nie widziałam jego twarzy, wtulał ją w poduszkę, mogłam podziwiać jedynie grę światła w jego pszenicznych włosach.

Nie mogłam się powstrzymać. Wydawał mi się taki nierzeczywisty. Podparłam się na łokciu i sięgnęłam w jego stronę, by dotknąć pleców. Twarde mięśnie wyraźnie rysowały się pod skórą. Był obok mnie. Naprawdę był tuż obok, dosłownie na wyciągnięcie ręki. Przesunęłam opuszkami palców po jego ramieniu, by potem zsunąć je w dół pleców wzdłuż linii kręgosłupa.

Mruknął coś niewyraźnie i ziewnął. Cofnęłam dłoń zawstydzona. Zaspany odwrócił się w moją stronę. Położył policzek na lewym ramieniu i otworzył oczy.

Pościel zsunęła się niżej.

Na jego twarzy nie było nawet śladu po wstydzie. Ja za to przytuliłam kołdrę do piersi, ukrywając przy nim to, co i tak już widział, dotykał i smakował tej nocy.

– Już nie śpisz? – zapytał.

– Przepraszam, nie chciałam cię obudzić – speszyłam się. – Śpij dalej. Jeszcze wcześniej.

– Chodź do mnie.

Przyciągnął mnie do siebie. Jego prawa ręka wsunęła się pod pościel i odrzuciła ją w dół, by nic nas od siebie nie oddzielało. Leżeliśmy naprzeciwko, stykając się nosami. Jego dłoń przesunęła się z mojego ramienia, po wcięciu w tali, by spocząć na biodrze. Pocałował mnie i zacisnął delikatnie palce.

Wargi Mieszka były gorące tak samo jak dłoń, która przesunęła się na mój pośladek. Jego biodra zaczęły napierać na moje. Przesunęłam paznokciami po jego złotej skórze, wydobywając z jego piersi pomruk zwierzęcego pożądania.

Pchnął mnie na plecy i wsparł się nade mną. Objęłam go w pasie. Poczułam, jak jego dłoń sunie po moim biodrze i wślizguje się pod udo. Zmusił mnie do

uniesienia nogi.

Jego palce były tak gorące. Jęknęłam.

Otworzyłam oczy porażona przecuciem, które schwyciło w swoje lodowate szpony moje wnętrzności.

Coś było nie tak. Nie wiedziałam do końca co, ale coś było nie tak. Wszystkie moje zmysły wołały na alarm!

Mieszko stawał się coraz gorętszy. Odsunęłam głowę w bok i przerwałam pocałunek. Jego usta przesunęły się po mojej skórze do szyi. Oddech zapiekł na oparzeniu pod uchem.

– Mieszko!

Wsunęłam pomiędzy nas ręce i delikatnie go od siebie odepchnęłam.

Uchylił powieki. Zamarłam, gdy zdałam sobie sprawę, że jego oczy nie są niebieskie. Nie było w nich nawet śladu po barwie lodowatego górskiego nieba.

– Czujesz mój żar? – zapytał szeleszczącym głosem.

W sypialni pociemniało, zupełnie jakby wchłonął w siebie całe światło. Robiło się coraz cieplej. Poczułam, jak na moje policzki wpełza rumieniec, na czole zaperlił się pot.

– Odsuń się ode mnie – nakazałam mu. – Coś jest nie tak. Słyszysz? Coś jest nie tak! Odsuń się.

W oczach Mieszka zalśniły płomienie.

– Swarozyc! – krzyknęłam i odepchnęłam go z całej siły.

Szarpnęłam się w pościeli i usiadłam, gdy bóg zniknął z mojego pola widzenia. Zamrugałam zaskoczona nagłą zmianą. Sypialnia pogrążona była w półmroku. Przez zasłonę prześwitywało nieśmiało światło, walcząc z gęstym splotem materiału. Moja pierś unosiła się w rytmie przestraszonego oddechu. Dotknęłam spoconego czoła. Zadrżałam. Owszem, w sypialni było ciepło, ale nie aż tak, by oblać się potem.

To był sen! To był tylko koszmar!

Spojrzałam na Mieszka. Leżał na brzuchu z kołdrą skotłowaną przy pośladkach. Oddychał miarowo, obejmując czule poduszkę. Nie widziałam jego twarzy, ale nie miałam najmniejszych wątpliwości, że to mężczyzna, którego dobrze znałam.

Nie byłam pewna, czy krzyknęłam na głos, czy zrobiłam to tylko w moim śnie, ale się nie obudził.

Odetchnęłam głęboko, próbując się uspokoić. Dotknęłam biodra i pośladka, na którym zacisnęły się gorące palce. Zamarłam, gdy zobaczyłam, że na skórze jest zaczerwienienie układające się w kształt dłoni.

Zaczęłam się trząść. Dotknęłam pleców Mieszka, wręcz spodziewając się, że rozwieje się niczym dym.

Był tam. Leżał obok. Odetchnął głębiej, ale się nie obudził. Cofnęłam palce,

nie chcąc go obudzić. Nie chciałam, żeby widział mnie w tym stanie.

Potoczyłam błędnym spojrzeniem po sypialni. Swarozyc już wiedział, że Mieszko wrócił do Bielin, że wrócił do mnie.

Mieszko wyszedł zaraz po wczesnym śniadaniu, które nam przygotowałam. Po porannej pobudce nie zdołałam już usnąć, więc poszłam szykować jajecznicę. Zresztą i tak musiałam iść do pracy.

Wychodząc, powiedział, że musi przyjrzeć się dokładnie gospodarstwu, które nabył. Czekало go mnóstwo pracy przed zimą. Poza tym dzisiaj miała przyjechać ciężarówka z jego meblami z Gniezna. Nie byłam pewna, czy będzie miał je gdzie postawić. Niewiele wiedziałam o budynku należącym do braci. Nigdy nie widziałam go w środku, ale nie spodziewałam się tam żadnych cudów. Wygląd zewnętrzny w żadnym razie nie zachęcał do zamieszkania w tym miejscu.

Nie wiem, co mu do łba strzeliło, że kupił to obejście... Co jak co, ale osiadły tryb życia nijak mi do niego nie pasował. Ciekawe, kiedy mu się znudzi?

Ja także niestety nie mogłam wylegiwać się do góry brzuchem, chociaż biorę bogów na świadków, że miałam na to wielką ochotę.

Na szczęście pierwszy pacjent zapisał się dopiero na dziesiątą, więc mogłam w spokoju posiedzieć jeszcze chwilę w domu. Nie miałam ochoty na machanie łopata. W związku z tym postanowiłam, że po pracy skupię się na przygotowaniu specyfików z kwiatów zniszczonych malw oraz lekturze zeszytu babci Baby Jagi.

Zdałam sobie sprawę z tego, że nie wiem nawet, jak ta kobieta miała na imię. Nikt go nigdy nie użył przy mnie w rozmowie. Nawet dla mieszkańców Bielin była po prostu babcią albo babuleńką. Zupełnie jakby należała do każdej rodziny.

Nagle usłyszałam pukanie do drzwi. No na wszystkich bogów! Czyżby ktoś potrzebował jakiejś pilnej porady? Z zalem spojrzałam na niedopitą kawę. No cóż, służba nie družba.

Otworzyłam drzwi. Na progu stała dziewczyna mniej więcej w moim wieku. Skądś ją kojarzyłam, ale nie mogłam sobie przypomnieć skąd. Za nią tłoczyło się jeszcze kilka kobiet. Wszystkie uśmiechały się do mnie zachęcająco.

Podejrzane...

– Słucham? – zapytałam.

– Droga szeptucho! Przepraszam bardzo, że zawracam ci głowę, na dodatek tak wcześnie, ale chciałabym o coś poprosić – odezwała się ta stojąca na przedzie pochodu, zaszczycając mnie iście hollywoodzkim uśmiechem.

– Jestem tylko uczennicą szeptuchy – sprostowałam. – Baba Jaga wraca za jakiś tydzień, może półtora, więc powinny się panie zgłosić...

– Ale Jarogniewa nie jest nam potrzebna – przerwała mi, a w jej oczach błysnęło rozbawienie.

Dopiero teraz zrozumiałam, skąd kojarzę tę dziewczynę. To ona za niecały tydzień miała wyjść za męża.

Ha! Szkoda tylko, że nie pamiętam, jak się nazywała.

– Nie wiem, o co chodzi, ale zapraszam. – Przesunęłam się niechętnie, robiąc im miejsce.

Rozmawianie w progu nie wydało mi się właściwe. Z drugiej strony zapraszałam gości do domu Jagi bez jej pozwolenia. Miałam dylemat moralny. Willa była jej azylem, gdzie uciekała przed pracą. Miałam nadzieję, że się o tym nie dowie, a jeśli tak, to nie będzie miała mi za złe.

Poprowadziłam dziewczyny do salonu. Przez większość czasu był zupełnie nieużywany, jako że Jarogniewa krążyła głównie między kuchnią a swoją sypialnią i nie przyjmowała żadnych gości.

Nawet rocznicową kolację z Mszczujem zjadła przy kuchennym stole.

– Chciałybyście się czegoś napić? – zapytałam. – Kawy, herbaty?

Zgodnie pokręciły głowami. Przyszła panna młoda usiadła na kanapie i grzecznie położyła dłonie na podolku. Odezwała się w imieniu koleżanek, które stanęły obok niczym strwożone stadko sarenek:

– Nie, dziękujemy. Nie chcemy zawracać głowy. Wpadłyśmy tylko na chwilę. Przepraszamy, że przeszkadzamy.

– Nie ma sprawy – mruknęłam.

Przyjrzałam się ich strojom. Każda miała na sobie elegancką sukienkę w pastelowych barwach i sandały na obcasie. Bogom dzięki, że zdołałam zmusić się do ogarnięcia. Miałam co prawda jeszcze wilgotne włosy po prysznicu, ale przynajmniej ubrałam się przyzwoicie.

– To po prostu ostatni moment, kiedy mogłyśmy przyjść. Trochę się zagapiłyśmy z zaproszeniem. – Skrzywiła się.

– Zaproszeniem?

Przycupnęłam na fotelu speszona, że poza panną młodą nikt inny nie usiadł.

– Jak pani wie... – zachichotała. – Uczennico szeptuchy, jak wiesz, w najbliższą sobotę wychodzę za mąż. Och, głuptas ze mnie. Nie przedstawiłam się. Nazywam się Bogna Majewska.

– Już niedługo – dodała jedna z jej koleżanek.

Wszystkie zgodnie się zaśmiały. Nawet na mojej twarzy pojawił się uśmiech w odpowiedzi na ten niewyszukany dowcip.

– Miło mi, Gosława Brzózka – odparłam.

– Przejdę do rzeczy. Niebawem będzie moja swaćba, a w piątek oczywiście rozpleciny. Jednak pojutrze wypada pełnia.

Pokiwałam głową. Już rozumiałam, o co jej chodzi. Najlepiej było, gdy ceremonia odbywała się tuż po pełni, bo wtedy można było przeprowadzić wieczór paniński w połączeniu z rytuałem płodności oraz zamawianiem urody. Tak naprawdę ta faza Księżycy trwa zawsze trzy dni, jednak to środkowy jest najważniejszy.

Rzadko tak się składa, by trafić z terminem swaćby we właściwym

momencie, więc przyjęło się, że przed planowanym zamążpójściem wybiera się dowolną pełnię na tego typu zabawy. Obecnie rytuały płodności przechodziły już do historii, nikomu nie chciało się ich organizować.

Każda dziewczyna pragnie mieć wieczór panieński, chociaż on także nie przypomina już zwyczajów, które kultywowano w czasach naszych babć. W wieczór zwany rozplecinami spotykali się chłopcy oraz dziewczęta. Nie było ścisłego podziału na płcie jak dzisiaj.

Podczas rozplecin najpierw przystrajano włosy panny młodej, a następnie swat oficjalnie rozplatał jej warkocz na znak zakończenia panieństwa. Poza tym pleciono wianki, pieczono korowaj oraz tworzono różgę z gałązki przystrojonej kokardami i suszonymi owocami. Taką różgę następnego dnia musiał wykupić pan młody. Inaczej swańba by się nie odbyła.

Dzisiaj wieczory panieńskie i kawalerskie były raczej świętowane na wzór zachodni. Sama byłam na kilku. Polegały głównie na piciu i chodzeniu po klubach w głupawych czapeczkach. Dodatkowo rzadko odbywały się dzień wcześniej. Nikt nie chciał mieć podkrążonych oczu i kaca na własnej swańbie.

Jednak w małych miasteczkach wciąż trzymano się tego terminu. Tradycja, a co!

– Rozumiem, chcecie przeprowadzić zamawianie płodności i urody? – Pokiwałam głową ucieszona, że wreszcie zrozumiałam, czego ode mnie chcą.

– Tak – ucieszyła się. – A do tego jesteś nam potrzebna.

– Ja? A po co?

Z tego, co wiedziałam, nie trzeba było mieć podczas tych zabiegów szeptuchy do pomocy. Każda dziewczyna mogła sama ponacierać się balsamami i pomodlić do bóstw.

– Bo ja chcę mieć porządną imprezę – odparła z godnością.

Stadko sarenek pokiwało głowami. W kilku spojrzeniach dostrzegłam nieme błaganie. Zaczęłam szczerze podziwiać Bognę. Mnie się jeszcze nigdy nikogo nie udało tak sterroryzować psychicznie.

– Aha... – mruknęłam.

– W takim razie chciałabym cię zaprosić na zamawianie urody w środę. Przyjdziesz? – Zatrzepotała grubo wytuszowanymi rzęsami.

– Och... – westchnęłam, by dać sobie trochę czasu do namysłu.

Nie miałam na to najmniejszej ochoty. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że praktycznie nie spałam dzisiaj w nocy i miałam zły humor przez Swarożyca. Poza tym środa to, jakkolwiek by na to patrzeć, środek tygodnia. Następnego dnia przecież muszę iść na ósmą rano do pracy.

No i wypadaloby podlać te przekłete zioła o świcie w czwartek, jak co dzień.

– Proszę, bardzo proszę! – zajęczała. – Jeśli pomodlisz się z nami do bogini Mokosz, to na pewno sto razy lepiej zadziała.

Co do tego miałam pewne wątpliwości. Z racji słabości, którą odczuwała do mnie ta konkretna bogini, swoimi modlitwami mogłam w najgorszym wypadku sprawić, że pojawi się na imprezie i ją popsuje, macając wszystkie po brzuchach.

– No nie wiem... – mruknęłam.

– Prooooooszę – zajęczała.

Wyobraziłam sobie, jak by zareagowała Baba Jaga. Przed wszystkim obśmiałyby taką prośbę. Jednak głównie dlatego, że jest już za stara, by prosić boginię o płodność. A potem wysłałyby mnie, żebym się integrowała.

Cholera.

– No dobrze, pójdę – zgodziłam się. – Gdzie mam przyjść?

– Chcę, żeby wszystko było poprawnie, to znaczy tak jak kiedyś. Najlepiej, żebyśmy spotkały się u mnie w domu. Potem pójdziemy do lasu.

– Do lasu? – zdziwiłam się.

– Tak! W lesie jest takie małe jezioro! Tam będziemy mogły wszystko przeprowadzić we właściwy sposób. Tam swoje zamawianie miała moja przyszła teściowa i jej babka. Co prawda nie będzie to najprzyjemniejsze doznanie, bo nie ma tam łazienki, niemniej jednak... tradycji musi stać się za dość.

– Jest leśniczówka – wtrąciła jedna z dziewczyn.

– Ale nie ma tam łazienki – kategorycznie stwierdziła Bogna.

Sięgnęła do kopertowej torebki. Wyjęła z niej tysiąc złotych i położyła na stoliku kawowym. Wytrzeszczyłam oczy.

– Mam nadzieję, że tyle wystarczy. Weźmiesz ze sobą wszystkie potrzebne specyfiki? – zapytała.

– Oczywiście – pękłam od razu, widząc taką propozycję.

– To doskonale. W takim razie zobaczymy się u mnie w domu o godzinie osiemnastej. Mieszkam...

– Wiem, gdzie jest to jezioro – wtrąciłam. – Pójdę tam wcześniej przygotować kilka rzeczy. Możemy spotkać się na miejscu o dziewiętnastej?

– Świetnie! W takim razie do zobaczenia!

Gdy tylko zamknęłam za nimi drzwi, zgarnęłam pieniądze i rzuciłam się biegiem do przeszukiwania podręczników.

W życiu nie byłam na prawdziwym święcie kobiecej płodności. Znałam modlitwy do Mokosz, ale na tym moja nikła wiedza się kończyła. Rytuały płodności przeważnie przeprowadzano na wiosnę, podczas Rusałczego Tygodnia, czasami też podczas Święta Plonów. Poza tym dawniej praktykowano je także podczas Nocy Kupały. Dodatkowo istniało kilka rytuałów, które podobno warto było odprawić przed swaźbą.

Nie miałam zielonego pojęcia jakich, bo do zamążpójścia było mi daleko. W Warszawie nikt nie organizował takich rzeczy. Szczytem tradycji był wieczór w SPA i maseczka z czekolady. Poza tym, nie oszukujmy się... to zwykłe

zabobony.

No dobra, po spędzeniu niemalże sześciu miesięcy w Bielinach jestem skłonna przyznać, że to nie zabobony.

I to niestety jest w tym wszystkim najstraszniejsze.

Zamarłam, zdając sobie sprawę, z tego, że mam tylko dwa dni na stworzenie, o ile dobrze policzyłam, dziesięciu wianków z gałęzi lipy, drzewa opiekuńczego kobiet, które będziemy musiały założyć na głowy.

Powinnam też zadzwonić o szesnastej do szeptuchy. Na pewno jest jeszcze mnóstwo rzeczy, które będę musiała przygotować. Wianki i moja obecność przecież nie są warte tysiąka!

Sprawdzę też w internecie. Ogarniająca mnie panika powoli zaczęła opadać. W internecie jest wszystko.

Hm, będę musiała też ogolić nogi.

Idąc przez puszcę i niosąc na grzbiecie kilkanaście kilo potrzebnych rzeczy, gorączkowo przypominałam sobie wszystko, co kazała mi zrobić Baba Jaga. To był już mój trzeci kurs tego dnia do leśniczówki. Powoli zaczynałam żałować, że się zgodziłam. Nie jestem pewna, czy ten tysiąc złotych był tego wart.

Baba Jaga, o dziwo, odebrała ode mnie telefon, gdy zadzwoniłam tamtego popołudnia. Mruknęła co prawda coś o raku mózgu, ale szybko o tym zapomniała, kiedy powiedziałam jej, po co dzwonię.

W przeciwieństwie do mnie świetnie się bawiła. W każdym razie jej rozmarzony ton głosu wyraźnie o tym świadczył. Mogłam się założyć, że nie miała na stopie ani jednego odcisku od tej pielgrzymki.

Ja też chyba muszę jechać na taką pielgrzymkę. Zwłaszcza po tym, jak przez ostatnie dwa dni wyplatałam wianki, które wykończyły do reszty moje pokancerowane ręce.

Jarogniewa nie była zachwycona, że wybieram się do lasu. Dobrze, że postanowiłam jej nie wspominać, iż byłam tam już kilka razy podczas jej nieobecności.

Poza tą drobną niedogodnością w pełni popierała mój udział w rytuale. Chyba myślała, że dzięki temu lepiej się zaaklimatyzuję w Bielinach. No cóż... nie da się ukryć. Dzisiaj najprawdopodobniej zaprzyjaźnię się z większością dziewczyn w moim wieku.

Oświadczyła mi, że jest ze mnie dumna, bo mieszkańcy zaczynają mnie szanować i traktować jak swoją. Przyznaję, że miło mnie połechtały jej słowa. Każdy lubi słuchać pochwał.

A z ust Jarogniewy wydostają się wyjątkowo rzadko.

Dokładnie mnie poinstruowała, co i jak powinnam zrobić. Szczerze mówiąc, nie byłam zachwycona wszystkimi obowiązkami. Poza tym, jak nas nakryje w puszczy leszy albo chociażby zwykły leśniczy, to będziemy miały przerąbane. Na pewno wystawi nam kilka mandatów. Byłam pewna, że tego, co zamierzałyśmy zrobić, nie wolno praktykować w chronionym lesie.

Chociaż z drugiej strony będziemy używały tylko naturalnych składników.

Na miejsce dotarłam długo przed umówioną godziną, by jeszcze zdążyć wszystko przygotować. Szybko sprawdziłam, czy we wnętrzu leśniczówki jest czysto, gdyby ktoś tam wszedł, a potem zaczęłam przenosić wszystkie rzeczy.

Nie spodziewałam się, że praca szeptuchy to taka fizyczna harówka.

Gdy dotaszczyłam już ostatnie torby, weszłam do chatki i na chwilę uwaliałam się na sienniku. Musiałam poleżeć, żeby odsapnąć.

Wbiłam spojrzenie w przykurzony sufit. Rozłożyłam szeroko ręce. Łóżko było dość wąskie. Nie wiem, jak myśmy się tu z Mieszkiem mieścili.

Przypomniałam sobie, co mi powiedział w niedzielę. Podobno ciężko mu było utrzymać ręce przy sobie.

Cholerny władca. Miał zdecydowanie zbyt silną wolę, skoro to niby były takie tortury. Ja się bez żadnych oporów do niego kleiłam. Opanował mnie wstyd, gdy to sobie przypomniałam.

Pokręciłam głową, żeby pozbyć się przystojnego wojownika z moich myśli. Zdecydowanie nie było tam teraz dla niego miejsca. Musiałam skupić się na nadchodzących rytuałach.

Usiadłam i jeszcze raz rzeczowo przyjrzałam się wnętrzu w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów, które mogłyby zaniepokoić bawiące się dzisiaj dziewczyny. Co prawda jeszcze nie wyszorowałam podłogi domestosem ani innym specyfikiem z dużą zawartością substancji żrących, ale nie powinny się domyślić, że ktoś tu niedawno umarł. Na szczęście zapach we wnętrzu przywodził na myśl jedynie drewno i wilgoć. Nic nie wskazywało na niedawną rzeź.

Sądziłam, że mało kto zna to miejsce i że jeszcze mniej osób tu zagląda. Tak zresztą twierdził Mieszko. A tu nagle w jezioru za chatką będziemy świętować z połową bielińskich panien na wydaniu, co jak się okazuje, jest jakąś rodzinną tradycją. Kto by pomyślał?

Dość tego odpoczynku! Czas brać się do roboty!

Ziewnęłam. Zaczęłam przeszukiwać torby. Gdzieś schowałam kubek termiczny z kawą, ale nie byłam pewna, gdzie go upchnęłam. Byłam zmęczona i zdecydowanie potrzebowałam kofeiny. Miałam dzisiaj mnóstwo klientów w chatce szeptuchy. Nagle każdy potrzebował jakiejś porady. Dodatkowo wczorajsze kopanie rowu dało się nieźle we znaki moim plecóm.

Zapobiegawczo nie zapisałam żadnego pacjenta na czwartek, wszystkich starałam się upchnąć w piątek, a do drzwi przykleiłam kartkę, że mnie nie ma i biorę dzień wolny ze względu na całonocną opiekę nad panną młodą. Miałam nadzieję, że pacjenci mi to wybaczą, a Baba Jaga się nie dowie.

Uśmiechnęłam się na myśl o tym, że jutro będę wylegiwać się w łóżku do oporu.

Popiłam kawy i zabrałam się do rozpakowywania toreb. Zaczęłam wykladać rzeczy na stół. Oprócz wianków przyniosłam trzy dwulitrowe słoiki kleistej maści na bazie miodu, którą musiałyśmy się wysmarować. Zawierała w sobie wszystkie znane szeptuchom składniki, które działały jako afrodyzjaki oraz zwiększały płodność. Podejrzewam, że muchy i komary obleżą nas dzisiaj od głów do stóp, ale niestety nie mogłam nic na to poradzić.

Poza tym musiałyśmy napić się nalewki z lipy, miodu i wanilii. Lipa miała działanie uspokajające, napotne i wykrztuśne, ale poza tym była esencją kobiecości. Miód oraz wanilia były tylko dla smaku.

Trudno, po prostu się spocimy. Życie. Pewnie i tak by nas to czekało, biorąc

pod uwagę, że niczym czarownice z zachodnich filmów będziemy tańczyć dookoła ogniska.

Nie byłam tylko pewna tego, czy nago. Baba Jaga zarzekała się, że tańczy się nago. Szczerze jednak wątpiłam, że Bogna się na to zdecyduje. Z tego powodu pod sukienką miałam dwuczęściowe bikini, którego nie będzie mi żal zapaćkać miodem.

Lipa w ogóle miała mnóstwo zastosowań. Wierzono, że sprowadza dobro, spokój i szczodrość, dlatego często sadzano te drzewa w pobliżu domu z okazji narodzenia dziecka lub swańby. Z jakiegoś powodu również uważano, że ściąga na siebie pioruny, chroniąc dom i jego mieszkańców. Nieprawda, no ale cóż...

Krytycznie spójrzałam na przygotowane wianki. Szkoda, że lipa kwitła w lipcu. Teraz świeże gałązki po prostu pełne były zielonych liści. Za radą szeptuchy wplotłam w nie jeszcze polne kwiaty dla ozdoby oraz zioła z jej ogródka mające wpływ na płodność, takie jak: serdecznik, przywrotnik, rozmaryn, liście malin i trochę młodej pokrzywy. Z tą pokrzywą zwłaszcza miałam kłopot. Mam nadzieję, że nikt się nie poparzy.

Z drugiej strony, co ja mogę? Dla urody przecież trzeba czasem pocierpieć!

Wianki były naprawdę imponujące. Każdy miał maksymalną rozłożystość czterdziestu–pięćdziesięciu centymetrów. Założony na głowę upodabniał się do kapelusza o szerokim rondzie. Zrobiłam im kilka zdjęć telefonem i wrzuciłam na Instagram, żeby koleżanki ze studiów mogły mi zazdrościć. Postanowiłam ostatnio, że zacznę prowadzić dokładną dokumentację moich nauk.

Usatysfakcjonowana fotografiami pstryknęłam jeszcze kilka zdjęć kamiennemu fallusowi, który kazała mi zabrać Baba Jaga. O mało nie popłakałam się ze śmiechu, jak mi powiedziała, co mamy z nim zrobić. Wzięłam do ręki kamienną rzeźbę o długości trzydziestu centymetrów. Nie była idealnym anatomicznym odzwierciedleniem, ale nie to się liczyło. Już współczułam panie młodej, której zadaniem będzie cały czas mieć go obok siebie.

– Ach, Jaryło, Jaryło – mruknęłam. – Ty stary zbereźniku.

Ruszyłam na polankę, gdzie chciałam ułożyć krąg z kamieni, wewnątrz którego zapalimy ognisko. Musiałam jeszcze nazbierać drewna.

Gdy już wszystko z grubsza ogarnęłam, podeszłam do małego jeziorka. Oplukałam ręce i usiadłam na brzegu, na kamieniu. Westchnęłam, przypominając sobie pana Dareczka. Już nie będzie mnie łapał za łydkę.

Zsunęłam ze stóp sandały i opuściłam nogi do chłodnej wody. Zadrzałam. Nie sądziłam, że będzie aż tak zimna.

Zamknęłam oczy i wystawiłam twarz do słońca. Zbliżała się dziewiętnasta, za godzinę, jak to w sierpniu, słońce schowa się za wysokie drzewa, a polankę spowiją ciemności. Na szczęście niebo było poznaczone jedynie pojedynczymi obłokami, które nie zasłonią przed nami księżycą i jego bladego światła.

Rozpuściłam włosy i pozwoliłam, by spłynęły mi na plecy. Przeczesałam je dłońmi.

– Obyś tym razem nie słuchała... – mruknęłam pod nosem, mając olbrzymią nadzieję, że Mokosz w żaden sposób nie zakłóci wieczoru.

– A ja mogę słuchać?

Otworzyłam oczy i odwróciłam się szybko. Obok mnie kuczał Swarozyc. Trawa w miejscach, gdzie jej dotykał, poczerniała. Zrobiło mi się duszno, miałam wrażenie, że samą swoją obecnością wysysał z powietrza tlen. Języki dymu otaczały mnie w pasie, jakby były przedłużeniami jego dłoni. Zamarłam w bezruchu.

– Dlaczego tak się mnie boisz? – zdziwił się.

Przybrał bardziej cielesną formę niż ostatnio. Mogłam nawet dostrzec szczegóły jego ubioru, łącznie ze strojnym haftem koszuli. Przedramiona, które opierał na kolanach, miał umięśnione. Przez skórę prześwitywały grube sznury żył. Nieludzkie oczy wydawały się czarne niczym węgle. Tym razem nie czał się w nich ogień, choć nie miałam wątpliwości, że wystarczy jedno niewłaściwe słowo, by zapłonął.

Gdyby nie drżący dookoła nas dym, można by go wziąć za zwykłego mężczyznę.

– Bo jedną myślą możesz mnie zabić – mruknęłam.

– Już mówiłem, że nie uczynię ci krzywdy.

Co miałam odpowiedzieć? Przecież nie zacznę się z nim kłócić, że każde jego słowo brzmi w moich uszach niczym kłamstwo.

Jeszcze by się obraził.

Wpatrywał się we mnie w kompletnym bezruchu niczym łakomy kot polujący na mysz. Na jego ustach nie gościł nawet cień uśmiechu. Ruda broda nie zdołała zakryć mocno zaciśniętych warg. Dopiero teraz poczułam, że był zły. Każdym porem skóry czułam promieniującą z niego złość.

Miałam wrażenie, że nagle zrobiło się znacznie cieplej.

Zerknęłam na taflę zimnej wody, jakby mogła mnie w jakiś sposób uratować przed jego płomieniami.

– Wiedziałem, że nieśmiertelny tutaj wróci, ale tak długo go nie było, że zacząłem w to wątpić – oświadczył.

Słusznie podejrzywałam, że ponowna obecność Mieszka w moim życiu go zdenerwuje. Ja także poczułam rodzący się gniew. Nie miał prawa być zazdrosny. Nie należałam do niego, nic nas nie łączyło poza obietnicą, którą wymógł na mnie w momencie, gdy nie mogłam odmówić.

– Tak, wrócił – odparłam.

– Nie jesteś na niego zła? – zapytał Swarozyc.

– Ja? Dlaczego?

– Jesteś jego zabawką – odparł. – Porzucą cię, gdy mu to odpowiada. Tak jak wszystkie swoje poprzednie kobiety.

Zgrzytnęłam zębami i odpowiedziałam, zanim zdążyłam się powstrzymać:

– Ote nigdy nie porzucił. To ona porzuciła jego.

Zaśmiał się ponuro.

– Ote lubiła porzucać mężczyzn i bogów. Nie była pod tym względem mądrą kobietą. Lepiej, żebyś ty była mądrzejsza.

Groźba zawisła w powietrzu.

– Czemu tu przyszedłeś, Swarożycu? – wycedziłam. – Już wiesz, czego chcesz w zamian za obietnicę?

Spojrzał ponad moim ramieniem na polanę. Uśmiechnął się. Nie podobał mi się ten uśmiech. Nie było w nim nic przyjemnego.

– Ciągle się waham, czego od ciebie zażądać. Masz zbyt wiele do zaoferowania, bym podjął tę decyzję w pośpiechu.

Kłamał mi w żywe oczy.

– Doprawdy? – prychnęłam.

– Przybyłem, bo będziecie mnie wzywać tego wieczoru.

– Nie będziemy – zaprzeczyłam.

– Będziecie, moja miła. Miłosna magia zawsze wiąże się z pożądaniem.

A pożądanie to ogień, żar, który dzisiaj rozniecicie w swoich ciałach i umysłach. Mój żar.

W jego źrenicach zatańczyły pomarańczowe płomyczki. Nitki dymu zawirowały dookoła nas.

– Mogę sprawić, że ten ogień zapłonie w tobie – zaproponował. – Ja mogę dla ciebie zapłonąć.

– Może Ote to satysfakcjonowało, ale ja wolę bardziej cielesnego mężczyznę – burknęłam. – Nie waż się więcej wchodzić do mojej głowy i zsyłać tych podłych snów!

Nigdy się nie nauczę, że nie pyskuje się silniejszym od siebie. Nigdy. Mój instynkt samozachowawczy najwyraźniej w ogóle się nie wykształcił albo zanikł gdzieś w toku dorastania.

W sumie przykre.

– Zapewniam cię, że ciała mi nie brakuje! – warknął. – Mogę ci to łatwo udowodnić. Może nawet by ci się to spodobało?

Położył dłoń na moim ramieniu, którego przed jego dotykiem broniło tylko wąskie ramiączko sukienki. Faktycznie. Była jak najbardziej cielesna, a także cholernie gorąca. Zaciskając zęby, ledwie powstrzymałam się od jęku bólu. dzielnie wytrzymałam, nawet nie odskoczyłam.

Wysyczałam rozwścieczona:

– Nie przypominam sobie, żebyś zapytał o pozwolenie na kolejne oparzenie

mojej skóry. Wnioskuje, że w zamian za to będę mogła poprosić o przysługę?

Jego palce od razu stały się chłodniejsze. Nie sprawiał mi już bólu. Smugi dymu otuliły mnie ciepłym powietrzem, niby pieszczotą. Nie powiem, było to całkiem przyjemne.

– Jestem bogiem, Gosiu.

– Wielbię cię jak boga. Wolałabym jednak, żebyś jak przystało na normalnego boga, nie mieszał się do mojego życia – odparłam.

Zaśmiał się ponuro. Płomienie w jego oczach zaśniły.

– Jesteś moją wyznawczynią, widząca. Nie ma wielu takich jak ty. Z tego powodu należą ci się specjalne względy.

Nagle rozpląnął się na wietrze. Ciepło i ciężar jego dłoni zniknęły z mojego ramienia. Drgnęłam, gdy na policzku poczułam ciepły oddech.

– Ja zawsze będę na ciebie czekał, widząca...

Po chwili wrażenie jego obecności zniknęło. Znowu poczułam chłód wody. Zdałam sobie sprawę, że cały las wstrzymał oddech. Nieśmiało zaśpiewał pierwszy skryty w koronie drzew ptak.

Chyba powinnam zacząć się martwić obsesją, którą najwyraźniej miał na moim punkcie.

– Gosiu! Gosiu! Gdzie jesteś? – usłyszałam wołanie Bogny.

Zapobiegliwość Bogny szczerze mnie zaskoczyła. Obładowane pakunkami uczestniczki rytuału po kolei wychodziły z lasu. Panna młoda przyglądała im się krytycznie i zawzięcie psikała się po nogach środkiem odstrasającym owady.

Najwyraźniej bała się przyrody jeszcze bardziej ode mnie. No... ode mnie kiedyś. Teraz było mi już z grubsza wszystko jedno. O czym zdecydowanie świadczył na przykład fakt, że porzuciłam sandały przy jeziorze i stałam teraz na bosaka w trawie, nie przejmując się mrówkami, pajakami i innym świństwem, które być może przemykało tuż obok mnie.

Bogna i jej koleżanki tak jak ja włożyły sukienki oraz rozplotły włosy. Panna młoda wzięła mnie pod ramię i kazała sobie pokazać wszystkie, jak się wyraziła, „gadżety”, które przygotowałam na imprezę.

– Mój Cieszek też dzisiaj spotyka się z kolegami – powiedziała.

– Cieszek? – zapytałam, bezmyślnie grzebiąc w wiankach, żeby znaleźć najładniejszy, który odłożyłam specjalnie dla niej.

– Cieszmyr, mój narzeczony. Będą chlali w knajpie w Bielinach – wyjaśniła. – On nie chciał tradycyjnego wieczoru kawalerskiego. Woli się upić.

Ja tam mu się nie dziwiłam.

Rozłożyłam w końcu wszystkie wianki na blacie stołu. Przyjrzałam się im krytycznie w półmroku panującym we wnętrzu. Nic nie widziałam. Zapaliłam szybko lampę naftową, którą znalazłam u Baby Jagi w piwnicy.

No, od razu lepiej.

Wzięłam do rąk wianek, który jako jedyny przystroiłam jasnorożowymi wstążkami. Bogna pisnęła podniecona i wyrwała mi go z rąk. Natychmiast nałożyła go na głowę i pstryknęła sobie zdjęcie komórką. Z dziubkiem rzecz jasna.

– A żerca świętuje z nimi? – zapytałam.

Ciekawiło mnie, czy Witek także miał dzisiaj ręce pełne roboty.

– Nie wiem. Może? Cieszek nie chciał się z nim bawić. Wiesz, jeszcze go nie znamy. Jest strasznie poważny. Poza tym to kapłan. Oni chyba nie powinni się bawić, co nie?

– To ja chyba też nie powinnam się z wami bawić – stwierdziłam, marszcząc brwi.

– Ty? Przecież każdy wie, że szeptuchy to dobre babki. Jaga jest spoko, ale już trochę za stara na takie zabawy. Moja babcia mi opowiadała, że kiedy Jarogniewa była młodsza, to niezłe z niej było ziółko. Obskakiwała wszystkich kawalerów na potańcówkach! Wszyscy faceci we wsi się w niej kochali, a jak odprawiła zamawianie o płodność, to dziewięć miesięcy później pół wsi rodziło dzieciaki.

No proszę, nie spodziewałam się!

– Teraz to ty jesteś w idealnym wieku, żeby prosić o płodność – kontynuowała. – Poza tym mieszkasz tu już strasznie długo, więc wszyscy cię znają.

Ucieszyłam się. To miłe, że szeptuchy mają większą swobodę od kapłanów. A w każdym razie, że ich swoboda jest bardziej akceptowalna.

– Może go zaprosili, kto ich tam wie? – dumiała dalej. – W sumie wypadałoby go lepiej poznać, skoro będzie prowadził naszą ceremonię. A skąd ty się w zasadzie wzięłaś w Bielinach, Gosiu? Pochodzisz stąd?

– Tak, moi dziadkowie i pradziadkowie tu mieszkali. Za to moja mama, będąc młodą dziewczyną, wyjechała do Warszawy. Ja już urodziłam się tam.

– Eee, to ty jesteś bielińska dziewczucha! – stwierdziła zadowolona. – Moja rodzina też stąd pochodzi, ale ja z rodzicami mieszkałam w Kielcach. Kilka lat temu odziedziczyliśmy ziemię po dziadkach i przeprowadziliśmy się na wieś. Z kolei rodzina Cieszka to chyba mieszkała tu, odkąd Bieliny powstały – trajkotała wesoło. – Poznaliśmy się z Cieszymirem po naszej przeprowadzce. Nasze rodziny mieszkają przez płot.

Uśmiechnęłam się do niej ciepło. Najwyraźniej miłość można znaleźć wszędzie, nawet za drzwiami obok.

Gdy zagadane wyszliśmy z leśniczówki, niosąc naręcza wianków, na polanie zaszło kilka gruntownych zmian. Dziewczyny poustawiały dookoła lampy owadobójcze. Ich niebieskawe światło zwabiało do siebie owady. Poza tym nad jeziorkiem stały trzy drewniane leżaki. Ognisko płonęło już w najlepsze. Dookoła niego rozłożyły koce, na których najwyraźniej miałyśmy zasiać.

Zerknęłam podejrzliwie na torby, które niosły. Gdzie one to wszystko pochowały?

– Mamy wianki! – wykrzyknęła Bogna. – Wkładajcie na łby i robimy sobie zdjęcia!

Posłusznie nałożyłam wianek i zaczęłam im cykać fotografie aparatem, który został mi wręczony. To był polaroid, z którego od razu wysuwały się gotowe zdjęcia wielkości pocztówek. Lampa błyskała jak szalona, gdy robiły coraz to nowe miny raz na tle leśniczówki, raz na tle ogniska, a potem jeziora i lasu. Nie było chyba nawet jednego liścia, który nie zostałby uwieczniony.

– Dzięki! – Bogna wyrwała mi aparat.

Pokręciłam głową i ruszyłam po nalewkę z lipy. Szeptucha kazała mi wziąć dwie litrowe butelki, żeby każda z nas mogła się napić, a nie tylko panna młoda. Gdy wzięłam do ręki butelkę, dotarło do mnie, że zapomniałam o kieliszkach albo chociażby kubkach. Miałam tylko misę do wody. Szlag by to.

Wysłałam na polanę i zamachałam butelkami.

– Hej, macie coś przeciwko picciu z gwinta? – zapytałam.

– Ja mam plastikowe kubeczki! – wykrzyknęła jedna z dziewcząt.

Skrzywiłam się. Plastikowe kubeczki to był zły pomysł.

– Wiecie, będziemy się modlić do Mokosz. Tak naprawdę nie powinniśmy przynosić dzisiaj na sobie i ze sobą niczego, co nie jest organiczne – powiedziałam.

– Kurwa, Luba! Nie mogłaś o tym wcześniej pomyśleć?! – ryknęła Bogna tak głośno, że aż podskoczyłam.

Następnie panna młoda odwróciła się w moją stronę i dodała przymilnym tonem:

– Luba jest moją swachą.

– Och, to wspaniale – odparłam, bojąc się powiedzieć cokolwiek innego.

Swacha i swach świadkowali podczas swaćby. Można było się nimi stać, jeśli w jakikolwiek sposób przyczyniło się do poznania młodych. Biedna Luba chyba szczerze teraz żałowała, że miała swój udział w poznaniu Cieszka z Bogną.

Luba przewróciła oczami i powiedziała:

– Będziemy pić z butelki. To żaden problem.

Swacha potoczyła spojrzeniem po polanie, a następnie zwróciła się do mnie skrzywiona:

– Koce są z naturalnych włókien, leżaki drewniane, ale lampy owadobójcze i aparat fotograficzny mogą być problemem.

– No trudno – odpowiedziałam. – Najważniejsze, żeby ciało żadnej z nas nie miało zbyt wielkiego kontaktu z czymś, co nie jest naturalne. Dobra, chodźcie do mnie. Musimy mieć tu miejsce, bo będziemy tańczyć, więc torebki, siatki i tak dalej wrzucicie do leśniczówki, a następnie usiądźmy dookoła ogniska, a ja wam powiem co i jak.

Dziewczęta jak jeden mąż ruszyły pozbyć się fantów, a następnie usadziły się na kocykach. Bogna poklepała miejsce obok siebie, patrząc na mnie znacząco. Po jej drugiej stronie przycupnęła Luba.

– A więc... – zaczęłam niepewnie. – Miło mi was powitać, nazywam się Gosława Brzózka, co pewnie już wiecie. Możecie mi mówić Gosia. Poprowadzę was dzisiaj przez rytuał do bogiń Mokosz i Chors. Te zwyczaje praktykuje się od bardzo dawna. Kobiety zawsze zwracały się do swoich boskich opiekunek po radę, zwłaszcza przed ślubem. Lipa to nasze drzewo opiekuńcze. Nośmy więc tego wieczoru lipę na sobie i spożyjmy nalewkę przygotowaną z tego świętego drzewa.

W duchu skrzywiłam się sama do siebie. Bogom dzięki, że Baba Jaga nie słyszy, jak się miotam podczas tej przemowy! Poinstruowała mnie, co powinnam mówić, przećwiczyłam to w domu, ale rzecz jasna, trema mnie teraz zżerała żywcem.

– Przedstawmy się boginiom – nakazałam. – Każda z was niech powie swoje imię, czy jest w związku i czy ma albo czy dopiero chce mieć dzieci.

Podaliśmy butelkę z nalewką Bognie i kazałam jej przełknąć duży łyk.

– Nazywam się Bogna, mam narzeczonego, niedługo odbędzie się nasza

swańba. Chciałabym doczekać się całej gromadki dzieci. Oczywiście jak najpierw spłacimy kredyt na mieszkanie – zachichotała.

Lipówka zaczęła przechodzić z rąk do rąk. Każda z dziewczyn mówiła swoje imię i status aktualnego związku. Momentalnie pomieszały mi się ich imiona. Żadna z nich jeszcze nigdy nie rodziła, ale każda miała nadzieję, że kiedyś to nastąpi. Mokosz czeka mnóstwo roboty!

– Proszę. – Butelka zawędrowała do moich rąk.

– Nie, nie. – Pokręciłam głową. – Ja tylko pomagam.

– Głupstwa gadasz! Pij! Przecież wszystko musi być jak należy! – Bogna o mało co nie obraziła się na mnie na śmierć.

– Jestem Gosia... – urwałam niepewna statusu swojego związku. Korzystając z nomenklatury jednego z popularnych portali społecznościowych, zdecydowanie można go było określić mianem „to skomplikowane”. – Nie jestem do końca pewna, czy mam chłopaka. Jeśli chodzi o dzieci... tak, chciałabym kiedyś je mieć.

Przełknęłam łyk, nie zwracając uwagi na dziewczyny, które nadstawiły ucha, gdy mówiłam.

Butelka zrobiła kolejne okrążenie. Dopiliśmy resztkę. Drugą na razie postawiłam obok siebie. Będzie na później. Nie chciałam, żeby dziewczyny zbyt szybko się upiły.

– Skończyła się – oświadczyłam zadowolona z tego faktu.

– Wzięłyśmy kilka butelek miodu – powiedziała Luba. – Po butelce na głowę.

Czy było coś, czego one nie wzięły, ja się pytam?

– Och, to fajnie, ale taka ilość alkoholu nie jest niezbędna – słabo zaprotestowałam.

– Ale do zabawy jest niezbędna – oświadczyła w odpowiedzi swacha.

– Dobra, kochane! Nie ma czasu na pogaduchy. Słuchamy się Gosi! Nie przeszkadzamy. – Bogna klasnęła w dłonie. – Słońce skończy się za jakieś pół godziny!

Uniosłam głowę tak jak reszta dziewczyn. Na niebie wyraźnie było widać blade koło księżyca oraz pomarańczową tarczę słońca. Oba skąpane w różowo żółtym blasku. Była idealna pora. Słońce całowało księżyc.

– Dadźbóg i Chors – wyszeptaliśmy z czią imiona bogów słońca i księżyca.

– Kochankowie są na niebie – dodała Bogna.

Dadźbóg był synem Swaroga oraz bratem dobrze mi znanego Swarozycza. Chors to po prostu księżyc. W wielu legendach jest mężczyzną, ale istnieje też kilka mówiących o jego kobiecej naturze. Żercy starali się to tłumaczyć ciągłymi zmianami faz naszego satelity. Dzisiaj, gdy był w pełni, objawiała się jego kobieca natura. I właśnie do niej będziemy się między innymi modlić.

– Teraz, gdy lipa, nasza opiekunka, jest już z nami, rozpoczynamy ceremonię – zarządziłam.

– Dziewczyny! Rozbieramy się! – krzyknęła Bogna.

Uczestniczki obrzędu jak jeden mąż pozrzuciły z siebie sukienki. Po raz kolejny tego dnia ledwie mogłam się pozbierać. Wszystkie były nagie, jak je bogowie stworzyli.

– Och, ale wiecie, że możemy zostać w kostiumach kąpielowych? Nie musimy się rozbierać – zaproponowałam cicho.

– Głuptasie, nie wzięłyśmy kostiumów. – Luba się zaśmiała. – Wyskakuj z łasków! Same baby jesteśmy! Nie ma się czego wstydzić.

Całe szczęście, że żadna nie miała miesiączki. Popsuła by jeszcze Bognie przygotowania do modlitwy plastikową podpaską... Chyba że roztropna panna młoda nie zaprosiła koleżanek znajdujących się w złej fazie cyklu. Było to całkiem prawdopodobne.

Spojrzałam w płomień ogniska rozpalonego przez dziewczyny. Nie miałam najmniejszej ochoty obnażać się przed Swarozycem, a byłam niemal stuprocentowo pewna, że się nam przyglądał. Czułam na plecach zimny dreszcz czyjeś wzroku. Rozejrzałam się dookoła, czy aby na pewno nikt nie czai się w krzakach.

Poprosiłam jedną z dziewcząt, by przyniosła słoiki wypełnione mazidłem oraz inne niezbędne mi akcesoria. Inna zaczęła zbierać sukienki, by zanieść je do leśniczówki. Luba w tym czasie zajęła się dystrybucją alkoholu, który przyniosły.

Powoli zsunęłam z siebie sukienkę, a następnie zdjęłam kostium. Narzuciłam włosy na piersi, ale niestety poniżej pasa nie sięgały. Przez chwilę wydawało mi się, że płomień zapłonęły jaśniej.

Oby było to tylko złudzenie zrodzone z mojego przewrażliwienia.

– Przybliżmy się do ognia – zakomenderowałam, odpędzając komara, który miał najwyraźniej w głębokim poważaniu lampy owadobójcze.

Słoiki stanęły obok mnie. Odkręciłam zakrętki i położyłam je obok siebie. Odetchnęłam zapachem miodu i ziół. Był upajający. Nabrałam dłonią całą garść balsamu o dość wodnistej konsystencji i podałam słoje dalej. Uniosłam rękę ponad ogień, by każda z nich mogła zobaczyć, ile mniej więcej powinna nabrać specyfiku. Zaczął spływać w dół mojego nadgarstka.

– Rozsmarujcie miód na swoim ciele, by wasza skóra była zawsze słodka dla mężczyzny. Wplećcie we włosy kwiaty, by ich zapach przyciągnął go do was. Napijcie się alkoholu, by uwiódł go w waszym pocałunku. Zaufajcie ziołom i boginiom, by w waszym łonie zakiełkowało nowe życie – mówiłam.

Dotknęłam dłonią skóry pomiędzy piersiami i naniosałam szeptuchowy specyfik na skórę klatki piersiowej i ramion. Miód spłynął mi na brzuch i uda. W głowie zakręciło mi się od niesamowitego aromatu. Włosy momentalnie się

kleiły, ale wcale się tym nie zmartwiłam. Baba Jaga twierdziła, że mazidło oprócz niesamowitego działania na skórę mogło również służyć za odżywkę.

– Och, to jest świetne! – zachwyciła się jedna z dziewczyn. – Kupowałam podróby tych miodowych kosmetyków w drogerii, w tej popularnej sieciówce, co straszy na każdym rogu, ale to zupełnie nie to. Tamte wchłaniają się jak balsamy i od razu zapach znika. Tutaj czuć... magię.

Patrzyłam, czy wszystkie dziewczyny już się wymazały. Bogna oczywiście naniósł na siebie najwięcej mazidła. Zdziwiłam się, że oszczędziła twarz, ale najwyraźniej chciała mieć później ładne selfie.

Powietrze było przesiąknięte zapachem ziół i miodu. Przymknęłam oczy, delektując się tym aromatem.

– Teraz się napijmy – rozkazałam. – Najpierw jednak jeszcze raz wnieśmy toast na cześć opiekunki lipy!

A co tam! W zupełności wystarczyłaby lipówka, którą wypiliśmy, no ale skoro już i tak przywiozły miód, to przecież nie będę się kłócić. Podałam butelkę Bognie.

– Sława tobie, Swarogu, wzrastaj w siłę, boskie słońce – zaintonowałam, wznosząc głowę do nieba i zmuszając się do spojrzenia prosto w oślepiającą tarczę słońca, która postanowiła już niemalże zniknąć za drzewami. – Wyjdź na świat zza ciemnych wrót, niech twój syn Dadźbóg rozdaje blaski gorejące. Chors, bogini księżycy, zmysłowa kochanko, ukaż się tej nocy. Pobłogosław nas w tym obrzędzie, daj nam światła siły oraz mocy. Sława Dadźbogowi. Sława Chors.

Dziewczęta powtórzyły jeszcze ze mną kilka razy śpiewane pozdrowienie do bogów. Nasze głosy uniosły się do nieba razem z dymem ogniska.

Opuściłam głowę. Przed oczami miałam kolorowe mroczki od wpatrywania się w słońce. Opromienił nas jego różowy blask, mieszając się z zimnym, białym światłem księżycy i ciepłą żółcią ogniska. Pomimo że byliśmy całkowicie nagie, nie czułam zimna. Płomienie w zupełności wystarczały.

Sięgnęłam dla kurażu po miód. O mało się nie zachłysnęłam, gdy uczestniczki rytuału powtórzyły mój gest. Postanowiłam się hamować.

Krew zaczęła szybciej krążyć w moich żyłach. Poczułam się niezwykle kobieco. W tej jednej chwili, przy tym ogniu, z innymi dziewczętami wiedziałam, że jestem piękna, że wszystkie jesteśmy. Nie byłam pewna, czy to sprawa alkoholu, ciepła ogniska, czy może adrenaliny, którą podniosło mi publiczne obnażenie się.

Oj miałam wielką nadzieję, że nie napatoczy się żaden leśniczy. Jeśli nie tylko ja się tak czuję, to jeszcze biedak zostałby zgwałcony przez stadko rozochoconych czcielek bogiń płodności.

– Mokosz, matko nasza, do ciebie przychodzimy, do ciebie wracamy. Dla ciebie chleb i miód w ofierze składamy – odmówiłam krótką modlitwę mocnym

głosem, a duchu tak naprawdę prosząc, żeby nie słuchała. – Przyjdź do nas ze swoim błogosławieństwem.

Wrzuciłam w ognisko kawałek wcześniej przygotowanego chleba. Nalałam na dłoń miodu pitnego i pokropiłam płomienie.

Następnie wstałam i podeszłam do Bogny. Złapałam w dłoń worek z ziarnami pszenicy. Otworzyłam go i nabrałam pełną garść nasion.

– Aby nasienie w tobie wzrastało z łatwością, z jaką rośnie w naszej bogini.
– Mówiąc to, posypałam jej głowę ziarenkami.

Przeszłam dookoła kręgu nad każdą dziewczyną, mówiąc te same słowa i posypując ich głowy. Na sam koniec rzuciłam i na siebie kilka ziaren.

Potoczyłam spojrzeniem po lesie. Na szczęście nigdzie nie czaiła się Mokosz ze swoim trefnym brzuchem. Mówiła, że jakbym chciała z nią porozmawiać, to mam iść na pole i zawołać. Zdecydowanie nie byłam teraz na polu i nie wołałam. Mam nadzieję, że połapie się, iż wcale jej tu nie chcę.

– Wstańmy i zaśpiewajmy – zakomenderowałam.

Dziewczyny zerwały się na równe nogi z głośnym śmiechem. Jeszcze raz sięgnęłam po swój dzbanek miodu i zakląłam, kiedy jak papugi powtórzyły. Dobra, tańczyć nago, w dodatku na trzeźwo w środku lasu, nie potrafię. Będą musiały jeszcze się ze mną napić. Trudno!

Klaszcząc, zaczęłyśmy śpiewać i tańczyć dookoła ogniska. Nasze umazane miodem ciała lśniły w świetle ognia. Dokuczliwe owady gdzieś zniknęły. Nie przyciągał ich słodki zapach ani gorąco naszej skóry.

Taniec robił się coraz szybszy i coraz bardziej szalony. Czułam, jak ogarnia mnie wesołe podniecenie. Robiłam przecież coś niedozwolonego! Trzask płonącego drewna, szum wiatru wśród liści, klaskanie naszych dłoni – wszystko to połączyło się w pierwotną muzykę, która zawładnęła naszymi sercami.

Pieśń dobiegła końca. Zziajane zatrzymałyśmy się.

– Chwała bogini! – krzyknęłam.

– Chwała bogini! – powtórzyły chórem.

Sięgnęłam po misę, a Bognie wręczyłam kamiennego fallusa. Większość dziewcząt parsknęła śmiechem. Panna młoda ledwie mogła ustać prosto, tak bardzo ją rozbawił potrzebny do dalszych obrządków rekwizyt.

– Teraz obmyjemy się w księżycowym spojrzeniu – oświadczyłam. – Zatańczyłyśmy już ze słońcem. Zmęczone usnęło, przekazując łaski naszej rozgrzanej skóry.

Istotnie złota tarcza zdążyła już zejść za horyzont. Las oświetlała jedynie biała twarz księżyca, nasze ognisko oraz koszarne lampy emitujące niebieskawe promienie, od których bolały oczy, a które nadawały puszczy przerażający wygląd.

Nabrałam w misę wody z jeziora, w którym odbijał się Chors. Podałam ją Bognie.

– Wsadź go do środka – powiedziałam, wskazując wzrokiem na rzeźbę.

Bogna, chichocząc jak wariatka, spełniła moją prośbę.

– A teraz napij się księżycowej wody. – Podałam jej znacznie cięższą misę.

Przekazywałyśmy ją sobie od jednych ust do drugich. Każda przełknęła lodowaty napitek. Przed oczami stanęły mi wszystkie możliwe zarazki, ale zaraz wyparłam je z pamięci. Nie taką kobietą chciałam być. Chciałam cieszyć się rytuałem. Chciałam w nim uczestniczyć, a nie martwić się opryszczką.

Choć trzeba przyznać, że prawdopodobieństwo, iż ją złapię, było całkiem spore...

Postanowiłam być odważna. Jako pierwsza weszłam do jeziora. Woda nie była lodowato zimna, ale zdecydowanie daleko jej było do ciepła, które oferowało ognisko. Od razu pożałowałam, że nie napiłam się więcej.

– Musimy tam wejść? – zapytała cicho Luba, najwyraźniej mając podobne obiekcje.

– Nie musicie – odparłam. – Ale warto obmyć się w promieniach Chors. By mieć skórę gładką i świetlistą jak ona. Ty, Bogno, musisz wejść razem z rzeźbą.

– Z kamiennym fiutkiem? A po co? – zdziwiła się.

– Żebyś się przyzwyczajała! – zakpiła jedna z kobiet.

– Strasznie zabawne, strasznie – burknęła Bogna, ale posłusznie, krok po kroku, weszła do zimnej wody, krzywiąc niemiłosiernie swoją urodziwą twarz.

– Czekać! Zrobię wam zdjęcie! – wykrzyknęła Luba. – Wejdźcie tylko głębiej albo zasłońcie sobie cycki włosami! Bogna, unieś do góry fiutka! Może będzie go widać.

Posłusznie uśmiechałam się do kolejnych fotografii, czując, jak całe napięcie ze mnie ucieka. Po chwili było mi już kompletnie wszystko jedno, czy jestem naga, czy nie. Nic się nie liczyło. Spłynął na mnie spokój Chors. Wszystko się odradza, tak jak księżyc, nawet gdy podczas nowiu zjedzą go wilki. Czemuż więc czymkolwiek się przejmować?

Wyszłam z wody, by zrobić zdjęcie Lubej. Gdy tylko moja mokra skóra poczuła chłodną noc, pojawiła się na niej gęsia skórka. Zadrżałam. Pstryknęłam szybko zdjęcia i poszłam ogrzać się przy ognisku. Dziewczęta chlapały się w wodzie i podawały sobie rzeźbę, która tak jak zapewniła mnie Jarogniewa, zrobiła dzisiaj prawdziwą furorę.

Uklękałam przy ogniu. Przejechałam palcami po skórze na piersiach. O dziwo, mazidło Baby Jagi nie zmyło się pod wpływem wody. Nie było już tak lepiące, ale ciągle czuć było upojny zapach kwiatów i ziół. Napiłam się miodu, póki uczestniczki rytuału nie patrzyły. Tak naprawdę nic więcej już nie miałyśmy do roboty. Mogłyśmy tańczyć do białego rana przy ogniu, ale wszystkie elementy zamawiania urody i płodności już odhaczyłyśmy z listy. Formalnie nic więcej nie dało się zrobić.

Teraz wszystko zależało od bogów. Jeśli Bogna dostanie pryszczę w dniu swańcy, to będzie tylko ich złośliwość.

Przeciągnęłam się i ziewnęłam szeroko. Płomienie rozleniwiwały mnie. Najchętniej położyłabym się do łóżka i przytuliła do męskich pleców. Poczułam, że magia miłosna znowu żywiej pobudza moją krew.

Odwrociłam się do chichoczących dziewcząt, które swoimi wrzaskami wypłoszyły połowę zwierząt z tej części lasu. Ich zaczerwienione policzki i błyszczące oczy zdecydowanie mówiły mi, że zasłużyłam dzisiaj na zapłatę.

Zamyśliłam się. Ciekawe, co też porabiały moje koleżanki ze studiów? Ja jestem sztywniarą, ale przy mnie one w zdecydowanej większości połknęły kije od szczotek. Jakoś nie potrafiłam sobie ich wyobrazić tańczących nago w lesie.

Przecież to takie niehigieniczne!

Wróciłam spojrzeniem do ognia. Ponad płomieniami dostrzegłam jakiś ruch w krzakach po drugiej stronie ogniska. Drgnęła gałązka, na ziemię opadło kilka liści.

Moje spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem Witka.

Chciałam poprawić wianek, który delikatnie zaczął mi się zsuwać na czoło, ale tylko zamarłam w bezruchu z dłonią wyciągniętą do góry. Moje zdziwienie robiło się coraz większe. Wprost proporcjonalnie rosła też moja wściekłość.

Naprzeciwko mnie w odległości kilkunastu metrów kucał Witek. Widziałam tylko kawałek jego twarzy i jedno oko. Reszta była ukryta za rachitycznym krzaczkiem, który najwyraźniej miał być jego genialną kryjówką. Oko wytrzeszczyło się na mnie, gdy spostrzegł, że go zauważyłam.

Zerwałam się na równe nogi, o mało nie gubiąc wianka. Płomienie strzeliły do góry na chwilę, zasłaniając mi widok. Przeklęłam Swarożyca, bo byłam przekonana, że w jakiś sposób to była jego sprawka.

Odwróciłam się do dziewczyn, które powoli wychodziły z jeziora. Nie mogły spostrzec Witka! Nie wiem jak one, ale ja doskonale czułam buzujące we krwi pożądanie. Do tej pory uważałam, że to bujda, ale przecież był istotny powód, dla którego kobiety same przeprowadzały te obrządki, a obecność mężczyzn była wysoce nieestosowna. Myślałam, że to tylko po to, by nie zostały zobaczone nago przed ślubem, ale może kryło się za tym coś więcej?

Wolałabym, żeby nie zagroziły Witkowi w żaden sposób.

– Zaraz wrócę! – krzyknęłam do dziewczyn.

Pomachały mi, śmiejąc się ze mnie, że poszłam szukać na golasa łazienki. Z powrotem odwróciłam się do krzaków.

Witek zniknął.

Pobiegłam za nim. Przedarłam się przez gałęzie i o mało nie wybiłam zębów, stając na krzywej gałęzi, która trzasnęła pod moim ciężarem. Poczułam, jak w kilku miejscach moja skóra na przedramieniu została rozcięta. Nie zwróciłam na to uwagi. Odkąd wypięłam napar, zranienia goiły się zbyt szybko, bym zdążyła się nimi przejmować.

W lesie było znacznie ciemniej niż na polanie. Oczy przyzwyczajone do światła ognia niewiele mi pomagały. Powoli ruszyłam przed siebie, korzystając raczej ze słuchu i dotyku niż wzroku. Witek nie był mistrzem ucieczki. Głośne przekleństwo i stłumiony odgłos upadku łatwo wskazały mi drogę.

Stałam pośród rozłożystych paproci, tak wysokich, że niemalże sięgały mi do pasa. Mężczyzna wstawał powoli na nogi, dziesięć metrów przede mną. Rozmasowywał kolano.

Odwrócił się, by zerknąć przez ramię. Zamarł, gdy spostrzegł mnie tak blisko. Nie wiem, co zobaczył w mojej twarzy, ale wyraźnie się przestraszył.

– Nie przeszkadzaj nam więcej! – krzyknęłam. – To kobiecy obrządek!

Kiwnął głową. Jego spojrzenie przez ułamek sekundy prześlizgnęło się po mojej nagiej sylwetce. Szybko się odwrócił i kulejąc, ruszył biegiem, jakby goniło

go stado demonów.

Szczerze mówiąc, ledwie się powstrzymałam, żeby za nim nie pobiec. Przygryzłam wargę niemalże do krwi, by się opamiętać. Wszystkie moje zmysły błagały mnie, aby go dogonić i rozebrać, a potem kochać się z nim całą noc w imię bogini.

Przeklęte zabobony. Czemu nie mogą być tylko zabobonami?

– Mówiłem, że tego wieczoru rozbudzę w was pożądanie. – Usłyszałam za sobą delikatnie syczący głos. – Czuję, jak cała od niego drżysz.

Nawet nie musiałam się odwracać.

– To twoja sprawka? Możesz robić takie rzeczy?

Swarożyc stanął obok mnie. Z zaskoczeniem zauważyłam, że paprocie poruszyły się i ugięły pod jego ciężarem. Miałam go po swojej prawicy. Nie patrzył na mnie, spoglądał w kierunku uciekającego Witka.

Zabrakło mi powietrza.

Gdybym tylko wyciągnęła rękę, mogłabym go dotknąć. Przekonać się, czy przez cały czas jest tak gorący jak w moich wizjach i snach. Do jasnej cholery! Nawet on tak na mnie teraz działał?!

– Ogień może wzmóc pożądanie, ale to twoja magia je wyzwoliła – odpowiedział na moje pytanie. – Magia ciała, zamawiania i roślin.

– Nie władam magią – zaprzeczyłam.

– Jesteś widzącą...

Odwrócił się do mnie. Miałam wrażenie, że jego płomienne oczy przewiercają mnie na wylot. Wyglądał, jakby widział coś więcej, jakby mógł zajrzeć do mojego wnętrza. Poczułam się nieswojo.

– Dziękuję... – rozległo się tuż obok mnie.

– Kuźwa! – Odskokczyłam przerażona, o mało nie taranując Swarożycą.

Ognisty bóg złapał mnie za ramię gorącą dłonią. Natychmiast mu się wyrwałam. Posłusznie odsunął się ode mnie.

Z mojej lewej strony jak gdyby nigdy nic stała Mokosz. To jej podziękowanie mnie wystraszyło. Przestałam obserwować miejsce, w którym zniknął Witek.

– Już dawno nikt nie zorganizował tutaj tych rytuałów. Dziękuję ci, Gosiu.

Odwróciła do mnie twarz. Zanim się spostrzegłam, jej dłoń wylądowała na moim nagim brzuchu. Poczułam, jak gdzieś w środku robi mi się nagle bardzo gorąco. Nie miałam jak się odsunąć, za moimi plecami ciągle stał Swarożyc i ani myślał się cofnąć.

Zaczęła ogarniać mnie panika. Już miałam krzyknąć, gdy bogini zabrała dłoń. Uśmiechnęła się do mnie łagodnie. Jednak jej twarz spoważniała, gdy skierowała spojrzenie na Swarożycą.

– Co się właściwie stało z naparem, bracie? Co żeś uczynił? – zapytała ostro.

– Nic, co by cię interesowało, siostró – syknął.

Zrozumiałam, że stanie pomiędzy tą dwójką było wyjątkowo złym pomysłem.

– Czuję w niej magię kwiatu, ale... jest jakaś inna. – Zmarszczyła czoło. – Inna niż w tamtym nieśmiertelnym mężczyźnie.

– A ilu znasz ludzi poza tą dwójką błogosławionych jego magią? – odpowiedział pytaniem.

– Co zrobiłeś?! – warknęła.

– Ja nie zrobiłem niczego. Nie dotykałem tego kwiatu ani naparu.

Zerknęłam na niego z odrazą. Jak on to robił? Mówił prawdę, nawet przez chwilę nie znalazł się w pobliżu kwiatu. Niemniej jednak wszystko było jego winą. Swarożyc był mistrzem półprawdy.

– Moje dziecko, nie ufaj mu – doradziła. – Zawołaj, gdy będziesz mnie potrzebowała. A na dzisiaj masz moje błogosławieństwo w podziękowaniu za rytuał.

Znowu nerwowo podskoczyłam, gdy jej ciało zbrązowiało, a następnie rozsypało się w pył. No nie przyzwyczaję się do tego. Nie ma najmniejszej szansy. Za każdym razem jest to tak samo niszczące dla mojej psychiki.

– Nie przejmuj się nią – szepnął Swarożyc.

Dookoła nas pojawiała się mgła. Stawała się coraz bielsza.

Omijając kopiec ziemi, który niegdyś był boginią, odsunęłam się od niego. Zdecydowanie nie chciałam mieć go za plecami.

– Ona nie może ci zagrozić. Wie, że jesteś moją służką.

Nie wiem, jakim cudem był przekonany, że coś takiego podziała na mnie uspokajająco.

– Miała jednak rację w jednym – dodał zagadkowo.

– W czym? – odważyłam się zapytać.

– Wspaniale poradziłaś sobie z rytuałem. Powinnaś przeprowadzać go częściej, ku chwale bogów. Pierwotna kobieca magia jest w tobie bardzo silna.

Zaczął się robić coraz bardziej przejrzysty. Rozpływał się na wietrze jak dym, który nas otaczał. Łączył się z nim w jedność.

– Wróć do mojego ognia, widząca. Pozwól mi cię ogrzać – usłyszałam jego szept, zanim całkiem zniknął.

Przełknęłam ślinę, bo nagle jakoś podejrzenie zaschło mi w gardle. Cholerni bogowie i cholerna magia, która przecież nie istnieje.

No cóż... nie istnieje, tak jak bogowie...

37.

– Gdzie zniknęłaś? – zapytała Bogna, gdy wróciłam do ognia.

Dziewczyny rozsiadły się dookoła ogniska na leżakach i kocach. Część narzuciła na siebie sukienki, zupełnie jakby wstyd wrócił.

– Wydawało mi się, że coś słyszałam – odpowiedziałam. – Chciałam to sprawdzić.

Zajęłam miejsce nieopodal przyszłej panny młodej. Ona wciąż była naga, wyciągnęła się wygodnie na leżaku, wykręcając twarz do bladej tarczy księżyca, jakby mogła opalić się w jego bladym świetle.

– To miło, że o nas dbasz – oświadczyła. – Myślisz, że to jakieś dzikie zwierzę?

– Nie, wypłoszyłyśmy wszystko z okolicy swoim głośnym śmiechem – parsknęłam na to wspomnienie.

– To co to mogło być? Jakiś mężczyzna? – Jej oczy zabłyszczały głodem.

– Tego się obawiałam, ale to nic takiego – odparłam.

Kilka zawiedzionych dziewczyn westchnęło. Zupełnie jakby spodziewały się, że bawiący się w tym samym momencie chłopcy porzucą swój wieczór kawalerski i będą ich szukać po lasach.

Wędrując między drzewami, porządnie zmarzłam. W środku nocy potrafiło być już całkiem zimno. Chociaż to może nie chłód nocy wyciągnął ze mnie całe ciepło, tylko spotkanie dwójki bogów tak na mnie podziałało.

Spojrzałam w płomienie, oczekując wręcz, że Swarożyc uśmiechnie się do mnie spomiędzy nich. Któraś z dziewcząt dorzuciła drwa, bo ogień wysoko strzelał iskrami.

Rozsiadłam się wygodnie na kocu i wystawiłam dłonie w stronę ogniska. Otoczył mnie zapach ziół. Miodowa mieszanka Baby Jagi na mojej skórze pod wpływem ciepła znowu zaczęła wydzielać upajający zapach. Powoli zaczęłam się uspokajać.

– Gosiu...? – zawiesiła głos Bogna i utkwiała we mnie przenikliwe spojrzenie.

– Co tam?

– Podobno wrócił uczeń wróża...

Poniekąd spodziewałam się dzisiaj tego pytania. Przez ostatni rok Mieszko był prawdziwą sensacją w okolicy. Nie było chyba panny (a także mężatki), której pozostałby obojętny z tym całym swoim samczym magnetyzmem.

Poza tym, nie oszukujmy się, było na czym oko zawiesić. Oj, było.

– Wrócił. – Wzruszyłam ramionami.

– A... czemu? – Luba rzuciła to pytanie niby od niechcienia, ale doskonale widziałam napięcie w jej wyprostowanej szyi i palcach niecierpliwie szarpiących

włosy.

Luba chyba od dawna miała na niego oko. Zrozumiałam nagle, że moje pojawienie się w Bielinach musiało nie być na rękę miejscowym pannom. Przybyłam znikąd i od razu sprzątnęłam im sprzed nosa przystojnego kawalera.

Mieliśmy niby dwudziesty pierwszy wiek, ale tradycja wciąż była ważna. Zwłaszcza w małych miejscowościach. Kobieta powinna mieć męża i dzieci. Zwykle nie szukało się go daleko. Pomyślałam o koleżankach ze studiów i z liceum. Większość poznała swoją miłość w jednej ławce.

Westchnęłam. Jeszcze na studiach byłam na kilku ceremoniach swańcy koleżanek. Ani razu nie zostałam poproszona o bycie swachą, ale głównie było to spowodowane moim daleko idącym wycofaniem z jakiegokolwiek życia społecznego. Miałam studia, w domu książki, mamę, zajęcia zumba ze Sławą, kawę ze Sławą, kino ze Sławą. Pomimo ciepła ognia znowu zrobiło mi się zimno. Wiem, że mnie pilnowała, a ja jestem typem samotnika, jednak to niepokojące, że wolny czas spędzałam tylko z nią.

– Gosiu? Gosiu! Czemu tak nagle zamilkłaś? – Bogna strzeliła kilka razy palcami, jakby chciała wytrącić mnie z transu, w który wpadłam. – Masz, napij się. Jakoś policzki ci pobladyły.

Posłusznie sięgnęłam po podaną mi butelkę miodu. W środku było jeszcze bardzo dużo trunku.

– Przepraszam, zamyśliłam się – odpowiedziałam. – Właśnie dotarło do mnie, że ostatni raz byłam na prawdziwej swańcy, gdy byłam dzieckiem. Nigdy też nie brałam udziału w takim przygotowaniu.

– Świetnie sobie poradziłaś – stwierdziła Bogna. – Byłaś zajebista! Mam nadzieję, że nie będziesz miała mi tego za złe, ale zamierzam cię polecić paru osobom.

Przeciągnęła dłonią po skórze i uśmiechnęła się.

– A te specyfiki? Pierwsza klasa! Można je kupić?

– To specjalna mieszanka do rytuałów, ale Baba Jaga produkuje też wiele balsamów do codziennego użytku – powiedziałam. – Ostrzegam jednak, nie są tanie. Wyrabia je, gdy dostanie zlecenie, nie leżą nie wiadomo ile w piwnicy. Także sama świeżyzna na zamówienie.

– W takim razie zgłoszę się do niej, gdy tylko wróci – skwitowała. – Szkoda, że nie będzie jej na naszej swańcy.

Jakoś wcale nie słyszałam żalu w jej głosie.

– Ale ty będziesz, Gosiu, prawda? – zagadnęła.

– Będę zaszczyczona – odparłam zgodnie z prawdą.

– A weźmiesz ze sobą Mieszka? Bo wiesz, może być twoją osobą towarzyszącą.

A więc tu jest pies pogrzebany!

– Nie wiem... – urwałam.

Chyba nie wypadało powiedzieć, że nie byłam pewna, czy będzie chciał iść. Mieszko bywał gburem. Kto go wie, czy będzie chciał być moją osobą towarzyszącą?

– Zapytam go. Jeśli będzie mógł przyjść, to go zabiorę – obiecałam.

– A w ogóle, to co jest między wami? – Luba spiorunowała mnie wzrokiem.

– Nie rozumiem.

– Jesteście parą?

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, a potem je zamknęłam. W sumie to sama nie znałam odpowiedzi na to pytanie. Popiłam dla kurażu. Krew w moich żyłach znowu żywiej popłynęła, gdy przed oczami stanęła mi jego twarz.

– To skomplikowane – odparłam w końcu.

– U mnie i Cieszka było podobnie. – Bogna oparła się wygodnie na leżaku i spojrzała na księżyc. – Praktycznie sama musiałam mu się oświadczyć... Te chłopy... za grosz rozumu. W każdym razie serdecznie cię zapraszam na moje wesele. Może jak zatańczycie, to zrozumie, że warto byłoby się koło ciebie zakręcić.

Luba spochmurniała. Wyraźnie było po niej widać, że jej taka możliwość nie satysfakcjonowała.

– A on nadal uczy się na wróża? – zapytała jedna z dziewczyn.

– Nie, już nie. Kupił ziemię w Bielinach. Chyba chce zostać rolnikiem – zaśmiałam się.

O dziwo, tylko ja się śmiałam. Reszcie dziewcząt zabłyśły oczy. Jak widać, jako osoba z dużego miasta zupełnie nie potrafię takich rzeczy zrozumieć ani docenić. Wyobraziłam sobie Mieszka machającego widłami lub łopatą. W ogóle mi to do niego nie pasowało. Nie wiem, jak ze swoją cierpliwością będzie w stanie cokolwiek uprawiać.

Chociaż wspominał coś o remoncie. Może jak się z siekierą i młotem wyżyje na niepotrzebnych ściankach działowych, to będzie w stanie w spokoju zająć się rolnictwem.

Z drugiej strony może mylnie zakładałam, że pociąga go praca na roli? Może chciał hodować zwierzęta?

Oby tylko nie wyciął tych czereśni...

– Aha, Gosiu? – Bogna sięgnęła po słój z mazidłem szeptuchy. Na dnie zostało się go jeszcze trochę. – Mogę się jeszcze posmarować?

– Jasne. Tylko w tym jest sporo afrodyzjaków. Jeśli wracasz dzisiaj do domu, do Cieszka, a chcesz zachować czystość przedmażeńską, to uważaj – przestrzegłam.

Na słowo „czystość” parsknęła.

– O to mi chodzi, żeby poczuł te afrodyzjaki! – oświadczyła.

Maznęła się miodem, ale nabrała go odrobinę za dużo. Wychyliła się w moją stronę i pacnęła mnie po ramieniu, pozbywając się nadmiaru.

– Też sobie rozsmaruj. Masz koszarne dłonie. Czy ty całymi dniami łopata machasz? – zapytała.

– A jakoś ostatnio tak wyszło – przyznałam.

Wmasowałam specyfik o upajającym zapachu w dłonie i nadgarstki. Po chwili postanowiłam jeszcze posmarować oparzenie na szyi. Nie spodziewałam się, że od maści zniknie, ale może chociaż stanie się mniej widoczne?

– Hej, dziewczyny! Zobaczcie, jaką aplikację na telefon znalazłam! – zawołała jedna z dziewcząt. – Nazywa się Demon w Tobie. Zarabista jest! Okazało się, że jestem tak naprawdę brzeginią, która pluska się w rzeczce i macha nóżką, zwabiając do siebie niczego nie podejrzewających mężczyzn, by potem ich niećnie wykorzystać!

– A to faktycznie do ciebie pasuje! – skwitowała inna.

Wstałam i ruszyłam do leśniczówki po ubrania. Pomimo ogniska zaczęłam już czuć chłód nocy. Narzuciłam sukienkę i wzięłam buty. Stopy miałam niemożliwie brudne od chodzenia na bosaka po leśnej ściółce.

Wkładając sandały, usiadłam na łóżku, na którym spaliśmy z Mieszkiem. Uśmiechnęłam się do siebie i pogłaskałam szorstki koc przykrywający posłanie. Przypomniałam sobie smak jego pocałunków, zapach skóry. W dole mojego brzucha rozszalał się ogień.

– Głupia – sama się skarciłam.

Gdy wróciłam, dziewczyny zaśmiewały się, patrząc na wyświetlacze telefonów.

– Gosiu! Musisz zrobić sobie ten psychotest. Genialny jest! Okazało się, że jestem piękną rusalką – powiedziała zachwycona Bogna.

Uśmiechnęłam się pod nosem i sięgnęłam po telefon, który wepchnęła mi w rękę. Aparat był w różowym, futerkowym pokrowcu z zamocowanymi pomponami. Lubiłam takie zabawy. Psychotesty zawsze mnie bawiły. Przemknęłam szybko przez pytania na temat spędzania wolnego czasu, zainteresowań, ulubionej potrawy i wielu innych. W końcu kliknęłam na ikonkę „sprawdź wynik”.

Uczestniczki zabawy zaczęły się ubierać, nagle wstydząc się swojej nagości. Obserwowałam je kątem oka, czekając, aż symbol ładowania strony na wyświetlaczu smartfona wreszcie przestanie wirować.

Nagle na ekranie pojawił się wynik. Okazało się, że jestem...

...strzygą.

Ziewnęłam. Było mi ciepło, wygodnie i przyjemnie. Nie chciałam wstawać. Chciałam zostać w tym łóżku już na zawsze. Wtuliłam twarz w poduszkę i odetchnęłam. Pachniała dziwną mieszanką cytrusów, ziół, morza i miodu.

Pachniała Mieszkiem.

Zmusiłam się do uchylenia powiek. Obraz powoli robił się coraz ostrzejszy. Zamrugałam, nie rozpoznając miejsca, w którym się znajdowałam. Z sufitu nade mną zwisała goła żarówka na kablu. Przetarłam oczy, ale nadal widziałam to samo.

Hm... Zaczęła ogarniać mnie panika.

Przekręciłam się na bok. Naga ściana, którą miałam niemalże na wyciągnięcie ręki, wyglądała na wyjątkowo nierówno otynkowaną. Podłogę stanowiła jedynie betonowa wylewka. Kątem oka dostrzegłam olbrzymią, rzeźbioną w ciemnym drewnie szafę. Bogate zdobienia były przykurzone.

Dotknęłam prześcieradła, które służyło mi za kołdrę. Podciągnęłam je do piersi i usiadłam.

Potoczyłam spojrzeniem po pomieszczeniu o sporych wymiarach, które zastawione było labiryntem mebli. Większość przykryto prześcieradłami podobnymi do tego, które dotykało mojej skóry. Jedynie szafa, biurko oraz stojące przy nim krzesło były odsłonięte. Na blacie biurka dostrzegłam kilka butelek po miodzie pitnym oraz talerz z niedojedzonym posiłkiem.

Przez oparcie krzesła przewieszona była moja sukienka. Nigdzie nie widziałam kostiumu kąpielowego. Wsunęłam rękę pod prześcieradło i stwierdziłam, że jestem naga.

No cóż... Nie pomogło mi to w żadnym razie w lokalizacji bielizny.

Siedziałam w łóżku o królewskich wręcz rozmiarach. Bogato zdobiona rama wyglądała na zabytkową i bardzo drogą, w przeciwieństwie do naprędce rzuconej pościeli. Z bijącym szaleńczo sercem odwróciłam się do leżącego obok mężczyzny.

Mieszko.

Serce odrobinę zwolniło.

Jeszcze spał. Leżał na wznak. Jedno ramię miał podłożone pod głowę, a drugą rękę położył na brzuchu. Idealnie gładka klatka piersiowa zachęcała, by jej dotknąć i przekonać się, czy jest prawdziwa.

Zrozumiałam, że jestem w jego nowo zakupionym domu, który – sądząc po stanie ścian – wymagał niewątpliwie bardzo długiego remontu.

Nie miałam zielonego pojęcia, jak się tutaj znalazłam.

Zaczęły napływać do mnie pojedyncze obrazy. Miałam wrażenie, że są jak kawałki mozaiki. Musiałam je tylko właściwie poukładać i wszystko mi się przypomni.

Pamiętałam, że Bogna oświadczyła, iż jej mama obiecała przyjechać po nie

busem, który specjalnie na tę okazję wynajęli. Zaproponowała, że odwiozą mnie do domu i pomogą zanieść rzeczy.

Jednak zanim zadzwoniła po matkę, jeszcze piłyśmy i po raz ostatni tańczyłyśmy dookoła ognia. Potem po raz kolejny modliłyśmy się do Mokosz. Płomienie... płomienie tak wysoko strzelały.

Wysiadłam przed domem szeptuchy. Tak, przyjechałam tam busem. Pamiętam. Pożegnałam się z nimi i weszłam do środka.

Objęłam głowę dłońmi, jakby mogło mi to w jakikolwiek sposób pomóc w przypomnieniu sobie zdarzeń poprzedniej nocy.

Dom, dom szeptuchy.

Tak! Kolejne elementy układanki wpadały na swoje miejsce. Weszłam do środka. Zdjęłam sandały i poszłam do swojej sypialni. Już miałam się położyć, ale przez okno zobaczyłam dom Mieszka.

Zerknęłam na mężczyznę. Jego uchylone usta wykrzywiały się w delikatnym uśmiechu, jakby śniło mu się coś bardzo przyjemnego.

Łopata.

Patrząc na jego dom, pomyślałam, że powinnam przekopać ziemię przed progiem. Wciąż mógł się tam znajdować trupi jad rozlany kiedyś przez Jarogniewę. Nie chciałam, żeby zaszkodził Mieszkowi. Nie chciałam, by się rozpił.

Dlaczego jednak pomyślałam, że środek nocy to idealna godzina na przekopanie ziemi?

Zdecydowanie to ja powinnam przestać pić, a nie on.

Co było dalej? Łopata to ostatni obraz, który pojawił się przed moimi oczami. Szłam z łopatą. Nie mieszkał daleko. Szybko pokonałam dzielącą nas odległość. Jego dom był jak opuszczony. W oknach nie paliło się ani jedno światło.

Zaczęłam kopać.

Jakim cudem znalazłam się w jego łóżku?

Co stało się później?

Położyłam się na poduszce i wbiłam spojrzenie w wiszącą samotnie żarówkę. Nie pamiętałam niczego więcej.

Zasłoniłam dłońmi twarz. Gosiu! Ty głupia! Poczułam delikatny zapach ziół i miodu, który wciąż wydzielala moja skóra. Od razu się rozbudziłam. Krew żywiej popłynęła w moich żyłach. W jednej chwili zaczęło mi przeszkadzać, że leżę obok mężczyzny, nawet go nie dotykając.

Co magia Mokosz ze mną zrobiła? Co ja zrobiłam?

Co to za mazidło do skóry, na litość wszystkich bogów?! Jakies narkotyki w żelu czy co?! Już ja się rozmówię z Babą Jagą, jak tylko wróci.

Obróciłam twarz w stronę twardo śpiącego mężczyzny. Wydawało się, że nic nie może go obudzić.

Okej, przecież jestem utalentowaną widzącą. Zdołam wyciągnąć z jego

pamięci wspomnienia tej nocy. Już kiedyś mi się udało. Muszę się dowiedzieć, co się stało. W innym wypadku chyba zapadłabym się ze wstydu.

Powoli położyłam się na boku tak, że miałam Mieszka dokładnie naprzeciwko siebie. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego ramienia.

Zamknęłam oczy.

Łazienka przedstawiała sobą obraz nędzy i rozpacz. Wpuszczony w ziemię prysznic w ogóle nie trzymał poziomu, woda, zamiast spływać do ścieku, zalewała całą podłogę. Zirytowany Mieszko zakręcił kurek i uderzył pięścią w ścianę.

Jedna z białych płytek odpadła i z głośnym pluśnięciem wpadła do wody sięgającej mu niemal do kostek.

Załamał rękę.

Nie oglądając się za siebie, wyszedł z łazienki, łapiąc po drodze czarny ręcznik z wieszaka. Szedł przez pusty budynek, zostawiając za sobą mokre odciski stóp. Przez niczym niezastłonięte okna wpadał do środka trupi blask księżyca.

Wytrzeł głowę i przewiązał się ręcznikiem w pasie. Kropelki wody błyszczały na jego plecach. Mięśnie grały pod skórą przy każdym zamaszystym kroku.

Zanim wszedł do salonu, który teraz pełnił funkcję sypialni, spojrzał na schody prowadzące na wyższe piętra. Westchnął ciężko, wyobrażając sobie, ile wysiłku będzie wymagało przeniesienie tam wszystkich mebli.

Najpierw musiał zadbać o betonowe schody.

Włączył światło. Pojedyncza żarówka, którą zawiesił na kablu, rzucała niewiele więcej światła niż wyjątkowo jasny dzisiaj księżyc.

Zrezygnowany usiadł za biurkiem i odsunął talerz z niedojedzoną kolacją. Spojrzał na wysoki zegar stojący, który kupił za psie pieniądze trzysta lat temu. Ustawił go w kącie pomieszczenia, żeby przypadkiem na niego nie wpaść i nie zniszczyć. Wskazywał kilka minut po pierwszej w nocy.

Mieszko sięgnął po butelkę z miodem i nalał go do niskiej szklanki. Prawie jednym haustem ją osuszył. Nigdy nie remontował żadnego budynku. Ta posiadłość była jego nowym wyzwaniem i celem. Za punkt honoru postawił sobie doprowadzenie domu do stanu używalności. Nie spodziewał się jednak, że będzie go czekało aż tyle wyzwań.

Ponownie sięgnął po butelkę.

Zatrzymał się w połowie ruchu. Usłyszał jakiś dziwny dźwięk. Ktoś niedaleko, głośno sapiąc, w czymś kopał. Mężczyzna wyraźnie słyszał chrzęst żwiru na metalowej łyżce łopaty. Spojrzał na uchylone okno, zza którego dobiegał zaskakujący hałas.

Jeszcze raz zerknął na zegar. Był środek nocy.

Wyjrzał przez okno, ale niczego nie mógł dostrzec przez załom muru.

Sapanie stało się wyraźniejsze i dziwnie znajome.

Nie zastanawiając się dłużej, ruszył w stronę drzwi wejściowych. Stawiając niemalże bezgłośnie gołe stopy na betonowej wylewce, przeszedł do szerokiego holu. Na chwilę zamarł z ręką nad klamką. Dźwięk kopania wyraźnie dochodził zza jego drzwi.

Co się dzieje, na wszystkich bogów?

Otworzył je jednym szarpnięciem. W żadnym razie nie spodziewał się, że po drugiej stronie zobaczy Gosię, na bosaka, w wianku na głowie, przekopującą jego próg. Była tym tak zaaferowana, że w pierwszej chwili nie zauważyła nawet, że Mieszko stoi tuż obok.

Drgnęła przestraszona, gdy odchrząknął.

– Oj – powiedziała tylko.

Stylisko łopaty wysunęło się z jej zdrętwiałych dłoni i z głuchym dźwiękiem upadło na ziemię. Tuż pod progiem domu ziała głęboka na jakieś trzydzieści centymetrów dziura. Przez głowę Mieszka przebiegła myśl, że ostatnio, jak Gosia kopala dołek na szosie, by odnaleźć kamień księżycowy, szło jej o wiele gorzej. Ale też nie miała porządnego szpadla – poprawił się w myślach.

– Obudziłam cię? – zafrapowała się.

– Nie, jeszcze nie spałem – zaprzeczył szybko. – Gosiu, co ty, na miłość wszystkich bogów, robisz? I to o tej godzinie?

– Miłość bogów – powtórzyła, kiwając głową.

– Gosiu?

– Nie masz ostatnio zwiększonego pociągu do alkoholu? – zapytała zniecierpliwiona i wbiła spojrzenie w dziurę w ziemi.

Ścierpła mu skóra. Gosia zachowywała się wyjątkowo dziwnie. Wyciągnął w jej stronę rękę i złapał ją za dłoń. Podniosła głowę zaskoczona i zamrugowała kilka razy, jakby obudził ją ze snu.

– Chodź do mnie. – Pociągnął ją delikatnie w swoją stronę.

– Ale muszę jeszcze...

– Dokończysz rano. Chodź do mnie.

Przeskoczyła zgrabnie dołek i wylądowała na drewnianym progu. Oparła się o jego nagą pierś. Położyła wolną dłoń na jego sercu. Zafascynowana wpatrywała się w biel swoich palców na tle jego złocistej skóry.

Jedna z gałązek wianka podrapała go w szyję. Cofnął się, wciągając Gosię do domu. Zamknął drzwi i pochłonął ich panujący wewnątrz mrok.

– Co ty robiłaś? Czemu włóczysz się sama po nocy? – zapytał.

Pociągnął ją w stronę salonu, w jedyne miejsce, gdzie można było na czymś usiąść. Posłusznie szła za nim, rozglądając się z ciekawością po pustych, ponurych wnętrzach.

– Nigdy nie byłam w środku – oznajmiła. – Nie wiedziałam, że tutaj jest aż

tyle miejsca.

– Tak, ale jeszcze czeka mnie dużo pracy – mruknął. – Później będzie to wyglądało znacznie lepiej.

– Mnie się już podoba.

Weszli do salonu. Zmrużyła oczy pod wpływem światła. Mieszko oparł dłoń na jej plecach i poprowadził ją do krzesła. Opadła ciężko na siedzenie. Uklęknął naprzeciwko niej. Uchyliła powieki. Dostrzegł, że źrenice jej zielonych oczu są nienaturalnie rozszerzone.

Wyciągnęła dłoń w jego stronę i pogładziła go po policzku. Poczł zapach miodu i ziól. Aromat był tak upajający, tak słodki. Na chwilę zakręciło mu się w głowie.

Odsunął się gwałtownie, by nie mogła dłużej go dotykać. Znał ten zapach. Wiedział, co on oznacza. Scałowywał go już kiedyś ze skóry kobiety. Dobrze pamiętał zwierzęce pożądanie, które go wtedy ogarnęło, a które ogarniało każdego mężczyznę pod wpływem tego zapachu.

– Gosiu, co ty dzisiaj robiłaś? – zapytał.

– W ten weekend będzie swańba w Bielinach. Zostałam poproszona o przygotowanie rytuału płodności. Tańczyłyśmy dzisiaj przy ognisku, wychwalając boginię – wyjaśniła zadowolona. – Nago! Uwierzysz? Ja tańczyłam nago!

Jeszcze raz powiódł spojrzeniem po jej ciele. Nawet z rozwianymi włosami, zarumienionymi policzkami i przykurzonymi stopami była piękna. Zwłaszcza gdy rozpierało ją szczęście.

– Przepraszam, że ci przeszkodziłam. Muszę usunąć klątwę, którą Jaga nałożyła na mieszkańców tego domu wiele lat temu – oznajmiła.

– Klątwę? A powiedz mi, Gosiu, ile wypiliście podczas tych tańców? – Nie mógł powstrzymać uśmiechu, który cisnął mu się na usta.

– Trochę nalewki z lipy, ale to było po dwa łyki na głowę. Do tego wypiałam odrobinę miodu – odparła. – A potem tańczyłyśmy nago przy ognisku i kąpałyśmy się w jeziorze! Tym obok leśniczówki! My też kiedyś kąpaliśmy się tam nago...

Brwi mężczyzny uniosły się do góry. Nie spodziewał się, że wciąż praktykowano te dawne zwyczaje.

Przypomniało mu się, jak kiedyś, w niemalże innym życiu, zakradł się z Gardem podglądać taki rytuał. Przyszła żona jego druha przygotowywała się do ich swańby. Widok kobiecego sposobu oddawania czci Mokosz i Chors zapadł mu w pamięć na zawsze. Teraz, po czasie, wiedział, że przychodzenie tam nie było zbyt mądre. Jemu udało się uciec, ale Gard przeżył swoją noc poślubną wcześniej, niż planował, wprost na gołej ziemi.

Poczł podniecenie na myśl o Gosi tańczącej nago dookoła ogniska. Odsunął się od niej jeszcze bardziej.

– Zależy mi na tobie – oświadczyła niespodziewanie. – Nie pozwolę, żebyś się rozpił przez klątwę. Uratuję cię.

Coś w jego piersi przeskoczyło, zaskoczyła go tym wyznaniem. Teraz on pogłaskał ją po policzku. Cofnął szybko dłoń, gdy zrozumiał, co robi. Nie powinien dotykać jej zbyt długo. Miała na swojej skórze starą magię praktykowaną przez zielarki.

– Już mnie uratowałeś.

Wstał i delikatnie zdjął jej z głowy wianek. Jego palce poparzyła pokrzywa ukryta między liśćmi. Na ziemię posypały się ziarna pszenicy. Wbiła w niego swoje rozszerzone źrenice i rozchyliła usta. Odszedł na bok, by położyć wianek na ziemi.

Gdy się do niej odwrócił, stała już naprzeciwko niego. Jej sukienka wisiała przewieszona przez oparcie krzesła. Spojrzał na biały kostium, który miała na sobie. Jej skóra lśniła w świetle żarówki jak naoliwiona.

– Pocałuj mnie – zażądała.

– Odbyłaś dzisiaj rytuał płodności i jeśli się nie mylę, to taki w starym stylu – powiedział ostrożnie. – Nie chcę, żebyś zrobiła coś, czego będziesz żałowała.

– Nie będę żałowała.

– Powinnaś zmyć ze swojej skóry... magię. – Cofnął się. – Nie jesteś teraz sobą, a ja nie powinienem tego wykorzystywać.

Kobieta podążała za nim krok w krok, nie spuszczać z niego głodnego wzroku. Miał wrażenie, że pieści go swoim spojrzeniem. Zaśmiał się w głos i pokręcił głową z niedowierzaniem. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek będzie uciekał przed kobietą, której tak pożąda, że najchętniej kochałby się z nią choćby na biurku, obok którego stali.

– A gdzie jest łazienka? – zapytała, zmieniając nagle front. – Zaprowadź mnie tam.

– Chodź za mną.

Nauczony doświadczeniem już jej nie dotykał. Słyszał, jak po cichu kroczy za nim. Nagle dobiegło go jej ziewnięcie. Nie wiedział, czy ma się z tego cieszyć, czy żałować.

Najwyraźniej zaczęło dopadać ją zmęczenie.

Zapalił światło w łazience. Woda zdołała już spłynąć, ale podłoga wciąż była wilgotna. Minęła go bez słowa i weszła do środka. Potoczyła spojrzeniem po białych, odrapanych kafelkach. Jej bosa stopy zostawiały za sobą czarne ślady.

Sięgnęła do zapięcia stanika. Po chwili skrawek materiału poleciał w jego kierunku. Zagapiony na jej piersi niemalże w ostatnim momencie zdołał go złapać. Gdy odwieszał go za ramięczko na kołek wbity w ścianę, Gosia pozbyła się również majtek.

Mieszko poczuł, że złamie wszystkie obietnice, które sobie złożył tej nocy,

jeśli natychmiast nie ucieknie. Powinien wyjść. Powinien wyjść z łazienki w tej chwili i zostawić ją samą.

Gosia weszła pod deszczownicę i przekręciła kurki. Wiedział, że instalacja nie szwankuje i ani się nie poparzy, ani nie poleje lodowatym strumieniem. Jakimś cudem woda w jego nowym domu ogrzewana piecem gazowym leciała zawsze w dobrej temperaturze. To jedyna rzecz, która działała poprawnie.

Szyba, która przedzielała łazienkę na pół, zaparowała. Gosia zniknęła mu z oczu. Odetchnął i zaczął powoli się wycofywać.

Nagle poczuł zapach miodu, ziół i pożądania. Para unosząca się w powietrzu była nim przesiąknięta. Jego silna wola momentalnie stopniała.

– Mieszko?

Wysunęła się zza szyby. Jej mokre włosy zasłaniały piersi, ale nic więcej. Wyciągnęła w jego stronę dłoń.

Nie był w stanie się wycofać. Nie teraz.

Otoczyły ich kłęby pary. Ręcznik, który miał przewiązany w pasie, opadł na ziemię. Wziął ją w ramiona. Woda z prysznicą spłynęła po jego plecach, gdy pchnął ją delikatnie na ścianę.

Złapała go za kark i gwałtownie przyciągnęła do siebie. Ich wargi i języki spotkały się. Mieszko zaczął sunąć ustami po jej ciele, doprowadzając tym siebie i ją do szaleństwa. Cała jej skóra smakowała miodem.

W żyłach Mieszka zabrzmiała dzika muzyka. Złapał ją w talii i uniósł do góry. Oplotła go w pasie nogami i przejechała paznokciami po silnych ramionach.

Ich języki zabrzmiały razem, w zgodnym rytmie.

Gdy woda już dawno zalała korytarz, Mieszko wyniósł Gosię z zaparowanej łazienki. Wtulała twarz w jego szyję i gładziła go palcem po bliźnie nad sercem. Czuł jej ciepły oddech na swojej skórze. Wiedział, że powinien być wyczerpany, ale rozsadzała go energia.

– Postaw mnie – szepnęła.

Poczuł jej usta i język na szyi tuż pod uchem. Wykonał rozkaz. Obrzuciła go pełnym pożądania spojrzeniem. Przełknął ślinę, zerkając na łóżko, na którym leżał tylko goły materac i dwie poduszki. Jednym szarpnięciem zerwał prześcieradło ochraniające przed kurzem olbrzymią dębową szafę. Gosia w tym czasie zgasiła światło.

Rzucił materiał na łóżko i odwrócił się do niej. Chors opromieniał jej skórę. Sprawiała wrażenie nocnej zjawy, bytu ze snu. Pchnęła go, aż poczuł za sobą brzeg łoża. Usiadł na nim i pociągnął ją za sobą.

Jej skóra nadal smakowała pożądaniem. Woda nie zdołała zmyć tego aromatu.

Otworzyłam oczy. Moja pierś unosiła się w głębokim oddechu. Teraz już pamiętałam wszystko. Byłam w wizji w jego głowie, widziałam się jego oczami, ale jednocześnie moje wspomnienia do mnie wróciły.

Wciąż jeszcze czułam na języku jego smak, moja skóra mrowiła tam, gdzie jej dotykał, całował, gryzł.

Uśmiechnęłam się do siebie. Strach zniknął. Nie żałowałam tej nocy. W żadnym razie. Miałam wrażenie, że po raz pierwszy niczego się nie bałam. Byliśmy tylko ja i on. Nie było bogów, nie było kwiatu paproci. Byliśmy tylko my i nasze ciała.

Zamyśliłam się. Z zaskoczeniem odkryłam, że dziura, która ziała w moim sercu od śmierci Mszczuja, powoli się wygoiła. Wiedziałam, że wyrzuty sumienia zostaną ze mną na zawsze, ale nie czułam już, że mam jego krew na rękach.

Spojrzałam na Mieszka. Ciągle spał. Nie obudził się, gdy wykradałam mu z głowy wspomnienia.

– Mój książę z bajki – mruknęłam do siebie.

Teraz nie tylko ja pachniałam szeptuchową mieszanką ziół. Jego skóra zbyt długo dotykała mojej. Oboje pachnieliśmy pożądaniem.

Zsunęłam z siebie prześcieradło i przysunęłam się do mężczyzny.

Westchnął, gdy wyrwałam go ze snu. Nie pozwoliłam mu się całkiem obudzić. Zaczęłam go całować.

Zamierzałam dobrze wykorzystać swój dzień wolny.

Dni do swańby minęły mi bardzo szybko. Rzuciłam się w wir pracy, poza tym skupiłam się na nauce. Przewertowałam kilkakrotnie zeszyt babci Jarogniewy i nauczyłam się na pamięć większości przepisów. Poza tym wreszcie przebrnęłam przez bestiariusz, który kiedyś podarowała mi szeptucha.

Nie miałam już więcej żadnych wymówek, żeby się opieprzać. Minęła połowa mojego stażu. Czas najwyższy zabrać się do roboty!

W końcu czekał mnie egzamin na koniec. Co prawda miałam zdawać go ustnie u Baby Jagi, ale byłam głęboko przekonana, że nie mogę liczyć na żadną taryfę ulgową. Nie będzie niczego po znajomości, nie dostanę na ładne oczy ani jednego podpisu w mojej książeczce stażowej. Nawet to, że narażając kręgosłup, przekopałam cały ogródek, żeby zrobić ochronny pierścień z soli, nie będzie miało znaczenia.

Jakimś cudem, gdy tylko zaczęłam się uczyć, robić notatki, zakreślać, podkreślać, oznaczać kolorowymi karteczkami, świat nagle stał się lepszy. Zdałam sobie z tego sprawę wczoraj wieczorem, gdy zawałam cały stół w kuchni podręcznikami i rozsiadłam się obok z kubkiem melisy zadowolona z siebie jak nigdy.

Szkoda, że Baba Jaga mnie nie widziała. Chybaby się jej łezka w oku zakręciła, że wreszcie wzięłam się do roboty.

Zadzwoiłam do niej dzisiaj i na szczęście miała już wrócić w niedzielę. Trochę za nią tęskniłam, poza tym samotne mieszkanie w jej domu nie należało do najprzyjemniejszych. Mimo wszystko nie byłam u siebie, byłam gościem. Miałam wrażenie, że ten dom skrywa jakieś tajemnice, które niekoniecznie chcą być przeze mnie odkryte.

Spojrzałam na Mieszka. Siedzieliśmy teraz w jego samochodzie. Terenówka podskakiwała na wybojach i przechylała się niebezpiecznie na boki, gdy zbyt gwałtownie wchodził w zakręty. Obserwowałam niezadowolonego mężczyznę kątem oka. Oczy osłonił czarnymi okularami przeciwsłonecznymi. Usta zacisnął w wąską kreskę. Gdyby nosił zegarek, pewnie zerkałby na niego niecierpliwie.

Prześlizgnęłam się spojrzeniem po jego włosach. Ostrzygł je na dawną modłę. Wyglądał jak Dagome z moich wizji. Przez krótkie ścięcie po bokach doskonale było widać jego uszy ściśle przylegające do głowy. Dłuższy czub opadał mu na czoło, ale nie wpadał uparcie do oczu tak jak poprzednio.

Pochwaliłam go za nową fryzurę, gdy dzisiaj się spotkaliśmy po raz pierwszy od tamtej nocy.

Tamtej nocy pełnej magii.

Stwierdził, że ostrzygł się, bo włosy mu przeszkadzały. Obśmiałam go, że postanowił przeistoczyć się w słowiańskiego wojownika, by wielki, zły remont go

nie pokonał. Rzecz jasna, obraził się na mnie za te słowa.

Zaprosiłam go na swańbę i wesele Bogny rankiem, gdy już zdołaliśmy się sobą nasycić. Zgodził się. Przyznam szczerze, że nawet nie miałam kłopotu z przekonaniem go do tego. Wystarczyło tak mimochodem, zupełnie przypadkiem wspomnieć, że w innym razie będę towarzyszyła Witkowi. Nie byłam z siebie dumna, że tak go podchodziłam, ale zadziałało.

Ostatnio Mieszko sumiennie układał kafelki w łazience i najwyraźniej zrobienie sobie przerwy w pracy uważał za coś poniżej swojej godności. Biedak chyba nie podejrzewał, że tyle czasu zajmie mu te kilka metrów. Zaproponowałam, że mu pomogę w wolnej chwili, ale zareagował jak pies, któremu chce się odebrać zabawkę.

Dobrze, że nie odgryzł mi głowy...

– Twoja swańba też była pod świętym dębem? – zagadnęłam.

Daleko przed nami, na drodze prowadzącej do puszczy, ustawił się już długi rząd samochodów. Większość gości weselnych postanowiła zobaczyć ceremonię. Jak na mój gust nie było tam wystarczającej ilości miejsca, ale ja się nie znam. Bogna uparła się, że chce mieć tradycyjną swańbę pod dębem. Wydawało jej się to o wiele romantyczniejsze od ceremonii w świątyni w Kielcach.

Rzeczywiście, goście musieliby strasznie daleko jechać, bo na wesele została wynajęta sala pod Bielinami. Święty dąb był znacznie bliżej niż Kielce. Poza tym, jak mi wyjaśniono, w Bielinach był zwyczaj składania przysięgi w obliczu Świętowita.

– Która? – mruknął.

Zdjął okulary przeciwsłoneczne i powiesił je w rozchełstany dekolcie tradycyjnej koszuli. Zmrużył oczy oślepiiony ostrym słońcem.

Westchnęłam. Skubany mógłby tak dobrze nie wyglądać. Nie ułatwiał mi tym życia.

– Nie wiem – burknęłam. – Z Dobrawą? Z Ote?

– Z Dobrawą była w świątyni, a z Ote w chramie².

Samochód zwolnił. Pod kołami zachręściły kamyczki. Asfalt pokruszył się, przemieniając w pełną kolein i dziur pułapkę. Mieszko gwałtownie skręcił kierownicą. Rzuciło mnie na drzwi, bo nie zdążyłam się złapać. Zaparkował tyłem do lasu, o mało nie kasując bagażnika innego auta.

– Mogłeś ostrzec – jęknęłam, rozmasowując ramię.

– Przepraszam.

Szarpnął za hamulec ręczny i wyłączył silnik.

– Czego się tak wściekasz? – mruknęłam. – Masz mnóstwo czasu na ułożenie tych kafelków. Przecież ci nie uciekną!

Spojrzał na mnie. Nachmurzone spojrzenie odrobinę złagodniało.

– Nie podejrzewałem, że ten dom to taka ruina – stwierdził.

W jego głosie usłyszałam zmęczenie.

– Stał pusty wiele lat. – Wzruszyłam ramionami.

– Poprzedni właściciele nie bardzo o niego dbali – dodał.

– Tak, podobno mieli różne kłopoty. – Odchrząknęłam. – Idziemy?

Nie wracaliśmy do tematu mojego gorączkowego przekopywania jego progu. Usunął nagromadzoną tam ziemię i zasypał dołek czystą glebą, tak jak go poprosiłam.

Wysiadłam z terenówki. Obcasy moich wysokich szpilek od razu wpadły pomiędzy kamienie. Zachwiałam się. Mieszko szybko okrążył samochód dookoła i doskoczył do mnie, zanim runęłam jak długa.

Chyba jednak wolałabym, żeby Bogna zdecydowała się na swaćbę w murowanej świątyni w Kielcach otoczonej chodnikami i asfaltem.

Mieszko objął mnie w talii i podał rękę. Tak zabezpieczona mogłam przewracać się do woli. Książę z bajki na pewno by mnie złapał bądź upadł razem ze mną. Chociaż po dłuższym zastanowieniu – lepiej, żeby się ze mną nie przewracał. Przy moim szczęściu upadłby na mnie, a przy jego masie mięśniowej pewnie połamałby mi żebra albo wręcz zabił na miejscu.

W żółtym tempie ruszyliśmy ścieżką w stronę dębu. Po drodze mijaliśmy gości, którzy tak jak my przybywali na ostatnią chwilę. Kobiety zerkały z ciekawością i zazdrością na mojego towarzysza. Miałam ochotę pokazać im wszystkim język.

Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem Świętowit się nie wścieknie, że mu rozdeptujemy las.

– Czemu zapytałaś? – Mieszko delikatnie ścisnął moje palce.

– Pytałam? O co? – zmusiłam się, żeby oderwać spojrzenie od ścieżki i zerknąć na niego.

– Nieważne – mruknął. – Uważaj!

W ostatniej chwili przeskoczyłam korzeń, który przebił się pomiędzy płaskimi kamieniami, którymi przed laty wyłożono drogę prowadzącą do dębu.

– Powinnaś była włożyć inne buty – zauważył Mieszko.

– W innych butach moje nogi nie byłyby tak zniewalające – oświadczyłam z wilczym uśmiechem.

Zaśmiał się.

Mieszko chciał zatrzymać się z tyłu, ale ja zaczęłam się przepychać przez tłum, zmuszając go, by ruszył moim śladem. Nie chciałam, żeby Bogna pomyślała, że nie przyszłam. Poza tym byłam przedstawicielką szeptuchy. Powinnam stać na samym przedzie jako druga po żercy.

Gdybym pracowała w szpitalu, w życiu nie cieszyłabym się takim szacunkiem jak tu.

Sześćsetletni dąb o rozłożystych gałęziach ocieniał większą połąć polanki.

Obok jego potężnego pnia postawiono stół przykryty białym obrusem, na którym wyhaftowano ciemnozieloną nicią znak dłoni boga, czyli czterech skrzyżowanych ze sobą grabi o pięciu zębach. Na obrusie leżały: błyszczący w słońcu nóż, złożona płócienna chusta oraz olbrzymi korowaj też udekorowany symbolem dłoni boga. Skórka ciasta była ładnie zarumieniona, nie było na niej widać ani jednego przypalenia.

Uśmiechnęłam się na ten widok. Bogna zadbała, by był perfekcyjny. Przygotowano go poprzedniego dnia bez obecności mężczyzn. Na upieczenie weselnego chleba była niestety tylko jedna próba. Młodzi podczas składania przysięgi łączyli się kęsem korowaja, który stanowił również przepowiednię ich przyszłego małżeństwa. Przypalony bądź przesolony sugerował częste różnice zdań i problemy w przyszłym życiu rodzinnym.

Zakalec był największą klątwą, jaka mogła spaść na państwa młodych.

Jedna z moich koleżanek, która wychodziła za mąż na studiach, była jeszcze bardziej znerwicowana ode mnie. Kucharka z niej była wyjątkowo marna. Na trzy miesiące przed ślubem zaczęła się już stresować, czy na pewno zdoła upiec korowaj, miała kłopoty ze snem, zawałała kolejne egzaminy, nawet zaczęła obgryzać paznokcie. W końcu jej matka kupiła go w piekarni, bo już nie mogła na nią patrzeć.

Oczywiście dzisiaj mało kto wierzy w te wróżby. W Warszawie większość młodych osób kupuje pięknie przystrojone korowaje w sklepie.

Nie to co w Bielinach. Tu każda panna własnoręcznie zagniała ciasto, kształtując tym swoją przyszłość.

Jest w tym pewna doza romantyzmu.

Stanęliśmy z Mieszkiem w pierwszym rzędzie, nieopodal stołu, tak by widzieć i pannę młodą, i pana młodego, gdy już się pojawią. Niechętnie ustąpiono nam miejsca, ale nikt nie skomentował głośno, że się wpychamy. Bali się. W końcu mogłam spojrzeć krzywym okiem albo splunąć pod nogi. Klątwa do trzeciego pokolenia murowana.

Coraz bardziej podobało mi się to szeptuchowanie.

Mieszko zostawił mnie na chwilę, by zbliżyć się do świętego dębu. Pocałował opuszki palców i dotknął kory. Patrzyłam na niego, zachodząc w głowę, w co ten mężczyzna w zasadzie wierzy.

Na podstawie wizji jego przeszłości, którą bezczelnie wykradałam mu z głowy, łatwo było dojść do wniosku, że traktował wiarę w słowiańskich bogów jako przykrą codzienność i obowiązek. Wiedział, że bogowie istnieją, i tolerował ten stan rzeczy. Nie wydawał się zaskoczony, gdy okazało się, że rozmawiałam z Welesem i Świętowitem, więc już wcześniej musiał mieć z nimi jakiś kontakt. Najwyraźniej to Ote wprowadziła go w świat bogów i udowodniła, że istnieją naprawdę.

Mimo to nie podporządkował się religii tak jakby logika wskazywała. Przesunęłam spojrzeniem po jego muskularnej sylwetce, której nie potrafiła zatuszować nawet luźna koszula. W sumie był nieśmiertelny – sam mógłby zostać bogiem, gdyby ogłosił to publicznie.

Nie, poprawka. Kiedyś stałby się bogiem. Teraz zamknęliby go najpierw w psychiatryku, a jak już zdołałby udowodnić, że jego rany szybko się zasklepiają i nie można go zabić, to skierowaliby go do jakiegoś tajnego laboratorium i pokroili na kawałki, usiłując uzyskać esencję nieśmiertelności. Rzecz jasna, mogliby ją podać potem jakimś wpływowym politykom.

Oglądałam dużo amerykańskich filmów. Jestem przekonana, że właśnie tak to by się skończyło.

Pokręciłam głową. Do czego to doszło w tym dzisiejszym świecie? Nawet nie można być nieśmiertelnym... Mieszko i Sława mieli rację. To nie były dobre czasy dla osób z przeszłości.

Przestałam go obserwować i odwróciłam się do stołu. Witek stał za blatem i zapalał właśnie wysoką, grubą świecę z wrytymi symbolami Swaroga i jego synów. Spojrzał na mnie. Jego wzrok prześlizgnął się po moich długich nogach, zahaczył o rąbek sukienki. Materiał był bardzo dekoracyjny, delikatna koronka na podszewce z kwiatowym motywem oblekała mnie niczym druga skóra. Dopiero po chwili zdołał podnieść wzrok. Nie wiem, co zobaczył w mojej twarzy, może odbicie moich myśli? Przez chwilę widziałam błysk zdziwienia w jego oczach. Szybko się odwrócił.

Okej, widział mnie nago. Okej, nie powinnam nago paradować po lesie. Ale co z tego? Może to magia tamtego wieczoru, o ile założymy, że magia i szeroko pojęte uroki istnieją. Stało się. Nie odstanie się raczej od płochliwych spojrzeń. Bardziej stresowało mnie nasze wspólne wyjście na koncert i widok jego dłoni splecionej z moją. Ciągle nie wiedziałam, co powinnam o tym myśleć.

Hm... sporo się ostatnio zmieniło, a raczej ja się zmieniłam.

Mieszko napił się jeszcze ze strumienia, który wypływał spod głazu w pobliżu dębu i wrócił do mnie. Otarł wierzchem dłoni usta i podparł się pod boki. Nie wiedziałam, czy zauważył spojrzenie Witka.

Ogólne poruszenie, które zapanowało pomiędzy gośćmi sprawiło, że oderwałam wzrok od młodego żercy. Ścieżką nadchodzili młodzi oraz ich swaci. Ktoś wyciągnął flet i zaczął przygrywać skoczną melodyjkę przypominającą ptasie trele. Zaraz rozległ się także dźwięk bębna i skrzypiec.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Wszystko było perfekcyjne jak z filmowego kadru.

Bogna miała na sobie białą prostą sukienkę na ramiączkach ozdobioną połyskliwym haftem u dołu. Rozpuszczone włosy opadały delikatnymi falami na jej ramiona i plecy. Oczy lśniły niczym gwiazdy, a szeroki uśmiech i delikatne

rumieńce dodawały uroku.

Pan młody, Cieszymir, choć także ubrany odświętnie w śnieżnobiałą koszulinę, wyglądał zgoła inaczej. Rozbiegane spojrzenie wędrowało od Witka do Bogny. Gdyby nie to, że Bogna trzymała jego dłoń w morderczym uścisku, jestem pewna, że uciekłby, gdzie pieprz rośnie.

– Chyba ma wątpliwości – wyszeptał mi do ucha rozbawiony Mieszko.

Zakłęłam pod nosem za dreszcz, który poczułam, kiedy jego oddech załaskotał moją skórę.

– Przejdzie mu – stwierdziłam.

Swaci dzierżyli w dłoniach nakrycia głowy dla państwa młodych. Luba trzymała piękny wianek z polnych kwiatów oraz gałązek lipy, przeznaczony dla Bogny. Nieznany mi chłopak, któremu przypadła rola swata, dumnie niósł wianek dla Cieszymira spleciony z liści paproci i gałązek dębu, drzewa opiekuńczego mężczyzn. Dostrzegłam też liście i szyszki chmielu. A to jakaś nowość.

Pokiwałam głową. W sumie czemu nie? Oprócz działania uspokajającego chmiel jest także używany w schorzeniach prostaty. Pasuje na męski wianek.

– O czym myślisz? – zapytał Mieszko.

– O gruczole krokowym u mężczyzn.

W tym momencie ucichła muzyka. Kilka osób odwróciło się, bo jak się okazało, powiedziałam to odrobinę za głośno.

No tak.

Witek przywitał młodych otwartymi rękami. Posłał im uspokajający uśmiech i odezwał się pewnym głosem:

– Witajcie. Stańcie po obu stronach stołu. Swatów poproszę, by zajęli miejsca odpowiednio za panną i panem młodymi.

Gdy tylko właściwie się ustawili, Witek potoczył spojrzeniem po gościach depczących niecierpliwie trawę.

– Witajcie na obrzędzie swańby. Chlebem i solą witamy państwa młodych! – zawołał.

Dopiero teraz zauważyłam, że obok korowaja stoi jeszcze szklanka z bielutką, drobnoziarnistą solą.

– Witamy gości weselnych, swata i swacę – kontynuował, krzyżując na chwilę ze mną spojrzenie. – Załóżcie młodym wieńce.

Państwo młodzi na chwilę odwrócili się do swoich swatów i pochylili głowy, gdy ci zakładali im wianki. Witek kiwnął głową na znak, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Luba i jej towarzysz cofnęły się o dwa kroki, żeby nie przeszkadzać. Bogna i Cieszymir uśmiechnęły się do siebie, a następnie zwrócili w stronę żercy.

Powstało małe zamieszanie, gdy spóźniony najwyraźniej fotograf przedzierał się przez gości, gorączkowo pstrykając zdjęcia całej okolicy.

– Swaćba to związek między kobietą i mężczyzną, który jest oparty na wzajemnej miłości i szacunku, usankcjonowany prawem boskim i ludzkim. Zawieracie go, by spędzić ze sobą całe życie i spłodzić potomstwo – powiedział spokojnym głosem kapłan, ignorując flesz błyskający mu po oczach.

Bogna syknęła coś do fotografa i ten wycofał się skruszony. Biedny Cieszymir wyglądał, jakby właśnie oblał go zimny pot. Witek delikatnie uniósł brew, ale nie skomentował słów panny młodej. Do nas niestety nie dotarł jej komentarz.

Żerca wskazał na korowaj, a następnie rzekł:

– Chleb to symbol życia, pracy, gościnności, zamożności i domowego ładu. Niech nigdy go wam nie zabraknie. Gdy któremuś z was przypadkiem kromka chleba upadnie na ziemię, podniósłszy ją, niech ucałuje na znak poszanowania dla daru bogów. Bogno i Cieszymirze, połóżcie prawe dłonie na korowaju.

Gdy to uczynili, podniósł płócienną chustę. Trzepnął nią w powietrzu, by się rozprostowała, i obwiązał dłonie młodych. Kilka osób w tłumie zaczęło chlipać ze wzruszenia.

Ja, zamiast przeżywać to wewnętrznie, pilnie obserwowałam Cieszka. Byłam przekonana, że w którymś momencie z nadmiaru emocji zemdleje. Wolałabym, żeby tego nie robił. Nie chciało mi się mu pomagać. W sukience, którą miałam na sobie, klęczenie mogłoby okazać się nieco trudne.

– Łączymy przyjacielskie dłonie, łączmy je w tym zacnym gronie – powiedział Witek i sięgnął po nóż, którym ukroił grubą pajdę, a następnie przekroił ją na pół.

Jakimś cudem palce młodych oszczędził.

– Oto chleb wasz wspólny, wspólny wasz los!

Podał młodym kawałki chleba. Oboje wzięli je w lewe dłonie. Cieszymir o mało nie upuścił swojego. Jego swat zbliżył się, gotów asekurować go, gdyby zemdłał. Zmrużyłam oczy. Chociaż może miał go łapać w przypadku ucieczki, a nie upadku?

Grdyka pana młodego podskoczyła jak szalona, a dłoni trzęsła się coraz bardziej. Wydawało się, że zaraz upuści korowaj na ziemię.

– Nadszedł czas, aby pan młody na dowód swojej miłości od dnia dzisiejszego aż do śmierci oddał pannie młodej swój wieniec, natomiast panna młoda niech odda swój lubemu – mówił kapłan.

Swaci rzucili się do pomocy i zamienili wianki miejscami. W całym zielonym wianku było Bognie znacznie ładniej. Przypominała rusalkę.

Witek dotknął ich dłoni i je uniósł, zmuszając młodych, by je złapali. Bogna i Cieszymir spojrzeli sobie w oczy, trzymając ręce na wysokości twarzy. Uśmiechnęli się do siebie. Napięcie, które opanowało pana młodego, zdawało się powoli opadać. Zupełnie jakby wystarczyło, żeby spojrzeć w oczy swojej

wybrance.

Och, nawet ja zaczęłam się trochę rozklejać.

– Nadszedł czas na zdawiny. Cieszymirze, weź Bognę za żonę. Bogno, weź Cieszymira za męża.

Witek sięgnął po gliniane naczynie i uniósł je do góry tak, by każdy mógł zobaczyć. Swat i swacha wycofali się szybko. Po chwili wrócili na polanę, dzierząc tace, na których stały drewniane kieliszki z wypalonym symbolem rąk boga. Zaczęli rozdawać miód.

Luba doskoczyła do nas i wpatrzyła się w Mieszka z uwielbieniem. Wziął ekologiczny kieliszek i podziękował, ledwie ją zauważając. Cały czas pilnie obserwował uroczystość. Zawiedziona dziewczyna ruszyła dalej.

Picie miodu na swaźbie jest w sumie mało praktyczne, biorąc pod uwagę, że większość gości przyjechała samochodami, ale z drugiej strony, jak kazał zwyczaj, chyba całe Bieliny były zaproszone na swaźbę, łącznie z policjantami.

Żerca wyciągnął kamienną rzeźbę w kształcie fallusa i zanurzył ją w naczyniu. Ta część ceremonii zawsze mnie bawiła.

– Oby wiodło wam się w łozu! – krzyknął Witek, unosząc naczynie.

– Mam w domu takiego samego – szepnęłam do Mieszka. – Tylko my go moczyliśmy w wodzie na płodność.

Parsknął śmiechem i w efekcie zakrztusił się miodem. Niemalże cały wypluł. No i problem z pijanym kierowcą z głowy. Zaniósł się kaszlem, który przeszedł w głęboki śmiech.

I znowu wszyscy się na nas patrzyli.

Gdy goście zostali już obsłużeni przez swatów, ci rzucili się do stołu, by pokroić korowaj na małe kawałeczki i przerzucić je na tace.

Witek zdjął chustę z dłoni młodych. Następnie podał im gliniane naczynie z miodem. Najpierw subtelny łyżek wzięła Bogna, a potem Cieszymir wypił resztę jednym haustem. Na jego białych policzkach wreszcie pojawiły się zdrowe rumieńce.

– Bez korowaja nie byłoby wesela! Za zdrowie młodych! – wznosił kolejny toast Witek.

Wszyscy goście wzięli po kawałku chleba. Młodzi, patrząc sobie głęboko w oczy, zjedli chleb. Odetchnęłam z ulgą. Cieszek się nie zakrztusił.

– Czas na biesiadę! Gości zapraszam już na przyjęcie, a młodych oraz ich swatów poproszę jeszcze o podpisy na odpowiednich dokumentach.

40.

Nowoczesna sala weselna była całkowitym przeciwieństwem miejsca tradycyjnej swańby pod świętym drzewem. Biesiada miała odbyć się w hotelu kilkanaście kilometrów od Bielin, wybudowanym na wzgórzu w środku lasu. Postawiono go dobre trzydzieści lat temu, ale niedawno przeprowadzono gruntowny remont. Wydawało się, że świeżo pomalowane ściany powinny jeszcze wydzielać zapach farby. Marmurowe płyty, którymi wyłożono podłogi, odbijały światło niby lustra. Wszechobecny luksus aż oślepił.

Ciekawe, czy panna młoda przebierze się w droższą kieckę?

Z ulgą maszerowałam korytarzem. Moje buty idealnie sprawdzały się na płaskich powierzchniach w przeciwieństwie do krzywej ścieżki w lesie. Mieszko szedł obok mnie niespiesznie i z ciekawością rozglądał się dookoła.

– Nie byłem na nowoczesnym weselu – powiedział niespodziewanie. – Ostatni raz bawiłem na takim przyjęciu jakieś... trzysta pięćdziesiąt siedem lat temu.

Zerknęłam na starszą parę, którą właśnie mijaliśmy. Obrzucili Mieszka dziwnymi spojrzeniami.

– Ja też nie byłam od wieków na żadnym ślubie! – stwierdziłam i uśmiechnęłam się do nich.

Gdy oddaliliśmy się wystarczająco daleko, szarpnęłam go za rękaw i syknęłam:

– Uważaj na słowa, chyba nie chcesz się zdradzić!

– A kto by uwierzył? – odparł beztrzesko.

Weszliśmy na salę weselną. Podłogę wyłożono lśniącymi białymi płytami. Cała jedna ściana kompleksu oraz spadzisty dach były przeszklone. Widać było przez nie ciemną zieleń lasu i niebo. Drzewa wyglądały pięknie w południowym słońcu.

Westchnęłam zachwycona widokiem. Bogna zadbała o wszystko. Udało jej się znaleźć luksusowe miejsce udające środek lasu. Naprawdę byłam pod wrażeniem.

Swańba zaczęła się o szesnastej i nie trwała przesadnie długo. Niebawem będziemy mogli podziwiać zachód słońca przez przeszkloną ścianę.

Potoczyłam spojrzeniem po stołach. Ustawiono je tradycyjnie w kształt litery „u”. Goście powoli szukali swoich miejscówek, gdzie odwieszali żakiety albo marynarki. Państwo młodzi mieli przyjechać limuzyną razem ze swatami na sam koniec. Musieli mieć przecież wielkie wejście. Byli gwiazdami wieczoru.

Tym razem fotograf stanął na wysokości zadania. Nauczony doświadczeniem nie miał zamiaru się spóźnić. Miałam wrażenie, że teleportował się do hotelu. Jeszcze przed chwilą obskakiwał młodą parę pod świętym dębem,

a teraz rozstawiał trójnog naprzeciwko drzwi.

Gdy dostrzegł mnie i Mieszka, uniósł aparat wiszący mu na szyi na grubym pasku i szybko ruszył w naszą stronę. Pstryknął fleszem po oczach, gdy bezradnie staliśmy w poszukiwaniu swoich miejsc.

Zamrugałam oślepią, przed oczami migały mi mroczki. Na szczęście Mieszko złapał mnie za łokieć, kiedy niebezpiecznie się zachwiałam. Fotograf nie zwracał na nas więcej uwagi. Rzucił się do drzwi pstrykać kolejne zdjęcia. Patrzyłam w jego stronę, a Mieszko odszedł na bok.

Zaskoczona zauważyłam, że spod założonego na bakier kaszkietu wymykają się pojedyncze długie pasma włosów. Dopiero teraz pojęłam, że fotograf to tak naprawdę dziewczyna w zbyt obszernych płóciennych spodniach i szerokiej męskiej koszuli od klasycznego garnituru.

– Gosiu, znalazłem nasze miejsca! – usłyszałam wołanie Mieszka.

Przestałam obserwować fotografkę i ruszyłam w stronę szczytu stołu. Tak jak podejrzewałam, na samym środku było miejsce dla Bogny i Cieszymira. Przed ich krzesłami stał tylko jeden talerz. Zgodnie z tradycją musieli tego wieczoru jeść z jednego nakrycia. Oznaczało to, że od tego wieczoru będę wszystko dzielić, a zwłaszcza chleb.

Uważam, że nasza kultura ma obsesję na punkcie pieczywa, ale oczywiście to tylko moje subiektywne odczucie.

Po prawicy młodych usadzono swatów. Z kolei z lewej strony nie wiedzieć czemu postanowiono umieścić żercę, mnie oraz Mieszka. Wpatrywałam się w tekturowe wizytówki, zastanawiając się, czy to przypadkiem nie są jakieś żarty.

– Ale czemu tutaj? – zapytałam Mieszka lekko spanikowanym głosem.

Nie chciałam, żeby wszyscy patrzyli, jak jem w trakcie całej imprezy. Zdecydowanie wolałabym siedzieć gdzieś w kąci i zająć się sobą.

– Zadajesz dziwne pytania – stwierdził. – Za moich czasów żerca zawsze siadał obok najważniejszej osoby na ucztach, zwykle obok wodza, a gdy było ich kilku, to obok najstarszego lub najbardziej zasłużonego. Ciebie posadzili obok, bo jako szeptucha stanowią drugi filar każdego społeczeństwa. A ja? Ja jestem twoim towarzyszem na ten wieczór, więc i dla mnie musiało znaleźć się miejsce.

Obok nas przeszedł wystrojony w klasyczny garnitur starszy pan, który słyszał poprzednią dziwną uwagę Mieszka. Gdzieś zgubił swoją żonę. Ścisnął za to uszy jej czarnej skórzanej torebki. Najwyraźniej zamierzał odwieść ją na oparcie krzesła niedaleko nas.

Moda weselna w dzisiejszych czasach nie miała sztywnych norm. Można było ubrać się tak jak Mieszko, Cieszymir lub Witek, czyli założyć zdobioną kolorowymi krajkami koszulę, a na to narzucić w chłodne dni kamizelkę lub kurtkę. Jednak równie popularne były klasyczne garnitury. W większych miastach kobiety na wesele zakładały raczej tiulowe suknie ślubne, takie jak na Zachodzie,

a mężczyźni garniaki. Ja zawsze marzyłam o sukience „bombce”, w której będę przypominała bohaterkę bajek Disneya, a nie o prostej kiecce, której nie powstydziliby się Sawa z polskich baśni.

Staruszek sięgnął do kieszonki kamizelki od garnituru i wyciągnął monokl wiszący na złotym łańcuszku. Mimowolnie uśmiechnęłam się na ten rzadko już dzisiaj spotykany widok. Starszy pan przyłożył szkło do oka i zlustrował Mieszka od stóp do głów.

– Pan nie jest przypadkiem uczniem wróża? Przepraszam za śmiałość! – Zamachał monoklem na Mieszka, by zwrócić na siebie jego uwagę.

– Byłem. – Kiwnął głową. – Obecnie już nie kontynuuję nauk.

– Szkoda – westchnął staruszek. – Przepraszam, że zawracam wam, młodym, głowę. Znałem Mszczuja. Nie był dobrym wróżem, ale za młodu miał charakter. A ten nowy? Młode to takie, mleko pod nosem jeszcze ma, musi się jeszcze wiele nauczyć. Pan natomiast... Pan to jest kawał chłopca. Pewnie ze dwa metry pan ma, co? Jakby pan huknął na swaćbie, to ja bym wszystko usłyszała, a tak to nie wiedziałem, co ten mamrocze pod nosem. Sympatyczny, ale za cicho mówił.

Mieszko uśmiechnął się z wyższością, mile połączony tymi słowami. Zerknął na drzwi, przez które przeszedł właśnie Witek. Ja też odwróciłam się w tamtą stronę.

W przeciwieństwie do mnie Witek nie dał się oślepić fotografce. Niby niechący uniósł rękę i osłonił oczy, a potem szybko uciekł przed kolejnymi zdjęciami. Fotografka coś za nim zawołała, odpowiedział jej ze śmiechem i czmychnął. Kobieta pokręciła głową, ale na jej twarzy malował się rozbawiony uśmiech. Ciekawe, czy załatwił sobie immunitet od zdjęć na cały wieczór?

Starszy jegomość przesadzał. Może Witek nie miał dwóch metrów wzrostu i nie był tak szeroki w barach jak Mieszko, ale chuchrem także nie był. A czy mówił za cicho? Nie zauważyłam.

Przewróciłam oczami. Wybujale ego Mieszka lubiło takie pochwały. Byłam pewna, że będzie się teraz puszył niczym dumny kogut.

– Podkręciłem aparat słuchowy, ale gdzie tam. Nic nie słyszałem! – dalej się irytował. – Żona mi musiała wszystko opowiedzieć, jak już przestała się mazgać.

– Pan z rodziny panny młodej czy pana młodego? – zapytał uprzejmie Mieszko.

Starszy pan powrócił do obserwacji przez monokl. Tym razem to mnie zlustrował bardzo uważnie. Długość mojej sukienki chyba mu odpowiadała, bo pokiwał z uznaniem głową.

– Nazywam się Sambor Wilkowiak. Jestem dziadkiem pana młodego – powiedział z godnością i wyciągnął rękę na powitanie.

– Miło mi, Mieszko... Pierwszy.

Staruszek schwycił dłoń Mieszka i zamachał nią tak gwałtownie, że aż

monokl zsunął mu się z twarzy i zadyndał na łańcuszku. Wizytówka z moim nazwiskiem, którą trzymałam wypadła mi z dłoni.

„Pierwszy”?! Co mu do łba strzeliło?!

– Pierwszy? – zdziwił się staruszek tak samo jak ja. – A to pana rodzice mieli poczucie humoru!

– Istotnie – odparł Mieszko z tym samym nieruchomym uśmiechem.

Odłożyłam swoją wizytówkę i sięgnęłam po tę należącą do niego. Było na niej tylko jego imię. Ciągle nie mogłam się pozbierać. Rzeczywiście: nigdy nie przedstawił mi się swoim nazwiskiem. Wszyscy zwracali się do niego po imieniu, a mnie nigdy nie przyszło do głowy, żeby zapytać. W mojej wyobraźni był jak Mszczuj albo Baba Jaga – tak niepowtarzalny, że nie musiałam określać go nigdy nazwiskiem.

Nie było drugiego takiego Mieszka na całym świecie.

– Nie kojarzy mnie pan, bo ja ostatnio w Bielinach od święta jestem. Na co dzień mieszkam u córki w Sandomierzu – oświadczył Wilkowiak. – Syna i wnuki odwiedzam tylko raz na jakiś czas. Teraz na starość nie chce się ruszać zeszywniałych kości. Jednak przez lata wiele razy spotkałem Mszczuja. Żal człowieka. Zmarł tak tragicznie.

W tej chwili podszedł do nas Witek. On najwyraźniej spodziewał się, gdzie zostanie usadzony albo ktoś go wcześniej o tym poinformował. Kiwnął nam głową na powitanie i nalał sobie szklankę wody.

– Za to pana widziałem, jak pan prowadził obchody Jarego Święta – kontynuował dziadek. – Pierwsza klasa, młodzieńcze! Z pana to byłby dobry żerca! Chłop jak dąb! Szkoda, że nie poprowadził pan dzisiejszej ceremonii. Chętnie bym sobie znowu na pana popatrzył.

Witek z głośnym stukiem odstawił szklankę na stół. Trochę wody chlapnęło na podłogę. W ostatnim momencie odskoczyłam, żeby nie zalała mi butów. Staruszek wychylił się zza szerokich pleców Mieszka zaciekawiony zamieszaniem. Stropił się na widok Witka, ale jego skrzępowanie szybko minęło.

Większość starszych osób, które znałam, nie przejmowało się zbytnio konwenansami, dochodząc do wniosku, że w ich wieku wiele im wolno.

Ja też stanę się kiedyś taką staruszką. Będę piekła zakalcowate ciasteczka swoim wnukom, będę im wmawiać, jaka to ja byłam genialna w ich wieku i zdecydowanie nie będę się przejmowała tym, co wypada, a co nie.

Starość zapowiada się całkiem fajnie!

Na szczęście usłyszeliśmy brawa. Wszyscy goście dotarli już do sali weselnej. Najwyraźniej państwo młodzi także już przybyli.

– O bogowie! Już są! – wykrzyknął staruszek. – Muszę biec wycałować wnuka!

Porzucił torebkę żony i truchtem ruszył w stronę wejścia. Poszliśmy za nim.

Pomiędzy zebranymi ludźmi mignęła mi zaczerwieniona z wysiłku twarz Cieszymira, który postanowił przenieść swoją małżonkę przez próg.

Za nimi do sali wbiegł kolejny fotograf. Zamrugałam zaskoczona. Nie spodziewałam się, że będzie ich dwoje. To tłumaczyło wcześniejszą teleportację. Drugi fotograf miał na sobie identyczne ubranie, które najwyraźniej stanowiło uniform roboczy. Różnił się od współpracownicy jedynie kolorem kaszkietu, który dość szybko zdjął. Włosy o kolorze słomy rozsypały się na ramionach kobiety.

No proszę, ile ubranie może zmienić! Obaj fotografowie okazali się kobietami.

Po krótkich brawach i wręczaniu prezentów zasiedliśmy do posiłku. Po swojej prawej stronie miałam Witka, a po lewej Mieszka. Czułam się, jakbym była pomiędzy młotem a kowadłem. Obaj skupiali się na wzajemnym ignorowaniu, ale napięcie między nimi było wyraźne.

Poza tym miałam wrażenie, że wszyscy goście przyglądają nam się uważnie, czekając, aż obleję sobie kieckę czerwonym winem. Fotografki doskoczyły z aparatami przyklejonymi do twarzy, by cyknąć nam pamiątkowe zdjęcia.

Nie jestem pewna, czy którekolwiek z nas zdołało się uśmiechnąć.

Na szczęście pan Wilkowiak zdawał się być wciąż żywo zafascynowany Mieszkiem. Specjalnie zamienił się miejscami z żoną, byle tylko móc cały czas do niego mówić. Oczyszcziło to odrobinę atmosferę.

Wodzirej złapał za mikrofon i zaczął wszystkich zapraszać na parkiet. Państwo młodzi odtańczyli już wspólny taniec i nadszedł czas na normalną potańcówkę i zabawy. Odetchnęłam. Byle dotrzeć do tortu i będzie można iść.

Odłożyłam sztucce, podziwiając tańczące pary.

– Gosiu? – Witek stuknął mnie delikatnie w ramię.

Poczułam, jak siedzący obok Mieszko drętwieje. Właśnie był pogrążony w rozmowie z panem Samborem na temat pojemności silników w samochodach, ale mimo to jawnie podsłuchiwał.

– Tak? – Uśmiechnęłam się do żercy.

– Zatańczysz? – zapytał.

W jego oczach zobaczyłam napięcie i zdecydowanie. Byłam przekonana, że nie odpuści, nieważne co powiem. Uniosłam brwi zdziwiona, a on kiwnął głową.

Telenoweli ciąg dalszy?

– Jasne, czemu nie – odparłam niefrasobliwie.

Wstałam i położyłam rękę na ramieniu Mieszka. Mój dotyk był jednocześnie ostrzeżeniem, żeby nic głupiego nie wpadło mu do głowy.

– Idę tańczyć – poinformowałam go. – Niedługo wrócę.

Zmierzył mnie i Witka przeciągłym spojrzeniem, ale nic nie powiedział.

Ruszyłam za żercą na parkiet. Zespół grał właśnie jakąś spokojną melodię.

Witek wziął mnie za rękę i objął w talii. Ponad jego ramieniem dostrzegłam Lubę. Ubrana w krwistoczerwoną sukienkę płasała właśnie ze swatem. Gdy tylko mnie dostrzegła, jej spojrzenie momentalnie zawędrowało w stronę stołu. Rozpoczęła polowanie na Mieszka. Miałam szczerą nadzieję, że on chociaż raz zachowa się jak trzeba i zatańczy z nią, gdy swatka odważy się go poprosić.

Istniała szansa, że Wilkowiak, będący typem staromodnego dżentelmena, go do tego zmotywuje.

– Gosiu?

– Hm? – spojrzałam na Witka.

Był spokojny, ale pod tą maską mogłam wyczuć lekkie zdenerwowanie.

– Chciałem cię przeprosić – powiedział.

– Za co? – zapytałam lekko, chociaż łatwo było się domyślić, co go gryzie.

– Za tamtą noc. Nie chciałem was podglądać.

– Nie chciałeś? – zakpiłam ze śmiechem.

– No dobrze, chciałem! – Także się uśmiechnął.

– Pan młody wysłał cię na przespiegi?

Zerknęłam na Cieszymira, który z szerokim uśmiechem obtańcowywał wszystkie babcie, ciocie i matki. Całe napięcie już z niego wyparowało, bawił się wesoło. Bogna stała koło uchylonego okna i wachlowała się dłonią. Patrzyła z pobłażliwym uśmiechem, jak jej wybranek wygłupia się ze starszymi paniami. W jej wzroku było tyle miłości.

Jak ja jej tego zazdrościłam! Tego beztroskiego szczęścia.

– Można tak powiedzieć – odpowiedział po chwili Witek. – Nie powinienem był przychodzić. Wiem, jak wyglądają te rytuały, i wiem, że obecność mężczyzn nie jest na nich pożądana.

Och, nawet nie wiesz, kochany, jak bardzo się mylisz! Myślę, że większość z nas bardzo chciała, żeby niechcący do leśniczówki zawędrował jakiś przystojniak.

– Uczyli was o tym w świątyni? – zapytałam zaciekawiona.

Ciekawe, co miał na myśli? Czyżby starzy kapłani przestrzegali młodzików przed napalonymi pannami?

– Między innymi – mruknął wymijająco.

Korciło mnie zapytać, czy mężczyźni również odprawiali jakieś podobne rozpustne obrządki, ale pewnie i tak by mi nie powiedział.

– Ja nigdy wcześniej nie widziałam takiego rytuału – wyznałam. – Szeptucha powiedziała mi przez telefon, co mam po kolei robić. Zastosowałam się sumiennie do zaleceń i... no cóż... w żadnym razie nie spodziewałam się, że aż tak... podziałają.

Wspomnienie pożądania, które buzowało w moim ciele, aż mnie zawstydziło. Bogom dzięki, że przestraszony moim gniewem Witek uciekł.

– Boginie cię lubią – odparł zamyślony.

– Dziwi cię to? Przecież jestem taka fajna. – Puściłam do niego oko.

Zaśmiał się i zakręcił mnie w tańcu.

– Nie, po prostu bogowie rzadko odpowiadają na ludzkie modlitwy – odparł, gdy znowu byliśmy naprzeciwko siebie. – Uczono nas, że możemy się do nich zwracać, ale nie będziemy mieć pewności, że usłyszą. Podobno kiedyś było inaczej. Podobno bogowie schodzili na ziemię, by uczestniczyć w naszych obrzędach.

Przypomniałam sobie wspomnienia Mieszka. Przez chwilę zobaczyłam w nich rytuał sprzed tysiąca lat, który wyglądał bardzo podobnie do tego, który udało mi się przeprowadzić. W twarzach tańczących kobiet odbijała się Mokosz.

– Ja tam zakładam, że to wszystko wina specyfików na bazie alkoholu, które przygotowała Baba Jaga – wyznałam.

– Nie, Gosiu. – Pokręcił głową.

Zaczęłam się zastanawiać, czy poza mną zobaczył wtedy też Swarożycza. Bóg przecież chyba nie ukazałby mu się dla żartu? Jaki miałby w tym cel?

Oczywiście poza narobieniem jak największego zamieszania.

– No cóż, w takim razie cieszę się, że udało mi się wszystko zrobić, jak należy – mruknęłam.

Zawirowałam w tańcu, gdy ponownie mną zakręcił. Witek sprawnie prowadził, z żalem przyznałam, że tańczył o wiele lepiej od Mieszka. Napięcie, które czułam od początku posiłku, powoli zaczynało opuszczać moje ciało. Z każdym krokiem nabierałam coraz większej energii.

Muzyka przyspieszyła, ale my dalej tańczyliśmy, pomimo że wiele osób zmieniło partnerów. Zauważyłam daleko w tłumie czerwoną sukienkę Luby. Bawiła się w najlepsze z Mieszkiem. No proszę! Mimo wszystko nie chciałam, aby przyjął jej zaproszenie.

Witek objął mnie, zawirowaliśmy razem, a na końcu wylądowałam w jego ramionach.

– Gosiu, jesteś piękna, wiesz? – powiedział.

– Oj tam, oj tam – parsknęłam. – Założę się, że mówisz to każdej dziewczynie, która widziałaś nago.

Zdumiony pomylił krok.

– Nie przeczę!

Nagle spowaźniał. Utwór powoli się kończył, muzyka zaczęła zwalniać. Przygarnął mnie do siebie.

– Kiedyś zaproponowałam ci, że możemy o wszystkim porozmawiać. Ta propozycja jest nadal aktualna. Jestem twoim przyjacielem, pamiętaj.

Następnie mnie puścił i uklonił się w podzięcie za taniec. Odwrócił się na pięcie i zniknął w tłumie bez słowa.

– Zatańczysz?

Odwróciłam się do Mieszka, który do nas podszedł. Złapałam go za rękę. Ach zazdrość – piękna rzecz. Był skłonny nawet ze mną tańczyć, byle tylko Witek trzymał się z dala.

Kapela zaczęła na odmianę grać smętny, bardzo powolny kawałek. Sporo osób zeszło z parkietu, żeby coś zjeść. Mieszko zdawał się z tego faktu zadowolony. Przytulił mnie do siebie.

Oparłam głowę na jego piersi. Zaczęliśmy bujać się do rytmu. Mój oddech powoli się uspokajał.

– Mieszko? – zapytałam.

– Hm? – pochylił się, żeby lepiej mnie słyszeć.

– Straszny z ciebie zazdrośnik, wiesz?

Stropił się. Rozejrzał się dookoła, czy nikt nas nie podsłuchuje. Jednak wszyscy goście zajęci byli zbyt dobrą zabawą, by zwracać na nas uwagę.

– Nie lubię go – mruknął.

– Czemu? Przecież ledwie go znasz.

– No dobra, jestem zazdrosny – przyznał.

Zamrugalam zaskoczona. Nie spodziewałam się, że tak łatwo się ze mną zgodzi. Za łatwo... Po prostu nie chciał mi o czymś powiedzieć.

Więcej nie rozmawialiśmy, każde zatoneło we własnych myślach. Byłam rozluźniona. W jego ramionach czułam się bezpiecznie. Przetańczyliśmy jeszcze dwa kawałki i wróciliśmy do stolika.

Witek krążył po sali, rozmawiając z gośćmi. Wszyscy traktowali go bardzo ciepło. Nasza społeczność szybko go zaakceptowała. Starsze panie odprowadzały go wzrokiem i szturchały wnuczki.

Spojrzałam na kieliszek szampana. Nawet go nie dopiłam. Po tamtej nocy wolałam na razie unikać napojów wyskokowych. Mieszko właśnie polewał panu Samborowi. Z tego, co usłyszałam, rozmawiali o hodowli koni.

Ciekawe, które z nas będzie prowadziło samochód w drodze powrotnej? Nie mieliśmy wykupionego pokoju hotelowego. A mnie do głowy nie przyszło zapytać wcześniej Mieszka, które z nas będzie piło. Spojrzałam na okna. Piękny widok lasu zniknął, gdy szyby zaparowały od naszych oddechów i tańca. Sala straciła swój urok.

Kieliszki stuknęły o stół. Obaj mężczyźni byli już w doskonałym humorze, mimo to ponownie hojnie sobie dolali.

Hm, chyba wychodzi na to, że ja prowadzę.

Wyciągnęłam z torebki komórkę. Gdy tańczyliśmy, dostałam SMS-a od mamy. Mówiła, że przygotowała dla mnie niespodziankę i niedługo przekonam się, co to takiego. Pokręciłam głową. Od pożaru zdecydowanie przesadzała.

– Syntu... hm... nie jestem do końca pewien, czy powinienem tak cię

nazywać. – Staruszek westchnął teatralnie.

Z nudów nadstawiłam ucha. Od wypitego alkoholu nos Wilkowskiego zaczerwienił się tak samo jak policzki. Jego małżonka gdzieś zniknęła. Biedny siedział sam. Nic dziwnego, że tak chętnie rozmawiał z Mieszkiem.

– Może pan mnie tak nazywać – odpowiedział mu mój towarzysz.

– Wiesz, że się znamy?

– Tak, poznaliśmy się dzisiaj. Jeszcze jedna kolejka? – Uniósł butelkę.

– A co tam! Na drugą nóżkę! – Staruszek dla zaakcentowania swoich słów klasnął dłonią o kolano.

Mieszko tego nie zauważył albo zwyczajnie nie zwrócił uwagi, ale w głosie Wilkowskiego coś się zmieniło. Przysunęłam się bliżej, nie chcąc uronić ani słowa.

– Chodzi mi o to, że poznaliśmy się jakieś sześćdziesiąt lat temu – powiedział pan Sambor. – W wojsku. Byłeś moim dowódcą. Dałeś mi nieźle w kość.

– Przykro mi, ale chyba tylko kogoś panu przypominam. Gdybym sześćdziesiąt lat temu był pana dowódcą, to musiałbym być jeszcze starszy od pana – uprzejmie wyjaśnił mu Mieszko. – A to niemożliwe.

Alkoholowe zamglenie wzroku zniknęło momentalnie z oczu staruszka. Nagle wydał mi się o wiele sprytniejszy i co najważniejsze trzeźwy. Zlustrował Mieszka wzrokiem.

– Synku, słuch mam może słaby, ale pamięć jeszcze dobrą – skwitował. – Mój dowódca też nazywał się Mieszko Pierwszy. Wszyscy się z tego śmiali, dopóki nie wziął nas w obroty. Nauczył nas szacunku do swojego nazwiska. W walce wręcz nie miał sobie równych. Na własne oczy widziałem, jak na wschodzie podczas walk dostał całą serię w lewy bark. O mało nie oderwało mu ręki. Chwilę później był zakrwawiony od stóp do głów, miał podarty mundur, ale ani jednej rany.

– To przecież niemożliwe, panie Wilkowski. Nie ma ludzi niezniszczalnych. Po prostu nazywam się tak samo jak pański dowódca sprzed lat.

– Wiem, że to ty – zaparł się. – Poznałbym cię wszędzie.

Zerwałam się z miejsca i szarpnęłam Mieszka za ramię.

– Słabo się czuję. Możemy wyjść na dwór? Proszę.

Mieszko natychmiast wstał.

– Przepraszam pana – powiedział do Wilkowskiego.

– Wiem, że to ty! – krzyknął jeszcze za nim.

Mieszko złapał mnie pod ramię i poprowadził do wyjścia. Na przeszklonej ścianie sali zamontowano drzwi, które prowadziły na mały taras. Można było z niego zejść po schodkach na ścieżkę prowadzącą do lasu otaczającego hotel.

Owionął nas papierosowy dym. Taras stanowił najwyraźniej nieformalną palarnię. Zeszliśmy po schodach i ruszyliśmy w stronę pograżonych w mroku

drzew. Tu powietrze było znacznie czystsze. Przyjemnie się nim oddychało.

Ukryliśmy się przed zaciekawionymi spojrzzeniami gości, którzy z nudów obserwowali każdy nasz krok. Gdy już nikt nie mógł nas zobaczyć i usłyszeć, zaniepokojony mężczyzna objął moją twarz dłońmi.

– Dobrze się czujesz? – zapytał z troską.

– Tak, tak. – Wyrwałam mu się zirytowana jego troską. – Wilkowski cię poznał! Postanowiłam odwrócić jego uwagę i wykonać zgrabną ucieczkę.

Podparł się pod boki. Usiłował zachować kamienną twarz, ale mu się nie udało. Kącik jego ust uniósł się do góry w grymasie rozbawienia.

– Niepotrzebnie. Dobrze sobie radziłem!

– Och, doprawdy? – Ja także podparłam się pod boki.

– Gosiu, zdarza się, że ktoś mnie pozna. Staram się nie wracać zbyt szybko do miejsc, gdzie spędziłem więcej czasu, ale ludzie dzisiaj podróżują znacznie częściej niż kiedyś. Nie pierwszy i nie ostatni raz musiałem się tłumaczyć.

– Aha... – burknęłam.

– Ale bardzo ci dziękuję za ratunek.

Przewróciłam oczami. W żywe oczy naśmiewał się z mojego przestrachu. Może zareagowałam odrobinę paranoicznie, ale skąd miałam wiedzieć, że podchodzi do swojej nieśmiertelności tak niefrasobliwie?

– No już, nie denerwuj się na mnie.

Położył dłonie na moich biodrach i przyciągnął mnie do siebie. Zrzuciłam mu ręce na szyję. Pochylił głowę, a nasze nosy się stuknęły. Poczułam, jak coś ściska mnie w dole brzucha, gdy zobaczyłam jak on na mnie patrzy.

– Gosiu, czy...? – wychrypiał, ale urwał nagle.

Ścieżką nadeszły niespiesznie dwie fotografki. Jedna trzymała między zębami tłący się papieros. Smużka dymu unosiła się do góry, wirując w powietrzu. Mieszko zamilkł i cofnął się, zabierając dłonie z moich bioder. Z żalem opuściłam ręce.

– Och, przepraszamy! – wykrzyknęła druga. – Nie chciałyśmy przeszkodzić!

– A może zdjęcie? – zapytała ta z papierosem.

Uniosła aparat i wycelowała w nas migawkę.

– Uśmiech! – zawołała.

Jednak zamiast blasku flesza uderzyła w nas chmura pyłu o gorzkim smaku.

41.

Mgła owinęła się dookoła moich nóg. Rozejrzałam się spanikowana. Zniknął las, zniknął Mieszko i zniknęły tamte dwie kobiety. Stałam pośrodku kamiennej pustyni. Olbrzymie głazy i kamienie niekończących się gołoborzy sięgały horyzontu.

Nic nie rozumiałam. Gdzie ja jestem? Jak się tu znalazłam?

– Mieszko! – krzyknęłam.

Mój głos poniósł się głuchym echem. Nie doczekałam się żadnej odpowiedzi. Szara mgła uniemożliwiała mi zobaczenie, czy nie leży gdzieś pomiędzy kamieniami.

– Mieszko! – jeszcze raz krzyknęłam.

Spróbowałam dać krok na krzywej powierzchni, ale stopa w bucie na obcasie od razu straciła jakąkolwiek przyczepność. Upadłam na kamienie, zdzierając skórę z przedramion i kolan. Usłyszałam chrupnięcie i poczułam ostre ukucie bólu w nadgarstku.

Zawyłam. Po policzkach pociekły mi łzy. Podparłam się zdrową ręką. Nie miałam żadnych wątpliwości. Któraś z kości pękła niczym gałązka, gdy uderzyłam pod niewłaściwym kątem o ostre kamienie. Rany na kolanach i przedramionach zaczęły krwawić, znacząc szare głazy czerwonymi plamami.

– Mieszko! – jęknęłam. – Pomocy!

Jednak pomoc nie nadchodziła. Zamiast tego kamienie, na których leżałam, zatrzęsły się od głośniego dźwięku, który zmroził krew w moich żyłach. Krzyk zamarł mi gardle.

Po niebie potoczył się grom.

Uniosłam głowę. Gęsta zasłona chmur przysłaniała wszystko. Cała paleta szarości wisiała nad moją głową, a słońce nie miało żadnej możliwości, żeby się przedrzeć.

Grom rozległ się ponownie. Kamienie, na których leżałam, zadrżały, jakby i one się obawiały tego, co nadchodziło.

Żmij.

To żmij się zbliżał. I tym razem nie było planetnika, który zdołałby mnie przed nim uratować.

Zaczęłam się czołgać, przyciskając do piersi zranioną rękę. Kamienie szorowały po moich kolanach. Ciasna sukienka krępowwała ruchy.

Spanikowana rozglądałam się w poszukiwaniu jakiejś kryjówki. Gołoborze było tak rozległe, że nie widziałam jego końca. Nigdzie, nawet na horyzoncie, nie było żadnych drzew, do których cienia mogłabym się skierować.

Nagle ziemia głośnie jęknęła. Wszystkie kamienie uniosły się na chwilę, by opaść z trzaskiem. Moje zęby zadzwoniły o siebie, gdy i ciało poderwało się na

chwilę w powietrze.

Odwróciłam się.

W odległości zaledwie kilku metrów stał żmij. Był taki sam, jakiego zapamiętałam. Ślepią błyszcząły głodem, pazury wyciągały się w moją stronę. Ciało utkane z głązów i mgły nie było zwarte. Potwór sprawiał wrażenie ożywionego smoka z origami, który w każdym momencie może poskładać się na nowo i dosięgnąć mnie swoimi kamiennymi zębami, bez uczynienia nawet jednego kroku.

Niespodziewanie skały, na których leżałam, zaczęły się osypywać. Wrzasnęłam, kiedy ziemia się zapadła, połykając mnie do swojego wnętrza. Smok szarpnął się za mną. Osadzona na długiej szyi głowa się zbliżyła. Zęby kłapnęły tuż obok mojej twarzy. Ja jednak dalej leciałam w dół, zostawiając go daleko nad sobą.

Uderzenie o dno zabrało mi całe powietrze. Czulałam się, jakby wszystkie moje żebra popękały w tym samym momencie. Wysoko nade mną błyskały żarłoczne oczy.

Odwróciłam głowę na bok. Leżałam na łące pełnej kwiatów powoju. Cienkie łodyżki zaczęły oplątywać moje zbolące ciało.

– Nie, nie, nie! – jęczałam.

Rośliny skrępowały moje ręce. Ostry ból w nadgarstku na chwilę mnie otrzeźwił. Zamrugalam zaskoczona.

Wszystko nagle wydało mi się sztuczne. Kolory były zbyt ostre, jakby wszystko zostało pomalowane jaskrawymi farbami.

Szarpnęłam się z całej siły. Wiedziałam, że od tego zależy moje życie.

Coś jest nie tak! Łodygi powoju były zbyt ciepłe, zbyt żywe.

– Mieszko! – krzyknęłam, przypominając sobie mężczyznę.

Coś jest nie tak! To wszystko to... nieprawda!

– Mieszko!

Kolory nagle zbladły. Dwoje żółtych oczu wiszących wysoko nade mną zgasło. Zielone rośliny zwiędły. Poszarzałe płatki kwiatów rozpadały się na moich oczach na kawałki popiołu. Wszystko zaczęło się rozpadać.

Szary śnieg ginącego świata padał dookoła mnie.

To nieprawda! Kłamstwo! To wszystko złudzenie!

– Mieszko! – krzyknęłam raz jeszcze, wiedząc już, że ten mężczyzna to moja kotwica, mój sposób na powrót do rzeczywistości.

Wszystko rozpadło się na kawałki. Szarość uderzyła we mnie z całą siłą.

Spanikowana zaczęłam kaszleć. Coś mnie dusiło, nie pozwalało oddychać.

Otworzyłam oczy.

Nade mną wisiały gałęzie pełne liści. Ponad nimi granatowe niebo migotało punktami gwiazd.

Dwie fotografski gorączkowo usiłowały utrzymać mnie w miejscu. Jedna

z nich zacisnęła dłonie na mojej szyi. Palce zaciskały się coraz mocniej. To przez nią nie mogłam oddychać. Druga prawie na mnie leżała, usiłując utrzymać w miejscu moje szamoczące się ręce i nogi.

Zrozumiałam w jednej chwili.

Nocnice.

Ale były tylko dwie. Gdzie trzecia?

– Zostawcie mnie – syknęłam, zużywając na to jedno zdanie resztkę powietrza.

Przestraszone zamarły.

– Dlaczego nie działa? – krzyknęła jedna z nich.

– Nie wiem!

– Czekajcie, siostry, dorzucę. Trzymajcie ją.

Prosto w moje oczy poleciała garść pyłu. Zapiekło. Zakrztusiłam się goryczą. Przez chwilę zobaczyłam nad sobą szare chmury, a trzymające mnie dłonie zamieniły się w kwiaty. Teraz jednak wiedziałam, że to jedno wielkie kłamstwo.

Wyrwałam rękę i na oślepiep uderzyłam. Boginka syknęła z bólu, jej uchwyt na mojej szyi zelżał. Nie pozwoliłam złapać ręki. Wykręciłam się jak piskorz i sięgnęłam do torebki, na której leżałam.

Chwała wszystkim bogom, że była na tyle mała, iż nie chciało mi się jej odwieszać na oparciu krzesła, tylko cały czas z nią łąziłam.

Ugryzłam z całej siły nocnicę, która znowu chciała złapać mnie za szyję i podduścić. Ich pyłek oślepił mnie na chwilę, ale nie wyzwolił tym razem żadnych wizji.

Nie wiem, jak to zrobiłam, ale zdołałam wyszarpnąć torebkę i wsunąć palce do wnętrza przez niezasunięty do końca suwak. Bogowie musieli mieć mnie w swojej opiece.

Rozerwałam palcami foliową torebkę, do której tego ranka tak na wszelki wypadek przesypałam trochę soli.

Wyszarpnęłam dłoń i na oślepiep rzuciłam kryształki w swoje oprawczynię. Odkoczyły ode mnie w jednej chwili, sycząc wściekle.

Usiałam i wyciągnęłam z torebki pełną garść soli. Przezroczyste kryształki przesypywały mi się przez palce.

Nocnice odsunęły się ode mnie.

– Gdzie jest Mieszko?! – krzyknęłam.

Nic nie odpowiedziały, ale zerknęły na coś za moim lewym ramieniem. Odczołgałam się na bok, by jednocześnie nie tracić ich z oczu i móc się odwrócić.

Zobaczyłam Mieszka. Leżał na plecach zupełnie nieruchomo. Ramiona szeroko rozrzucone na boki wydawały się bezwładne. Jego twarz wykrzywiona była bólem. Jednak to nie to było najgorsze. Na jego piersi okrakiem siedziała postać w czerwonej sukience.

– Luba? – wyjąkałam.

Odwróciła do mnie twarz. Jej wargi błyszczały od migoczącego pyłku. Zauważyłam, że usta Mieszka i jego policzki były nim osypane. Oczy swachy nienaturalnie błyszczały.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Twój piękny Mieszko jest teraz cały mój – powiedziała. – Mogę go posmakować.

– Czego od nas chcecie?! – krzyknęłam, mając nadzieję, że mój głos kogoś zaalarmuje.

– Możesz nie robić sobie kłopotu – prychnęła, dobrze rozumiejąc moje intencje. – Nie jesteśmy już blisko hotelu. Nikt nie przyjdzie ci na pomoc.

Jeszcze raz sięgnęłam do torebki. Nie miałam wystarczająco dużo soli, by zrobić dookoła siebie ochronny krąg. Poza tym Mieszko i tak byłby poza nim.

– Czego chcecie? – wycedziłam.

– Zabiłaś Radka – burknęła ta z nocnic, która wcześniej trzymała mnie za rękę.

– Nie zabiłam go! – oburzyłam się. – To nie ja! Zabił go jakiś mężczyzna! Leszy tak twierdzi! Zapytajcie go!

– A pana utopca też nie dotykałaś? – zakpiła Luba. – Ostrzegłyśmy cię wcześniej, żebyś się do nikogo więcej nie zbliżała, ale nas nie posłuchałaś. Widziałyśmy cię wtedy w nocy. Widziałyśmy cię przy jego ciele.

– To powinniście być również widzieć mordercę, z którym się minęłam – warknęłam. – Poszłam pomóc panu Dareczkowi. Miałam przecucie, że spotka go coś złego. Chciałam go ratować.

– Tak, na pewno – prychnęła.

Patrzyłam, jak wstaje. Warstwy czerwonego tiulu opadły na ziemię. Zeszła z Mieszka i stanęła obok swoich sióstr. Ja przesunęłam się w jego kierunku.

– I co zamierzacie? Chcecie zabić mnie i Mieszka? Jego nawet tu nie było, gdy ktoś zabijał Radka i pana Darka!

W moim głosie wyraźnie było słyhać panikę. Chciałam ratować chociaż jego.

– Dlaczego nasze uroki na ciebie nie działają? – zapytała Luba, przekrzywiając głowę.

Jej dwie poplecniczki trwały w bezruchu. W miejscu niegdyś ich ludzkich oczu widać było mozaikę drobnych, połyskliwych płytek. Wyglądały upiornie. Poczułam obrzydzenie.

Powoli wstałam. Od razu zrzuciłam szpilki. Wolałam pokaleczyć stopy niż się przewrócić. Nocnice wyglądały, jakby straciły trochę pewności siebie.

– Nie wiem – burknęłam. – Może dlatego, że są do dupy?

Policzki Luby poczerwieniały z wściekłości.

– Pożałujesz tych słów – ostrzegła.

Przesunęłam się jeszcze bardziej w stronę Mieszka, chcąc mieć go za plecami. Tak naprawdę nocnice mogły nam zrobić wszystko. Czytałam o nich poprzedniego wieczoru. Rozrzut ich poczynań był naprawdę szeroki. Potrafiły czynić nic nieznaczące psoty, ale także z zimną krwią mordować. Nie były istotami stworzonymi z niczego tak jak Suchowiej. Bliżej im było do rusalek. Nocnicami stawały się dziewczęta, przeważnie dziewice, zmarłe przed ślubem, tuż po ogłoszeniu zaręczyn.

Mogło to sugerować, iż było w nich sporo nienawiści.

– Luba, już na zawsze będziesz swachą? – zapytałam. – Nie doczekałaś własnej swaćby za życia, to i po śmierci ci się nie uda. Myślałaś, że uwiedziesz Mieszka i się w tobie zakocha? Byłabyś tak głupia?

Nocnica poczerwieniała jeszcze bardziej. Na jej dekolcie pojawiły się plamy tylko o kilka tonów jaśniejsze od sukni.

– Uważaj na słowa – syknęła.

– Bo co? Ześlesz na mnie złe sny? Bo się jeszcze przestraszę – zakpiłam.

Wysunęłam podbródek i dalej zgrywałam odważną, choć w środku kulilałam się ze strachu.

– Nie powinniście były ze mną zadzierać. Nie jestem myśliwym, którego szukacie, ale bardzo łatwo mogę stać się waszym katem – oświadczyłam. – Jestem widzącą i w ogóle się was nie boję! Pożałujecie, że podniosłyście na mnie rękę. Macie jedną, jedyną szansę, żeby teraz odejść i zniknąć z Bielin raz na zawsze. W innym wypadku was zniszczę.

Postąpiłam krok w ich stronę.

– Wasze szczątki rozsypią się na popiół. Nie traficie do Wyraju. Przestaniecie istnieć! – Dalej się nad nimi pastwiłam. – Zgniotę was jak robaki, którymi jesteście. Odejdźcie natychmiast. Wyjedźcie stąd!

Luba cofnęła się z pobladłą twarzą. Działo! To naprawdę działało! Zmusiłam się, żeby nie okazać szalonej radości, którą sprawiła mi moja mała maskarada.

– Nie możemy – wymamrotała jedna z tych stojących z tyłu. – On nas zabije, jeśli puścimy ich wolno.

Serce we mnie zamarło. Ktoś je na mnie nasłał. To nie z powodu własnych podejrzeń postanowiły mnie zaatakować. Kłamały wcześniej.

– Kto was przysłał?! – huknęłam.

Zacisnęły mocno usta. Zrozumiałam, że nigdy się tego od nich nie dowiem. Za bardzo bały się tego kogoś. Przerazał je jeszcze bardziej niż ja, a przecież dopiero co zagroziłam im śmiercią i odejściem w niebyt.

Moja pewność siebie stopniała. Nie było wiele istot, które mogły wywoływać tak wielki strach. A to oznaczało, że byłam w niezłych tarapatach.

– Luba, byłaś na moim rytuale. Widziałaś go. Czulaś obecność Mokosz i Chors?! – warknęłam. – Czulaś ich łaskę? Przyzwanie tej mocy po raz kolejny nie będzie skomplikowane. Chcesz się z nimi spotkać jeszcze raz? Ostrzegam was. Wynoście się! A kysz!

Rzuciłam w ich stronę resztką soli, którą miałam w dłoni.

Przerażone zapiszczały jazgotliwym chórem. Ich ciała zaczęły się kurczyć. Załopotwały skrzydła, posypał się złoty pył. Po chwili trzy zmierzchnice trupie główki zamachały przede mną skrzydłami i odleciały w mrok.

Opuściłam rękę, spomiędzy spoconych palców posypały się kryształki. Moje serce biło jak szalone, wręcz bolało, gdy wściekle młóciło krew.

– O cholera jasna – mruknęłam do siebie.

Naprawdę nie spodziewałam się, że to podziała. Wydawało mi się, że moje kłamstwa były aż nadto wyraźne, szyte zbyt grubymi nićmi. Wszyscy przecież ciągle mi wypominają, że nie umiem kłamać!

Kto jak kto, ale istoty zajmujące się koszmarnymi snami powinny umieć rozróżnić prawdę od oszustwa.

– Jeśli przeżyję ten staż, to zostanę aktorką, jak kocham wszystkich bogów – jęknęłam.

Poczekalam jeszcze chwilę, ale nie wracały. Nie dochodził do mnie żaden niepokojący dźwięk. Jedynie las szumiał cicho, uspokajająco. Zadrzałam pod wpływem nagromadzonych emocji, ledwie zdołałam powstrzymać szloch.

Było już bardzo ciemno, ale nagle zauważyłam, że moje ciało, a także twarz Mieszka wydziela delikatne światło. Chociaż nie, raczej nie światło. My tylko lśniliśmy w świetle księżyca i gwiazd. To pyłek nocnic musiał mieć takie działanie.

Kiedyś Baba Jaga użyła różnokolorowego proszku do naznaczenia nim wapienza. Świecił, gdy kierowałam na niego płomień zapałki. Nigdy nie poznałam jego składu. Pochłonięta innymi sprawami najzwyczajniej w świecie o nim zapomniałam.

Czyżby szeptucha miała w swoim kredensie pyłek zdrapany z nocnic?

Jeśli tak, to mogłam mieć pewność, że pył na naszych ciałach niebawem przestanie lśnić i zaleją nas ciemności.

Uklękałam obok mężczyzny i pogłaskałam go po policzkach.

– Mieszko? Mieszko! Musisz się obudzić. To tylko koszmar. Słyszysz? Musisz się obudzić. Już jesteśmy bezpieczni. Nic ci nie grozi.

W moim koszmarze widziałam traumę ostatnich miesięcy. Przeżyłam ją po raz kolejny na nowo. Ciężko było mi sobie nawet wyobrazić, jak straszne obrazy musiał mieć w swojej głowie dzielny wojownik. Wielokrotnie go raniono, polował w swoim życiu na potwory, widział śmierć najbliższych. Nocnice miały szeroki wachlarz koszmarów, które mogły na niego zesłać.

– Mieszko!

Teraz już szarpałam go za ramiona. Bezceremonialnie uderzyłam go w policzek, ale to nie pomogło. Wciąż był uwięziony w koszmarze.

Przetarłam jego twarz dłońmi usiłując zetrzeć pyłek. Może gdy tylko przestanie go dotykać, zniknie jego działanie?

Mieszko jednak ciągle spał.

– Kochany? – Zaczęłam płakać. – Musisz się obudzić, słyszysz? Musisz do mnie wrócić. Nie mogę znowu cię stracić. Nie mogę.

Rozejrzałam się. Nie miałam zielonego pojęcia, gdzie jesteśmy. Nocnice zadbały, by nikt nie usłyszał, jak krzyczymy, czyli musieliśmy być głębiej w lesie. Zupełnie nie znałam tej części puszczy. Była zbyt daleko od Bielin.

Nie mogłam go tu zostawić, żeby szukać pomocy. Byliśmy w lesie. To, że jeszcze nie spotkałam nigdy dzikiego zwierzęcia, nie oznaczało, że ich tu nie ma. Udało mi się przepędzić nocnice, ale nie miałam pewności, że tylko one na nas polowały.

Objęłam jego twarz i pocałowałam w czoło.

– Przepraszam cię, ale muszę wejść do twojej głowy – wyszeptałam. – Postaram się cię obudzić.

To nie powinno być trudniejsze od wyciągania z niego wspomnień, gdy spał. Wiele razy już widziałam to, o czym myślał.

Poradzę sobie.

Muszę.

42.

Las.

Stałam w pustym, cichym lesie. Niczego nie słyszałam. Panowała tu zupełna cisza. Nawet jedna gałązka nie poruszała się pod wpływem wiatru. Nienormalny bezgłos zdawał się napierać na moje uszy, ranić je.

Pomimo że nadal trwała noc, las był podejrzanie przejrzysty, tak jak na filmach. Doskonale widziałam wszystkie szczegóły kory i gałęzi otaczających mnie drzew. Księżyc nie zdołałby dać tyle światła. Uniosłam głowę do góry. Niebo było czarne, pozbawione satelity i bladych punktów gwiazd. Mimo to bezchmurne. Nieprawdziwe.

Rozejrzałam się zaskoczona. Nigdzie nie widziałam Mieszka. Gdzie on jest? Przecież jestem w jego śnie!

Usłyszałam za sobą szelest. Odwróciłam się i o mało nie krzyknęłam ze strachu.

Patrzyłam samej sobie w oczy.

Moje odbicie stało nieruchomo. Wzrok miało wbity prosto przed siebie. Wyglądało jak lalka, manekin.

– Halo? – odezwałam się.

Sobowtórówi nawet nie drgnęła powieka. Był nieruchomy jak wszystko w tym lesie. W makiecie lasu – szybko się poprawiłam. Mój obraz był takim samym rekwizytem tego koszmaru jak drzewa i nieruchome niebo bez jednej chmury.

– Słyszysz mnie? – spróbowałam jeszcze raz.

Powoli ruszyłam do samej siebie, która była ubrana jedynie w kusą koszulkę nocną. Obeszłam się dookoła, wręcz spodziewając się, że moja kopia będzie podparta od tyłu kijem, żeby się nie przewróciła. No cóż... nie była.

Pokiwałam głową z uznaniem, podziwiając własne pośladki i piersi odziane w beżową satynę z koronką. Hej! Nawet nieźle wyglądałam.

Tylko gdzie jest Mieszko? I dlaczego, do jasnej cholery, w jego koszmarach stoję w samej koszulce?!

A może on się mnie brzydzi? W końcu z jakiego powodu miałabym się pojawić w jego złych snach? Przez myśl szybko przebiegła mi ta niepokojąca konkluzja. Nieee... Jeszcze raz spojrzałam na siebie. Gdyby się brzydził, to nie ubierałby mnie w swojej głowie w tak wyuzdaną koszulkę. Pochyliłam się i zajrzałam pod materiał.

Tak, moja kopia nie miała pod spodem majtek, proszę państwa. Tylko wyobraźnia mężczyzny mogła stworzyć mnie bez majtek, na bosaka, w lesie.

Usłyszałam głośny tętent. To był jedyny dźwięk, który rozlegał się w tym pustym świecie. Końskie kopyta biły wściekle w ziemię. Tupot był dziwny. Jakby

koń pędził po asfalcie, a nie miękkiej ściółce.

Odsunęłam się od sobowtóra.

– Mieszko! – krzyknęłam. – Mieszko!

Tętent był coraz bliżej.

Nagle przez ścianę zieleni przebił cię czarny wierzchowiec o białych szcztokach. Poznałam go od razu. To był Nix, wierny towarzysz Mieszka. Niestety jakiś czas temu Ote go zaszlachtowała.

Na jego grzbiecie siedział Mieszko. Zobaczyłam malującą się na jego twarzy panikę. Coś ścisnęło mnie za gardło. Jeszcze nigdy nie widziałam tak zwierzęcego przerażenia u tego dzielnego wojownika.

Nix wbił kopyta głęboko w ziemię i stanął dęba, gdy mężczyzna ścisnął mocno wodze. Z pyska zwierzęcia pociekła piana. Oczy błyszczały mu dziko. Wałach zawył wściekle. Zobaczyłam, że jego brzuch pękł, zupełnie jakby ktoś przeciągnął po napiętej skórze ostrzem noża. Ze środka z chłupotem wysypały się wnętrzności. Błyszczące pętle jelit uderzyły o ziemię pomiędzy nogami przerażonego konia.

Zwierzę zatańczyło na tylnych nogach i przewróciło się ze skowytem. Mieszko upadł we wciąż parującą kałużę jego krwi. Jego dłonie zapadły się po nadgarstki w posoce. Kolana zaczęły pogrążyć się w krwistym błocie, które usiłowało wciągnąć go pod powierzchnię.

– Nie! – krzyknął.

Zdołał się wyrwać z objęć bagna i cały umazany we krwi doskoczył do łba konia, zwierzak jednak wydał już ostatnie tchnienie. Mężczyzna zatoczył się, jakby dostał uderzenie w głowę.

O śmierci swojego wałacha mówił tak niedbale. Udawał, że w ogóle go nie obeszła, że nie była dla niego ważna.

Kłamał. Kłamał o tym w żywe oczy.

Porzucił wierzchowca i odwrócił się do widma w bieliźnie. Pomimo że jego spojrzenie prześlizgnęło się po miejscu, gdzie stałam, zdawał się mnie w ogóle nie zauważać.

– Mieszko! – krzyknęłam. – Mieszko, musisz się obudzić!

Podbiegłam do niego z wyciągniętymi rękami. Chciałam złapać go za ramię i potrząsnąć, ale moje ręce przeleciały na wylot przez jego bark. Cofnęłam się przerażona. Spróbowałam jeszcze raz.

Byłam tylko duchem w jego koszmarze.

– Gosiu!!! – wściekły ryk wydobył się z jego potężnej piersi.

Podążyłam za jego spojrzeniem. Praktycznie nagie ciało sobowtóra obejmował w pasie wąpierz. Przytulił chudy pysk do mojej twarzy. Jego nozdrza rozszerzyły się, jakby wdychał mój zapach. Kocie oczy zalśniły w ciemnościach. Wyszczерzył się do mężczyzny rzędem ostrych kłów, z których ściekała krew.

Moja krew.

Na gardle widmowej postaci widać było wyraźne ślady wielokrotnych ugryzień. Tak samo na nadgarstkach i piersiach. Satynowa koszulka spływała krwią z wciąż obficie broczących ran.

– Gosiu!!! – ryk Mieszka przeszedł w jęk.

Szarpnął się obok mnie. Żyły nabrzmiały na jego szyi jak postronki. Dopiero teraz zobaczyłam, że na nadgarstkach miał zapięte metalowe kajdany, od których biegł łańcuch przytroczony do drzewa. Nie mógł się ruszyć. Nie mógł mnie dosięgnąć. Nie mógł mnie uratować.

Serce we mnie zamarło. Ktoś go kiedyś uwięził? Ktoś kazał mu patrzeć, jak jego bliscy umierają?

– Mieszko! Mieszko! – krzyczałam raz za razem. – Obudź się! To tylko koszmar! Obudź się! Musisz się obudzić! Mieszko! Mieszko!

Obok nas wybuchła łuna jaskrawego światła. Ostry blask oślepił mnie na chwilę. Gdy zdolność widzenia wróciła, odwróciłam się do horroru, który odtwarzał się w głowie Mieszka.

Nadal patrzyłam na samą siebie. Jednak tym razem to nie wąpiierz mnie obejmował. Kopia mojego ciała klęczała na stosie. Otaczał ją pomarańczowy ogień. Wyciągała ponad płomieniami ręce do Mieszka, jakby prosiła go o ratunek. W jej oczach błyszczały łzy bólu.

Palce zagięły się w szpony. Skóra pokryła się bąblami. W uszach zadzwonił mi własny wrzask. Wibrował, wznosił się coraz wyżej, by umilknąć, gdy fantom został całkowicie pożarty przez pożogę.

Ramiona Mieszka opadły, gdy zdał sobie sprawę, że nie może mi w żaden sposób pomóc. Bezdenna rozpacz w jego oczach sprawiła, że rozpadłam się na kawałki.

– Mieszko? – spróbowałam ponownie.

Nagle wszystko zniknęło. Przestraszona rozejrzałam się dookoła. Klęczałam sama na polanie. Nie było Mieszka, nie było pożogi.

Szelest.

Odwróciłam się do miejsca, gdzie przed chwilą szalały płomienie. Znowu tam stałam. Satynowa koszulka przytulała się do mojego ciała niby druga skóra. Nie było śladu po krwi ani płomieniach.

W lesie rozległ się tętent konia.

Scena koszmaru rozegrała się na moich oczach jeszcze raz.

A potem jeszcze raz.

I miała się tak powtarzać w nieskończoność.

43.

Odrzuciło mnie do tyłu. Upadłam na leśne poszycie, a koronkowa kiecka zadarła się do góry, gdy nieomal nakryłam się nogami. Na chwilę mnie zamroczyło.

Okej, jednak nie jestem aż taka dobra w tym wykradaniu myśli.

Odetchnęłam głęboko porażona koszmarem, który wciąż od nowa odtwarzał się przed moimi oczami, gdy byłam w głowie Mieszka. Z wysiłkiem usiadłam. Nadal leżał w tej samej pozycji. Niestety prąd, który przebiegł przez nasze ciała, gdy usiłowałam się wydostać z koszmaru, go nie obudził. Coś się jednak zmieniło. Na jego twarzy raz na jakiś czas pojawiał się bolesny skurcz.

Było gorzej.

– Mieszko! Mieszko! – krzyknęłam.

Podpełzłam do niego i zaczęłam szarpać za ramiona, wrzeszcząc dziko. Ogarnęła mnie panika. Nie wiedziałam, co zrobić. Jak mu pomóc?

Spodziewałam się różnych rzeczy w koszmarach Mieszka, ale nie podejrzewałam, że najstraszniejszym snem, który mógł mieć, będzie wizja mojego cierpienia. Serce mi się ścisnęło ze wzruszenia.

Naprawdę mu na mnie zależało.

To, że w jego koszmarze występowała też śmierć ulubionego konia, pomnę. Skupię się na radości, że nie było w nim Ote.

Grunt, że tej zołzy nie było. Wszystko inne jestem w stanie przeżyć.

Pogłaskałam go po twarzy. Miał chłodną skórę. Robiło się coraz zimniej, leżąc w kompletnym bezruchu jego ciało bardzo szybko się wychładzało. Uklękałam obok niego, dotykając nogami jego boku. Przyłożyłam dłoń do jego serca. Czułam jak szybko biło w przerażeniu.

Tknięta szalonym pomysłem pochyliłam się i pocałowałam go w usta. Jego wargi były lodowato zimne. Nic się nie stało, nie doczekałam się żadnej reakcji. Nie obudził się. Fortel ze Śpiącej Królowy mi nie pomógł.

Te baśnie braci Grimm to jedna wielka ściema...

Wyszarpnęłam z torebki przyprószony solą telefon. Zadzwoiłam do Baby Jagi. Niestety mechaniczny głos poinformował mnie, że abonament nie jest dostępny.

Co robić? Co robić?

Sława! Ona będzie wiedziała, co robić!

Wykręciłam jej numer. Dźwięk powtarzającego się sygnału przewiercał mi się przez czaszkę. No dalej! Dalej! Podnieś słuchawkę! Co ty robisz o tej godzinie?! Odbierz! Odbierz, błagam!

Przyjaciółka nie usłuchała jednak moich niemych prośb. Próbowałam kilka razy, ale nie odbierała.

Rozejrzałam się dookoła. Ciemność wokół nas gęstniała z każdą chwilą, gdy pył nocnic tracił swoje właściwości.

– Mieszko! – zakwiliłam przez łzy porażona bezsilnością. – Wróć do mnie! Wróć do mnie, słyszysz?! Nie możesz mnie tak zostawiać. Wróć do mnie. Tutaj jestem. Kocham cię.

Głos mi się załamał.

– Chyba powinienem być zazdrosny.

Nawet nie miałam już siły krzyczeć. Odwróciłam się tylko szybko, o mało z tego impetu nie przewracając się na Mieszka.

Obok nas najspokojniej w świecie stał Swarozyc. Z ponurym uśmiechem przyglądał się krytycznie moim bezcelowym próbom uratowania wojownika. Wokół jego nóg wirował dym. Poza tym nic nie wskazywało na to, że jest bogiem.

– Pomóż mi – zażądałam.

Uniósł brwi i zmierzył pełnym pogardy spojrzeniem nieruchomego Mieszka.

– Tobie zawsze pomogę – odparł szeleszczącym głosem, w którym usłyszałam trzask płonącego drewna. – Jemu już niekoniecznie.

Nadzieja, którą poczułam na jego widok, zniknęła. Ogarnął mnie gniew.

– Piękna sukienka – pochwalił mnie.

– Musisz mi pomóc – wyszeptalam. – Pomóż mi go obudzić, albo chociaż powiedz mi, kiedy sam się obudzi.

– Droga widząca, ja nic nie muszę – odparł.

Mimo to podszedł do nas i ukucnął obok. Zmierzył Mieszka niechętnym spojrzeniem, a następnie odwrócił się do mnie.

– Nie obudzi się. Nocnice uraczyły go swoim urokiem. Będzie pod jego wpływem tak długo, aż go nie cofną – oświadczył.

Zamarłam. Przegoniłam je. Kazałam im nigdy nie wracać do Bielin. Czy – jeśli mnie posłuchały – będzie to oznaczało, że on nigdy się nie obudzi? Pozostanie uwięziony w koszmarze już na zawsze? Bogowie!

– I nic nie można zrobić? Ja się obudziłam z ich snu. Dlaczego nie mogę obudzić jego?! – pisnęłam ogarnięta paniką.

Oczy Swarozycy na chwilę rozbliły. Zaciekawiony wbił we mnie głodne spojrzenie. Poczulałam się nieswojo.

– Sama się obudziłaś? – zapytał powoli.

W odpowiedzi kiwnęłam głową.

– A gdzie są teraz nocnice?

– Przegoniłam je.

– W jaki sposób? – Zmrużył oczy, zupełnie jakby nie dowierzał moim słowom.

– Powiedziałam, że je skrzywdzę, jeśli nie odejdą, postraszyłam je swoimi szeptuchowymi mocami.

– „Szeptuchowymi mocami”? – Był zaintrygowany.

– Och, kłamałam! – zachnęłam się. – Kłamałam w żywe oczy, a one się przestraszyły!

– Każdego dnia stajesz się coraz bardziej interesująca.

Przysunął się, ale ja odskoczyłam, by nie mógł mnie dotknąć.

– Jak mogę go obudzić? – wskazałam na Mieszka.

Swarożyc wstał i cofnął się kilka kroków, zde gustowany moim zachowaniem. Ponownie zmierzył leżącego mężczyznę spojrzeniem pełnym wstrętu. Poglądził rudą brodę, zastanawiając się nad odpowiedzią. Skojarzył mi się z lisem, który właśnie układa sprytny plan.

– Pomogę ci za przysługę – oświadczył.

Jego propozycja zawisła w powietrzu. Miałam wrażenie, że odbija się echem w mojej głowie.

Kolejna przysługa, kiedy nawet nie wiem, czego zażąda w ramach poprzedniej.

– Nie – mój głos zabrzmiał głucho.

– Nie? – zdziwił się. – Myślałem, że dla niego jesteś zdolna poświęcić wszystko. Czyż nie poświęciłaś już raz swojego życia? A może wreszcie zrozumiałaś, że on tego nie szanuje, bo jesteś jego zabawką?

– Nie mów tak, to nieprawda. Mieszasz mi tylko w głowie.

– Widząca, ja chcę dla ciebie jak najlepiej. Jesteś przecież moją służką, a ja...

– ...dbam o swoje sługi – dokończyłam za niego, przedrzeźniając boski głos.

– Jeśli tak dbasz, to go uzdrów. Uzdrów go natychmiast!

– Nie.

Jego głos był delikatny, ale stanowczy. Nie zamierzał zmienić zdania.

– Jaka to by była przysługa? – zapytałam zrezygnowana.

Może będę mogła się targować? Może to nie będzie nic strasznego? Przecież nie mogłam zostawić tak Mieszka.

– Obiecasz mi, że go zostawisz, że będziesz tylko moja.

Miałam wrażenie, jakby mnie uderzył.

– Mam się go wyrzec w zamian za to, że go obudzisz? – powtórzyłam głuchym głosem.

– Tak.

Zaczął przypominać mi kota, który złapał mysz i dobrze wiedział, że nie zdoła mu uciec, ale mimo to udawał przed nią, że jest inaczej.

– Nie – odparłam. – Nie zgadzam się. Cena jest zbyt wysoka.

– Nie będę się targował, widząca.

– Czemu mi to robisz? – jęknęłam.

Ukląkł obok i złapał moją twarz w dłonie. Były bardzo gorące.

– Bo chcę ciebie. – Jego głos zadrżał od emocji, a oczy zaślniły niebieskimi

płomieniami. – Jesteś moją służką i należysz do mnie, a nie do tego śmiertelnika. Nie pozwolę, żeby mi ciebie odebrał.

– Nie należę do nikogo, a tym bardziej do ciebie.

Odepchnął mnie i zerwał się na równe nogi. Zaczął krążyć po polance. Z każdym krokiem stawał się mniej ludzki. Dym zaczął się unosić dookoła jego nóg, zabłyszczały w nim iskry żaru. Włosy na jego głowie zaśniły blaskiem ognia.

– Może trzeba było jednak jemu dać napar z kwiatu – prychnął do własnych myśli. – Pozbyłbym się go raz na zawsze.

– Jesteś bogiem. Śmiertelnicy nie powinni zaprzętać twojej głowy – powiedziała drżącym głosem. – Jesteśmy dla was nieważnymi mrówkami. Przeminiemy, zamienimy się w pył, a ty nadal będziesz trwał.

Miałam nadzieję, że go tym ułagodzę, ale osiągnęłam przeciwny efekt. Dookoła jego stóp buchnęły płomienie. Przywarłam do ciała Mieszka, bojąc się, że bóg spali nas na popiół, że będziemy jak widmo z jego koszmaru.

– Za dużo sobie pozwalasz, widząca. Byłam dla ciebie cierpliwy, naprawdę cierpliwy. A ty cały czas mnie odtrącasz. Mnie!

Skuliłam się jeszcze bardziej.

Bóg westchnął. Płomienie odrobinę się zmniejszyły.

– Nie uczynię ci krzywdy – oznajmił. – Nie musisz się mnie bać.

Niestety miałam co do tego spore wątpliwości.

– Dlaczego nie chcesz mi pomóc? – jęknęłam.

– Nie chcę pomóc jemu – sprecyzował.

– Przecież już mu kiedyś pomogłeś! Powiedziałeś mu przez ubożęta, że równowaga jest zaburzona i musi mnie uratować przed wąpierzem!

Uczepiłam się tego wspomnienia przypominanego mi przez koszmar Mieszka niby koła ratunkowego.

– Zastanów się! – W jego głosie usłyszałam gniew. – Pomogłem wtedy jemu? Czy tobie za pomocą jego rąk?

Zamarłam. Miał rację. Zapłakałam. Nie wiedziałam, co mam teraz zrobić.

– Mogę mu pomóc, ale musisz się go wyrzec – oznajmił.

– Nie. – Pokręciłam głową.

– Jak sobie życzysz. Jeśli zmienisz zdanie, zawołaj moje imię. Usłyszę cię.

Rozwiązał się na wietrze niczym dym, który jeszcze przed chwilą unosił się dookoła niego. Poszycie było spalone na węgiel w miejscu, gdzie stopy boga dotknęły podłoża. Gdy zniknęła jego gorejąca sylwetka, zrobiło się o wiele ciemniej i zimniej.

Nie mogłam powstrzymać płaczu.

Co mam zrobić?

Co?!

Pozwoliłam sobie na chwilę słabości, ale gdy tylko łyzy obeschły na moich policzkach zerwałam się na równe nogi i zaczęłam spacerować w kółko jak Swarożyc. Nerwowo wyłamywałam sobie palce, usiłując zmusić mózg do myślenia.

Musiał być jakiś sposób. Przecież to niemożliwe, żeby jedyną odtrutką na urok nocnic były one same. Swarożyc znał inną metodę. A skoro on ją znał, to pewnie znają ją też inni bogowie.

Gdzieś w oddali zawył wilk. Po chwili do smutnego głosu dołączyły kolejne. Przestraszona objęłam się ramionami.

Wsunęłam brudne stopy w wysokie szpilki, żeby nie było mi tak zimno, ale i tak szczykałam zębami. Moje rajstopy były porwane, pozaciągane i z warkoczami oczek. Sukienka nie wyglądała dużo lepiej. Ubrudzona była ziemią i suchymi liśćmi, które powcisnęły się we wzory koronki.

Wyglądałam teraz jak dama w opałach. A odważny księżę gdzie? Śpi...

W mojej głowie ziała kompletna pustka. Przecież nie mogłam wyrzec się Mieszka! Na litość wszystkich bogów, czego Swarożyc ode mnie chciał?! Kim ja dla niego miałam być?! Ubzdurał sobie, że będę jego drugą Ote?

Ta cholerna baba będzie mnie prześladowała nawet po śmierci? I to kolejnej?!

Wyrzec się Mieszka! Idiotyzm!

Pomijam milczeniem to, że jakiś czas temu mnie samej wpadł ten pomysł do głowy, ale to było, zanim wrócił. Zanim... zanim dla mnie postanowił zostać normalnym człowiekiem, porzucić tułaczkę, kupić dom i stać się odpowiedzialny.

Był to nieco staromodny sposób, przyznaję. Jednak po czasie doceniam jego starania, jako że wyśmiałam go, gdy mi o tym powiedział po raz pierwszy.

– Mieszko, do jasnej cholery, to mnie trzeba ratować – irytowałam się coraz bardziej. – To mnie zawsze ktoś ratuje!

No i co mam zrobić? Naprawdę nic innego mi nie zostaje?

Uklękałam i położyłam dłonie płasko na ziemi. Mam nadzieję, że tego nie pożałuję. Oj mam nadzieję, że nie.

– Mocosz? Mocosz, moja matko, proszę przybądź. Miałaś przyjść, jak cię zawołam – powiedziałam, nie mogąc się do końca zdecydować, czy chcę, żeby przyszła, czy może wolę, by jednak mnie nie usłyszała.

Nie wiem, czy rzeczywiście powinnam krzyczeć. Nie jestem do końca pewna, czy to miała wtedy na myśli. Z powodu dzikich zwierząt krążących dookoła nas postanowiłam raczej mówić niż się wydzierać.

Podniosłam ręce i wstałam. Wytarłam je o i tak brudną sukienkę. Nie miałam wyboru. Kto inny mógłby mi pomóc?

Jaga nie odbierała telefonu, Sława także.

Do Witka przecież nie zadzwonię, bo musiałabym mu wszystko wytłumaczyć. Poza tym w niczym by mi nie pomógł, bo nie zna tych lasów oraz nie wierzy w nocnice. Wątpię, że wie, jak odczyniać uroki.

Swarożyc już podał swoją zbyt wygórowaną cenę, Weles mnie nienawidził, Świętowit chyba też nie ma o mnie dobrego zdania. Striboga, Chors i wielu innych nie miałam jeszcze okazji poznać, ale wołałam zbyt szybko nie zmieniać tego stanu rzeczy.

Zostawała tylko ona, jedyna z neutralnym stosunkiem do mojej osoby. O ile usłyszy moje wołanie. Kazała mi przecież wyjść na pole i zawołać jej imię.

No jakby na to nie patrzeć, na polu to ja teraz nie stoję...

– Mokosz, Mokosz, to ja, Gosia! – spróbowałam jeszcze raz. – Proszę cię! Usłysz moje wołanie!

– Zbyt głośno to nie krzyczysz... – odpowiedział za mną rozbawiony głos.

Ja chyba muszę sobie kupić jakieś porządne tabletki uspokajające. Jeśli oni wszyscy ciągle będą się do mnie skradać tak od tyłu, to w końcu dostanę najwykleszego zawału i skończy się moja historia.

Mokosz stała bosa tuż obok nieruchomego Mieszka. Z jej ciała biła delikatna pulsująca poświata. Uśmiechnęła się do mnie łagodnie.

– Zawołałaś – stwierdziła.

Wydawała się zadowolona i jednocześnie zaskoczona. Zupełnie jakby nie spodziewała się, że kiedykolwiek skorzystam z jej hojnej propozycji.

– Tak, dziękuję, że odpowiedziałaś na moje wezwanie. – Skłoniłam głowę.

– Jesteś moim dzieckiem.

Mam po dziurki w nosie tych bogów. Ta uważa mnie za córkę. Tamten chce ze mnie zrobić swoją dziewczynę. No na litość...

– Pomożesz mi? – Postanowiłam od razu przejść do konkretów. – Na Mieszka został rzucony urok.

Oby tylko jej cena była niższa od zaproponowanej przez boga ognia. Ominęła leżącego Mieszka i przyjrzała się uważnie ziemi pomiędzy nami.

– Mój brat tu był? – zapytała, zerkając na wypalone poletka.

– Tak.

Z jej śladów, rzecz jasna, wyrastały kwiatki. Nie mogło przecież być inaczej.

– Co się stało?

Stała naprzeciwko mnie. Byłyśmy równego wzrostu. Miałam wrażenie, że jest w stanie zajrzeć do mojej duszy, gdy patrzy mi prosto w oczy. Ciemnobrązowe oczy przywodzące na myśl grudki ziemi hipnotyzowały.

Wszystko jej opowiedziałam. Nie było sensu niczego ukrywać, jakiegokolwiek kłamstwo mogło tylko mi zaszkodzić. Ani razu nie zareagowała na moje rewelacje. Jedynie żądanie Swarożycy wytrąciło ją wyraźnie z równowagi.

Zmarszczyła brwi.

Mokosz nie była skończoną pięknnością. Owszem była ładna, ale dziewczyn o twarzach takich jak jej były setki. Zawsze myślałam, że ta konkretna bogini powinna uosabiać skończone piękno, skoro była życiem. A ona była taka... zwyczajna.

Chociaż może o to chodziło? O to, że bogini życia i płodności jest w każdej z nas?

– Rozumiem – rzekła, gdy poznała już całą historię. – Jego żądanie jest... niecodzienne.

– Tak – zgodziłam się.

– Nie przystałaś na nie?

– Nie.

No przecież bym jej nie wołała, gdybym się zgodziła. Litości...

– Rezygnacja z tego mężczyzny nie byłaby dla ciebie złym rozwiązaniem – powiedziała.

– Ale wybranie zamiast niego boga ognia też nie było dobrym pomysłem – odważyłam się wtrącić.

– Istotnie. – Na jej ustach ponownie zagościł uśmiech.

Jakiś cudem zawsze wyglądała, jakby była już po kilku głębszych. Ten jej leniwy uśmiech szczęścia był podejrzany.

– Pomożesz mi? Pomożesz nam? – zapytałam błagalnym tonem.

– Pomogę.

Odetchnęłam z ulgą. O mało znowu się nie rozplakałam.

– Ale najpierw... powiedz mi, co się stało z naparem z kwiatu paproci – zażądała.

Kiwnęłam głową. To bogini, nie zrobiłaby przecież niczego za darmo, ale tę cenę mogłam chyba zapłacić. Opowiedziałam jej, co Mieszko zrobił, o tym, jak zużył część naparu, by wygoić ranę na moim brzuchu.

– Ciekawe – stwierdziła zdawkowo.

– Ciekawe? – Usiłowałam pociągnąć ją za język.

– Nie wiem, czy staniesz się taka jak on. Wiemy już jednak, że dzielenie naparu się nie udaje. Łaska kwiatu nie odebrała mu nieśmiertelności. Pytanie, co dała tobie.

Jej spojrzenie zbystrzało. W jednej chwili przestała być piękna, miła i łagodna. Jej oczy zmatowiały.

– Da się to jakoś sprawdzić? – zapytałam ostrożnie.

– Mogę cię zabić i sprawdzić, czy odrodzisz się nieśmiertelna.

– Nie, to chyba nie chcę – odpowiedziałam szybko.

Jej przyjemny dla ucha, choć odrobinę dziwny śmiech przypominał dzwonięcie metalowych dzwoneczków zakładanych owcom na szyję.

– Nieśmiertelność nie jest dla ludzi – stwierdziła mimo radości zdecydowanym tonem. – Nieśmiertelni mogą być tylko bogowie. To... zaburza równowagę. – Wskazała na Mieszka palcem. – Nie jest bogiem, ale nie jest też już człowiekiem. To chaos. Zbliź się do mnie, dziecko.

Posłusznie podeszłam, dobrze wiedząc, co chce zrobić. Nie zawiodłam się. Bogini wyciągnęła rękę i dotknęła mojego brzucha, zupełnie jakby to było coś najzwyklejszego pod słońcem. Poczułam przyjemne ciepło, które zaczęło rozchodzić się falami po całym ciele.

To jej macanie po macicach jest niepokojące. Niemniej jednak miło, że chociaż podzieliła się ciepłem.

– Taka szkoda, że nie... – urwała.

Cofnęła gwałtownie rękę. Uśmiech zamarł na jej twarzy. Przytuliła dłoń do piersi i wbiła we mnie uważne spojrzenie, jakby była przekonana, że zrobiłam jej coś złego. Dała krok do tyłu.

Zmroził mnie strach. Zerknęłam na swój brzuch, a potem na nią. Na bogów! Co tym razem? Za dużo sztucznych włókien w mojej sukience? Za dużo poliestru?

Spociałam się, podejrzewając, że zaraz mnie zabije za tę zniewagę. Na wszelki wypadek ja także cofnęłam się o dwa kroki. Tak na wszelki wypadek.

– Coś się stało? – wyjąkałam.

– Kiedy ostatnio byłaś z mężczyzną? – zapytała.

Otworzyłam szeroko oczy zbита z tropu tym bezceremonialnym pytaniem. Jakaś nowość, o to jeszcze nie pytała.

– Eee...

– Kiedy zaległaś z mężczyzną? – jej głos stał się napastliwy.

– W dniu rytuału – szybko odpowiedziałam.

Dała krok do tyłu, jakbym to ja mogła zrobić jej krzywdę. Jeszcze kawałek i potknie się o nieprzytomnego Mieszka.

– Z jakim mężczyzną? – wycedziła.

Moje spojrzenie powędrowało w stronę jego nieruchomego ciała. Odwróciła się do niego i zamarła. Mijały sekundy, a ona cały czas się nie ruszała, zupełnie jakby się zawiesiła niczym stary komputer. Nie wiedziałam, co zrobić. Powiedzieć coś? Poruszyć się? A może, jak to zrobię, to spotka mnie kara?

Tylko za co?

Dotknęłam podbrzusza zaniepokojona jej zachowaniem. Nie podobały mi się pytania, które zadawała. Co to do cholery miało znaczyć?

Przecież nie mogło znaczyć tego, co właśnie pomyślałam, prawda? To niemożliwe!

– Matko? – odważyłam się odezwać.

Stwierdziłam, że zagram na jej rodzicielskich emocjach i nazwę ją matką. Może dostanę za to jakieś dodatkowe punkty.

– Matko?

– Och...

Odwróciła się do mnie. Nie potrafiłam niczego wyczytać z jej twarzy. Blask jej ciała odrobinę przygasł.

– Równowaga na świecie to podstawa – powiedziała mi z gruszki, ni z pietruszki. – Natura pilnuje, by nie było żadnych... zaburzeń. Żadna siła nie może wysunąć się na prowadzenie. To dlatego jest nas tylu. Pilnujemy się nawzajem, dbając o tę równowagę.

Okej... to o równowadze to już wiedziałam wcześniej.

– A jednak bogowie chcieli dla siebie kwiat paproci, by tę równowagę zaburzyć – wtrąciłam.

Skrzywiła się.

– Tak – przyznała niechętnie. – Zapomnieli, w jakim celu istniejemy. Pozwolili, by ich wewnętrzny konflikt zagroził wszystkiemu.

Nie spodziewałam się po Mokosz takiej szczerości. Słowa płynęły z jej ust nieprzerwanym strumieniem. Odniosłam wrażenie, że już od dawna chciała się przed kimś otworzyć, ale zwyczajnie nie miała przed kim.

– Wtedy pojawiłaś się ty. Pierwsza tak uzdolniona widząca od wielu, wielu stuleci. Naprawdę potężna. Twoja dola kroczy krętą drogą. Ze wstydem przyznaję, że ja także usiłowałam na nią wpłynąć. Zapomniałam, że twoje przeznaczenie jest zapisane w tobie i nawet bogowie nie mogą go zmienić. Musisz podążać swoją ścieżką, nie zważając na nikogo. Nawet na nas. Musisz być silna.

Jeszcze raz spojrzałam na swój brzuch.

– Co wyczułaś? – zapytałam.

– Wiesz co.

– Ale to niemożliwe. – Pokręciłam głową.

– Wszystko jest możliwe. Taka twoja dola, moja córko. Taka jego dola. – Wskazała na nieprzytomnego mężczyznę. – Dla niego niemożliwe zaczęło się tysiąc lat temu. Dla ciebie teraz. Nie walcz z tym. Wszystkim nam pozostaje teraz tylko uważne obserwowanie dalszych kolei losu. Nawet bogowie muszą się podporządkować swojej doli.

– A jaka jest dola Swaróżyca?

Zacisnęła mocno usta. Cała krew odpłynęła z jej twarzy.

– Mój brat nie rozumie wielu rzeczy i szybko nie zrozumie. Córko, musisz na niego uważać. Zawsze otaczał strażniczki wiedzy opieką, ale nigdy nie robił tego za darmo. Uważaj na niego, dobrze ci radzę.

O tym to akurat już wiedziałam. Perspektywa przysługi, którą mu obiecałam, uwierała mnie coraz bardziej. Nie będę mogła mu odmówić. Będę musiała zrobić to, co mi każe.

– Zwróć się do mnie, gdy będziesz potrzebowała pomocy – zaproponowała.

– Od dzisiaj jesteś także pod moją opieką. Nie pozwolę cię skrzywdzić memu bratu.

Chyba spodziewała się, że w podzięcie padnę jej za to do stóp i będę całować ziemię, po której stąpa. Pewnie powinnam. Jednak najpierw chciałam się jeszcze czegoś dowiedzieć.

– A wiesz coś o innych bogach? Weles i Świętowit byli rozwścieczeni, że nie dałam im kwiatu, że ich oszukałam...?

– Oszukałaś nas wszystkich i dobrze zrobiłaś. – Nieoczekiwanie doszła do tej konkluzji. – Nie powinniśmy byli sięgać po kwiat. Powinniśmy byli być mądrzejsi. Nie przejmuj się moimi braćmi. Długo chowają urazę, ale nie będą się na tobie mścili.

– Weles powiedział, że poczeka, aż stanę się strzygą, bo wtedy będę należała do niego.

Ta groźba wciąż mroziła krew w moich żyłach. Nie chciałam stać się taka jak Ote. Oczywiście zawsze istniało prawdopodobieństwo (całkiem spore), że po prostu za życia była psychopatką i zamiana w strzygę wiele nie zmieniła. Jednak na wszelki wypadek wołałam uniknąć wieczności wypełnionej głodem krwi i mordy.

Czytałam kiedyś pseudonaukowy artykuł o spożywaniu krwi przez wampierze. Autorzy byli co prawda przekonani, że upiry nie istnieją i że to po prostu szaleni ludzie pijący ludzką krew, ale treść artykułu była ciekawa. Podobno picie krwi przyspiesza perystaltykę jelit.

Wieczność z biegunką. Mało pociągające.

– Zobaczymy, gdzie zaprowadzi cię twoja dola – oświadczyła bogini. – Może zostaniesz strzygą, a może nie. Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Pomogę teraz twojemu mężczyźnie.

Ukucnęła przy Mieszku i dotknęła jego ramienia. Jego klatka piersiowa uniosła się do góry, a usta rozchyliły w głębokim oddechu. Powoli na jego policzki zaczął wpełzać rumieniec.

– Będzie senny jeszcze przez dłuższy czas – poinformowała mnie.

Rzuciłam się do niego, gdy tylko się odsunęła. Jego skóra nie była już tak lodowata. Zamrugał i poruszył rękami.

– Mieszko? – Potrząsnęłam jego ramieniem. – Słyszysz mnie?

– Gosia? – wyjąkał.

– Mieszko! – ucieszyłam się.

Zmęczenie wzięło górę. Zamknął oczy, nie mogąc utrzymać ich otwartych. Jęknął.

Odwróciłam się do Mokosz. Przyglądała się nam z zagadkowym wyrazem twarzy. Myślałam, że jeszcze coś powie, ale trwała w bezruchu.

– Czy możesz nikomu nie mówić...? – urwałam, licząc, że domyśli się, o co

mi chodzi.

– Tak, córko. Zawołaj, jeśli będziesz w potrzebie. Przyjdę.

W następnej chwili rozsypała się w pył, zostawiając mnie z niby obudzonym, ale ciągle niezbyt przytomnym mężczyzną.

45.

Gdy usiedliśmy w samochodzie, odetchnęłam z ulgą. Bolało mnie całe ciało, nie było chyba mięśnia, którego nie nadwyreżyłam. Nie wiem, jak zdołaliśmy dojść do hotelu, by zapakować się do auta. Mieszko na przemian odzyskiwał i tracił przytomność. Jedyne szczęście, że tym razem nie śniły mu się koszmary.

Holowałam go opartego o moje ramię, ale nie oszukujmy się – osiłkiem to ja w żadnym razie nie jestem, a on ma ze dwa metry wzrostu i sylwetkę herosa z filmów. A mięśnie są cięższe od tłuszczu. Znacznie cięższe.

Po raz kolejny w swoim życiu zostawiłam buty na obcasie w lesie i dla wygody szłam na bosaka. Ciekawe, czy leszy zwróci mi kiedyś w końcu uwagę, że notorycznie zaśmiecam puszcę swoim niepraktycznym obuwem.

Zarzuciłam sobie rękę Mieszka na ramię i objęłam go w pasie. Zachęcałam go do wykonywania kolejnych kroków niczym trener piłki nożnej zagrzewa do dalszej gry swoich zawodników. W ten sposób powoli, krok za krokiem, poruszaliśmy się, pilnując kierunków wskazywanych przez GPS w moim telefonie.

Wszystko było dobrze, dopóki Mieszko był przytomny. Na początku nie wiedziałam jeszcze, że powinien mnie ostrzegać i kilka razy niespodziewanie przewróciliśmy się na ziemię, gdy tracił świadomość. Szybko dochodził do siebie, ale każde kolejne stawianie go do pionu było dla mnie coraz trudniejsze. Opadałam z sił.

Jeszcze w lesie wyciągnęłam mu z kieszeni spodni kluczyki do samochodu. Nie wiem, co byśmy zrobili, gdyby gdzieś się zgubiły.

Kolejny raz głęboko odetchnęłam. Siedzenie w aucie było takie wygodne, bolące plecy i nogi od razu wpasowały się w miękki fotel. Jeszcze chwila i sama usnę. Odpaliłam silnik. Maszyna zamruczała, a ja poczułam przypływ sił. Podkreśliłam wiatrak, żeby cucił mnie i Mieszka chłodnym powietrzem.

Jeszcze tylko musimy dojechać do domu i cała ta przygoda wreszcie się skończy. Byle dostać się do domu!

Z żalem spojrzałam na jasne okna hotelu. Wewnątrz wciąż trwała zabawa weselna. Przez zaparowane szyby widziałam sylwetki beztroskich gości. Wirowali w tańcu. O tej godzinie zamiast muzyki na żywo do akcji wkroczył DJ. Głośne basy wibrowały w uszach, uniemożliwiając mi rozpoznanie melodii.

Nagle zobaczyłam Witka. Stał na tarasie oblepionym przez palaczy „dotleniających” swoje płuca rakotwórczymi cząsteczkami. Koszulę miał rozchełstaną. Oczy mu błyszczały, a na twarzy gościł szeroki uśmiech. Wydawało się, że jest w swoim żywiole – rozmowny, otwarty, odrobinę szalony.

Na chwilę nasze spojrzenia się skrzyżowały. Nie byłam pewna, czy mnie widział. Siedziałam w ciemnym samochodzie w znacznej odległości od niego.

Włączyłam światła i ruszyłam z parkingu, zostawiając wesele za sobą. Nie

miałam teraz czasu na zbędne rozczulanie się.

Mieszko pólleżał na siedzeniu z głową zwieszającą się aż do piersi. Zapięłam go pasami, ale i tak prowadziłam bardzo ostrożnie. Po ostatnim wypadku wołałam niepotrzebnie nie szarżować.

Zanim dojechaliśmy do jego nowego domu, zatrzymałam się pod willą szeptuchy. Chciałam czuwać dzisiaj przy nim przez całą noc, ale nie mogłam siedzieć w brudnej sukience i podartych rajstopach.

– Mieszko? Mieszko! – Potrząsnęłam delikatnie jego ramieniem. – Zostawię cię w samochodzie na chwilę, dobrze? Poczekasz na mnie? Muszę wziąć kilka rzeczy. Słyszysz mnie? Zaraz wrócę. Dosłownie za minutkę.

Odchylił głowę i przełknął ślinę. Spojrzał na mnie niezbyt przytomnie.

– Tak, słyszę – wychrypiał. – Poczekam.

Miał zdarty głos, jakby bardzo długo krzyczał. Poglaskałam go po policzku i wyskoczyłam z samochodu. Uwinęłam się najszybciej, jak zdołałam. Gdy wróciłam, siedział w tej samej pozycji.

– Co się stało? – zapytał, gdy znów zajęłam miejsce na siedzeniu kierowcy.

Opowiedziałam mu pokrótce wydarzenia, chociaż nie byłam pewna, czy kilka razy się nie wyłączył. Na szczęście potem oprzytomniał na tyle, bym bez żadnego kłopotu doholowała go do łóżka i rozebrała z brudnej na plecach koszuli i ze spodni. W samych bokserkach położył się i od razu usnął. Przykryłam go cienkim prześcieradłem i usiadłam na krześle.

Dopiero teraz całe napięcie opuściło moje ciało. Spojrzałam na ręce trzymane na podolku. Dłonie drżały mi z wysiłku i emocji tak bardzo, że nie byłam w stanie zdjąć kolczyków.

Objęłam się ramionami i zaczęłam bujać na krześle w przód i w tył. Patrzyłam na Mieszka. Leżał spokojnie na plecach. Jego klatka piersiowa unosiła się w rytmie regularnego, głębokiego oddechu. Miałam nadzieję, że nie śnił teraz o niczym.

Wyrzec się jego?

Czy byłabym w stanie?

Dotknęłam brzucha. Co teraz będzie? Pokręciłam głowę. Nie, Mokosz musiała się mylić, to nie mogła być prawda.

Udało mi się w końcu zdjąć kolczyki. Położyłam je na biurku i zamarłam w połowie ruchu. Na blacie leżał nowiutki telefon komórkowy rozłożony na czynniki pierwsze i brudna instrukcja obsługi, którą ktoś wielokrotnie czytał.

Odwróciłam się gwałtownie do Mieszka. Spał dalej, nieświadomy niczego. Wojownik najwyraźniej postanowił wreszcie przenieść się ze średniowiecza do współczesności i kupił telefon.

Złapałam swoje dresy i ruszyłam do łazienki. Wychodząc z sypialni, zgasłam światło. Mieszko nawet się nie poruszył.

Łazienka na parterze wyglądała, jakby przeszedł przez nią huragan. Stare kafelki zostały zbite ze ścian. Podłogę była już odpowiednio wyprofilowana ze spadkiem, który zapewniał właściwy odpływ wody spod prysznica. Postawiłam stopy na chłodnym kamieniu. Mieszko nie oszczędzał na materiałach. Szary marmur z delikatnymi czarnymi żyłkami na podłodze i ścianach nadawał wnętrzu nowoczesny, odrobinę ascetyczny charakter.

Zostawiłam rzeczy na drewnianej półce obok zlewu i postanowiłam zwiedzić cały dom, mając nadzieję, że to mnie odrobinę wyciszy. Pogrążone w ciemnościach wnętrza były jednocześnie straszne i intrygujące. W kolejnych pokojach stały worki cementu, deski, rury. Wszystko to tworzyło labirynt pełen sekretów.

Zajrzałam do dużej kuchni w tyle domu. Podłoga już została położona, ściany niemalże świeciły czystą bielą. Na wyspie kuchennej Mieszko zamontował płytę indukcyjną, obok na blacie stało kilka garnków i misek, których ostatnio używał. Pstryknęłam przełącznik i nad blatem zapłonęło światło w nowoczesnym żyrandolu przypominającym szklany lampion.

Większość szafek kuchennych stała jeszcze w częściach pod ścianami, czekając na skręcenie. W kącie cicho buczała wysoka, szara lodówka. Wyświetlacz na obudowie wskazywał temperaturę wnętrza.

Wyobraziłam sobie duży drewniany stół obok wysokich okien wychodzących na ogród. Przez chwilę usłyszałam śmiech dzieci, które mogłyby dookoła niego biegać, i spokojny, uspokajający głos ich ojca. Mogłaby tu mieszkać rodzina.

Podeszłam do wyspy kuchennej. Przejechałam palcami po chłodnym granicie, z którego wykonano blat. Sięgnęłam po szklaną solniczkę i bezmyślnie postukałam w nią paznokciem, patrząc na przesypujące się białe kryształki. Westchnęłam.

Moja dola to ma dopiero poczucie humoru.

Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że nie jestem w pomieszczeniu sama. Powoli podniosłam głowę. Na tle okien stała nieruchoma sylwetka otoczona cieniami.

Swarożyc.

Przyglądał mi się uważnie, śledząc każdy krok. Nawet dym wydawał się zamrożony, kompletnie zastygły.

– Nie przyjechałaś mojej propozycji – stwierdził cicho.

Nadal się nie poruszył.

– Nie – odparłam.

– Szkoda.

– Ja nie żałuję.

– Kto ci pomógł? – chciał wiedzieć.

– A dlaczego ktoś miałby mi pomóc?

Okrążyłam wyspę w taki sposób, by odgradzała mnie od boga. Wiedziałam, że na niewiele się zda, gdyby postanowił mnie skrzywdzić, ale poczułam się pewniej, gdy coś znalazło się pomiędzy nami.

– Kto ci pomógł? – powtórzył.

Wciąż nie ruszał się z miejsca. Opierał się o ścianę pomiędzy oknami. Ręce założył na piersi, jakby i on potrzebował przede mną tarczy. Uniósł lekko głowę w geście lekceważenia.

– Mocosz – odpowiedziałam.

Skrzywił się, jego oczy zabłysły.

– Czego chciała w zamian?

– Chciała dowiedzieć się, czy wypilał napar z kwiatu paproci.

Syknął i odwrócił ode mnie wzrok. Dym dookoła jego nóg zafalował wściekle. Poglądził brodę. Zdałam sobie sprawę z tego, że jest zdenerwowany. O czym to mogło świadczyć?

– Powiedziałaś jej?

– Nie stałabym tu teraz, gdybym postąpiła inaczej.

Nie zdołałam ukryć goryczy w głosie, a on to usłyszał. Wrócił do mnie spojrzeniem. Poczułam ulgę, że nie wiedział, co się wtedy stało, że nie słyszał tego, co mi... prawie powiedziała.

– Czego ty ode mnie chcesz? – zapytałam zmęczona.

Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się uzyskania od niego żadnej odpowiedzi.

– Wielu rzeczy.

– A już wiesz, jaką przysługę mam ci oddać? Co mam zrobić?

– Chcesz mieć to już za sobą, żeby się ode mnie uwolnić? – Zmrużył oczy.

– Tak.

Odepchnął się od ściany i podszedł do mnie zamaszystym krokiem. Ominął wyspę i zatrzymał się jak rażony piorunem.

Powoli spojrział w dół. Na ochronny krąg soli, który dookoła siebie rozsypałam, korzystając z zasłaniającej mnie wyspy. Zacisnęłam palce na pustej w tej chwili solniczce, którą cały czas trzymałam.

Zaśmiał się, ale w jego śmiechu nie było ani jednej wesołej nuty. Po plecach przebiegł mi dreszcz.

– Urocze, ale nieskuteczne przeciwko bogu – skwitował i postawił stopę w poprzek linii soli.

Nie spodziewałam się, że krąg mnie ochroni, ale miałam nadzieję, że chociaż na chwilę go zatrzyma.

Złapał mnie za brodę i uniósł moją głowę tak, bym musiała spojrzeć mu w oczy. Nie było w nim w tej chwili nic ludzkiego.

– Spełnię zatem twoją prośbę i powiem ci, jakiej przysługi od ciebie żądam –

wycedził. – Musisz zabić. Zabijesz dla mnie?

Zrobiło mi się słabo. Upadłabym, gdyby drugą ręką nie złapał mnie za ramię i nie przytrzymał.

– Co takiego? – wyjąkałam.

– Nie masz wyboru. Musisz to zrobić. Musisz zabić osobę, którą ci wskażę. Bogowie, tylko nie to. Nie jestem morderczynią! Nie zrobię tego!

– Zrobisz to – stwierdził, dobrze odczytując emocje na mojej twarzy.

Odsunął się ode mnie i zabrał dłonie. Oparłam się ciężko o blat. Dopiero teraz zobaczyłam, że obok mnie leży sztylet. Ostrze było bardzo stare, poznaczone siateczką pęknięć oraz splamione rdzą. Głównię wieńczył okrągły bursztyn z zatopionym owadem, ponad nim trzon opleciono brązowym rzemieniem upstrzonym brunatnymi plamkami.

To były zaschnięte krople krwi.

Nie mogłam oderwać od niego wzroku.

– Wiesz, czego pragnę? – zapytał Swarozyc, a następnie sam sobie odpowiedział. – Pragnę wielkości. A co mam?

Odwrócił się do mnie plecami i powoli ruszył w stronę okien. Zupełnie się nie przejmował, że zostawia mnie za sobą ze sztyletem. Wiedział, że nie dałabym rady zrobić mu krzywdy. Poza tym był bogiem. Wątpię, że cokolwiek jest w stanie zrobić mu krzywdę.

Przełknęłam ślinę. Ledwie słyszałam, co do mnie mówi. W głowie cały czas obijało mi się jego żądanie. Nie mogłam przestać o tym myśleć. Uczyłam się na pamięć plam krwi na sztylcie. Jego obraz utkwił mi w pamięci już na zawsze.

Swarozyc stanął przy oknie i wyjrzał na zewnątrz, zupełnie jakby mógł obserwować stamtąd cały świat. Podparł się pod boki we władczej pozie.

– Jestem bogiem, ale jednym z wielu – prychnął z pogardą. – Moi bracia i siostry do niczego się nie nadają. Gorączkowo starają się zachować równowagę. Równowagę?! Równowaga to coś nienaturalnego. Światem powinien rządzić chaos!

Odsunęłam się od sztyletu, od blatu na którym leżał. Najchętniej skuliłabym się w kącie i zamknęła oczy, by się od tego wszystkiego odgrodzić.

– Chaos? – wyszeptałam.

– Chaos – zerknął na mnie przez ramię. – Chaos jest wszystkim, widząca. Chaos jest mną. Chaos jest przyszłością.

Na jego wykrzywionej w uśmiechu twarzy dostrzegłam szaleństwo.

Coś mi się tu nie zgadzało. Przecież sam kiedyś optował za równowagą? To dlatego mi pomógł. To dlatego wysłał mi na pomoc Mieszka, gdy zaatakował mnie wapiersz. Wypowiedziałam głośno swoje obawy.

– Moja droga widząca, czasami niewiele widzisz – zakpił protekcyjnym tonem. – Nie mogłem maczać w tym palców i ci pomóc, bo moi bracia

zrozumieliby, że chcę kwiat dla siebie.

– Ale go nie dostałeś...

Zaśmiał się skrzekliwie. Na ten dźwięk włoski na przedramionach stanęły mi dęba. W jego głosie było tyle zła.

– Ależ dostałem, widząca. Jest w tobie, a ty jesteś moją sługą, czyż nie? Tysiąc lat temu, gdy Ote bezmyślnie podarowała moc kwiatu śmiertelnikowi, zrozumiałem, ile może mi dać widząca objęta jego łaską. Dla Ote było już za późno, ale jestem cierpliwy. Czekałem na ciebie bardzo długo.

– Ote służyła Welesowi – zaprotestowałam słabo.

– Doprawdy? To czemu nie odebrała ci kwiatu i nie oddała go swemu panu? Czemu zamiast cię zabić na miejscu, bawiła się z tobą jak nieudolna kotka? Miała tysiąc lat, widząca. Gdyby chciała cię wtedy zabić, nawet nie zdążyłabyś krzyknąć. Miała zadać ranę na tyle niebezpieczną, by w przeciągu jakiegoś czasu cię zabiła. Jednak najpierw miałaś zdążyć przygotować napar i uratować się za jego pomocą. Moja mała intrygantka zadbała o wszystko, by mnie zadowolić.

Zamarłam. Wcale nie zamierzałam się za jego pomocą ratować. Podjęłam decyzję, że poświęcę się dla Mieszka, że spełnię daną mu obietnicę. Nie przewidział tego wtedy. To dlatego ukazał się nam w ogniu i odwiódł go od przyjęcia ode mnie naparu. W innym wypadku by się nie ujawnił. Udawałby przed bogami, że nie miał nic wspólnego z całą intrygą.

Od początku oboje byliśmy jego marionetkami, robiliśmy wszystko, czego od nas oczekiwał.

Byłam taka głupia. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłam?

– A Ote? Czemu przyszła do leśniczówki, gdy umierałam? Czemu chciała nas zabić? Bo przecież chciała...

– Ach, to... – wydawał się zniesmaczony. – To był chaos w czystej postaci.

Czyli nie planował tego. Strzyga wyrwała się spod jego mocy.

– Zabiliście moją drogą Ote. On zabił moją Ote. Nigdy mu tego nie wybaczę! – warknął rozwścieczony.

W mojej głowie panował chaos, który tak wielbił bóg ognia, ale powoli kolejne elementy historii wpadały na swoje miejsce.

– A Weles? Weles przecież by się na niej nie zemścił, że nie wykonała jego rozkazów! – zauważyłam.

Jako strzyga była jego służką. A on wyraźnie kazał jej zdobyć kwiat tylko dla siebie.

– Poświęciła się dla mnie. Była gotowa znieść jego gniew. Dla mnie – podkreślił zadowolony z siebie.

– Czyli możliwe, że i tak by zginęła. Skazałeś ją na śmierć – wytknęłam mu.

Dookoła jego postaci zawirowały iskry, oczy zalśniły mu błękitnym ogniem.

– Poświęciła się dla mnie jak prawdziwa służka. Kochała mnie, kochała

swojego pana. Ty tego nie rozumiesz, widząca. Nie wielbisz mnie tak jak ona. Nie wiem, czemu się przed tym bronisz.

Wytrzeszczyłam na niego oczy niezdolna do żadnej riposty. Nie pojmowałam zakłamania, w jakim żył Swarożyc.

– Nie widzisz, że cały czas jestem przy tobie? Że wprost wielbię ziemię, po której chodzisz? Razem możemy rzucić świat na kolana! – wykrzyknął. – Byłem przy tobie zawsze, gdy tylko mnie potrzebowałaś. Uratowałem cię przed wilami, czyż nie?

Gdy nie zareagowałam, podniósł głos jeszcze bardziej:

– Czyż nie?!

– Tak – potulnie się zgodziłam.

– Dzisiaj także mogłem ci pomóc, gdybyś tylko zechciała. Jestem wspaniałomyślny.

– Taki sam wspaniałomyślny byłeś, gdy nasłałeś na mnie nocnice?

To był ślepy strzał. Nie mogłam wiedzieć, że to jego sprawka. Biorąc jednak pod uwagę jego uwielbienie do ratowania mnie z opresji i oferowania wtedy swojej drogiej pomocy, byłoby to wielce prawdopodobne.

Bóg się zawahał. Krew odpłynęła mi z twarzy. Kłamliwy sukinsyn.

– To naprawdę byłeś ty? – westchnęłam zaskoczona.

– Powiedziały ci? – Nie mógł w to uwierzyć.

– Nie. Zgadłam. Inne istoty też mordowałeś, żeby zwrócić na siebie moją uwagę?

Parsknął śmiechem.

– Nie, moja droga widząca. Jesteś dla mnie ważna, ale nie zamierzam wypowiadać wojny moim braciom, zabijając ich potwory.

Pomyślałam o Mokosz, mojej matce, która przysparzyła mi i wzięła w opiekę. Czy powinnam mu o tym powiedzieć? Czy wtedy dałby mi spokój? Opuściłby?

Zaraz, zaraz. Coś mi się w tym wszystkim nie zgadzało.

– A atak w lesie? – zapytałam. – Ote nasłała na mnie wyznawców Mokosz, żeby mnie zabili. Gdyby nie bogini, nie wyszłabym z tego żywa.

– To... było nieporozumienie. Ote, moja kochana Ote, była jak ja. Była chaosem. A chaos jest nieprzewidywalny. Nie martw się, ukarałem ją za to.

Okej, teraz już miałam dowód na to, że bóg ognia jest megalomanem ogarniętym szaleństwem. Udaje wszystkowiedzącego, ale tak naprawdę każdy może go wodzić za nos. Zadrzałam na myśl o karze, która spotkała strzygę za próbę wyeliminowania mnie z gry.

Ciekawe, czy nienawidziła mnie tak bardzo, bo była zazdrosna o Mieszka, czy może o Swarożycę? Teraz i tak się tego nie dowiem.

Wróciłam spojrzeniem do sżyletu.

– Co się stanie, jeśli nie spełnię danej ci obietnicy? – zapytałam.

– Widząca... – Jego głos pełen był słodyczy. – Wtedy zniszczę wszystko i wszystkich, którzy kiedykolwiek z tobą rozmawiali. Spalę ich po kolei, a ty będziesz na to patrzeć. Obiecuję ci.

Zacmokał. Jego sylwetka zaczęła robić się coraz bardziej przejrzysta.

– Nie pojmuję, widząca... mogłaś mi się oddać. Podarowałbym ci mój żar, wszystkie moje łaski. Tak byłoby o wiele prościej. Nie rozumiem, czemu tak się przede mną bronisz. Moja propozycja jest ciągle aktualna. Razem działalibyśmy jeszcze więcej. Daj się ogarnąć moim płomieniom.

– Kogo mam zabić? – wydusiłam głuchym głosem, ignorując jego słowa.

– Dowiesz się tego niebawem...

Zniknął. Dym rozwiął się, odsłaniając na powrót okna i ciemną noc. Światło lampy zabłysło w starym sztylcie. Osunęłam się na kolana i usiadłam na podłodze pośrodku kręgu soli.

– Gosiu?

Mieszko stał w drzwiach z ponurą miną.

Krew spływała po moim brzuchu. Była taka ciepła, obca. Przycisnęłam palce do rany, ale nic to nie dało, miejsce wciąż broczyło krwią. Z każdą chwilą było jej coraz więcej. Spojrzałam na leżący obok mnie nóż. Zabarwione na czerwono ostrze spoczywało na zmiętych kwiatach powoju. Ich zwiędnięte płatki wyglądały, jakby zrobiono je z różowej bibułki, łodyżki zamieniły się w cienki, zielony sznurek.

Ból był coraz silniejszy.

Krwi było coraz więcej.

Nade mną potoczył się grzmot.

Żmij był coraz bliżej.

Przerażona otworzyłam oczy. Urywany oddech uwiązał mi w piersiach przy próbie krzyku. Przez uchylone usta nie wydostał się żaden dźwięk. Zamrugałam, wpatrując się w zwisającą z sufitu na cienkim kablu nagą żarówkę. Powoli docierało do mnie, że to był tylko sen.

Sięgnęłam do brzucha. Wciąż czułam tam delikatny fantom bólu, ale nie sterczał z niego trzonek noża, nie był też lepki od krwi. Przesunęłam palcami po gładkiej skórze.

To tylko sen, złe wspomnienie, uspokajałam się.

Odwrociłam się, by spojrzeć na Mieszka.

Nie było go. Jego strona łóżka była pusta. Przegnałam widmo koszmaru i pomacałam jego poduszkę. Była zimna. Musiał wstać dawno temu. Pościel już zdążyła oddać jego ciepło.

Z westchnieniem znowu położyłam się na plecach i przypominałam sobie miniony wieczór.

Mieszko słyszał wszystko, całą moją rozmowę z bogiem ognia. Stał w ciemnym korytarzu, gdzie bez trudu docierały do niego nasze słowa. Nie wiem, czy Swarożyc był tego świadom. Może to była tylko dalsza część jego gry? Może miał nadzieję, że w ten sposób nas skłóci?

Gdy Swarożyc odszedł, Mieszko przekroczył próg kuchni. Przez zalewające mnie łzy ledwie go zobaczyłam. Ukląkł obok mnie na podłodze i po prostu mnie objął. Zanosząc się płaczem, przytuliłam się do niego i nie chciałam puścić. Nie wiem, jak długo siedzieliśmy w tej pozycji. W którymś momencie usnęłam wyczerpana stresem dzisiejszej nocy, która jakimś cudem nie chciała się skończyć.

Obudziłam się dopiero, gdy dźwignął mnie z podłogi.

– Czekał, postaw mnie – zaprotestowałam słabo.

Nie miał takiego zamiaru. Poprawił tylko chwyt pod moimi udami i ruszył korytarzem.

– Odwdzięczam ci się za to, co dla mnie dzisiaj zrobiłaś – szepnął w moje włosy. – Wszystko pamiętam. Pamiętam, że byłaś w moim koszmarze. Słyszałem

twoje wołanie, ale nie potrafiłem się uwolnić. Nie potrafiłem.

– Swarożyc... – zaczęłam, ale mi przerwał.

– Cii... porozmawiamy o tym jutro – powiedział i pocałował mnie w czubek głowy. – Teraz musisz odpocząć.

Myślałam, że wrócimy do sypialni, ale zabrał mnie do łazienki. Postawił na ziemi i pomógł pozbyć się brudnej sukienki i rajstop. W milczeniu poddałam mu się. Nie miałam nawet wystarczającej siły, by unieść ręce. Nastawił wodę i wszedł ze mną pod strumień deszczownicy. Podtrzymał mnie, gdy ciepły strumień wody splukiwał z mojej skóry ziemię i łzy.

Wtuliłam się w niego i przez chwilę znowu poczułam się bezpiecznie.

Nie kochaliśmy się tej nocy, co było nawet dość dziwne, biorąc pod uwagę, że prawie zawsze zdieramy z siebie ubrania, jakbyśmy cały czas byli na głodzie dotyku naszych ciał. Ale tym razem nie tego potrzebowaliśmy. Mokrzy poszliśmy do łóżka i zasnęliśmy ciasno przytuleni. Pewni, że gdy będziemy tak trwać, to nic złego nas nie spotka.

Zapięły mnie oczy, gdy przypominałam sobie jeszcze raz ostatnie wydarzenia, całą traumę nocy, spotkania z bogami i strach o Mieszka. Usiadłam i odrzuciłam na bok prześcieradło. Uniosłam do góry materiał podkoszulki, w której spałam i przeciągnęłam palcami po gładkiej skórze.

Nie było żadnego śladu po ranie, którą zadała mi Ote w Noc Kupały.

Przed oczami stanął mi Mszczuj i jego rozerwane gardło. Poczułam, jak robi mi się niedobrze. To wszystko moja wina. A teraz na dodatek mam jeszcze kogoś skrzywdzić.

Nie będę płakać, obiecałam sobie. Znajdę jakieś rozwiązanie tej sytuacji.

Gdzieś z głębi domu dobiegł mnie stukot szkła i gwizdek czajnika. Wstałam i ruszyłam w tamtym kierunku, chociaż wcale nie byłam gotowa na rozmowę, która mnie czekała.

Gdy przechodziłam obok biurka, zauważyłam, że wybebeszony telefon zniknął. Musiał schować urządzenie.

Mieszko krzątał się po kuchni. Wrzucał brudne talerze i miski do zmywarki. W świetle dnia mogłam dostrzec więcej szczegółów, a pomieszczenie nie sprawiało już takiego mrocznego wrażenia.

Spora część szafek istotnie stała jeszcze na podłodze, ale cała jedna ściana była zabudowana. Na granitowym blacie, identycznym jak ten na wyspie, stał elektryczny, chromowany czajnik. Przełącznik odsłonił, gdy weszłam do środka.

– Dzień dobry – przywitał mnie Mieszko.

– Cześć...

– Zalesz? Jeśli chcesz kawę, to jest tam obok.

Posłusznie podeszłam do czajnika. Obok stały dwa kubki, do jednego wrzucił już torebkę z herbatą. Drugi, mniej wyszczerbiony, był pusty. Sięgnęłam

po słoik z kawą rozpuszczalną, której nikt jeszcze nie tknął od kupienia. Odpakowałam folię ochronną i nasypałam sobie odpowiednią ilość. Zalałam kubki wrzątkiem.

Aromat kawy, nawet rozpuszczalnej, od razu dodał mi energii i odrobinę poprawił humor.

Odwrociłam się do Mieszka, który z zafrasowaną miną zaglądał do lodówki. Miał na sobie szare spodnie dresowe zabrudzone na kolanach białą farbą. Pierwszy raz widziałam go w takim nieformalnym ubraniu. Już się przyzwyczaiałam, że za każdym razem paraduje przede mną w jednej ze swoich eleganckich, bogato zdobionych płóciennych koszul oraz w skórzanych spodniach. Bądź po prostu nago. Dotąd wydawało się, że półśrodków nie stosował.

Zerknęłam na swoje rozciągnięte dresowe gacie. Miło, że jednak okazał się tak samo zwyczajny jak ja.

– Mam jajka... – mruknął. – Mam też masło...

Zajrzałam do lodówki pod jego ramieniem. Nie wiem, nad czym tak się modlił, bo istotnie w jej nowiutkim wnętrzu były tylko jajka i napoczęta kostka masła.

– A masz chleb? – zapytałam.

– Leży na blacie.

– To ja mogę zjeść chleb z masłem – wzruszyłam ramionami.

– Ja też. – W jego głosie usłyszałam ulgę.

Odkąd weszłam do pomieszczenia, unikałam patrzenia na wyspę. W końcu musiałam jednak stawić jej czoło. Na ziemi obok niej wciąż lśnił krzywy krąg z soli, którą rozsypałam. Za to na blacie...

...na blacie leżał sztylet od Swaróżyca.

Mieszko podążył za moim spojrzeniem.

– Weź kubki i idź na tył domu. Zjemy w ogródku. Ja zaraz cię dogonię. – Popchnął mnie delikatnie.

Z ulgą złapałam naczynia i uciekłam z kuchni, w której coraz bardziej brakowało mi powietrza.

Przeszłam długim korytarzem do świeżo wstawionych, przeszklonych drzwi. Izolacja wylewała się spod framug, ale już zaschła. Nacisnęłam łokciem klamkę i wyszłam na zewnątrz. Ganek odrobinę przypominał taras Baby Jagi. Znajdował się dwa schodki ponad powierzchnią ziemi. Był wyłożony starymi deskami zniszczonymi przez deszcz i niepogodę. Ostrożnie stawiając bose stopy, przeszłam na brzeg i usiadłam w plamie słońca, podkulając pod siebie nogi. Jakimś cudem udało mi się nie wbić sobie w stopę żadnej drzazgi. Dziwne, biorąc pod uwagę moje szczęście do wypadków i uszkodzeń ciała.

Postawiłam obok siebie kubki i potoczyłam spojrzeniem po ogrodzie.

Ogród to było zbyt wiele powiedziane. Ogrodzone rozpadającym się

betonowym murem sporej wielkości podwórko porastał perz i pokrzywy. Gdzieś przez bujną zieleń przebijały się pojedyncze polne kwiaty, dostrzegłam też suche łodygi ostrożnia. W kącie pod krzywą gruszą błyskała na wietrze żywa czerwień maków i odrobina fioletu rdestu.

Całość przedstawiała dość marny widok, ale Baba Jaga na pewno nie wyszłaby stąd bez zerwania wszystkich ziół.

Przez uchyloną metalową bramę, pokrytą rdzą tak dokładnie, że ciężko było stwierdzić, w jakim uprzednio była kolorze, można było dojść do czereśniowego sadu, a dalej na przyległe pola ciągnące się aż do puszczy.

Drzwi za moimi plecami otworzyły się cicho. Szczęknęła klamka.

– Proszę.

Mieszko postawił obok kubków talerz pełen krzywo ukrojonych pajd, hojnie posmarowanych masłem. Sięgnęłam po jedną z nich i zatopiłam w niej zęby, czując nagle przyływ wilczego apetytu. Na weselu niewiele zjadłam, nawet nie doczekaliśmy tortu o północy. Poza tym praca u szeptuchy przyzwyczaiła mnie do śniadań około szóstej, siódmej rano. Sądząc po wysokości, na której znajdowało się słońce, było już znacznie później.

Mężczyzna usiadł obok mnie i spuścił nogi na ziemię.

– Uważaj na pokrzywy – mruknęłam z pełnymi ustami.

Kiwnął tylko głową i sięgnął po kubek. Przez chwilę oboje pałaszowaliśmy chleb, udając, że to normalny niedzielny poranek. Zakuło mnie w sercu, że istotnie to mógłby być mój zwykły niedzielny poranek, gdyby nie ci przekłęci bogowie.

Oczami wyobraźni zobaczyłam, jak podwórko mogłoby wyglądać, gdyby ktoś odpowiednio o nie zadbał. Obok gruszy było świetne miejsce na huśtawkę ogrodową, na której można by drzemać z książką. Coraz bardziej mi się tu podobało.

Usiłowałam sama przed sobą udawać, że to zwykły dzień, ale i tak cały czas gdzieś z tyłu głowy widniał obraz sztyletu na granitowym blacie.

– Co teraz? – zapytałam, gdy uznałam, że jestem już gotowa na tę rozmowę.

Odwrócił się do mnie. Mrużył oczy przed słońcem, ale i tak wiedziałam, że mierzy mnie poważnym spojrzeniem.

– Co teraz będzie? – powtórzyłam.

– Swarozyc nie powiedział ci dwóch rzeczy – mruknął.

– Tak? Nie powiedział mi, kogo mam zabić, a czego jeszcze?

Miałam mentlik w głowie. Czyżbym jeszcze coś przeoczyła?

– Kiedy. Nie powiedział ci, kiedy masz to zrobić – odpowiedział Mieszko.

Pokiwałam głową, siorbiąc kawę. Bez mleka była wstrętna, ale nie chciałam mu tego mówić, żeby nie zrobić przykrości. Kupił ją i tak tylko z myślą o mnie.

– Czyli co mi to daje?

– Jeśli tego jasno nie określi, to będziesz mogła grać na czas. – Wzruszył

ramionami.

Była w tym pewna logika, jednak nie pocieszało mnie to zbyt. Tak czy siak musiałam kogoś zabić. Już Swarożyc o to zadba, skoro jest taki przewidujący.

- Nie podoba mi się to – burknęłam.
- Nie masz zbyt wielkiego wyboru – skwitował.
- Mógłbyś być miłszy.
- Bycie miłym nic tu nie pomoże.

Odłożyłam na talerz niedojedzoną kromkę. Przestałam być głodna. Spojrzałam na nadgarstek, na którym znajdował się taki sam ślad jak na mojej szyi.

- Masz rację – zgodziłam się.

Położył dłoń na mojej i ścisnął delikatnie palce. Oboje wbiliśmy wzrok w zrujnowane podwórko pełne ziółek, na widok których Baba Jaga zaczęłaby się ślinić.

– Zanim zaczniesz kosić, zawołaj szeptuchę – doradziłam. – Za darmo wypleni stąd wszystkie zioła.

Uśmiechnął się.

– Mieszko?

– Hm?

– Jak ty to robiłeś? Jak... zabijałeś? Czy to trudne?

– W walce to nie jest trudne. Gdy jest się przekonany, że to właściwe, gdy napędza cię gniew albo chęć zemsty, to może nawet sprawiać przyjemność. Kłopoty zaczynają się, gdy trzeba zabić niewinną osobę, która nic złego ci nie uczyniła – wyjaśnił.

– Zabijałeś takie osoby?

– Tak.

Miałam wrażenie, że jego palce zrobiły się odrobinę zimniejsze. Uśmiech na twarzy nie był już taki wesoły.

– Wciąż pamiętam ich imiona – dodał. – Dbam o to, by ich nie zapomnieć.

– A co, jeśli nie dam rady? – wyjąkałam.

– Na razie o tym nie myśl.

– Łatwo ci mówić. – Przewróciłam oczami. – Powiedział, że zabije wszystkich. Nie mogę na to pozwolić.

– Pomogę ci – zaoferował.

– Pomożesz mi kogoś zabić?

– Tak. Zrobię to za ciebie, jeśli takie będzie twoje życzenie.

– Zabijesz dla mnie niewinną osobę? – W głowie mi się to nie mieściło.

– Tak.

Mówił to spokojnym tonem, jakbyśmy uzgadniali, kto pozmywa po śniadaniu, a nie poderżnie komuś gardło.

– Nie mogę pojąć, że Swarożyc od samego początku wszystko to

zaplanował.

– Przyznam szczerze, że też się nie spodziewałem. Ote była bardzo przekonująca w odgrywaniu swojej roli.

Nie byłam przekonana, że udawanie wścieklej eks było akurat fragmentem intrygi. Gdyby tak było, to nie przyszłaby wtedy do leśniczówki. Chociaż z drugiej strony Weles pewnie skazałby ją na o wiele gorszy los, gdyby nie wywiązała się z powierzonego jej zadania. Może zabójstwo przez ukochanego niegdyś mężczyznę było bezpieczniejszym wyjściem.

No telenowela. Mam coraz więcej dowodów na to, że moje życie zaprojektował jakiś chory umysł.

– Powinnam wracać do domu szeptuchy – powiedziałam. – Nie wiem, o której wróci z waka... pielgrzymki.

– A ja wracam do remontu – mruknął niechętnie.

Z żalem wstałam z werandy i weszłam do domu. Ruszył za mną. Przebrałam się szybko w czystą sukienkę, którą wczoraj zabrałam, i sandały.

– Może zostawię u ciebie kilka rzeczy, co? – zapytałam.

Gdy się przebierałam, on ścielił łóżko. Stał później pod ścianą i oparł się o nią, czekając, aż znajdę kolczyki.

– Nie ma problemu. Miejsca mam aż nadto. – Wzruszył ramionami.

– Chętnie ci pomogę w remoncie, umiem malować ściany – rzuciłam.

– Będę o tym pamiętał.

– Nigdy nie układałam płytek, ale pewnie też bym sobie poradziła. Mogę też podawać ci narzędzia.

Podszedł do mnie i założył mi włosy za uszy. Pogłaskał mnie po policzkach.

– Co się dzieje?

– Mieszko? A mogę zostawić u ciebie też ten sztylet? Nie mogę... nie chcę... go ze sobą zabierać.

– Przechowam go.

– Dziękuję.

No i masz babo placek. Wzruszyłam się i znowu w oczach stanęły mi łzy. Durna beksa. Mieszko przyciągnął mnie do siebie i przytulił. Dość szybko odechciało mi się płakać, gdy obudziła się we mnie nimfomanka, którą najwyraźniej skrycie byłam. Ale co mi się dziwić? Do tego mężczyzny nie można się przytulać, jeśli nie ma on na sobie koszuli.

– Dobra, idę. – Odsunęłam się od niego, dopóki moja silna wola jeszcze na to pozwalała. – Do zobaczenia.

Kiwnął głową i odprowadził mnie do drzwi. Nie odwracałam się. Szłam prosto przed siebie. Brokatowa torebka na cienkim sznurku objęła się o moje biodro. Wyciągnęłam ze środka telefon, ale bateria się wyczerpała. Nie wiedziałam, czy Baba Jaga nie usiłowała do mnie dzwonić.

Gorączkowo starałam się przypomnieć sobie, jak duży burdel zostawiłam w domu. Chyba nie było tak źle. Nie powinna się na mnie zbytnio obrazić.

Jak burza wpadłam do środka.

– Już jestem! Jaga! Gdzie jesteś? – krzyknęłam, zrzucając sandały. – Muszę ci coś powiedzieć!

Wbiegłam do salonu i zderzyłam się z walizkami. Mój mały palec u nogi wygiął się zdecydowanie nie w tę stronę, w którą powinien. Przed oczami stanęły mi gwiazdy.

– Gosiu! Jesteśmy w kuchni! Przestań się rozbijać i chodź tutaj! – usłyszałam głos szeptuchy.

– My? – jęknęłam, kulejąc.

Dokuśtykałam do kuchni. Przy stole siedziała Baba Jaga i... ..moja mama.

47.

– Mama? – wydukałam.

Zerwała się na mój widok z krzesła, o mało nie rozlewając herbaty, gdy potrafiła biodrem stół. Rzuciła mi się na szyję i niechcący przydeptała mój bolący palec. Sapnęłam, gdy znowu zobaczyłam gwiazdy.

Złamany albo wybity na bank.

A jeśli nawet nie był, to teraz jest.

Wytrzeszczyłam oczy ponad jej ramieniem i bezgłośnie zapytałam Babę Jagę, o co chodzi. Wykonała serię zupełnie niezrozumiałych dla mnie gestów. No cóż... mogłam nie zaczynać rozmowy na migi.

– Hę? – wyrwało mi się.

– Co mówisz, kochanie? – zagruchała mama.

Odsunęła się ode mnie na długość ramienia i uważnie zaczęła lustrować moją twarz. Zmrużyła oczy, jakby coś bardzo jej się nie spodobało. Zrobiłam taką samą minę, a ona się roześmiała. Byłyśmy do siebie bardzo podobne. Często słyszałyśmy, że równie dobrze mogłybyśmy być siostrami ze względu na nasze podobieństwo. Poza tym nie była jeszcze stara. Urodziła mnie mając dwadzieścia cztery lata, miała teraz dwa razy więcej. Co to za wiek?

– Co tu robisz? – zapytałam. – Nic nie mówiłaś, że przyjeżdżasz.

– Niespodzianka! – wykrzyknęła zachwycona. – Postanowiłyśmy cię z panią Jarogniewą zaskoczyć! Chciałam wykorzystać resztkę urlopu i spędzić trochę czasu z moją ukochaną córeczką. Pani Jarogniewa była tak miła, że zaprosiła mnie do siebie.

– Jaka tam pani! Mów mi kochana po imieniu! – zachnęła się szeptucha. – Jaga jestem.

– Mirka!

Zanotowałam w pamięci, że nie używała przy mojej mamie gwary i już przeszły na ty. Wbiłam pełen podejrzeń wzrok w szeptuchę. O co tu chodzi?

– A gdzie ty byłaś? – zapytała mama. – Nie powinnaś odsypiać po wczorajszym weselu? Jaga mówiła mi, że poszłaś na zabawę.

Podeszłam razem z nią do stołu i usiadłam na krześle.

– Och, byłam u... chorego – wydukałam.

No jakby na to nie patrzeć, przez chwilę był chory.

– Tak, tak. Gosia bardzo się przejmuje naszymi pacjentami – dodała szybko szeptucha. – Wczuła się już w naszą wiejską praktykę. A pacjenci? Ubóstwiają ją.

– Tak? Hm... – skwitowała mama.

Wydawała się mało zachwycona konkluzją Baby Jagi.

– Nie wierzę, że nic mi nie powiedziałaś! Rozmawiamy codziennie i nawet się nie zająknęłaś, że przyjeżdżasz – stwierdziłam.

– Niespodzianka. Mówiłam ci.

Baba Jaga zaproponowała mamie mój pokój na parterze. Ja zostałam wyeksmitowana piętro wyżej, na zapomniany stryszek. Zgarnęłam część ubrań i poszłam zwiedzić piętterko. Podłoga lśniła, pomimo że szeptucha przekonywała mnie, iż nigdy nie wchodzi na górę i zamiata jedynie schody.

Korytarz był bardzo długi, ale znajdowało się na nim tylko troje drzwi. Te prowadzące do małej sypialni były uchylone. Rzuciłam rzeczy na pojedyncze łóżko. Poza nim, wąską szafą i dużą liczbą wiszących na ścianach ramek z zasuszonymi ziołami nie było tu niczego więcej. W środku panował lekki zaduszek długo niewietrzonego pomieszczenia, ale poza tym było przyjemnie. Małe kwadratowe okienko nie wpuszczało do środka zbyt wiele światła. Widziałam z niego dom Mieszka. Kręcił się po obejściu, wnosząc do środka razem z robotnikami jakieś paczki.

Wyszłam z sypialni na dalsze zwiedzanie. Łazienka to zbyt szumne określenie. Przylegający pokój był zaopatrzony tylko w toaletę i umywalkę, więc by się porządnie umyć, będę musiała zejść na dół.

Trzecie drzwi były zamknięte na klucz. Dziwne. Pochyliłam się, żeby zajrzeć przez dziurkę od klucza, ale po drugiej stronie zobaczyłam tylko ciemność. Pomieszczenie musiało być bardzo duże, bo zajmowało resztę piętra.

No cóż... pewnie Jarogniewa trzyma tam jakieś swoje graty.

Gdy zeszałam na dół, zastałam Jagę siedzącą nieruchomo przy kuchennym stole. Rozejrzałam się, ale nigdzie nie dostrzegłam mamy.

– Gdzie mama? – zapytałam.

– Wysłałam ją na spacer – odparła.

– I cię posłuchała? – zdziwiłam się.

– Dawno tu nie była. Powiedziała, że przejdzie się do świętego dębu i wróci. Namówiłam ją na to, tłumacząc, że pewnie będziesz się chciała położyć spać po przyjęciu.

– Och, dzięki. – Byłam zaskoczona jej dobrocią.

– Chodź za mną – nakazała grobowym głosem. – Musimy porozmawiać.

Potulnie ruszyłam za nią do pokoju bez cieni. Jaga zapaliła wszystkie światła. Oślepiająca biel niemal wypalała siatkówkę. Usiadłyśmy obok siebie na białej kanapie. Ja tymczasowo z zamkniętymi oczami.

– Dzwoniłaś do mnie w środku nocy. Dzisiaj rano wyświeciło mi się w nieodebranych połączeniach, a gdy oddzwaniałam, to nie odbierałaś – oświadczyła. – Co się stało i jak bardzo jest źle?

Zamrugałam.

– No cóż...

– Założyłam, że telefon o takiej porze to nie pijackie wygłupy w twoim wykonaniu. Czy możesz sobie wyobrazić, jak bardzo mnie przestraszyłaś?! Zwłaszcza tym nieodbieraniem rano telefonu?! Zwłaszcza w momencie, gdy wiedziałam, że twoja matka tu będzie za parę godzin?! Czy ty sobie wyobrażasz, co ja tu przeżyłam?! Myślałam, że jak otworzę drzwi domu, to znajdę twoje zimne zwłoki! Nie wolno tak robić!

– Przepraszam...

Pochyliłam głowę speszona. Mogłam jej chociaż napisać SMS-a, miała rację.

– Opowiadaj mi, co się stało.

To opowiedziałam. Nie pominęłam niczego.

– Nic nie mów Mieszkowi ani nikomu innemu, słyszysz? – upewniłam się na koniec.

– Bogowie...

Załamala ręce. W jej oczach malowało się szczere przerażenie. Po przyjeździe z pielgrzymki wydawała się zdrowsza, bardziej rumiana. Teraz jednak jej policzki pobladły, a ramiona zgarbiły się.

Szybko pozbawiłam ją dobrego humoru po wyjeździe.

– Nie ma mnie dosłownie chwilę, a ty pakujesz się w takie kłopoty! – wykrzyknęła. – Czyś ty rozum postradała?!

– Hej, to nie moja wina! – obruszyłam się.

– Na moment człowiek ją tylko spuści z oczu – sarknęła dalej. – Nawet chwili świętego spokoju. Całe szczęście, że chałupy przynajmniej nie spaliła przez konszachty z tym swarnym bogiem. Z nią przecież wszystko możliwe!

– To co teraz? – odważyłam się zapytać.

– Nie wiem...

Okej, nie pocieszyło mnie to. Spodziewałam się, że będzie miała jakąś radę na podorędziu. Przecież ona wiedziała wszystko.

– Jak myślisz, kogo Swarożyc...

– Nie wiem – przerwała mi. – Ale bardzo mi się to nie podoba. Zawsze coś knuł.

– Ale wszystko będzie dobrze...?

– Nie wiem, Gosiu. Nie mogę ci tego obiecać. Musimy czekać, by przekonać się, czego on tak naprawdę chce. Dobrze, że Mokosz ci sprzyja.

– Poprzednio sprzyjał mi Swarożyc i zobacz, jak się skończyło – burknęłam.

Wzięła mnie za rękę i pokiwała głową. Zaczekała, myśląc o czymś intensywnie. Czekałam, aż podzieli się ze mną jakimś objawieniem, ale uparcie milczała.

– Czemu moja mama przyjechała do Bielin? – zapytałam w takim razie. – Czemu nic mi o tym nie powiedziałaś?

– To miała być niespodzianka – odpowiedziała wymijająco.

– O co chodzi? – Teraz ja naciskałam, przeczuwając, że kryje się za tym coś, co wcale mi się nie spodoba.

– Gosiu, twoja mama bardzo się o ciebie martwi.

– Wiem, zawsze się martwiła. Żadna nowość.

Byłam jej jedyną córką. Dziadkowie już nie żyli, ojciec nigdy nie był zainteresowany moim wychowaniem, więc miałyśmy tylko siebie. Zawsze byłam jej oczkiem w głowie. Ciągłe zresztą łączyła nas silna mentalna pępowina, której nigdy nie zdołałyśmy przeciąć. To oczywiste, że się o mnie martwiła.

Do dzisiaj dziwię się, że beztriosko zaproponowała, żebym pojechała na staż tak daleko od Warszawy.

– Bardzo się przestraszyła tamtym pożarem – kontynuowała.

– No wiem, a co to ma do jej przyjazdu?

– Twoja mama chce, żebyś skończyła szybciej staż i wróciła z nią do Warszawy. Od czasu Nocy Kupały wielokrotnie rozmawiałam z nią na ten temat. Usiłowała przekonać mnie, bym zaliczyła ci praktyki wcześniej. Mówiła, że sama tego chcesz, bo nigdy nie planowałaś i nie planujesz zostać szeptuchą. Podobno ci się tu nie podoba. Namówiłam ją, by przyjechała w odwiedziny i przekonała się, jak tutaj jest, i czy rzeczywiście tak bardzo jesteś nieszczęśliwa.

W jej głosie usłyszałam echo pretensji. Wszystko, co powiedziała moja mama, było prawdą. Tylko właśnie... było. A teraz? Teraz nie wyobrażałam sobie, że miałabym stąd wyjechać.

Zostawić Jagę, Bieliny... Mieszka?

– Kiedyś tak było – powiedziałam, czując narastającą panikę. – Teraz zbyt wiele... zbyt wiele rzeczy się stało. Nie mogę wyjechać. Nie ma mowy!

– Twoja mama nie może mnie do niczego zmusić. Zrozumiem jednak, jeśli będziesz chciała odejść – westchnęła ciężko. – Wiem, że przydarzyło ci się tu dużo nieprzyjemnych rzeczy. Chcę, żebyś wiedziała, że zaliczę ci staż, jeśli takie jest twoje życzenie. Nie będę miała do ciebie żadnych pretensji. Tak naprawdę dziwi mnie, że jeszcze nie uciekłaś stąd z krzykiem. Możesz wyjechać w każdej chwili, naprawdę nie będę miała do ciebie o to żalu. Możesz mi wierzyć.

Wiem, że mówiła szczerze. Propozycja była wielkoduszna, w końcu zgadzała się nielegalnie zwolnić mnie z pracy i ukrywać całe zamieszanie przed Wydziałem Zdrowia. Tylko że ja nie zamierzam z tej propozycji skorzystać. Może gdybym usłyszała taką ofertę na początku stażu, w pierwszym miesiącu, to ochoczo podsunęłabym książeczkę do podpisu. Jednak nie teraz, gdy zżyłam się z tym miejscem.

– Nie słuchasz mnie, Babo Jago. – Ucisnęłam serdecznie jej dłonie. – Nie wyobrażam sobie, że mogłabym stąd wyjechać. Nie chcę. Poza tym Swarożyc znajdzie mnie wszędzie. Jemu nie ucieknę. Nie w taki sposób.

– To w takim razie musisz przekonać jakoś swoją mamę. Jest całkowicie

przekonana, że spakujesz walizkę i z uśmiechem na ustach wrócisz do Warszawy.

– Nie może mnie do niczego zmusić – zaproponowałam.

– Ale nie warto też wchodzić z nią na wojenną ścieżkę. Chce dla ciebie dobrze, kocha cię. Przekonaj ją, że nic ci tu nie grozi.

Obawiam się, że to nie będzie takie proste...

Mama wróciła z przechadzki w wyśmienitym humorze. Spotkała Nowakową. Okazało się, że dawno temu, w zamierzchłej przeszłości chodziły razem do podstawówki i się przyjaźniły.

Całe szczęście, że nie wiedziałam o tym wcześniej. W każdym razie wyjaśniło się, dlaczego Nowakowa skrycie mnie nie lubiła. Mama wyjaśniła mi, że jej koleżanka nigdy jej nie wybaczyła, że wyjechała do Warszawy, a ją zostawiła w Bielinach. Zazdrościła jej tego przez całe życie. Obecnie pogodziły się po latach i na nowo stały psiapsiółkami.

Od teraz mogłam być już pewna, że też będę słyszała historie o kurzajkach za każdym razem, gdy ją spotkam.

Cudownie... dzięki, mamo.

Spojrzałam na swoją rodzicielkę. Siedziała rozparta w fotelu na werandzie i grała w karty z Babą Jagą, popijając zdrowotne nalewki. Ich rozgrywka z każdym kieliszkiem stawała się coraz bardziej zażarta.

Akcja przekonywania jej, że pobyt na wsi jest przyjemny i bardzo zdrowy, o ile akurat nie płonie puszcza, w której się znajdujemy, szła jak na razie bardzo dobrze. Minęło jakieś półtora tygodnia, a żaden bóg czy boginka nie pojawili się w polu widzenia, żeby namieszać w moim życiu.

Potulnie nie opuszczałam willi i chatki szeptuchy, traktując te miejsca jak bezpieczne schrony. Stanowczo nie zamierzałam się zbliżać do lasu. Na szczęście moja mama wolała spacerować do centrum Bielin, żeby przypominać sobie stare kąty, niż latać po puszczy pełnej kleszczy – jak jej wyjaśniłam.

Po prostu pełniutkiej kleszczy.

Chwała bogom, że hipochondrię najwyraźniej się dziedziczy.

Pewnego dnia, gdy poszłam po jajka do gospodarza, wpadłam na chwilę powiedzieć Mieszkowi, że tymczasowo nie będę mu pomagać w remoncie i że nie mogę przychodzić w odwiedziny, bo zabawiam mamę. Gdy to usłyszał, od razu chciał się jej przedstawić.

Ledwie mi się udało go przed tym powstrzymać. Rzecz jasna obraził się na mnie, że ukrywam go przed własną matką.

Ale to nieprawda, że się go wstydzę. Po prostu... nie chcę go jeszcze przedstawiać mamie. Ma uwierzyć, że jestem w Bielinach całkowicie bezpieczna i nic mi nie grozi. A wystarczy na niego spojrzeć, by zrozumieć, że przede wszystkim grozi mi, że mnie uwiedzie, wykorzysta i porzuci. Niestety z tym swoim atrakcyjnym wyglądem i pewnością siebie widoczną w każdym niemalże geście wygląda na faceta bez skrpułów.

Według mamy to się często zdarza naiwnym dziewczynom, a za taką mnie uważała. Wypraszam sobie. Jestem tylko trochę naiwna. Poza tym jak na razie

dałam się wykorzystać tylko bogu. Są za to jakieś ulgi?

Odwróciłam się do nich, gdy usłyszałam, jak moja mama wesoło się zaśmiewa. Stuknęły się kieliszkami ponad stołem. Baba Jaga zaczęła ponownie tasować karty. Krzątałam się po ogrodzie. Jarogniewa nie dała się nabrać na historyjkę o malwach potrzebnych do lekarstw. Za karę musiałam zadbać o resztę kwiatów i pozbyć się chwastów, a one się relaksowały.

Ponad polami prawie przez cały dzień niósł się dźwięk piły mechanicznej i stukot młotków. Ekipa, którą zatrudnił Mieszko do postawienia stodoły i stajni, pracowała w pocie czoła. Nie spodziewałam się, że komukolwiek pozwoli zrobić coś na swojej ziemi, ale najwyraźniej stawianie budynków od zera przekraczało jego zdolności.

Nawet te wyimaginowane.

– Idę się położyć! – Baba Jaga odłożyła karty na stolik. – Bolą mnie już te stare kości. Wy, kochane, posiedźcie sobie jeszcze, a potem zjedzcie resztę jabłeczniaka. Stoi w kuchni.

Gdy zniknęła we wnętrzu budynku, mama zamachała, żebym do niej przyszła. Zdjęłam rękawice i rzuciłam je na ziemię, a potem oplukałam spocone dłonie pod kranem sterującym na wysokiej rurze, z którego Jarogniewa czerpała wodę do konewki. Potarłam mokrymi rękoma dekolt i kark.

– Jak tam? – zapytałam, zajmując fotel szeptuchy.

Oczy mojej mamy wesoło błyszczały. Wydawała się taka szczęśliwa!

– Kości ją chyba rozbolały, bo przegrała ze mną dziesięć razy z rzędu – szepnęła rozbawiona.

Parsknęłam śmiechem. Coś w tym było. Jaga zdecydowanie nie umiała przegrywać. Zabrałam butelkę nalewki, żeby mamy więcej nie korciła i zaoferowałam się, że przyniosę nam na werandę ciasto i ciepłą herbatę.

Gdy wróciłam, mama drzemała. Odchyliła głowę do tyłu i pochrapywała cichutko ululana świeżym powietrzem i alkoholem. Mieszkając w Warszawie, do obu tych rzeczy nie była przyzwyczajona.

Postawiłam tacę na metalowym stoliku, starając się być cicho. Komórka w kieszeni moich dzinsów zawibrowała.

To Sława.

Odeszłam szybko na drugą stronę ogrodu. Stałam w cieniu winorośli pnącej się po drewnianej pergoli. Musnęłam listki, żeby zobaczyć, czy nigdzie nie ma owoców.

– Halo? – zapytałam.

– Gosiu, słuchaj, jest problem – wysapała.

– Sława? Ty biegniesz? Co tak dyszysz?

– Nieważne, co ja robię. Nocnice nie żyją, słyszysz? Trzy nocnice.

Zamarłam. Właśnie zerwane kwaśne winogrono wypadło mi pomiędzy

palców, gubiąc się w trawie.

– Jakie nocnice? – zapytałam głucho.

– Te, o których kilka dni temu mi opowiadałaś! – warknęła.

Gdy moja mama przyjechała, zadzwoniłam do przyjaciółki, żeby się jej wypłakać. Nie miałyśmy się jak spotkać, bo chciałam spędzić więcej czasu z mamą, a Sława akurat zmieniała pracę. Zatrudniła się jako sekretarka w jakimś biurze. Nie wiem, jakim cudem ktoś jej zaproponował tę robotę przy jej niezdolności do korzystania z komputera. Musiała chyba użyć swojego uroku osobistego i głębokiego dekoltu.

Wysłuchiwała mojej szalonej historii z wściekłymi nocnicami i propozycji pomocy Swarożycy. Nie powiedziałam jednak o rewelacjach, których dowiedziałam się od Mokosz i przysłudze, której żądał ode mnie bóg.

– Jak to nie żyją? – wyjąkałam.

– Zabite w ten sam sposób, co pan Dareczek.

– Czyli myśliwy nie przestał polować...?

Tak długo był spokój, a ja miałam inne kłopoty, że zdążyłam już o nim zupełnie zapomnieć. Westchnęłam. Ściągnęłam z włosów frotkę i zamachałam głową, żeby pomiędzy pasma wkradł się przyjemnie chłodny wiatr.

– Co wiesz o tym myśliwym? – chciała wiedzieć Sława.

– Nic. Szczerze mówiąc, ostatnio tyle się u mnie wydarzyło, że wiesz... nie skupiałam się na tym zbytnio.

– Zapomniałaś już o Radku i panu Darku? – zapytała z przekąsem.

– Sława! Nie rób mi wyrzutów. Najpierw mnie o to wszystko oskarżacie, a jak się odsuwam od całej sprawy, to nagle wielkie pretensje. Poza tym, o ile mnie pamięć nie myli, to w zasadzie nikt z was mnie nie lubi. Co, teraz nagle oczekujecie mojej pomocy?

Parsknęła. Usłyszałam przez słuchawkę pisk hamulców i jej stłumione przekleństwo. Chyba przebiegła właśnie na czerwonym świetle.

– To nie tak – wystękała po chwili.

– A jak?

– I dlatego nie lubię z tobą rozmawiać – burknęła. – Zawsze musisz mieć rację.

– Powiesz mi coś więcej?

– Zostały zabite w ten sam sposób. Biorąc pod uwagę, że wcześniej usiłowały skrzywdzić ciebie i Mieszka, łatwo można dodać dwa do dwóch.

– Sądzicie, że ja to zrobiłam?!

Miałam już dość bezsensowności ich ciągłych oskarżeń. Jeśli działo się coś złego, to zawsze była moja wina. Po prostu zawsze!

– No wiesz... sama mi powiedziałaś, że je straszylaś.

– Przecież to było na pokaz! Czcze gadanie! Nie sądziłam nawet, że mi

uwierzą.

– To powiedz mi, dlaczego teraz nie żyją? Dlaczego akurat na nie zapolował ten myśliwy?

Ostatnie słowo wypowiedziała dziwnym tonem. Zupełnie jakby nie wierzyła w jego istnienie. I pomyśleć, że ostatnio to ja jej nie ufałam, a w każdym jej słowie doszukiwałam się drugiego dna. Nasze role szybko się odwróciły.

– To nie ja ani nie Mieszko! – warknęłam. – Możesz mi uwierzyć albo nie. Twoja sprawa.

– Gosiu, nie chcę wchodzić z tobą na wojenną ścieżkę. Lojalnie cię ostrzegam, że zbyt wiele osób widzi tu podejrzane zbieżności.

– A nie przyszło wam do głowy, że to może sprawka Swarozycy? – uczepliłam się tego jak deski ratunkowej. – To on je na nas nasłał. Może postanowił się ich pozbyć? Ze złości, że nie udało mu się mnie przekabacić?

– Bogowie nie pozbywają się w taki sposób swoich sług. Zabijają nas tak, żeby reszta wiedziała, kto to zrobił, i bała się im później podpaść. Oni zawsze nam pokazują, kto tu jest górą – odparła gorzko.

– Nie wiem, co mam ci więcej powiedzieć – spasowałam. – Nie mam z tym nic wspólnego.

– A nie miałaś żadnej wizji? – zapytała.

Zamyśliłam się.

– Nie – odparłam. – Nic o nocnicach mi się nie śniło. Miałam jedynie urywki koszmarów, które na mnie nasyłały.

Przykra sprawa, że nocnic już nie ma, a złe sny zostały. Składam reklamację.

– Uważaj na siebie – przestrzegła mnie. – To, że ja ci wierzę, nie znaczy, że inni też będą.

Ze złością się rozłączyłam. Miałam już dość tej całej dramy. Okej, było mi przykro, że Radek nie żyje, nawet śmierć pana Darka jakoś mną wstrząsnęła. Jednak z całą pewnością nie zamierzałam nosić żałoby po nocnicach.

Wsluchiłam się w otaczającą mnie ciszę. Najwyraźniej wraz z nadejściem zmierzchu ekipa Mieszka zrobiła przerwę na budowie.

– Gosiu? – usłyszałam wołanie mamy.

Przeciągnęła się na fotelu i szeroko ziewnęła. Spokojne, wiejskie życie zdecydowanie do niej przemawiało. Ostatnio nawet sprawiała wrażenie zawiedzionej, że jej urlop powoli się kończy.

– Chyba usnęłam. – Ponownie ziewnęła, gdy usiadłam obok.

– Eee, tylko na chwilę. Nalewka cię uspiła.

Sięgnęła po kubek z herbatą, która już trochę zdążyła przestygnąć. Chciwie wypila połowę. Oj suszyło ją, suszyło.

– A ty nie pijesz nalewki? – zapytała, rozglądając się za butelką.

– Odniosłam do kuchni, bo nie zmieściłaby się na stoliku – powiedziałam. –

Nie, nie piję. Nie lubię tej z czarnego bzu. Za mocna.

– Ale zdrowotna! – zaśmiała się.

Po chwili jednak spoważniała. Wbiła we mnie spojrzenie, które aż za dobrze znałam. Szykowała się pogadanka.

– Co się dzieje, córciu?

– Nie wiem, o co ci chodzi – odparłam wymijająco.

– Bujać to my, ale nie nas. Odkąd wyjechałaś na ten staż, zupełnie się zmieniłaś. Schudłaś, przyznaję, że się też opaliłaś, ale sporo jednak schudłaś.

– Ćwiczę. Biegam przecież. Widziałaś moje buty.

– Tak widziałam je, są okropne. Niemniej jednak wydorostałaś. Bardzo. Moja mała córeczka gdzieś zniknęła – powiedziała i zmarszczyła brwi.

– A to źle? Powinnam chyba wreszcie dorosnąć, prawda?

– Co się dzieje? – ponownie zapytała. – Czemu mieszkasz tutaj, a nie ze swoją najlepszą przyjaciółką? Pokłóciłyście się o coś? Nic mi ostatnio nie mówisz.

– Baba Jaga zaproponowała mi mieszkanie. Pamiętasz, mówiłam ci kilka miesięcy temu, że to zaproponowała, ale ja już wtedy zamieszkałam u Sławy. Poza tym nie, nie pokłóciłyśmy się. Po prostu mamy inne priorytety. Zresztą codzienne dojazdy tutaj mnie dobijały.

– Pokłóciłyście się o chłopaka?

– My? Skąd! – parsknęłam śmiechem.

– A co z tym uczniem wróża? Opowiadałaś mi kiedyś o jakimś przystojnym Mieszku. Czy on przypadkiem nie miał wpływu na to, że się tu wprowadziłaś? Czemu przestałaś mi o nim mówić?

Zastanowiłam się chwilę.

– Wyjechał na długo, nie miałam z nim w ogóle kontaktu. – Wzruszyłam ramionami. – Dopiero niedawno wrócił do Bielin.

– Jaga mówiła mi jeszcze, że zaprzyjaźniłaś się z nowym żercą. Podobno jest w twoim wieku, co? – ciągnęła mnie za język.

– A co wy tak o mnie plotkujecie? – najeżyłam się.

– Obu nam zależy, żebyś była szczęśliwa.

Nie wątpiałam w to, jednak wołałabym, żeby nie rozmawiały za moimi plecami, traktując mnie jak dziecko.

– Jestem szczęśliwa – oświadczyłam.

– Wiem, kiedy kłamiesz, córciu.

Westchnęłam. Czasami to, że osoby, które kochamy, rozumieją nas bez słów, raczej przeszkadza, niż pomaga.

– Mam mały mętlik w głowie – zgodziłam się. – Nie bardzo wiem, gdzie zmierza moje życie, jakkolwiek górnolotnie to brzmi.

– Wróć ze mną do domu – wyrzuciła z siebie niespodziewanie.

– Co?

– Rozmawiałam z Jagą. Zaliczy ci staż, choćby nawet jutro, jeśli będziesz chciała. Możesz wracać do Warszawy. Ze mną.

– Ale... ale ja nie chcę.

– Kochanie, wiem, że uważasz, iż musisz dokończyć staż. Znam cię dobrze. Wiem też, jak bardzo nie chciałaś tu przyjeżdżać. Nie musisz tu zostawać. Możesz wrócić ze mną do domu, tam, gdzie byłaś szczęśliwa.

Wpatrywałam się w nią bez słowa. Tylko czy ja aby na pewno byłam tam szczęśliwa? Moje życie było uspokajająco powtarzalne. Ta sama praca, to samo jedzenie, te same filmy i książki, ci sami znajomi.

Teraz rozrywek miałam aż nadto. Czasami nie wiedziałam, czy dożyję następnego dnia. Czy jednak tego żałowałam? Wielu rzeczy żałowałam, ale były też takie, bez których już nie umiałabym żyć.

– Nie jestem pewna, czy chcę wracać – powiedziałam. – Podoba mi się tu.

– Przecież widzę, że coś jest nie tak. To miejsce, to znaczy nie dom Jagi, ale to miasteczko, ten las... – wzdrygnęła się. – Zawsze miałam wrażenie, że coś tu jest nie tak. Źle się tu czułam. To dlatego wyjechałam i nigdy więcej nie wróciłam. No... nie licząc świąt.

Mama była skłócona z dziadkami, którym nie podobało się, że wyjechała. Mnie pokochali, ale solą w oku był dla nich mój ojciec, a raczej jego brak. Mama była ich zbuntowaną córką, która spaliła za sobą wszystkie mosty, praktycznie zupełnie zrywając z nimi kontakt.

Przyjrzałam się jej uważnie. Czyżby nie tylko dzień, w którym się urodziłam i istic astrologiczne ustawienie planet w rządku, obdarowały mnie szóstym zmysłem? Odziedziczyłam coś po niej?

– Jakie to przecucie? – zapytałam zaintrygowana.

– A nie wiem. Nigdy nie lubiłam tego miejsca – odparła ogólnikowo. – Wysłanie cię tutaj na staż wydawało mi się dobrym pomysłem. Chciałam, abyś lepiej poznała swoje korzenie, żebyś wiedziała, skąd pochodzisz. Poza tym zawsze wysmiewałaś moje kremy do twarzy. Miałam nadzieję, że utrę ci tym nosa.

Obie się zaśmiałyśmy.

– Jestem twoją matką, Gosiu, możesz mi powiedzieć o wszystkim – oznajmiła, gdy już przestałyśmy chichotać.

– Dzięki, mamo.

– To, co? Wracamy do domu?

– Nie, chcę tutaj zostać i skończyć staż – odparłam twardo.

– Gosławo, po co?

– Ostatnio nawet zaczęłam się zastanawiać, czy nie zostać szeptuchą.

Moja mama ucieszyła się, ale zaraz spoważniała, doszukując się w moich słowach jakiegoś podstępu.

– No, ale chyba jeśli już, to szeptuchą w Warszawie, prawda?

Od tamtego wieczoru byłyśmy z mamą pokłócone. Kolejne dni miały w niezbyt miłej atmosferze. Mama nie rozumiała, co się ze mną dzieje, a ja nie mogłam jej przecież powiedzieć prawdy. Gdybym to zrobiła, zapakowałaby mnie natychmiast w pociąg do Warszawy, a potem umówiła na pilną wizytę do psychiatry. Nie miałam co do tego najmniejszych wątpliwości. Niepokojące przeczucia można mieć, ale wizje i rozmowy na jawie z bogami brzmią już podejrzenie.

Poza tym cały czas knuły coś po kątach z Babą Jagą. Milkły, gdy tylko się do nich zbliżałam. Żadna nie zamierzała zdradzić, dlaczego tak nagle zaczęły spiskować. Nie podobało mi się to.

Właśnie rozkładałam talerze do kolacji, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

– Gosiu, zobacz, kogo tam przywiało o tej godzinie, co? – nakazała mi szeptucha.

Potulnie ruszyłam korytarzem, przelękając w biegu surową marchewkę, którą ukradłam z miski. Nie patrzyłam przez wizjer. Nie było po co. Zainstalowano go na tak idiotycznej wysokości, że i tak zobaczyłabym tylko czyjaś klatkę piersiową. Szarpnęłam za klamkę i przestałam przeżuwać.

– Dobry wieczór.

Witek uśmiechnął się do mnie i uniósł brwi na widok marchewki w mojej dłoni. Zamrugałam.

– Cześć. Coś się stało? – zapytałam.

– Eee... Nie jestem pewien, co odpowiedzieć – wydawał się mocno zbity z tropu.

W mojej głowie przeskoczyło kilka zapadek. Mama i Jaga szeptały po kątach, niby przypadkiem Jarogniewa wytknęła mi, że wyglądam jak niechluj w dresach i że mogłabym się przebrać w coś ładniejszego, a kolacja, zamiast składać się ze zwyczajnych kanapek, miała być dzisiaj dwudaniowa.

Ja to jednak jestem czasami ciemna.

– Przeszedłeś na kolację? – Machnęłam w jego stronę marchewką.

– Nie da się ukryć. Zaskoczona?

Uniósł do góry rękę, w której trzymał butelkę wina.

– Nikt mi nie raczył powiedzieć, że będą goście. Proszę, to znaczy przepraszam, po prostu mnie zaskoczyłeś! Wchodź!

Cofnęłam się, żeby zrobić mu miejsce. Wytarł dokładnie nogi o wycieraczkę i podał mi butelkę. Wskazałam ręką drogę do kuchni.

Pochylił się w moją stronę i pocałował mnie w policzek na powitanie. Ten moment rzecz jasna wybrała moja mama, żeby wyjść z kuchni i sprawdzić gdzie tak długo zniknęłam. Zlustrowała nas od góry do dołu i zniknęła bez słowa.

– Chodź, przedstawię cię mojej mamie. – Pchnęłam go delikatnie między łopatkami.

– Mamie? – szepnął.

Parsknęłam. W żadnym razie nie uwierzyłam w jego przestroch.

– To nie wiedziałeś, że tu będzie? – zapytałam.

– Nie, Baba Jaga zadzwoniła do mnie wczoraj z zaproszeniem na kolację. Powiedziała, że musi omówić ze mną Święto Plonów. Będzie przecież już za tydzień. Nic mi nie wspominała, że to jakieś większe przyjęcie.

Spojrzał na swoją koszulę, zupełnie jakby nagle przestała wydawać mu się odpowiednia. Ja natomiast zaczęłam się zastanawiać nad jednym słowem, którego użył, a które wbrew pozorom było ważne. „Zadzwoniła”? Ona? Do kogokolwiek? Z własnej woli?

No tak, w innym razie musiałaby sama pójść do Bielin, by go zaprosić, bo z racji sekretu mnie nie chciała przecież nic powiedzieć.

Baba Jaga używa telefonu, świat się wali.

– Spokojnie, moja mama cię nie zje – powiedziałam. – Dasz sobie radę.

O bogowie, obym tylko miała rację. Z nią nigdy nic nie wiadomo. Pamiętam, jak w liceum przyprowadziłam chłopaka do domu. Mieliśmy się tylko uczyć do klasówki, ale ona, podejrzewając, że mi się podoba, poddała go takiemu praniu mózgu, że więcej już nie chciał przeglądać moich notatek.

Może już jej przeszło? Przecież nie jestem nastolatką, której cnoty trzeba pilnować, prawda?

– Jak widać nie jestem jedyną, której się nie mówi wszystkiego. Chodź. – Wzięłam go pod ramię i poprowadziłam do kuchni.

Po krępującej wymianie uprzejmości zasiedliśmy do stołu. Zostałam posadzona obok niego. Miał naprzeciwko moją mamę, która nie mogła się powstrzymać przed dokładnym studiowaniem każdego detalu jego twarzy. Nie rozumiałam, po co to całe przedstawienie.

Nie słuchałam zbyt dokładnie, o czym rozmawiali. Witek dzielnie starał się zabawiać Jagę i mamę. Rozbawiał je anegdotami ze swojego życia, czarował urokiem osobistym. Kolacja z nim w ramach gwiazdy wieczoru nie mogła się nie udać.

Gdy zeszli na Święto Plonów, zaczęłam błądzić myślami w zupełnie innym kierunku. Niepokoiło mnie, że po tamtej nocy Swarożyc zamilkł. Zupełnie jakbym przestała dla niego istnieć. Żadnego przerażającego pojawiania się za moimi plecami, żadnych odcisków rąk na zaparowanych lustrach, żadnych ofert nie do odrzucenia. Nie podobało mi się to. Przecież wcześniej nie chciał mi dać spokoju.

Co się zmieniło?

Nie było dnia, żebym się nie zastanawiała, kogo każe mi zabić. Powoli zaczynałam mieć na tym punkcie obsesję. Nie mogłam nawet już bez skojarzeń

patrzeć na zwyczajne noże.

Może o to mu chodziło? Może wiedział, że doprowadzi mnie do szaleństwa tą ciszą? Pewnie powinnam się z niej cieszyć, a zamiast tego powoli odchodziłam od zmysłów.

Kogo każe mi zabić? Z tym pytaniem się budziłam i z nim zasypiałam. Na pewno nie Mieszka, bo gdyby chciał się go pozbyć, to nie usiłowałby wcześniej wymóc na mnie obietnicy, żebym o nim zapomniała.

Babę Jagę? Zerknęłam na kobietę, którą przez ostatnie miesiące pokochałam jak własną babcie. Mógł ją sam zgładzić, gdyby tylko chciał. Wystarczyłaby iskra w jej drewnianej chacie. Kochana Jaga. Ostatnio wiedziała o mnie nawet więcej niż własna matka.

Poczułam wyrzuty sumienia, że cokolwiek ukrywam przed rodzicielką, która przecież chce dla mnie jak najlepiej.

– Skoro dopiero od niedawna jesteś żercą, to opowiedz nam, jak pracuje ci się w Bielinach? – Z rozmyślań wyrwał mnie głos mojej mamy.

– Dobrze, ale tak naprawdę cały czas się uczę. Wcześniej byłem jedynie uczniem w świątyni w Krakowie, nie miałem żadnego doświadczenia w samodzielnej posłudze – odparł Witek. – Początkowo było bardzo trudno, ale mogłem liczyć na pomoc Baby Jagi i Gosi. Wytłumaczyły mi kilka reguł, które tu panują.

Zerknął na mnie, ledwie powstrzymując uśmiech. Od razu pomyślałam o tym, jak doradzałam mu, których wizyt domowych unikać. Zaraz jednak do głowy przyszedł mi rytuał, który odprawiałam, i mój gniew, że nas bezczelnie podglądał. Spąsowiałam. Mam nadzieję, że nie o to mu chodziło.

Mama czujnie niczym jastrząb wpatrywała się w nasze twarze. Przewróciłam oczami, a potem zrobiłam do niej zezą. Nie rozbawiło jej to w żadnym razie.

– Przyjaźnicie się z Gosią? – drążyła.

– Mamo... – mruknęłam. – Nie przesłuchuj go.

– Spokojnie, to przecież nic takiego – Witek posłał mi uspokajający uśmiech, sugerując, że ma doświadczenie w takich rozmowach. – Tak, pani Brzózko. Wydaje mi się, że można powiedzieć, iż w jakiś sposób się przyjaźnimy. Jestem tu od niedawna, a Gosia wyciągnęła do mnie pomocną dłoń. Będę musiał się jej kiedyś za to odwdziżyć.

Reszta wieczoru przebiegła w podobnej, dziwnej atmosferze. Ledwie mogłam wysiedzieć. Miałam ochotę zerwać się z krzesła i po prostu wyjść, zacząć biec przed siebie w swoich, okropnych jak wszyscy twierdzą, różowych butach.

Gdy już wszyscy skończyli, z ulgą zaoferowałam się, że odprowadzę Witka kawałek, żeby kolacja uleżała mi się w żołądku.

– Przepraszam cię za ten wieczór – powiedziałam, gdy już wyszliśmy.

– Daj spokój, nie było źle.

– Bo było tragicznie?

Zaśmiał się i z galanterią otworzył przede mną furtkę. Podziękowałam kiwnięciem głowy i wyszłam na asfalt. Noc była chłodna, a ja miałam na sobie tylko sukienkę i cienki sweter. Niebo nad naszymi głowami było pozbawione gwiazd. Przykrywały je smoliste chmury. Zbierało się na deszcz.

Zadrżałam i szczelniej opatuliliłam się sweterkiem, gdy zawiął lodowaty wiatr.

– Nie wiem, co ugryzło moją mamę – powiedziałam przeproszającym tonem.

Podczas kolacji wypytała go dosłownie o wszystko, począwszy od tego, czym zajmują się jego rodzice, aż do jego zdolności kulinarnych. Po prostu wstydu nie miała. Dziwne, że nie zadzwoniła przy nim na policję, by zapytać, czy nie był przypadkiem kiedykolwiek notowany.

– A czemu przyjechała? Na wakacje?

– Wariuje od czasu pożaru. – Wzruszyłam ramionami. – Chce, żebym wróciła z nią do Warszawy.

– A co z twoim stażem? Możesz go przerwać? – zmartwił się.

– Niby nie, ale Baba Jaga mi powiedziała, że jeśli bym chciała, to mogę. To ona zalicza mi staż, więc wszystko zależy od niej. Nikt z Wydziału Zdrowia w Warszawie nie będzie się tu telepał, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście produkuję syrop z sosny w piwnicy i zbieram ziółka w ogródku.

– Rozumiem. Chociaż nie, czekaj w zasadzie to nie rozumiem. Dlaczego masz wracać tak pilnie do Warszawy?

– Moja mama strasznie się zafiksowała na pożarze. Uważa, że jeśli tu zostanę, to stanie mi się coś złego.

– Trochę fatalistyczne podejście.

– Ma przecucie. Z przecuciami się nie dyskutuje.

– Próbowalaś z nią o tym porozmawiać?

– Oczywiście, że tak, a ona cały czas się upiera przy swoim. Przyjechała tu nastawiona, że zabierze mnie ze sobą do domu jak małe dziecko.

Przez chwilę wydawało mi się, że wydawał się zawiedziony i smutny widmem mojego rychłego wyjazdu.

– Wszyscy o mało nie spłonęliśmy wtedy w lesie. – Wzdrygnęłam się na to wspomnienie. – Martwi się o mnie, mówi, że się zmieniłam od tamtej pory.

– Z tego, co wiem, poprzedni żerca, z którym byłaś całkiem blisko, umarł niemalże na twoich oczach w męczarniach. Wydaje mi się, że coś takiego może wpłynąć na zmianę zachowania. – Położył mi rękę na ramieniu. – Chcesz, żebym z nią porozmawiał? – zaproponował.

– Nie, nie. – Szybko pokręciłam głową. – Obraziłaby się na mnie.

Już słyszę te wymówki, że nasłałam na nią kapłana. Mama uważa się za osobę wierzącą i praktykującą, wręcz zafascynowaną powrotem do natury i jej

praw, ale nie podarowałyby mi, że wystawiam ją na pastwę moralizatorskiego kapłana.

– Jak uważasz. W każdym razie, Gosiu, chcę, żebyś wiedziała, że masz we mnie przyjaciela. Gdybyś potrzebowała się wygadać, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

– Dzięki.

– Twoja mama cię kocha. Nic dziwnego, że chce dla ciebie jak najlepiej. Ja też widzę, że coś cię gnębi. Nie znałem cię wcześniej, więc moja obserwacja nie jest długa, ale odkąd wrócił uczeń poprzedniego wroźa, zachowujesz się trochę inaczej, bardziej nerwowo.

No ciężko się dziwić, gdyż oprócz Mieszka wróciło kilka starych kłopotów, na przykład Swarożyc. Bogom dzięki, że Ote nie może powstać z martwych.

– Zapewniam cię, że to nie jego wina – burknęłam.

– Gosiu, jesteś cudowną kobietą, masz też swój rozum. Ufam, że podejmiesz właściwą decyzję.

Wkurzyłam się. Jeszcze rozumiem, że moja matka chce mnie pouczać, ale on? Z jakiej niby racji będzie mi tu rzucał dobrymi radami?

Ach no tak! Przecież jest cholernym pasterzem, a ja podpadam pod jedną z jego owieczek...

– Jestem twoim przyjacielem – dodał, widząc malującą się na mojej twarzy złość. – Chcę dla ciebie jak najlepiej. Będę obok, gdybyś mnie potrzebowała. Idę, bo zmarzniesz. Niedługo chyba będzie padać.

Cmoknął mnie w policzek i odszedł w noc.

Nadal obrażona wróciłam do domu. W drzwiach wpadłam na Babę Jagę. Złapałam ją za łokieć i wciągnęłam do pogrążonego w ciemnościach salonu.

– Co to miało być? – syknęłam.

– Co? – obruszyła się.

– Przecież wiem, że wcale nie chciałaś z nim rozmawiać o Święcie Plonów. To zwykły festyn, nic ważnego. On będzie musiał tylko wygłosić kilka formułek i tyle.

– Chciałam, żeby mama poznała twoich nowych znajomych, aby zobaczyła, że nie siedzisz ze mną zamknięta w czterech ścianach, tylko masz tu jakieś życie, za którym byś tęskniła w razie wyjazdu.

– Co?

– Uważa, że ja cię trzymam w zamknięciu i zrobiłam ci pranie mózgu.

– Neee... Moja mama by tak nie pomyślała.

Chociaż z drugiej strony jesteśmy do siebie całkiem podobne. Jeśli ja potrafię wpadać na idiotyczne pomysły, to ona też. W końcu wyobraźnię musiałam po kimś odziedziczyć.

– I myślisz, że Witek przekona ją, że na wsi jest fajnie? – prychnęłam.

– Według mnie całkiem dobrze mu poszło. Zastanawiałam się, czy

powinnam zaprosić jego, czy Mieszka, ale ten drugi jeszcze by coś palnął. Bez znajomości jego historii można go dziwnie odbierać.

No na weselu faktycznie zupełnie się nie hamowałam przed wspomnianiem swojej przeszłości sprzed tysiąca lat.

– I tak nie zamierzam wyjeżdżać przed skończeniem stażu – burknęłam.

Jaga uśmiechnęła się do mnie ciepło.

– Miło mi.

Chyłkiem wyszliśmy z salonu. Na szczęście mama nic nie słyszała. Gdy szłam korytarzem, akurat wychodziła z łazienki.

– Sympatyczny ten chłopiec – rzuciła enigmatycznie.

– Tak, całkiem fajny.

– Będzie zercą.

– Już jest – nie wiedziałam, do czego zmierza.

– Czyli zostanie tu na zawsze – zauważyła.

Aha! Tu więc pies pogrzebany.

– Pewnie tak. Jego sprawa. – Wzruszyłam ramionami.

Napiętej sytuacji pomiędzy nami zdecydowanie nie zmieniła kolacja, którą w dobrej wierze urządziła Jarogniewa. Jedyny efekt był taki, że Witek się teraz nade mną jawnie litował i potępiał mój... hm... związek? Na bogów! Nawet nie wiem, czy mogę to tak nazywać.

Zamknęłam się w swojej sypialni na strychu i zaczęłam przygotowywać do snu. W duchu sarkałam na moją mamę, z którą nie umiałam postępować, i nie wiedziałam, co powinnam zrobić. Zupełnie jakby w moim życiu brakowało jakiegoś dramatu.

Wyrzałam przez małe okienko i zamarłam.

Na piętrze domu Mieszka widziałam pomarańczowe i żółte błyski. Migające światełka wyglądały jak płomienie. Serce we mnie zamarło.

Swarożyc.

Zeszłam po schodach na bosaka, jednocześnie wkładając gruby polar na cienką sukienkę, którą wciąż miałam na sobie. W dłoni dzierżyłam srebrny sztylet, który kiedyś podarował mi Mieszko. Byłam już na najniższym stopniu, tuż obok sypialni mojej mamy, gdy zdradziecka deska skrzypnęła głośno.

Szlag!

Zza jej drzwi usłyszałam jakiś szelest. Podskakując na palcach wskoczyłam do łazienki i zamknęłam się w niej w ostatnim momencie.

Usłyszałam jęk zawiasów, a następnie głos mamy:

– Gosiu? To ty? Jesteś w łazience?

Trzy razy stuknęła kostkami palców w drewno. O mało nie dostałam zawału, gdy drzwi zadrżały tuż przy mojej twarzy.

– Tak, jestem w łazience! – odkrzyknęłam spłoszona.

– Aha, okej. To ja jestem następna w kolejce.

– Długo nie będę – odparłam, jakkolwiek by na to patrzeć, zgodnie z prawdą.

Spojrzałam na sztylet w swojej dłoni. Bogowie, co ja wyrabiam? Skradam się nocą z bronią i uważam to za całkowicie normalne. Nic dziwnego, że chce, bym stąd jak najszybciej wyjechała.

Pilnie nasłuchiwałam. Skrzypienie desek sugerowało, że wróciła do swojej sypialni i przymknęła drzwi. Policzyłam do dziesięciu, dla niepoznaki odkręciłam na chwilę kran, a potem go zakręciłam i jeszcze spuściłam wodę w toalecie. Pełen serwis.

Nacisnęłam po cichutku klamkę i wystawiłam głowę na zewnątrz. Jej drzwi były uchylone. Wysunęłam się z pomieszczenia i przeszłam obok, starając się stawać jak najbliżej ściany, gdzie deski nie będą skrzypieć. Z ulgą postawiłam stopy na lodowatym gresie, którym był wyłożony korytarz. Tu nie musiałam zachować się aż tak paranoicznie.

Szybko włożyłam sandały i wymknęłam się na zewnątrz. Odetchnęłam z ulgą, że mnie nie złapała. Truchtem przebiegłam po trawniku, żeby nie hałasować na żwirowej ścieżce. Szarpnęłam furtką, która zaskrzypiała najwyraźniej tylko z czystej złośliwości, i ruszyłam drogą.

Naprzeciwko mnie jechał jakiś samochód. Przestałam biec, żeby nie wyjść na szaloną, ale wyciągałam nogi jak najbardziej się dało. Dłoń ze sztyletem wsunęłam pod połę polaru, czym upodobiłam się do Napoleona. Samochód minął mnie i pojechał dalej. Przez oślepiające światło reflektorów nie byłam w stanie stwierdzić, kto siedział w środku.

Pierwsze krople deszczu zaczęły spadać na ziemię. Cudownie...

Chwilę później dotarłam na posesję Mieszka. Panowała na niej cisza i zupełny bezruch. Przeszłam przez rozwalone ogrodzenie i weszłam na dość małe

podwórze od frontu budynku. Było zastawione drewnem, z którego powstanie stajnia i stodoła. Otoczyły mnie cienie.

Z domu nie dobiegał żaden dźwięk. Uniosłam do góry głowę, żeby przyjrzeć się oknom. Z tej strony budynku nie widziałam pomarańczowej łuny.

Pełna złych przeczuć stanęłam na progu.

Powinam zapukać? Czy po prostu wejść?

Nacisnęłam klamkę. To rozwiało moje wątpliwości, bo drzwi były otwarte. Wyciągnęłam rękę ze sztyletem przed siebie. Powoli przeszłam przez pomieszczenia na parterze niczym komandos z amerykańskiego filmu, gotowy w każdym momencie do śmiertelnego ataku. Arnold Schwarzenegger byłby ze mnie dumny.

Nigdzie nie widziałam Mieszka. Wiele się zmieniło, odkąd byłam tu ostatnio. Kuchnia wyglądała jak z katalogu. Przerazający sztylet zniknął z blatu. Nie wiem, dlaczego się spodziewałam, że już zawsze będzie tam leżał niczym mroczny wyrzut sumienia.

Wszędzie była już położona podłoga, a ściany pachniały świeżą farbą. Z salonu zniknęła większość mebli. Zostało tylko biurko.

Stanęłam pod schodami. Betonowy szkielet zabudowano ciemnym, eleganckim drewnem, sprawiającym wrażenie czarnego w pozbawionym światła holu.

Będzie na nich łatwo widać brud. Chociaż może tylko mi się tak wydaje, bo teraz wyraźnie odciskały się na nich ubrudzone na biało stopy Mieszka.

Bałam się zawołać. Jeśli zdarzyło się coś złego, raczej nie powinam zdradzać swojej pozycji. Z tego samego powodu ledwie powstrzymałam się przed odruchowym zapaleniem światła.

Powoli, krok po kroku wchodziłam na pierwsze piętro. Moja odwaga topniała coraz bardziej, za to moje obawy rosły. Oczami wyobraźni widziałam okropieństwa, które mógł zesłać na niego Swarożyc. Łatwo torturować kogoś, kto nie może umrzeć. Nie trzeba się martwić, że niechący zbyt szybko popsuje się zabawę... i ofiarę.

– Proszę, proszę, proszę... – Zdałam sobie sprawę z tego, że szepczę gorączkową litanie, nie wiadomo nawet do kogo.

Stanęłam w korytarzu. Większość drzwi była otwartych, malowała się za nimi ciemność. Jedyne zza jednych przez uchylone skrzydło wydostawały się kolorowe błyski światła tak przypominające szalejące płomienie.

Praktycznie sunęłam, ledwie odrywając podeszwy od podłogi. Ręka dzierżąca sztylet drżała coraz mocniej. Mimo to nie wahałam się ani chwili. Pchnęłam zdecydowanym ruchem drzwi i wparowałam do środka.

Zamarłam.

To samo zrobił Mieszko.

Siedział po turecku na szerokim łóżku tylko w dresowych spodniach. Przed nim na pościeli rozłożone były jakieś książki. Wszędzie, gdzie tylko się dało, poustawiał na talerzach świece. To ich migotliwe światło tak mnie zmyliło.

– Mieszko?

– Gosiu?

Irracjonalność tej sytuacji sprawiła, że nie potrafiłam się powstrzymać przed śmiechem. Mężczyzna przyglądał mi się zdumiony.

– Gosiu? – powtórzył.

– Przepraszam! – zdołałam wydusić, wciąż chichocząc. – Byłam przekonana, że umierasz i ruszyłam ci na ratunek!

– Słucham?

– Widziałam światła z twoich okien. Z zewnątrz wyglądało to, jakby szalały w tym pokoju płomienie. Myślałam, że dzieje się coś złego, że Swarożyc...

Odetchnęłam głęboko i pomasowałam się po brzuchu bolącym teraz od zbyt głośnego śmiechu. Mieszko rozejrzał się po pokoju zastawionym świeczkami.

– Nie mam prądu. Elektryk poprawia coś w instalacji i przez najbliższe kilka dni jestem odcięty – wyjaśnił.

– Co czytasz? – zapytałam i usiadłam na brzegu łóżka.

– Przeglądam stare książki. Już zapomniałem, że je mam.

Zamknął grube woluminy, które istotnie wyglądały na bardzo stare. Rozejrzałam się po sypialni. Nie była duża. Lwią część przestrzeni zajmowało olbrzymie łóżo. Poza tym stała tu szafa, którą widziałam wcześniej, i szeslong z bordową tapicerką, w którym od razu się zakochałam. Do przeciwległej ściany Mieszko przykręcił szerokie półki, teraz zastawione książkami. Dużo z nich miało spękane, skórzane grzbiety, ale stało tam też kilka nowych pozycji.

– Nie wiedziałam, że... no cóż... że czytasz – bąknęłam.

– Czasami. – Wzruszył ramionami.

Zostawiłam sztylet na łóżku i podeszłam do półek. Przeciągnęłam palcem po starych grzbietach. Na większości zatarły się już litery, widać było tylko wgłębienia, w których pozostały mizerne resztki złotej farby. Mimo to wyglądały pięknie.

– Przepraszam, nie chciałam powiedzieć, że uważam, iż jesteś nieoczytany – poprawiłam się szybko. – Po prostu nigdy nie widziałam cię z książką.

– Leżały w moim mieszkaniu w Gnieźnie. – Wstał i podszedł do mnie. Oparł rękę na półce i także powiódł spojrzeniem po woluminach. Pokiwał głową do własnych myśli i powiedział: – Muszę je jakoś poukładać. Na razie tylko wyjąłem je z kartonów.

– Kończysz już remont? – zapytałam.

– Wydaje mi się, że on się nigdy nie skończy – mruknął ponuro. – Cały czas okazuje się, że jest coś nowego, co trzeba naprawić albo zbudować od nowa.

– Jak na razie wszystko wygląda bardzo ładnie – usiłowałam go pocieszyć.

– A jak wizyta mamy? – zmienił temat.

– Jak po grudzie... Pokłóciłyśmy się ostatnio.

Przygarnął mnie do siebie i przytulił. Nie mogłam powstrzymać westchnięcia, gdy poczułam na plecach jego ramiona. Tęskniłam za jego dotykiem.

– Pogodźcie się – skwitował.

– Pewnie tak.

– A kiedy mnie jej przedstawisz?

Zesztywniałam w jego ramionach, a on niestety to poczuł. Natychmiast się ode mnie odsunął.

– Gosiu, o co chodzi? – zapytał z marsmem na twarzy.

– O nic, mówię ci, że się pokłóciłyśmy. To nie jest dobry moment.

Zdecydowanie to nie był dobry moment na przedstawianie jej Mieszka. Nie wiem dlaczego, po prostu wydawało mi się, że to zły pomysł.

Romantyczny nastrój, który zapewniały świece i ich migotliwe światło, prysł jak bańka mydlana. Oczy Mieszka były pełne chłodu niczym lodowe okruchy.

– Będę uciekała. Jeszcze zauważy, że się wymknęłam – powiedziałam.

– Idź w takim razie.

Wzruszył ramionami, jakby było mu wszystko jedno, czy pójdę, czy zostanę. Podniósł jeden z talerzy. Gruba świeczka stojąca na obtłuczonej porcelanie wypaliła się już do połowy.

Odprowadził mnie na dół. Po przebywaniu w pokoju rozświetlonym świeczkami parter wydawał mi się bardzo ciemny.

– Może jeszcze zdążę ci pomóc w remoncie – powiedziałam, bo głupio jakoś było mi tak po prostu wyjść bez słowa.

– Dziękuję, że chciałaś mnie ratować – oświadczył sucho.

– Mieszko, ja... – nie zdołałam skończyć, bo przygarnął mnie do siebie jedną ręką i złapał w tali.

Zaskoczona puściłam kławkę, którą nieomal już nacisnęłam, i obróciłam się do niego twarzą. Mieszko odsunął drugą dłoń poza mój zasięg, żebym najwyraźniej nie wytrąciła mu świecy. Zanim się spostrzegłam, już całowaliśmy się jak szaleni. Krew żywiej zaczęła krążyć w moich żyłach.

A fakt, że Mieszko miał na sobie tylko dresowe spodnie i bezkarnie mogłam sunąć dłońmi po jego nagiej klatce piersiowej, tylko mi pomagał.

– Tęskniłam za tobą – wymruczał między pocałunkami.

– Muszę iść – jęknęłam z zawodem.

– Wiem.

Odsunęliśmy się od siebie. Na mojej twarzy malował się rozanielony uśmiech, ale on nie był ode mnie lepszy. Oczy mu błyszczały i był w nich zwierzęcy głód.

Otworzyłam drzwi wejściowe, zza których dobiegał stukot deszczu.

Odwrociłam się, by spojrzeć na dwór, a uśmiech na moich ustach zamarł. Na progu, pod różową parasolką w zielone grochy, stała moja mama.

A jednak trzeba było zaprosić Mieszka na obiad, żeby mogła go poznać w kontrolowanych warunkach. Teraz, gdy patrzyła się na nasze rozanielone miny i jego goły tors, zdecydowanie mogła dojść do mylnych wniosków.

– Mama? – wydukałam.

Moja rodzicielka zmrużyła oczy. Wyciągnęła w moją stronę dłoń z drugą parasolką, tym razem żółtą w fioletowe grochy.

– Pada. Widziałam, że wychodzisz z gołą głową. Pomyślałam, że ci przyniosę – powiedziała.

Kłamstwo było tak bezczelne, że moje poczucie winy z powodu ucieczki z domu od razu zniknęło.

– Nie trzeba było – burknęłam, wrywając jej parasolkę. – Nie pada mocno, a ja już wracam.

– Nie przedstawisz nas? – zapytała, mierząc Mieszka wnikliwym spojrzeniem od stóp do głów.

Mieszko nie stracił zimnej krwi. Z drugiej strony niby czemu miałby? Przeżył tysiąc lat, na pewno niejednym razem spotkał się z mało życzliwym podejściem czyjejs matki.

– Proszę, zapraszam do środka – odsunął się, robiąc miejsce.

– Nie, nie! Będziemy już szły – powiedziała szybko, ale mama przepchnęła się obok mnie, serwując mi kuksańca.

– Proszę wybaczyć ciemności, ale remontuję dom. Obecnie elektryka nie działa – wyjaśnił.

Mama stanęła w holu i czujnie rozejrzała się po zasnutych ciemnością kątach.

– No to poznajcie się – zaczęłam kulawo. – Mamo, to Mieszko, Mieszko, to moja mama.

– Miło mi – odparła sztywno.

– Mnie także. Już od dawna chciałem panią poznać. Niestety nie było okazji...

Uścisnęli sobie dłonie. Mama jeszcze raz dokładnie zlustrowała mężczyznę wzrokiem, najwyraźniej kojarząc jego imię z moimi narzekaniami przez telefon sprzed kilku miesięcy, że podoba mi się taki jeden Mieszko.

Jej wnikliwe spojrzenie nie przegapiło ani jednego szczegółu. Chwilę dłużej zatrzymała się na jego tatuażu na ramieniu i bliźnie rozciągającej się na piersi.

– Jesteście przyjaciółmi? – zapytała uprzejmie.

– Jesteśmy parą – odparł Mieszko.

Tak... zdecydowanie trzeba go było zaprosić do domu i przedstawić w kontrolowany sposób.

Mama pędziła przed siebie, trzymając różową parasolkę niby tarczę. Nic kompletnie przez nią nie widziała. Cud, że nie wpadła do rowu. Byłam przekonana, że gdyby nadjechał nagle jakiś samochód z naprzeciwka, to zmiotłaby go z drogi samą wściekłością. Ledwie mogłam za nią nadążyć, gdy truchtała.

Wpadliśmy do pogrążonej w ciemnościach willi szeptuchy. Jaga najwyraźniej mocno już spała.

Oburzona mama wrzuciła swoją mokrą parasolkę do stojaka i zsunęła ze stóp kalosze. Gdy zdjęła płaszcz, zauważyłam, że pod spodem miała tylko koszulę nocną.

– Musimy porozmawiać – wysyczała.

Pomimo że byłam dorosła, znowu poczułam się jak mała dziewczynka, którą czekała bura. Nastoletni bunt, którego nigdy wcześniej nie miałam okazji zaznać, zaczął się powoli we mnie budzić.

Porzuciłam przemoczone i ubłocone sandały oraz parasolkę i ruszyłam za nią, modląc się w duszy, żeby za bardzo nie zapaskudzić podłogi.

Usiadliśmy w kuchni, bo była najdalej od sypialni Baby Jagi. Zajęliśmy miejsca po przeciwnej stronie stołu.

– Mamo, zanim zaczniesz mnie opieprzać, chociaż tak naprawdę wcale nie wiem za co, chcę ci powiedzieć, że jestem dorosła i mogę robić, co chcę – powiedziałam szybko.

W oczach rodzicielki zobaczyłam ból. Od razu poczułam się jak łachudra.

– Gosławo.

Oho, zaczyna od pełnego imienia!

– Jestem twoją matką. Kocham cię nad życie. Mam tylko ciebie. To zrozumiałe, że jesteś dla mnie najważniejsza na świecie, tak? – zapytała.

No i cóż można odpowiedzieć na takie pytanie?

– Tak. Zrozumiałe – odparłam.

– W takim razie powiedz mi, dlaczego cały czas masz przede mną jakieś tajemnice? Myślisz, że ja nie wiem, kiedy kłamiesz? Ty nie umiesz kłamać. Każdy by cię przejrzał.

Ha! A Weles i Świętowit się nie połapali. Najwyraźniej byli zbyt dumni, by nawet przyszło im do głowy, że śmiertelnik może mieć czelność ich oszukać. Nocnice też nie zauważyły.

Skuliłam się w sobie. Uderzyła w czuły punkt. Nie chciałam jej okłamywać, ale przecież nie miałam wyboru. Czy uwierzyłaby mi, gdybym zdradziła jej prawdę?

– Przepraszam – mruknęłam.

– Nie przepraszaj, tylko powiedz mi, o co chodzi – zachnęła się. – Nic mi nie

mówisz. Nie raczyłaś nawet mi powiedzieć, że masz chłopca! Gosiu! Chociaż może chłopiec to zbyt delikatne określenie. On chyba jest od ciebie starszy! No i na dodatek ma tatuaże. One są takie okropne.

Oj mamó, nawet nie wiesz, ile jest ode mnie starszy!

Nagle wydała mi się bardzo zmęczona. Dopiero teraz, gdy zmyła z twarzy makijaż, zauważyłam ciemne cienie pod jej oczami i ziemistość cery. Gdzieś zniknął cały blask, który zawsze ją otaczał. I nie mówię w tym momencie o brokacie, który miała dodany do pudru.

– To skomplikowane... – Użyłam mojej ulubionej wymówki.

– Domyślam się, że gdyby nie było, tobyś mi powiedziała. Kochanie, nie rozumiem, czemu tak się zachowujesz. Czy ty wpadłaś w złe towarzystwo?

No Swarożycy ciężko nazwać dobrym towarzystwem, czyż nie?

– Czy ty stosujesz jakieś używki? Narkotyki?

Jad wapiersza i pyłek nocnic podpada pod tę kategorię? Miodu też piję trochę za dużo...

– Jesteś na coś chora? Coś ci się stało?

Miałam nóż wbity w brzuch, jakby na to nie patrzeć, i o mało nie umarłam, ale to taki drobiazg.

– Powiedz mi cokolwiek – poprosiła.

– Nie wiem, czy mi uwierzysz...

– Przekonaj się.

– Nie wiem nawet, od czego zacząć. – Ukryłam twarz w dłoniach.

Poczułam jej chłodne palce na swoim ramieniu. Uścisnęła mnie, chcąc dodać mi tym gestem sił. O dziwo, podziałało.

Odetchnęłam kilka razy głęboko i zaczęłam mówić.

Siedziałyśmy w kuchni do jakiejś drugiej w nocy. Wypiłyśmy kilka herbat, melis i kaw w zależności od tego, w jakie rejony wędrowała moja historia. Mama słuchała wszystkiego z kamienną twarzą. Nie dawała po sobie poznać, że moje rewelacje ją dziwią albo smucą.

Po prostu słuchała.

Mnie z kolei naprawdę to pomogło. Nie spodziewałam się, ale gdy tylko słowa zaczęły płynąć z moich ust, poczułam się lepiej. Ciężar, który wisiał od dawna na moich barkach, stał się znacznie lżejszy.

Nigdy niczego nie ukrywałam przed mamą, no bo i po co, skoro nie miałam sekretów? Ten rok był ciężką próbą, by nie zdradzić się ze wszystkim.

Gdy skończyłam, zdałam sobie sprawę, że w domu panowała głucha cisza przerywana pojedynczymi chrapnięciami, które niosły się niesamowicie przez ściany. Jaga musiała usnąć na plecach, włączał jej się wtedy tryb lokomotywy.

Po dogłębnym przeanalizowaniu mojej historii zdałam sobie sprawę z tego, że – owszem – opowiedziałam o bogach, niebezpieczeństwach, mającej mnie

spotkać rychłej śmierci, jednak mniej więcej w co drugim zdaniu pojawiało się imię Mieszka.

O czym to świadczyło?

O obsesji? Neeee...

A tak z innej beczki – powiedział, że jesteśmy parą! Sam, z własnej woli!

– No i co? – zapytałam, gdy skończyłam swoją opowieść.

Mama odstawiła powoli pusty już kubek, w którym zaparzyłam jej melisy na sam koniec opowieści, podejrzewając, że się jej przyda. Co prawda słowem nie zająknęłam się na temat morderstwa, które muszę popełnić, ani o rewelacjach Mokosz, uznając, że na to przyjdzie czas później, jednak usłyszała całkiem sporo, by podniosło się jej ciśnienie.

– Nie... nie... – odchrząknęła. – Nie życzę sobie, żebyś mówiła mi więcej o takich rzeczach.

Wstała i uciekła z kuchni. Nic więcej nie powiedziała.

Siedziałam z rozdziawionymi ustami i wpatrywałam się w drzwi, przez które wyszła, nawet się nie odwracając.

Nie uwierzyła mi. Moja własna mama.

Nie uwierzyła w ani jedno moje słowo...

Nie przespałam w nocy ani minuty. Nie mogłam. Głos mamy i niedowierzanie, które w nim usłyszałam, cały czas wibrowały mi w uszach.

Przed świtem wyszłam z willi bez śniadania i poszłam do chatki. Zostawiłam Babie Jadze informację na stole w kuchni, że chcę dzisiaj samodzielnie popraczkować i zgłaszam się na ochotnika, żeby przyjąć wszystkich pacjentów.

Wszystko, byle tylko uniknąć mamy.

Obraziłam się na nią tak samo mocno, jak ona obraziła się na mnie. Nie mieściło mi się w głowie, że sądziła, iż ją oszukuję. Moja historia, owszem, brzmiała nieprawdopodobnie – przyznaję się bez bicia, ale kto normalny zdołałby to wszystko zmyślić?

Pomyślałam, że może powinnam poprosić Sławę, żeby się za mną wstawiła i powiedziała jej prawdę. Albo mogłabym jakoś sprowadzić Suchowieja? Wygląda na tyle niecodziennie, że może uwierzyłaby w jego istnienie?

Otworzyłam okiennice w chacie i uchyliłam okno, żeby do środka wpadło trochę zimnego porannego wiatru. Drobiny kurzu zawirowały, mieniając się jak złoto.

Zabrałam się do pracy.

Zaczęłam przeglądać zawartość kredensu i zaznaczać w notesie, które składniki już się kończą, byle tylko zająć czymś myśli przed przyjściem pierwszego pacjenta.

Na szczęście nie czekałam długo.

Pacjent lekko zzieleniał na twarzy wpadł do środka jak burza. Trzymał się za żołądek. Zlustrowałam go wzrokiem od góry do dołu. Zionął przetrawionym alkoholem i miętową pastą do zębów, a ta nie poradziła sobie niestety z aromatem, który miała najwyraźniej zabić.

Łatwo go poznałam. Pan Stanisław mniej więcej raz w miesiącu wpadał po pomoc po popijawie.

– Dzień dobry! Pomóżta mi! Kuje, dziuga pod bokiem – wykrzyknął.

– Proszę usiąść. – Wskazałam na krzesło.

Zajęłam miejsce naprzeciwko i od razu odsunęłam się do tyłu, gdy mój nos napotkał niewidzialną ścianę. Wczoraj gospodarz najwyraźniej bardzo dobrze się bawił.

Nie to co ja...

– Gdzie boli, od kiedy i jaki charakter ma ból? – mruknęłam.

– A Jagi kochanej nie ma? – zapytał.

– Nie. Ja jestem.

Lekko mu zrzęda mina, ale dłużej nie protestował. Szeptuchy się w końcu nie irytuje, bo to się może źle skończyć. Każdy to wie. Mogę rzucić urok,

a w skrajnych przypadkach zlecić lewatywę trzy razy na dobę.

– Och, bo mnie tu boli. O tu.

Wskazał na nadbrzusze, gdzie znajduje się żołądek i mocno się wykrzywił, żeby dokładniej zobrazować ból.

– A od kiedy tak boli?

– A od jakiejś trzeciej w nocy.

Ciekawe, kiedy przestał pić? Gdy oparł się o stół, usłyszałam cichutkie brzęknięcie szkła w kieszeni marynarki.

Chyba założenie, że przestał pić, było błędne...

– A jak boli? – dalej pytałam.

– A żga mnie tak jakoś i nudno trochę. Może kto krzywo na mnie spojrział? – zasugerował. – Piłem z takim jednym, co mi nowego samochodu zazdrości.

– A jadł pan coś wczoraj? – zapytałam.

– Ano kiszzone ogórki własnej produkcji! – pochwalił się. – A potem chleb ze smalcem i czosnkiem.

No cóż... na przeziębienie może i by pomogło, ale z całą pewnością nie było lekkostrawne.

– Ma pan rację, to może być ból brzucha spowodowany złym spojrzeniem – powiedziałam z przekąsem.

– Naprawdę? Tak podejrzewałem. Jak tylko spotkam Zdzicha, to mu dam w mordę... O, przepraszam! – Aż się skulił przed moim twardym spojrzeniem. – Wytłumaczę mu, że tak nieładnie.

Nadal na niego patrzyłam.

– No przysięgam pani kochana, że nie będę bił! Chociaż mu się należy.

– No – pochwaliłam i ruszyłam do kredensu.

Chwilę poszperałam w przepastnym wnętrzu i wyciągnęłam specyfik, którego wcześniej jeszcze od nas nie dostał. Postanowiłam pobawić się w złego policjanta.

– Panie Stanisławie – zaczęłam z grobową miną. – Niestety sytuacja jest poważna.

– Nie! Naprawdę? – Zieleń na jego twarzy odrobinę zbledła.

– Tak, obawiam się, że musimy zastosować bardzo silne zioła, ale spokojnie! Poradzimy sobie z tym.

– To dobrze, dobrze.

Przesunęłam w jego stronę małą buteleczkę pełną mętnego płynu. Przyczepiona była do niego za pomocą gumki recepturki karteczka z napisem „Na żganie w boku, wrotycz, mech”. Jakby na to nie patrzeć, pasowało idealnie do opisanych przez niego dolegliwości.

Zawartość była jak dla mnie dość trefna. Wedle słów Baby Jagi napar stworzono z wrotyczu rosnącego pod domem i mchu zebranego spod strzechy

przed wschodem słońca oraz rzecz jasna ze źródlanej wody. Całość miała pomagać na wszelkie bóle brzucha, nawet te „magiczne” od złego spojrzenia.

Problem tylko jest z wrotyczem, który może powodować krwotoki. Chociaż kto go tam wie? Może jak się zagotuje, to traci właściwości? Albo jest go tylko tyle, żeby zabarwił całość i nadał ziółkowego zapachu?

Zostaje mi zaufać Jarogniewie.

– Ma pan to dzisiaj wypić. Duszkiem – powiedziałam. – Ale to bardzo silny napar, który może spowodować nawet śmierć, jeśli przez najbliższy tydzień napije się pan chociażby łyk alkoholu.

– Śmierć?! – pobladł jeszcze bardziej. – To może coś słabszego podamy?

– Nie – byłam twarda. – Nic innego nie może już panu pomóc.

– Nic innego?!

Teraz był już autentycznie przerażony. Poczulałam satysfakcję, która jednak szybko zniknęła. Nie potrafię być zbyt długo przekonującą czarownicą z bajek.

– Tak – potwierdziłam. – Przez tydzień. Rozumie pan, panie Stanisławie? To bardzo ważne. Przrzeka mi pan, że przez tydzień nie tknie alkoholu?

– No...

– Proszę mi natychmiast oddać to, co ma pan w kieszeni marynarki – kazałam.

Pobladł jeszcze bardziej.

– A skąd pani kochana wie? – wyszeptał z nabożną wręcz czcią.

– Ja wszystko wiem – odpowiedziałam. – Proszę oddać.

Podał mi małąkę wódki. Nawet nie była jeszcze rozpoczęta. Widocznie zamierzał napić się od razu po wizycie.

– Teraz słucha mnie pan uważnie. Pije pan dzisiaj napar. Potem ma pan wypić dwa kubki mleka, a wieczorem kolejne dwa. Następnie codziennie po jednym kubku rano i wieczorem. Jak mleka pan nie lubi może być maślanka albo jogurt. Ma być coś od krowy, tak?

– A ser żółty? – zapytał cichutko.

No ser żółty lekkostrawny nie był...

– Nie. Ma być białe i od krowy. Ewentualnie twaróg. Zrozumiano?

– Tak, tak. – Pokiwał smutno głową.

– Obiecuje pan, że nie będzie pił alkoholu przez tydzień? Dowiem się, jeśli pan będzie... – niewypowiedziana groźba zawisła w powietrzu.

– Nie będę, obiecuję!

– Przejdzie – pocieszyłam. – Proszę napar. Należy się sto złotych za poradę.

Posłusznie zapłacił i czym prędzej wyszedł, żebym przypadkiem nie zmieniła zdania, a ja byłam bogatsza o sto złotych i małąkę wódki.

Kolejni klienci wpadali po porady. Tak się wciągnęłam w pracę, że nawet nie zauważyłam, iż dawno minęło południe.

Pożegnałam uprzejmie ostatnią pacjentkę. Nie odprowadzałam jej do drzwi. Tak ją wystraszył mój podły nastrój, że prawie wybiegła. Nawet jakbym chciała, to nie zdołałabym jej dogonić.

Drzwi, zamiast się za nią zatrzasnąć, z powrotem się otworzyły. Baba Jaga z zatroskaną miną przekroczyła próg. W dłoniach trzymała parujący garnek, z którego wystawała łyżka wazowa.

– Jesteś głodna? – zapytała. – Już późno.

Zdałam sobie sprawę z tego, że żołądek mam zaciśnięty na supeł. Do ust napłynęła mi ślina, gdy poczułam zapach białego żurku na kielbasie. Mój ulubiony! Szeptucha wiedziała, jak poprawić mi humor.

– Wyjmę talerze – zaproponowałam szybko, zrywając się z krzesła.

Jarogniewa zaśmiała się i postawiła ostrożnie garnek na kuchni. Odwróciła się do kredensu, na którym leżał mój notatnik.

– Co pisałaś?

– Zrobiłam inwentaryzację zasobów – powiedziałam.

– Och, tak? – Nie mogła w to uwierzyć.

Sama nie cierpiała tego robić.

– Tak, brakuje kilku specyfików. W ogóle to miałam dzisiaj pacjentkę z opryszczką wargową. Nie byłam pewna, co powinnam jej podać.

– Stonogi – odparła, jakby to było oczywiste.

– Stonogi?

Odłożyłam talerze i szybko podeszłam do kredensu. Otworzyłam dolne drzwiczki i schyliłam się do najniższej półki, gdzie pełno było pudełek pełnych różności. Szybko wyciągnęłam to, które już wcześniej zwróciło moją uwagę. Uniosłam je i potrząsnęłam. Zawartość pudełka przesunęła się z chrzęstem. Jak do wszystkich lekarstw i do tego była przymocowana kartka z zastosowaniem.

Jarogniewa podpisała wszystko przed wyjazdem na pielgrzymkę, żebym bez niej nie zginęła.

Bądź by to pacjenci nie zginęli przeze mnie.

– Tu jest napisane, że sproszkowane stonogi są na febrę – zaprotestowałam.

Zastanawiało mnie, skąd w Bielinach miałyby się wziąć febra, czyli żółta gorączka, choroba wybitnie tropikalna.

– Czyli prawidłowo napisane – oznajmiła.

– Ale to nie dla ludzi, co wracają z wakacji z Afryki? – zapytałam, odkładając pudełko na miejsce.

Ciekawość ciekawością, ale żurek sam się nie zje. Wróciłam do stołu, gdzie Jaga już ze smakiem jadła. Pomimo że Gałgana nie było ze mną przez cały dzień, jako że w izbie nie pachniało niczym smakowitym, teraz siedział po drugiej stronie okna i przyklejał nos do szyby, pomiaukując żałośnie.

Żadna z nas nie miała zamiaru go wpuszczać. Odkąd ostatnio przytył,

a weterynarz nas postraszył, że jak dalej będziemy go dokarmiać, to zdechnie na cukrzycę, karmiłyśmy go wyłącznie specjalną odchudzającą karmą, której nienawidził.

Nie dla kota kielbasa.

– Nie, przecież febra to opryszczka. W tych stronach tak to się nazywa – poinformowała mnie. – Jednak musisz się jeszcze nauczyć trochę potocznych pojęć. Nie wiedzieć, po co wbili ci na tych studiach te wszystkie dziwne rzeczy: jakieś genomy, cyferki, a jak przychodzi co do czego, to nie wiesz, co pacjent ci gada.

– Nie da się ukryć. Do dzisiaj się zastanawiam, po co na biochemii uczyłam się na pamięć cyklu Krebsa albo budowy cząsteczek.

Cząsteczki miałam rozrysowane na dziesiątkach kartek papieru, żeby potem móc je odtworzyć niczym rasowy kopista na sprawdzianie.

Nic już rzecz jasna nie pamiętam poza tym, że było tam dużo sześcianów z kreseczkami i literkami, głównie C i H.

Pomyśleć, że zamiast tego mogli mnie nauczyć, jak się mówi potocznie na opryszczkę!

– Czemu tak wcześniej tu przysłaś? – zapytała Jaga niby od niechcienia.

– Nie mogłam spać...

– A czemu?

– Przecież wiesz. – Spiorunowałam ją wzrokiem.

– Wiem, dlaczego twoja mama wyjechała.

Łyżka wypadła mi ze zdrtwiałych palców. Żurek rozchlapał się po całym stole, ale w ogóle się tym nie przejmowałam. Straciłam apetyt.

– Wyjechała? – Mój głos był głuchy i obcy, zupełnie jakby nie należał do mnie.

– Dwie godziny temu. Spieszyła się na pociąg, nie chciała przeszkadzać ci w przyjmowaniu pacjentów.

– Na pewno...

Położyłam dłonie na podołku, żeby nie zauważyła jak bardzo się trzęsą.

Jak mogła? Jak ona mogła? Czułam się zdradzona. Miałam wrażenie, że wyjeżdżając, wyrwała mi dziurę w klatce piersiowej. Nie mieściło mi się to w głowie. Przecież była moją mamą! Moją ukochaną mamą, która opowiadała mi bajki o strzygach na dobranoc, przez co niemal połowę dzieciństwa spędziłam, śpiąc z latarką, tak na wszelki wypadek. Była tak podekscytowana, opowiadając mi te wszystkie ludowe baśnie, że nigdy nie miałam serca jej powiedzieć, jak bardzo się ich bałam.

Zawsze byliśmy we dwie.

A teraz... teraz mam być sama?

– Musicie porozmawiać – powiedziała cicho Baba Jaga.

– Chyba teraz już trochę na to za późno, skoro wyjechała, czyż nie?
– Nie wiem, co się między wami stało, bo nie pisnęła nawet słowa – rzekła. – Powiedziała mi tylko, że musi pomyśleć i że do ciebie zadzwoni.
Pokręciłam głową. Uciekła. Uciekła ode mnie i od prawdy.
– Wszystko jej opowiedziałam – szepnęłam. – O tym, co mi się tu stało.
– Rozumiem, że nie uwierzyła.
– Nie...
– Daj jej czas – poradziła. – Rzadko ktoś ma okazję usłyszeć, że potwory istnieją naprawdę i upatrzyły sobie na ofiarę akurat twoje dziecko. Musi to przetrwać na spokojnie.
– Powinna mi była uwierzyć – zapierałam się.
– Powinna – zgodziła się. – Ale jest tylko człowiekiem, a my mamy XXI wiek. Myślisz, że uwierzy tak łatwo w wampierze? Zwłaszcza jak wcześniej widziała ten film o chłopaku, który się świeci? Jaki to miało tytuł...? *Zmrok? Wieczór?*
– *Zmierzch...*
Jakiś czas temu przymusiłam ją, by obejrzała ze mną ten hollywoodzki przebój. Była zdruzgotana tym, co dzisiaj ludzie uważają za krwiożercze potwory. A zawiodła się na ludzkości zupełnie, gdy zobaczyła wilkołaki o aparycji psów.
Potem mi powiedziała, że wilkołaki to przekłeci ludzie, którzy wilczą skórę mają od spodu. W związku z tym, żeby się przemienić, muszą niejako wywinąć się na drugą stronę, spływając w tym momencie krwią i innymi płynami fizjologicznymi. W mojej wyobraźni wygląda to bardzo niefilmowo. Pozostaje mi się tylko modlić do bogów, bym nie musiała nigdy zobaczyć tego na żywo.
– Poza tym przypomnij sobie siebie. Gdyby bogowie nie przedefilowali ci pod samym nosem, to nadal wmawiałabyś sobie i mnie jednocześnie, że to wszystko wymysł mojego starczego umysłu – zaśmiała się.
Ja się nie zaśmiałam, bo miała rację.
– Czyli co? Mam teraz czekać, aż się do mnie odezwie? – mruknęłam naburmuszona.
– Nie naciskaj na nią. Daj jej czas. Usłyszała zbyt wiele rewelacji naraz. Wszystko będzie dobrze. Uwierz mi, dziecko.

Minął tydzień i nadeszła długo oczekiwana przez wszystkich równonoc jesienna. Dzisiaj zaczynała się jesień, noce się wydłużały, a praca na polu została oficjalnie zakończona. Gospodarze od samego rana, machając wesoło drewnianymi kołatkami, chodzili dookoła swoich pól, by to oficjalnie uczcić. Ci, którzy mieli większe gospodarstwa, pokonywali tę trasę traktorem bądź konno.

My z Babą Jagą także wyszliśmy z domu i odświętnie ubrane okrążyliśmy jej ogródek ziołowy oraz warzywniak. Nawet zajrzałyśmy na chwilę do szklarni. Gałgan wystraszony terkotaniem drewnianej kołatki uciekł, gdzie pieprz rośnie.

Niebo zasnuły dzisiaj szare chmury. Chłodny wiatr przewiewał nasze ubrania i płatał niemożliwie włosy, przez co nawet ja na chwilę założyłam na głowę jedną z kwiecistych chust szeptuchy.

Niosłam w dłoniach wianek, który wspólnie uplotłyśmy z darów ziemi. Były w nim zioła rosnące o tej porze roku, trochę kwiatów z ogrodu oraz liście i łodygi przeróżnych warzyw. Znalazło się nawet miejsce dla gałązki pełnej pomidorków koktajlowych ze szklarni.

Połowa tych pomidorków odpadła na wietrze.

Z ulgą wróciłyśmy do domu. Pociągnęłam nosem.

– Zawiało mi zatoki – burknęłam.

Całe to rytualne łożenie było według mnie głupotą.

– Ale jakich ładnych rumieńców dostałaś! – zapięła jakoś podejrzenie zadowolona.

Wyrwała mi wianek i cmokając z niezadowolenia, poszła do kuchni, żeby na stole ocenić straty, jakich doznał przez niepogodę. Zgodnie z tradycją miałyśmy zabrać go następnie na festyn z okazji Święta Plonów jako przedstawienie zbiorów, które miała w tym roku Jarogniewa. Bogowie powinni się nim zachwycić i w nagrodę obdarzyć Jagę w przyszłym sezonie co najmniej tak samo dobrymi plonami.

W Warszawie na Placu Zamkowym zawsze był wielki targ z okazji dożynek. Jako że poza pelargoniami na balkonie mało który mieszkaniec stolicy coś hodował, to jakoś hucznie nie obchodziliśmy równonocy jesiennej. Była to po prostu dobra okazja, żeby kupić coś pysznego prosto od gospodarza, a wieczorem potańczyć.

W Bielinach rzecz jasna obchody były porządne. Było na nich miejsce na przemowę kapłana, na niehigieniczne dzielenie się miodem i kołaczem (bogom dzięki: tym razem kołaczki zostały wypieczone przez kółko gospodyń wiejskich – nie mam zielonego pojęcia, jak Witek zdołał je do tego przekonać, nigdy im się nie chciało pomóc Jarogniewie), składanie wieńców w ofierze bogom oraz rzecz jasna na tańce do białego rana.

Zdjęłam chustkę z głowy, żeby ocenić, jakich strat doznała moja fryzura. Zachciało mi się, cholera, iść w rozpuszczonych włosach. Będą potrzebowały porządnego rozczesania, żeby potem zapleść je w warkocz albo związać w kitkę.

Postanowiłam też, że założę jakieś babcine „gacie na wacie” pod sukienkę, bo inaczej złapię tego wilka, którym notorycznie straszyla mnie Jaga.

Już miałam pociągnąć usta czerwoną szminką, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Podskoczyłam, o mało nie malując sobie linii na policzku.

A kogo to niesie?

– Otwórz! – krzyknęła z kuchni szeptucha.

No cóż. Stałam koło drzwi, przy lustrze w holu, więc teoretycznie byłam najbliżej. Założyłam włosy za uszy i otworzyłam. Na wycieraczkę stał Mieszko.

Serce zabiło mi żywiej na jego widok, choć ostatni raz widzieliśmy się wczoraj. Odkąd mama wyjechała, codziennie chodziłam mu pomagać w remoncie. Do budowy wiele nie zostało, poza tym nie potrafiłam utrzymać prosto wiertarki (szybko się o tym przekonałam, ale tę ścianę zasłania teraz szafa), więc głównie biegałam z mokrą ścierą i warczałam, że Mieszko i robotnicy ciągle brudzą.

– Dzień dobry.

Posłał mi iście filmowy uśmiech na gładko ogolonej twarzy. Wiatr targał jego dłuższymi włosami na czubie, ale w przeciwieństwie do moich nie mógł mu ich wypchać do oczu. Mieszko ostatnio wydawał mi się o wiele pogodniejszy i szczęśliwszy. Nie wiem, czym było to spowodowane. Łudziłam się, że to z mojego powodu, ale cholera go wie? Może po prostu odczuł ulgę, że nie musi już na razie starać się zdobyć kwiat paproci.

Albo tak bardzo się cieszył z kupna konia, którego nazwał oczywiście Nix.

Rozchełstana pod szyją koszula ze stójką pozwalała dostrzec kawałek jego złotej skóry. Nie miał kaptura, nie musiał już nosić uniformów kapłańskich. Mimo to skórzane spodnie, tak cudownie leżące na jego pośladkach, zachował.

– Cześć – odpowiedziałam zachwycona tym, co widzę.

On także dokładnie mi się przyjrzał i chyba też spodobało mu się to, co zobaczył. No ja myślę! Kupiłam kieckę specjalnie na tę okazję. Była czarna, z dekoltem w serce, od pasa rozszerzała się na boki, łudzając niewprawne oko, że mam zgrabną talię. Niemal cały dół spódnicy zajmowały krwistoczerwone maki wijące się na cienkich zielonych łodyżkach. Kupiłam nawet szminkę o identycznym odcieniu co kwiaty.

– Pięknie wyglądasz.

– A dziękuję. Też jesteś niczego. – Puściłam do niego oko. – Wejdz.

Miał nas zawieźć swoim samochodem na festyn. Odkąd wrócił i na dodatek oświadczył, że jesteśmy parą, Baba Jaga nie miała żadnych oporów i wykorzystywała go na wszystkie możliwe sposoby. Najwyraźniej uważała Mieszka za nowego i pełnoprawnego członka rodziny. Chyba spodobało jej się, że

ma teraz przez płot faceta, któremu może zawracać głowę, gdy zaczniesz ciec kran.

I nic jej nie obchodziło, że Mieszko nie zna się kompletnie na hydraulice. Jak stwierdziła: „chłop to chłop”.

Współczuję jej instalacji wodociągowej.

– Kto to?! – krzyknęła z kuchni.

– Mieszko już jest! – odpowiedziałam.

– Zaraz przyjdę!

– Spokojnie, poczekam! – On też się włączył do wymiany okrzyków, posyłając mi krzywy uśmiech.

Wróciłam do lustra i szybko zaczęłam zaplatać długie włosy w dobierany warkocz. Kok zapewne na tym wietrze zaraz by mi się rozwałił. Mieszko przyglądał się uważnie, jak moje palce zawijają kolejne pasma. Robiłam to od tylu lat prawie codziennie, że nie potrzebowałam już nawet lustra. Zerkałam na niego w taflę zwierciadła. Wydawał się pochłonięty tym, co robię, bez reszty. Jego wzrok błąkał się po mojej szyi i karku.

Na końcu warkocza zawiązałam gumkę recepturkę i ozdobną, czerwoną wstążkę, jedną z tych, które sprzedawałam gospodarzom do związania pierwszego zżętego snopka zboża.

Odrzuciłam warkocz na plecy i przyjrzałam się krytycznie odbiciu. Małe złote kolczyki błyszczały w moich uszach, delikatne cienie na powiekach pogłębiały spojrzenie i usiłowały zakryć worki pod oczami. Jeszcze tylko szminka i byłam gotowa. Sięgnęłam do kosmetyczki stojącej na ławie, na której Jaga zawsze siada zakładając buty, ale Mieszko złapał mnie za łokieć, zanim wyciągnęłam pomadkę.

Odwróciłam się do niego.

– Czegoś brakuje – oświadczył.

– Tak? – zmarszczyłam brwi i szybko spojrzałam w lustro. – Czego?

Wyciągnął z kieszeni koszuli złoty łańcuszek. Otworzyłam szeroko oczy na widok błyskotki. Mieszko przełożył mi go nad głowę i zapiął na szyi, muskając palcami kark. Spojrzałam na swoje odbicie i dotknęłam ciężkiego wisiorka. Wyszlifowany szmaragd był zatopiony w złotej obwódce.

– Pasuje ci do oczu – powiedział.

– I do łądźek maków na sukience!

Odwróciłam się do niego i stanęłam na palcach, by dosięgnąć jego ust. Wiem, że ratował mnie przed śmiercią, tamował moje krwotoki, zabijał dla mnie.

No, ale cóż... pierwszy raz dał mi prezent. Mam chyba prawo się z tego ucieszyć, prawda?

Objął moją twarz i przyjrzał mi się uważnie.

– Masz podkrążone oczy – zauważył. – Dobrze się czujesz?

– Źle spałam w nocy.

– Miałaś ten koszmar?

Kilka dni temu nocowałam u niego i niechcący obudziłam go swoimi wrzaskami. Sen o zmiju, spadaniu, roślinach krępujących moje ruchy i nożu pojawiał się ostatnio z przerażającą regularnością. Dzisiejszej nocy koszmar był wyjątkowo dotkliwy. Obudziłam się z tak silnym przeczuciem, że stanie się coś złego, iż nie mogłam już potem usnąć.

– Tak, ten sam. Ciągle przeżywam Noc Kupały od nowa – mruknęłam.

Pocałował mnie delikatnie w usta.

– Wszystko będzie dobrze. To tylko sen.

Ponownie przyciągnęłam go do siebie niezadowolona, że zaczął się odsuwać. Najchętniej zostałabym z nim w domu. Nie miałam ochoty iść na festyn.

– Ekhm – odchrząknęła obok nas głośno Baba Jaga.

Przerwaliśmy pocałunek i spojrzeliśmy na nią.

– Spóźnimy się na uroczystość! – wykrzyknęła i przepchnęła się między nami. – Szybko! Muszę dopilnować, żeby Witek wszystko zrobił, tak jak trzeba.

Polana w pobliżu Bielinianki, gdzie odbywały się wszystkie uroczystości, była już pełna mieszkańców i turystów. Musieliśmy przeciskać się pomiędzy ludźmi, by dojść bliżej miejsca, gdzie miało zapłonąć ognisko.

Całe miasteczko było przystrojone kolorowymi wieńcami szarpanymi przez wiatr. Wszędzie stały kramy ze swoim jedzeniem albo rękodziełem. Zapach jedzenia i kwiatów odurzał.

Szeptucha poszła położyć wieniec obok podwyższenia, na którym już przemawiał wójt. Nie skupiałam się na jego słowach. Opowiadał coś o końcu zbiorów, dziękowaniu bogom, wesołej zabawie oraz o nowym żercy. Witek stał za nim. Wiatr cały czas zrywał mu z głowy kaptur. Po pewnym czasie przestał go już zakładać na głowę.

– Obchody czas zacząć! – zawołał do mikrofonu wójt.

Maszynaria wydała z siebie ogłuszający pisk. Skrzywiłam się, gdy boleśnie przewiercił mi uszy.

Stanęliśmy w Mieszkiem z boku, ale dokładnie widzieliśmy stos drewna, który miał zapłonąć dzisiaj żywym ogniem. Miałam nadzieję, że ogień trochę mnie ogrzeje. Mimo wcześniejszych planów nie zdążyłam włożyć cieplejszej bielizny, jedynie narzuciłam sweter na ramiona. Makabrycznie mnie podwiewało.

Zaczęłam się zastanawiać, czy przy takim wietrze na pewno uda się rozniecić płomień.

Mieszko objął mnie ramieniem i przyciągnął do siebie w naturalnym, niewymuszonym geście. Zupełnie jakbyśmy zawsze tak stawali obok siebie. Ponad moją głowę rozglądał się zaciekawiony po polanie, mrużąc oczy, żeby wiatr nie nasypał mu do nich piachu.

Kilka osób bez żadnego wstydu nam się przyglądało. Mieszko nadal stanowił

w Bielinach sensację. Jego tajemnicze zniknięcie po śmierci Mszczuja, nieobecność na pogrzebie i nagły powrót, by kupić gospodarstwo, stanowiło główny temat plotek w ostatnich tygodniach. Poza tym jawnie stał u mego boku. Panny usiłujące zagiąć parol na Witka będą mogły być spokojne, że nic nie chcę od nowego żercy.

Spojrzałam na scenę. Witek stanął na krawędzi. Ścisnął mikrofon pewnie, ręce mu się nie trzęsły. Wydawało się, że przemawianie do tłumu w ogóle nie wyprowadza go z równowagi. Po cichu go podziwiałam. Nie wiem, czy zdołałabym poprowadzić ceremonię, podczas której czujnie się śledzi każdy mój ruch. On za to wyglądał, jakby był stworzony do takich przedstawień: odważny i pewny siebie.

Przed oczami stanął mi pan Wilkowiak, który podczas wesela irytował się, że Witek za cicho mówi. Teraz nie będzie z tym żadnego kłopotu, bo miał mikrofon i nagłośnienie.

Żerca potoczył spojrzeniem po zebranych, kilka chwil zatrzymał się na mnie i Mieszku. Uśmiechnęłam się do niego, ale jego twarz pozostała bez wyrazu.

– Kochani! Witajcie na tegorocznym Święcie Plonów – powiedział i po raz pierwszy się uśmiechnął. – Bardzo dziękuję za liczne przybycie. Rozpocznijmy obchody. Zaczniemy je od rozpalenia ognia.

Oddał mikrofon wójtowi i zszedł ze sceny, by wykrzesać ogień. Ukucnął za stołem drewna, przez co straciłam go z oczu.

Telefon w mojej torebce zawibrował. Wyciągnęłam komórkę, żeby przeczytać SMS-a.

– Sława przyjechała na festyn! Zaprasza nas później na miód – powiedziałam do Mieszka.

– Świetnie.

– Pff, to moja przyjaciółka – Palnęłam go w ramię za zupełny brak entuzjazmu. – Musisz ją polubić, skoro wiesz... jesteśmy parą.

Jego prawy kącik ust uniósł się lekko do góry.

– Czyżbym miał niedługo pożałować, że jesteśmy? – zapytał.

– Jesteś wstrętny – oburzyłam się.

Zaśmiał się i objął mnie w pasie. Brodę oparł na czubku mojej głowy. Wsunęłam telefon do torebki i położyłam moje dłonie na jego. Dopiero teraz zauważyłam, że naprzeciwko nas w tłumie stoi Baba Jaga. Otwarcie się nam przyglądała, analizując każdy nasz gest. Jej spojrzenie zjechało na dłonie Mieszka na moim brzuchu. Uniosła pytająco brew.

Pokręciłam w odpowiedzi głową.

Ciągle nie powiedziałam mu, co oświadczyła mi Mokosz tamtej nocy w lesie. Teraz miałam już pewność. Sprawdziłyśmy to razem z Jagą i bogini istotnie nie kłamała.

A ja nie wiedziałam, co powinnam teraz zrobić. Przecież to niemożliwe. Nie uwierzy mi. Było między nami tak dobrze. Czułam się kochana. Nie chciałam tego stracić, jeśli mi nie uwierzy.

Mój dobry humor od razu się ulotnił.

Żywy ogień łapczywie pochłaniał drewniane polana. Wiatr sypał jak wściekły iskrami. Cofnęliśmy się odrobinę, by do nas nie doleciały. Wesoły ton Witka gdzieś zniknął. Był znacznie poważniejszy. Zwróciłam się w jego stronę, gdy usłyszałam zmianę w jego głosie.

– Niech będzie pozdrowiony święty ogień! – powiedział.

Powtórzyliśmy po nim formułkę.

– Złożmy ofiarę bogom, którzy sprawują pieczę nad całym światem i naszym życiem.

Obok sceny stanęły odświętnie ubrane panny i kawalerowie. Trzymali misy z darami, które miały niebawem strawić płomienie.

– Świętowicie, wielki boże, dzięki ci za dary szczodre, dzięki ci za chleb i kołacz, i za złote kłosa zboża.

W ogień poleciały ziarna pszenicy i żyta.

– Mokosz, matko nasza, dzięki twej płodności i hojności nasze spichlerze są pełne i głód nam niestraszny. Przyjm w podzięcie żertwę naszą!

Chleb powędrował do ogniska.

– Swarogu, twoim promieniom plon ten zawdzięczamy. I choć na nieboskłonie bieg swój skrucasz, tobie zawdzięczamy nasze dalsze istnienie.

Chłopak, który miał skropić ogień miodem, o mało nie podpalił sobie koszuli, kiedy wiatr pchnął płomienie w jego kierunku.

– Welesie, panie Wyraju, strażniku przysięgi i dobrobytu, spraw, by zebrane plony bezpieczne były od wszelkiej szkody.

Mak i zioła spłonęły tym razem bezpiecznie.

Dzbany z miodem zaczęły krążyć dookoła ogniska podawane sobie z rąk do rąk. Tym razem nie było jednorazowych kubeczków. Wszyscy pili z jednego naczynia, roznosząc zarazki. Gdy napitek trafił w moje ręce, podałam go dalej. Poczułam, jak za moimi plecami Mieszko śmieje się cicho.

– Nic się nie zmieniłaś – szepnął.

Oj, nawet nie wiesz...

– By wam ogień płonął jasno, by nie brakło wam kołacza. I by plon stukrotny wniosła waszka wasza dobra praca! – złożył nam życzenia Witek i sam także popił miodu z pucharu.

Wójt znowu wysunął się na przód tłumu i zaprosił wszystkich na koncert zespołu z pobliskiej podstawówki. Wystrojone dziewczynki z makijażem mocniejszym niż mój już wbiegały na scenę, o mało nie tratując po drodze żercy, który ledwie zdążył odskoczyć.

Razem z Mieszkiem zaczęliśmy przechadzać się pomiędzy straganami. Trzymaliśmy się za ręce jak zakochani na filmach. Mieszko zatrzymał się przy stoisku, na którym sprzedawano noże.

Nie zdziwiło mnie to. To nie jest mężczyzna, który kupowałby gliniane garnki.

Ja za to miałam już na oku piękną miskę z zewnątrz wyglądającą jak pełna dziurek, zasuszona gąbka. Od środka była wylana turkusową porcelaną. Nie mam zielonego pojęcia, gdzie postawię ją w domu Mieszka, ale nie miałam żadnych wątpliwości, że tam właśnie stanie.

Telefon ponownie zawibrował w mojej torebce. Panujący na festynie gwar i wesołe śpiewy rozlegające się z głośników skutecznie zagłuszały dźwięk dzwonka. Gdyby nie to, że torebka opierała mi się na biodrze, to niczego bym nie zauważyła.

Wyciągnęłam z westchnieniem aparat przekonana, że to znowu Sława. Pewnie jest coraz bardziej spragniona.

Zamarłam, gdy zobaczyłam kto dzwoni.

Mieszko właśnie negocjował cenę jednego z noży. Targowali się z właścicielem kramu wyjątkowo zażarcie, ale obaj szeroko się uśmiechali zadowoleni z dobrej zabawy.

– Dzwoni moja mama – szarpnęłam Mieszka za rękaw. – Idę z nią porozmawiać gdzieś, gdzie jest ciszej.

– Powodzenia. – Pocałował mnie w policzek. – Będę tu w pobliżu.

Na sztywnych nogach szybko przecisnęłam się pomiędzy kramami, byle oddalić się chociaż na chwilę od gwaru.

Odebrałam, zanim przestała dzwonić.

– Halo? – zapytałam. – Mama?

– Gosiu, słabo cię słyszę...

– Jestem na festynie, poczekaj chwilę, odejdę kawałek!

Bogowie, jak dobrze było usłyszeć jej głos. Tak za nim tęskniłam. Byle tylko się nie rozłączyła! Przeciskałam się między ludźmi tak długo, aż znalazłam się nad cichą wodą Bielinianki. Moje buty zapadły się w miękkie błoto u jej brzegu. Wciąż dobiegała mnie muzyka z głośników, ale za ścianą drzew nie była już tak dotkliwa.

– Halo? Halo! Mamo! Jesteś tam? – zawołałam do słuchawki ogarnięta paniką, że może już się rozłączyła.

– Jestem, jestem kochanie.

– Przepraszam, nic prawie nie słyszałam, jestem na festynie z okazji Święta Plonów – wyjaśniłam szybko.

– No tak, dzisiaj dożynki – zgodziła się. – Posłuchaj, córciu, chcę cię przeprosić za to, że tak nagle wyjechałam. Bardzo cię przepraszam, nawet nie wiesz, jak mi z tego powodu źle i jak podle się czuję.

– Ja też cię przepraszam – powiedziałam.

– A za co ty mnie przepraszasz? No chyba, że za to, że tak długo nic mi nie mówiłaś.

Miałam wrażenie, że moje serce na chwilę zgubiło rytm.

– Mamo... ty mi wierzysz? – wydukałam, ledwie powstrzymując łzy.

– Gosiu, musiałam wyjechać, tak samo jak musiałam wyjść wtedy z pokoju, kiedy mi to powiedziałaś. To wszystko mnie przerosło. Musiałam sobie kilka rzeczy przemyśleć, poukładać.

– Rozumiem...

– Nie, nie rozumiesz – przerwała mi. – Zachowałam się jak obrażona królowa. Nawet nie wiem, jak mam cię za to przeprosić.

Miała zdenerwowany głos, kilka razy jej się załamał. Nigdy nie słyszałam, by była tak rozemocjonowana.

– Nie musisz mnie przepraszać. Wyłumacz mi, żebyś zrozumiała.

– Kochana córeczko. Jest tyle rzeczy, które muszę ci powiedzieć. Nawet sobie nie wyobrażasz – usłyszałam, że płacze.

– Nie rozumiem.

Miałam w głowie pustkę.

– No, teraz mówisz z sensem – zażartowała nerwowo. – Skarbie to, co mi powiedziałaś, śmiertelnie mnie przestraszyło. Namawiałam cię na wyjazd do Bielin, bo chciałam, żebyś poznała swoje korzenie. Nie sądziłam, że może spotkać cię tutaj coś złego. Nie spodziewałam się... za to także powinnam cię przeprosić. Byłam taka głupia, wysyłając cię w to miejsce!

– Mamo, zaczynasz mnie teraz przerażać.

– Przepraszam – odetchnęła głęboko, by dodać sobie odwagi do tego, co chciała teraz powiedzieć. – Wierzę ci. Wierzę we wszystko, co mi powiedziałaś.

Ulga rozlała się po moim ciele.

– Czyli już nie uważasz, że jestem narkomanką i że kłamię?

– W żadnym razie. Wierzę w to, co mi powiedziałaś. We wszystko.

– Dziękuję.

Nie mogłam już dłużej powstrzymać łez. Pocięły po moich policzkach, rujnując makijaż.

– Gosiu reszta naszej rozmowy nie jest na telefon. Musimy się spotkać. Powinnam wreszcie ci o czymś powiedzieć.

– O czym?

– Córeczko, pamiętasz, jak ci opowiadałam, dlaczego wyjechałam z Bielin? – zapytała.

– Pokłóciłaś się z dziadkami, chciałaś żyć w wielkim mieście.

– Tak, a potem w Warszawie zaszłam w ciążę z nieodpowiednim chłopakiem – dokończyła po mnie. – Tylko że to nie jest prawda.

– Nie?

– Wyjechałam z Bielin, już będąc w ciąży, nosząc cię pod sercem, kochanie. To dlatego tak bardzo pokłóciłam się z rodzicami i wyjechałam, zrywając z nimi kontakt. To dlatego nie chcieli mnie znać.

– Ale jak to?

Wszystko, co przez cały czas mi opowiadała, było kłamstwem?

– Przepraszam cię, córeczko! Musimy się spotkać. Muszę ci opowiedzieć o twoim ojcu...

Długo dochodziłam o siebie. Mama nie chciała nic więcej mi powiedzieć, ale tymi kilkoma słowami wyrzuciła całe moje życie do góry nogami. Wszystko, w co wierzyłam, zniknęło. Całe dzieciństwo opowiadała mi, że mój ojciec był nieodpowiedzialnym bawidamkiem i porzucił nas, gdy miałam dwa latka, że nie był gotowy na zakładanie rodziny. Nigdy nie widziałam żadnych jego zdjęć, bo twierdziła, że w złości wszystkie je zniszczyła i nie było mi czego pokazywać.

A teraz nagle się okazuje, że moja mama, będąc w ciąży, zwyczajnie uciekła? Przed czym? Przed kim? No bo przecież nie przed dziadkami!

Kim jest mój ojciec?

Oparłam ręce na kolanach i pochyliłam głowę, gdy zrobiło mi się ciemno przed oczami. Odetchnęłam głęboko.

Bogowie!

Kim on jest? Czemu nie powiedziała mi o tym wcześniej? Czemu sądziła, że nie udźwignę prawdy?

Ustaliliśmy, że po Święcie Plonów odwiedzę ją w Warszawie, gdzie spokojnie o wszystkim porozmawiamy. Nie chciała rozmawiać przez telefon, tłumacząc mi, że musi powiedzieć mi kilka rzeczy prosto w oczy. Nie dała się przekonać, by uchylić chociaż rąbka tajemnicy.

Wyprostowałam się z wysiłkiem, gdy przestało wirować mi w głowie. Muszę znaleźć Mieszka, chcę wrócić do domu. Chcę, żeby już było jutro i żebym mogła wsiąść w pociąg do Warszawy.

Zaczęłam przepychać się przez tłum. Rozglądałam się dookoła, ale nigdzie go nie widziałam. Wesoły gwar zamienił się w moich uszach w ogłuszający hałas. Miałam wrażenie, że stoję gdzieś z boku, patrzę na siebie i otaczających mnie ludzi, jakbym oglądała film. To było takie nierealne.

Każdy mijany mężczyzna wydawał mi się znajomy, w każdym z nich doszukiwałam się jakichś wspólnych ze mną cech, podobieństw.

Zaszła w ciążę, jeszcze mieszkając w Bielinach... W takim razie moim ojcem musi być jeden z nich!

Szum w moich uszach robił się coraz głośniejszy. Skrzywiłam się boleśnie i osłoniłam uszy rękami.

Nagle usłyszałam grzmot. Nieomal przewróciłam się, tak bardzo mnie przestraszył. Uniosłam głowę. Spojrzałam na przykryte chmurami niebo. Było ciemne, chłodny wiatr coraz mocniej szarpał drzewami. Zbliżał się deszcz. Czuć go było nieomal w powietrzu. Wilgoć lepiała się do skóry.

Jednak otaczający mnie ludzie zdawali się tego w ogóle nie dostrzegać. Weseli, uśmiechnięci potrącali mnie ramionami, spiesząc do kolejnych dożynkowych atrakcji.

Ponownie rozległ się grzmot. Zadrżałam. Nie ma planetnika, który ochroniłby nas przed zmięciem.

Ruszyłam przed siebie. Potknęłam się. Szarpnęłam nogą, ale coś mnie trzymało za kostkę, coś się wokół niej owinęło. Ze ściśniętym gardłem spojrzałam w dół. Moja stopa była okręcona łodygami powoju. Zamiast wydeptanej trawy wszędzie leżały zwiędnięte kwiaty. Ludzie deptali po nich, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy.

Zakręciło mi się w głowie.

– Widząca...

Czyjaś ciepła ręka ścisnęła mnie za ramię. Czarne mroczki przed oczu zniknęły. Odwróciłam się do dotykającego mnie mężczyzny.

Jego ruda broda wyglądała całkowicie zwyczajnie. Nie otaczał go dym ani płomień. Nie miał w sobie niczego z boga. Nawet jego oczy wyglądały normalnie. Niczym nie wyróżniał się z tłumu.

– Swa... – urwałam, bojąc się, że ktoś mógłby nas usłyszeć. – Co tu robisz?

Zmrużył oczy, przyglądając mi się uważnie. Chyba chciał zapytać, co przed chwilą się ze mną działo, ale z jakiegoś powodu tego zaniechał. Jakiś przechodzień potrącił go, przepychając się obok nas. Oblicze boga wykrzywiła wściekłość i pogarda.

– Dawno się nie widzieliśmy. Chodźmy stąd. Natychmiast! – warknął.

– Wolalabym nie. – Zaparłam się nogami o ziemię.

Dobrze zdawałam sobie sprawę z tego, że w tłumie powinnam być bezpieczna.

Po przyjacielsku objął mnie ramieniem i przyciągnął do siebie. Mijający nas ludzie kompletnie nie zwracali uwagi na moją przerażoną minę.

– Chodź ze mną albo spalę wszystkich na swojej drodze – szepnął mi prosto do ucha. – Nie żartuję, widząca.

Jego oddech pachniał ogniskiem. Ciało było tak gorące, że niemal od razu na moich policzkach pojawiły się rumieńce. Ledwie zdołałam kiwnąć głową i już przepychaliśmy się w stronę wyjścia.

Gorączkowo rozglądałam się na boki, ale nigdzie nie widziałam Mieszka. Czy nadal się targował i wymieniał ze sprzedawcą uwagi na temat obróbki metali? A szeptucha? Gdzie ona się podziewała?

Wyszliśmy na główną ulicę w Bielinach. Tutaj wciąż było sporo ludzi, ale nikt się o nas nie obijał. Odetchnęłam. Jeśli coś mi się stanie, nie zostanie przecież niezauważone.

Ruszyliśmy powoli chodnikiem. W końcu zatrzymaliśmy się nieopodal wyremontowanego już domu żercy. Nowe ściany pobielono, strzecha błyszcziała świeżą słomą, a otwarte na oścież ciemnozielone okiennice pozwalały zajrzeć do przestronnych, pustych na razie wnętrz. Budynek zupełnie nie przypominał

dawnego domostwa Mszczuja.

– Gdzie mój sztylet? – zapytał i wreszcie mnie puścił.

– W bezpiecznym miejscu.

Natychmiast odskoczyłam na bezpieczną odległość, o ile taka w ogóle istnieje.

– Ranisz mnie, widząca, ale to już chyba ustaliliśmy.

– Nie chcę mieć z tobą do czynienia, to chyba też już ustaliliśmy! – warknęłam.

W oczach Swarozycy nie było nawet cienia sympatii, którą kiedyś mi okazywał. Zaczęłam się zastanawiać, czy istotnie kiedykolwiek tam była, czy po prostu przez cały czas udawał.

– Nie podoba mi się twoje nastawienie.

Wyciągnął do mnie rękę, ale ja przestraszona odskoczyłam do tyłu. Cofnął dłoń wyraźnie urażony.

– Tyle mogłem ci dać. – Pokręcił głową zniesmaczony.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytałam.

Naraz znowu usłyszałam grzmot. Drgnęłam i spojrzałam na niebo. Bóg przekrzywił głowę na bok jak zaciekawiony pies.

– Coś się stało? – zapytał.

– Grzmot... – mruknęłam.

– Grzmot? – zdziwił się.

– Nie słyszałeś?

– Nie grzmiało, widząca.

Poczułam, jak gęsia skórka podnosi mi włosy na karku. Nie podobało mi się to wszystko. Coś było nie tak, coś się ze mną działo. Przypomniałam sobie wizje na temat morderstwa utopca. Wtedy też rzeczywistość mieszała mi się ze snem.

To znowu się działo.

Ponad ramieniem boga spojrzałam na bawiący się tłum. Basy wibrowały w powietrzu. Szkolny zespół przestał już występować, jego miejsce na scenie zajęła orkiestra straży pożarnej. Na drewnianych deskach parkietu wesoło podrygiwali pierwsi tancerze.

Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że dookoła nas zrobiło się ciszej.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytałam zachrypniętym od emocji głosem.

– Chcę ci przypomnieć, od kogo wszystko zależy. Od kogo ty zależysz.

Oczy załśniły mu, ale nadal były przerażająco ludzkie, zwyczajne. Każdy przechodzień pomyślałby, że stoję naprzeciwko normalnego człowieka, pewnie jakiegoś turysty.

– Powinnaś nosić ten sztylet przy sobie, być gotowa.

– Na morderstwo? – wyszeptalam.

– Na spełnienie swojej obietnicy, na wyświadczenie mi przysługi.

– Czemu ja? – jęknęłam.

– Moja droga, taka jest twoja dola od bardzo, bardzo dawna. Nawet nie wiesz, jak długo czekałem na tę chwilę. Ile lat...

Kiwnęłam głową. Dalsza dyskusja nie miała żadnego sensu. Pozostawało mi tylko czekać, aż zdradzi wreszcie imię osoby, której życie będę musiała zakończyć.

– Nie wolno rozstawać ci się z tym sztyletem, rozumiesz? Nie wolno ci go zostawiać w rękach tego człowieka. Jest bardzo ważny.

– Mieszko nic z nim nie robi.

– Nie pozwalam ci, słyszysz?! – jego głos drżał ze złości. – Jeśli go zgubisz, jeśli coś się z nim stanie...!

– Rozumiem – zgodziłam się szybko.

Moja początkowa buta stopniała pod wpływem jego gniewu. Już wielokrotnie się przekonałam, że nie grzeszę inteligencją i zbyt często zdarza mi się pyskować nie tym osobom, co trzeba, ale nawet ja wiem, że teraz nie jest na to właściwy moment.

– Nie podoba mi się twoje zachowanie, widząca – skrytykował mnie. – Zmieniłaś się i ta zmiana mi się nie podoba!

Wzruszyłam ramionami.

– Przypomnę ci, kto jest dla ciebie najważniejszy. To powinno ci uzmysłwić, że tak naprawdę wszystko zależy ode mnie. Wszystko.

– Co przez to rozumiesz?

– Wiem, że będziesz chciała uniknąć spełnienia danej mi obietnicy. Widzę to w twoich oczach. Dzisiaj pokażę ci ułamek tego, co się stanie, jeśli podejmiesz taką decyzję.

– Co chcesz zrobić? – spytałam głucho.

Niespodziewanie złapał mnie za przedramię i przyciągnął do siebie tak blisko, że nieomal zetknęliśmy się nosami. Syknęłam. Miałam wrażenie, że jego dłoń wypala na mojej skórze piętno.

Palcem wskazującym drugiej ręki stuknął w wisiołek zwieszający się pomiędzy moimi piersiami. Skrzywił się ze wstrętem, jakby potrafił wyczuć, że dostałam go od Mieszka. Owionął mnie zapach dymu z ogniska. Jego dłoń na moim przedramieniu robiła się coraz cieplejsza. Nawet poprzez cienki materiał sweterka miałam wrażenie, że dotykam rozgrzanego żelaza.

Jęknęłam, ale on nic sobie z tego nie robił. Dalej sprawiał mi ból.

– Dzisiaj odbiorę ci jedną rzecz. Tylko jedną – szepnął. – Ale przysięgam, że na tym nie poprzestanę, że podpalę cały świat i zniszczę wszystko, co jest ci drogie, jeśli nie będziesz mnie słuchała, jeśli mnie do tego zmusisz swoim nieposłuszeństwem.

Następnie zniknął. Poleciałam do tyłu, gdy nagle zabrakło ręki, którą mnie trzymał. Ledwie zdołałam złapać równowagę. Okręciłam się dookoła własnej osi,

ale nigdzie go nie było. Rozpłynął się w powietrzu. Nie pozostał po nim żaden ślad.

Ulica podejrzanie opustoszała. Przechodnie zniknęli. Owszem, ludzie wciąż tłoczyli się na polanie, gdzie trwał festyn, jednak chodniki były wyludnione. Nawet żaden samochód nie przejeżdżał szosą. Panował nienaturalny spokój.

Zadrżałam. Swarożyc w jakiś sposób zadbał o to, by nikt go nie zobaczył.

Przedramię piekło, zupełnie jakbym dopiero co oparzyła się wrzątkiem. Odgarnęłam rękaw swetra.

Zachłysnęłam się powietrzem. Nie było śladu oparzenia, którego się spodziewałam. Za to na skórze wił się tatuaż przedstawiający poskręcane łodygi i kielichy powoju. Poczułam ból w dole brzucha. Zobaczyłam sterczący z niego trzonek noża. Krew spływała z rany, kapiąc na szarą kostkę chodnikową.

Przerażona zamknęłam oczy.

Gdy uchyliłam powieki, ból zniknął, tak samo jak nóż i obficie brocząca rana. Uniosłam do góry rękę. Skóra była czysta, jedynie lekko zaróżowiona w miejscu, gdzie mnie złapał.

O bogowie... zrozumiałam sens mojego koszmaru.

Rzuciłam się biegiem w stronę bawiących się ludzi. Nie miałam czasu. Wyszarpnęłam z torebki telefon.

Muszę znaleźć Sławę. Grozi jej niebezpieczeństwo!

Przepychałam się pomiędzy ludźmi, którzy zdawali się specjalnie mnie spowalniać. Przy uchu trzymałam telefon, licząc kolejne sygnały wwiercające mi się do mózgu. W końcu automat sam mnie zrzucił.

Moja przyjaciółka nie odbierała.

– Sława, co z tobą?! – syknęłam do słuchawki.

Ponownie wybrałam numer. W moim uchu jeszcze raz rozległ się sygnał oczekiwania na połączenie.

Stałam nieopodal sceny, pośrodku polany, na której odbywał się festyn. Metr po metrze zaczęłam przeszukiwać wzrokiem otaczający mnie ze wszystkich stron tłum. Kramy rozstawione po bokach oblepione były kupującymi. Łatwo było ich obserwować, bo raczej się nie poruszali. Problem stanowili spacerujący uczestnicy Święta Plonów. Rozchodzili się wszędzie, w każdym kierunku. Nie sposób było dostrzec Sławy, mimo to nie przestawałam się rozglądać.

Miałam wrażenie, że szukam igły w stogu siana. Znając moją przyjaciółkę, nie można było nawet być pewnym jej aktualnego koloru włosów.

Nagle do mojego ucha zaćwierkał jej zadowolony głos:

– Helooooo!

Byłam tym tak zaskoczona, że nie od razu odpowiedziałam.

– Sława? Sława! – wykrzyknęłam, a ludzie dookoła odwrócili się do mnie zniesmaczeni moim zachowaniem. – Jesteś tam?!

– No jestem, jestem – speszyła się. – A gdzie mam być? Co się do mnie dobijasz? Co u ciebie tak głośno? Ledwo cię słyszę! Halo!

– Gdzie jesteś?!

– Co? Strasznie głośno u ciebie, stoisz pod jakimś głośnikiem, czy co? Nie słyszę cię, coś mi trzeszczy – poskarżyła się.

Odwróciłam się i spojrzałam na scenę. Bezpośrednio pod głośnikiem nie stałam, ale byłam całkiem blisko. Idiotka ze mnie.

Zaczęłam się przepychać między ludźmi. Do jasnej cholery! Skąd ich się nagle tylu wzięło?! Nawet na Nocy Kupały nie było takiego oblężenia, a podobno to najpopularniejsze święto.

W ostatnim momencie odskoczyłam do tyłu, bo staranowałby mnie wózek z dzieckiem pchany przez matkę, w której oczach zobaczyłam to samo przerażenie, które ja odczuwałam. Ona, zabierając niemowlaka na festyn, też najwyraźniej nie spodziewała się, że frekwencja aż tak dopisze.

– Sława! – krzyczałam do słuchawki. – Gdzie jesteś?!

– Jestem... – Seria trzasków mi przerwała.

– Halo?

– Wysłałam już – usłyszałam. – Spacerujemy... las... miło.

– Co? – jęknęłam. – Z kim spacerujesz? Gdzie? Z Mieszkiem?

Odpowiedział mi jej śmiech.

– Nie! Z nim? Zdurniałaś chyba. Jest fajny, ale wolałabym nie wchodzić z nim w bliższe relacje. Łatwo dla niego stracić głowę... – odparła.

Przypomniała mi się odcięta mieczem głowa Ote tocząca się po podłodze w fontannie krwi z przeciętych tętnic. Dobrze wiedziałam, że to właśnie miała na myśli moja przyjaciółka.

– Sława, gdzie jesteś? – naciskałam.

– Szybko chcesz popsuć zabawę, ale niech ci będzie. Chodź do nas! Jesteśmy...

Niespodziewanie wbiegł na mnie rozpedzony pięciolatek. Dostałam po twarzy wypełnionym helem balonem w kształcie niebieskiej lokomotywy z popularnej kreskówki. Dzieciak wbił mi głowę w żołądek, podeptał stopy, wysapał jakieś mętne przeprosiny i pognął dalej.

Po chwili minął mnie jego ojciec z szaleństwem i mordem w oczach, wrzeszcząc:

– Wracaj tu w tej chwili! Oddaj ten balon sprzedawcy!

– Gdzie?! – jeszcze raz zawołałam do słuchawki.

– Koło chaty żercy. Bogowie, co z tobą? Gdzie ty jesteś?

Szczerze, to nie wiem. Jakieś dożynkowe szaleństwo ogarnęło tych ludzi. Już w ogóle się nie dziwię, że Baba Jaga tak szybko zwija się z tych imprez, by pójść do lasu i w spokoju posiedzieć z innymi szeptuchami przy ognisku i pogadać o jajkach.

– Nie ruszaj się stamtąd. Zaraz tam będę! – krzyknęłam.

Do jasnej cholery, przecież przed chwilą tam byłam! Stałam przy tej przeklętej chacie! Musiałyśmy się minąć! Gdzie jest Mieszko?! Przydałaby mi się teraz jego pomoc!

Nagle moja dola chyba się wreszcie nade mną zlitowała. Ponad głowami rozbawionych ludzi dostrzegłam jego pszeniczną czuprynę. Zaczęłam się przepychać w jego kierunku.

– Mieszko! – krzyknęłam.

Nasze spojrzenia się skrzyżowały. Na jego twarzy zobaczyłam ulgę. Bez żadnych ceregieli odepchnął kilka osób i stanął obok mnie.

– Gdzie ty się podziewałaś? Wszędzie cię szukałem. Tak długo rozmawiałaś z mamą? – zapytał.

Chciałabym, żeby tak mogła brzmieć moja odpowiedź.

– Spotkałam Swarożycza – syknęłam.

Krew odpłynęła z jego twarzy. Zauważyłam, że cały się spiął. Mięsień na jego policzku zaczął rytmicznie się zaciskać.

– Coś ci jest? – zapytał rzeczowo.

– Nie, ale zaraz zrobi krzywdę Sławie! – W moich oczach stanęły łzy. – Powiedział, że to kara za to, iż zostawiłam u ciebie sztylet.

– Sukinsyn – zaklął.

Rozejrzał się ponad moją głowę w poszukiwaniu mojej przyjaciółki. Nigdy jej nie lubił. Nie akceptował tego, że jest rusałką. W końcu spędził całe wieki na zabijaniu jej podobnych. Mimo to się przejął. Miłe.

– Musimy ją znaleźć! – mruknął.

– Dodzwoniłam się do niej. Jest niedaleko chaty żercy.

Złapał mnie za rękę i pociągnął przez tłum. Ludzie uskakiwali przed nim przestraszeni, że ich staranuje. Truchtałam jego śladem szczęśliwa, że nie musiałam się sama przepychać.

Nie miał ze sobą żadnych pakunków. Chyba nie dogadał się ze sprzedawcą noży.

Wybiegliśmy na ulicę. Szosą pędziły samochody osobowe i ciężarówki, kierując się na Nową Słupię u podnóża Łysej Góry. Psy szczekały na posesjach, a chodnikami przemykali przechodnie. Droga w niczym nie przypominała tej uliczki, na której byłam niemalże przed chwilą.

W moim sercu zakiełkowało nowe ziarno strachu. Jeśli Swarozyc w jednej chwili potrafił zmienić zamiary tak wielu ludzi, by powstrzymać ich od przeszkodzenia nam w rozmowie, to co jeszcze umie zrobić?

W kilka minut dotarliśmy do posesji żercy. Nowy płot stał prosto, a wejścia na teren należący do kapłana chroniła uchylona teraz furtka. Wszystko pachniało nowością, czyli świeżą farbą olejną.

– Idź za mną – rozkazał Mieszko.

Posłusznie trzymałam się jego pleców. Nie zamierzałam się kłócić. Zerknęłam w okna położonego obok domu. Tym razem za firanką nie zobaczyłam ciekawskiej gospodyni.

Bogowie, oby nie było za późno! Do utopca przecież nie zdążyłam przybyć na czas.

– Nie mamy żadnej broni – szepnęłam.

– Cii.

Przeszliśmy przez podwórko, ale nikogo nie było widać. Mieliśmy do wyboru zajrzeć do domu żercy lub do świątyni, która wciąż była w budowie.

– Zostań tu – rozkazał mi.

Patrzyłam, jak powoli naciska klamkę do drzwi chaty Witka. Wszedł do środka.

Odwróciłam się w stronę ciągnącej się za posesją łąki odgradzonej rozpadającym się wciąż ogrodzeniem. Najwyraźniej robotnicy nie zdążyli jeszcze go wymienić lub nie należało do żercy.

Na tej łące pasał się kiedyś poprzedni wierzchowiec Mieszka.

Wysoka trawa i chwasty pochylały się na wietrze, który wzmagał się z każdą chwilą. Podeszłam do płotu. Poziome deski przybite były do krzywych słupków. Spokojnie można było pochylić się i przejść pod nimi.

Gdy dotknęłam starego, zniszczonego przez niepogodę drewna, strzelił mnie w palce prąd.

Tam.

Poszli w tamtą stronę. Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. Przeczucie było bardzo silne.

Za łąką rozciągał się zagajnik samosiejek. Przez wysokie krzaki nie sposób było dostrzec, co znajdowało się pomiędzy drzewami.

– Mieszko! – zawołałam, ale chyba mnie nie usłyszał. – Mieszko! Za łąką! Są w zagajniku!

Przecisnęłam się pod ogrodzeniem i puściłam biegiem w stronę drzew.

Nie było czasu!

Niebo było coraz ciemniejsze. Wiatr wiał mi prosto w oczy, wyciskając z nich strumienie łez. Sięgająca kolan trawa i suche, bliżej nieokreślone zielsko szarpało mi dół sukienki. Mimo to przedzierałam się przez nie najszybciej, jak mogłam.

Ściana drzew była coraz bliżej. Poczułam przypływ nadziei. Może zdążę, może jeszcze zdążę.

Nagle usłyszałam czyjś zduszony krzyk.

To była Sława.

Nie!!!

Nie mogę jej stracić. Owszem, kłóciłyśmy się, czasem się nienawidziłyśmy. Zdradziła mnie, okłamała, udawała przede mną. Ale ja robiłam przed nią dokładnie to samo. Tak jak ona kłamałam i udawałam, wierząc, że robię to w słusznej sprawie.

Była moją przyjaciółką. Jedyłą, jaką miałam. Nie pozwolę, żeby Swarozyc ją skrzywdził, żeby użył jej przeciwko mnie.

Szarpnęłam krzaki, które blokowały mi przejście. Odwróciłam się przez ramię. Zobaczyłam Mieszka, który już przeskoczył ogrodzenie i biegł do mnie. Coś krzyczał, ale przez wiatr nie mogłam rozróżnić słów. Zamachał rękami.

Wiedziałam, że chce, bym na niego zaczekała, ale nie mogłam. Zignorowałam go i weszłam w cień drzew. Krzaki za mną zaszeleściły, wracając na swoje miejsce. Rozłożyste paprocie blokowały mi przejście. Na ich widok poczułam ucisk w gardle. Już chyba nigdy nie będę mogła w spokoju podziwiać paproci.

Zaczęłam nasłuchiwać. Sława już nie krzyczała, ale dobiegał mnie szelest i coś jakby uderzenia? Jakby ktoś uderzał w coś miękkiego...

Ruszyłam już znacznie wolniej w tamtym kierunku. Drzewa nie były stare, przeważały brzozy o smukłych białych pniach. Niestety nie przepuszczały zbyt wiele światła. Rosły zbyt blisko siebie, a ich korony były rozłożyste.

Ostrożnie stawiałam stopy, starając się nie szeleścić. Nie miałam przy sobie niczego, co mogłabym wykorzystać jako potencjalną broń. Władowanie się z krzykiem prosto w kłopoty nie wydawało mi się szczególnie dobrym pomysłem.

Dojrzałam błysk fioletu pośród zieleni i usłyszałam zduszony jęk. Przed sobą miałam ostatni szpaler krzaków.

Rozchyliłam gałązki.

Scena, którą zobaczyłam, zmroziła mnie do szpiku kości. Moja kochana Sława ledwie stała na nogach. Z jej pękniętej wargi i rozbitego łuku brwiowego tuż nad lewym okiem obficie leciała krew. Na tle białej skóry wydawała się prawie czarna. Włosy w kolorze fioletowego wrzosu wyglądały nienaturalnie, jakby miała

na głowie perukę.

Krew spływała po jej szczupłej szyi, przykrywając misterny tatuaż i brudziła żółtą sukienkę zapinaną na piersiach na drobne perłowe guziczki. Materiał był rozpięty, ukazując biel koronkowego stanika. Niżej, po prawej stronie, tuż po żebrami sukienka zabarwiła się na czerwono. Sława przyciskała rękę do boku, ale spomiędzy jej szczupłych palców wypływały strumyczki krwi.

– Nie rób mi krzywdy – wyszeptwała.

– Tak musi być – odpowiedział jej męski głos.

W oczach przyjaciółki zobaczyłam przerażenie i spokój. Zupełnie jakby pogodziła się z losem, nie widząc dla siebie ratunku.

Z trudem oderwałam od niej spojrzenie. W pobliżu jej nóg leżała skórzana torba, z której wysypała się zawartość: żelazne gwoździe długie na kilkanaście centymetrów, sztylety oraz wszechobecne kryształki soli z rozprutego foliowego woreczka.

Obok torby stał oprawca, myśliwy. Każdy jego ruch był idealnie wyważony, zaplanowany. Nie było miejsca na jakiegokolwiek uczucia. Obserwował spokojnie swoją ofiarę, mocno zaciskając palce na rękojęści posrebrzanego żelaznego sztyletu.

– I tak jesteś martwa – stwierdził.

Poznałam ten głos i nieomalże jęknęłam.

– Nie powinnaś istnieć, to nienaturalne – kontynuował. – Muszę to zrobić. Nikomu więcej nie zagroźisz, nikogo nie uwiedzisz.

– Nie robię tego – zaprotestowała.

– A co chciałaś zrobić ze mną? Dlaczego zaczęłaś się rozbierać, gdy byliśmy sami? – zadrwił. – Chciałaś mnie wykorzystać, tak jak wykorzystałaś wielu przede mną.

Sława wyszczerzyła na niego zabarwione krwią zęby.

– Moje siostry mnie pomszczą – wysyczała.

– Nie rozumiesz. – Pokręcił głową. – Bóg kazał mi to zrobić. Przemówił do mnie, zesłał wizję. Ochroni mnie. A ja potem zabiję twoje siostry. Jedną po drugiej.

Nie ruszałam się z krzaków. Nie wiedziałam, co mam zrobić. Zdążyłam, ale co z tego?

Gdzieś za swoimi plecami usłyszałam szelest. Zmówiłam krótką modlitwę do bogów, by Mieszko nie zaczął wołać mojego imienia, by nie sprowokował myśliwego.

Myśliwy stanął naprzeciwko Sławy i jeszcze mocniej zacisnął palce na sztylecie. Kłykcie na jego dłoni pobieleły. Zamierzał zadać decydujący cios. Odetchnął głęboko, szykując się do ataku.

W panice rozejrzałam się dookoła. Złapałam kamień, który leżał na ziemi. Był wielkości mojej pięści. Nadawał się? Będzie musiał. Nie ma czasu.

– Nie powinnaś istnieć – rzekł nienaturalnie spokojnym głosem.

Nie czekałam dłużej. Zerwałam się na równe nogi i pobiegłam przed siebie. W uniesionej ręce trzymałam kamień. Moją jedyną broń.

Miałam wrażenie, że wszystko dzieje się jak na zwolnionym filmie. Każdy ruch zaczął mieć niezwykle duże znaczenie.

Oczy Sławy rozszerzyły się ze zdziwienia. Otworzyła usta do krzyku. Myśliwy kocim ruchem ukucnął i odwrócił się do mnie zaalarmowany hałasem. Ostrze sztyletu błysnęło srebrem, gdy wysunął je w moim kierunku.

Z całej siły rzuciłam w jego stronę kamieniem. Uderzył go w lewe ramię, ale nawet na chwilę nie osłabił. Jedynie nieznacznie zachwiał równowagą, gdy skoczył w moją stronę. Jeden krok, drugi krok. Był tuż obok!

Instynktownie odbiłam w prawo, chcąc przed nim uciec.

Za moimi plecami na polanę wskoczył Mieszko. Ułamana gałąź w jego dłoniach zamieniła się w pałkę zdolną rozbić czaszkę myśliwemu. Zaczęła zataczać łuk, kierując się prosto na jego głowę.

Oprawca oparł lewą dłoń na ziemi i lekko modelując kierunek skoku, rzucił się na mnie. Kij minął go niemalże o włos. Pchnął mnie całym swoim ciężarem, unikając ciosu Mieszka.

Uderzyłam plecami o ziemię. Impet upadku zabrał mi z płuc całe powietrze. Zęby zadzwoniły o siebie, cudem nie odgryzłam sobie języka. W głowie zakręciło mi się, gdy huknęłam o zadziwiająco twarde poszycie. Zamazany kształt przeleciał tuż przede mną, spychając ze mnie myśliwego. Mężczyźni zaczęli się kotłować na ziemi, szybko wymieniając mordercze ciosy.

Odetchnęłam głęboko, gdy ciężar w mojej piersi zniknął. Przed oczami zaczęły mi wirować kolorowe plamy.

– *Gosiu!!!*

Dopiero teraz krzyk Sławy zawibrował mi w uszach. Odepchnęłam się od ziemi i usiadłam. Rusałka rzuciła się w moją stronę. Jej fioletowe włosy uniosły się do góry, gdy klękała obok. Czarne oczy pełne były przerażenia.

W tym czasie mężczyźni odskoczyli od siebie i wstali. Na szczęście byli na tyle daleko, że już nie zagrażali ani mnie, ani mojej przyjaciółce. Złapałam ją za rękę.

Gałąź Mieszka musiała w końcu dosięgnąć myśliwego. Przez cały jego lewy policzek biegło paskudnie wyglądające otarcie, z kącika ust wyciekała zmieszana ze śliną krew. Wyglądał, jakby przeszorował skórą po asfalcie.

Twarz Witka wykrzywiona była dziką wściekłością. To nie był już miły chłopak z sąsiedztwa, którego miałam okazję poznać. Tamtego faceta nie było. W oczach kapłana błyszczał dziki fanatyzm. Dyszał ciężko, wbijając nienawistne spojrzenie w Mieszka. Jego ramiona unosiły się w rytm głębokich oddechów. Był napięty, gotów do dalszej walki. Zacisnął dłonie w pięści, chętny bić się do

ostatniej kropli krwi, do ostatniego oddechu.

Nie miał najmniejszych szans z Mieszkiem, nawet gdyby ten nie miał kija.

– Gosiu! – Sława jeszcze raz krzyknęła.

Oderwałam spojrzenie od Witka. Moja przyjaciółka trzęsła się z emocji. Łzy na jej policzkach mieszały się z krwią.

– Jesteś ranna! – zawyła.

Spojrzałam na dół swojego brzucha. Nagle wszystko opromienił błysk pioruna. Po chwili rozległ się ogłuszający grzmot, od którego zatrzęsała się ziemia.

Nowy planetnik musiał zostać powołany do służby. Poczułam otuchę.

Czarny materiał mojej sukienki był dziwnie mokry, jakbym wpadła w kałużę. Tuż poniżej pępka sterczał z brzucha wbity aż po rękojeść sztylet. Mimo że ostrze wciąż tkwiło w ciele, rana była szeroka i nierówna. Siadając, musiałam go poruszyć bądź to Witek, upadając na mnie, wbił go pod kątem. Dotknęłam materiału i uniosłam dłoń. Cała była zabarwiona na czerwono.

Dopiero teraz poczułam tępy, obezwładniający ból.

Nic nie rozumiałam. Kiedy to się stało? Skąd wziął się ten sztylet? I dlaczego znowu ktoś mnie zaatakował przy użyciu ostrza?

Sława złapała mnie za ramiona i pchnęła na ziemię, żebym leżała i się nie ruszała. Przed oczami zatańczył mi jej tatuaż. Kwiaty powoju wyglądały tak realistycznie. Unieruchomiła mi ręce. Nie mogłam się ruszyć. Chciałam wstać. Powój na jej szyi zdawał się prawdziwy.

Sapnęłam. Znowu się pomyliłam. Znowu. Ten koszmar to była wizja, ale nie dotyczyła wcale Sławy.

– Leż – kazała. – Leż nieruchomo. Musimy wezwać pomoc! Karetkę!

Witek wyglądał, jakby ktoś wypuścił z niego całe powietrze. Wbijał we mnie zdumiony wzrok. Otworzył dłonie, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że nie ma już w ręku sztyletu, bo gdzieś go po drodze zgubił. Skurczył się, jego ramiona opadły, zaczął się trząść. Ledwie mógł ustać w miejscu.

– Ja, ja... nie chciałem! To nie tak! – zawołał. – Prze...

Mieszko wykorzystał nieuwagę przeciwnika i bez ceregieli z całej siły zdzielił go kijem w głowę. Kapłan westchnął zaskoczony i upadł ciężko na ziemię. Stracił przytomność. Miałam nadzieję, że władca Polan go nie zabił.

Mieszko doskoczył do nas. Odrzucił oblepiony krwią kij. Uklęknął powoli. Złość w jego oczach zamieniła się w rozpacz.

Sztylet. Sztylet. Przez głowę przelatowała mi gonićwa myśli. Sztylet był znacznie dłuższy od scyzoryka, z którym miałam nieprzyjemność spotkać się ostatnim razem. Ryzyko, że uszkodził poważnie narządy wewnętrzne, było stuprocentowe. Przed oczami zobaczyłam ryciny z atlasu anatomicznego przedstawiające naczynia krwionośne biegnące w jamie brzusznej.

Niedobrze. Bardzo niedobrze. To dlatego było tyle krwi.

– Gosiu, nic się nie stało. Wszystko będzie dobrze. Pamiętasz? Twoje rany same się goją – zaczął mnie pocieszać Mieszko. Jego głos drżał. – Wszystko będzie dobrze. To też się zagoi, słyszysz? Musimy po prostu wyjąć sztylet.

– Nie! – wykrzyknęła Sława. – Nie wyjmuję się takich rzeczy! Trzeba zawołać karetkę. Wyjmie go lekarz!

– Zagoi się. Widziałem skaleczenia na jej skórze. Po kilku minutach nie ma po nich śladu – powiedział Mieszko. – Dwa dni temu niemalże odcięła sobie palec świeżo naostrzonym nożem w kuchni. Zrósł się w godzinę, bez śladu. Musimy wyjąć sztylet i zacznie się sama leczyć. Tak działa kwiat paproci.

Sława kiwnęła głową, jakby ją przekonał.

Był tylko taki kłopot, że nie przekonał mnie, bo ja wiedziałam coś, o czym oni nie wiedzieli.

– Czekać – szepnęłam.

Kolejna fala bólu przetoczyła się przez moje ciało. Sztylet tkwił w podbrzuszu. W podbrzuszu!

Dlaczego właśnie tam?!

Bogowie! Przypomniałam sobie słowa Swarożyca. Powiedział, że odbierze mi dzisiaj jedną rzecz. Spojrzałam na Sławę.

A jeśli to nie o rusałce mówił?!

– Muszę jechać do szpitala – stęknęłam. – Jestem w ciąży. Nie wiem, co z dzieckiem. Nie wiem, czy z nim wszystko w porządku. Nie wiem, gdzie tkwi sztylet. Jestem w ciąży! Jestem w ciąży...

Mieszko odskoczył do tyłu, jakbym go uderzyła. Cała krew odpłynęła z jego twarzy, rozpacz w oczach zastąpiła pustka.

Wszystko zaczęło się robić niewyraźne, zamglone, poszarzałe.

A potem była już tylko ciemność.

Podziękowania

Żerca stanowił dla mnie prawdziwe wyzwanie. Jeszcze nigdy nie pisałam tak szybko żadnego tekstu. Na pewno nie poradziłabym sobie bez wielu osób, które były przy mnie i w każdym momencie służyły radą (lub kawałkiem czekolady)!

Janku, Kochany Mężu, stałeś na pierwszej linii frontu. Niemal codziennie musiałeś wysłuchiwać moich narzekań i jęków: „że wena gdzieś zniknęła, najpewniej bezpowrotnie, a w ogóle to wszystko jest bez sensu i kiedy będzie koniec świata, bo już nie mogę się go doczekać”. Masz naprawdę anielską cierpliwość! Dziękuję za każde słowo pociechy, za każde przytulenie i pocałunek w chwilach, gdy ogarniały mnie wątpliwości.

Mamo Barbaro, dziękuję za wnikliwą recenzję tekstu i nasze długie telefoniczne rozmowy. Naprawdę wiele dla mnie znaczą. Taka Mama to skarb!

Babciu Mirosławo, przyznaję się bez bicia, ukradłam Ci Twoje piękne imię do swojej powieści i podarowałam je mamie mojej głównej bohaterki!

Droga Szwagierko – Gosiu Zajac, dziękuję Ci za bycie pierwszą recenzentką i wnikliwe czytanie przesyłanych fragmentów. Możliwość szybkiego przetestowania tworzonych scen była dla mnie nieoceniona.

Pisałabym tę powieść znacznie wolniej, gdybym nie mogła liczyć na pomoc wspaniałej załogi Wydawnictwa W.A.B. Agnieszko Trzeszkowska – dziękuję Ci, że stale trzymałaś rękę na pulsie i poganiałaś mnie do dalszej pracy. Okazuje się, że w moim przypadku kijek działa znacznie lepiej od marchewki. Paulino Panek-Jedlińska – dzięki Tobie w tej powieści pojawiają się dwa bardzo ważne wątki! Niczym prawdziwy trener umiałaś popchnąć mnie delikatnie w odpowiednim kierunku, żeby zagubiona wena nagle się odnalazła.

Podczas pisania tej powieści rozpoczęłam współpracę z Mirkiem Jędrasem, frontmenem zespołu Zacier. Bardzo dziękuję, że postanowiliście nagrać piosenkę inspirowaną moim słowiańskim światem. Już nie mogę się jej doczekać! Do zobaczenia na następnym koncercie!

Chciałabym także podziękować moim cudownym Czytelnikom. Dziękuję, że przez tyle lat jesteście ze mną. Wiele dla mnie znaczą nasze spotkania i kontakt, który mamy ze sobą przez media społecznościowe. Na początku roku zadałam Wam pytanie, jak mogłoby brzmieć nazwisko Mieszka. Zarzuciliście mnie całą masą genialnych pomysłów (a dokładniej 234 pomysłami)! Macie olbrzymią wyobraźnię – jesteście pewni, że to ja powinnam pisać książki?

Tak jak obiecałam, jeden z Waszych pomysłów wykorzystałam w powieści. Mieszko otrzymał nazwisko „Pierwszy”. Ewelino Piotrowicz – to Twoja zasługa. Jako pierwsza zasugerowałaś takie rozwiązanie. Wszystkim Wam dziękuję za wspaniałe pomysły. Najchętniej podarowałabym mojemu bohaterowi wielocłonowe nazwisko, bo wiele Waszych propozycji było naprawdę

pomysłowych, na przykład: Anna Rokicka – „Mieszko Piastowicz”, Anna Krajewska „Mieszko Siemomysłowski”, Ola Wegner „Mieszko Siemomysł”, Ewelina Koperniak „Mieszko Zając” (moja szwagierka bardzo się ucieszyła na tę propozycję), Katarzyna Bebo „Mieszko Evig”, Grzegorz Stilgar Wojtyło „Mieszko Odyson”, Besave Hej „Mieszko Gniewny”, Nikola Gaszyńska „Mieszko Kabeczek” (abstrakcyjność tej propozycji nieomal mnie przekonała, chyba mamy bardzo podobne poczucie humoru), Aleksandra Szajnar „Mieszko Tułacz”, Sandra Winer „Mieszko Kupała”, Magdalena Czerwińska „Mieszko Dagomski” oraz wiele, wiele innych.

Jeszcze raz wszystkim Wam dziękuję!

Co ja bym bez Was zrobiła?

Naprawdę nie wiem!

Katarzyna Berenika Mischuk

¹ Zacieralia, inaczej Festiwal Twórczości Nieograniczonej, to prawdziwe wydarzenie odbywające się każdego roku także w naszej rzeczywistości! :) Twórcą festiwalu jest założony w 1984 roku zespół Zacier. Jedną z jego pierwszych piosenek był utwór *Odpad atomowy*, którą wykonywał również Kazik na Żywo oraz Elektryczne Gitary. Najbardziej znanymi utworami zespołu są piosenki: *Kebab w cienkim cieście*, *Niedźwiedź Janusz*, *Kiedy w Polsce będą Chiny* oraz *Pęknięta umywalka na stosie choinek* (przypis autorki).

² Chram – drewniany budynek, miejsce modlitw i spotkań lokalnej społeczności. W pewnym momencie historii naszych przodków, zapewne z pobudek praktycznych, zastąpiły święte gaje (w końcu w chramie można było się spotkać nawet podczas burzy). W przeciwieństwie do świątyń, gdzie oddawano bogom cześć i składano dary, a etykieta nakazywała zachować powagę, w chramach kwitło życie towarzyskie (przypis autorki).

